

James Rollins

Lodowa pułapka

Z angielskiego przełożył PIOTR ROMAN

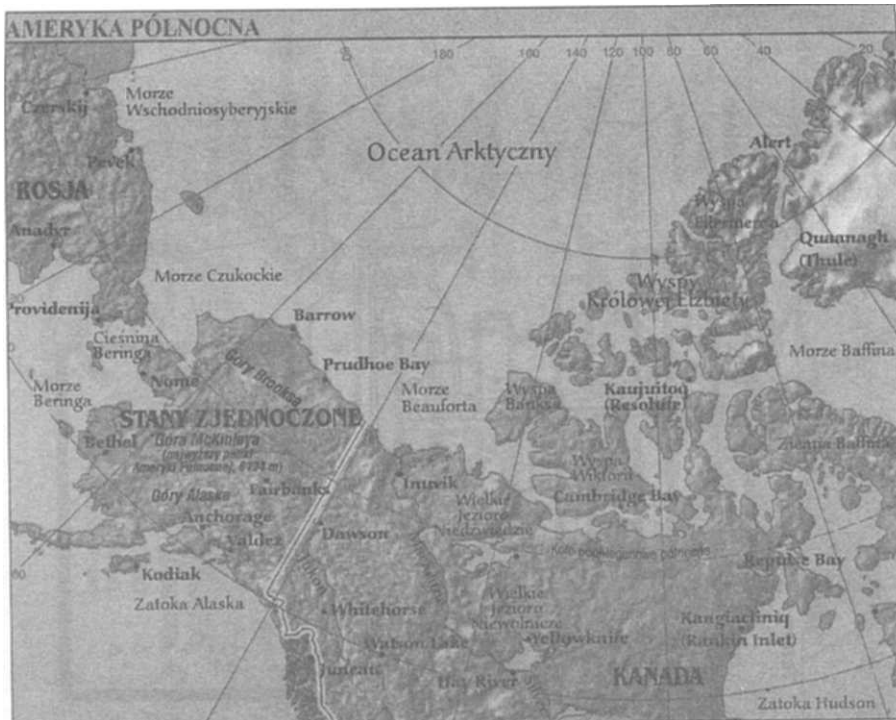
WARSZAWA 2006

Dla Dave'a Meeka najbliższej gwiazdy na horyzoncie

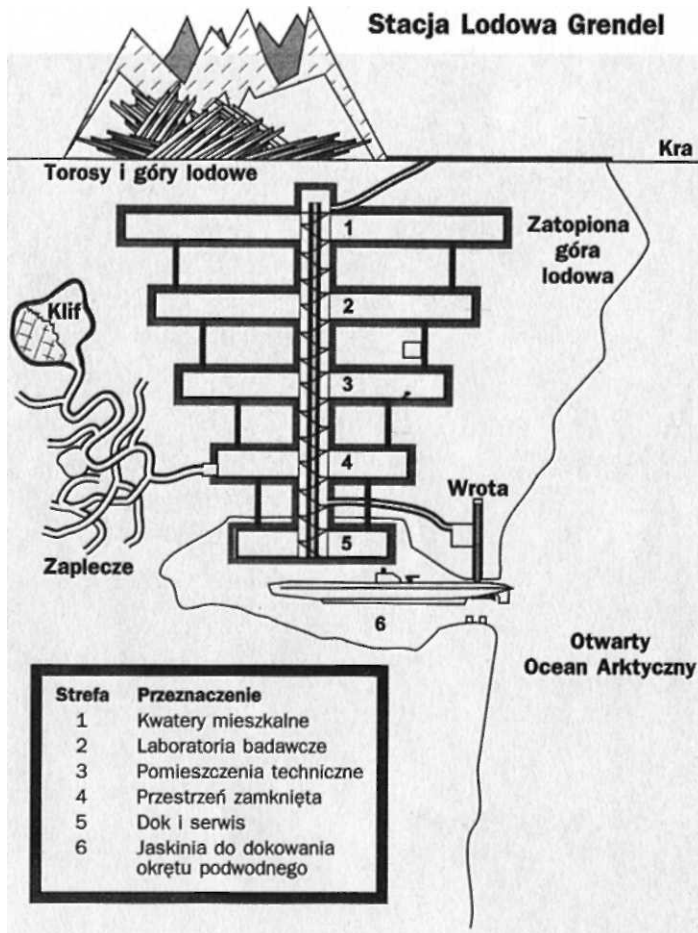
PODZIĘKOWANIA

Książka rzadko jest dziełem jedynie jej autora, zazwyczaj stanowi wspólne osiągnięcie wielu ludzi. Ta nie jest wyjątkiem. Na pierwszym miejscu, jako naczelny inżynier i kreślarz niniejszej powieści, musi zostać wymieniony Steve Prey, którego skrupulatna praca nad tworzeniem schematów stacji zarówno zainspirowała, jak i zmieniła opowieść. Następnie miałem do dyspozycji oddział pościgowy językoznawców, którzy pomogli mi w niezliczonych szczegółach. Carolyn Williams, Vasily Derebenskiy i William Czajkowski pomogli dokonać tłumaczeń z rosyjskiego, a Kim Crockatt i Nunavut.com odegrali zasadniczą rolę przy znalezieniu tłumaczki z inuickiego, Emily Angulalik. Pragnę także podziękować Johnowi Overtonowi z Health News Network za pomoc przy zbieraniu wykorzystanych w tej powieści informacji historycznych.

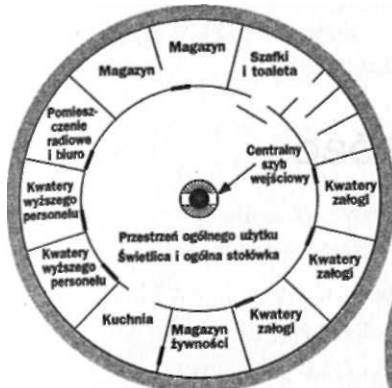
Dodatkowo chciałbym serdecznie podziękować przyjaciołom i członkom rodziny, którzy pomogli przekuć manuskrypt w obecny kształt: Carolyn McCray, Chrisowi Crowe, Michaelowi Gallowglasowi, Lee Garrettowi, Davidowi Murrayowi, Dennisowi Graysonowi, Penny Hill, Lynne Williams, Laurei Piper, Lane Therrell, Mary Hanley, Dave'owi Meekowi, Royale Adams, Jane O'Riva, Chrisowi „Małemu” Smithowi, Judy i Steve'owi Preyom oraz Caroline Williams. Za wykorzystaną mapę dziękuję *CIA World Factbook 2000*. Na koniec dziękuję również czwórce moich najbardziej lojalnych pomocników: mojej redaktor Lyssie Keusch, moim agentom Russowi Galenowi i Danny'emu Barorowi oraz mojemu rzecznikowi Jimowi Davisowi. Muszę także podkreślić, że wszelkie pomyłki w zakresie faktów lub szczegółów obciążają wyłącznie moje konto.



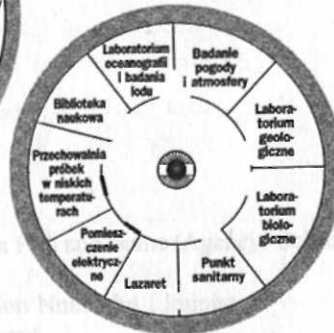
Stacja Lodowa Grendel



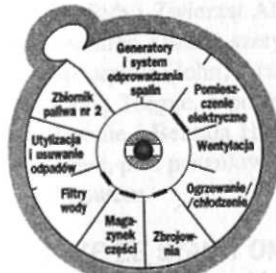
Stacja Lodowa Grendel Plany pięter



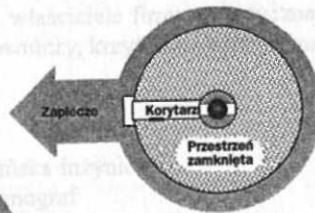
Poziom 1



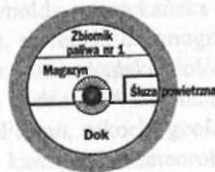
Poziom 2



Poziom 3



Poziom 4



Poziom 5

ZAPIS ARCHIWALNY *TORONTO DAILY STAR* 23 listopada 1937

ZNIKNIĘCIE ESKIMOSKIEJ WIOSKI!

KKPK potwierdza opowieść trapera

Specjalnie dla „Stara”

Lake Territory, 23 listopada. Inspektor Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej, który dziś powrócił, potwierdził zniknięcie eskimoskiej wioski w regionie Jezior Północnych. Dziesięć dni temu traper Joe LaBelle skontaktował się z KKPK, zgłaszając mrożące krew w żyłach odkrycie. Idąc na raketach śnieżnych wzdłuż ustawionych w długiej linii wnyków, LaBelle wyszedł na odcieętą od świata wioskę Eskimosów, leżącą na brzegu jeziora Anjikuni, i odkrył, że wszyscy mieszkańcy - mężczyźni, kobiety i dzieci - zniknęli z chat i składów. „Wyglądało to tak, jakby każdy z tych nieszczęśników wstał i odszedł tylko w koszuli na grzbiecie”.

Inspektor Pierre Menard z KKPK powrócił dziś, przywożąc światu informacje na ten temat, jakie zebrał wraz ze swoim oddziałem. Potwierdza on opowieść trapera. Znaleźli wioskę, która rzeczywiście została opuszczona w niezwykle dziwnych okolicznościach. „W trakcie poszukiwań znaleźliśmy nieruszone jedzenie, sprzęt i zapasy, ale żadnego znaku życia. Nie było ani jednego śladu stopy czy sań”. Znaleźli nawet pod śniegiem psy pociągowe Eskimosów, zagłodzone na śmierć. O najbardziej wstrząsającym odkryciu dowiedzieliśmy się na końcu: groby przodków Eskimosów zostały rozkopane i opróżnione.

KKPK obiecuje kontynuować poszukiwania, jak na razie jednak los mieszkańców wioski pozostaje tajemnicą.

Prolog

6 LUTEGO, GODZINA 11.58

538 KILOMETRÓW NA PÓLNOC OD KOŁA

PODBIEGUNOWEGO PÓLNOCNEGO

CZTERDZIEŚCI SAŻNI POD ARKTYCZNĄ CZASZĄ LODOWĄ

USS „Polar Sentinel” sunął przez ciemne wody oceanu. Wykonane z brązu podwójne śruby obracały się bezgłośnie, pchając najnowszy badawczy okręt podwodny marynarki wojennej pod nieprzerwaną pokrywą lodu. W kadłubie okrętu rozbrzmiewały odbijające się długim echem ostrzegawcze dzwonki urządzeń alarmowych, mierzących odległość od lodu.

- Dobry Boże, co za potwór... - mruknął pod nosem oficer zanurzeniowy, zgarbiony na swoim stanowisku nad niewielkim monitorem.

Komandor Gregory Perry nie miał powodu spierać się z oceną komandora podporucznika Bratta. Stał na podeście stanowiska peryskopowego i przystawiwszy oczy do okularów urządzenia, obserwował ocean, otaczający wykonany z tytanu i stali węglowej podwójny kadłub okrętu. Dopiero co minęło południe, ale w Arktyce w dalszym ciągu panowała zima i od miesięcy nie widziano słońca. Woda była ciemna, a czarna lodowa płaszczyna, rozciągająca się jak okiem sięgnąć, przerywana była jedynie zielonogranatowymi plamami cieńszego lodu, przez który przesączał się słaby blask księżyca, rozświetlający świat na powierzchni. Przeciętna grubość lodu wynosiła w tej okolicy nie więcej niż trzy metry, ale spód dachu ich podwodnego świata nie był ani równy, ani gładki. Gdzie spojrzeć, widać było wyglądające z daleka jak zwisające stalaktyty zapadnięte spody torosów, jak fachowo nazywają się formacje, tworzone przez wiatr i prądy z płyt lodowych oraz gromadzącego się między nimi gruzu lodowego. Niektóre z nich sięgały ponad dwieście metrów w głąb wody.

Nic jednak nie mogło się równać z odwróconą szczytem ku dołowi lodową górą, której masyw ginał przed nimi w głębinach oceanu - istnym lodowym Mount Everestem. Okręt powoli okrążał potężny masyw.

- To maleństwo musi sięgać przynajmniej półtora kilometra w głąb - mruknął komandor podporucznik Bratt.

- Dokładnie dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt metrów - powiedział otoczony instrumentami oficer obserwacyjny. Przeciągał palcem po ekranie monitora sonaru, wydającego dźwięk wysokiej częstotliwości. Urządzenie badało kontur lodu.

Perry patrzył przez peryskop, bardziej bowiem ufał własnym oczom niż monitorom. Wcisnął włączniki ksenonowych reflektorów okrętu i w jednej chwili pionowa ściana zapłonęła. Czarny lód rozjarzył się odcieniami kobaltu i akwamaryny. Okręt powoli okrążał skierowany szczytem w dół stożek - tak blisko, że sonar protestował, zgłaszając przekroczenie granicy bezpieczeństwa.

- Czy ktoś mógłby wyłączyć te cholerne dzwonki? - zapytał Perry.

- Tak jest, komandorze!

Na pokładzie zapadła cisza. Nikt nic nie mówił. Jedynym dźwiękiem był stłumiony pomruk silników i cichy syk generatora tlenu. Jak wszystkie okręty podwodne, także „Polar Sentinel” poruszał się bardzo cicho. Był dwa razy mniejszy od swoich braci i żartobliwie mówiono o nim, że jest jednostką „klasy kijanka”. Jego zminiaturyzowanie umożliwił postęp techniki, pozwalający na obsługę przez mniej liczną załogę, dzięki czemu można było zredukować powierzchnię kwater mieszkalnych. Poza tym okręt miał być jednostką badawczą, więc miejsce w normalnym przypadku przeznaczone na uzbrojenie zostało wykorzystane na montaż instrumentów pomiarowych i sprzętu służącego naukowcom. Mimo pozbawienia okrętu broni nikt tak naprawdę nie dał się oszukać: „Polar Sentinel” był laboratorium testowym, mającym pomóc stworzyć w przyszłości nową generację uderzeniowych okrętów podwodnych - mniejszych, szybszych, jeszcze bardziej śmiercionośnych.

Okręt, który z technicznego punktu widzenia odbywał właśnie dziewiczą podróż, został przydzielony do Stacji Dryfującej Omega, półstałej amerykańskiej stacji badawczej, zbudowanej na polu lodowym - wspólnego projektu naukowego wielu rządowych agencji naukowych, w tym także National Science Foundation oraz National Oceanographic and Atmospheric Administration.

Załoga spędziła ostatni tydzień na wynurzaniu okrętu w oknach wybitych w krze lodowej albo pokrytych cienką warstwą lodu jeziorkach zwanych fachowo płoniami. Ich zadanie polegało na instalowaniu na lodzie sprzętu meteorologicznego do prowadzenia obserwacji przez stację badawczą. Na ten odwrócony Mount Everest natknęli się przed godziną.

- Cholernie wielka góra lodowa... - gwizdnął Bratt.

- Prawidłowa nazwa brzmi wyspa lodowa - odezwał się jakiś nowy głos.

Perry spojrzał znad okularu peryskopu.

Przez właz, prowadzący do centrali dowodzenia z dziobowych przedziałów badawczych, wszedł siwy mężczyzna ze starannie przystrzyżoną bródką. Był to doktor Oskar Willig, szwedzki oceanograf. Towarzyszył mu podporucznik marynarki. Starzejący się, ale żyłasty i bystrocki Szwed machnął lekceważąco ręką w kierunku monitora i skinął głową komandorowi Perry'emu.

- Z Cyklopa widok robi znacznie większe wrażenie. Właśnie, doktor Reynolds pyta, czy mógłby pan tam do nas dołączyć. Odkryliśmy coś intrygującego.

Po długiej chwili Perry złożył rączki peryskopu i przekręcił pokrętko sterowania hydraulicznego, opuszczając zrobiony ze stali nierdzewnej pał z modułem optycznym do znajdującej się na dole obudowy.

- Komandorze Bratt, pan dowodzi - powiedział, po czym zszedł ze stanowiska peryskopowego, by podejść do doktora Williga.

Kiedy przechodzili obok Bratta, komandor podporucznik uniósł pytająco brew.

- Idzie pan do Cyklopa? Mimo tego lodu wokół? Jest pan odważniejszy ode mnie, komandorze. Ma pan jaja ze stali.

- Nie ze stali. - Perry postukał kostkami dłoni w ścianę. - Z tytanu.

Jego zastępca parsknął śmiechem.

Oczy szwedzkiego oceanografa błyszcząły z podniecenia.

- Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak niesamowitej lodowej wyspy.

Peny przejechał dłonią po ostrzyżonych tuż przy skórze rudych włosach, po czym dał doktorowi znak, aby szedł pierwszy.

Willig skinął głową i odwrócił się, nie przestał jednak szybko mówić, kontynuując rozpoczęty wykład, jakby znajdował się w sali Uniwersytetu Sztokholmskiego.

- Takie wyspy są rzadkością. Powstają, gdy gigantyczne góry lodowe odrywają się od lodowców kontynentalnych. Prądy oceaniczne wprowadzają je w czasę lodową, gdzie w końcu do czegoś przymarzają. Po latach topnienia lodu i ponownego zamarzania stają się elementem czaszy. - Kiedy przechodzili przez luk, doktor odwrócił się i popatrzył na komandora. - Można by powiedzieć, że są jak migdały w batonie.

Aby precyzyjnie zmierzyć swoje sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, Peny musiał się mocno zgarbić.

- Co jest w tym odkryciu tak podniecającego? - spytał. - Dlaczego doktor Reynolds uparła się, abyśmy krążyli wokół tego migdała?

Willig potrząsnął głową i poprowadził Perry'ego głównym korytarzem części naukowej okrętu.

- Jak już mówiłem, wyspy lodowe są rzadkością, a ponieważ oderwały się od lodowca, składają się z bardzo starego lodu i w wielu z nich tkwią głazy oraz fragmenty stałego lądu.

Peny szedł tuż za nim, zmuszając go do przyspieszenia.

- Nie wolno nam stracić tej okazji - ciągnął Willig. - Już nigdy możemy czegoś podobnego nie znaleźć. Arktyczna czasa lodowa pokrywa teren dwa razy większy od pańskich Stanów Zjednoczonych, a ponieważ jej powierzchnia jest przez zimowe wiatry i letnie topnienie lodu tak zerodowana, że nie sposób znaleźć jakichkolwiek punktów orientacyjnych, nie ma możliwości odkrycia takich wysp z powierzchni. Nie są tego w stanie dokonać nawet satelity NASA. Natknięcie się na tę wyspę to naukowy dar od Boga.

- Nie znam się na Bogu, ale to intrygujące - odparł Peny. Powierzono mu dowództwo „Sentinela” z powodu życiorysu i zainteresowania Arktyką. Jego ojciec służył na USS „Nautilus”, pierwszym okręcie podwodnym, który w 1958 roku przepłynął Ocean Arktyczny i pod lodem przekroczył biegun północny. Był dumny, mogąc dodawać do dokonań ojca kolejne sukcesy, służąc na pokładzie tego okrętu, najnowszej jednostki badawczej marynarki wojennej.

Doktor Willig wskazał zamknięty szczelnie włącz na końcu korytarza.

- Chodźmy. Musi pan to zobaczyć na własne oczy. Patrząc naukowcowi nad ramieniem, Peny skinął mu ręką, by szedł pierwszy. „Polar Sentinel” podzielono na dwie części. Za centralą dowodzenia, czyli w części rufowej, znajdowały się kwatery załogi i urządzenia inżynierskie okrętu, przed mostkiem, w kierunku dziobu, laboratoria badawcze. Przed nimi, na samym dziobie, gdzie w normalnym okręcie klasy Wirginia znajdowały się przedziały torpedowe i nadajniki sonaru, zainstalowano najdziwniejszą modyfikację.

- Za panem - powiedział doktor Willig, kiedy doszli do hermetycznej przegrody.

Peny otworzył właz i wszedł do leżącego za nim pomieszczenia. Przygaszone oświetlenie „Sentinela” sprawiło, że nie był przygotowany na oślepiąco jaskrawy blask, jaki je wypełniał. Szybko przysłonił oczy.

Sklepienie przedziału, w którym normalnie byłyby torpedy, zastąpiono kopułą z leksanu grubości trzydziestu centymetrów. Przezroczyste poliwęglanowe tworzywo wyginało się łukowato nad ich głowami i z przodu okrętu, ukazując panoramę otaczającego okręt oceanu. Oglądane z zewnątrz, to wielkie okno wyglądało jak gigantyczne szklane oko i właśnie z tego powodu uzyskało swój przydomek: Cyklop.

Peny zignorował stojących po bokach pomieszczenia naukowców, pochylonych nad sprzętem i monitorami. Obecni w przedziale marynarze wyprostowali się i powitali dowódcę skinieniami głów. Odpowiedział im tym samym, nie mógł jednak oderwać wzroku od plastikowego sklepienia.

- Robi wrażenie, prawda? - odezwał się ktoś stojący pośrodku oślepiającego blasku.

Peny zamrugał, aby odzyskać ostrość widzenia, i pośrodku pomieszczenia dostrzegł szczupłą sylwetkę, oblaną akwamarynowym światłem.

- Doktor Reynolds?

- Nie mogłam się oprzeć chęci popatrzenia stąd. - Choć Peny nie dostrzegał szczegółów jej twarzy, po ciepłym tonie głosu domyślił się, że młoda kobieta się uśmiecha. Amanda Reynolds była nominalnym kierownikiem Stacji Dryfującej Omega. Jej ojciec, admirał Kent Reynolds, dowodził pacyficzną flotą okrętów podwodnych. Wychowana jako „marynarski dzieciak”, pani doktor czuła się na pokładzie okrętu podwodnego tak samo swobodnie jak każdy marynarz, noszący odznakę złożoną z dwóch delfinów - symbolu floty.

Peny podszedł do niej. Poznał Amandę przed dwoma laty, kiedy przyznawano mu belki komandora, na przyjęciu wydanym przez jej ojca. W ciągu jednego wieczoru udało mu się niechcący obrazić jej sałatkę ziemniaczaną, podczas krótkiego tańca niemal złamał jej palec u nogi i upierając się, że Cubs zwyciężą w najbliższym meczu z San Francisco Giants, przegrał zakład o dziesięć dolarów. Ale poza tym było wspaniale.

Odkaszlnął i upewnił się, że Amanda na niego patrzy.

- Co pani sądzi o Cyklopie? - Starał się wyraźnie wymawiać każde słowo, aby mogła czytać z jego warg. Straciła słuch w wieku trzynastu lat w wyniku wypadku samochodowego.

Amanda Reynolds pochyliła się lekko do przodu i patrzyła w górę, powoli obracając głowę.

- Spełnia wszelkie oczekiwania, wszystkie marzenia ojca. Stała pod najwyższym punktem kopuły, ze wszystkich stron otoczona oceanem. Wyglądała, jakby unosiła się w wodzie. Opierając się na jednej nodze, zastygła w półobrocie. Długie włosy koloru hebanu spięła w ciasny koński ogon. Miała na sobie doskonale wyprasowany granatowy mundur roboczy marynarki wojennej.

Peny podszedł do niej. Jako zawodowy podwodniak doskonale rozumiał, dlaczego załoga nie jest zachwycona konstrukcją tego pomieszczenia. Choć tym, co na każdym okręcie podwodnym wywołuje największy strach, jest ogień, nikt do końca nie wierzył, że warstwa plastiku grubości trzydziestu centymetrów może być alternatywą podwójnej powłoki z płyt tytanu i karbonu - zwłaszcza przy tak wielkiej ilości otaczającego okręt lodu.

On także musiał całą siłą woli powstrzymać chęć ucieczki spod plastikowego sklepienia. Wydawało mu się, że czuje na sobie ciężar wiszącego nad ich głowami oceanu.

- Dlaczego pani mnie wezwała? - spytał, dotknąwszy wcześniej jej ramienia, aby na niego spojrzeć.

- Z powodu tego... niesamowitego... - Głos Amandy drżał z podniecenia. Wyciągnęła przed siebie rękę. Reflektory okrętu oświetlały ścianę lodu, powoli przesuając się przed dziobem okrętu. Obserwując lód, miało się wrażenie, że okręt stoi w miejscu, a lodowa wyspa obraca się niczym olbrzymi bąk. Przy tak małej odległości, na którą podpłynął okręt, cała pionowa ściana jarzyła się, odbijając ksenonowe światło reflektorów. Lód zdawał się ciągnąć w nieskończoność zarówno ku górze, jak i ku dołowi.

Widok był niesamowity i wywoływał uczucie pokory, ale Peny w dalszym ciągu nie rozumiał, dlaczego zażądano jego obecności.

- Testowaliśmy nowy system sonarowy DeepEye... - zaczęła wyjaśniać Amanda.

Peny skinął głową. Znał ten projekt badawczy. „Polar Sentinel” był pierwszym okrętem podwodnym, który wyposażono w eksperymentalny system obrazowania - sonar penetrujący, będący czymś w rodzaju aparatu wykonującego zdjęcia rentgenowskie lodu. Konstrukcja urządzenia opierała się na projekcie doktor Reynolds, która była z wykształcenia inżynierem geotechniki, a specjalizowała się w regionach polarnych.

- Mieliśmy nadzieję przetestować go na tej wyspie i sprawdzić, czy lód zawiera jakieś głazy albo materiał ziemny.

- Znaleźliście coś? - Peny nie mógł oderwać oczu od powoli przesuującego się lodowego klifu.

Amanda zrobiła dwa kroki w bok, w kierunku dwóch pochylających się nad sprzętem mężczyzn.

- Pierwsze pomiary nie wykazały niczego, ale to jak obieranie cebuli. Musimy być bardzo ostrożni, bo fale sonaru DeepEye powodują delikatne wibracje lodu i rozgrzewają go. Dlatego coś takiego jak tę wyspę trzeba skanować cienkimi warstwami. To powolna, benedyktyńska praca. W którymś momencie odkryliśmy...

Perry stał bez ruchu pod kopułą Cyklopa. Kiedy okręt minął gruby występ lodu, pierwszy ujrzał niebezpieczeństwo. Przed nimi podrygiwały wielkie jak głazy kawały lodu, przesuając się w górę lodowej ściany niczym odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni lawina. Nie było to jednak wszystko - lodowy klif przecinało czarne pęknięcie. Właśnie oderwał się od niego ogromny fragment i przewracał na bok, dokładnie w kierunku powoli przemieszczającego się okrętu. Byli na kursie kolizyjnym.

Perry westchnął i pochylił się nad mikrofonem interkomu.

- Dowódca do mostka!

- Już działamy, komandorze - odparł napięty głos komandora podporucznika Bratta. - Pływalność ujemna.

W tym samym momencie Perry poczuł znajome szarpnięcie: to tysiące litrów wody zatapiały zbiorniki awaryjne. Okręt opadał pod ostrym kątem.

Perry wyglądał na zewnątrz, nie mając żadnej pewności, czy unikną kolizji ze spadającą jak topór granatową ścianą lodu. Był to wyścig między pływalnością oderwanego lodu a ciężarem ich balastu awaryjnego. Okręt nurkował dziobem w dół. Łapano się uchwytów. Po pochylonej podłodze sunął czyjś notes.

Rozległo się kilka cichych okrzyków, ale Perry nie zwracał na nie uwagi. Mógł jedynie patrzeć bezsilnie. Kolizja w takim miejscu byłaby katastrofą. Na wiele kilometrów wokół nie było się gdzie wynurzyć. Choć „Polar Sentinel” został zbudowany w taki sposób, aby potrafił radzić sobie w arktycznych warunkach, jego możliwości nie były nieograniczone.

Obracająca się ściana lodu wypełniała świat przed okrętem.

„Sentinel” szedł w dół. Nagły wzrost ciśnienia spowodowany zapadaniem się w lodowatą głębię sprawiał, że spawy i złącza trzaskały i jęczały.

Nagle przed sobą mieli już tylko wodę. Opadająca płyta lodu wisiała teraz tuż nad okrętem. „Sentinel” skoczył do przodu.

Oderwany kawał lodowej wyspy o centymetry minął chroniącą ludzi powłokę. Perry wykręcał szyję, odprowadzając wzrokiem mijającą leksanową czaszę lodową ścianę. Widział podobne do piktogramów gałązki przywartych do jej powierzchni alg. Wstrzymywał oddech, czekając na zgrzyt metalu, gotów w każdej chwili zareagować na ryk syren alarmowych. Ale słyhać było tylko nieprzerwany syk generatorów tlenu.

Po zdających się trwać wieczność trzydziestu sekundach zrobił długi wydech i odwrócił się do interkomu.

- Dowódca do mostka. Dobra robota, panowie. Odpowiedział mu komandor podporucznik Bratt. W jego głosie były ulga i duma.

- Przerwywam zalewanie. Szasowanie ujemne. - Okręt zaczął wypoziomowywać. Po chwili Bratt dodał: - Nie róbmy tego ponownie.

- Dobrze, zatoczmy jednak krąg i sprawdźmy miejsce oderwania się lodu... ale z bezpiecznej odległości. Całkiem możliwe, że to wina sonaru DeepEye. - Popatrzył na Amandę, pamiętał jej słowa o powodowaniu przez nowe urządzenie wibracji i wzrostu temperatury. - Jeśli już badamy to чудо, powinniśmy zrobić kilka zdjęć.

Komandor podporucznik Bratt wydał załodze na mostku odpowiednie polecenia.

- Sternik, cała w lewo. Mała naprzód. Okrążamy wyspę. Okręt odsunął się od lodowej wyspy i zaczął powoli zataczać koło. Perry podszedł do ustawionych w szeregu monitorów.

- Możemy dostać zbliżenie strefy pęknięcia? Jeden z techników skinął głową.

- Tak jest, komandorze.

- Powinniśmy byli to przewidzieć - powiedziała Amanda. Zgłoski lekko się rozmywały, strach pogarszał dokładność jej wymowy.

Perry poklepał ją lekko po dłoni.

- Właśnie dlatego takie rejsy nazywają się dziewiczymi. Jeśli nikt z nas w żadnym zakresie nie straci dziewictwa, będzie to oznaczać, że słabo się staraliśmy.

Ta niewyszukana próba rozładowania napięcia wcale jej nie rozweseliła.

Jemu również waliło serce. Przysunął twarz bliżej monitorów i czekał, aż technik wyreguluje kamery i dostaną ostry obraz miejsca pęknięcia. Wkrótce roztrzaskana ściana nabrała konturów.

- A to co? - zdziwiła się Amanda. Wskazała palcem widoczną na ekranie czarną skazę.

- Możesz przybliżyć?

Technik kiwnął głową i przekręcił przełącznik. Fragment klifu jakby napęczniał, „skaza” stała się trójwymiarowa i nabrała szczegółów. Nie był to lód ani skała, ale coś bardzo osobliwego. Kiedy „Polar Sentinel” przesunął się kawałek dalej, dziwne miejsce zostało rozświetlone przez reflektory. Czarny, prostokątny kształt. Dzieło ludzkiej ręki.

Gdy podpłynęli bliżej, Perry bez trudu zorientował się, co ogląda. Patrzyli na rufę okrętu podwodnego, tkwiącego w klifie jak patyk w lodach. Podszedł do leksanowej kopuły i wyrzwał na zewnątrz. Gołym okiem również można było zobaczyć wystający z lodu okręt. Był bardzo stary, niemal prehistoryczny.

„Polar Sentinel” przesunął się w bezpiecznej odległości.

- Czy to jest to, co myślę? - spytał doktor Willig słabym głosem.

Perry skinął głową.

- Okręt podwodny - mruknął. Umiał na pierwszy rzut oka rozpoznać dowolny okręt podwodny. - Powiedziałbym, że z czasów drugiej wojny światowej. Z rosyjskiej serii jeden.

- To potwierdza nasze wcześniejsze odkrycie - oświadczyła Amanda, która już nieco odzyskała kolory. - Powód, dla którego pana wezwaliśmy.

Perry odwrócił się do niej.

- O czym pani mówi? Wskazała palcem inny monitor.

- Zobrazowaliśmy to za pomocą DeepEye i nagraliśmy, zanim pan przyszedł.

Na ekranie widać było trójwymiarowy obraz wyspy. Rozdzielczość była doskonała, Perry nie dostrzegł jednak niczego godnego uwagi.

- Pokaż mu - powiedziała Amanda, kładąc dłoń na ramieniu technika.

Technik wcisnął kilka klawiszy i masywny blok lodu zamienił się w przezroczystego ducha. We wnętrzu wyspy ukazały się przejścia i wyraźnie od siebie oddzielone kondygnacje, wznoszące się warstwa po warstwie ku górze.

- Co to jest? - spytał Perry.

- Sądzymy, że zbudowana we wnętrzu wyspy, obecnie opuszczona stacja - odpowiedział technik. Wcisnął kilka kolejnych klawiszy, aby skoncentrować obraz na jednej z kondygnacji, i zobaczył coś, co wyglądało jak korytarze i różne pomieszczenia. Na pewno nie była to naturalna formacja.

- Jeżeli ma pan rację co do okrętu, musi to być rosyjska stacja - dodała Amanda, unosząc brew. - Jednostka jest zacumowana na najniższym poziomie.

Perry wskazał palcem ciemniejsze plamki, rozrzucone tu i ówdzie na ekranie.

- A to? Co to takiego?

Technik najechał na jedną z plamek kursorem i wcisnął klawisz, by ją powiększyć.

- Ciała, komandorze - wyjaśnił. - Martwe ciała. Nagle uwagę Perry'ego zwróciło jakieś mignięcie w rogu ekranu.

- Czy ktoś jeszcze to widział? Oczy Amandy rozszerzyły się.

- Przewiń taśmę.

Technik zrobił, co mu kazano, i lekko przybliżył skraj ekranu. Doszedł do rozmazanego ruchu. Zwolnił taśmę. Na najniższej kondygnacji coś zadrgało, po czym zniknęło w głębi wyspy, w miejscu, do którego nie sięgał sonar. Choć wszystko trwało jedynie ułamek sekundy, nikt nie miał wątpliwości.

- Tam na dole jest coś żywego... - szepnęła Amanda.

AKT PIERWSZY

ŚNIEŻNY LOT

◁▷°Γ ∩°Γ↵°b

1

Pokusa krwi

◁▷°b]c Γ°p°a

6 KWIETNIA, GODZINA 14.56

GÓRY BROOKSA, ALASKA

Zawsze należy szanować Matkę Naturę... zwłaszcza jeśli waży prawie dwieście kilogramów i chroni swoje dziecko.

Matthew Pike obserwował niedźwiedzicę grizzly z odległości pięćdziesięciu metrów. Potężne zwierzę odwzajemniało jego spojrzenie i poruszało lekko chrapami. Jej roczne małe potraçało nosem krzak jeżyn, choć nie był to jeszcze sezon na owoce. Niedźwiedziątko po prostu się bawiło, nieświadome obecności mającego ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu strażnika Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt, pocącego się w popołudniowym słońcu.

Pilnowane przez matkę małe nie miało się jednak czego obawiać. Jej potężny korpus, poźółkłe zęby i dziesięciocentymetrowe pazury stanowiły wystarczającą ochronę.

Wilgotna dłoń Marta spoczywała na tkwiącym w kaburze przy pasie sprayu z pieprzem. Druga ręka przesuwiała się powoli do wiszącego na ramieniu karabinu. Nie atakuj, skarbie... nie rób z tego dnia czegoś jeszcze gorszego. Miał już dziś dość kłopotów ze swoimi psami i musiał je zostawić spętane w obozie.

Niedźwiedzica położyła uszy, lekko odbiła się przednimi łapami w górę i wyprostowała. Była to gra ciałem, przyjmowanie postawy, mającej przstraszyć przeciwnika.

Matt najchętniej rzuciłby się do ucieczki, wiedział jednak, że to sprowokowałoby niedźwiedzicę do pogoni. Zaryzykował krok do tyłu, uważając, by nie nadepnąć na jakąś gałązkę. Miał na nogach stare buty ze skóry łosia, uszyte przez jego byłą żonę, która nauczyła się tej sztuki od swojego ojca, inuickiego myśliwego. Choć byli trzy lata po rozwodzie, Matt pomyślał o niej teraz z wdzięcznością. Miękkie podeszwy pozwalały mu się bezszelestnie poruszać.

Powoli kontynuował odwrót.

Zazwyczaj, kiedy spotyka się niedźwiedzica w dziczy, najlepszą obroną są hałasy: głośnie krzyki, gwizdy - wszystko, co zaniepokoi i skłoni do odejścia lubiącego samotność drapieżnika, ale w przypadku niespodziewanego natknięcia się na samicę z małym na szczycie stromego zbocza reakcja *Ursus arctos horribilis* byłaby z pewnością zupełnie odmienna: każdy gwałtowny ruch albo odgłos mogły spowodować rozpoczęcie szarży przez matkę. Rocznie na Alasce dochodzi do tysięcy spotkań ludzi z niedźwiedziami, a setki z nich kończą się tragicznie. Zaledwie przed dwoma miesiącami Matt musiał razem z kolegą strażnikiem przepłynąć kajakiem dopływ Jukonu w poszukiwaniu dwóch turystów, którzy wybrali się tratwą i nie wrócili na czas do domu - tylko po to, aby odkryć ich na wpół zjedzone ciała.

Znał się na niedźwiedziach i wiedział, po czym można rozpoznać, że w jakimś miejscu był niedawno grizzly: po świeżym nawozie, wyrwanej i odwróconej darni, podrapanych pazurami drzewach. Zawsze miał zawieszony na szyi gwizdek na niedźwiedzie, a w kaburze przy pasie nosił spray z pieprzem. Nikt z odrobiną oleju w głowie nie wyruszyłby w lasy Alaski bez karabinu, ale dziesięć lat pracy w parkach i na innych terenach tej dzikiej krainy zdążyło nauczyć Matta, że normą jest tu niespodziewane. W tym większym od Teksasu stanie do większości miejsc można było dostać się jedynie samolotem wyposażonym

w pływaki, a dzikie tereny stanów znajdujących się bardziej na południe wyglądały przy nim jak Disneylandy: były udomowione, zatłoczone, skomercjalizowane. Tutaj niepodzielnie rządziła przyroda w całym swoim surowym i brutalnym majestacie.

Matt miał oczywiście w tej chwili nadzieję, że uda mu się nie doświadczyć tej brutalności. Kontynuował ostrożny odwrót, a niedźwiedzica nie ruszała się z miejsca. W końcu mały grizzly - jeżeli ważącą siedemdziesiąt kilogramów wielką kulę futra i mięśni można nazwać „małym” - zauważył stojącego w pobliżu obcego. Podniósł się na tylne łapy i przyjrzał człowiekowi. Podrygiwał łbem i kręcił nim na boki, ale te mające wyrażać agresję gesty wyglądały komicznie. Potem zrobił właśnie to, czego Matt obawiał się najbardziej: opadł na cztery łapy i ruszył w jego kierunku - raczej dla zabawy i z ciekawości niż z jakimikolwiek agresywnymi zamiarami. Mimo to człowiekowi groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Matt nie bał się rocznego niedźwiadka - strzał pieprzem w oczy na pewno by go powstrzymał - lecz reakcja matki była czymś całkiem innym. Jeżeli niedźwiedzica go zaatakuje, pieprz nie będzie dla niej niczym więcej jak tylko przyprawą zmiękczającą mięso. Można też było zapomnieć o strzale w głowę, nawet ze sportowego marlina, którym Matt dysponował - gruba czaszka grizzly odbiłaby pocisk. Nawet strzał prosto w serce nie był dobrym rozwiązaniem - wprawdzie niedźwiedź w wyniku takiej rany po dziesięciu minutach padłby martwy, ale strzelec zamieniałby się już w tym czasie w niedźwiedzie łajno. Jedynym pewnym sposobem unieszkodliwienia grizzly jest strzał w łapy, a kiedy się przewróci - zabicie go kolejnymi strzałami.

Ale choć Matt zdawał sobie sprawę z grożącego mu niebezpieczeństwa, nie miał ochoty tego robić. Niedźwiedzie grizzly były jego osobistym totemem i symbolem tej krainy. Ponieważ ich liczba spadła już poniżej dwudziestu pięciu tysięcy, nie chciał zabić nawet jednego. W wolnym czasie wędrował po Górach Brooksa, pomagając katalogować i mapować DNA żyjącej w parku narodowym populacji budzących się z zimowego snu niedźwiedzi grizzly, wychodzących właśnie spod pokrywy śniegu. Zbierał próbki włosów, zostawione przez zwierzęta w specjalnych pułapkach, rozmieszczonych w najodleglejszych regionach parku, i układał w nich nowe śmierdzące wabiki zapachowe.

Teraz jednak nie miał wyboru: musiał zabić albo zginąć. Małe radośnie podskakiwało, z każdą chwilą zbliżając się do niego. Niedźwiedzica ostrzegawczo zawarczała, choć Matt nie umiałby powiedzieć, czy było to skierowane do niego, czy do jej potomstwa. Zaczął się

odsuwać znacznie szybciej, wmacując stopami teren z tyłu. Strząsnął karabin z ramienia i złapał go w dłoń, a drugą ręką sięgnął do kabury przy pasie po pieprzowy spray.

Kiedy walczył z zamknięciem, za jego plecami rozległo się dzikie ujadanie. Matt spojrzął przez ramię - ścieżką pędził w jego kierunku ciemny kształt, za którym powiewał gruby ogon.

Oczy Matta rozszerzyły się.

- Bane! Nie!

Pies pędził rozjuszony w górę zbocza, z jego gardzieli wydobywał się nieprzerwany warkot. Musiał zwietrzyć niedźwiedzie - i może wyczuł także strach człowieka.

- Noga! - krzyknął Matt.

Bane zahamował przy swoim panu, zapierając się przednimi łapami o śnieg i zginając tylne. Szczeknął głośno, przysiadł na zadzie i wyszczerzył zęby. Jako krzyżówka z wilkiem miał szeroką klatkę piersiową, krępa budowę i ważył ponad czterdzieści kilo. Z obroży zwisał mu kawałek przegryzionej smyczy. Matt zostawił go wraz z pozostałymi trzema psami w obozie i poszedł uzupełnić przynętę w pobliskiej pułapce do chwytania niedźwiedziich włosów. Od zapachu przynęty - mieszanki krowiej krwi, gnijących rybich wnętrzności i wydzieliny skunksa - psy dostawały szału. Matt dostał rano nauczkę, żeby ich ze sobą nie zabierać, kiedy Gregor wytarzał się w świeżo wyłożonej przynęcie. Trzeba było kilka kąpiel, aby usunąć z sierści psa smród, i Matt, nie chcąc powtórki po południu, zostawił psy w obozie. Ale Bane, przyzwyczajony do nieustannego towarzyszenia swemu panu, przegryzł smycz i podążył jego śladem.

Pies ponownie zaszczał.

Matt odwrócił się ku niedźwiedziom. Zamarły na widok psa, który nagle pojawił się znikąd. Matka uniosła pysk i węszyła. W tych górach na pewno już nieraz spotykała się z wilkami. Czy Bane mógł odstraszyć niedźwiedzie?

Mały grizzly, stojący nieco bliżej, jakieś piętnaście metrów od Matta i psa, podreptał chwilę w miejscu, po czym odrzucił łeb do tyłu i nie dbając o niebezpieczeństwo, ponownie zaczął ku nim iść. Matka nie miała teraz wyboru. Otworzyła paszczę i ryknęła, opadła na przednie łapy i ruszyła do ataku.

Matt zadziałał błyskawicznie. Wepchnął pieprzowy spray do kabury przy pasie i z bocznej kieszeni plecaka wyszarpnął słoik po dżemie, wypełniony przynętą. Odchylił się do tyłu, po czym rzucił, wykorzystując całą siłę ramienia i barku. Słoik wielkości pięści

mężczyzny pomknął do przodu z szybkością piłki, rzuconej przez miotacza Jankesów, i roztrzaskał się o pień topoli amerykańskiej, rosnącej w odległości jakichś trzydziestu metrów od Matta. Zazwyczaj przynętę odświeżało się dwoma naparstkami preparatu, co wystarczało do ściągnięcia niedźwiedzi nawet z odległości kilku kilometrów. Uwolnienie zawartości całego słoika sprawiło, że skoncentrowany smród niemal rozerwał powietrze.

Mały grizzly zamarł. Uniósł wysoko nos, zaczął węszyć i parskać. Jego łeb obrócił się w kierunku urzekającego zapachu niczym czasza radaru. Niedźwiedzica również zatrzymała się i wbiła wzrok w pomazane przynętą drzewo. Po chwili malec odwrócił się i zaczął biec w stronę zapachu. Dla głodnego misia-dziecka, dopiero co obudzonego z zimowego snu, ten odór był tysiąc razy ciekawszy od krzewów jeżyn czy pary obcych stworów. Mały niedźwiadek gnał ku swemu szczęściu. Matka nie przestała uważnie obserwować intruzów, a kiedy małe ją minęło, przysiadła na zadzie, by chronić swoje potomstwo.

Matt uznał, że to dobry moment na szybką ewakuację.

- Noga, Bane - szepnął. Nos psa był skierowany w stronę topoli, wciągał zapach przynęty. Matt złapał go za przegryziony koniec smyczy. - Nawet o tym nie myśl!

Schowali się za grań i zaczęli schodzić z boczem. Matt szedł tyłem, jednym okiem obserwując ścieżkę za plecami, a drugim - ot tak, na wypadek gdyby stara niedźwiedzica postanowiła jednak za nimi podążyć - krawędź, za którą zniknęły oba niedźwiedzie. Ale grizzly nie pojawiały się i po czterystu metrach Matt odwrócił się, po czym żwawym krokiem przemaszerował dzielące go od obozu trzy kilometry.

Rozbił obóz obok szerokiego strumienia, na którym z powodu spóźniania się wiosny było jeszcze wiele zamrzniętych miejsc. Pokazały się już jednak kwiaty, zapowiadając szybkie nadejście cieplejszych dni: wielosił błękitny, żółta wierzbówka kiprzyca, purpurowe dzikie róże i granatowe fiołki. Nawet tuż przy samym zamrzniętym strumieniu, obramowanym wierzbami i olszami czarnymi, biegł pas rozkwitającego blekotu.

Matt uwielbiał porę, kiedy Brama Arktycznego Parku Narodowego wydobywa się z zimowej hibernacji, ale jest jeszcze za wcześnie na coroczne pielgrzymki turystów i amatorów splotów tratwami. Co prawda nawet wtedy na obszarze obejmującym ponad osiem milionów akrów, czyli większym niż stany Vermont i Connecticut razem wzięte, nie było zbyt wielu ludzi. W ciągu roku jedynie niecałe trzy tysiące osób odważało się wędrować po tych dzikich terenach, teraz jednak było całkiem inaczej.

Teraz Matt miał całą okolicę dla siebie.

W obozie powitała go zwykła kakofonia skowytów i szczęknięć. Dereszowata klacz Matta - w połowie arab, w połowie American Quarter Horse - zarżała na jego widok, rzuciła łbem i kilka razy uderzyła o ziemię kopytem, wyrażając w ten sposób typową kobiecą irytację. Bane szedł przodem i po kolei trącał nosem swoich towarzyszy. Matt odwiązał pozostałe trzy psy - Gregora, Simona i Buttheada - które zaczęły biegać w kółko, węsząc i wywalając jęzory.

Bane spokojnie wrócił do swojego pana, usiadł i obserwował młodsze psy. Jego futro było niemal jednolicie czarne, tylko na szyi miał białą plamkę, a kiedy się poruszał, w ciemnej sierści błyskały srebrne włosy podszerstka.

Matt ze zmarszczonym czołem popatrzył na niego, zastanawiając się, czy go nie zbesztać, w końcu jednak pokręcił tylko głową. Jaki to miałoby sens? Bane był liderem zaprzęgu, szybko reagował na komendy i był bardzo sprawny, ale drań potrafił być uparty i zawsze stawiał na swoim.

- Wiesz, że kosztowało nas to cały słoik przynęty - mruknął Matt. - Do zrobienia następnego Carol użyje naszej krwi.

Carol Jeffries była kierowniczką grupy naukowców, prowadzących z ośrodka w Bettles program mapowania DNA niedźwiedzi. Obedrze go ze skóry za stratę słoika. Mając już tylko jeden, mógł obejść jedynie połowę zaplanowanych pułapek. Będzie musiał wcześniej wrócić, co cofnie badania Carol o cały miesiąc. Bez trudu mógł sobie wyobrazić jej wściekłość. Westchnął, zastanawiając się, czy sytuacja nie byłaby prostsza, gdyby zdecydował się wziąć za bary z dwustukilogramowym grizzly.

Poklepał Bane'a po boku i zmierzwił jego gęstą grzywę, na co pies zareagował uderzeniem ogona w śnieg. - Zajmijmy się kolacją.

Skoro dzień został już zmarnowany, przynajmniej mógł sobie na pociechę zrobić ciepły posiłek. Choć było jeszcze wcześniej, niebo zaczynało się chmurzyć, a na tej szerokości geograficznej arktyczne słońce szybko zachodzi. Przed zapadnięciem nocy mógł jeszcze spaść deszcz albo śnieg.

Jeśli więc chciał rozpalić ognisko, musiał się zaraz zabrać do pracy.

Zrzucił z siebie połataną na rękawach, spłowiałą, starą wojskową długą kurtkę z kapturem i wełnianą podpinką. W wełnianej koszuli i grubych spodniach było mu wystarczająco ciepło, zwłaszcza po długim marszu i niedawnym zastrzyku adrenaliny. Poszedł z wiadrem do strumienia i napełnił je kawałkami lodu, które poodłamywał ze skraju

tafli. Mógł po prostu nabrać wody, ale lód był znacznie czystszy. Na ogniu i tak zaraz się roztopi.

Szczęśliwy, że ma las tylko dla siebie, zaczął rutynowe przygotowania. Zbierając suche drewno, pogwizdywał pod nosem. Wokół panowała dziwna cisza - ale Matt potrzebował chwili, aby ten fakt do niego dotarł. Psy ucichły. Przestały nawet ćwierkać buszujące w pobliskich wierzbach siewki złote. Matt przestał pogwizdywać.

Wtedy i on usłyszał.

Warkot samolotu.

Nie było go słyhać, dopóki jednosilnikowa cessna nie minęła grani. Matt wstał. Jeszcze zanim ujrzał samolot, wiedział, że coś jest nie tak jak trzeba. Silnik nie wydawał jednostajnego wizgu, a jedynie astmatyczne pokasływania.

Samolot wleciał w dolinę pochylony na jedno skrzydło, potem pochylił się na drugie. Matt wyobraził sobie gorączkowo rozglądającego się w poszukiwaniu miejsca do lądowania pilota. Jak większość maszyn do latania w tym dzikim kraju, także i ta była wyposażona w pływaki, więc do lądowania wystarczyło znaleźć odpowiednio szeroką rzekę. Matt wiedział, że niczego takiego w okolicy nie ma. Wprawdzie przepływający obok jego obozu strumień uchodził do płynącej przez środek parku narodowego, szerszej rzeki Alatna, ale było to dobre sto pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Obserwował cessnę, zakreślającą nad doliną pijaną ścieżkę. Z głośnym zgrzytem silnika samolot wspiął się na tyle, że z trudem przekuśtykał nad kolejną granią. Matt jęknął. Byłby gotów przysiąc, że pływaki musnęły szczyt świerku. Po chwili stracił awionetkę z oczu.

W dalszym ciągu wpatrywał się w miejsce, gdzie zniknęła, i wyteżał słuch, próbując poznać jej dalszy los. Nie musiał długo czekać. Z sąsiedniej doliny doleciał przypominający daleki grzmot odgłos rozrywającego poszycie samolotu zderzenia.

- Niech to cholera...

Po kolejnej długiej chwili ujrzał charakterystyczne pasmo gęstego dymu, wspinającego się wężowatym ruchem w niebo koloru przybrudzonej bieli.

- A mnie się wydawało, że mam zły dzień. - Odwrócił się w kierunku obozu. - Siodłać konie, chłopaki. Kolacja będzie musiała poczekać.

Podniósł ze śniegu kurtkę i kręcąc głową, podszedł do klaczy. W każdym innym miejscu świata coś takiego byłoby rzadkim wydarzeniem, ale tu, na Alasce, mit

nieustraszonego pilota, docierającego awionetką tam, gdzie nie może dotrzeć żaden inny środek komunikacji, miał się świetnie. Sposób, w jaki ludzie wykorzystywali możliwości swoje albo swoich maszyn, narażając się na niepotrzebne ryzyko, kojarzył się z brawurą rozsadzanych testosteronem macho. W ciągu roku w alaskiej dzicy rozbija się około dwustu awionetek. Ekipy poszukiwawcze, wynajmowane do odzyskiwania samolotów, były zabukowane niemal na rok z góry i usługi tego rodzaju szybko się rozwijały. Co roku rozbijało się coraz więcej maszyn.

- Komu potrzebne jest kopanie złota, jeśli pieniądze spadają człowiekowi na głowę z nieba? - powiedział kiedyś Mattowi jeden z członków takiej ekipy.

Matt osiodłał konia. Samoloty to jedna sprawa, ale ludzie całkiem inna. Jeżeli ktoś przeżył, liczyła się każda minuta. Alaska nie była łagodna dla ludzi słabych czy rannych. Aż nazbyt dobrze przypomniało o tym Mattowi wcześniejsze spotkanie z dwustukilogramowym niedźwiedziem grizzly. Tutejszy świat kierował się zasadą: „Zjedz albo zostaniesz zjedzony”.

Ostatnim pociągnięciem rzemienia zabezpieczył uprząż i zarzucił na konia sakwę z zestawem pierwszej pomocy. Nawet nie próbował posłużyć się radiem - wyjechał z zasięgu centrali trzy dni temu.

Wsunął but w strzemień i wskoczył na konia. Psy tańczyły na skraju obozowiska. Wiedziały, że wyruszają.

- Do roboty, chłopcy, czas pobawić się w bohaterów.

SIEWIEROMORSKI KOMPLEKS WOJSKOWY MURMAŃSK, ROSJA

Wiktor Petkow stał na nabrzeżu numer 4, okutany długim brązowym płaszczem i w futrzanej czapie na głowie. Jedyne oznaki jego rangi były cztery złote gwiazdki na czerwonych epoletach oraz z przodu czapki.

Pałił kubańskie cygaro, choć właściwie trzymał je tylko w dłoni. Za jego plecami wznosił się Siewieromorski Kompleks Wojskowy, jego dom i królestwo. W otoczonym drutem kolczastym i betonowymi murami miasteczku mieściły się potężne stocznie, suche doki, urządzenia naprawcze, magazyny broni i budynki operacyjne Rosyjskiej Floty Północnej. Usytuowany na północnym wybrzeżu kompleks wychodził na Ocean Arktyczny, opierając się surowym zimom tej wrogiej dla ludzi okolicy. Wykuwano tu nie tylko potężne oceaniczne okręty, ale także jeszcze twardszych mężczyzn.

Szare jak burza oczy Petkowa ignorowały ocean, koncentrując się na trwającej na nabrzeżu krzątaninie. Okręt podwodny „Drakon” był gotów do odcięcia od nabrzeża. Odłączono już i zabezpieczono przewody zasilające okręt z brzegu w energię elektryczną.

- Admirale Petkow - powiedział młody kapitan, prężąc się na baczność. - „Drakon” jest przygotowany do rejsu.

Petkow skinął głową i popatrzył na zegarek.

- Kiedy znajdziemy się na pokładzie, będę potrzebował przed odbiciem bezpiecznej linii lądowej.

- Tak jest, admirale! Proszę za mną. Idąc nabrzeżem w kierunku trapu, Petkow obserwował maszerującego przed nim kapitana Mikowskiego. „Drakon” był pierwszym okrętem, na którym młody kapitan pływał jako dowódca. W jego ruchach czuło się przepełniającą go dumę Mikowski właśnie wrócił z dziewiczej podróży nowej jednostki klasy Akula II i miał teraz zabrać admirała Floty Północnej na akcję, której szczegóły nikomu jeszcze nie były znane. Trzydziestoletni kapitan - dwa razy młodszy od Wiktora Petkowa - maszerował nabrzeżem jak napuszony kogut.

Czy ja też byłem taki głupi? - zastanawiał się Petkow, kiedy dochodzili do trapu. Brakowało mu już tylko roku do emerytury i nie pamiętał, żeby był kiedyś tak młody i taki pewny siebie. W ostatnich dziesięcioleciach świat stał się miejscem, w którym było znacznie mniej oczywistych rzeczy.

Gdy weszli na okręt, Mikowski oznajmił przybycie admirała po czym odwrócił się do niego.

- Proszę o zgodę na odbicie od brzegu. Petkow skinął głową i pstryknięciem środkowego palca posłał niedopałek cygara do wody.

Kapitan zaczął wydawać rozkazy, przekazywane przez oficera na mostku za pomocą megafonu pracującym na nabrzeżu ludziom.

- Zluzować trap! Zebrać cumę numer jeden! Zebrać cumę numer dwa!

Dźwig podniósł trap i odsunął go na bok. Między pachołkami i cumami zaczęli śmigać marynarze.

Mikowski poprowadził admirała stalową drabinką w górę kiosku. Kiedy znaleźli się na jego szczycie, wydał ostatnie rozkazy oficerom pokładowym i poprowadził Petkowa do wnętrza okrętu.

Minęły mniej więcej dwa lata, odkąd admirał był po raz ostatni na pokładzie okrętu podwodnego, ale konstrukcję tej jednostki znał co do śrubki. Ponieważ był starym podwodniakiem, przez jego biuro przechodziły niemal wszystkie projekty. Mimo to pozwalał się prowadzić Mikowskiemu przez kipiącą aktywnością centralę dowodzenia do kajuty kapitańskiej, którą miał zająć podczas tego rejsu.

Podążały za nim spojrzenia marynarzy, choć każdy, kogo admirał na tym przyłapał, spuszczał oczy. Petkow wiedział, co sobą reprezentuje. Był jak na podwodniaka wysoki i mimo wieku szczupły i żwawy. Z biegiem lat jego włosy całkowicie posiwiały, a nosił je nietypowo - sięgały do kołnierza. Właśnie te srebrzystobiałe włosy oraz oczy barwy szarego lodu nadały mu przydomek, który niósł teraz po statku cichy szept. *Bielyj Prizrak*. Biały Duch. Dotarli do kabiny.

- Linia komunikacyjna jest aktywna, jak sobie życzyliście, admirale - oznajmił Mikowski, zatrzymawszy się przy drzwiach.

- A skrzynki z ośrodka badawczego?

- Stoją w kabynie, jak rozkazaliście. - Kapitan wskazał ręką otwarte drzwi.

Admirał zajrzał do środka.

- Znakomicie. - Ściągnął z głowy futrzaną czapę. - Jesteście wolni, kapitanie. Proszę zająć się okrętem.

- Tak jest, admirale. - Mikowski odwrócił się na pięcie i odszedł.

Petkow zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Jego osobiste rzeczy były ułożone przy łóżku w staranny stosik, a pod ścianą w głębi niedużego pomieszczenia piętrzyło się sześć skrzynek z tytanu. Podeszedł do nich i wziął do ręki leżącą na wierzchu czerwoną zaplombowaną teczkę. Sprawdził palcem, czy pieczęć nie została naruszona. Nie została. Na okładce teczki napisane było dużymi literami jedno słowo:

ГРЕНДЕЛ

Nazwa rodem z legendy. Grendel.

Spoczywająca na teczce dłoń zacisnęła się w pięść. Kod akcji pochodził ze staroangielskiej sagi pod tytułem *Beowulf*. Grendel był w niej legendarnym potworem, siejącym postrach na północnych wybrzeżach, pokonanym w końcu przez Beowulfa. Ale dla Petkova imię potwora miało głębsze znaczenie - Grendel był jego osobistym demonem, źródłem bólu, wstydu, poniżenia i żałoby. Uczynił go takim, jakim obecnie był. Pięść admirała zacisnęła się jeszcze mocniej.

Po tak długim czasie... prawie sześćdziesiąt lat... Petkow pamiętał, jak w środku nocy odprowadzano jego ojca pod broń. Miał wtedy sześć lat.

Wbił wzrok w stertę skrzynek. Potrwało dłuższą chwilę, nim mógł zacząć ponownie oddychać. Odwrócił się. W pomalowanej na zielono kajucie było tylko pojedyncze łóżko, regał na książki, biurko, umywalka oraz centralka komunikacyjna, składająca się z mikrofonu i głośnika do kontaktu z mostkiem, monitora i aparatu telefonicznego.

Podniósł słuchawkę, powiedział coś szybko i czekał, aż rozmowa zostanie przekazana, zakodowana, po czym ponownie przekazana. Mijały sekundy. W końcu usłyszał w słuchawce znajomy głos, zakłócany przez szumy i trzaski.

- Lampart.

- Status?

- Cel zlikwidowany.

- Potwierdzenie?

- W drodze.

- Znasz rozkazy.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

- Bez rannych.

Ostatnie słowa nie wymagały potwierdzenia. Admirał Petkow zakończył rozmowę i odłożył słuchawkę na widełki. Przystępowali do akcji.

GODZINA 17.16

GÓRY BROOKSA, ALASKA

Matt popędzał konia, aby szybciej się wspinał. Podejście było ciężkie, ponieważ sąsiednia dolina była położona trzysta metrów wyżej. Na ziemi w dalszym ciągu leżała dość gruba warstwa śniegu, w cieniach drzew jeszcze grubsza. Wszystkie cztery psy biegły przed Mattem, węsząc i nastawiając uszy. Zagwizdał, aby nie odbiegły zbyt daleko.

Zatrzymał się na grani i spenetrował wzrokiem dolinę. Z miejsca katastrofy wznosił się coraz cieńszy słup dymu, ale widok zmiażdżonego samolotu zasłaniał sosnowo-olszowy las. Matt wyteżył słuch, niczego jednak nie usłyszał. Był to zły znak. Zmarszczył czoło i uderzył piętami boki konia.. - No to naprzód, Mariah.

Sprowadził konia na dół, uważając na śnieg i lód. Szli wzdłuż wąskiego strumienia, płynącego przez las. Nad pasmem wody unosiła się mgła. Cisza była coraz bardziej denerwująca. Matta atakowały komary, wystawiając jego nerwy na próbę, poza bzyczeniem

owadów słycać było jedynie stąpienia klaczy - tępy chrzęst za każdym razem, kiedy kopyto przebijało się przez pokrywającą śnieg warstwę lodu.

Nawet psy zmarkotniały, podeszły bliżej swojego pana i nie tak często jak dotychczas unosiły łby, aby powęszyć.

Bane biegł pięćdziesiąt kroków przed koniem. Trzymał się w cieniu, więc prawie nie było go widać. Jako towarzysz strażnika Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt przeszedł szkolenie z zakresu poszukiwania i ratownictwa. Miał doskonały węch i zdawał się wyczuwać, dokąd jego pan podąża.

Kiedy zeszli na dno doliny, przyspieszyli. Po chwili Matt poczuł swąd płonącego oleju. Szli najkrótszą możliwą drogą, ale teren pozwolił im dotrzeć na miejsce wypadku dopiero po następnych dwudziestu minutach.

Las otwierał się na polanę. Pilot musiał próbować w nią wcelować i prawie mu się udało. Porośniętą tragankami o żółtych kwiatach leśną łąkę dokładnie przez środek przecinał długi ślad awaryjnego lądowania. Niestety, awionetce zabrakło miejsca.

Cessna 185 skywagon leżała na boku z lewej strony polany, w kłębowisku małych sosenek. Wpadła między drzewa dziobem, impet uderzenia spowodował zmiżdżenie i oderwanie skrzydeł oraz odgięcie ogona w górę. Ze zgniecionego przedziału silnikowego wydobywał się dym, powietrze wypełniał smród paliwa. Lada chwila mógł wybuchnąć pożar.

Przecinając łąkę, Matt kątem oka widział nisko wiszące ciężkie chmury. Teraz deszcz byłby bardzo pożądany. Jeszcze lepszy byłby jakikolwiek ruch we wnętrzu samolotu.

Kilka metrów przed wrakiem Matt ściągnął cugle i zsiadł na śnieg. Stał przez długą chwilę, patrząc na roztrzaskaną maszynę. Już nieraz widział trupy, nawet bardzo wiele, zwłaszcza podczas sześciu lat służby w Zielonych Beretach w Somalii i na Bliskim Wschodzie, po których odszedł, aby skorzystać z rządowego programu ułatwiającego byłym żołnierzom uzyskanie wykształć cenią. Teraz nie zatrzymały go słabe nerwy, ale śmierć tale blisko kiedyś go dotknęła, tak osobiście, że musiał się przełamać, aby podejść do wraka.

Jeżeli jednak ktoś przeżył...

Podszedł do cessny.

- Halo! - krzyknął, czując się jak głupek. Nie otrzymał odpowiedzi. Nie zdziwiło go to.

Kiedy wszedł pod złamane skrzydło, pod jego nogami zachrząściło szkło. Gdy kadłub się łamał, popękały szybki w okienkach. Spod kłapy silnika w dalszym ciągu wydobywał się duszący i kłujący w oczy dym. Między stopami Matta płynęła strużka benzyny.

Zasłonił dłonią usta i nos. Spróbował otworzyć drzwi, alej były zakleszczone i tak poskręcane, że nie było mowy o ich otwarciu. Wyciągnął szyję i wetknął głowę przez boczne okienko.

Pilot siedział na fotelu, przypięty do niego pasami, lecz kąś pod jakim wykręcona była jego szyja, oraz wystający z klatki: piersiowej kawał drewna wyraźnie informowały, że nie żyje. Fotel obok niego był pusty. Kiedy Matt zaczął odwracać głowę, aby sprawdzić tylne fotele, nagle poraził go szok. Rozpoznał pilota. Szopa czarnych włosów, rzadka broda, błękitne oczy... szkliste teraz i bez wyrazu.

- Brent... - wymamrotał.

Brent Cumming. Kiedy Matt był jeszcze z Jenny, regularnie grywali razem w pokera. Jenny była szeryfem plemion Nunamiut i Inupiat, a ponieważ jej jurysdykcji podlegały bardzo oddalone od siebie miejsca, musiała być dobrze wyszkolonym pilotem, znała więc innych pilotów pracujących w regionie, w tym także Brenta Cumminga. Spędzili kiedyś w dwie rodziny kilka dni pod namiotami, ich dzieci bawiły się razem i dokazywały. Jak on teraz powie Cheryl, żonie Brenta, o jego śmierci?

Otrząsnął się z szoku i wsadził głowę w tylne okno i choć wciąż był lekko otepiały, zaczął przepatrywać znajdujące się tam fotele. Na jednym z nich leżał człowiek - twarzą do góry, z przerzuconymi na jedną stronę rękami. Również się nie poruszał, ale kiedy Matt chciał się odwrócić, ramiona mężczyzny nagle wystrzeliły w górę. W dłoniach ścisnął pistolet.

- Nie ruszaj się!

Matt zamarł, zaskoczony nie tyle widokiem broni, ile niespodziewanym okrzykiem.

- Nie żartuję! Nie ruszaj się! - Mężczyzna usiadł. Miał bladą skórę, jego zielone oczy były wybałuszone, a blond włosy pokrywała z lewej strony zasychająca krew. Musiał uderzyć głową w obramowanie okna. Ale jego ręce nie drżały. - Będę strzelał!

- To strzelaj - spokojnie odparł Matt i oparł się o kadłub samolotu.

Taka reakcja wyraźnie zaskoczyła nieznanego, jego brwi zjechały się. Sądząc po nowiutkiej kurtce Eddie Bauer Arctic, niedawno przybył w te strony, nie należało go jednak lekceważyć. Choć właśnie się rozbił samolotem, zachował zimną krew, trzeba było mu to przyznać.

- Jeżeli odłoży pan tę raketnicę, będę mógł zastanowić się nad dokończeniem mojej misji ratunkowej - powiedział Matt.

Mężczyzna wahał się przez sekundę, po czym opuścił ręce i opadł na plecy.

- Prze... przepraszam.

- Nie ma za co. Spadł pan przed chwilą z nieba. W takich przypadkach jestem skłonny wybaczyć brak elegancji w konwersacji.

Na twarzy mężczyzny w samolocie pojawił się zmęczony uśmiech.

- Jest pan ranny? - spytał Matt.

- Dostałem mocno przez łeb i mam zakleszczone nogi. Matt uniósł się na palcach, po czym zajął głębiej do środka.

Przednia część samolotu przesunęła się w kierunku ogona, unieruchamiając prawą nogę mężczyzny między oparciem fotela drugiego pilota a siedziskiem jego własnego. To było na tyle, jeśli chodzi o jego samodzielne wydostanie się na zewnątrz.

- Pilot... - zaczął mężczyzna. - Czy...

- Nie żyje - przerwał mu Matt. - Nic już dla niego nie możemy zrobić.

Pociągnął ponownie za drzwi. Nie było możliwości, aby je otworzył przy użyciu wyłącznie własnej siły. Zdenerwowany, postukał kostkami dłoni w kadłub.

- Niech pan chwilę zaczeka. Wrócił do Mariah, złapał lejce i ponownie podszedł do samolotu, tym razem z koniem, który zdecydowanie zaprotestował, rzucając łbem na boki. Konieczność oderwania się od łąki pełnej kwitnących żółtych traganków była już wystarczającą karą - a teraz dochodziła jeszcze do tego konieczność zbliżenia się do palącego się silnika.

- Spokojnie, dziewczyno... - przemawiał do klaczy Matt. Psy nie ruszały się z miejsca. Bane co prawda usiadł i zafalował uszami, ale Matt dał mu znak, że ma się położyć.

Znalazłszy się w dostatecznej odległości, przeciągnął linkę między siodłem a ramą drzwi samolotu. Nie ufał klamce. Wrócił potem do konia i kazał mu iść. Klacz natychmiast ruszyła, szczęśliwa, że może się oddalić od śmierdzącego wraka, kiedy jednak linka się napięła, Mariah stanęła jak wryta.

Matt ponaglał ją, szarpiąc za lejce, ale klacz się opierała. Mieląc w ustach przekleństwo, zszedł ją od tyłu, złapał za ogon i pociągnął mocno w górę. Nienawidził jej tak traktować, musiał jednak jakimś sposobem zmusić ją do działania. Klacz zarżała z bólu i

spróbowała kopnąć swojego pana. Matt puścił ogon, odskoczył do tyłu i wylądował na plecach. Pokręcił głową. Nigdy nie umiał dogadywać się z kobietami.

W tym momencie pojawił się Bane. Warczał i próbował złapać konia za pęciny. Mariah mogła nie respektować poleceń Matta, ale to było coś całkiem innego. Pierwotne instynkty tkwią głęboko. Skoczyła do przodu i pociągnęła linkę.

Metal zatrzeszczał głośno. Matt przeturlał się po lodzie, a kadłub cessny zaczął się przechylać na bok. Ze środka doleciał okrzyk przerażenia, nagle jednak - z dźwiękiem przypominającym otwieranie puszki coli - powyginane drzwi oderwą się od obudowy kadłuba.

Mariah zarżała ze strachu i Matt natychmiast podszedł do niej, by ją uspokoić. Odwiązał linkę od siodła i odprowadził konia na bok, równocześnie gestem dłoni odwołując na bo Bane'a. Poklepał klacz po grzbiecie.

- Dobra dziewczyna. Zasłużyłaś wieczorem na dodatkową garść ziarna.

Wrócił do wraka. Obcy niemal wypadł z samolotu. Przesuwając się wzdłuż przedniej krawędzi siedziska, prawie całkowicie uwolnił nogę spomiędzy foteli. Kiedy ostatni raz szarpnął ciałem w bok, był wolny.

Matt pomógł mu zejść na śnieg.

- Jak noga?

Mężczyzna obmacał ją delikatnie.

- Jest cholernie posiniaczona i cała mi zdrętwiała, ale chyba nic nie jest złamane.

Matt zobaczył teraz, że nieznajomy jest młodszy, niż wydawał się na początku. Prawdopodobnie nie miał jeszcze trzydziestu lat.

Gdy odkuśtykiwali od samolotu, Matt wyciągnął rękę i przedstawił się:

- Matthew Pike.

- Craig... Craig Teague.

Kiedy odeszli na wystarczającą odległość od wraka, Matt posadził Teague'a na zwałonym pniu i odpędził psy, które podeszły go obwąchać. Popatrzył za siebie, na samolot i zabitego przyjaciela.

- Co się stało? - spytał.

Teague przez długą chwilę milczał. Kiedy się wreszcie odezwał, ledwie było go słychać.

- Nie wiem. Lecieliśmy do Deadhorse...

- W Prudhoe?

- Tak, w zatoce Prudhoe. - Mężczyzna skinął głową i ostrożnie pomacał się po uszkodzonym czerepie. Deadhorse było nazwą lotniska, obsługującego pola naftowe i statek mieszkalny w zatoce Prudhoe. Znajdowało się ono na najbardziej wysuniętym na północ skraju Alaski, gdzie pola naftowe North Slope stykały się z Oceanem Arktycznym. - Jakies dwie godziny po wylocie z Fairbanks pilot stwierdził, że coś jest nie w porządku z silnikiem. Wyglądało na to, że kończy się nam paliwo czy coś w tym stylu, co wydawało się niemożliwe, bo dopiero co tankowaliśmy w Fairbanks.

Matt przez cały czas czuł unoszący się w powietrzu odór benzyny samolotowej. Na pewno nie skończyło im się paliwo, a Brent Cumming zawsze utrzymywał silniki swoich maszyn w pierwszorzędnym stanie. Zanim został pilotem, był mechanikiem i wiedział, jak się obchodzić z trzystukonnym sercem; cessny. Mając żonę i dwójkę dzieci, musiał zawierzyć samolotowi, utrzymywał go więc w takim stanie, że chodził jak znakomicie wyregulowany rolex.

- Kiedy silnik zaczął się krztusić, próbowaliśmy znaleźć miejsce do lądowania, ale byliśmy już wtedy w tych przeklętych górach. Pilot... pilot próbował wezwać przez radio pomoc, lecz nawet radio nie chciało działać.

Matt domyślał się, o co chodziło. W minionym tygodniu były burze magnetyczne, spowodowane wybuchami na Słońcu. W północnych regionach zakłócały wszelkiego rodzaju komunikację. Spojrzał jeszcze raz na pogruchotaną maszynę. Mógł sobie jedynie wyobrazić, co czuli znajdujący się w niej ludzie podczas ostatnich chwil lotu: panikę, rozpacz, niewiarę.

Głos mężczyzny z samolotu jakby pękł. Aby móc mówić dalej, musiał przełknąć ślinę.

- Nie mieliśmy wyboru, musieliśmy lądować tutaj. Potem... wtedy...

Matt wyciągnął rękę i poklepał go po ramieniu. Dalszy ciąg był oczywisty.

- Spokojnie. Wyciągniemy pana stąd, najpierw jednak muszę rzucić okiem na pana ranę na głowie.

Podszedł do klaczy i wyjął z sakwy przy siodle zestaw pierwszej pomocy. Tak naprawdę był to pełny zestaw ratowniczo-medyczny. Matt sam go skompletował, wykorzystując doświadczenie zdobyte podczas służby w Zielonych Beretach. Oprócz zwykłych materiałów opatrunkowych zestaw zawierał małą aptekę: aspirynę, antybiotyki, leki antyhistaminowe, środki zwalczające pierwotniaki oraz tabletki przeciwbiegunkowe. Był w nim także komplet igieł i nici chirurgicznych, środki do znieczulenia miejscowego,

strzykawki, materiały usztywniające i nawet stetoskop. Matt wyjął butelkę wody utlenionej i oczyścił ranę mężczyzny.

- No więc, jakie ma pan sprawy w Prudhoe? - spytał, opatrując Craiga.

Facet nie wyglądał na robotnika zatrudnionego przy wydobywaniu ropy naftowej. U tamtych resztki ropy i brudu były wbite w załamki skóry na dłoniach niczym tatuaż, a ten człowiek nie miał na nich odcisków ani połamanych paznokci - wręcz przeciwnie, jego ręce były starannie wypielęgnowane. Matt podejrzewał, że jest inżynierem lub geologiem. Teague uważnie przyglądał się otoczeniu, koniowi Matta, jego psom, polanie i otaczającym ich górcom. Unikał jedynie spoglądania na wrak.

- Zatoka Prudhoe nie była moim ostatecznym celem. Mieliśmy tam uzupełnić paliwo i polecieć do stacji znajdującej się na czaszy lodowej. To Stacja Dryfująca Omega, stanowiąca część grupy badawczej SCICEX.

- SCICEX? - Matt posmarował ranę maścią z antybiotykiem, po czym zakrył ją gąbką zastępującą gazę.

- Scientific Ice Expeditions - wyjaśnił Teague, pojękując, kiedy Matt zakładał mu opatrunek. - To pięcioletni plan badawczy Marynarki Wojennej USA i naukowców cywilnych.

Matt skinął głową.

- Chyba coś o tym słyszałem. - Naukowcy wykorzystywali okręty podwodne marynarki do zbierania danych z ponad stu tysięcy mil morskich tras w regionie arktycznym, wkraczając na obszary, które nigdy przedtem nie były badane. Matt zmarszczył czoło. - Ale zdawało mi się, że to się skończyło w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

Jego słowa wyraźnie zaskoczyły Craiga.

- Jestem strażnikiem Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt - powiedział Matt. - I w związku z tym wiem o wszystkich większych arktycznych projektach badawczych.

Craig przez chwilę patrzył na niego uważnym, taksującym spojrzeniem. Po chwili skinął głową.

- No cóż, ma pan rację. Oficjalnie program SCICEX został zakończony, ale jedna ze stacji, Omega, wdryfowała w Strefę Względnej Izolacji.

Ziemia niczyja, pomyślał Matt. SWI była najbardziej oddaloną częścią czaszy polarnej, najtrudniej dostępną i najbardziej odizolowaną.

- Aby wykorzystać okazję i zbadać te regiony, postanowiono przekazywać wszystkie fundusze na rzecz tej jednej stacji.

- Więc jest pan naukowcem? - spytał Matt, chowając zestaw medyczny do sakwy.

Mężczyzna roześmiał się, ale nie było w tym śmiechu wesołości.

- Nie, nie jestem. Wykonywałem zlecenie dla mojej gazety, „Seattle Times”. Jestem reporterem politycznym.

- Reporterem politycznym? Nieznajomy wzruszył ramionami.

- Co miałyby szukać... - zaczął Matt, ale przerwało mu buczenie silnika samolotu. Wykręcił szyję. Niebo było pokryte nisko wiszącymi chmurami. Kiedy dźwięk się nasilił, siedzący niedaleko obu mężczyzn Bane zawarczał.

Craig wstał.

- Samolot - mruknął. - Może ktoś jednak usłyszał nasze wzywanie pomocy.

Z chmur wyleciała awionetka. Lekko opadała, ale cały czas trzymała się dość wysoko. Była to również cessna, większa wersja maszyny, którą rozbił się Brent. Ośmiomiejscowy skywagon 206, może 207.

Matt gwizdnął na Mariah, by podeszła bliżej, po czym wyjął z sakwy przy siodle lornetkę. Przyłożył ją do oczu, poszukał na niebie samolotu i wyostrzył. Maszyna wyglądała na nową albo była świeżo pomalowana. W tych okolicach była to rzadkość, bo warunki atmosferyczne nie obchodziły się z samolotami zbyt dobrze.

- Zobaczyli nas? - spytał Craig.

Samolot pochylił się na skrzydło i zaczął powoli zataczać koło nad doliną.

- Przy tym słupie dymu trudno byłoby nas nie zauważyć - odparł Matt, czując ogarniający go niepokój. Przez cały miniony tydzień nie widział ani jednego samolotu, a tu nagle aż dwa w ciągu jednego dnia... Poza tym ta maszyna była za czysta, zbyt biała.

W tym momencie otworzył się tylny luk bagażowy, bardzo przydatny do załadunku i wyładunku noszy, albo - w najgorszym wypadku - trumien. Miał także kilka innych często wykorzystywanych zastosowań.

Z przedziału bagażowego wypadła jakaś bryła i zaraz potem druga.

Spadochroniarze.

Opadali tak szybko, że Matt nie mógł ich uchwycić w polu widzenia lornetki. Ale po chwili rozwinęły się spadochronowe czasze, spowolniły opadanie ludzi i Matt rozpoznał

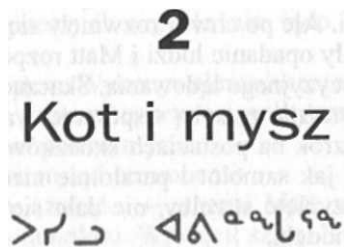
paralotnie, stosowane do precyzyjnego lądowania. Skaczący na nich ludzie zataczali łuk, wyraźnie ze sobą współpracowali.

Matt skupił wzrok na postaciach skoczków. Byli ubrani na biało i tak samo jak samolot i paralotnie nieoznakowani. Na plecach mieli przypięte strzelby, nie dało się jednak określić producenta ani modelu.

Kiedy Matt ich obserwował, rozchodził się po nim lodowaty strach. Jego krew zmroził nie widok broni, ale tego, co znajdowało się pod każdym ze spadochroniarzy. Obaj byli przypięci do siedzeń motocykli, z których opon wystawały kolce. Śnieżne pojazdy. Potężne maszyny, potrafiące pokonać niemal każdy teren i ścigać wszystko, co porusza się w górach.

Opuścił lornetkę, popatrzył na reportera i odchrząknął.

- Mam nadzieję, że umie pan jeździć na koniu.



6 KWIETNIA, GODZINA 17.36

STREFA SWI ARKTYCZNEJ CZAPY LODOWEJ STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Czy kiedyś będzie mi znów ciepło?

Komandor Perry przebijał się przez chrzęszczący pod stopami śnieg i lód w kierunku Stacji Dryfującej Omega. Wiatr wył ponuro, co pasowało do pustki w sercu komandora. Tu, na końcu świata, wiatr był żywą istotą - dał bez przerwy, drapiąc powierzchnię niczym wygłodniała bestia. Był tutaj najgroźniejszym drapieżnikiem: nie znał litości, nie dało się przed nim uciec. Stare inuickie powiedzenie mówi: „Nie zimno zabija, ale wiatr”.

Perry maszerował prosto w paszczę kłusujących podmuchów. Za jego plecami, w płoni, jezioru wody w pokrywie lodu, unosił się „Polar Sentinel”. Stację Dryfującą Omega postawiono niedaleko płoni ze względu na jej stabilność, było to więc dobre miejsce do wynurzania się przy stacji i ponownego zanurzania okrętów podwodnych marynarki. Płoń była stabilna dzięki otaczającym dziurę w lodzie wypiętrzeniom płyt lodowych, wznoszących się na dwa piętra w górę nad powierzchnię i schodzących w głąb wody na osiem pięter. Te zbite gęsto torosy chroniły płoń przed nieustannymi atakami otaczającej ją kry. Stacja

badawcza stała na stosunkowo płaskim terenie jakieś czterysta metrów dalej, lecz pokonanie ich było w panującym zimnie dość dłużącym się spacerem.

Komandor szedł z kilkoma swoimi ludźmi - pieiwszą grupą, która dostała pozwolenie na zejście na brzeg. Marynarze rozmawiali, ale Perry zakutał się w marynarską kurtkę i naciągnął obszywany futrem kaptur głęboko na oczy. Patrzył w kierunku północno-wschodnim, gdzie dwa miesiące temu, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od tego miejsca, odkryto rosyjską stację lodową. Przeszedł go dreszcz, nie był jednak związany z zimnem.

Tyle ofiar... Wyobrażał sobie ciała Rosjan, którzy zamieszkiwali kiedyś tę stację, ułożone jak sąg drewna, gdy zostały wyrąbane albo wytopione z lodowego grobowca. Trzydziestu dwóch mężczyzn, dwanaście kobiet. Wydobyć wszystkich ciał zajęło dwa tygodnie. Część tych ludzi zmarła z głodu, ale wiele innych ciał nosiło ślady znacznie gwałtowniejszego końca. W jednym z pomieszczeń znaleziono wisielca - sznur, na którym wisiał, był tak kruchy od mrozu, że rozsypał się po pierwszym dotknięciu. Nie to było jednak najgorsze...

Odsunął od siebie tę myśl.

Kiedy wszedł po wyciętych w lodzie stopniach na lodową grań, ujrzał stację. Była to maleńka wioska czerwonych chat typu Jamesway. Piętnaście czerwonych domków wyglądało na lodzie jak krwawa wysypka. Z komina każdego z nich wydobywał się dym, który zbierał się w jedną chmurę i otulał mgiełką całą stację, jakby panował tam upał. Dwadzieścia cztery dudniące generatory wprawiały w drżenie powietrze, w którym unosił się zapach benzyny i kerozyny. Na maszcie powiewała samotna amerykańska flaga, terkotliwie łopocząc przy silniejszych podmuchach.

Na terenie tej „półstalej” stacji parkowało kilka skuterów śnieżnych typu Ski-Doo oraz dwa szczelnie zamknięte traktory śnieżne typu Sno-Cat, mające służyć naukowcom i personelowi stacji. Był tu nawet bojer - poruszający się na płozach z nierdzewnej stali katamaran z żaglem.

Peny popatrzył ze szczytu wzniesienia w kierunku horyzontu. Widział wyjeżdżoną ścieżkę, odchodzącą od Omegi w kierunku starej rosyjskiej stacji. Od chwili jej odkrycia personel Omegi krążył po lodzie między obydwoma obiektami, używając każdego środka transportu, jaki akurat był pod ręką. Obecnie trzy czwarte obsady amerykańskiej stacji przeniosło się do rosyjskiej bazy i rozbiło obóz wewnątrz odwróconej o sto osiemdziesiąt stopni lodowej góry.

Komandor długo przyglądał się stacji. Widać było wyraźnie odchodzącą od niej trasę. Okolica była pokryta twardymi jak beton, wywianymi przez wiatr w śniegu formami zwanymi zastrugami - przypominają one nieco małe, poskręcane fale. Zastępca Perry'ego powiedział, że „wyglądają jak powierzchnia cytrynowej bezy”. Sno-caty i ski-doo rozgniotły jednak warstwę tej cytrynowej bezy, pozostawiając między kruchymi „falami” pas przemielonego lodu.

Perry doskonale rozumiał zainteresowanie personelu stacji rosyjskim obiektem. Byli naukowcami i cechowała ich ciekawość, ale to on znalazł się tam pierwszy - po pokonaniu prawie pięćdziesięciu kilometrów po lodzie między Omegą i nieczynną rosyjską stacją. Nikt nie wiedział, co Perry i niewielka grupka jego ludzi odkryli w sercu bazy, bo komandor natychmiast wydał swoim podwładnym rozkaz zachowania milczenia i wyznaczył uzbrojonych strażników, którzy mieli nie dopuszczać do tej części obiektu naukowców z Omegi. Tylko jeden członek stacji dryfującej wiedział o znalezisku Perry'ego: doktor Amanda Reynolds. Była z nim, kiedy wchodził do rosyjskiej stacji. Ta silna i niezależna kobieta doznała wtedy głębokiego wstrząsu.

Nie odkryto tego, co zarejestrował sonar DeepEye - istoty, której trwający ułamek sekundy ruch nagrany został na taśmie. Może był to jedynie „duch sonarowy”, czyli spowodowany przemieszczaniem się okrętu podwodnego impuls, który symulował ruch, albo uciekający właśnie ze stacji padlinożerca, na przykład niedźwiedź polarny, choć było to mało prawdopodobne - polarnicy do tej pory nie znaleźli wejścia, którego mógł użyć. Dwa miesiące temu, aby dostać się do ukrytej w lodzie stacji, musieli posłużyć się ładunkami termitowymi. Potem użyto specjalnych ładunków termicznych oraz C-4, żeby niedaleko stacji zrobić w lodzie sztuczną płoń dla „Polar Sentinela”.

Idąc w dół lodową granią, Perry żałował, że nie zatopił tej rosyjskiej bazy. Z jej odkrycia nie wyniknie nic dobrego. Był tego pewien, ale miał rozkazy do wykonania. Wzdrygnął się, kiedy wiatr dmuchnął mocniej.

Od strony grupki chat doleciał do niego okrzyk. Machała do niego jakaś postać ubrana w granatową długą kurtkę, dając znaki, aby się pospieszył. Perry zszedł z wyniesienia i ruszył w kierunku wzywającego go człowieka. Tamten, skulony z zimna, wyszedł mu naprzeciw.

- Komendancie...

Był to Erik Gustof, kanadyjski meteorolog, wysoki, potężny mężczyzna norweskiego pochodzenia o prawie białych włosach, choć teraz widać było jedynie jego oczy, osłonięte goglami w celu ochrony przed blaskiem słońca, i oszronione wąsy.

- Jest do pana telefon przez satelitę...

- Kto?

- Admirał Reynolds. - Meteorolog popatrzył w niebo. - Niech się pan pośpieszy, idzie na nas potężna burza, poza tym pracę całego sprzętu zakłóca też jeszcze ostatnia fala wybuchów na Słońcu.

Perry skinął głową i zwrócił się do idącego z nim młodszego oficera:

- Proszę puścić ludzi, do dwudziestej są wolni. Potem na brzeg zejdzie następna grupa.

Marynarze przyjęli to z entuzjazmem i zaczęli rozchodzić się w różnych kierunkach - jedni poszli do mesy stacji, inni do budynku rekreacyjnego, jeszcze inni do chat mieszkalnych. Komandor Perry ruszył za Erikiem w stronę trzech domków, w których mieściło się centrum stacji Omega.

- Doktor Reynolds prosiła, abym pana ponaglił - powiedział meteorolog. - Rozmawia teraz z ojcem. Nie wiemy, jak długo uda się utrzymać łączność.

Doszli do budynku, przez który wchodziło się do trzyczęściowego kompleksu, otrząsnęli z butów śnieg i lód i weszli do sieni. Po przeraźliwym zimnie na zewnątrz ciepło w środku boleśnie kłuło skórę. Perry ściągnął rękawice, rozpiął kurtkę i odrzucił do tyłu kaptur. Potarł czubek nosa, aby sprawdzić, czy jest na miejscu.

- Rzeško, prawda? - zauważył Erik, nie zdejmując kurtki.

- Nie zimno jest problemem, ale wilgotność - odburknął Perry i dowiesił swoją kurtkę do innych na wieszaku. W dalszym ciągu miał na sobie granatowy kombinezon z wyszytym na kieszonce na piersi nazwiskiem. Zwinął czapkę i wetknął ją za pas. Erik skierował się z powrotem do wyjścia.

- Zna pan drogę do NAVSAT, prawda? Muszę przed burzą sprawdzić kilka instrumentów.

- Dziękuję.

Erik uśmiechnął się i otworzył drzwi na zewnątrz. Wiatr jeszcze się nasilił. Do środka wpadł potężny podmuch i smagnął Perry'ego w twarz. Erik wyszedł szybko na dwór i zamknął za sobą drzwi.

Perry wzdrygnął się ponownie i potarł ręce. Kto może dobrowolnie chcieć siedzieć tu przez dwa lata?

Przeszedł przez sień i przez kolejne drzwi dostał się do głównej strefy roboczej. Znajdowały się tu zarówno biura administracyjne, jak i liczne laboratoria. Głównym celem badań był pomiar sezonowego tempa przyrostu i erozji lodu oraz określenie równowagi cieplnej Arktyki. Laboratoria mieściły i się także w innych domkach i były bardzo różne - od przygotowanego do prowadzenia wszelkich prac górniczych działu zajmującego się pobieraniem próbek dna morskiego po hydro-laboratorium, w którym badano stan żyjącego pod lodem fito i zooplanktonu. Badania prowadzono w systemie ciągłym, przez całą dobę, ponieważ nieustanny dryf przesuwanej podwodnym prądem polarnym stacji, która przemieszczała się nieco ponad trzy kilometry na dobę, pozwalał na zbieranie próbek z coraz to nowych miejsc.

Perry skinieniem głowy przywitał się ze znanymi mu w większości osobami, siedzącymi za biurkami albo pochylonymi nad ekranami monitorów, po czym przeszedł przez system hydraulicznie uszczelnianych drzwi do sąsiedniego budynku.

Ta część kompleksu została szczególnie pieczołowicie izolowana termicznie i była wyposażona w dwa awaryjne generatory. Stąd Omega kontaktowała się ze światem. Tu właśnie zainstalowane były wszystkie urządzenia radiowe i komunikacyjne stacji: nadajnik fal krótkich do porozumiewania się z pracującymi na lodzie ekipami, nadajniki VLF i ULF do komunikowania się z przydzielonymi do stacji okrętami podwodnymi oraz NAVSAT - wojskowy satelitarny system komunikacyjny. W środku była jedynie Amanda Reynolds.

Perry podszedł do niej. Popatrzyła na niego znad systemu TTY - telefonu tekstowego. Przenośna klawiatura umożliwiała jej porozumiewanie się ze światem zewnętrznym za pomocą satelity. Mówiła do mikrofonu, a odpowiedzi pojawiały się na oświetlaczu ciekłokrystalicznym.

Kiwnęła głową na powitanie, nie przerwała jednak rozmowy z ojcem.

- Wiem, tato. Wiem, że przede wszystkim nie chciałbyś, abym tu była, ale...

Ojciec musiał jej przerwać, bo przysunęła głowę bliżej ekranu, żeby przeczytać odpowiedź. Jej policzki poczerwieniały - najwyraźniej szykowała się kłótnia i wszystko wskazywało na to, że nie jest to pierwsza sprzeczka. Admirał od początku nie chciał, aby córka objęła kierownicze stanowisko w tej stacji - martwił się o nią z powodu jej

niepełnosprawności. Amanda oparła mu się jednak, zrobiła to, co chciała, podkreśliła swoją niezależność.

Perry zastanawiał się, ile z jej walki z ojcem służyło przekonaniu nie ojca, lecz siebie samej co do własnych racji. Jeszcze nigdy nie spotkał kobiety, która by z taką determinacją chciała się sprawdzić we wszystkim i na wszelkie sposoby.

A to kosztowało.

Przyjrzał się jej zmęczonym oczom i przypominającym siniaki głębokim cieniom pod nimi. W ciągu minionych dwóch miesięcy postarzała się o dziesięć lat. Zawsze tak jest, kiedy trzeba zachować tajemnicę.

Kiedy Amanda znowu zaczęła mówić, w jej głosie wyraźnie słychać było zapalczywość.

- Omówimy to później. Przyszedł komandor Perry. - Gdy przeczytała odpowiedź ojca, wstrzymała oddech i zagryzła dolną wargę. - Świetnie! - rzuciła i zerwała z głowy zestaw słuchawkowo-mikrofonowy. - Proszę.

Perry wziął słuchawki z jej drżących dłoni. Wściekłość, rozczarowanie czy jedno i drugie? Zasłonił dłonią mikrofon i zapytał:

- Admirał w dalszym ciągu trzyma wszystkie informacje zamknięte na trzy spusty?

Amanda prychnęła.

- Dodał do zabezpieczeń blokadę elektroniczną, identyfikację głosu i analizę siatkówki. Fort Knox jest słabiej chroniony.

Uśmiechnął się.

- Stara się jak może. Podległa mu biurokratyczna maszyna nie może powoli. W tak delikatnych sprawach trzeba bardzo ostrożnie korzystać z kanałów dyplomatycznych.

- Nie rozumiem dlaczego. To przecież sięga drugiej wojny światowej. Po tylu latach świat ma prawo się dowiedzieć.

- Ta sprawa czekała pięćdziesiąt lat, więc może poczekać jeszcze miesiąc. Przy obecnych napiętych stosunkach amerykańsko-rosyjskich przed ujawnieniem informacji trzeba nieco naoliwić szyny.

Amanda westchnęła, popatrzyła mu głęboko w oczy i pokręciła głową.

- Mówisz jak mój ojciec. Perry pochylił się ku niej.

- Jeśli naprawdę tak jest, pachnie to Freudem - mruknął i pocałował ją.

- Całujesz też jak on - dodała, przyciskając usta do jego ust. Wskazała na słuchawki. -
Lepiej nie każ mu czekać.

Założył słuchawki na głowę.

- Tu Perry.

- Komandorze, mam nadzieję, że dobrze pan dba o moją córkę. - Głos admirała chwilami zanikał.

- Tak jest, admirale... bardzo dobrze.

Wyciągnął rękę i czule ścisnął dłoń Amandy. Nie kryli się przed sobą ze swoimi uczuciami, które w ciągu minionych dwóch miesięcy bardzo się pogłębiły, przechodząc od sympatii do czegoś znacznie poważniejszego. Dla przyzwoitości ograniczali jednak objawy czułości do sytuacji, kiedy byli sam na sam, i nawet admirał Reynolds nie wiedział o zmianie charakteru ich związku.

- Komandorze, będę się streszczał - powiedział admirał. - Wczoraj nawiązano kontakt z ambasadorem Rosji i przekazano mu pański raport.

- Ale... sądziłem, że nie będziemy tego robić, dopóki...

- Nie mieliśmy wyboru. Do Moskwy jakimś sposobem dotarły pogłoski o odkryciu stacji lodowej.

- Rozumiem. Co to oznacza dla nas wszystkich tu, na zewnątrz?

Zapadła długa cisza. Perry pomyślał, że może łączność została przerwana przez burzę, admirał jednak w końcu się odezwał.

- Greg...

Zwrócenie się po imieniu natychmiast zaalarmowało Perry'ego.

- Greg, chcę, aby zdawał pan sobie sprawę z jednej rzeczy, jestem co prawda na Zachodnim Wybrzeżu, ale siedzę wystarczająco długo w tym biznesie, aby wiedzieć, kiedy w waszyngtońskim ulu zaczyna buceć. Coś tam się dzieje. Ludzie z NSA i CIA spotykają się w związku z tą sprawą o północy. Sekretarza marynarki wojennej ściągają z wycieczki po Bliskim Wschodzie, którą odbywał za pieniądze podatników. Wzywają cały gabinet przed końcem przerwy wielkanocnej...

- O co tu chodzi?

- To wszystko, co wiem. Wtrącił się ktoś z wysokiego szczebla, znacznie wyższego niż mój. Informacja jeszcze do mnie nie dotarła... i być może w ogóle nie dotrze. Nad tą

sprawą zbiera się polityczna burza. Waszyngton blokuje przegrody i zamyka luki. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Po kręgosłupie Perry'ego przeszedł dreszcz.

- Nie rozumiem tego. Z jakiego powodu?

- Mogę się tylko domyślać, chciałem jednak, aby pan wiedział o eskalacji napięcia. - Słowa admirała znów zostały zniekształcone przez elektronikę.

Perry zmarszczył czoło. Wyglądało to na zwykłe polityczne rozgrywki. Przyjmie do wiadomości informacje admirała, ale co więcej może zrobić?

- Komandorze, jest jeszcze coś... Dziwny szczegół, który do mnie dotarł, a właściwie został przekazany podsekretarzowi przez asystenta. Jedno słowo, wokół którego zdaje się krążyć całe to gównno.

- Jak brzmi to słowo?

- Grendel.

Perry'emu odebrało oddech.

- Może to kryptonim, może nazwa okrętu, nie wiem - kontynuował admirał. - Coś to panu mówi?

Perry zamknął oczy. GRENDEL... Odkrycia dokonano dopiero kilka godzin temu. Stalowa plakietka była pokryta lodem i szronem i łatwo ją było przeoczyć. Znajdowała się niedaleko znajdującego się na poziomie powierzchni lodu głównego wejścia do zakopanej stacji.

ЛЕДОВАЯ СТАНЦИЯ ГРЕНДЕЛ

- Greg?

Perry'emu kręciło się w głowie. Skąd Waszyngton wiedział? Tłumacz z Omegi i językoznawca z „Sentinela” spierali się o znaczenie słów na plakietce, zwłaszcza ostatniego, ale w końcu doszli do tego samego wniosku.

Była to nazwa podwodnej instalacji: STACJA LODOWA GRENDEL.

- Komandorze Perry, jest pan tam jeszcze?

- Jestem, admirale.

- Czy to coś znaczy?

- Tak, admirale, chyba tak. - Głos Perry'ego był bardzo napięty. Poza plakietką przy wejściu widział to samo napisane po rosyjsku słowo w innym miejscu, na jednych z drzwi rosyjskiej stacji... tych, przed którymi postawił uzbrojonych strażników.

ГРЕНДЕЛ

Do dzisiejszego dnia nie wiedział, co oznacza napis na tych straszliwych drzwiach.

Teraz jednak się dowiedział. Ale nie był pierwszy.

GODZINA 18.26

GÓRY BROOKSA, ALASKA

Matt szedł w górę stromego zbocza, prowadząc Mariah za lejce. Craig jechał na koniu, zgarbiony, trzymając się kurczowo jej lęku. Matt wolał nie jechać razem z nim, dopóki nie zaczną schodzić w dół - a przynajmniej dopóki nie znajdą się na płaskim terenie. Nie chciał przedwcześnie zmęczyć konia.

Biegące przed nimi psy były już niedaleko szczytu doliny.

Musieli się wydostać z tej nieprzyjaznej okolicy. Jedynie Bane zdawał się wyczuwać strach swojego pana i trzymał się blisko niego, z nastroszonym grzbietem i postawionymi uszami.

Matt spojrzął za siebie. Spadochroniarze z pewnością już wylądowali, na szczęście nie słychać było jeszcze warkotu silników motocykli. Nie widać było oznak pogoni, ale mogło to być mylące, bo wszystko zasłaniał gęsty las.

Dolinę zaczął wypełniać półmrok, słońce powoli znikало za szczytami, dodatkowo połykane przez kłęby ciemnych chmur. Był kwiecień i coraz dłuższe dni stanowiły etap przejściowy między niedawną zimową wieczną nocą a letnim wiecznym dniem.

Matt patrzył za siebie, mrużąc oczy, nie potrafił jednak ocenić, co się dzieje. Zmarszczył czoło. Może się pomylił... może siedząc w tych dzikich lasach, stał się paranoikiem?

Craig musiał zauważyć jego zaniepokojoną minę, bo zapytał:

- A może to była ekipa ratunkowa? Może uciekamy bez powodu?

Matt otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale przeszkodził mu głośny wybuch. Obaj mężczyźni wbili wzrok w dół. Z półmroku pod nimi wystrzeliła w górę kula ognia i huk eksplozji zaczął się odbijać głośnymi echem od ścian doliny.

- Samolot... - wymamrotał Craig.

- Zniszczyli go. - Oczy Marta rozszerzyły się. Wyobraził sobie rozrywane na strzępy ciało Brenta Cumminga.

- Dlaczego?

Matt zastanawiał się przez chwilę. Przychodził mu do głowy tylko jeden powód.

- Jeżeli dokonano sabotażu, z pewnością uznali, że trzeba zniszczyć dowody... a to obejmuje także świadków. - Nie mieli czasu zacierać swoich tropów i Matt zdawał sobie sprawę z tego, jak wyraźne były odchodzące od miejsca katastrofy samolotu ślady kopyt, nóg i psich łap.

Zza lasu w dole doleciał nowy odgłos, przypominający wizg piły taśmowej. Z rykiem ożył silnik motocykla, gwałtownie zawarczał, po czym warkot przeszedł w basowe dudnienie. Po chwili dołączył do niego drugi silnik.

Bane, niczym echo, również wydał z głębi gardła basowy warkot.

Matt wpatrywał się w słaby blask znikającego za górskimi szczytami słońca. Chmury w dalszym ciągu wisiały bardzo nisko. W ciągu nocy pewnie nieźle posypie śnieg. Wiedziała że ich prześladowcy też zdają sobie z tego sprawę, a to oznaczało, że będą próbowali dogonić ich przed zachodem słońca.

- Co teraz powinniśmy zrobić? - spytał Craig.

W odpowiedzi Matt pociągnął za lejce i ruszył, by jak najszybciej dotrzeć do grani. Musiał coś wymyślić, aby opóźnia pościg... przynajmniej do czasu, aż zacznie padać śnieg.

- Możemy się gdzieś schować? - Głos Craiga drżał. Kiedy Mariah przechodziła przez stertę kamieni, jeszcze bardziej pochylił się w siodle.

Matt nie odpowiedział. Myślał tylko o jednym: jak przeżyć do zapadnięcia zmroku. Znajdowali się w bardzo niekorzystnym położeniu. Było ich dwóch i mieli jednego konia, a każdy z goniących ich ludzi dysponował przystosowanym do jazdy po śniegu motocyklem. Szanse nie były równe. Warkot silników motocykli stał się wyraźnie słyszalny - pogoń się rozpoczęła.

Podciągnął Mariah do grani. Na szczycie dmuchnął w nich gwałtowny mroźny wiatr z południowego zachodu, obiecujący lód i mokry śnieg. Matt bez wahania ruszył po przeciwległej stronie grani w dół, w kierunku miejsca, gdzie rozłożył obóz. Ponieważ nie było tam gdzie się ukryć, szukał w pamięci innych możliwości. Znał kilka jaskiń, były jednak zbyt odległe poza tym nie zapewniłyby im pełnego bezpieczeństwa. Musiał wymyślić coś innego. Popatrzył na Craiga.

- Byłby pan w stanie jechać sam? Odpowiedziało mu słabe kiwnięcie głową, ale w oczach dziennikarza widać było strach.

Matt wyciągnął zza siodła karabin i wsunął do kieszeń pudełko naboju.

- Co pan zamierza? - spytał Craig.

- Nie ma się czym martwić. Chcę jedynie użyć pana jako przynęty. - Pochylił się do psa. - Bane!

Pies postawił uszy i popatrzył uważnie na swojego pana. Matt wskazał dłonią w dół zbocza.

- Bane... do obozu! - polecił ostro.

Pies odwrócił się błyskawicznie i ruszył we wskazanym kierunku. Pozostałe psy pobiegły za nim. Matt klepnął Mariah w zad, by ruszyła za psami, i przez kilka kroków biegł obok.

- Niech pan się trzyma za psami. Doprowadzą pana do mojego obozu. Proszę się jak najlepiej ukryć. Przy stercie drewna jest siekiera... tak na wszelki wypadek.

Craig zbladł, ale skinął głową i ruszył.

Matt zatrzymał się i przez chwilę obserwował, jak koń z człowiekiem i psy schodzą w dół porośniętym drzewami i pełnym głazów zboczem. Wkrótce zniknęli w gęstym lesie.

Matt odwrócił się i wspiał z powrotem ku grani, aż znalazł się mniej więcej dwadzieścia metrów od krawędzi. Z pasa ziemi, rozdeptanego kopytami konia, skoczył na granitowy występ, a stamtąd na kolejny gład. Kiedy oddalił się dostatecznie od trasy przejścia konia, ukrył się za pniem sosny, w cieniu gałęzi. Miał stamtąd doskonały widok na grani. Jeżeli ścigający pojedą tropem, który zostawili z Craigiem, będzie ich w chwili wjazdu na dzielącą dwa zbocza krawędź doskonale widać pod światło.

Ukląkł na jednym kolanie i owinał wokół dłoni pasek karabinu. Przyłożył kolbę z drewna orzecha do ramienia i patrząc wzdłuż lufy, wycelował w stronę grani. Był przekonany, że z tak niewielkiej odległości uda mu się zdjąć jednego z prześladowców, ale czy da radę unieszkodliwić dwóch?

Dolatujący zza grani warkot silników był coraz głośniejszy, przywoływał na myśl ścigającą zwierzynę parę oszalałych drapieżników.

Matt wyraźnie słyszał w uszach pulsowanie krwi i przypomniała mu się całkiem inna sytuacja, sprzed dziesięciu lat i z innego życia, kiedy to utknął w ruinach rozwalonego przez moździerz budynku w Somalii. Wszędzie wokół rozlegała się kanonada broni palnej, a gogle noktowizyjne zredukowały świat do zielonych plam i linii. Ale to nie walka doprowadzała większość ludzi do wariacji - najgorsze było czekanie.

Wciągając powoli powietrze przez usta, Matt zmusił się do rozluźnienia mięśni. Musiał być spokojny i gotów do szybkiego działania. Napięcie może bardziej przeszkodzić w

trafieniu niż brak umiejętności strzeleckich. Wypuścił powietrze i skupił się na sobie. Nie znajdował się w Somalii. To były jego lasy. Ostry zapach zgniecionych sosnowych igieł pod kolanem pomógł mu wyostrzyć uwagę, przypominał, gdzie się znajduje. Znał te góry lepiej niż ktokolwiek inny.

Zza krawędzi głośniejsze odezwały się motocyklowe silniki, wypełniając świat warknięciami i kaszlem. Matt słyszał pęknięcie gałązek, miażdżonych przez najeżone kołkami opony. Blisko... Przesunął palec z osłony na spust i mocniej przycisnął karabin do ciała, przytulił się do drewnianej kolby policzkiem.

Czekanie zdawało się trwać wieczność. Mimo zimna po prawej skroni Matta spływała strużka potu. Musiał się pilnować, aby nie zmrzyć jednego oka. Zawsze strzelaj, mając otwarte oboje oczy. Wpoił mu to ojciec podczas polowań w Alabamie, potem to samo powtarzał sierżant w obozie szkoleniowym. Matt powoli oddychał przez nos i koncentrował się.

Ruszcie się...

Jakby go posłuchano, zza krawędzi wystrzelił na pełnej prędkości motocykl, całkowicie zaskakując Matta. Zamiast podjechać ostrożnie do końca wzniesienia, pierwszy motocyklista odkręcił gaz do końca i przefrunął wysoko nad granią, odrywając się kilka metrów od ziemi.

Matt przekręcił biodro, pociągając lufę za motocyklem. Nacisnął spust, karabin wystrzelił i po ułamku sekundy rozległo się PING! uderzającego o metal pocisku.

Lecący w powietrzu motocykl zarzucił tyłem - pocisk trafił go w tylny błotnik. Maszyna ukośnie wylądowała na śniegu, po czym odbiła się w górę i zaczęła koziołkować. Wyrzucony z siodełka kierowca potoczył się w dół zbocza, w gęsty las.

- Cholera... - zaklął Matt.

Powrócił do obserwacji grani. Nie miał pojęcia, czy pierwszy motocyklista jest cały, ranny czy martwy, nie mógł jednak teraz się nim zająć - lada chwila mógł nadjechać drugi prześladowca. Zarepetował karabin, wyrzucając łuskę i wprowadzając do komory kolejny nabój. Żałował, że nie ma M-1 z czasów służby w Zielonych Beretach.

Jeszcze raz wycelował w linię grani.

Po strzale z karabinu i hałaśliwym upadku pierwszego motocykla był lekko ogłuszony. Wszędzie odbijało się echo pomników silnika drugiego motocykla. Nagle uwagę

Matta zwrócił jakiś ruch z boku. Odwrócił się na tyle szybko, aby zobaczyć, jak drugi motocykl wystrzeliwuje ponad krawędź kawałek niżej od miejsca, gdzie zrobił to pierwszy.

Natychmiast wycelował, bardziej rozpaczliwie niż fachowo, i strzelił. Tym razem nie usłyszał odgłosu trafianego metalu. Motocykl wylądował gładko, siedzący na nim człowiek pochylił się nisko nad kierownicą i po chwili zniknął za skalnym występem.

Matt opadł za pień i ponownie zarepetował, wyrzucając łuskę i wsuwając do komory kolejny nabój. To nie byli amatorzy. Przewidzieli zasadzkę: pierwszy motocykl przeskoczył grań z szaleńczą prędkością, odwracając jego uwagę, a drugi pokonał przeszkodę w innym miejscu.

TRZASK!

Tuż nad głową Matta rozprysnęła się gałązka, obsypując go drzazgami. Matt opadł plecami na ziemię i przycisnął karabin do piersi. Strzał z karabinu... z kierunku, gdzie zniknął pierwszy motocyklista. A więc drań żył.

Matt pozostał na miejscu, z trudem pokonując panikę. Tamten nie mógł go dobrze widzieć - inaczej już by nie żył. Strzał miał jedynie wykurzyć zwierzynę z ukrycia. Snajper musiał go namierzyć, kiedy Matt strzelał do drugiego motocyklisty.

- Cholera jasna...

Był teraz uwięziony między dwoma napastnikami: jeden ukrywał się po lewej stronie, między drzewami, drugi - na motocyklu - między głazami.

Przez chwilę nasłuchiwał, oddychając płytko przez zaciśnięte zęby. Warkot drugiego motocykla ścichł do monotonnego pomruku. Co się dzieje? Czekają, aż wyjdzie? A może drugi motocyklista zostawił swój pojazd z pracującym silnikiem i podkrada się do niego?

Nie mógł ryzykować. Musi uciekać.

Zaklął pod nosem i zaczął ześlizgiwać się na plecach w dół zbocza. Ułatwiała mu to gruba warstwa sosnowych igieł. Nie unosząc głowy, sunął po śliskim igliwiu i po chwili dotarł do wyżłobionej w podłożu przez topniejący śnieg rynny. Nie była głębsza od rynsztoka, ale mimo to szybko wślizgnął się w dający jaką taką ochronę strumyk. Woda natychmiast przemoczyła jego wełniane spodnie, lecz dzięki połatanej wojskowej kurtce reszta ciała pozostała sucha.

Leżał i nasłuchiwał. Silnik drugiego motocykla w dalszym ciągu groźnie terkotał, poza tym niczego nie było słychać. Prześladowcy nie ujawniali się. Wojsko albo najemnicy - I nie wiadomo, kim byli, oczywiste było jednak, że są fachowcami i pracują zespołowo.

Oznaczało to, że dziennikarzowi nie grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo - napastnicy nie pozostawią sobie za plecami uzbrojonego przeciwnika. Zanim ruszą dalej, będą chcieli wyeliminować pierwszą przeszkodę.

Matt rozpatrywał różne możliwości. Nie było ich zbyt wiele. Mógł uciec i zostawić Craiga ścigającym. Podejrzał, że bardziej zależy im na uciszeniu dziennikarza niż jego i nie miał wątpliwości, że sam bez trudu umknąłby przed nimi, niej była to jednak dobra opcja.

Musiał zatroszczyć się o psy.

Pełził dalej wypłukanym kanałem. Zimno pomagało stłumić strach. Nie ma nic lepszego na rozjaśnienie umysłu jak wsadzenie tyłka w lodowatą wodę.

Przesuwał się najciszej jak umiał.

Trzydzieści metrów dalej strumyk docierał do skalnej półki i woda spadała jakieś dwa metry w dół. Matt przekręcił się najbrzuch i stopami do przodu zaczął się zsuwać. Robił to bardzo powoli, starając się przy tym chronić karabin przed wodą i mułem.

To był błąd.

Kiedy spadał z krawędzi skały, jego karabin został trafiony pociskiem, który wyrwał mu go ze zdrętwiałych z zimna dłoni. W głupiej próbie chronienia broni przed zamoczeniem uniósł ją zbyt wysoko, zdradzając w ten sposób swoją pozycję. Zwalił się ciężko na dół, prosto do jeziora roztopionego śniegu,! Szarpnięta impetem pocisku dłoń bolała.

Szybko poszukał wzrokiem karabinu. Leżał na brzegu jeziora. Czarna orzechowa kolba była oderwana. Natychmiast podbiegł i podniósł broń. Sam karabin okazał się nieuszkodzony - zniszczeniu uległa tylko kolba. Ruszył wzdłuż krótkiej pionowej skalnej ściany. Nawet nie starał się ukrywać. Przechodził przez krzaki, pod jego stopami trzaskały łamane gałązki.. Za skałą, wzdłuż której biegł, teren się obniżał i był pełen kamieni oraz gruzu skalnego - kiedyś, w prehistorii, musiał tędy przechodzić lodowiec. Zbocze było plątaniną wąskich wąwozów, głazów i przepaści.

Nie słyszał za sobą odgłosów pogoni, wiedział jednak, że prześladowcy się zbliżają, biegną w dół do skraju urwiska, z bronią przy ramieniu, gotową do strzału.

Pędził jak spinany ostrogami koń, trzymając się blisko skalnej ściany. Im bardziej słońce zachodziło za szczyty, a chmury się obniżały, tym bardziej gęstniały cienie. Matt nie mógł się doczekać zapadnięcia nocy. Dotarł do poranej żlebami przestrzeni i schował się za głazem.

Zaryzykował spojrzenie za siebie. Głębokie cienie pomagały jego prześladowcom. Cała okolica była spowita atramentową mgiełką. Przepatrzył skraj urwiska, niczego jednak nie dostrzegł. Odwrócił się i omal tego nie przegapił: w jednym z cieni przesunął się nieco ciemniejszy cień. Matt położył się płasko na ziemi. Ktoś schodził w dół, na wpół ukryty za występem skalnym. Zanim Matt zdążył podnieść pozbawiony kolby karabin, postać zniknęła w ciemnościach u podstawy pionowej skalnej ściany.

Matt próbował ustawić karabin najlepiej jak się dało bez opierania go o bark. Trzymał broń na wyciągniętej ręce, ale lufa drżała - nie mógł ufać swojej celności.

Nagle w górze zбочa z rykiem ożył silnik motocykla. Zawarczał, zawył i ucichł.

Matt nadstawił ucha. Usłyszał, że znajdujący się za skałą napastnik odchodzi w jego lewą stronę, zamierzając go zająć od tyłu. Drugi zabójca zniknął. Mógł być wszędzie. Matt wiedział, że nie wolno mu tu zostać.

Rozejrzał się po najbliższej okolicy. Rosło tu jedynie kilka drzew, poza tym teren był pokryty krzakami, kępami trawy i płatami reniferowych porostów. Przez środek zбочa, tworząc kilka wodospadów, płynął spory strumień. Im bardziej dzień zmieniał się w półmrok, tym gęstsza mgła unosiła się znad wody.

Pochylając się nisko, Matt pobiegł w kierunku strumienia. Musiał zgubić znajdującego się bezpośrednio za nim myśliwego. Przeskakiwał przeszkody i wspinał się po skałach. Ponieważ miał mokre i zabłocone po poprzednich wizytach w wodzie buty, pozostawiał na trasie swojej ucieczki wyraźne ślady.

W końcu dotarł do strumienia. Woda była tak zimna, że ledwo powstrzymał głośne westchnienie. Sięgała mu tylko do kolan, ale prąd mocno szarpał za nogi. Kamieniste dno było bardzo śliskie. Walcząc o utrzymanie równowagi, Matt wspinał się w górę koryta, z powrotem w kierunku zбочa, z którego przed chwilą uciekł. Przykucnięty, parł przez wodę, starając się robić jak najmniej hałasu.

Wsluchiwał się w odgłosy pogoni, ale znowu gdzieś niedaleko zaczął ryczeć silnik motocykla, a usłyszenie czegokolwiek innego utrudniał bulgot wody.

Po dziesięciu metrach Matt dotarł do katarakty - wodospadu utworzonego przez półtorametrowy uskok skalny. Pomodlił się o odrobinę szczęścia, na drętwiejących z zimna nogach podszedł do spadającej z góry kaskady wody i wsadził w nią rękę. W wielu tego rodzaju wodospadach za płaszczyzną wody były w skale małe zagłębienia, powstałe w wyniku wypłukania granitowej ściany przez opadającą wodę.

Pomachał palcami.

Ta katarakta nie była wyjątkiem.

Odwrócił się i wsunął tyłem w wodę. Zimna zasłona objęła go, odbierając na chwilę oddech, zaraz jednak dotknął plecami skały. Lekko przykucnął i rozstawił szerzej nogi dla łatwiejszego utrzymania równowagi. Spadająca z góry woda zasłaniała go jak kurtyna. Była wystarczająco przejrzysta, aby mógł obserwować przez nią otaczający go świat, wszystko było jednak bardzo zamazane.

Przycisnął karabin do piersi i czekał. Ponieważ przestał się poruszać, zrobiło mu się bardzo zimno. Jego zęby szczękały głośno i całe ciało zaczynało boleć. Jeżeli pozostanie w tej pozycji i w tym miejscu przez dłuższy czas, wkrótce niebezpiecznie się wyziębi. Miał nadzieję, że jego prześladowcy nie każą mu długo czekać.

Kiedy trząśnięcie z zimna, przypomniał sobie inny dzień, inną lodowatą wodę. Tamtego dnia było mu nawet jeszcze zimniej i bardziej mokro. Trzy lata temu, pod koniec zimy, niezwykle ciepłe jak na tę porę roku dni wyciągnęły wszystkich na Alasce z domów. Matt i jego rodzina również pojechali na wycieczkę. Chcieli przez kilka dni pomieszkać w namiotach, połowić ryby i pochodzić po zaśnieżonych górach. A potem ta jedna chwila nieuwagi...

Mimo złości, jaką czuł w tej chwili, zamknął oczy, próbując opanować nagłe ukłucie bólu.

Rozbił wtedy lód za pomocą siekiery. Szukał i szukał w lodowatej rzece, o mało nie utonął z powodu wychłodzenia, ale ciało jego ośmioletniego syna znaleziono dopiero dwa dni później, daleko w dole rzeki.

Tyler... przepraszam...

Zmusił się do otwarcia oczu. Nie czas teraz na opłakiwanie chłopca, powiedział sobie, lecz lodowata woda budziła wspomnienia. Było to silniejsze od niego. Ciało pamiętało zimno i lodowatą wodę. Zakodowane w każdym włóknie ciała wspomnienia uwalniały się wbrew woli Matta. Ktoś, kto nie stracił syna albo córki, nie był w stanie sobie wyobrazić, jak bardzo może boleć pamięć minionych wydarzeń: rozdzierająco, do szpiku kości.

Tyler...

Jakiś ruch przywrócił mu poczucie rzeczywistości. Z prawej strony, między leżącymi na brzegu strumienia głazami, przesuwiał się cień. Kiedy go zobaczył, nogi zaczęły mu drżeć

znanym od dawna strachem, a po całym ciele zaczęła rozchodzić się straszliwa desperacja, która czyni człowieka nieustraszonym.

Zabójca podążał za mulistymi tropami Matta, nie ryzykował jednak i pozostawał w cieniu. Strzelbę zarzucił na ramię, ale w dłoni trzymał pistolet. Zdjął też biały, kamuflujący kombinezon i miał teraz na sobie ciemny mundur i czarną czapkę, co znacznie ułatwiało mu działanie.

Matt uniósł karabin i wysunął lufę przez wodną kurtynę wodospadu. Nie celował w skradającą się postać. Przy tak zniszczonej broni nie było sensu ryzykować strzału między oferujące mnóstwo kryjówek skały. Celował w mokry brzeg, w miejsce, gdzie kilka minut temu zszedł do wody. Było oddalone o niecałe dziesięć metrów, odkryte.

Zlewający się z tłem prześladowca docierał już do wybranego przez Matta miejsca, powoli wychodził pomiędzy skał. Poruszał się nisko pochylony, obserwując przeciwnego brzeg. Nie było tam mokrych śladów, więc skierował wzrok w dół strumienia. Matt był pewny, że zastanawia się, czy tak jak poprzednio, w mniejszym strumieniu, zwierzyna uciekła w dół nurtu. Zabójca nieco się wyprostował, aby sprawdzić, w którym kierunku płynie woda. Był wysoki, zbudowany jak futbolista.

Matt położył palec na spuście i użył całej siły przedramienia oraz barku do ustabilizowania broni. Chyba jakiś wewnętrzny głos ostrzegł mężczyznę, bo odwrócił w jego stronę bladą, zaskoczoną twarz. Zobaczył skierowaną w siebie lufę w momencie, gdy Matt pociągnął za spust.

Huk wystrzału w maleńkiej przestrzeni był ogłuszający. Szarpnięcie niemal wyrwało Mattowi karabin z rąk. Coś śmignęło mu z wizgiem koło ucha, ale zignorował to. Koncentrował się jedynie na celu.

Mężczyzna poleciał do tyłu jak pchnięty w pierś. Pistolet wypadł mu z dłoni, szeroko rozpostarł ramiona na boki. Uderzył plecami o granitowy występ i usiadł ciężko.

Jeszcze zanim dotknął pośladkami podłoża, Matt wyskoczył ze swojej kryjówki. Szarpnął za dźwignię do repetowania, aby wyrzucić łuskę z komory, ale broń była zakleszczona. Nie pomogło ponowne, jeszcze silniejsze pociągnięcie. Uszkodzenie broni musiało być poważniejsze, niż początkowo sądził. Miał szczęście, że karabin nie wypalił mu w twarz.

Pobiegł w dół strumienia, do postrzelonego przeciwnika. Choć prawie powalony, mężczyzna próbował ściągnąć z ramienia strzelbę. Był to wyścig o czas, o każdy ułamek

sekundy, ale prąd strumienia wspomagał teraz Matta, który niemal przefrunął dziesięć metrów i wyskoczył z wody.

Spóźnił się jednak.

Lufa strzelby tamtego była skierowana w jego pierś.

Lecąc w powietrzu, szarpnął ciałem w bok i zamachnął się zniszczonym karabinem jak pałką. Gdy mężczyzna strzelił, Matt poczuł, jak metal uderza o metal. Jego ramię smagnął piekący ból.

Krzyknął i w tym momencie wpadł na przeciwnika. Miał wrażenie, jakby skoczył na ceglany mur. Jego prześladowca miał nad nim przynajmniej piętnaście kilo przewagi. Na szczęście impet uderzenia wytrącił mu strzelbę z rąk. Broń z klekotem pomknęła po skale i wpadła do strumienia.

Matt odtoczył się na bok i zamachnął się nogą w kierunku twarzy mężczyzny, ale tamten się uchylił. Postrzał w pierś najwyraźniej niewiele mu zaszkodził. Nie było nawet widać krwi.

Kevlarowa kamizelka, pomyślał Matt.

Zabójca przykucnął w odległości ramienia, jego twarz była wściekłą maską. Dłubał palcem w dziurze na piersi munduru.

Mimo wszystko boli jak cholera, prawda, palancie?

Błysnął metal i w drugiej dłoni mężczyzny pojawił się sztylet. Był to nóż bojowy Armii Szwajcarskiej.

Matt uniósł karabin niczym miecz. Jego ramię płonęło, ale nie zważał na ból. Stał bokiem, aby przeciwnik miał jak najmniejszą powierzchnię do uderzenia.

Mężczyzna uśmiechnął się dziko, w jego oczach płonęła żądza krwi. Miał idealnie równe i białe zęby. Niezależnie od tego, dla kogo pracował, w jego firmie była świetna opieka stomatologiczna.

Nagle bez ostrzeżenia zanurkował na Matta, trzymając nisko sztylet, fachowo, profesjonalnie. Drugą rękę uniósł, aby sparować karabin Matta.

Matt tanecznym krokiem odskoczył do tyłu. Wolną dłonią wyszarpnął z kabury przy pasie spray z pieprzem i odsunął kciukiem pokrywkę, po czym odwrócił się i puścił piekący strumień. Ponieważ urządzenie było przeznaczone do odstraszenia niedźwiedzi, miało zasięg sześciu metrów.

Strumień pieprzu trafił napastnika prosto w twarz.

Efekt był taki, jakby wystrzelono w niego z niewielkiej odległości kulę armatnią.

Zabójca padł na kolana i odrzucił głowę do tyłu, zapominając o szytych. Na chwilę znieruchomiał, a potem z jego gardła wydobyło się nieludzkie wycie - kiedy pieprz dotarł do celu, mężczyzna musiał właśnie brać wdech, więc poparzyło mu gardło i krtań. Zaczął gwałtownie drapać twarz paznokciami, pozostawiając na policzkach czerwone ślady.

Matt stał i czekał. Spray na niedźwiedzie był dziesięć razy silniejszy od używanego przez policję i oprócz pieprzu zawierał gaz łzawiący. W końcu miał powalać nie zwyczajnych złodziei, ale niedźwiedzie grizzly. Powieki mężczyzny natychmiast pokryły się pęcherzami. Oślepiiony, rzucał się wściekle na boki, niczym wciągnięty na pokład rybackiej łodzi marlin. Jego ruchy nie były jednak przypadkowe - próbował dotrzeć do lodowatego strumienia. Ale ciało nie wytrzymało bólu i po chwili upadł, rozpryskując po skałach wymiociny. Znieruchomiał kilka metrów przed wodą, zwinięty w kłębek, pojękując cicho.

Matt podszedł do niego spokojnie i zabrał mu szyty. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie poderżnąć nieznajomemu gardła, nie miał jednak nastroju na dobre uczynki. Jego przeciwnik nie stanowił już bezpośredniego zagrożenia. Było bardzo prawdopodobne, że umrze od poparzeń spowodowanych sprayem, jeśli jednak przeżyje, będzie niepełnosprawny i oszpecony na całe życie. Matt nie czuł wyrzutów sumienia, wciąż miał przed oczami swojego przyjaciela, Brenta Cumminga, który w chwili katastrofy samolotu skrzył sobie kark.

Wolał zająć się własną raną. Trudno zresztą było to nazwać raną, bo pocisk ze strzelby tamtego jedynie drasnął go w ramię.

Dolatujący z oddali warkot silnika ucichł. Czyżby motocyklista usłyszał jęki swojego towarzysza? Wiedział, że to jego partner, czy może myślał, że krzyczała ich ofiara?

Matt wzrokiem poszukał w strumieniu broni unieszkodliwionego napastnika, ale woda musiała ją ponieść dalej. Nie może dłużej zwlekać. Było pewne, że drugi prześladowca wkrótce zacznie szukać swego kolegi. W tym momencie Matt nie powinien znajdować się w pobliżu. Musi dostać się do obozu, zabrać psy, konia i dziennikarza - i wyruszyć do jedyne bezpiecznego miejsca, jakie znał w okolicy. Zaproszony czy nie, mile widziany czy nie - będą musieli go przyjąć.

Motocykl znów zawarczał. Aby zrealizować swój plan, Matt musiał rozwiązać jeszcze jeden problem. Ruszył z boczem, oddalając się od drugiego prześladowcy. Jego obóz znajdował się nieco ponad trzy kilometry stąd, ale przynajmniej leżał po tej stronie

kamienistego terenu. Odnalezienie partnera zajmie motocykliście trochę czasu, a potem musi objechać cały ten niebezpieczny rejon. Zanim wyruszy w pogoń, Matt będzie już daleko.

Wszedł w gęsty las i szybkim krokiem poszedł w kierunku obozu. Mokre ubranie ciążyło mu jak worek cementu, ale po niewielu minutach wysiłek rozgrzał go i zapobiegł wyziębieniu. Kiedy dotrze do obozu, będzie się mógł przebrać w suche rzeczy.

Zaczął padać śnieg. Płatki były grube i ciężkie, zapowiadały bardziej obfity opad. Po niecałych dziesięciu minutach ta obietnica zaczęła się spełniać - śnieg przysłonił drzewa i ograniczył widoczność do kilku metrów. Matt na szczęście dobrze znał tutejsze lasy. Wkrótce dotarł do obramowanej lodem rzeki na dnie doliny i podążył wzdłuż niej. Po chwili znalazł ślady konia.

Jako pierwszy przywitał go Bane. Kiedy Matt pokonywał ostatnie metry zbocza, pies niemal go zbodczkował.

- Tak, ja też się cieszę, że cię widzę. - Matt poklepał psa po pysku i wszedł do obozu.

Mariah gryzła zieleniejące trawy. Przybiegły pozostałe psy, nie było jednak śladu dziennikarza.

Po chwili zobaczył go wychodzącego zza krzaka. Craig trzymał w rękach siekiere. Każda zmarszczka na jego twarzy wyrażała ulgę.

- Nie... nie wiedziałem, co się stało... Słyszałem strzały... krzyk...

- To nie ja krzychałem. - Matt podszedł i zabrał mu siekiere. - Ale jeszcze nie jesteśmy w domu.

Przez cały czas słychać było wycie silnika motocykla. Matt wbił wzrok w zaśnieżone drzewa. Nie, zdecydowanie jeszcze nie byli w domu.

- Co robimy? - Craig również słuchał warkotu motocykla, który wyraźnie się nasilił.

Oczy dziennikarza powędrowały w kierunku zniszczonego karabinu.

Matt zapomniał już, że go trzyma.

- Zniszczony... - mruknął.

Wszedł do obozu i zaczął grzebać w zapasach, szybko wybierając potrzebne do ucieczki rzeczy. Będą musieli podróżować nocą.

- Ma pan jeszcze jakąś broń? - spytał Craig. - Myśli pan, że uda nam się uciec przed motocyklem na koniu?

Matt pokręcił głową, odpowiadając na oba pytania.

- Więc co zrobimy?

W końcu Matt znalazł to, czego szukał, i wrzucił do swojej torby. Przynajmniej to nie było zniszczone.

- Co z drugim motocyklem? - W głosie Craiga pobrzmiwała panika.

- Proszę się nie martwić. - Matt wyprostował się. - Jest takie alaskie powiedzenie...

- Jak brzmi?

- Tu, na północy, przeżywają tylko najsilniejsi... ale czasami nawet oni giną.

Jego słowa nie pocieszyły dziennikarza.

GODZINA 22.48

Stiepan Jurgen miał na głowie gogle noktowizyjne, pozwalające mu widzieć w nocy przy wyłączonym reflektorze motocykla, niestety, burza śnieżna zredukowała widoczność do dziesięciu metrów. Śnieg padał gęsto, otulając jadącego zieloną mgłą.

Jurgen pewnie prowadził motocykl, wgryzający się w krętą ścieżkę. Choć śnieg ograniczał widoczność, można było bez trudu podążać za celem. Ślady uciekinierów wyraźnie odcisnęły się w białym puchu. Jurgen doliczył się czterech psów i jednego konia. Obaj mężczyźni jechali na koniu, jeden z nich od czasu do czasu zeskakiwał i przeprowadzał wierzchowca przez trudniejsze miejsca, po czym znów na niego siadał.

Jurgen uważnie przyglądał się śladom, sprawdzając, czy ścigani się nie rozdzielili, ale od głównego tropu ani razu nie oderwały się pojedyncze ślady.

Świetnie... Chciał, żeby pozostawali razem.

Rysy jego osłoniętej zmrożonymi goglami twarzy wykrzywił grymas wściekłości. Michaił był jego młodszym bratem. Godzinę temu znalazł go przy strumieniu, prawie nieprzytomnego, z twarzą zamienioną w krwawą maskę. Nie miał jednak wyboru, musiał wykonać rozkazy, które otrzymał. Naciśnięcie spustu omal nie rozerwało mu serca, ale przynajmniej zakończyło cierpienia Michaiła.

Kiedy już było po wszystkim, posmarował sobie krwią brata czoło. Od tej chwili nie była to już tylko misja „znajdź i zniszcz”, lecz także osobista wendeta. Wróci do domu z uszami i nosem Amerykanina. Przekaze je ojcu we Władywostoku. Za Michaiła... za to, co zrobiono jego młodszemu bratu. Przysiągł to na jego krew.

Jakiś czas temu w okularze lunetki karabinu mignęła mu postać głównego celu: był to wysoki jasnowłosy mężczyzna o ogorzalej twarzy. Okazał się bardzo sprawny, ale z drugiej strony Michaił był najmłodszym członkiem oddziału specjalnego Lampart, młodszym od Stiepana o dziesięć lat i nie miał zbyt dużego doświadczenia. Był niczym lwiatko wobec

dorosłego lwa. Ale Stiepan, ostrzeżony, nie popełni błędu niedoceny przeciwnika. Aby pomścić krew brata, złapie Amerykanina i porznie go żywcem. Jego krzyki doleczą do samej Mateczki Rosji.

Kiedy przedzierał się przez zarośnięty drzewami wąwóz, pozostawiane przez cel ślady zrobiły się wyraźniejsze. Jego rysy stwardniały. Odległość między nimi coraz bardziej się zmniejszała. Przypuszczał, że pozostało mu do ściganych nie więcej niż sto metrów. Będąc doświadczonym tropicielem, szkolonym w zimowych górach Afganistanu, wiedział, jak oceniać trop.

Pokonał następny zakręt i wrzucił luz. Zsiadł z motocykla i ruchem ramienia poprawił karabin na plecach. Sięgnął po broń zamocowaną z boku pojazdu. Nadszedł czas na prawdziwe polowanie. Urodzony na syberyjskim wybrzeżu, znał zimno, śnieg i lód i wiedział, jak ścigać ofiarę podczas burzy.

Od tego miejsca pójdzie na piechotę... najpierw jednak musi przestraszyć ofiary, zmusić je do odruchowego działania. Tak jak dzikie zwierzęta, spanikowani ludzie popełniają pomyłki.

Podciągnął noktowizor na czoło i uniósł ciężką broń, po czym odczytał w wizjerze wskaźniki odległości i wyniesienia.

Zadowolony, pociągnął za spust.

GODZINA 23.02

Choć Craig mocno przyciskał się do mężczyzny siedzącego przed nim, cały dygotał. Próbował wchłonąć w siebie każdą drobinę ciepła, jaka przepływała między nimi. Szerokie plecy strażnika Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt osłaniały go przynajmniej przed najgorszymi podmuchami wiatru.

- Nie rozumiem tego - mówił Matt. - To wszystko musi mieć jakiś powód. Chodzi o pański artykuł czy o coś innego?

- Nie mam pojęcia - odparł po raz dziesiąty Craig przez szalik, którym obwiązał sobie dolną część twarzy. Nie miał ochoty rozmawiać o tym, co się działo. Chciał jedynie zachować resztkę ciepła. Niech cholera weźmie to zlecenie...

- Jeśli ma to jakiś związek z panem, po co zadają sobie tyle trudu, aby odsunąć pana od artykułu?

- Nie wiem. W Seattle zajmowałem się wyborami na radnych i zbierałem dla AP lokalne opinie dotyczące waszyngtońskich spraw. Zlecono mi tę sprawę, ponieważ naczelnicy

miał do mnie żal. Kiedyś spotykałem się z jego bratanicą. Miała dwadzieścia lat, na Boga! Nie dwanaście!

- Reporter polityczny... - mruknął w zamyśleniu Matt. - Dlaczego naukowa stacja badawcza miałaby wzywać reportera politycznego?

Craig westchnął. Ten facet nie zamierzał się poddać. Aby zakończyć dyskusję, zdecydował się uchylić rąbka tajemnicy.

- Pewien oceanograf ze stacji dryfującej ma kuzyna, który pracuje u nas w redakcji, i przysłał mu telegram, informując o jakimś bardzo ważnym odkryciu. Coś w związku z odnalezieniem przez naukowców ze stacji porzuconej bazy lodowej. W każdym razie to, co znaleźli, wywołało wielkie podniecenie, ale znajdujący się na miejscu ludzie z marynarki założyli na całą sprawę knebel.

- Knebel? A ten oceanograf mimo to przekazał, co chciał? Craig skinął głową.

- Zostałem wysłany, aby sprawdzić, czy rzeczywiście jest w tym coś mogącego wywołać ogólnokrajowe zainteresowanie.

Matt westchnął.

- Najwyraźniej czyjeś zainteresowanie wywołało. Craig pokręcił głową, ale nic nie odpowiedział. Warkot motocykla dobiegający zza ich pleców odpłynął. Może udało im się odskoczyć od prześladowcy. A może zawrócił i zrezygnował?

Matt spojrzał za siebie, ściągnął lejce i koń zwolnił.

Bez warkotu motocykla las jakby jeszcze bardziej ucichł i pociemniał. Topniejący śnieg płynął między drzewami, cicho szemrząc. Matt zatrzymał konia, stanął w strzemionach i ze ściągniętymi brwiami wpatrywał się w miejsce, z którego przybyli.

Nagle ciszę przeszył świdrujący gwizd.

- Co to ma... - zaczął Craig, odwracając się.

Matt sięgnął za siebie, złapał go za ramiona i wyszarpnął z siodła. Padli obaj na śnieg, huknęli o ziemię, tracąc dech.

Dziennikarz rozkasłał się i zaczął łapczywie chwytać powietrze. Co to miało, do cholery...

Matt wcisnął mu twarz w śnieg, przykrywając go swoim ciałem.

- Leż! - warknął.

Zimową idyllę rozerwała eksplozja. Kilka metrów dalej w powietrze wystrzeliły fontanny śniegu, błota i poszarpanych gałęzi. Wybuch zerwał z okolicznych drzew liście i igły.

Klacz stanęła dęba i zarżała przerażona, wywracając oczy. Matt stał już na nogach i chwycił lejce. Wszędzie wokół szczekały i piszczwały psy.

Craig zaczął siadać, ale Matt złapał go szybko za kurtkę i jednym szarpnięciem postawił na nogi.

- Do góry! - popędził go, popychając w kierunku konia.

- Co to...

- Granat... drań ma granatnik!

Kiedy Craigowi ucichło dzwonięcie w uszach, zmusił umysł do przyswojenia sobie tej informacji. Wspiął się na siodło. Góry znowu ucichły, zamilkł nawet silnik motocykla.

- Idzie za nami pieszo - wyjaśnił Matt. - Nie mamy zbyt dużo czasu.

Gwizdnął na psy, które rozbiegły się podczas wybuchu. Wróciły wszystkie, ale jeden kulał. Matt pochylił się nad nim. Craig zniecierpliwiał się.

- Człowieku... zostaw tego psa...

Matt spiorunował go spojrzeniem i ponownie zajął się malamutem. Przeciągnął dłonią po uszkodzonej kończynie.

- To tylko skręcenie, Simon - szepnął z ulgą psu do ucha i poklepał go po łbie.

Złapał lejce konia i zaczął odchodzić w bok od ścieżki przemarszu jeleni, którą dotychczas podążali.

- Dokąd idziemy? - spytał Craig, rozglądając się na wszystkie strony. Jego uszy czekały na kolejny charakterystyczny wizg lecącego granatu.

- Skurwiel próbuje nas przestraszyć. Jeśli chodzi o Craiga, doskonale mu się to udało.

Przebijali się teraz przez znacznie gęstszy las i głębszy śnieg. Craig raz za razem musiał się schylać, by przejść pod gałęziami, i strząsał na siebie sterty śniegu. Poruszali się powoli, zbyt wolno, ale Matt najwyraźniej był zdecydowany utrzymać dotychczasowe tempo.

- Dokąd idziemy? - spytał ponownie Craig, otrzepując ramiona.

- Sprawdzić, czy dwoje moich dawnych przyjaciół nadal mieszka w okolicy.

GODZINA 23.28

Stiepan kucnął przy śladach. Znow ubrany na biało, w białym kapturze i rękawicach, doskonale zlewał się z tłem, lecz cały świat wokół niego był zielony, ponieważ oglądał tropy

przez gogle noktowizyjne. Cele odbiły w lewo, tak jak się spodziewał, najwyraźniej przestraszone eksplozją granatu na ścieżce.

Kiedy ruszył w dalszą pogoń, jego kroki były ciche i płynne. Na wzgórzach wokół rodzinnego miasta nieraz polował na wilki. Wiedział, jak poruszać się cicho po lesie, jak wykorzystywać wszystkie dostępne osłony. W połączeniu z tym, czego nauczone go podczas szkolenia w oddziale specjalnym, dysponował wiedzą i umiejętnościami, czyniącymi z niego niezwykle dobrze wyszkolonego skrytobójcę.

Jego celom nie groził wybuch kolejnego granatu - ciężki sprzęt zostawił przy motocyklu. Karabin mu wystarczy... razem z nożem myśliwskim, którym zamierzał obedrzeć ze skóry Amerykanina, sprawcę śmierci brata. Szedł nowym tropem, sprawdzając co chwila, czy dwójka uciekinierów się nie rozdzieliła. Ale ślady kopyt, psich łap i stóp kierowały się ciągle w tę samą stronę.

Przed zostawieniem motocykla połączył się przez radio z dowództwem i zdał sprawozdanie. Burza była zbyt gwałtowna, aby można było przysłać wsparcie, Stiepan zapewnił jednak porucznika, że posiłki nie będą konieczne. Przed wybiciem północy sytuacja zostanie opanowana. Koordynaty jego ewakuacji jutro rano mogły pozostać bez zmian.

Szedł dalej, wypatrując możliwych pułapek. Granat jednak najwyraźniej osiągnął zamierzony cel: zmusił przeciwników do pospiesznej ucieczki.

Czterysta metrów dalej dotarł do miejsca, gdzie zgnieciona była spora powierzchnia śniegu. Wyglądało to tak, jakby koń poślizgnął się na lodzie. Stiepan miał nadzieję, że w chwili upadku pękło kilka kości.

Szybko rozejrzał się po okolicy, ale nadal odchodziła stąd tylko jedna linia tropów. Były znacznie świeższe, mokry śnieg jeszcze ich nie zmroził. Znajdował się nie więcej niż pięć minut marszu za celami. Amerykanin przez cały czas prowadził konia.

Stiepan wyprostował się - do jego nozdrzy dotarł ostry odór. Gdzieś w pobliżu musiało zginąć jakieś zwierzę. Zanim noc się skończy, padlinożercy będą mieli znacznie więcej pożywienia.

Uznał, że jest wystarczająco blisko celu, aby użyć podczerwieni, sięgnął więc do gogli i przełożył znajdującą się z boku dźwigenkę. Przełączył je w ten sposób z pracy w trybie nocnym, w którym aparatura wzmacniała docierające do okularów z zewnątrz światło, na podczerwień, pozwalającą rejestrować emisję ciepła. Zielone duchy zniknęły i świat zrobił się ciemny. Stiepan rozejrzał się w poszukiwaniu źródeł ciepła. Przy dobrej pogodzie zasięg

aparatury wynosił sto metrów. Ponieważ jednak śnieg wszystko wychładzał, zmniejszył się do pięćdziesięciu metrów. Po chwili Stiepan dostrzegł niewyraźną czerwonawą plamkę na ciemnym tle. Znajdowała się na końcu zasięgu urządzenia.

Uśmiechnął się pod nosem i przełączył gogle z powrotem na widzenie nocne, by znów widzieć otoczenie i móc kontynuować pościg. Wiedząc, gdzie jest jego cel, postanowił wrócić na ścieżkę wydeptaną przez uciekających. Pochłonięty ponownym odnajdywaniem tropów, nie zauważył rozciągniętej w poprzek cienkiej nici, poczuł jednak nacisk na nogawce i usłyszał trzask pękającej po pociągnięciu gałązki.

Zanurkował w bok za wał śniegu, oczekując wybuchu albo aktywacji miny-pułapki. Spojrzał za siebie, ale w goglach ujrzał tylko zielone mignięcie na tle zieleni, kiedy z pobliskiej gałęzi coś spadło i uderzyło w leżący pod drzewem głaz.

Zakrył twarz, zsunął z głowy gogle, zrobił krok w bok i przykucnął.

Coś plasnęło o jego nogi.

Popatrzył w dół. Krew... czerwona plama wyraźnie odcinała się od białych nogawek. Serce załomotało mu w gardle, ale nie poczuł szarpnięcia bólu. Uspokoił się. To nie była jego krew.

W tym momencie poczuł paskudny odór. W Afganistanie pełził kiedyś przez tunel wykopany przez rebeliantów i natknął się na stos ciał żołnierzy, zabitych najwyraźniej przez bombę gwoździową. Krew, powyrywane wnętrzności, muchy, robaki, letni upał... wszystko jątrzyło się i fermentowało przez tydzień. Ten smród był jednak jeszcze gorszy.

Zebrało mu się na wymioty i spróbował odpełznąć, ale odór przykleił się do niego, gonił go, unosił się wokół niego i nabrzmiwał. Poczuł w ustach smak żółci. Zakaszłał i opróżnił żołądek.

Był jednak zahartowanym żołnierzem. Wytarł nogawkę śniegiem i wstał z trudem. Oczy mu łzawiły, lecz świat z powrotem stał się czarny i biały, pełen cieni i śniegu.

Zataczając się, poszedł dalej tropem. Jeśli tym pojebom się wydawało, że bomba smrodowa wyłączy go z walki, szybko się dowiedzą, jak bardzo się pomylili. Był przeszkolony w wytrzymywaniu ataku gazem łzawiącym i znacznie gorszymi środkami. Plując, wspinał się po ścieżce. Ponownie założył gogle, przełączył je znów na pracę w podczerwieni i zaczął rozglądać się za celem. Z początku miał w polu widzenia jedynie ciemność. Zaklął i przełknął żółć. Mogli go opóźnić, ale prowadząca w kierunku szczytów ścieżka wciąż była dobrze widoczna. Wkrótce ich dogoni.

Sięgnął do gogli i nagle na ciemnym tle zmaterializowała się czerwona plamka. Emisja ciepła była jednoznaczna i wyraźna. Wiatr musiał na tyle rozwiać śnieg, że urządzenie zwiększyło zasięg działania. Uśmiechnął się szeroko. A więc nie byli tak daleko... Ruszył.

Plamka oznaczająca źródło ciepła poruszała się bardzo szybko... za szybko. Stiepan zatrzymał się. Różowawy poblask narastał, był już znacznie większy niż pojedynczy mężczyzna. Wracali na koniu? Sądził, że uda im się go pokonać po tym prymitywnym ataku bronią chemiczną?

Zmrużył oczy. Jeśli tak, to mocno się zdziwił. Niedocenianie rosyjskiego komandosa było poważną pomyłką. Odwrócił się i zauważył zbliżającą się do niego od lewej drugą czerwoną plamkę. Kiedy pojawiły się trzecia i czwarta, zaczął się obracać, by się im przyjrzeć.

Co to miało, do cholery...

Kucnął w chmurze paskudnego smrodu, który zdawał się unosić wszędzie. Kształty robiły się coraz większe. Czerwone plamy były ogromne, większe od koni. Po chwili zmaterializowała się piąta plama, potem szósta. Nadchodziły zewsząd.

Nagle zrozumiał, z czym ma do czynienia.

Z niedźwiedziami... sądząc po wielkości, były to grizzly.

Wyłączył podczerwień i przeszedł na nocne widzenie. Śnieg zgęstniał, las spowijała zielona mgła. Nie było śladu zbliżających się potworów. Wrócił do podczerwieni. Był jeszcze bliżej, tuż przy nim...

Zwabiono je... smrodem...

Z jego gardła wydobył się jęk.

Zaczął szybko przełączać między podczerwienią a nocnym widzeniem. W końcu podniósł karabin i wycelował w jedną z pędzących na niego czerwonych plam. Trzask gałęzi i miażdżonego śniegu odbijał się głośnym echem. Nacisnął spust.

Wystrzał zatrzymał pozostałe zwierzęta, ale trafiony grizzly wydał z siebie potężny ryk - był to mrozący krew w żyłach, pierwotny odgłos - i nic sobie nie robiąc z postrzału, jeszcze przyspieszył. Inne niedźwiedzie natychmiast odpowiedziały na zew i cała grupa rzuciła się na człowieka.

Stiepan strzelał raz za razem, nie był jednak w stanie zatrzymać potworów. Paliły go płuca, serce waliło mu w gardle. Zerwał z głowy gogle i kucnął z wysoko uniesionym karabinem.

Ryk niedźwiedzi wypełniał mu całą głowę, zagłuszał rozsądek i przytomne myślenie. Stiepan okręcał się wokół własnej osi, otoczony ciemnością i śniegiem.

Gdzie... gdzie... gdzie...

Ciemne kształty zdawały się wypływać spod śniegu - potężne stwory rodem z nocnych koszmarów, poruszające się z niesamowitą zręcznością i prędkością. Zatrzymały się nad człowiekiem - nie były rozwścieczone, realizowały po prostu odwieczny schemat spotkania drapieżnika i ofiary.

GODZINA 23.54

Matt stał obok Mariah i słuchał odbijających się wokół echem wrzasków ich prześladowcy. Nie trwały długo, po chwili zamilkły jak nożem uciął. Odwrócił się i podprowadził konia do ostatniego wzniesienia. Mogli już zacząć schodzić. Rano chciał być jak najdalej od tej okolicy, zniknąć głęboko w gęstszym, starszym lesie na niższych zboczach Gór Brookska. Do celu mieli jeszcze dwa dni podróży - było to jedyne miejsce w promieniu ponad stu pięćdziesięciu kilometrów, w którym znajdował się nadajnik satelitarny.

Craig siedział na koniu - był blady i lekko dygotał. Odezwał się dopiero wtedy, gdy minęli grań.

- Grizzly... skąd pan wiedział, że są w okolicy?

- Zanim się spotkaliśmy, rozbiłem w okolicy butelkę przynęty z krwi - odparł Matt bezbarwnym głosem, patrząc przed siebie, na węszące psy. - W tej chwili powinno tu krążyć sporo niedźwiedzi.

- I... i pan nas tak po prostu tędy przeprowadził? Matt wzruszył ramionami.

- Śnieg, noc... jeżeli nie będziemy ich niepokoić, najprawdopodobniej zostawią nas w spokoju.

- A butelka, którą powiesił pan na drzewie?

Matt nauczył się w wojsku, jak szybko zastawiać proste pułapki.

- Następna porcja przynęty. Pomyślałem sobie, że świeży zapach ściągnie niedźwiedzie, które są najbliżej, i to na jakiś czas zajmie naszego przyjaciela z granatnikiem.

Ze smutkiem pokręcił głową. Nie martwił go los ich prześladowcy - żał mu było rannych zwierząt.

Szli dalej. Matt maszerował obok konia, po raz tysięczny zadając sobie pytanie, kim są ścigający ich ludzie i dlaczego ich zaatakowali. Gdyby miał czas lub możliwość, chętnie przesłuchałby jednego albo drugiego. Z pewnością byli to profesjonaliści z doświadczeniem

wojskowym. Ciekawe jednak, czy są członkami jakiegoś oddziału, czy wynajętymi najemnikami?

Wyjął sztylet, który zabrał pierwszemu z napastników. Obejrzał go, przyświecając sobie małą latarką. Na broni nie było żadnych znaków, nie było sygnatury producenta, niczym się też nie wyróżniała. Podejrzał, że gdyby obejrzał karabiny i pistolety obu mężczyzn, wyglądałyby tak samo. Już choćby to wskazywało, że nie są to pierwsi lepsi najemnicy. Tego rodzaju ludzie nie przejmują się oznakowaniami broni, której używają.

Matt wiedział, kto się tym przejmuje.

Członkowie „czarnych” oddziałów specjalnych - działający poza jakimikolwiek granicami legalności.

Craig wspominał o wydaniu przez marynarkę rozkazu zachowania milczenia na temat stacji. Czy to możliwe, aby ci mężczyźni działali w imieniu rządu amerykańskiego? Po ośmiu latach służby w elitarnych Zielonych Beretach Matt wiedział, że czasem w imię bezpieczeństwa narodowego trzeba podejmować trudne decyzje i być gotowym do poświęceń.

Mimo to trudno mu było w coś takiego uwierzyć. Ale jeśli to nie Amerykanie, to kto?

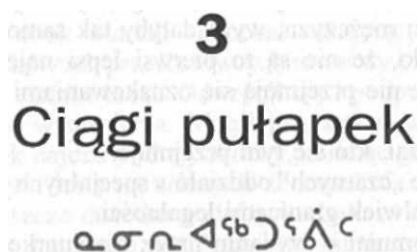
- Dokąd teraz idziemy? - spytał Craig.

Matt westchnął, odsunął niemiłe myśli na bok i popatrzył na zaśnieżony las.

- Do jeszcze bardziej niebezpiecznego miejsca.

- To znaczy?

- Do chaty mojej byłej żony...



5 KWIETNIA, GODZINA 10.02

BRAMA ARKTYCZNEGO PARKU NARODOWEGO

Jennifer Aratuk z pałką w ręku stała nad pułapką. Rosomak wbijał w nią wzrok i ostrzegawczo syczał, unosząc tylną część ciała. Bronił swojej zdobyczy. Martwa kuna - zwierzę wielkości kota - leżała w zastawionych przez ojca Jennifer sidłach, czarne futro odcinało się ostro od bieli podłoża. Śnieg nieco ją nasypał, ale wilczyca, która dotarła do

pułapki wcześniej, wykopała truchło. Rosomak - samiec - nie zamierzał rezygnować z zamrożonego łupu.

- Wynocha! - krzyknęła Jennifer i machnęła olszową pałką.

Zwierzę o białym, maskującym kolorze futra zawarczało skoczyło ku jej nodze, zaraz jednak się cofnęło. W języku rosomaków ten komunikat oznaczał mniej więcej: „Pieprz się!”. Rosomaki znane są z tego, że kiedy chodzi o jedzenie, potrafią się opierać nawet wilkom. Mają szponiaste pazury i ostre zęby, osadzone w potężnych szczękach.

Jenny zastanawiała się, czy nie walnąć zwierzaka pałką. Porządny cios w czaszkę albo by go przegonił, albo oszołomił na tyle, że mogłaby zdążyć zabrać kunę. Ojciec zbierał futra i wymieniał je na foczy olej i inne miejscowe towary. Ostatnie iwa dni Jenny spędziła na sprawdzaniu ustawionego przez niego ciągu pułapek. Oznaczało to odnajdywanie kolejnych wnyków, zabieranie tego, co w nie wpadło, oraz ustawianie wnyków na nowo i zakładanie w nich przynęt. Nie było to jej ulubione zajęcie, ale reumatyzm ojca znacznie się posunął w ciągu ostatniego roku i bała się puszczać go do lasu samego.

- W porządku, junior - powiedziała, dając za wygraną. - Chyba byłeś pierwszy.

Pałką zdjęła drut wnyków z gałęzi topoli, co uwolniło kunę z pułapki, po czym pchnęła truchło.

Rosomak zawarczał i capnął martwy łup zębami, zagłębił je w zamrożone ciało. Szybko zaczął się wycofywać ze zdobyczą w kierunku jakiejś sobie tylko znanej kryjówki.

Jenny popatrzyła za nim i pokręciła głową. Nie zamierzała opowiadać o tym incydencie ojcu, bo straciła okazję zdobycia równocześnie futra kuny i rosomaka. Nie byłby zadowolony. Ale przecież nie była traperem, tylko szeryfem hrabstwa. Powinien się cieszyć, że spędziła tydzień ze swojego dwutygodniowego urlopu, pomagając mu przy tych jego cholernych pułapkach.

Zaczęła wracać do sań, poruszając się z trudem na śnieżnych rakietach. Nocna wyprawa od sideł do sideł nie była rekreacyjną wycieczką. W ciągu ostatnich trzech dni burza śnieżna pokryła tereny parku ponadpółmetrową warstwą śniegu, co było dla Jenny doskonałą okazją do przegonienia psów ostatni raz przez wielkimi wiosennymi roztopami. Lubiła wędrować po tych odludziach - sama, tylko z psami. Była jeszcze zbyt wczesna pora roku, aby spodziewać się jakichkolwiek turystów, wędrowców albo biwakowiczów. Miała tę część parku narodowego wyłącznie dla siebie. Jej rodzinna chata znajdowała się na obrzeżach parku, w dolinie. Ojciec, czystej krwi Inuita, miał pozwolenie na „konieczne dla przeżycia”

polowanie i stawianie sidła w określonych miejscach parku, zagwarantowane mu przez Ustawę o Zachowaniu Przyrody w Narodowym Interesie Alaski z 1980 roku. Stąd nocna wyprawa Jennifer z psami.

Kiedy do nich wróciła, powitało ją zwykle szczekanie i popiskiwanie. Rozpięła rakiety śnieżne i zrzuciła je z nóg, po czym podniosła i zamocowała na saniach. Pod plandeką miała śpiwór, komplet suchej odzieży, siekierkę, latarnię, środek przeciwko komarom, plastikowy pojemnik z suchą kanna dla psów, zwilgotniałe pudełko batonów, paczkę chipsów o smaku wołowiny i niewielką butelkę wody sodowej. Odpięła kaburę ze służbowym rewolwerem, owinęła jej paski wokół uchwytu sań i przymocowała ją przy siekierze w skórzanej pochwie.

Następnie ściągnęła grube, wełniane, jednopalczaste rękawice. Pod spodem miała cieńsze, pozwalające na precyzyjniejsze ruchy rękawiczki z goreteksu.

- No dobra, chłopcy i dziewczęta, ruszamy!

Na tę komendę psy, które jeszcze polegiwały na śniegu, wstały i zaczęły machać ogonami. Wszystkie były cały czas przywiązane do linki prowadzącej, więc Jenny musiała tylko mocniej pozaciągać rzemienie. Robiąc to, klepała każdego z psów: Mutleya, Jeffa, George'a i Gracie, Holmesa, Watsona, Cagneya i Lacey. Wszystkie były albo przybłądami, albo zwierzętami uratowanymi z różnych katastrof - kolorową zbieraniną mieszańców labradora, malamuta i owczarka. Miała jeszcze kilka psów w domu i mogła skompletować pełną szesnastkę, z którą rok temu zaliczyła wyścig Iditarod z Anchorage do Nome. Nie weszła nawet do pierwszej połówki zespołów, ale spędzone z psami chwile były tak wspaniałe, że uznała samo uczestnictwo za zwycięstwo.

Kiedy stwierdziła, że wszystko jest gotowe, szarpnęła lejce.

- *Mush!*

Psy ruszyły, wściekle szczekając, zaczęły jednak spokojnym tempem. Jenny szła za saniami, tylko od czasu do czasu sterując. Pułapka z rosomakiem-złodziejem była ostatnią, jaką miała do sprawdzenia. Zrobiła objazd całej linii - od pierwszej do ostatniej i z powrotem. Z tego miejsca było do chaty jakieś cztery i pół kilometra dość łatwej drogi. Miała nadzieję, że ojciec nie zapomniał postawić rano na piecu dzbanka z kawą.

Poprowadziła psy ścieżką o łagodnych zakolach, biegnącą skąpo porośniętym drzewami zboczem. Na górze zatrzymała zaprzęg i zapatrzyła się w otwierającą się przed nią przestrzeń. Aż po horyzont widać było grań za granią. Pokryte płatami śniegu sosny błyszcząły w świetle słońca jak szmaragdy, a grupki olch i czarnych topoli amerykańskich

malowały krajobraz subtelniejszymi odcieniami zieleni i żółci. W oddali widać było przełamującą się przez katarakty srebrną wstęgę rzeki, roztańczoną kolorowymi błyskami.

Jennifer wciągnęła głęboko przepelnione zapachem cedrów powietrze. Okolica urzekała swoim pięknem - ale było to zimne, surowe piękno, które nie wszystkim odpowiadało. Słońce, rzadko pokazujące się w ciągu minionych dwóch dni, teraz świeciło jasno, przyjemnie ogrzewając twarz. Na tle chmur krążył samotny jastrząb. Przez chwilę śledziła jego lot.

Był to kraj jej przodków, bez względu jednak na to, ile czasu tu spędzała, przeszłość nie przemawiała do niej... przestała przemawiać. Przypominało to utratę zmysłu, którego istnienia człowiek się nie domyślał, ale była to najmniejsza ze strat, jakie ją spotkały.

Skoncentrowała się ponownie na psach, opuszczając śnieżne gogle na oczy, aby przestał je kłuć słoneczny blask, stanęła na płozach i szarpnęła za lejce.

- *Eyah!*

Psy skoczyły do przodu i pomknęły w dół długiego zbocza. Jenny jechała, stojąc na płozach. Zdawało się, że sanie lecą nad śniegiem. Ostry podmuch wiatru szarpnął kaptur futrzanej kurtki Jenny i ściągnął go jej z głowy. Sięgnęła ręką, by go założyć z powrotem, ale stwierdziła, że zimny wiatr, owiewający policzki i mierzwiący włosy, sprawia jej przyjemność. Potrząsnęła głową, rozluźniając włosy, które pofrunęły za nią niczym hebanowa wstęga.

Zdjęła nogę z hamulca i pozwoliła zaprzęgowi na długi sprint. Wiatr zamienił się w ciągły gwizd i drzewa po bokach się rozmazały. Poprowadziła zaprzęg łagodnym zakrętem, biegnącym wzdłuż szerokiego strumienia. Przez zdającą się trwać wiecznie chwilę miała poczucie doskonałej harmonii z psami, stałą i jesionowym drewnem sań, z całym otaczającym ją światem.

Z rozmarzenia wytrącił ją trzask karabinowego strzału.

Skoczyła obiema nogami na hamulec i za saniami wyprysnęła w górę fontanna śniegu. Zaprzęg zaczął zwalniać. Jenny wyprostowała się jeszcze bardziej, usztywniła ciało.

Ciszę poranka rozdarło kolejne echo wystrzału z karabinu.

Doświadczony uszy Jenny od razu powiedziały jej, skąd doleciał dźwięk - od strony chaty!

Ogarnęła ją fala gwałtownego strachu o ojca.

- *Eyah!* - krzyknęła głośno i szarpnęła lejce.

W jej głowie zawirowały przerażające scenariusze. Z lasów wyszły już niedźwiedzie i krążyły po okolicy - choć rzadko zapuszczały się tak daleko w dół. Czasami równie niebezpieczne bywały łosie, a ich chata znajdowała się tuż nad rzeką, gdzie gęste wierzby przyciągały zgłodniałe roczne byczki. Do tego dochodziły jeszcze drapieżniki na dwóch nogach: kłusownicy i złodzieje, okradający stojące na odludziu chaty. Jako szeryf widziała na tych dzikich, niedostępnych terenach wystarczająco wiele tragedii.

Panika sprawiła, że zaczęła działać lekkomyślnie.

Mijała właśnie ostry zakręt rzeki. Granitową skalną ścianę oddzielał od pełnej kamieni rzeki jedynie wąski pasek ziemi. Zbyt późno stwierdziła, że jedzie za szybko. Próbowła zahamować, ale natrafiła na zdradziecki kawałek lodu. Zarzuciło saniami i pomknęły bokiem w kierunku skały.

Nie było możliwości uniknięcia zderzenia.

Skoczyła na bardziej oddaloną od skały płożę i używając całego swojego ciężaru oraz wykorzystując ruch odśrodkowy ciasnego skrętu, podniosła zewnętrzną płożę w górę. Po chwili spód sań uderzył w oblodzoną skałę. Stał zazgrzytała o granit.

Trzymając się z całej siły uchwytów i modląc się, aby sanie nie przekoziółkowały na nią, Jennifer popuściła lejce i psy ruszyły pędem. Saniami szarpnęło.

Otworzyła usta do krzyku, ale już było po wszystkim.

Skała wyplaszczyła się i sanie z impetem wylądowały na drugiej płoży, niemal zrzucając Jenny. Walczyła o utrzymanie się na rozpędzonym pojeździe, a psy szaleńczo gnały do domu. Doskonale zdawały sobie sprawę z tego, że do chaty pozostał już tylko niewielki kawałek drogi.

Nawet nie próbowała ich hamować.

Dysząc ze zdenerwowania, nasłuchiwała, czy nie rozlegną się kolejne strzały, słyszała jednak tylko dudnienie krwi we własnych uszach. Bała się tego, co może ujrzyć przy domu. Odpięła kaburę, ale nie wyjmowała rewolweru, obawiając się, że nie poradzi sobie z równoczesnym prowadzeniem sań i trzymaniem broni.

Pędzili wzdłuż rzeki, inną trasą niż ta, którą wyjechała z domu poprzedniego dnia. Po kolejnym szerokim zakręcie ujrzała wreszcie chatę. Stała na opływanej przez strumień łące, tuż przed miejscem, gdzie wpadał do rzeki. Za chatą, przy solidnym pomoście, unosił się jej służbowy samolot, wyposażony w pływaki.

Natychmiast ujrzała ojca, stojącego w drzwiach chaty. Był ubrany w tradycyjny strój Inuitów - futrzaną kurtkę, futrzane spodnie i buty *mukluk*. Przyciskał do piersi stary winchester. Nawet z tej odległości Jenny widziała wściekły błysk jego oczu.

- Tato!

Odwrócił się do niej, wyraźnie zaskoczony. Ponagliła psy, pociągając nogą po śniegu, aby nadać saniom dokładniejszy kierunek.

Kiedy wyjechała z lasu na otwartą, rozświetloną słońcem polanę, wyszarpnęła rewolwer i zeskoczyła z sań, wykorzystując rozpęd do szybkiego przebiegnięcia ostatnich metrów. Podbiegła do ojca. Sanie bez obciążenia podskoczyły na kamieniu i przewróciły się na bok. Jenny zignorowała trzask łamanego drewna i zaczęła gorączkowo rozglądać się wokół w poszukiwaniu zagrożenia.

Nagle z cienia werandy wyprysnął wielki czarny kształt i skoczył ku niej.

Wilk? Zaczęła przesuwac lufę rewolweru.

- Nie! - Polecenie, które padło zza jej pleców, niewiele się różniło od szczeknięcia.

Wyostrzyła wzrok i wielka czarna plama zamieniła się w psa.

- Bane! - zawołała z ulgą.

Opuściła broń i opadła na kolano, by przyjąć entuzjastyczne powitanie wielkiego zwierzaka i smagnięcia jego gorącego jęzora. Kiedy już została dokładnie obśliniona, odwróciła się. W odległości dziesięciu metrów od niej, na skraju lasu, stało dwóch mężczyzn. Obok nich z nisko zwisającej gałęzi olszy czarnej obżerał liście koń.

- Ostrzegłem drania, żeby się stąd wynosił - powiedział chropawym, przepełnionym złością głosem jej ojciec. - Nie jest tu mile widziany. - Dla podkreślenia swoich słów uniósł karabin.

Jenny popatrzyła na swojego byłego męża. Matthew Pike uśmiechał się do niej, ale mimo wyszczerzonych białych zębów widać było, że jest lekko zdenerwowany i niespokojny. Spojrzała na zniszczone sanie, a potem na ojca. Wstała.

- Nie przejmuj się, tato, zastrzel go.

GODZINA 11.54

Matt wiedział, że jego była żona jedynie wyładowuje złość, wolał jednak pozostać na skraju lasu. Patrzyli na siebie przez kilka długich oddechów, po czym Jenny z niesmakiem pokręciła głową i podeszła do ojca. Wzięła od niego karabin i powiedziała cicho w inuktitut:

- Powinieneś wiedzieć, że nie należy strzelać w powietrze. Nawet tutaj.

Matt patrzył na nią, niezdolny odwrócić wzrok. Frankokanadyjska krew matki sprawiła, że Jenny była jak na Inuitkę wysoka, ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, ale podobnie jak ojciec, była smukła niczym wierzbowa witka. Skórę miała koloru zabielennej kawy, miękką, zapraszającą do dotknięcia, a jej oczy miały więcej wyrazu niż oczy jakiegokolwiek chodzącej po świecie kobiety. Mogły tańczyć, iskrzyć albo palić. Zakochał się w niej właśnie z powodu tych oczu.

Teraz byli trzy lata po rozwodzie i te same oczy wpatrywały się w niego z czystą złością... i czymś jeszcze głębszym, boleśniejším.

- Co tu robisz, Matt?

Nie potrafił wystarczająco szybko znaleźć języka w gębie, więc wyręczył go Craig.

- Przepraszamy bardzo, że panią niepokoiimy, ale doszło do wypadku samolotowego. - Pomacał opatrunek, który Matt nałożył mu na głowie. - Spędziliśmy razem ostatnie dwa dni, jadąc z miejsca wypadku. Matt mnie uratował.

Jenny znów popatrzyła na swojego byłego męża.

- To był samolot Brenta Cumminga... - odezwał się areszcie Matt i zamilkł, bo kiedy do Jenny dotarło, co powiedział, jej twarz stężała. Nie było z nimi Brenta. Po chwili odpowiedział na pytanie, które pojawiło się w jej oczach. - nie żyje.

- Boże drogi... - Uniosła dłonie do czoła i jakby zapadła się w sobie. - Cheryl... co ja jej powiem?

Matt podszedł do niej powoli, prowadząc Mariah za uzdę.

- Powiesz jej, że to nie był wypadek. Spojrzenie Jenny stało się ostrzejsze.

- Co masz na myśli?

- To długa historia. - Matt popatrzył na lecący z komina chaty dym. Przed dziesięcioma laty pomagał ją budować. Chatę zrobili z nieokorowanych, świeżo ściętych pni, a dach z darni. Jej konstrukcja opierała się na tradycyjnych wzorach - na tyłach domu była nawet mała *lagyaaq*, czyli przechowalnia mięsa. Ale dla poprawienia ogrzewania głównego pomieszczenia Matt sprowadził zbiornik propanu i założył potrójne okna.

Kiedy patrzył na chatę, na obecną chwilę zaczęły nakładać się stare wspomnienia. Spędził tu wiele szczęśliwych chwil i jedną okropną zimę.

- Może moglibyśmy porozmawiać o tym w środku. W lasach są jeszcze dwa ciała.

Jenny zmarszczyła czoło, ale skinęła głową.

Jego słowa nie złagodziły jednak miny ojca Jenny.

- Zajmę się koniem i psami - powiedział John Aratuk, biorąc od Matta wodze Mariah. Uspokoił się już nieco i czule potarł wnętrzem dłoni nos klaczy, unikał jednak jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego z Mattem. Kiedy mijał Craiga, zdawkowo skinął głową. Nie miał nic przeciwko obcemu przybyszowi, miał jedynie pretensje do tego, z kim przyjechał.

Jenny otworzyła drzwi do chaty i postawiła karabin ojca przy ościeżnicy.

- Wchodźcie.

Matt dał Craigowi znak, aby szedł pierwszy. Dziennikarz wszedł, a Matt zatrzymał się w progu. Trzy lata minęły, odkąd po raz ostami tu wchodziłem, pomyślał. Wziął się w garść, oblizał wargi i pochylił głowę, aby przejść przez niskie wejście. Coś w jego podświadomości oczekiwało, że ciało Tylera w dalszym ciągu będzie leżało na sosnowym stole, z chudziutkimi ramionami skrzyżowanymi na klatce piersiowej. Tamtego dnia Matt wtoczył się do tego pokoju na nogach jak z ołowiu, na wpół zamrożony, z podmrażaną w kilku miejscach skórą i lodowatym kamieniem w piersi zamiast serca.

Teraz w chacie nie było zimno. Przyjemnie rozgrzane powietrze przesycił zapach starego dymu i piżmowo-żywiczny aromat drewna. Jenny podeszła do żeliwnego piecyka w kącie, pochyliła się nad nim, otworzyła drzwiczki i pogrzebaczem wzruszyła węgle. Na fajerce stał lekko parujący dzbanek z kawą.

- W szafce są kubki - powiedziała. - Wiesz gdzie.

Matt podszedł do stojącej pod ścianą komody i wyjął trzy wypalane z gliny kubki. Wyprostował się i rozejrzał po dużym pomieszczeniu o suficie z bali. Niewiele się tu zmieniło. Główne pomieszczenie chaty było oświetlone trzema *qullia* - tradycyjnymi lampami na olej, wykonanymi ze steatyty i ukształtowanymi w półksiężycy. W chacie zainstalowano elektryczność, ale trzeba było uruchamiać generator. W rogu stał kominek zbudowany z kamieni rzecznych, a krzesła i kanapę wykonał miejscowy rzemieślnik z postarzonej ogniem sosny i skór karibu. Na ścianie wisiały zrobione przez Jenny zdjęcia. Była znakomitym fotografem. Wystrój ścian uzupełniały wyroby sztuki ludowej i różne przedmioty o muzealnej wartości: małe totemy, rzeźba inuickiego boga morza, Sedny, i malowana maska szamańska, używana podczas ceremonii leczniczych.

Każdy przedmiot miał swoją historię. Mattowi niełatwo było tu przebywać. Wydawało się, że gdziekolwiek się ruszy, wszędzie podąża za nim tragedia. Kiedy był na pierwszym roku studiów na uniwersytecie stanowym Tennessee, jego rodzice zostali zamordowani podczas włamania do ich domu. Pozostawiony bez środków do życia, został

zmuszony do wstąpienia do wojska. Przekierował złość i ból na robienie kariery, dość szybko wzięto go do sił specjalnych i podjął służbę w Zielonych Beretach. Po Somalii nie był jednak dłużej w stanie znosić krwawych jatek i oglądać śmierci. Zwolnił się ze służby i wrócił na uczelnię, by zdobyć magisterium z nauki o środowisku. Potem pojechał na Alaskę, przyciągnięty wielkimi, rozległymi przestrzeniami.

Przyjechał tu, aby być sam.

Zmieniło się to jednak, kiedy poznał Jenny...

Stał nieruchomo z kubkami w ręku, zawieszony między przeszłością a teraźniejszością. Z głównego pomieszczenia wchodziło się do dwóch sypialni. Odwrócił się, nie był przygotowany na spotkanie z bardziej intymnymi wspomnieniami. Mimo to kilka wypłynęło z pamięci.

W jednej sypialni Tyler, czytający w świetle lampy *Kubusia Puchatka*, cała rodzina siedzi opatulona w grube wełniane piżamy...

W drugiej sypialni... on sam, zwinięty z Jenny pod ciężką pierzyną, jej nagie, gorące ciało przyciska się do niego...

- Kawa gotowa - powiedziała Jenny, wrywając go z odrętwienia. Włożyła noszącą ślady długiego używania kuchenną rękawicę, zdjęła dzbanek z piecyka i gestem nakazała obu mężczyznom, aby usiedli na kanapie.

Matt postawił kubki na stole zrobionym z poskręcanej sosny. Jenny naląka kawę.

- Powiedz, co się stało. - Jej głos był pozbawiony emocji, pytała jak szeryf.

Craig zaczął opowiadać swoją część historii - rozpoczynając od wyruszenia z redakcji w Seattle. Skończył na nagłej awarii samolotu.

- Sabotaż? - zdziwiła się Jenny. Znała Brenta nie gorzej niż Matt i wiedziała, że jeżeli miał jakikolwiek problem z samolotem, powodem musiało być co innego niż zaniedbanie albo prosta usterka sprzętu. Nie w samolocie Brenta Cumminga.

Matt skinął głową.

- Tak podejrzewam. Potem pojawił się ten drugi samolot, nieoznakowany. Wskoczyło z niego dwóch spadochroniarzy na motocyklach przygotowanych do jazdy po śniegu i uzbrojonych w karabiny. Najwyraźniej nie zamierzali dopuścić do tego, by ktokolwiek zaczął paplać o całej tej sprawie.

Jenny zmarszczyła czoło. Rzuciła okiem na Craiga, ale dziennikarz był bardzo zajęty sprawdzaniem, czy cukier dobrze rozpuszcza się w kawie.

- I co dalej?

Matt opisał najprościej jak się dało los obu spadochroniarzy. Jenny rozwinęła topograficzną mapę okolicy i zaznaczyła miejsca katastrofy awionetki oraz orientacyjne punkty, gdzie mężczyźni zginęli.

- Będę musiała zadzwonić w tej sprawie do Fairbanks - i stwierdziła na koniec.

- A ja muszę się skontaktować z moją redakcją - powiedział Craig, krzywiąc się lekko od smaku mocnej kawy Jenny. - Na pewno się zastanawiają, co się ze mną stało. Miałem dać znać po przylocie do Prudhoe.

Jenny wstała i zamknęła notes.

- Telefon satelitarny jest tam. - Wskazała notesem w kierunku biurka. - Proszę się pośpieszyć, bo muszę jeszcze zadzwonić do mojego biura.

- Jak się go używa?

- Wystukuje się cyfry jak w normalnym telefonie. Z powodu niedawnych burz na Słońcu może być więcej trzasków niż zwykle. Ostatnio wszystko zakłócały.

Craig skinął głową, usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę. Jenny podeszła do kominka.

- Co o tym sądzisz? - spytała Matta.

Podszedł i położył dłoń na biegnącej wokół okapu półce.

- Najwyraźniej ktoś nie chce dopuścić prasy do stacji dryfującej.

- Coś tuszują?

- Nie mam pojęcia.

Craig połączył się i zaczął rozmawiać.

- Sandro, tu Teague. Daj mi naszego wielkiego bossa. - Przez chwilę panowała cisza. - Nie interesuje mnie, że jest na spotkaniu. Mam wiadomości, które nie mogą czekać.

Jenny przysunęła się do Matta i ściszyła głos:

- Wie więcej, niż nam powiedział? Matt popatrzył na Craiga.

- Wątpię. Moim zdaniem trafił tu, bo wyciągnął krótszą zapalną.

- A ci komandos... jesteś pewien, że byli żołnierzami?

- Na pewno mieli wojskową przeszłość. - Matt widział, jak w Jenny narasta napięcie. Nie patrzyła na niego, kiedy zadawała mu pytania. Miała do wykonania konkretną pracę, lecz jego obecność sprawiała, że zrobiła się bardzo czujna.

Nie mógł mieć do niej o to pretensji. Nie zasługiwał na nic innego, mimo to chciał skończyć tę wymuszoną rozmowę.

Chciał jej powiedzieć, że od ponad dwóch lat nie tknął alkoholu, ale co ją to obchodziło? Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Co się stało, to się nie odstanie.

Popatrzył na stojące na obrzeżu kominka zdjęcie Tylera. Chłopiec miał jasne włosy, uśmiechał się, na ramieniu trzymał szczeniaka - ośmioletniego Bane'a. Serce Matta ścisnęły dwa przeciwstawne uczucia - radość i smutek. Dopuścił oba do siebie. Już dawno przestał próbować je w sobie dusić. W dalszym ciągu bolało... ale pod pewnymi względami tak było lepiej.

- Może jeszcze coś ci się nasunęło - indagowała Jenny. Wziął głęboki wdech, aby nie dało się w jego głosie dosłyszeć cierpienia, i odszedł od kominka.

- Nie wiem. - Potarł czoło kostką dłoni. - Mogli być obywatelami innego kraju.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ani razu się przy nas nie odezwali. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że było to zamierzone, nie chcieli, żebyśmy poznali ich pochodzenie. Ukryli też pochodzenie broni.

- Mogli być wynajętymi najemnikami?

Matt wzruszył ramionami. Nie potrafił na to pytanie odpowiedzieć.

- Więc jak na razie zbyt wiele nie mamy. - Jennifer zapatrzyła się w dal. - Wezwiemy techników od badania śladów i zobaczymy, czego się dowiedzą. Coś mi jednak mówi, że prawdziwe odpowiedzi znajdują się w stacji polarnej. Jeżeli mam rację, trzeba będzie wezwać FBI... a jeśli w tę sprawę zamieszana jest w jakiś sposób marynarka, także wywiad wojskowy. Co za bałagan...

Skinął potakująco głową.

- Bałagan, który ktoś koniecznie chciał posprzątać za pomocą karabinu.

Spojrzała na niego, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Matt wziął głęboki wdech.

- Jenny... posłuchaj...

Craig, który do tej pory rozmawiał dość cicho, nagle podniósł głos: - Zatoka Prudhoe? Dlaczego? Jenny i Matt odwrócili się równocześnie w jego kierunku.

- Nie rozumiem, dlaczego muszę... - Zapadła długa cisza. - Świetnie, ale jestem teraz z szeryfem. Nie mogę obiecać, że uda mi się tam dotrzeć. - Przewrócił oczami i pokręcił głową.

W końcu westchnął i znów zaczął mówić: - Do jasnej cholery, spodziewam się po tym grubej podwyżki.

Odłożył słuchawkę.

- Co się stało? - spytał Matt.

Craig przez chwilę burczał coś pod nosem, a potem wyjaśnił:

- Chcą, żebym tu został. Możecie w to uwierzyć? Mam się spotkać w Prudhoe z informatorem gazety i śledzić wydarzenia. Sprawdzić, czy mają jakiś związek ze stacją badawczą.

Jenny podeszła do biurka, od którego wstał Craig.

- Tak czy owak, będzie pan musiał tu zostać, dopóki policja z Fairbanks nie pozwoli panu odjechać. Musimy przeprowadzić śledztwo.

- Trudno - mruknął dziennikarz. Jenny podniosła słuchawkę.

Zanim zdążyła wybrać numer, otworzyły się drzwi, wszedł jej ojciec i zaczął otrzepywać śnieg z butów.

- Wygląda na to, że będziemy mieli kolejnych niespodziewanych gości - powiedział i popatrzył na Matta. - Chyba chce tu wylądować jakiś samolot.

Ponieważ drzwi były otwarte, teraz także i oni usłyszeli warkot. W tle szczekały psy.

Spojrzenia Matta i Jenny skrzyżowały się. Oboje podbiegli do drzwi i stanęli tuż przed progiem.

Zaczęli przepatrywać niebo. Powoli pojawiła się na nim biała cessa i wzięła kurs wzdłuż szerokiej rzeki. Matt poczuł, jak cała krew spływa mu do nóg.

- To ta sama maszyna!

- Jesteś pewien? - Jenny zasłoniła oczy dłonią, próbując zobaczyć namalowane na spodach skrzydeł znaki.

- Oczywiście. Nie jest oznakowana.

- Wiedzą, że tu jesteś?

Matt dostrzegł ruch w jednym z okienek awionetki. Ktoś wystawił przez nie ramię i machał do nich. Po chwili oczy Matta rozszerzyły się. To nie było ramię, ale granatnik. Granatnik z napędem raketowym...

Kiedy z broni wystrzelił ogień, pchnął Jenny do środka chaty.

- Co ty... - zaczęła, ale przerwała jej eksplozja. Okno w południowej ścianie chaty implodowało i podłogę w środku domu zasypało szkło.

Gdy wybuch przebrzmiał, Matt podskoczył do zniszczonego okna. Wokół leja w ziemi stały płonące resztki *lagyaa* - przechowalni mięsa. Dach przybudówki jeszcze był w powietrzu.

Cessna minęła chatę i kładła się na skrzydło, aby ponownie na nich nalecieć. Matt odwrócił się i popatrzył na Jenny.

- Chyba dobrze wiesz, gdzie jesteśmy.

Jej twarz nie wyrażała żadnych emocji. Po chwili miała już w rękach karabin i szła w kierunku drzwi, pociągając za sobą pozostałych.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał Matt, biegnąc za nią. Żeby przebić się przez jazgot psów i warkot cessny, Jenny musiała krzyczeć.

- Wynosimy się stąd! - Uniosła karabin i pociągnęła lufą za zataczającym półkole samolotem. - Wszyscy do twin ottera!

- A może powinniśmy wrócić do lasu? - spytał Craig, patrząc z powątpiewaniem na mały samolocik, unoszący się na pływakach w rzece.

- Już kiedyś tak uciekaliśmy - odpowiedział Matt i popchnął dziennikarza w stronę pomostu. - Nie możemy znowu liczyć na szczęście. Nie przy takiej widoczności. Poza tym nie wiadomo, czy nie zrzucili w okolicy swoich ludzi.

Cała czwórka pobiegła przez łąkę w kierunku samolotu. Jenny pomagała ojcu, przytrzymując go za łokieć. Wokół kręciły się rozszechkane, podskakujące psy.

Kiedy znaleźli się na pomoście, pojawił się przy nich Bane. Matt nie miał czasu kazać psu odbiec w bezpieczne miejsce.

Wyciągnął do Jenny rękę po karabin.

- Uruchamiam silnik, a ja spróbuję ich trochę zająć. Kiwnęła głową i włożyła mu karabin w dłoń. Matta zaskoczył całkowity brak strachu w jej oczach.

Pobiegł na drugi koniec pomostu, a Bane podążył za nim.

Cessna zaczęła nalatywać na chatę. Matt uniósł karabin i strzelił, ale niczego nie osiągnął. Zarepetował broń i wsunął kolejny nabój do komory.

Silnik twin ottera zakaszłał i zgasł. Szybciej, Jen...

Cessna opuściła klapy i leciała wzdłuż rzeki, kierując się prosto na samolocik Jenny.

Matt ponownie wycelował, tym razem w kokpit, i strzelił. Nie trafił jednak. Awionetka w dalszym ciągu obniżała lot.

- Cholera jasna! - zaklął i znów zarepetował. Przyłożył broń do ramienia i stanął szerzej.

Silnik twin ottera wreszcie zapalił. Warkot zagłuszył szczekanie psów.

- Matt! - krzyknęła Jenny przez boczne okienko. - Wsiadaj!

Cessna leciała nie więcej niż dziesięć metrów nad rzeką. Z bocznych drzwi wychylała się ubrana w białą kurtkę postać, trzymająca na ramieniu wyrzutnię granatów. Napastnicy zbliżali się szybko, przymierzając się do strzału z bliskiej odległości. Nie było możliwości, aby twin otter zdążył na tyle przyspieszyć, żeby uciec z linii strzału.

Mieliby szansę tylko wtedy, gdyby Martowi udało się jakimś sposobem uniemożliwić napastnikom oddanie strzału i zmusić ich do zrobienia ponownego nawrotu. Wtedy Jenny zyskałaby czas na wzbicie się w powietrze.

Zagryzając wargi, Matt patrzył na cessnę przez przyrządy celownicze, skupiając się na człowieku z wyrzutnią. Mógłby przysiąc, że wychylający się z awionetki człowiek patrzy dokładnie na niego. Pociągnął za spust.

Huk wystrzału sprawił, że musiał zamrugać. Mężczyzna w cessnie schował się za jedną z podpórek skrzydła. Matt znów nie trafił, jedynie musnął skrzydło, ale rykoszet wytrącił człowieka z granatnikiem z równowagi.

Niestety, to nie wystarczyło - granatnik szybko wrócił na ramię strzelca. Cessna była oddalona od nich nie więcej niż siedemdziesiąt metrów i coraz bardziej się zbliżała, złowroga, nisko zawieszona. Matt uniósł karabin.

- Już! - wrzasnęła Jenny. - Wsiadaj!

Popatrzył w jej kierunku. John Aratuk trzymał otwarte drzwi i przywoływał go gestem dłoni.

- Jesteśmy ciągle jeszcze przywiązani! - krzyknął i wskazał na pomost.

Matt zaklął pod nosem i ruszył biegiem w kierunku twin ottera. Jedną ręką trzymał karabin, a drugą odwiązał cumę i skoczył na pływak.

Biegący tuż za nim Bane wpadł do kabiny wysokim, płynnym skokiem. Dzięki spędzonym z Mattem latom był doskonale zaznajomiony z tym rodzajem podróży.

- Startuj! - zawołał Matt.

Silnik twin ottera ryknął i samolot zaczął oddalać się od pomostu.

Ojciec Jenny wyciągnął rękę, by pomóc wejść do środka balansującemu na pływaku byłemu zięciowi.

- Nie, John - pokręcił głową Matt i popatrzył staremu Innuicie w oczy. Obwiązał się w pasie zdjętą cumą i rzucił jej koniec ojcu Jennifer. - Przywiąż ją!

John zmarszczył czoło.

- Asekuruj mnie - wyjaśnił Matt, wskazując na stalową podpórkę przy drzwiach.

Gdy John zrozumiał, o co mu chodzi, jego oczy się rozszerzyły. Obwiązał linkę luźno wokół podpórki. Przed laty we dwóch nieraz wspinali się na lodowce.

Kiedy twin otter przyspieszył, Matt zaczął się przesuwając wzdłuż pontonu. Po każdym popuszczeniu przez Johna naciągniętej liny robił kolejne pół kroku do tyłu.

Po kilkunastu sekundach wyszedł z cienia skrzydła.

Cessna znajdowała się trzydzieści metrów za ich ogonem i łagodnie opadała. Twin otter nie miał szans uciec.

Matt uniósł karabin i wychylił się daleko w bok, utrzymywany jedynie przez linkę, opierając się o pływak szeroko rozsuniętymi nogami. Ignorując komandosa z granatnikiem, celował w okno kokpitu cessny.

Pociągnął za spust i w tym samym momencie z granatnika wystrzelił jęzor ognia. Matt krzyknął z rozpaczy. Spóźnił się.

Ale cessna nagle zwariowała: opadła gwałtownie i położyła się na skrzydło.

Z wody kilka metrów od twin ottera wystrzelił gejzer wody i kamieni.

Kiedy mijali to miejsce, Matt wyciągnął się, aby popatrzeć na nie. Do rzeki i na brzeg spadały odłamki kamieni.

Granat przeleciał obok. Cessna musiała się zatrząść w chwili wystrzału.

Po chwili rozpędzona awionetka przemknęła nad nimi i role się odwróciły - ścigającym był teraz pływający jeszcze po wodzie twin otter. Cessna wyrównała lot, widać było jednak pajęczynę pęknięć na przedniej szybie kokpitu.

Tym razem Matt trafił.

Przeszedł po pływaku z powrotem w kierunku drzwiczek, ochlapywany pędzącą w dole wodą. Wiatr szarpał nim na wszystkie strony, na szczęście John mocno trzymał linkę. Matt dotarł do wejścia, w chwili gdy samolocik oderwał się od powierzchni rzeki. Terkot pod jego stopami urwał się w ułamku sekundy.

Kiedy twin otter pochylał się na skrzydło, Matt stracił równowagę i poleciał do tyłu. Zamachał rozpaczliwie ramionami. Szukając czegoś, czego mógłby się uchwycić, wypuścił z ręki karabin, który zawirował w powietrzu i wpadł do rzeki.

Za pasek złapała go silna ręka.

Matt popatrzył w czarne oczy ojca Jenny. Inuita, bezpiecznie przypięty w fotelu, trzymał go pewnie. Starli się spojrzeniami i w oczach starego coś pękło. Po chwili wciągnął byłego zięcia do środka.

Matt wgramolił się do kabiny i odwrócił, by zamknąć drzwiczki. Z trzeciego rzędu foteli wyciągał się ku niemu Bane, trącając go nosem i oblizując. Matt odepchnął psa i zatrzaskał drzwiczki.

- Zawracają! - krzyknęła z przodu Jenny.

Matt podciągnął się i zaczął pełznąć w kierunku fotela drugiego pilota. Lecząca przed nimi cessna położyła się ostro na skrzydło.

Dopiero kiedy Matt usiadł, dotarło do niego, że ma puste ręce. Sklął się w milczeniu za utratę karabinu.

- Masz inną broń?

Jenny manipulowała przepustnicą, walcząc o zdobycie wysokości.

- Mam browninga, a na tylnej ścianie kabiny jest przypięta moja służbowa strzelba. Ale w powietrzu nigdy się w nic nie trafia.

Westchnął. Miała rację. Na odległości, w jakich latały samoloty, żadna broń ręczna nie była wystarczająco celna, zwłaszcza przy wywoływanych lotem wiatrach.

Jenny podciągała samolot w górę.

- Nasza jedyna szansa to dotarcie do zatoki Prudhoe. Matt rozumiał, o co jej chodzi. Znajdowała się tam najbliższa baza wojskowa. Niezależnie od prawdziwych przyczyn tego, co się działo, opanowanie sytuacji przekraczało ich możliwości. Ale zatoka Prudhoe była oddalona o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów... Jenny popatrzyła na nurkującą ku nim cessnę.

- To będzie paskudne - powiedziała.

GODZINA 14.25

POD POLARNĄ CZAPĄ LODOWĄ

- Wiadomość dla was, admirale.

Wiktor Petkow zignorował stojącego w drzwiach kabiny porucznika i dalej czytał leżącą na biurku książkę, *Braci Karamazow* Fiodora Dostojewskiego. Ta książka często przynosiła mu pociechę. Kiedy świat poddawał jego duszę kolejnemu sprawdzianowi, bez trudu wczuwał się w walkę Iwana Karamazowa ze sobą i swoją duchowością.

Ojciec Wiktora nigdy nie przeżywał takich dylematów. Od urodzenia wierzył w Boga i był praktykujący. Nawet po dojściu Stalina do władzy, kiedy praktykowanie religii stało się niemożliwe, nie porzucił wiary. Może głównie z tego powodu, choć był jednym z najbardziej udekorowanych naukowców owych czasów, został zesłany - zabrano go z domu pod bronią i wysłano do samotnej stacji lodowej na Oceanie Arktycznym.

Wiktor skończył czytać rozdział pod tytułem „Wielki Inkwizytor”, w którym Iwan dramatycznie odrzuca Boga. Poruszało go to do głębi. Złość Iwana przypominała mu to, co sam czuł w głębi serca, jego własne rozgoryczenie. Ojciec Wiktora został zamordowany tak samo jak ojciec Iwana Karamazowa - co prawda nie przez syna, jak w powieści, ale także w wyniku zdrady.

Nieszczęścia spadające na rodzinę Wiktora nie skończyły się na tym. Po zniknięciu stacji lodowej w 1948 roku matka popadła w głęboką depresję, która trwała dziesięć lat i zakończyła się pewnego poranka w splecionej z prześcieradła pętli. W dniu, kiedy Wiktor wszedł do pokoju matki i znalazł ją, wiszącą na krokwi w suficie, miał osiemnaście lat.

Ponieważ nie miał żadnej rodziny, został wzięty do wojska. Armia stała się jego nową rodziną. Chciał poznać odpowiedzi na wiele pytań dotyczących losu ojca, więc coraz bardziej interesował się Arktyką. Rozwój jego kariery wyznaczała obsesja na tym punkcie oraz głęboko skrywana wściekłość, co sprawiało, że stale awansował w hierarchii rosyjskich sił podwodnych i w końcu doprowadziło go to do stanowiska dowódcy Siewieromorskiego Kompleksu Wojskowego.

Choć osiągał sukcesy, nie zapomniał o tym, jak oderwano jego ojca od rodziny. Bez trudu mógł przywołać obraz matki, wiszącej we własnej roboty pętli, muskającej palcami stóp podłogę.

- Admirale? - Porucznik lekko zaszurał stopami, aby ściągnąć na siebie uwagę przełożonego. Jego głos lekko drżał, najwyraźniej bał się przeszkadzać Białemu Duchowi. - Mamy... mamy zakodowaną wiadomość oznakowaną jako pilna i przeznaczoną wyłącznie dla was...

Wiktor Petkow zamknął książkę i przeciągnął palcem wzdłuż grzbietu skórzanej oprawy, po czym wyciągnął dłoń do porucznika. Spodziewał się tej wiadomości. Pół godziny temu „Drkon” wynurzył się do głębokości peryskopowej i wysunął przez pęknięcie w lodzie antenę, aby wysłać raporty do satelity komunikacyjnego i odebrać czekające na nich wiadomości.

Młody porucznik z ulgą podał mu metalową teczkę. Wiktor Petkow podpisał i przejął pojemnik na akta.

- To wszystko, poruczniku. Jeśli będę musiał przesłać odpowiedź, zawiadomę mostek.

- Tak jest! - Porucznik odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wiktor Petkow otworzył teczkę. Na pierwszej kartce widniał skośny nadruk DO RĄK WŁASNYCH DOWÓDCY FLOTY, reszta była zaszyfrowana. Westchnął i zaczął odszyfrowywać tekst. Przysłał mu go generał pułkownik Jergen Czenko, dyrektor FSB, Federalnej Służby Bezопасnosti - jednej z następczyń KGB, którą Amerykanie nazywali Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Nowa nazwa, ale te same sztuczki, pomyślał gorzko Petkow. Wiadomość została przesłana z centrali na Łubiance.

PILNE PILNE PILNE PILNE

OD: FEDERALNAJA SŁUŻBA BIEZOPASNOSTI DO: *DRAKON*

Min

DOT.: ŁUBIANKA 76-453A 8 KWIET

TEM.: WSPÓLRZĘDNE ROZMIESZCZENIE/SPOTKANIE

ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE

WYŁĄCZNIE DO RĄK DOWÓDCY FLOTY RMKS/

(1) NOWE DANE WYWIADOWCZE POTWIERDZAJĄ ROZPOCZĘCIE OPERACJI KONTRWYWIADOWCZEJ USA. ZMOBILIZOWANO U.S. DELTA FORCE. KONTROLER OPERACJI ZIDENTYFIKOWANY I POTWIERDZONY. PRZECIWDZIAŁANIE PRZYSPIESZONE

I SKOORDYNOWANE Z OSP LAMPART.

(2) STACJA DRYFUJĄCA OMEGA ZAAKCEPTOWANA JAKO CEL JEDEN. WSPÓLRZĘDNE ALFA CZTERY DWA PRZECINEK SZEŚĆ KURS TRZY JEDEN PRZECINEK DWA. MAPA PODSTREFA Z.

(3) *DRAKON* MA ROZKAZ OD TEJ CHWILI ZACHOWYWAĆ CISZĘ AŻ DO PRZEKAZANIA KODU ROZPOCZĘCIA ZE STACJI MOLNIJA.

(4) KOD ROZPOCZĘCIA ROZMIESZCZANIA USTALONY NA 0800.

(5) AKTUALIZACJA DANYCH WYWIADOWCZYCH ZOSTANIE PRZEKAZANA RAZEM Z KODEM ROZPOCZĘCIA.

(6) PRZESYŁA GEN. PORUCZNIK. J. CZENKO.

BT

NNNN

Po odszyfrowaniu wiadomości Wiktor Petkow zmarszczył czoło.

Przekazane informacje były oczywiste i nie stanowiły żadnego zaskoczenia. Ustalono cel i czas ataku: Stacja Dryfująca Omega, jutro rano. Waszyngton był już świadom stawki, o jaką chodziło.

Jak zwykle jednak Czenko umieścił mnóstwo informacji między wierszami.

Zmobilizowano U.S. Delta Force.

To proste stwierdzenie pozostawiało tyle samo niedopowiedzeń, co zawierało treści. United States Delta Force jest jedną z najbardziej zakamuflowanych formacji amerykańskich sił specjalnych i kiedy kieruje się ją do akcji, jest objęta immunitetem. Po wejściu do akcji oddziały Delta Force działają niemal całkowicie samodzielnie i są nadzorowane jedynie przez „kontrolera operacji” - może nim być albo wysokiej rangi oficer, albo ktoś zajmujący bardzo wysokie stanowisko rządowe.

Skierowanie do akcji U.S. Delta Force wyraźnie określało zasady nadchodzącego starcia. Wiadomości o wojnie, która wkrótce się rozpocznie, nigdy nie trafią na łamy prasy. Będzie to tajna wojna. Niezależnie od jej wyniku świat nigdy się nie dowie, co się działo na polu walki. Obie strony rozumiały to i milcząco się na to godziły.

W arktycznej czapie lodowej kryła się wielka zdobycz, trzeba było jednak zakopać w niej także wielką tajemnicę. Oba rządy zamierzały zwyciężyć.

Biada temu, kto trafi między fronty.

Tego rodzaju tajne konfrontacje nie są niczym nowym. Mimo publicznych deklaracji współpracy między Stanami Zjednoczonymi a Rosją strategia planowana za zamkniętymi drzwiami była tak samo wroga i odwetowa jak zawsze. Także w obecnym świecie politycy podawali sobie ręce, trzymając za plecami sztylet.

Wiktor Petkow aż nazbyt dobrze znał tę grę. Był najwyższej klasy fachowcem w strategii i metodach dezinformacji tego rodzaju wojny. Gdyby się tego nie nauczył, nie awansowałby na stanowisko, które zajmował.

Zamknął metalową teczkę i wstał. Podeszedł do stojących na podłodze sześciu tytanowych skrzynek. Każda miała pół na pół metra, na każdej były nadrukowane rosyjskie litery - skrót nazwy Instytutu Badań Arktycznych i Antarktycznych, mieszczącego się w Sankt Petersburgu. Nikt, nawet Moskwa, nie wiedział, co jest w tych skrzynkach.

Admirał zmrużył oczy i zatrzymał wzrok na symbolu umieszczonym pod inicjałami Instytutu - symbolu znanym ludziom na całym świecie.



Zagrożenie promieniowaniem...

Wiktor Petkow dotknął symbolu.

Zamierzał wygrać tę grę.

4

W powietrzu

><C<b 9p<~Γ

8 KWIETNIA, GODZINA 14.42

NAD GÓRAMI BROOKSA

Jennifer Aratuk sprawdziła prędkość i kurs. Próbowwała ignorować nalatującą na nich cępkę, choć nie było to proste. Matt siedział głęboko pochylony do przodu i przyciskał nos do szyby kokpitu.

- Okrążają nas! - wrzasnął.

Jenny położyła samolot na skrzydło i ostro skręcając, oddaliła się od przeciwnika. Kiedy robiła zakręt, ujrzała w dole dom. Rozwalona przechowalnia mięsa w dalszym ciągu dymiła, dookoła biegały psy, bezgłośnie szczekając. Sercem była przy nich. Dopóki nie wróci albo nie uda jej się poprosić kogoś o pomoc, będą musiały same dbać o siebie.

Najpierw ona, ojciec, Matt i dziennikarz musieli spróbować przeżyć.

Kiedy skierowała twin ottera nad czubki drzew, rozległ się dźwięk, jakby przelatywali przez grad. Kabina aż zadygotała od serii gwałtownych uderzeń.

Bane zaczął ujadać jak wściekły.

- Strzelają do nas! - wrzasnął Craig.

Jenny sprawdziła prawe skrzydło. Jego powierzchnię pokryła seria otworów. Niech ich cholera! Gwałtownie pociągnęła dźwignię przepustnicy do siebie, podrywając nos samolociku w górę. Maszyna wystrzeliła ku niebu i zaczęła gwałtownie nabierać wysokości.

Wzlot był tak stromy, że siedzący obok Matt musiał się mocno złapać poręczy fotela.

- Zapnij się! - krzyknęła do niego Jenny.

Wykonał polecenie, wciąż jednak wykręcał głowę na boki, by zobaczyć, gdzie jest cessna. Ścigający ich samolot przestał opadać i ruszył za nimi w pogoń.

- Trzymaj się! - ostrzegła Jenny, kiedy dolecieli do szczytu zbocza doliny. Nie mogła pozwolić, by cessna znów znalazła się nad nimi, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że ścigająca ich maszyna jest szybsza. Będzie musiała zastosować podczas lotu kilka sztuczek.

Opuściła klapy i skierowała nos twin ottera w dół następnej doliny. Zamykające ją zbocza były strome, w zasadzie nie była to dolina, ale wąwóz. Samolot opadał tak ostro, że robiło się niedobrze. Do przyspieszenia lotu Jenny wykorzystała grawitację. Twin otter mknął w dół, kierując się ku szerokiej rzece, przecinającej wąwóz. Jenny zamierzała polecieć wzdłuż jej koryta.

Cessna znów się pojawiła. Leciąca wysoko, robiła szerokie zakole, aby ponownie znaleźć się nad nimi.

Jenny kładła twin ottera na skrzydła, by cały czas mieć pod sobą wijącą się rzekę.

- Postaraj się, mój kochany - szepnęła do samolociku. Latała nim od rozpoczęcia pracy w biurze szeryfa i wyratował ją z wielu opresji.

- Znów nadlatują! - krzyknął Matt.

- Słyszę cię.

- To dobrze.

Popatrzyła na niego, ale wyglądał przez okno.

Twin otter pędził nad rzeką, wchodził w ostry zakręt, za którym rzeka przebiegała się przez szereg przełomów. Blisko... Jenny wpatrywała się w przestrzeń przed nimi. Nad rzeką unosiła się zasłaniająca wszelką widoczność gęsta mgła.

- Jen? - Matt również patrzył na kłębiącą się pod samolotem mgłę.

- Wiem. - Obniżyła lot. Pływaki znajdowały się teraz nie więcej niż kilkadziesiąt centymetrów nad pełną gładź, spienioną wodą. Rzeka głośno dudniła.

Po chwili usłyszeli nowy odgłos. Przypominał wybuchy kapiszonów. Seria pocisków zaklekotała o skalisty brzeg rzeki, większość powpadała do wody, kilka zrykoszetało w ich kierunku. Cessna leciała nad nimi, nieco z tyłu.

- Karabin maszynowy - mruknął Matt.

Jeden z pocisków, odbity od znajdującego się w nurcie rzeki głazu, uderzył w boczną szybkę twin ottera, która natychmiast pokryła się pajęczyną pęknięć.

Craig westchnął i jeszcze bardziej skulił się w fotelu.

Jenny zagryzła zęby. Nie miała wyboru, musiała pozostać na kursie. Ściany wąwozu zamieniały się w klify, a odległość między nimi zaczynała się zmniejszać. Skały zaciskały się niczym imadło.

O skrzydło ponownie zagrzechotały pociski, ściągając samolot z trafionej strony w dół. Pływak po tej stronie uderzył w wodę, na szczęście natychmiast się od niej odbił. Jeden z pocisków przeleciał ze świstem przezabinę.

Wpadli w mgłę.

Z ust Jenny wydobyło się głośnie westchnienie. Otaczający ich świat zniknął, aabinę wypełnił głośny ryk, zagłuszający nawet warkot silników. Przednia szyba pokryła się kroplami wody. Jenny nie włączyła wycieraczek, bo i tak nic by to nie dało. W ułamku sekundy oślepla, ale nie miało to znaczenia.

Pchnęła kolumnę sterującą do przodu, wprowadzając samolot w ostre pikowanie.

Craig wrzasnął, przekonany, że zaraz się rozbija.

Nie było się czym martwić. Niemal pionowy lot w dół dodał im gwałtownie prędkości, ponieważ jednak wodospad opadał w tym miejscu ponad sześćdziesiąt metrów, mieli zapas wysokości. Po chwili mgła się rozdzieliła i ujrzeli szybko zbliżające się lustro wody.

Jenny położyła maszynę na skrzydło. Wyprysnęli w prawo i polecili wzdłuż pionowej skalnej ściany.

Matt przyglądał się monstrualnemu urwisku. Craig siedział z otwartymi ustami i tak mocno wbijał palce w fotel, że zbiełały mu kostki.

- Dział kontynentalny - wyjaśnił mu Matt. - Jeśli będzie pan jeszcze kiedyś w Górach Brooksa, jest to coś, co naprawdę trzeba zobaczyć.

Jenny również przyglądała się urwisku. Dział kontynentalny rozdzielał kraj na dwa działy wodne - zaczynał się na północnym zachodzie Alaski przy półwyspie Seward, biegł wzdłuż Gór Brooksa i ciągnął się dalej na południe wzdłuż Gór Skalistych, przez całą Kanadę, aż do Stanów Zjednoczonych. Na wysokości Gór Brooksa oddzielał strumienie i rzeki, które płynęły na północ i wschód, do Oceanu Arktycznego, od tych, które płynęły na zachód i południe, do Morza Beringa.

Jenny modliła się, aby udało im się oderwać od przeciwnika. Zauważyła cenną, kiedy biała maszyna wyprysnęła wysoko z nad wodospadu i poleciała prosto. Jej usta wykrzywił ponury uśmiech. Wyglądało na to, że zanim prześladowcy ich zobaczą i zawrócą, twin otterowi uda się zyskać znaczną przewagę.

Ale czy to wystarczy?

Cenna zmieniła się w oddali w niewielką plamkę, Jenny dostrzegła jednak, że zawraca.

Skorygowała kurs, aby odsunąć się od urwiska i skierować samolot nad szeroką dolinę, która odchodziła w dół od wysokich zboczy i opadała w kierunku podstawy pasma górskiego. Była to Alatna. Wkrótce znaleźli się nad rzeką, wypływającą z gór na południe. Jenny dalej leciała prosto, rzeka i dolina Alatna zostały za nimi.

- Co planujesz? - spytał Matt. - Lecimy na zachód, a sądziłem, że chcesz dotrzeć do zatoki Prudhoe.

- Bo chcę.

- Dlaczego więc nie lecimy wzdłuż rzeki na północ, w kierunku przełęczy Antigon? - Wskazał za siebie palcem. - To najbezpieczniejsza droga przez góry.

- Nie uda się nam tam dolecieć. Znow nas dogonią. Po przelecie przełęczy znajdziemy się nad otwartą przestrzenią. Natychmiast nas dopadną.

- Ale...

Wbiła w niego surowe spojrzenie.

- Chcesz popilotować? Uniósł obronny gestem dłoni.

- Nie, mała. To twoja gra.

Jenny mocniej złapała stery. Mała? Musiała się powstrzymać, żeby nie walnąć go łokciem w głowę. Matt umiał latać - sarna go uczyła - ale pilotując, nie lubił ryzykować. Prawdę mówiąc był zbyt ostrożny, aby zostać dobrym pilotem. Prowadząc samolot, czasami trzeba się oddać wiatrowi, uwierzyć we własne umiejętności i siłę nośną powietrza, a Matt nie potrafił się na to zdobyć. Zawsze walczył z maszyną, jakby próbował okiełznać konia.

- Może lepiej zrób coś pożytecznego i uruchom radio - zaproponowała. - Musimy komuś powiedzieć o tym, co tu się dzieje.

Matt skinął głową i założył na głowę zestaw słuchawkowo-mikrofonowy. Włączył tryb SATCOM, aby posłać sygnał do orbitującego nad regionami polarnymi satelity. W okolicznych górach był to jedyny sposób porozumiewania się.

- Mam tylko szumy.

Zmarszczki na czole Jenny pogłębiły się.

- Znów zaczynają się burze na Słońcu. Przejdź na radio. Kanał jedenaście. Spróbuj złapać Bettles. Może ktoś nas jeszcze odbiera. Sygnały cały czas giną i wracają.

Zrobił, jak poleciła. Kiedy podawał ich lokalizację i kierunek lotu, był mocno spięty. Przekazał komunikat, po czym go powtórzył. Nie zanosilo się na to, że ktokolwiek im odpowie.

- Dokąd lecimy? - spytał Craig.

Jego głos wyraźnie się trząsł. Wyglądał przez spękane boczne okienko na przepływające w dole łąki i lasy. Jenny wiedziała, że jest przerażony - dopiero co przeżył katastrofę samolotu.

- Zna pan tę okolicę? - odpowiedziała pytaniem. Pokręcił głową.

- Jeśli chcemy zgubić ogon, będziemy potrzebowali osłony. Tu jest zbyt otwarta przestrzeń. Jesteśmy widoczni.

Matt z początku nie rozumiał. Potem popatrzył na Jenny i na kierunek, w którym lecieli, i nagle pojął, co jego była żona chce zrobić.

- Chyba żartujesz...

Ojciec Jenny potwierdził jego podejrzenia.

- Arrigetch. - Wystarczyło, że powiedział to jedno słowo.

- Dobry Boże... - Matt wypuścił powietrze i mocniej zaciągnął pas. - Są tu gdzieś spadochrony?

GODZINA 15.17 POLARNA CZAPA LODOWA

Amanda Reynolds leciała po lodzie. Nie można było nazwać tego rodzaju przemieszczania się inaczej. Choć właściwa nazwa brzmiała „żeglarstwo lodowe”, określenie to w żadnym stopniu nie odzwierciedlało tego, czego człowiek doświadczał.

Czterometrowy żagiel wypełniał wiatr, wydymał go przed bojerem w jasnoniebieski balon. Pilot, wciśnięty w siedzenie z włókna szklanego, mógł operować dwoma umieszczonymi w podłodze pedałami. Amanda trzymała jedną dłoń na korbie linki kliwra. Łód przemykał pod nią z zapierającą dech prędkością, bojer ciął zamrznięty, sfalowany śnieg.

Mimo pędu Amanda przez cały czas się rozglądała. Nie istniało na świecie miejsce bardziej puste i nagie. Zamrznięta pustynia, budząca jeszcze większą grozę i jeszcze mniej

gościnną niż Sahara. Ale było w niej także uduchowione piękno: tworzyły je nieustanne wiatry, taniec przewiewanego śniegu, delikatne różnice odcieni lodu. Nawet poszarpane krawędzie torosów emanowały groźnym pięknem.

Z maestrią, zdobytą w trakcie dziesięciu lat ćwiczeń, Amanda poruszyła pedałami, zamierzając łagodnie objechać wypiętrzoną krę. Była w swoim żywiole - w końcu stanowiła kolejne ogniwo w długim rodzinnym łańcuchu żeglarzy i budowniczych statków - choć na tę wycieczkę wybrała rejon dosyć odległy od należącej do rodziny stoczni, która znajdowała się w Port Richardson, na południe od San Francisco.

Bojer, którym żeglowała, zbudowała z pomocą brata. Prawie dwumetrowy kadłub zrobili ze starannie wyselekcjonowanego drewna sosny z okolic Sitki, a płozy ze stopu tytanu. Na Lake Ottachi w Kanadzie Amanda osiągnęła na tym wehikule prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nie mogła się jednak do końca rozpędzić, bo obowiązywał tam dystans trzystu metrów.

Rozejrzała się po niekończącej się przestrzeni wokół i uśmiechnęła szeroko. Któregoś dnia...

Teraz jednak poprawiła się na siedzeniu i cieszyła samotnością, wyjściem poza ciasną i wilgotną stację. Słońce jaskrawo świeciło, ale temperatura nie podniosła się jeszcze ponad zero.

Choć wiatr kąsał nieustannie, Amanda nie czuła zimna. Miała na sobie ciasno obejmujący ciało suchy kombinezon termiczny z kapturem, jakich używa się do nurkowania w arktycznych wodach, a jej twarz zakrywała robiona na zamówienie polipropylenowa maska ze szklami polaryzacyjnymi na wysokości oczu. Arktyczny mróz dawał o sobie znać jedynie w chwilach, gdy wciągała powietrze, choć gdyby chciała, także i temu mogłaby zaradzić, przepuszczając powietrze przez specjalny ogrzewacz, który wisiał u jej pasa. Wołała jednak czuć zimne powietrze.

I maksymalnie delectować się jazdą.

Tutaj nie była niepełnosprawna. Nie musiała słyszeć wiatru ani ostrego syku płóz po lodzie. Czuła wibracje przez drewno, czuła opór powietrza, widziała tańczący nad powierzchnią lodu śnieg. Tutaj świat do niej śpiewał.

Tutaj niemal przestawała pamiętać o wypadku. Pijany kierowca... pęknięcie podstawy czaszki i... cały świat zamilkł i opustoszał. Od tego czasu walczyła zarówno ze współczuciem okazywanym jej przez innych, jak i płynącą z własnego serca potrzebą doświadczenia

współczucia. Nie było to łatwe. Od wypadku minęło dziesięć lat i zaczynała już tracić umiejętność wyraźnego mówienia. Coraz częściej w oczach jej rozmówców pojawiało się niezrozumienie, będące cichą prośbą o powtórzenie albo napisanie tego, co właśnie powiedziała. Ze złości skierowała całą swoją energię na działalność naukową i badawczą. Zdawała sobie sprawę, że się w ten sposób izoluje - ale gdzie leży granica między izolacją a niezależnością?

Po śmierci matki ojciec starał się ciągle przy niej być, trzymał ją krótko i rzadko spuszczał z oczu. Podejrzewała, że powodem tego wcale nie jest jej głuchota - po prostu bał się ją stracić. Troska szybko zamieniła się w przyduszenie. Jej walka o wolność służyła nie tyle udowodnieniu, że potrafi żyć normalnie mimo swojej głuchoty, ile pokazaniu, że może być niezależna. Koniec, kropka.

Potem... w jej życiu pojawił się Greg... komandor Perry. Jego uśmiech, szacunek dla jej niezależności, nieporadne próby flirtu... wszystko to złamało jej opór. Teraz doszli do progu głębszego związku, niestety, nie bardzo wiedziała, co z tym fantem robić. Matka była żoną dowódcy okrętu, a nie było to życie spokojne ani niezależne. Amanda doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Trzeba chodzić na przyjęcia, organizowane przez marynarkę, na oficjalne kolacje, co tydzień odbywają się towarzyskie spotkania z żonami albo bez. Nie знаła jeszcze odpowiedzi na pytanie, czy chce takiego życia.

Pokręciła głową i postanowiła na razie odsunąć te myśli. Nie było konieczności natychmiastowego podejmowania jakichkolwiek decyzji. Kto wie, dokąd by ją zaprowadziły?

Poruszyła pedałami, aby bojer łagodnym skretem skierował się ku oddalonemu o trzy kilometry celowi: starej rosyjskiej stacji lodowej. Kilka godzin wcześniej skomunikował się z nią kierownik zespołu biologicznego, doktor Henry Ogden, twierdząc, że dokonał w stacji odkrycia, które doprowadziło do konfliktu z zespołem geologicznym. Nalegał, aby przybyła i rozstrzygnęła sprawę.

Amandę nieraz wzywano, by jako kierowniczka stacji Omega rozsądzała interdyscyplinarne spory. Czasami miała przy tym wrażenie, że walczy z bandą rozpieszczonych bachorów. Choć tym razem bez trudu mogłaby odmówić, tłumacząc się brakiem czasu, był to doskonały pretekst do wyrwania się na jeden dzień ze stacji.

Tak więc zgodziła się i zaraz po lunchu wyruszyła.

Jej celem była grupa czerwonych flag, powtykanych w szczyty torosów, tworzących gigantyczny system wypiętrzeń, zaczynający się w okolicy podlodowej stacji i rozciągający

się wiele kilometrów we wszystkie strony. Flagi łopotały na wietrze, wskazując wejście do podlodowej stacji, choć tak naprawdę nie były już potrzebne: na zawietrznej kilku torosów parkowały pomalowane na czerwono cztery ski-doo i dwa większe sno-caty. Gładki teren obok miejsca, gdzie stały pojazdy, przecinała potężna blizna - dziura, którą zrobiono w lodzie dla „Polar Sentinel”.

Kiedy Amanda obserwowała otwór, prowadzący do rosyjskiej stacji, narastało w niej złe przeczucie. Z wiodącego w dół lodowego tunelu, niczym z gardzieli śpiącego smoka, wydobywały się kłęby pary. W minionym tygodniu nowym lokatorom stacji udało się wyremontować generatory. Zachowały się wszystkie pięćdziesiąt dwa. Okazało się także - ku zaskoczeniu wszystkich - że działa oświetlenie i ogrzewanie.

Amanda pamiętała jednak swoją pierwszą wizytę w lodowym grobowcu. Znaleźli główne wejście za pomocą detektorów metalu i przenośnych sonarów, po czym, używając materiałów wybuchowych i ładunków do roztopiania lodu, przebili tunel do hermetycznie zamkniętego wejścia. Było ono zablokowane przez lód i zamknięte grubą stalową sztabą. Aby wejść do martwej stacji, musieli użyć palnika acetylenowego.

Zastanawiała się teraz, czy warto było podejmować taki wysiłek. Gdy zbliżała się do szeregu przypominających góry torosów, popuściła żagiel i zaczęła łagodnie hamować. W osłoniętej od wiatru przestrzeni między dwoma szczytami urządzono tymczasową kostnicę. Zamarznęte ciała leżały w pomarańczowych namiotach. Ojciec przekazał Amandzie, że z Moskwy wyruszyła już delegacja, która zabierze ciała swoich towarzyszy. Miała dotrzeć do celu w ciągu tygodnia.

W dalszym ciągu nie rozmawiano o tym, co poza ciałami znaleziono na dole.

Amanda poruszyła pedałami, zgrabnie zakręciła i zaparkowała.

Nikt nie wyszedł jej na powitanie.

Rozejrzała się wokół. Doliny między wysokimi jak góry torosami spowijał półmrok, za pierwszymi szczytami zaczynała się płatanina lodowych mostów, nawisów, wąwozów i niższych wierzchołków. Ponownie przypomniał jej się dziwny, kilkusekundowy fragment zapisu sonara DeepEye, na którym widać było ruch. Może faktycznie był to tylko „duch sonarowy” albo dowód obecności jakiegoś drapieżnika, na przykład niedźwiedzia polarnego, ale myśl, że to nie artefakt, nie była przyjemna. Popatrzyła na niemożliwy do pokonania teren między torosami i wzdrygnęła się.

Szybko opuściła żagle, zamocowała je i młotkiem wbiła w lód kotwicę. Kiedy zabezpieczyła bojer, wyjęła torbę z rzeczami i ruszyła w kierunku mglistego wejścia do tunelu.

Wyglądało jak każda inna jaskinia lodowa, których tysiące kryły w sobie polarne lodowce. Od ostatniego razu, kiedy Amanda odwiedzała to miejsce, zostało poszerzone i bez trudu zmieściłby się w nim teraz spory samochód terenowy. Doszła do progu i zaczęła schodzić wyrąbanymi w lodzie stopniami w kierunku stalowych drzwi, które od chwili wysadzenia wisiały krzywo na poluzowanych zawiasach. Mgła była tutaj gęstsza niż na powierzchni, bo wydobywająca się ze stacji wilgoć właśnie tu się koncentrowała. Nad wejściem widać było napis, o którym mówił komandor Perry. Musiano go odkryć podczas poszerzania tunelu.

Przyjrzała mu się uważnie. Po grubej, nitowanej płycie maszerowały drukowane litery rosyjskiego alfabetu, układając się w nazwę stacji:

ЛЕДОВАЯ СТАНЦИЯ ГРЕНДЕЛ

Stacja Lodowa Grendel.

Dlaczego Rosjanie nazwali ją tak dziwacznie? Amanda była na tyle obeznana z literaturą, aby wiedzieć, że jest to imię potwora z legendy o Beowulfie, ale nic więcej jej to nie mówiło.

Pokręciła głową i weszła do stacji. Wokół krawędzi drzwi i na zawiasach stale odkładał się lód, musiała się więc przepychać przez otwór między uchylonymi skrzydłami drzwi. Skrzypnął metal, trzasnął lód i znalazła się w środku.

Pracujący w głębi korytarza młody mężczyzna podniósł głowę i popatrzył na nią. Klęczał obok otwartej tablicy przekąźnikowej. Był to Lee Bentley, naukowiec NASA, specjalizujący się w materiałoznawstwie. Miał na sobie jedynie dzinsy i bawełniany podkoszulek.

Czyżby w środku było aż tak gorąco?

Lee na jej widok podniósł ręce w udawanym przerażeniu.

- Nie strzelaj!

Amanda zmarszczyła czoło, szybko jednak dotarło do niej, jak musi wyglądać w masce na twarzy. Rozpięła mocujący pasek, ściągnęła maskę z twarzy i przypięła ją do pasa.

- Witamy w Saunie Lodowej Grendel. - Lee zaśmiał się i wstał. Nie był wysoki, miał metr pięćdziesiąt pięć centymetrów. Opowiedział jej kiedyś, że zawsze pragnął zostać

astronautą, ale ponieważ brakowało mu do dolnej akceptowanej granicy pięciu centymetrów wzrostu, NASA skierowało go do laboratorium materiałoznawczego. Przybył do stacji Omega, aby testować nowe materiały kompozytowe w panujących w Arktyce ekstremalnych warunkach temperaturowych i pogodowych.

Amanda podeszła do niego i ściągnęła kaptur.

- Nie mogę uwierzyć, że tu tak gorąco.

Lee wskazał na rozrzucone na stalowej podłodze narzędzia.

- Właśnie nad tym pracuję. Wszyscy skarżą się na temperaturę. Dla uzyskania lepszej cyrkulacji powietrza zainstalowaliśmy kilka dmuchaw, ale uznaliśmy, że najlepiej będzie naprawić termostat, bo inaczej stacja zacznie się coraz głębiej wtapiać w lód.

Oczy Amandy rozszerzyły się.

- Istnieje takie niebezpieczeństwo?

Lee ponownie zachichotał i stuknął palcem w stalową ścianę.

- Nie. Między lodem i szkieletem stacji jest prawie metrowa izolacja. Moglibyśmy zamienić stację w piekarnik, a nie wpłynęłoby to w znaczący sposób na otaczający ją lód. - Rozejrzał się wokół z uznaniem. - Ten, kto ją projektował i budował, znał się na materiałach. Izolacja składa się z szeregu połączonych ze sobą na stałe warstw impregnowanego azbestem betonu i arkuszy gąbki. Szkielet konstrukcyjny stacji to połączenie stali, aluminium i prostych kompozytów ceramicznych. Lekkie, trwałe i o dziesięciolecia wyprzedzające epokę. Powiedziałbym, że...

Amanda przerwała mu. Jej koledzy naukowcy bardzo lubili opowiadać o swojej dziedzinie i mogli wtedy gadać bez końca. Kiedy wpadali w naukowy bełkot, czytanie tego wszystkiego z ruchu warg stawało się męczarnią.

- Jestem umówiona z doktorem Ogdenem. Nie wie pan przypadkiem, gdzie mogę go znaleźć?

- Henry'ego? - Lee podrapał się po głowie śrubokrętem. - Nie jestem do końca pewien, ale spróbowałbym w Zapleczu. Dziś rano miał niezłą rozrobę z zespołem geologicznym. Aż tutaj było słyhać, jak się wydzierają.

Amanda skinęła głową i ruszyła w głąb stacji, zostawiając naukowca NASA samego. Baza składała się z pięciu kolistych poziomów, połączonych wąskimi spiralnymi schodami, biegnącymi w pionowym szybie, znajdującym się w osi stacji. Każdy poziom był urządony dość podobnie: wewnętrzna część koła stanowiła przestrzeń wspólną, a w zewnętrznym

pierścieniu umieszczono pokoje, do których wchodziło się z wewnętrznej przestrzeni wspólnej. Największy obwód miał poziom najwyższy, niższe sukcesywnie się zmniejszały. W całości konstrukcja przypominała gigantycznego bąka, wbitego w lód.

Górny poziom miał mniej więcej pięćdziesiąt metrów średnicy i mieściły się w nim kwatery mieszkalne, kuchnie i biura. Amanda przeszła kawałek korytarzem i znalazła się w centralnej przestrzeni tego poziomu. Wszędzie pełno było stołów i krzeseł, pomieszczenie to wykorzystywano z pewnością jako kantinę i miejsce ogólnych zebrań.

Pomachała siedzącym przy jednym ze stołów naukowcom i poszła w kierunku centralnych spiralnych schodów. Szyb, który obiegały, miał trzy metry średnicy, w wolnej przestrzeni pośrodku zwiślały sięgające w głąb stacji grube, naoliwione liny. Na ich końcu była zawieszona okratowana klatka, nie tyle winda, co dźwig towarowy, służący do przewożenia towarów między poziomami.

Amanda czuła pod stopami wibrację stalowych stopni, dygoczących w jednym rytmie z sapiącymi generatorami i mruczącymi w otchłaniach lodowej wyspy maszynami. Wrażenie było bardzo dziwne - jakby stacja znów ożyła, wydobywszy się z długiej hibernacji.

Amanda ruszyła w dół schodami, zataczającymi raz za razem pełne okręgi. Minęła poziomy drugi i trzeci. Na drugim znajdowały się niewielkie laboratoria badawcze, na trzecim pomieszczenia techniczne i zasilanie stacji. Poniżej były już tylko dwa poziomy. Najniższy - najmniejszy - był zamknięty pojedynczym wodoszczelnym lukiem. Znajdował się tu dok rosyjskiego okrętu podwodnego - obecnie w połowie zalany i skuty lodem. Przez lód można było dostrzec kiosk okrętu - też całkowicie otoczony lodem.

Amanda kierowała się jednak gdzie indziej - na poziom czwarty. Ta kondygnacja znacznie różniła się od pozostałych. Nie miała wspólnej przestrzeni do pracy, ze schodów wchodziło się do zamkniętego korytarza, łączącego szyb schodowy z zewnętrzną ścianą poziomu, a w korytarzu były jedne boczne drzwi i tylko przez nie można było dostać się do środka.

Weszła do stalowego korytarza i od razu dostrzegła dwóch umundurowanych marynarzy, pilnujących tych właśnie bocznych drzwi. Byli uzbrojeni w pistolety maszynowe.

Jeden z nich, mat, znał Amandę.

- Dzień dobry, doktor Reynolds.

Drugi z wartowników - starszy marynarz - z ciekawością przyglądał się kobiecie w niebieskim kombinezonie termicznym, wodził wzrokiem w górę i w dół jej sylwetki. Amanda skinęła głową matowi.

- Widział pan doktora Ogdena?

- Tak jest, proszę pani. Wspomniał, że pani się zjawi. Prosił, abyśmy do pani przybycia nikogo nie wpuszczali do Zaplecza. - Wskazał na przeciwległy koniec korytarza.

Drzwi, które pokazał Amandzie mat, nie prowadziły do znajdującego się na tym poziomie laboratorium. Było to wyjście ze stacji, brama do serca lodowej wyspy. Za tymi drzwiami, bezpośrednio w lodzie, zaczynała się płatanina naturalnych oraz zrobionych przez człowieka grot i tuneli, której naukowcy nadali nazwę „Zaplecze”.

Wszyscy geologowie i glaciolodzy, którzy tu pracowali, mieli rozradowane miny. Wycinali ze ścian próbki, mierzyli temperaturę i wykonywali inne, bardziej skomplikowane testy. Nietrudno było zrozumieć ich zadowolenie - jak często ma się okazję badać górę lodową od środka? Podobno znaleźli ognisko inkluzji - jest to geologiczne określenie miejsca, w którym nagromadziły się gązzy i inne śmieci pochodzenia kontynentalnego - i cały zespół geologiczny przeniósł się z Omegi tutaj.

Skąd jednak spór z biologami? Był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

- Dziękuję - powiedziała do wartownika.

Z przyjemnością opuszczała zamknięty poziom. Patrzenie wartownikom w oczy nie było dla niej łatwe. Poczucie winy, związane z wiedzą, która stała się jej udziałem, mocno Amandzie ciążyło, tłumilo radość z dokonywanych tu innych odkryć.

Wśród naukowców krążyły najróżniejsze spekulacje i plotki na temat tego, co kryje poziom czwarty: statki kosmiczne Obcych, technologię nuklearną, eksperymentalną broń biologiczną, kolejne ciała... niektóre domysły były jeszcze bliższe prawdy.

Prawda była jednak znacznie bardziej przerażająca od najdzikszych spekulacji.

Kiedy Amanda dochodziła do końca korytarza, podwójne drzwi gwałtownie się otworzyły i pojawiła się w nich postać w grubej żółtej kurtce. Przez powstały otwór buchnęła fala zimna - mroźny oddech lodowej wyspy.

Postać zrzuciła z głowy kaptur, ukazując oszronione rysy. Doktor Henry Ogden, pięćdziesięcioletni biolog z Harvardu, był zaskoczony widokiem Amandy.

- Doktor Reynolds!

Skinęła mu głowę.

- Witaj, Henry.

- Dobry Boże... - Ściągnął zębami rękawicę i popatrzył na zegarek. Przesunął dłonią po łysinie. Poza brwiami owłosienie na jego głowie składało się jedynie z cienkich wąsików i kwadracika brody pod dolną wargą. Odruchowo sięgnął do tej kępki. - Przepraszam. Sądziłem, że spotkam panią na górze.

- Co się dzieje?

Odwrocił głowę, by popatrzeć na drzwi za sobą.

- Odkryłem... odkryłem coś... coś niezwykłego. Powinna pani... - Kiedy odwrócił głowę, nie mogła czytać z jego warg.

- Doktorze Ogden?

Obejrzał się na nią ze zdziwioną miną. Dotknęła palcem warg.

- Ach... przep... ra... szam. - Mówił nienaturalnie powoli jak do osoby niedorozwiniętej. Amanda pohamowała złość. - Musi to pani sama zobaczyć. Dlatego poprosiłem panią o przybycie. - Przez chwilę przyglądał się stojącym kilka metrów od nich wartownikom. - Nie polegałbym zbyt na nich, że potrafiliby długo powstrzymać te psy gończe od kamieni... - Przerwał, jakby nagle zaczął myśleć o czymś innym, i pokręcił głową. - Znajdźmy dla pani jakąś kurtkę i wezmę panią na miejsce.

- W tym będzie mi dostatecznie ciepło - odparła z niecierpliwością, przeciągając dłonią po kombinezonie termicznym. - Proszę mi pokazać, co pan znalazł.

Oczy biologa ciągle jeszcze były skierowane na wartowników, czoło miał zmarszczone. Amanda podejrzewała, że spekuluje podobnie jak pozostali. Po chwili spojrzął na nią.

- To, co znalazłem... moim zdaniem właśnie z tego powodu zbudowano tę stację.

Potrzebowała chwili, by zrozumieć jego słowa.

- Słucham? Co ma pan na myśli?

- Proszę za mną. - Odwrócił się i przeszedł przez wciąż otwarte podwójne drzwi.

Amanda podążyła za nim, przedtem jednak popatrzyła na wartowników.

„Właśnie z tego powodu zbudowano tę stację”. Mogła mieć tylko nadzieję, że biolog się myli.

GODZINA 15.40

NAD GÓRAMI BROOKSA

Matt wyglądał przez okienko twin ottera i próbował skoncentrować się na pięknie jednego z największych cudów światowej przyrody. Ta część Bram Arktycznego Parku Narodowego była corocznie celem podróży tysięcy turystów, wspinaczy i poszukiwaczy przygód.

Przed nimi wznosiły się szczyty Arrigetch. Nazwa „Arrigetch” pochodziła z języka nunamiut i oznaczała „wyprostowane palce dłoni”. Określenie było dość trafne, gdyż cała okolica pełna była granitowych szczytów i iglic. Była to kraina niebotycznych skalnych ścian, ogromnych nawisów i lodowcowych amfiteatrów. Szczyty stanowiły wymarzony teren dla alpinistów, a turyści rozkoszowali się zielonymi łąkami i błękitnymi jak lód stawami.

Ale przelot przez Arrigetch był czystym szaleństwem. Nie tylko z powodu skał. Wiały tu niebezpieczne wiatry - powietrze sphywało z wysokich lodowców niczym przebijająca się przełomami rzeka i zamieniało się w kotłowanie nagłych porywów, uskoków i poprzecznych prądów.

- Przygotować się! - krzyknęła Jenny.

Samolot wspaniał się ku chaotycznemu krajobrazowi. Po obu stronach wznosiły się wysokie góry o białych, pokrytych śniegiem i lodem zboczach. Arrigetch znajdowało się pomiędzy nimi i sprawiało wrażenie przeszkody niemożliwej do pokonania.

Matt popatrzył do tyłu. Ścigający ich samolot ponownie niemal się z nimi zrównał - cessa warczała nie więcej niż czterysta metrów w tyle. Czy jej pilot odważy się zagłębić w ten labirynt?

Minęli wypływający pomiędzy poszarpanych szczytów strumień. Im bardziej się wznosili, tym rzadszy robił się niski kosodrzewinowy las, który w końcu poddał się wysokości i zniknął. Znajdowali się nad kontynentalną granicą drzew.

Matt popatrzył na Jenny, zamierzając jeszcze raz próbować przekonać ją do rezygnacji z przelotu przez Arrigetch, kiedy jednak zobaczył, jak bardzo jest zdeterminowana, jak mocno ma zaciśnięte usta, stało się dla niego jasne, że nic by nie wskórał.

Za ich pleców doleciał głos ojca Jenny, który właśnie skończył mocować obrozę Bane'a do upręży przy fotelu.

- Tył gotowy - powiedział.

Siedzący obok starego Innuity Craig był wyprostowany jak struna, oczy miał tępo wbite przed siebie. Odkąd ujrzał Arrigetch, zrobił się blady jak papier. Oglądane z poziomu ziemi, wywoływało w człowieku pokorę, ale z powietrza przerażało.

Twin otter minął ostatnie, niebotycznie wysokie skalne zbocze, nie do zdobycia przez człowieka.

- No to ruszamy - oświadczyła Jenny.

- Oni też się nie lenią - stwierdził Matt.

Przez wycie silników przebił się terkot broni maszynowej. Luźny łupek na zboczu zatańczył pod uderzeniami pocisków. Na szczęście kule uderzały obok - ścigający ich samolot był jeszcze za daleko, aby można było z niego skutecznie strzelać. Puszczona seria była jedynie aktem rozpaczony ze strony prześladowców, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że zaraz stracą zdobycz z oczu.

Po chwili Matt zobaczył, jak z jednego z okienek cessny wystrzeliwuje jęzor ognia. Choć nie usłyszał żadnego dźwięku, wyobrażał sobie wizg nadlatującego granatu, którego drogę znaczyła kreska dymu. Pocisk zbliżył się wysokim łukiem na dwa metry do końca ich skrzydła i zniknął z przodu. Po chwili jedną ze skalnych iglic wstrząsnęła eksplozja i wokół miejsca uderzenia rozprysnął się grad kamieni. Oderwany kawał skały poszybował w dół.

Jenny odsunęła samolot od zaatakowanej iglicy i lekko położyła go na skrzydło. Kiedy twin otter przemknął między dwiema skalnymi wieżami, Matt przez moment widział ziemię w dole.

- Omójboże... omójboże... - jęczał Craig.

Po minięciu skalnych wież Jenny wyprostowała samolot. Byli ze wszystkich stron otoczeni kolumnami, szczytami, iglicami i pionowymi ścianami. Wszystko było tak wysokie, że kiedy się wyglądało przez okna, nie można było dojrzeć górnych krańców.

Wiatr szarpał awionetką, podrzucał ją jak piłką.

Matt zaciskał dłonie na poręczy fotela.

Jenny ostro położyła maszynę na drugie skrzydło. Oczy Matta rozszerzyły się wbrew jego woli. Chciał je zamknąć, ale z jakiegoś powodu nie mógł tego zrobić. Był wściekły, że musi oglądać latanie Jenny jako główny widz. Wolałby siedzieć teraz daleko z tyłu.

Twin otter przemknął między fasadą klifu a pochyloną skalną kolumną. Jenny zaczęła nucić coś pod nosem. Robiła tak zawsze, kiedy chciała się nad czymś w pełni skoncentrować, zazwyczaj była to jednak krzyżówka w „New York Timesie”.

Samolot minął iglicę i znów się wyprostował, ale tylko na sekundę.

- Trzymaj się - mruknęła Jenny.

Matt zamarł i patrzył przed siebie. Przedramiona drętwiały mu od ściskania poręczy fotela. Co ona chciała zrobić?

Jenny położyła maszynę na skrzydło i zrobiła ciasny obrót wokół kolejnej iglicy. Przez następne pięć minut krążyli zygzakiem po kamiennym labiryncie. Matt stracił z oczu prześladowcy ich samolot, już w chwili gdy wlecieli w Arrigetch - co z pewnością było zamiarem Jenny. Z tej okolicy można było wylecieć w tysiącach miejsc - przełęczami, wąwozami, morenami, dolinami, rynnami polodowcowymi. Jeżeli ich prześladowcy chcieli się dowiedzieć, dokąd lecą, to przy chroniącej win ottera pokrywie chmur musieliby polecieć za nimi - dyby pilot się na to odważył.

Po chwili znaleźli się nad potężnym amfiteatrem lodowym, wyrzeźbionym w zboczu jednej z gór. Jenny łagodnym łukiem skierowała samolot wzdłuż pionowej ściany jego wnętrza. Za skrajem góry, niczym lodowy gzyms, zwieszał się jezioro lodowca. Dno naturalnego amfiteatru było pokryte głazami, pyłem skalnym i żwirem, które lodowiec pozostawił po sobie, kiedy się cofał.

Pośrodku znajdowało się idealnie spokojne górskie jezioro. Błękitna powierzchnia wody była gładka jak lustro - okrążający je twin otter wyraźnie odbijał się w wodzie. Ściany amfiteatru były zbyt strome, aby wylecieć z niego po promieniu, więc Jenny zaczęła się wspinać po trawersie, zataczając powoli wznoszącą się spiralę. Była to dłuższa, ale pewniejsza droga.

Matt odetchnął z ulgą. Przeżyli Arrigetch.

Nagle jego uwagę zwrócił odbijany przez powierzchnię jeziora ruch.

Drugi samolot!

Cessna wpadła do lodowego amfiteatru zupełnie z innej strony. Maszyna lekko się zabujała i Matt wywnioskował, że ich prześladowcy są bardzo zaskoczeni ich widokiem.

- Jen?

- Nie mam dość wysokości, aby przelecieć nad granią. - Po raz pierwszy w jej głosie słychać było strach.

Samoloty okrążyły lodowy amfiteatr i wspinały się coraz wyżej, a wszystko to odbijało się w błękitnym jeziorze w dole. Drzwi cessny się otworzyły. Choć oddalona była o jakieś siedemdziesiąt metrów, Matt bez trudu dostrzegł znajomą już postać w kurtce o kamuflujących barwach, zapierającą się nogami dla ustabilizowania pozycji i zarzucającą na ramię granatnik.

Odwrócił się do Jenny. Doskonale wiedział, że zaraz pożałuje swoich słów, ale zdawał sobie sprawę z tego, że na pewno nie uda im się wlecieć ponad krawędź amfiteatru, zanim przeciwnik ich ostrzela.

- Wracaj do Arrigetch!

- Nie mamy czasu!

- Zrób to.

Matt odpiął się i wstał z fotela drugiego pilota. Podpełzł do bocznego okienka, skąd najbliższej było do samolotu wroga.

Jenny zawróciła w kierunku skalnego labiryntu.

Matt odblokował okienko i odsunął szybkę. Do kabiny wpadł lodowaty wichur. Podekscytowany Bane zaszczekał i wściekle zamachał ogonem. Uwielbiał latać.

- Co robisz?! - krzyknęła Jenny.

- Leć! - odkrzyknął i szarpnięciem otworzył zamocowaną przy drzwiczkach wejściowych skrzynkę ze sprzętem awaryjnym. Potrzebował broni, a nie miał czasu na odpinanie i ładowanie strzelby. Wyszarpnął ze środka pistolet sygnałowy i wystawił go przez okienko. Wycelował w cessnę. Przy silnym wietrze, podmuchu powodowanym obrotami śmigła i ciągle zmieniających się pozycjach obu samolotów był to strzał rozpaczy.

Wycelował najlepiej jak umiał i pociągnął za spust.

Flara pomknęła w powietrzu wysokim łukiem, wydając charakterystyczny skwierczący dźwięk. Jej lot widać było w jeziorze w dole. Matt celował w postać w drzwiach, lecz wiatr zniósł flarę na bok. Ekspłodowała jaskrawo, w chwili gdy przelatywała tuż obok nosa cessny.

Pilot, najwyraźniej jeszcze spięty po przelocie przez poszarpane przesmyki Arrigetch, odbił gwałtownie w bok. Ubrany w kamuflującą kurtkę komandos przy drzwiach stracił oparcie stóp i wypadł na zewnątrz, machając wściekle ramionami. Udało mu się jednak złapać za framugę drzwi i teraz wisiał, bujając się pod kadłubem cessny.

Będzie musiało wystarczyć.

- Krzyżyk na drogę! - krzyknął Matt, po czym zamknął okienko i popęzł z powrotem do fotela drugiego pilota.

Kiedy mijał ojca Jenny, stary Innuita poklepał go po ramieniu.

- Dobry strzał - powiedział. Matt skinął głową w kierunku Craiga.

- To był jego pomysł.

Pamiętał, jak dwa dni temu, kiedy przyszedł wyciągać dziennikarza z rozbitego samolotu, ten wycelował do niego z raketnicy. Przypomniały mu się także słowa sierżanta podczas szkolenia: „Używaj wszystkiego, co masz pod ręką... nigdy nie rezygnuj z walki”.

Zapiął się w fotelu. Jego nastrój odrobinę się poprawił.

Jenny właśnie wlatywała w labirynt.

- Lecą za nami - stwierdziła.

Matt odwrócił się gwałtownie i zdążył zobaczyć, jak ktoś z wnętrza odcina wiszącego pod samolotem człowieka. Postać zamachała rękami i nogami, po czym wpadła do niebieskiego stawu.

Matta niemal zatkało. Aby ich doścignąć, poświęcili swojego człowieka...

Jenny położyła samolot na skrzydło i pomknęli między klify, tyle że tym razem nie udało im się zgubić pogoni.

Widać było, że Jenny zaczyna się męczyć. Drżały jej ręce, a oczy straciły determinację i błyszczały desperacją. Jeden błąd i będzie po nich.

Nie trzeba było długo na to czekać.

Gdy Jenny obleciała poszarpaną kolumnę, świat przed nimi wypełniła lita skalna ściana. Droga bez wyjścia.

Nie zdążą zawrócić. Matt napiął mięśnie, spodziewając się gwałtownego skrętu, ale zamiast tego Jenny dodała gazu.

Mattowi ścisnęło się gardło, kiedy pojął, gdzie się znajdują i co Jenny zamierza.

- O, nie...

- O, tak... - odparła.

Dziób samolotu opadł tak gwałtownie, że żołądek podjechał Mattowi do góry. Jenny zrobiła spiralę wokół kolumny.

Na dole klifu płynęła rzeka. Przed milionami lat Arrigetch nawiedziło trzęsienie ziemi, w wyniku którego dwie góry pochylili się ku sobie i zetknęły wierzchołkami. W ten sposób powstała Diabelska Przełęcz - przejście pod dwoma nie do końca przewróconymi górskimi szczytami.

Była to jedna z dróg, którymi można się było wydostać z Arrigetch.

Samolot zanurkował ku rzece, celując w przerwę między skalnymi masywami. Lecieli zbyt ostro w dół, ale Jenny w ostatniej chwili pociągnęła gwałtownie za kolumnę sterowniczą i mocno przymknęła przepustnicę, niemal doprowadzając do zatrzymania się śmigieł. Twin

otter wyprostował się prawie nad samym lustrem wody i wystrzelił przed siebie, prosto w Diabelską Przełęcz.

Świat natychmiast stał się czarny i całą otaczającą ich przestrzeń wypełnił ryk silników - ale z przodu widać było światło. Tunel był prosty i miał nie więcej niż czterdzieści metrów długości, ale był też ciasny - każdemu skrzydłu pozostawiał tylko trochę ponad metr wolnej przestrzeni.

Jenny znów coś nuciła.

- Cały czas są za nami! - wrzasnął Craig.

Kiedy cessna również zanurkowała w tunel, Matt popatrzył za siebie. Pilot goniącego ich samolotu nie zamierzał stracić ich z oczu.

Matt zacisnął pięść. Ich rozpaczliwy przelot skalnym przesmykiem na nic się nie przyda. Pilot przeciwnika powtarzał każdy manewr Jenny. Sprawa była beznadziejna. Za tunelem rozciągały się otwarte góry, nie będą mieli się gdzie ukryć.

- Trzymajcie się! - ostrzegła Jenny, kiedy dolatywali do końca tunelu.

- Co chcesz...

Pchnęła ster do przodu i twin otter opadł. Pływaki uderzyły w wodę i pomknęły po niej, wyrzucając do tyłu fontanną wody. Kiedy samolot odbił się od jej powierzchni, byli już poza tunelem i wznosili się ostro w górę.

Gdy Jenny odbijała w bok, Matt patrzył w wylot tunelu.

Cessna nie tyle z niego wyleciała, co wy koziołkowała z połamanymi skrzydłami. Jedno ze śmigieł oderwało się i wirując, pomknęło w górę zaśnieżonego zbocza.

Matt popatrzył na swoją byłą żonę ze zdumieniem. Wystrzelona przez nich fontanna wody uderzyła w śmigła samolotu przeciwnika, cessna podskoczyła i uderzyła jednym ze skrzydeł w ścianę tunelu.

- Nienawidzę najeżdżania od tyłu - powiedziała Jenny drżącym głosem.

GODZINA 16.55

STACJA LODOWA GRENDEL

Było to jak wejście w inny świat. Składające się z tuneli i grot Zaplecze stanowiło płataninę najróżniejszej wielkości naturalnych tuneli i grot. Kiedy Amanda przeszła jego próg, pozostawiła za sobą nie tylko ciepło stacji, ale także wszystkie będące dziełem ludzkich rąk konstrukcje.

Tuż za podwójnymi stalowymi drzwiami leżały sterty zardzewiałych stalowych płyt, worki starego cementu, stopy rur i zwoje przewodów. Kiedy odkryto to miejsce, uznano je za naturalnego pochodzenia przestrzeń, wykorzystywaną jako magazyn, i stąd nadana mu przez naukowców nazwa.

Jeden z inżynierów NASA wysunął hipotezę, że stacja została zbudowana w powstałej wewnątrz lodowej wyspy naturalnej grocie, co znacznie skróciło czas trwania prac. Zasugerował, że Zaplecze mogło być częścią większego układu grot.

Pomijając tego rodzaju spekulacje, dla większości naukowców z Omegi Zaplecze nie kryło w sobie wiele ciekawego. Była to dla nich przede wszystkim pakamera dozorczy stacji, przestrzenie w lodzie i lodowe zagłębienia zdawały się fascynować jedynie geologów i glaciologów.

- Tędy, proszę - powiedział doktor Ogden, zapinając kurtkę pod samą brodę i naciągając na łusą głowę obszyty futrem kaptur. Ze sterty przy drzwiach wziął latarkę, zapalił ją i skierował promień światła w kierunku ciemnego korytarza, odchodzącego od zagraconego przedsionka. Amanda odniosła wrażenie, że doktor coś mówi, ale ponieważ był do niej odwrócony plecami, nie mogła mieć pewności. Zanim zdążyła zapytać, biolog ruszył w stronę płataniny tuneli.

Amanda poszła za nim. Zauważyła, że ktoś posypał lód piaskiem, aby buty się nie ślizgały. Kiedy zostawili za sobą oświetlone wejście, zrobiło się znacznie zimniej. Z jakiegoś powodu powietrze wydawało się tu zimniejsze niż na powierzchni. Amanda odpięła od pasa maskę do ogrzewania wdychanego powietrza i włączyła ją.

Henry Ogden szedł przed nią. Droga była kręta - mijali odchodzące w bok groty, puste lub zastawione sprzętem technicznym. W jednej z nich stały oznakowane po rosyjsku skrzynki pełne owiniętych w szary papier paczek. Amanda pomyślała, że pewnie są to łatwo psujące się środki spożywcze. Nie było tu potrzeby instalowania zamrażarek.

Im głębiej wchodzili, tym więcej widzieli dowodów działalności naukowców: dziury w ścianach, oflagowane płotki, aparaturę naukową, nawet pudełko po ciastku Ding Dong firmy Hostess. Kiedy obok niego przechodzili, kopnęła je na bok. Nowi mieszkańcy Stacji Lodowej Grendel wszędzie zostawili swoje niepowtarzalne ślady.

Amanda szybko straciła orientację. Przejścia krzyżowały się co kilka i kilkadziesiąt metrów, odchodziły od korytarza, którym szli, we wszystkie możliwe kierunki. Kiedy doktor Ogden zatrzymał się na jednym ze skrzyżowań i zaczął oświetlać ściany światłem latarki,

Amanda zauważyła na lodzie niewielkie znaki, porobione kolorowym sprayem. Wyglądały na świeże i miały różne kształty oraz kolory: były tu czerwone strzałki, niebieskie zawijasy, pomarańczowe trójkąty. Oczywiście porobili je współcześni naukowcy.

Henry dotknął zielonej plamki, skinął głową i poszedł we wskazanym przez symbol kierunku.

Tunele znacznie się zwężyły w stosunku do tych na początku, były także dużo niższe. Aby nadążyć za biologiem, Amanda musiała raz za razem pochylać głowę. W przedziwnie nieruchomym powietrzu w snopach światła latarki rozbłyskiwały kryształki lodu. Przejrzystość ścian sprawiała, że uwiecznione w lodzie pęcherzyki powietrza jarzyły się jak perły.

Amanda przeciągnęła palcem po ścianie. Była gładka jak jedwab. Takie tunele i grotty powstają wtedy, gdy w czasie lata lód na powierzchni topnieje i spływa jako ciepła woda przez pęknięcia i szpary w dół, wytapiając kieszenie i szyby. Potem powierzchnia zamarza, zamykając i zabezpieczając powstały system przez zniszczeniem.

Amanda zapatrzyła się w błękitną lodową ścianę. Było w niej piękno, które kazało zapomnieć o lodowatym zimnie. Kiedy się rozglądała, jej pięta poślizgnęła się na gładkim lodzie. Gdyby nie złapała się rozpaczliwie wystającego ze ściany kawałka lodu, pojechałaby na tyłku. Doktor Ogden odwrócił się. - Ostrożnie. Od tego miejsca jest dość ślisko. Dobre sobie. Podciągnęła się i wyprostowała. Zobaczyła, że to, co wystawało z lodowej ściany, wcale nie jest lodem, ale skałą. Nie miała jednak czasu jej się dobrze przyjrzeć, bo doktor Ogden popędził dalej. Najwyraźniej była to jedna z opisanych przez geologów inkluzji. Dotknęła kamienia z szacunkiem - skała została oderwana przez ten fragment lodowca nie wiadomo z jakiego kontynentu i Bóg wie ile milionów lat temu.

Kiedy biolog zniknął za zakrętem, wokół Amandy zapadł mrok. Przyspieszyła kroku, żałując, że nie wzięła własnej latarki. Musiała dobrze uważać, jak stawia stopy - przejścia nie były tu posypane piaskiem. Najwyraźniej geologowie jeszcze się nie zapuścili w te rejony Zaplecza.

Henry odwrócił się do niej.

- Jeszcze kawałek.

Po chwili tunel zaczął się poszerzać i Amanda zobaczyła wiszące w szklistych ścianach głazy. Bardzo wiele głazów - zamrożona w lodzie lawina. Głębiej tkwiły inne

kszały, sprawiając, że ku górze lód ciemniał i robił się nieprzejrzysty. Musieli dotrzeć do dużego skupiska inkluzji.

Za zakrętem tunel wychodził na wielką grootę. Amanda znów się poślizgnęła i ostatnie kilka metrów przejechała jak na łyżwach. Zamachała gwałtownie ramionami i jakoś udało jej się zatrzymać.

Zamarła, zaskoczona. Dno groty miało rozmiary olimpijskiego lodowiska, ale widząc jej szerokość i wysokość, Amanda zapomniała o tym, co ma pod nogami. Wysokimi łukami i szerokimi krzywiznami rozpościerała się przed nią olbrzymia naturalna katedra, w połowie lodowa i w połowie kamienna.

Wejście otaczał lód, ściany bardziej oddalonej części groty były z nagiej skały. Tylną ścianę tworzył potężny skalny nawis.

Coś dotknęło jej łokcia i wytrąciło ją z zadumy. Doktor Ogden. Poruszał ustami i dawał jej znak, aby popatrzyła na niego.

- To pozostałość po fasadzie prastarego klifu. Przynajmniej tak uważa MacFerran. - MacFerran był szefem zespołu geologów. - Twierdzi, że ten fragment musiał się oddzielić od lądu, kiedy odrywała się część lodowca, która utworzyła lodową wyspę. Datuje go na ostatnią epokę lodowcową. Chciał natychmiast wysadzać fragmenty i pobierać próbki, ale musiałem go powstrzymać.

Amanda w dalszym ciągu była zbyt zaskoczona, by móc coś powiedzieć.

- Już po pobieżnym badaniu znalazłem martwe porosty i zamrożone mchy. Po dokładniejszym przeszukaniu kieszeni skalnych odkryłem trzy ptasie gniazda, w tym jedno z jajami! - Podekscytowany biolog mówił coraz szybciej i Amanda musiała uważnie obserwować jego usta. - W lodzie uwięzionych zostało także kilka gryzoni i wąż! To znalezisko niezwyklej wartości, cała zamarznięta biosfera z tamtego okresu! - Poprowadził ją przez grootę do jednej z kamiennych ścian. - Ale to jeszcze nie wszystko! Proszę popatrzeć!

Spojrzała na miejsce, które wskazywał. Ściana nie była tak jednorodna, jak wydawało się na pierwszy rzut oka, pokrywały ją liczne szczeliny i zagłębienia. Niektóre miejsca były tak gęsto spękane, że wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść. Skałę przecinały również większe pęknięcia, byty jednak zbyt ciemne, aby dało się określić, jak głęboko sięgają.

Amanda przeszła pod skalnym łukiem i z niepokojem przyglądała się głazom, wiszącym nad jej głową. Nagle wszystko wydało jej się wcale nie tak stabilne, jak jeszcze przed chwilą.

Doktor Ogden złapał ją za łokieć, ścisnął mocno i zmusił do zatrzymania się.

- Ostrożnie! - powiedział, po czym wskazał w dół. Kilka kroków przed nimi w lodowej powłoce widniał owalny otwór, który z pewnością nie był dziełem natury. Jego brzegi były nierówne.

- Wykopali tu jednego z nich. Amanda zmarszczyła czoło.

- Z nich?

Nagle dostrzegła, że w lodzie jest więcej podobnych dziur. Henry pociągnął ją w bok.

- Tutaj. - Wyjął zza pasa manierkę i dał Amandzie znak, aby uklękła na lodzie. Byli jedynie kilka metrów od miejsca, gdzie lód przechodził w potrzaskaną skałę. Gdyby ktoś patrzył na nich z daleka, mógłby ich wziąć za dwójkę turystów, którzy uklękli przy brzegu zamrożonego jeziora.

Biolog przeciągnął odzianą w rękawicę dłońią po powierzchni lodu, po czym przystawił do niego latarkę. Skierowany w dół promień światła sprawił, że fragment lodu w dole niemal rozbłysnął. Choć z powodu pokrywającej powierzchnię warstwy szronu szczegóły były zamazane, dało się dostrzec ciemny kontur czegoś, co tkwiło jakieś pół metra pod lodem.

Henry usiadł i otworzył manierkę.

- Proszę popatrzeć.

Polał powierzchnię lodu wodą, która rozpuściła warstewkę szronu i sprawiła, że lód zrobił się przejrzysty jak szkło. Światło latarki okazało się teraz na tyle mocne, że to, co znajdowało się w głębi, zostało dobrze oświetlone i dało się dostrzec wszelkie szczegóły.

Amanda westchnęła i odsunęła się odruchowo.

Stwór wyglądał, jakby został uchwycony na zrobionej przy użyciu flesza fotografii, w chwili gdy skacze na aparat. Jego korpus był obciągnięty białą, gładką skórą, podobną do tej, jaką mają odwiedzające arktyczne wody białuchy. Był też podobnej wielkości, co sugerowało wagę około pół tony. Ale w odróżnieniu od białuchy miał dwie krótkie kończyny przednie, uzbrojone w przypominające grabie szpony, i wielkie płetwiaste kończyny tylne, w tej chwili rozłożone na boki, jakby za chwilę miały pchnąć ciało stwora do skoku. Korpus wydawał się smukłej szy niż u białuchy, miał dłuższą część piersiową, wygiętą jak u wydry. Taka budowa z pewnością pozwalała zwierzęciu bardzo szybko poruszać się w wodzie.

Najbardziej przerażający był jednak jego wydłużony pysk - szeroko otwarty, wypełniony przypominającymi szeregi sztyletów zębami. Paszcza była tak wielka, że bez

trudu zmieściłaby się w niej świnia. Czarne ślepie były wywrócone i białe gałki kojarzyły się z poszukującym ofiary żarłaczem ludojadem.

Amanda musiała wziąć kilka oddechów przez ogrzewacz powietrza, aby opanować spowodowany zimnem i wstrząsem dygot rąk i nóg.

- Co to jest, do pioruna? Biolog popatrzył na nią.

- Jest więcej egzemplarzy!

Przejechał na kolanach po lodzie i pokazał kolejnego stwora, zamrożonego w lodzie tuż przy klifie. Był zwinięty w ciasną spiralę, głowa tkwiła pośrodku, całość otaczał ogon. Przypominał śpiącego psa.

Henry wstał szybko.

- To jeszcze nie wszystko.

Zanim zdążyła powtórzyć swoje pytanie, Ogden podszedł do ściany i wszedł w szeroką rozpadlinę. Amanda podążyła za nim, a właściwie za światłem, bo cały czas miała przed oczami szczęki pierwszego potwora - szeroko rozwarte i wygłodniałe.

Pęknięcie skalne miało kilka metrów długości i wychodziło na grotę wielkości garażu na dwa samochody.

Amanda zeszywniała. Pod czarną ścianą stało sześć ogromnych bloków lodu. W każdym tkwił jeden ze stworów, wszystkie były zwinięte w pozycji embrionalnej. Ale największym wstrząsem było to, co zobaczyła pośrodku komory.

Na lodowej podłodze - rozplaszczony niczym żaba na stole laboratoryjnym - leżał jeden ze stworów. Kończyny miał porozciągane na cztery strony, jego korpus został rozcięty od gardła po miednicę, a skórę odciągnięto na bok i przybito do lodu. Stan badanego egzemplarza wskazywał na to, że sekcję przeprowadzano dawno temu, lecz kiedy Amanda spojrzała na kości i narządy wewnętrzne, odwróciła się gwałtownie i niemal biegiem wypadła na zamrożone jezioro.

Po chwili pojawił się doktor Ogden i dotknął jej ramienia, by na niego popatrzyła.

- Odkrycie tej rangi zmieni oblicze biologii - powiedział, pochylając się nad nią, jakby chciał ją do czegoś przekonać. - Teraz rozumie pani, dlaczego musiałem powstrzymać geologów przed zniszczeniem tego tak doskonale zachowanego ekosystemu. Znalezisko tego rodzaju... tak dobrze zachowane...

Amanda przerwała mu:

- Co to za stwory?

Henry zamrugał i machnął ręką.

- No tak... oczywiście... pani jest inżynierem.

Choć była głucha, niemal słyszała protekcyjny ton jego głosu. Zrobiło jej się przykro, ale powstrzymała się od ostrej odpowiedzi.

Biolog wskazał na pęknięcie w skale i zaczął powoli mówić:

- Badałem te egzemplarze przez cały dzień. Liznałem trochę paleobiologii. Skamieliny tego gatunku odkryto w Pakistanie i w Chinach, ale nigdy nie znaleziono całego tak dobrze zachowanego egzemplarza.

- Egzemplarza czego, Henry? - zapytała, wpatrując się twardo w biologa.

- *Ambulocetus natans* zwanego powszechnie „chodzącym waleniem”. To ogniwo ewolucyjne między ssakami lądowymi a współczesnymi waleniami.

Patrzyła na niego bez słowa.

- Szacuje się, że żył czterdzieści dziewięć milionów lat temu i wymarł trzynaście milionów lat później. Płaskostope nogi, miednica zrosnięta z kręgosłupem, kształt nosa... wszystko wyraźnie świadczy o tym, że jest to *Ambulocetus*.

Amanda pokręciła głową.

- Nie może pan twierdzić, że te egzemplarze są takie stare! Czterdzieści milionów lat?

- Nie - odparł Ogden. - W tym rzecz! MacFerran twierdzi, że lód na tym poziomie ma jedynie pięćdziesiąt tysięcy lat, pochodzi z ostatniej epoki lodowcowej, a te egzemplarze mają kilka charakterystycznych cech. Moja hipoteza wstępna jest taka, że część *Ambulocetus* przemigrowało do Arktyki tak samo, jak dziś docierają tu walenie. Tutaj wytworzyły arktyczne formy przystosowawcze... białą skórę, gigantyzm, grubszą warstwę tłuszczu. Podobnie jak niedźwiedź polarny albo bielucha.

On także kojarzy te stwory z bieluchą, pomyślała Amanda.

- I jakimś sposobem przeżyły tu aż do ostatniego zlodowacenia? I nikt ich nigdy nie odkrył?

- Czy to naprawdę takie zaskakujące? Wszystko, co żyje i umiera na czapie polarnej, prędzej czy później spada na dno Oceanu Arktycznego... miejsca, które ludzie rzadko oglądają. A na lądzie wieczna zmarzlina sprawia, że pod kołem podbiegunowym jakiegokolwiek wykopaliska są praktycznie niemożliwe. Tak więc coś może istnieć miliony lat, a potem zniknąć, nie pozostawiając po sobie śladu. Nawet dziś nie mamy prawie żadnej paleontologicznej wiedzy o tym regionie.

Amanda pokręciła głową, nie dało się jednak zignorować tego, co widziała na własne oczy. Nie dało się też obalić tego, co powiedział Ogden. Arktykę tak naprawdę zaczęto badać dopiero w ostatnim dziesięcioleciu, po pojawieniu się nowoczesnej technologii i maszyn. Jej własny zespół w Omedze co tydzień odkrywał nowy gatunek. Różnica polegała jedynie na tym, że odkrywano niesklasyfikowany dotychczas plankton albo algi, a nie istoty na tak wysokim poziomie rozwoju.

- Rosjanie musieli odkryć te stwory, kiedy budowali stację - powiedział Ogden. - Albo zbudowali stację, bo odkryli stwory. Kto wie?

Amanda przypomniała sobie słowa Henry'ego: „...właśnie z tego powodu zbudowano tę stację”.

- Dlaczego pan tak uważa?

Natychmiast przyszło jej na myśl odkrycie z poziomu czwartego. To, którego dokonał Ogden, zdawało się nie mieć żadnego związku z tamtym.

- Czyż to nie oczywiste? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Amanda zmarszczyła brwi.

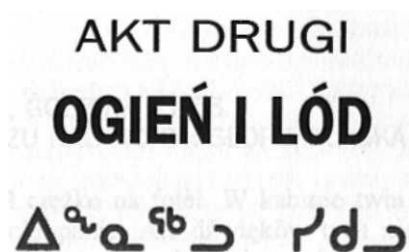
- Skamieliny *Ambulocetus* znaleziono dopiero w ostatnich dziesięciu latach. - Wskazał palcem pęknięcie w skale. - W okresie drugiej wojny światowej nic o nich nie wiadomo, więc Rosjanie nadaliby oczywiście takiemu potworowi własną nazwę.

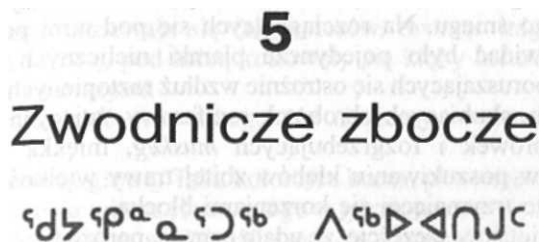
Oczy Amandy rozszerzyły się.

- Tak samo nazwali też swoją bazę. Jak sędzę, uznali to zwierzę za coś w rodzaju maskotki.

Amanda popatrzyła na zamrożone jezioro i stwora, który zdawał się skakać na nią przez lód. Wiedziała teraz, jak naprawdę nazywa się to, co zobaczyła. Potwór z nordyckiej legendy.

GRENDEL.





8 KWIETNIA, GODZINA 21.55

W POWIETRZU NAD NORTH SLOPE, ALASKA

Matt opadł ciężko na fotel. W kabinie twin ottera słychać było głośne chrapanie. Ale dźwięków tych nie wydawał ani śpiący dziennikarz, ani podsypiający ojciec Jenny, tylko rozciągnięty na grzbiecie w trzecim rzędzie foteli Bane. Szczególnie głośne chrapanie psa przywołało na usta Marta ślad uśmiechu.

- Zdawało mi się, że zamierzałeś zoperować mu skrzywioną przegrodę - powiedziała Jenny.

Ślad uśmiechu zamienił się w uśmiech. Bane chrapał, odkąd jako szczeniak spał zwinięty w nogach ich łóżka. Zawsze bardzo ich to bawiło. Matt poprawił się w fotelu.

- Chirurg plastyczny spod Nome powiedział, że wymagałoby to dość skomplikowanego zabiegu. Za wiele podcinania. Wyglądałby po tym jak buldog.

Jenny nie odpowiedziała, więc Matt zaryzykował spojrzenie w jej kierunku. Patrzyła przed siebie, ale skóra w kącikach jej oczu zmarszczyła się. Była to smutna wesołość.

Matt splótł ramiona i zaczął się zastanawiać, czy to wszystko, co potrafi z niej wydobyć. Na razie musiało wystarczyć.

Wyjrzał przez okno. Księżyc był tuż przed pełnią i jasna tarcza rzucała srebrny poblask na zaśnieżone płaskowyże. Tak daleko na północ zima ciągle jeszcze trzymała ziemię w swoich okowach, oznaki wiosny były już jednak widoczne: ruch zamglonego strumienia, zbieranie się jeziorek wody z roztopionego śniegu. Na rozciągających się pod nimi połaciach tundry widać było pojedyncze plamki nielicznych jeszcze karibu, poruszających się ostrożnie wzdłuż roztopionych cieków wodnych, skubiących chrobotek reniferowy, żujących świeże pędy borówek i rozgrzebujących *muskeg*, miękką torfową ziemię, w poszukiwaniu kłębow zbitej trawy wielkości dyni kurczowo trzymającej się korzeniami błočka.

- Mieliśmy szczęście, że udało nam się porozumieć z Deadhorse - mruknęła Jenny.

- Co masz na myśli?

Po wydostaniu się z Arrigetch udało im się złapać przez radio wieżę kontrolną zatoki Prudhoe w północnej części Alaski, czyli regionie Alaska North Slope. Poinformowali władze

cywilne i wojskowe o swojej ucieczce przez Góry Brooksa. Rano miano wysłać helikoptery, które poszukają wraka cessny. Wkrótce potem powimii się dowiedzieć, kim byli prześladowający ich ludzie. Mattowi udało się także złapać Carol Jeffries, swoją szefową z Bettles. Wiedziała, gdzie jest chata Jenny, i obiecała posłać tam kilka osób, by zajęły się psami. Craig również porozmawiał ze swoim informatorem w Prudhoe. Kiedy władze przesłuchają go i zwolnią, będzie miał niesamowity materiał na artykuł. Po nawiązaniu kontaktu ze światem zewnętrznym i przekazaniu, co im się przydarzyło, wszyscy się odprężyli.

Czy znowu coś było nie tak? Matt podciągnął się w fotelu.

Jenny wskazywała palcem na niebo.

Matt pochylił się do przodu. Z początku nie dostrzegł nic niezwykłego. Konstelacja Oriona świeciła jasno, dokładnie na wprost widać było Gwiazdę Polarną. Po chwili dostrzegł wznoszące się nad horyzontem migoczące pasma i serpentyny, błyski zieleni, czerwieni i błękitu. Wschodziła zorza polarna.

- Będziemy mieli wspaniałe widowisko - oświadczyła Jenny.

Matt opadł plecami na oparcie i zaczął obserwować rozbłyskujące na niebie kolorowe wachlarze i tańczące płomienie. To zjawisko ma wiele nazw: zorza polarna, północne światła, niebiańskie ognie. Indianie Atapaska nazywają je *koyukon* albo *voyakkyh*, podczas gdy Innuici mówią po prostu, że są to światła duchów”.

Po niebie rozlewała się fala kolorów, tworząc migoczącą, jaskrawą koronę, pod którą kotłowały się kłęby lazurów i soczystego karmazynu.

- Przez jakiś czas nikogo nie złapiemy - powiedziała Jenny.

Matt kiwnął głową. Taka kolorowa burza, powstająca w wyniku uderzenia wiatru słonecznego w górne warstwy atmosfery ziemskiej, zakłóca większość środków komunikacji. Ich cel nie był już jednak daleko. Zostało do niego może pół godziny lotu. Północny horyzont już zaczął się rozjaśniać światłami pól naftowych i znajdującej się za nimi zatoki Prudhoe.

Przez kilka kolejnych minut lecieli w milczeniu, rozkoszując się widokiem kolorowych światel na niebie, ciszę przerywało jedynie chrapanie Bane’a. Matt czuł, że ogarnia go spokój. Może był to jedynie efekt ciężkiego dnia, spowodowane przez wyrzut endorfin wrażenie beztróski i wygody, ale Matt pragnął, by ten stan trwał jak najdłużej.

W końcu to Jenny przerwała milczenie.

- Matt... - Ton jej głosu był łagodny.

- Proszę, nie... - powiedział cicho. Potrzebowali trzech lat i całego dnia walki o życie, aby móc przebywać w tej samej przestrzeni. Nie chciał psuć tego początku.

Jenny westchnęła. Wyczuł ukrytą w tym westchnieniu irytację.

Jej palce zacisnęły się na kole sterowym, potarcie skóry rękawiczki o winyl spowodowało niemiłe skrzyknięcie.

- Nieważne - szepnęła.

Chwila rozejmu minęła - a nie zostało powiedzianych nawet pięć słów. Kabinę wypełniło napięcie i resztę podróży odbyli w całkowitym milczeniu, źli i rozgoryczeni.

W dole pojawiły się pierwsze wieże wiertnicze, obwieszone żarówkami jak drzewka bożonarodzeniowe. Z lewej strony tundrę szpeciła poszarpana srebrna linia, wznosząca się i opadająca niczym gigantyczny metalowy wąż. Był to rurociąg Trans Alaska, którym rzeka czarnego złota płynęła od zatoki Prudhoe, czyli północnego wybrzeża półwyspu, do Valdez nad zatoką Prince William.

Dolatywali do celu. Prowadził ich rurociąg, wystarczyło aby Jenny leciała równoległe do niego. Włączyła radio i spróbowała nawiązać kontakt z wieżą w Deadhorse, ale jej zmarszczone czoło mówiło o bezskuteczności tych usiłowań. Niebo w dalszym ciągu szalało i błyskało.

Jenny zaczęła zataczać łagodne koło. Przed nimi, niczym w naftowej krainie Oz, noc rozświetlały światła miasta leżącego nad zatoką Prudhoe - jeśli w ogóle można było je nazwać miastem. Było to raczej skupisko należących do finny wydobywczej chat, w których kwaterowali ludzie zatrudnieni przy oczyszczaniu i transporcie ropy naftowej, oraz kilka sklepików. Przeciętna liczba mieszkańców owego „miasta” nie przekraczała stu osób, zmieniała się jednak w zależności od liczby ofert pracy i potrzebnych do jej wykonania robotników sezonowych. Była tu także mała baza wojskowa, służąca ochronie najważniejszego ośrodka produkcji ropy naftowej North Slope.

Za miasteczkiem rozciągały się Morze Beauforta i Ocean Arktyczny, ale trudno było powiedzieć, gdzie kończył się ląd i zaczynało morze. Od brzegu odchodziły ciągnące się całe kilometry pasy lodu, przechodzące stopniowo w krę tworzącą arktyczną czapę lodową. Kiedy nadchodziło lato, czapa lodowa malała i cofała się od brzegu, teraz jednak wszystko było zamrożone.

Jenny skierowała się ku morzu. Zamierzała okrążyć zatokę Prudhoe i ustawić maszynę do lądowania na pojedynczym pasie.

- Coś tu się dzieje - mruknęła, unosząc koniec skrzydła samolotu.

Matt również coś dostrzegł: migotanie szybkich ruchów na skraju miasteczka. Od strony bazy wojskowej przez zaśnieżone pola pędziła grupa pojazdów, kierując się mniej więcej na nich. Spojrzał do tyłu, w stronę, w którą mogły podążać.

W dole znajdował się koniec rurociągu. Otoczone płotem z siatki ogromne budynki Stacji Zbiorczej 1 i Stacji Pomp 1 były jasno oświetlone. Schładzano tu ropę, odgazowywano ją i usuwano z niej wodę, po czym gotowy produkt rozpoczynał sześciodniową, liczącą tysiąc dwieście kilometrów podróż do tankowców, stojących w zatoce Prince William.

Kiedy przelatywali obok Stacji Pomp 1, Matt zauważył, że część płotu jest przewrócona. Popatrzył ponownie na pędzące wojskowe pojazdy. Ogarnęło go złe przeczucie.

- Zabieraj nas stąd! - zawołał do Jenny.

- Co...

Gwałtowna eksplozja kazała Jenny zamilknąć. Budynek mieszczący Stację Zbiorcą 1 rozprysnął się, miotając we wszystkie strony płomienie, i ku niebu wystrzeliła kula ognia. Nagły podmuch rzucił ich samolotem, przekrzywiając go w powietrzu. Jenny zaczęła walczyć ze sterami, próbując zapobiec wywróceniu się samolociku do góry brzuchem.

Z tylnych foteli buchnął wrzask, przez który przebijało się szczekanie Bane'a.

Klnąc pod nosem, Jenny odbiła w bok. Wokół nich latały płonące kawały blach i rur, waląc z impetem w zaśnieżoną ziemię i budynki. Buchnęły kolejne ognie. Po chwili w powietrze wyleciał dach Stacji Pomp 1, dodając do ogólnego chaosu drugą kulę ognia. Dochodząca do budynku rura średnicy stu dwudziestu centymetrów eksplodowała i rozerwała się na niemal całej długości. We wszystkie strony zaczęła się rozbryzgiwać płonąca ropa naftowa. Płomienie strzelały dopóty, dopóki nie doszły do pierwszego z sześćdziesięciu dwóch zaworów bezpieczeństwa, które powstrzymały je przed przeniesieniem się na dalsze części rurociągu.

W ciągu kilku sekund idylliczna zimowa sceneria śpiącego miasteczka zamieniła się w piekło. W stronę morza popłynęły rzeki ognia, wijąc się i dymiąc. Zaczęły płonąć inne budynki. Mniejsze eksplozje rozsadzały magistrale i zbiorniki gazowe. Wszędzie biegali spanikowani ludzie, we wszystkie strony pędziły pojazdy.

- Jezu Chryste! - wrzasnął Craig, który przez cały czas przyciskał nos do szybki.

Z radia, na kanale ogólnym, wydobył się skrzeczący, zagłuszany przez trzaski głos:

- Natychmiast oczyścić przestrzeń powietrzną! Gdyby jakkolwiek maszyna próbowała wylądować - zestrzelić ją!

- Zamykają teren! - krzyknęła Jenny i szybko odbiła w bok.

Pomknęła nad zamrożone morze. Jej ojciec spoglądał w kierunku lądu.

- Co się stało?

- Nie mam pojęcia - odparł Matt, obserwując płonąca linię brzegową. - Wypadek, sabotaż... cholera wie, co to było, ale wyglądało na zsynchronizowane z naszym przylotem.

- To nie mogło mieć nic wspólnego z nami... - wymamrotał Craig.

Matt miał przed oczami przewrócony fragment płotu i pędzące z bazy wojskowe pojazdy. Ktoś włamał się na teren rafinerii i uruchomił alarm. Po ostatnich dwóch dniach Matt nie mógł odrzucić hipotezy, że może to mieć jakiś związek z nimi. Od chwili rozbicia się samolotu z dziennikarzem na pokładzie za nim i Mattem ciągnęło się pasmo katastrof. Komuś jak cholera zależało na tym, aby reporter polityczny „Seattle Timesa” nie dotarł do dryfującej na lodzie stacji SCICEX.

- Dokąd teraz? - spytał Craig.

- Zaczyna mi brakować benzyny - oświadczyła Jenny i stuknęła palcem we wskaźnik paliwa, jakby mogło to jakimś cudem przesunąć wskazówkę.

- Kaktovik - rzucił szorstko John. Jenny skinęła głową.

- Kaktovik? - powtórzył Craig.

- To wioska rybacka na wyspie Barter, niedaleko kanadyjskiej granicy. Mniej więcej sto osiemdziesiąt kilometrów stąd - wyjaśnił Matt i odwrócił się do Jenny. - Wystarczy ci paliwa?

Uniosła jedną brew.

- Może się zdarzyć, że będziesz musiał przez kilka ostatnich kilometrów nas popchać.

No to pięknie...

Twarz Craiga robiła się coraz bardziej blada. Już raz się rozbił. Bez dwóch zdań, miał zdecydowanie dość alaskiej komunikacji lotniczej.

- Niech pan się nie martwi - pocieszył go Matt. - Jeśli skończy się nam paliwo, twin otter będzie mógł wylądować na dowolnym kawałku płaskiego śniegu.

- I co wtedy? - spytał gorzko Craig, krzyżując ramiona.

- Wtedy zrobimy to, co proponuje nasza dama... popchamy.

- Daj spokój, Matt - przerwała mu Jenny i popatrzyła na dziennikarza. - Dolecimy do Kaktovik. A jeśli nie, to mam pod kadłubem zapasowy zbiornik. W razie potrzeby można ręcznie przepompować paliwo.

Craig skinął głową i odrobinę się rozluźnił.

Matt obserwował oddalającą się płonącą linię brzegową. Zauważył, że ojciec Jenny robi to samo. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały i Matt dostrzegł w oczach byłego teścia podejrzliwość. Te eksplozje były za bardzo skoordynowane, aby mogły być przypadkowe.

- Co o tym myślisz? - spytał John.

- Sabotaż.

- Dlaczego? Po co? Tylko z naszego powodu?

Matt pokręcił głową. Jeśli ktoś chciał w ten sposób zatrzymać twin ottera albo odwrócić ich uwagę, przypominało to próbę zabicia muchy za pomocą skrzynki dynamitu.

Craig usłyszał, o czym mówią.

- To przemyślane działania mające na celu odwrócenie uwagi i skierowanie podejrzeń w niewłaściwym kierunku - powiedział. Jego głos drżał.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Matt, z niepokojem przyglądając się dziennikarzowi. Już nieraz widział objawy stresu pourazowego.

Ale Craig tylko przełknął ślinę. Najwyraźniej nie dostawał świra, tylko po prostu się koncentrował, próbując zrozumieć to, co się wokół nich działo.

- Przekazaliśmy do Prudhoe informację, że nas zaatakowano. Ktoś miał jutro polecieć sprawdzić sytuację. Podejrzewam, że teraz to się odwlecze. Tutejsze władze, cywilne i wojskowe, przez tydzień będą miały pełne ręce roboty. Tym, co nas zaatakowali, pozostanie więcej niż dość czasu, aby zatrzeć wszystkie ślady.

- Myśli pan, że zrobiono to tylko po to, aby ktoś mógł posprzątać bałagan w górach?

Craig zbył to machnięciem ręki.

- Nie. Tak szeroko zakrojone działanie musi mieć ważniejsze uzasadnienie. Inaczej byłoby to marnotrawstwo środków.

To, co powiedział dziennikarz, było niemal kalką tego, co Matt sam przed chwilą pomyślał. Craig mówił dalej:- Eksplozje opóźnią rozpoczęcie jakiegokolwiek śledztwa w górach. Odwróć także uwagę redakcji i każą jej zająć się nową, znacznie bardziej podniecającą historią. Pożar nad zatoką Prudhoe będzie przez wiele dni na pierwszych stronach. Jaki reporter nie chciałby się tym zająć? Być na miejscu, obejrzyć wszystko na

własne oczy. - Craig pokręcił głową. - Najpierw dranie próbują mnie zabić, a teraz zamierzają przekupić znacznie bardziej podniecającą i obiecującą historią. Rzucają mi temat prosto na kolana.

- Odwrócenie uwagi i skierowanie podejrzeń w niewłaściwym kierunku... - powtórzył Matt pod nosem.

Craig potwierdził skinieniem głowy.

- Nie tylko naszej uwagi. My jesteśmy płótkami. Jestem gotów założyć się o swoje lewe jądro, że ten atak był planowany od dawna. My jesteśmy jedynie czynnikiem dodatkowym. Sabotażyści chcieli zamącić ludziom w głowach. Po tym ataku wszyscy skoncentrują się na zatoce Prudhoe, będą o niej dyskutować, badać, co się stało. Jutro przyjadą tu ludzie z CNN.

- Ale dlaczego?

Craig popatrzył na Matta, który z zaskoczeniem stwierdził, że oczy dziennikarza są twarde jak hartowana stal. Przypomniał sobie, jak tamten wycelował do niego z raketnicy. Ten człowiek nawet w stresie szybko myślał. Choć sprawiał wrażenie przestraszonego, tkwiły w nim ukryte rezerwy siły. Szacunek Matta dla dziennikarza rósł.

- Dlaczego? Jak powiedziałem, zrobiono to dla odwrócenia uwagi i skierowania podejrzeń w niewłaściwym kierunku. Chcą, aby cały świat przyglądał się tutejszym fajerwerkom... - Craig pomachał palcem - ...ponieważ prawdziwy cel znajduje się gdzie indziej. - Wskazał na północ. - Nie zamierzają dopuścić do tego, żeby ludzie patrzyli w tamtą stronę.

- Stacja dryfująca... - mruknął Matt. Craig ściszył głos.

- Coś ma się tam wydarzyć. Coś, co ktoś chce zachować w tajemnicy przed światem. Coś, dla czego warto było podpalić Prudhoe...

Matt rozumiał teraz, czemu naczelny gazety Craiga uparł się, aby przysłać tu właśnie jego. Dziennikarz próbował przedstawić to zlecenie jako efekt randek z bratanicą szefa, karę za złamanie zasad etyki zawodowej, ale Matt od początku tego nie kupował. Facet znał się na swojej robocie. Umiał znakomite kalkulować i orientował się w metodach prowadzenia rozgrywek politycznych.

- Więc co teraz? - spytał Matt.

Craig rzucił mu zdziwione spojrzenie.

- Lecimy do Kaktovik. Co innego możemy zrobić?

Matt zmarszczył czoło.

- Jeśli sądzi pan, że polecę na tę pieprzoną stację dryfującą, to pan oszalał - oświadczył po chwili dziennikarz. - Nic mnie tam nie zaciągnie.

- A jeżeli ma pan rację?

- Polubiłem własną skórę. Ten pokaz fajerwerków mnie nie zwiódł, ale nie zamierzam pchać palca między drzwi.

- Więc powiedzmy o tym komuś.

- Proszę bardzo, tyle że teraz, w tym rozgardiaszu, nikt nie usłyszy pana przez wiele dni. Zanim znajdzie pan jakiegoś słuchacza i ktoś wybierze się sprawdzić, co się dzieje na stacji, dawno będzie po wszystkim.

- Więc nie mamy wyboru. Ktoś musi tam dotrzeć. Craig pokręcił głową.

- Albo schować się w rybackiej wiosce i poczekać, aż wszystko się przetoczy.

Matt myślał o nieustępliwości ich prześladowców i wybuchach w zatoce Prudhoe.

- Naprawdę pan sądzi, że zostawią nas tam w spokoju? Jeżeli kupują sobie czas, aby posprzątać, może to również obejmować pozbycie się nas. Znają nasz samolot.

Wyraz twarzy Craiga zmienił się nagle. Wyglądał teraz, jakby zrobiło mu się niedobrze.

- I będziemy jak kaczki do odstrzału... - dodał Matt. Dziennikarz zamknął oczy.

- Nienawidzę Alaski... naprawdę nienawidzę.

Matt opadł ciężko na fotel. Popatrzył na Jenny. Wszystko słyszała.

- No i? - spytał.

Jenny spojrzała na wskaźniki.

- Jeżeli mamy lecieć tak daleko, muszę dotankować.

- Zrobisz to u Benniego w Kaktovik.

- Możemy tam być za godzinę, a za dwie odlecieć.

Matt skinął głową i popatrzył na północ. W głowie brzmiały mu słowa Craiga: „Coś ma się tam wydarzyć. Coś, co ktoś chce zachować w tajemnicy przed światem”.

Co to mogło być?

GODZINA 23.02

USS „POLAR SENTINEL”

- Dostaliśmy rozkaz pozostawania w gotowości, ale bez zajmowania pozycji. - Peny zajmował stanowisko peryskopowe. W centrali dowodzenia zebrali się wszyscy oficerowie.

Reakcją na jego słowa były pomruki niezadowolenia. Byli marynarzami, zawodowymi żołnierzami. Wszyscy wiedzieli o ataku na odległą o sześćset pięćdziesiąt kilometrów zatokę Prudhoe i palili się do działania.

Wiadomość dotarła do nich pół godziny temu za pomocą ślimaczego przekazu ELF, wykorzystującego płynące przez wody oceanu fale radiowe o tak wielkiej amplitudzie, że odbiornik wypluwa tylko po jednej literze naraz. Komunikacja w czasie rzeczywistym za pomocą satelitów NAVSAT oraz fal UKF była zawieszona z powodu burz na Słońcu.

Załoga miała nadzieję wyjść na brzeg Alaski, dołączyć do zespołów śledczych i pomóc przywrócić porządek. Nianczenie bandy naukowców w takiej chwili nie wchodziło w grę. Po tym, co się stało w Prudhoe, wszyscy oczekiwali rozkazu wkroczenia do akcji.

Ostatnie rozkazy od COMSUBPAC nadeszły pięć minut temu. Perry był tak samo zawiedziony jak jego ludzie.

- Coś wiadomo o przyczynie eksplozji? - spytał komandor podporucznik Bratt. W jego głosie wyraźnie słychać było rozczarowanie.

Perry pokręcił głową.

- Za wcześnie. Na razie próbują gasić pożary. Marynarze zaczęli już jednak wysuwać różne hipotezy: ekoterrorysty, zdecydowani za wszelką cenę ratować przyrodę Alaski przed dalszą eksploracją i wierceniami; Arabowie, zainteresowani przerwaniem wydobycia na Alasce; Teksasńczycy - z tego samego powodu. A także - jak zwykle - Rosjanie i Chińczycy. Co trzeźwiejsze umysły dopuszczały możliwość zwyczajnego wypadku, ale to założenie nie było zbyt rozrywkowe.

- No to będziemy siedzieć na zmarzniętych tyłkach i czekać - mruknął Bratt.

Perry wyprostował się. Nie mógł dopuścić do dalszego rozkładu morale.

- Do chwili otrzymania innych rozkazów będziemy wykonywać nasze dotychczasowe zadania - powiedział twardo. - Ten okręt ma pozostawać w pełnej gotowości, nie będziemy jednak zaniedbywać bieżących obowiązków. Za trzy dni ma się tu zjawić rosyjska delegacja po ciała swoich rodaków. Wolałby pan, żebyśmy zostawili naukowców samych podczas tej wizyty?

- Nie, komandorze. - Bratt wbił wzrok we własne buty. Był jednym z niewielu ludzi, którzy wiedzieli, co kryje się na poziomie czwartym Stacji Lodowej Grendel.

Rozmowę przerwał im dyżurny radiotelegrafista, który wszedł do centrali z podkładką do dokumentów w ręku.

- Komandorze Perry, mam pilną wiadomość od COMSUBPAC. Przekaz błyskawiczny. Tylko do pana wiadomości.

Perry przywołał go do siebie. Wziął od niego podkładkę i tajną wiadomość.

- Przekaz błyskawiczny? Jesteśmy z powrotem podłączeni pod NAVSAT?

Radiotelegrafista skinął głową.

- Mieliśmy szczęście, że przejęliśmy wiadomość w całości. Musieli nadawać systemem ciągłym, w nadziei że prześlizgną się przez którąś z przerw w burzy. Potem powtórzono wiadomość wolniej, na VLF.

Przekaz na wszystkich kanałach? Co mogło być aż tak ważnego? Radiotelegrafista cofnął się.

- Udało mi przekazać potwierdzenie odbioru.

- Doskonale, poruczniku. - Perry odwrócił się plecami do zaintrygowanych oficerów i otworzył przypiętą do podkładki kopertę. Wiadomość została wysłana przez admirała Reynoldsa. Kiedy Perry ją czytał, z każdą linijką lodowaty palec strachu sunął coraz wyżej po jego kręgosłupie.

FLASH*FLASH***FLASH***FLASH***FLASH***FLASH**

384749ZAPR

OD: COMSUBPAC PEARL HARBOR HI//N475//

DO: POLAR SENTINEL SSN-777

//BT//

DOT.: COMSUBPAC OPORD 37-6722A Z 8 KWIET TEM.: WCZEŚNIEJSZE PRZYBYCIE GOŚCI

SCI/SCIŚLE TAJNE - OMEGA

DO RĄK DOWÓDCY RMKS/

(1) SATELITA POLARNY POTWIERDZA: ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY KLASY AKULA II WYNURZYŁ SIĘ O 14.25 Z ANTENĄ NA WSPÓŁRZĘDNYCH ALFA PIĘĆ DWA PRZECINEK OSIEM KURS TRZY SIEDEM PRZECINEK JEDEN.

(2) JEDNOSTKA OKREŚLONA JAKO *DRAKON*, ROSYJSKI FLAGOWY OKRĘT PODWODNY. NA POKŁADZIE ADMIRAŁ WIKTOR PETKOW.

(3) ROSYJSCY GOŚCIE MOGĄ PRZYBYĆ WCZEŚNIEJ. INFORMACJE WYWIADOWCZE CO DO POWODU PRZYSPIESZENIA SKĄPE. W ZWIĄZKU Z OSTATNIMI WYDARZENIAMI W PRUDHOE WYSOKI POZIOM PODEJRZEŃ PRZEZ

WSZYSTKIE GRANICE. SABOTAŻ POTWIERDZONY. PODEJRZANI W DALSZYM CIĄGU NIEZNANI.

(4) *POLAR SENTINEL* JEST W STANIE GOTOWOŚCI I PATROLUJE Z MAKSIMUM NASŁUCHU.

(5) GOŚCI TRAKTOWAĆ PRZYJAŹNIE. CHYBA ŻE STWIERDZI SIĘ INNĄ POTRZEBĘ.

(6) PRIORYTETEM DLA *POLAR SENTINELA* NADAL POZOSTAJE OCHRONA INTERESÓW STANÓW ZJEDNOCZONYCH ZARÓWNO W STACJI DRYFUJĄCEJ OMEGA. JAK I STACJI LODOWEJ GRENDEL.

(7) W CELU WSPARCIA OCHRONY TYCH INTERESÓW WYZNACZONO ODDZIAŁY DELTA FORCE I SKIEROWANO JE DO ARKTYKI. KONTROLER OPERACJI. WYŚLANY PRZEZ WL. ZOSTAŁ WYŚLANY DO STREFY WCZEŚNIEJ. DALSZY INFORMACJE NASTĄPIĄ.

(8) GREG. DUŻO SZCZĘŚCIA I TRZYMAJ BUTY NA WYSOKI POŁYSK.

(9) PRZESYŁA ADM. K. REYNOLDS

BT

NNNN

Perry zamknął kopertę, zacisnął powieki i zaczął analizować to, co przeczytał.

Admirał zakodował wiadomość. WL to „wywiad Langley”, a więc w całej tej sprawie uczestniczyła CIA. Czy oddziały Delta również były rozmieszczane pod kontrolą CIA? Niedobrze. Tego rodzaju system organizacyjny powodował, że lewa ręka nie wiedziała, co robi prawa, poza tym śmierdziało to z daleka czarną operacją. „Dalsze informacje nastąpią” oznaczało, że nawet Dowództwo Sił Podwodnych, Flota Pacyfiku, było poza obiegiem informacji. Zły znak.

No i koniec: „Greg, dużo szczęścia i trzymaj buty na wysoki połysk”. Zwrócenie się po imieniu było równie dobitne jak cała linijka wykrzykników. W czasie jednego z oficjalnych przyjęć organizowanych przez marynarkę admirał Reynolds użył takich samych słów, kiedy na salę weszła frakcja, reprezentująca COMSUBLANT - Dowództwo Sił Podwodnych, Flota Atlantyku. Floty podwodne Pacyfiku i Atlantyku zażarcie ze sobą konkurują, co prowadzi do podjazdów, gier i rywalizacji, które ciągną się przez całe kariery. „Trzymaj buty na wysoki połysk” oznaczało mniej więcej tyle co: „Bądź gotów, bo zaraz w wentylator wpadnie gówno”.

Perry odwrócił się do swojego pierwszego oficera.

- Komandorze, proszę usunąć z okrętu cywilów. Proszę odwieźć ich do Omegi i sprowadzić ludzi pozostających na przepustce.

- Tak jest!

- Kiedy „Sentinel” zostanie zabezpieczony, przygotować go do zanurzenia na mój rozkaz.

- To znaczy, że płyniemy do zatoki Prudhoe? - spytał szef wachty.

Perry spojrzał w pełne nadziei twarze załogi. Wiedział, że aby wkroczyć do akcji, wcale nie muszą płynąć do Prudhoe. Jego ludzie na pewno to zrozumieją.

Zastukał metalową podkładką o udo.

- Trzymajcie buty na wysoki połysk, panowie. Mamy przed sobą niezły marsz.

GODZINA 23.32

KAKTOVIK, ALASKA

Jenny obchodziła twin ottera i oglądała go ze wszystkich stron, przyświecając sobie latarką. Jedno ze skrzydeł podziurawiła seria strzałów, ale sama konstrukcja nie została naruszona. Nic poza tym nie wymagało natychmiastowej naprawy - dziury można było zakleić taśmą samoprzylepną. Podczas oględzin Jenny popijała kawę.

Wylądowali na zaciemnionym pasie maleńkiego lotniska w Kaktovik pół godziny temu. Mężczyźni poszli do pobliskiego hangaru, gdzie przygotowano dla nich zaimprovizowaną kolację. Jenny widziała ich przez zatłuszczone szyby, pijących kawę i rozmawiających z inuicką kelnerką.

Tylko Bane pozostał z nią podczas oględzin i tankowania twin ottera. Obszedł samolot dokoła, kilka razy unosząc tylną łapę i zażółcając śnieg. Szedł teraz za nią krok w krok z wywalonym jęzorem, cały czas machając ogonem.

Jenny pochyliła się, by przejść pod ogonem, i wróciła do Benniego Haydona. Mężczyzna stał oparty o kadłub, z cygarem w zębach, trzymając jedną rękę na wężu do nalewania paliwa. Był kanciastej budowy, przysadzisty, na zaspane oczy nasunął czapkę z logo firmy Purolator.

- Możesz tu palić? - zdziwiła się Jenny. Wzruszył ramionami.

- Żona nie pozwala mi palić w domu. - Wykrzywił usta w lekkim uśmiechu i kiwnął głową w stronę inuickiej kelnerki.

Pracował kiedyś w biurze szeryfa, gdzie serwisował pojazdy patrolowe - do czasu aż zarobił wystarczająco dużo, aby wyprowadzić się z żoną z miasta i założyć własny warsztat. W tym samym hangarze prowadzili także firmę turystyczną i latali lekkimi samolocikami z ludźmi, którzy chcieli obejrzeć pobliski Narodowy Alaski Rezerwat Dzikiej Zwierzyny. Małe zwinne maszyny - niewiele więcej niż parolotnie z silnikiem od kosiarki i śmigłem - były idealnym środkiem transportu powietrznego w tutejszej surowej krainie. Potrafiły latać nisko nad tundrą, zmuszając do biegu stada karibu, i niemal wszędzie mogły wylądować. Początkowo turyści trafiali się im rzadko, ale po zwiększeniu się zainteresowania terenami rezerwatu w związku z wydobywaniem ropy Bennie zaczął wozić geologów, dziennikarzy, oficjeli rządowych, a nawet senatorów. Jego mały, leciutki samolocik szybko zamienił się w dwunastomaszynową flotę. Mechanik popatrzył na wskaźnik.

- Pełne z górką - powiedział i zabrał się do zwijania przewodu. - Oba zbiorniki.

- Dzięki, Bennie.

- Nie ma sprawy, Jen. - Wyjął końcówkę przewodu z wlotu zbiornika i zaczął odciągać go od samolotu. - Teraz opowiedz mi o tych dziurach po pociskach.

Jenny ruszyła za nim do hangaru.

- To długa historia, która jak na razie nie ma zakończenia. Bennie chrząknął znacząco.

- Podobnie jak ta z tobą i Mattem. - Skinął głową w kierunku okna hangaru. W północnym mroku jego jasne wnętrze świeciło jak latarnia morska.

Jenny westchnęła i poklepała człapiącego obok niej Bane'a. Nie przestając zwijać węża, mechanik popatrzył na nią.

- Wiesz, że przestał pić.

- Bennie, nie chcę o tym rozmawiać.

Ponownie wzruszył ramionami i wypuścił z ust wielką chmurę cygarowego dymu.

- Tylko mówię.

- Wiem.

Niewielkie drzwi hangaru gwałtownie się otworzyły. Stała w nich Belinda, żona Benniego.

- Wracacie już z tego zimna? Zaraz kończę smażyć jajka steki z karibu.

- Za sekundę, skarbie.

Ale Bane nie miał tyle cierpliwości. Łapiąc wysoko podniesionym nosem zapach smażącego się mięsa, zamachał wściekle ogonem i popędził w stronę drzwi.

Belinda poklepała go po łbie i pozwoliła mu przejść. Wskazała palcem na cygaro męża.

- Psa zapraszam, ale tego nie - powiedziała.

- Tak jest, moja droga. - Bennie popatrzył na Jenny, tak jakby mówił: „Zobacz, co muszę znieść”, ona jednak wyraźnie widziała łączące tych dwoje uczucie.

Belinda przepraszająco pokręciła głową i zamknęła drzwi. Była o dziesięć lat młodsza od męża, ale jej inteligencja i płynąca z życiowego doświadczenia dojrzałość sprawiały, że ta różnica wieku nie miała znaczenia. Była rdzenną mieszkanką Alaski i podobnie jak jej przodkowie, urodziła się w Kaktovik, lecz gdy była dorastającą dziewczyną, rodzice przeprowadzili się do Fairbanks, zabierając ją ze sobą. Było to na początku gorączki czarnego złota - powodzi ropy, pieniędzy i korupcji. Indianie i Innuici, pragnąc mieć udział w tym nagłym dobrobycie, zjeżdżali do miasta, porzucając rodzinne ziemie i wielowiekowe tradycje. Fairbanks było brudnym przemysłowym miastem, pełnym robotników budowlanych, przewodników psich zaprzęgów, kierowców ciężarówek i alfonsów. Innuici okazali się jedynie mięsem do przemiału. Aby pomóc rodzinie, Belinda w wieku szesnastu lat została prostytutką, a Benniego poznała, kiedy ją aresztowano. Wziął ją wtedy pod swoje skrzydła - dosłownie. Pokazał jej niebo nad Fairbanks i inne życie. W końcu wzięli ślub i wynieśli się razem z jej rodzicami z miasta.

Bennie wyprostował się, ostatni raz wciągnął dym z cygara, po czym rzucił je na ziemię i zdeptał.

- Wiem, co sądzisz o Matcie, Jen.

- Bennie... - W tonie jej głosu zabrzmiało ostrzeżenie.

- Posłuchaj mnie. Wiem, jaką stratę ponieśliście... oboje... - zdjął poplamioną smarami czapkę i przeciągnął dłonią po rzednących włosach - ...ale jesteście jeszcze młodzi. Nowe dziecko...

- Nie chcę! - Zabrzmiało to jak szczeknięcie, Jenny wyrzuciła z siebie te słowa odruchowo. Ledwie je wypowiedziała, przypomniała sobie, że Matt tak samo jej przerywał, nie była jednak w stanie dłużej powstrzymać złości. Jak Bennie śmiał myśleć, że wie, co to znaczy stracić dziecko? I wyobrażać sobie że „nowe” dziecko mogłoby zastąpić stracone!

Bennie wpatrywał się w nią, mrużąc jedno oko. Kiedy ponownie się odezwał, mówił spokojnym, wyważonym tonem:

- Jen, myśmy też stracili dziecko... dziewczynkę.

Spojrzała na niego. Jej złość zniknęła jak zdmuchnięty płomień świecy.

- Boże... kiedy?

- Rok temu... poronienie. - Bennie wpatrywał się w ciemne śnieżne przestrzenie. W dali migotały pojedyncze światła leżącej nad morzem wioski. Westchnął ciężko. - Prawie zniszczyło to Belinę.

Jenny wyraźnie widziała teraz, że jego także. Odchrząknął.

- Potem dowiedzieliśmy się, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Ma jakieś blizny. Lekarze uważają, że to z powodu... - Głos Benniego się załamał. Pokręcił głową i dodał: - ...z powodu komplikacji, związanych z jej dawną robotą.

- Bennie, tak mi przykro...

Zbył jej współczucie machnięciem ręki.

- Cóż, walczymy dalej. Takie jest życie.

Jenny popatrzyła na Belinę, która ze śmiechem dolewała Mattowi kawy. Poza świstem wiatru, dmącego przez tundrę, nic nie było słychać.

- Ale ty i Matt... - odezwał się ponownie Bennie - jesteście przecież młodzi.

Usłyszała w myśli niewypowiedziane przez niego słowa: „Moglibyście mieć jeszcze jedno dziecko”.

- Byliście dobrą parą - stwierdził, otrzepując śnieg z butów. - Najwyższy czas, abys sobie o tym przypomniała.

Jenny popatrzyła przez okno do środka hangaru.

- Pamiętam o tym... - Powiedziała to szeptem, bardziej do siebie niż do Benniego.

Poznała Matta w trakcie śledztwa w sprawie kłusownictwa w Górach Brooksa. Doszło do konfliktu między prawami gwarantowanymi rdzennym mieszkańcom oraz regulacjami rządu federalnego, dotyczącymi polowania w parkach narodowych w celu zdobycia żywności. Matt reprezentował interesy państwa, kiedy jednak zobaczył, jak nędzne życie prowadzą członkowie miejscowych plemion, stał się jednym z ich najgłośniejszych orędowników. Umiał postrzegać świat nie tylko przez pryzmat prawa, ale także w kontekście ludzkim, co było rzadkością w przypadku przedstawicieli organizacji rządowych. Zrobiło to na Jenny duże wrażenie.

Zbliżyli się do siebie podczas przygotowywania nowych rozwiązań prawnych, które miały zapobiec podobnym kontrowersjom w przyszłości. Początkowo szukali okazji do spotykania się, które miały związek z pracą, potem jednak, kiedy zabrakło im pretekstów, po

prostu zaczęli umawiać się na randki. Trochę potrwało, zanim jej rodzina zaakceptowała białego człowieka, ale w końcu podbił ją swoim urokiem, niezłomnym charakterem i wielką cierpliwością. Polubił go nawet ojciec Jenny.

Bennie odchrząknął.

- Więc nie jest za późno, Jen.

Chwilę jeszcze patrzyła w okno, po czym odwróciła się do Benniego.

- Czasami jest. Niektórych rzeczy nie da się wybaczyć. Bennie popatrzył jej prosto w oczy.

- Jen, to był wypadek. W głębi serca dobrze o tym wiesz. Jej złość, która nigdy głęboko się nie schowała, ponownie zapłonęła. Zacisnęła dłonie w pięści.

- Pił.

- Ale nie był wtedy pijany, prawda?

- Jakże to ma znaczenie?! Nawet jedna kropla alkoholu... - Jenny zaczęła dygotać. - Miał pilnować Tylera. Gdyby nie był...

Bennie wpadł jej w słowo:

- Jen, znam twoje zdanie na temat alkoholu. Jezu, wystarczająco długo pracowaliśmy razem w Fairbanks. Wiem, co robił z twoimi ziomkami... co zrobił twojemu ojcu.

Jego słowa były jak cios pięścią w brzuch.

- Bennie, przekraczasz granicę.

- Ktoś musi. Byłem w komisariacie, kiedy przywieziono twojego ojca, do jasnej cholery! Wiem! Twoja matka zginęła w wypadku samochodowym, ponieważ twój ojciec był pijany!

Odwróciła się, ale nie dało się uciec od jego słów. Miała wtedy szesnaście lat. Nazwano to zjawisko „alkoholizmem epidemicznym”. Choroba alkoholowa wyniszczała Inuitów, jej przekleństwo ciągnęło się przez pokolenia, po drodze zabijając i okaleczając - poprzez akty agresji, samobójstwa, utonięcia, przemoc w rodzinie, wady wrodzone i płodowy zespół alkoholowy. Pełniąc obowiązki szeryfa, Jenny widywała całe wsie, które opustoszały wyłącznie wskutek działania alkoholu. Jej własna rodzina również nie uchroniła się przed nieszczęściem.

Najpierw zginęła matka, potem syn.

- Twój ojciec spędził rok w więzieniu - kontynuował Bennie. - A potem zapisał się do AA, przestał pić i odnalazł spokój duszy, wracając do tradycji.

- To nieważne. Nie... nie mogę mu wybaczyć.

- Komu? - Głos Benniego smagnął ją jak pejcz. - Ojcu czy Mattowi?

Jenny odwróciła się gwałtownie. Miała zaciśnięte pięści, była gotowa uderzyć. Bennie stał bez ruchu.

- Tyler byłby martwy niezależnie od tego, czy Matt pił wtedy, czy nie.

Brutalność tych słów szarpnęła grubą bliznę, którą Jenny w sobie wytworzyła. Otaczała ona nie tylko jej serce, ciągnęła się także przez brzuch do nóg, a potem znów wspiniała w górę, ku szyi. Tylko ta blizna pozwalała jej żyć dalej. Kiedy ciało nie może się wyleczyć, zabliznia ranę - podobnie uczyniła Jenny ze swoją duszą. Słowa Benniego tak bardzo ją zabolowały, że z oczu pociekły jej łzy.

Bennie podszedł i objął ją, a ona bezwiednie przytuliła się do niego. Chciała odrzucić jego słowa, uderzyć go, ale w głębi serca myślała podobnie. Czy wybaczyła ojcu? W jakiej części jej późniejsze życie zostało ukształtowane przez wściekłość? Zaczęła pracować w biurze szeryfa, aby w tragediach i kaprysach życia dostrzec jakiś porządek, znaleźć spokój w zasadach, przepisach i procedurach, w których kara była czymś wyrażanym w jednostkach czasu - roku, pięciu latach, dziesięciu - a grzechy po odbyciu odpowiedniej pokuty były wybaczone. Ale spraw tkwiących głęboko w sercu nie da się podporządkować zasadom.

- Jeszcze nie jest za późno - powtórzył jej Bennie do ucha. Z ustami wciśniętymi w jego kurtkę wymamrotała swoje poprzednie „czasami jest”. Była o tym całkowicie przekonana. To, co kiedyś dzieliła z Mattem, zostało zniszczone w sposób niepozwalający na naprawę.

Drzwi ponownie się otworzyły, wypuszczając na dwór ciepło kolacji, zapach smażonego oleju i czyjś radosny śmiech. W progu stanął Matt.

- Naprawdę powinniście wejść do środka.

Jenny oderwała się od Benniego i przeciągnęła palcami przez włosy. Miała nadzieję, że łzy na jej policzkach już wyschły.

- Samolot jest zatankowany. Możemy lecieć od razu po jedzeniu.

- A dokąd to się wybieracie? - spytał Bennie.

Matt wykrzywił się do niego. Postanowili z Jenny, że dla dobra osób postronnych zachowają cel swojej podróży w tajemnicy.

- Co ty kombinujesz, Bennie? Mechanik wzruszył ramionami.

- Nie można mieć do człowieka pretensji, że próbuje.

- Można. - Matt odwrócił się do wnętrza hangaru. - Belindo, czy wiesz, że twój mąż obściskał się z moją byłą na dworze?

- Powiedz Jenny, że może go sobie zatrzymać. Matt odwrócił się ponownie do nich i uniósł kciuk.

- Macie zielone światło. - Zamknął im drzwi przed nosem. - Dobrej zabawy!

Jenny pokręciła głową.

- I ty chcesz, żebym się z nim pogodziła? Bennie ponownie wzruszył ramionami.

- Jestem tylko mechanikiem. Co ja w ogóle wiem?

GODZINA 23.56

NA POKŁADZIE „DRAKONA”

Admirał Wiktor Petkow obserwował świat przez monitory w centrali dowodzenia. Przed okrętem, niczym czarny koc, rozciągała się masywna pokrywa lodu, oświetlana od dołu przez zewnętrzne reflektory „Drakona”. Czterech nurków w kombinezonach termicznych spędziło ostatnie pół godziny na mocowaniu kuli z tytanu. Należało wwiercić od spodu w lód kilka metrowych prętów zabezpieczających oraz przytwierdzić do nich kulę w taki sposób, aby wisiała pod lodem, nie dotykając go.

Instalowano właśnie ostatnie z pięciu identycznych urządzeń. Każdą z kul umieszczono w odległości stu kilometrów od lodowej wyspy, w której znajdowała się porzucona rosyjska baza - stanowiły końce ramion ogromnej gwiazdy, której środkiem była stacja lodowa. Punkty umieszczenia kul zostały dokładnie obliczone i teraz potrzebny był jeszcze tylko ładunek wyzwalający. Musiał się znaleźć dokładnie pośrodku owej „gwiazdy”.

Wiktor Petkow patrzył w ciemną wodę za nurkami i myślał o wielkiej lodowej wyspie i zamkniętej w niej stacji. Nie mógł sobie wyobrazić lepszego miejsca do odpalenia systemu.

Moskwa wydała mu rozkaz odzyskania wyników pracy ojca i usunięcia wszelkich śladów, ale admirał miał znacznie rozleglejsze plany.

Jeden z nurków wcisnął kciukiem znajdujący się na górze kuli przycisk i na obwodzie urządzenia zapalił się szereg błękitnych lampek. Oczy Wiktora Petkova błysnęły. Ostatnie z pięciu urządzeń zostało aktywowane. W niebieskim świetle wyraźnie widać było namalowane na powierzchni kuli litery rosyjskiego alfabetu - skrót nazwy Instytutu Badań Arktycznych i Antarktycznych.

- To czujniki do badań naukowych? - spytał stojący obok admirała kapitan Mikowski. W jego głosie wyraźnie słychać było powątpiewanie.

- Najnowsza technologia batymetryczna, służąca do pomiaru zmian poziomu mórz, prądów, stopnia zasolenia wody i gęstości lodu - odpowiedział cicho Wiktor Petkow.

Kapitan „Drakona” pokręcił głową. Nie był naiwnym rekrutem. Przed opuszczeniem doku w Siewieromorskim Kompleksie Wojskowym otrzymał rozkaz eskortowania admirała Petkowa podczas podróży do zaginionej przed laty rosyjskiej stacji lodowej, domyślał się jednak, że za tą wizytą kryje się coś więcej. Widział w Siewieromorsku wnoszone na pokład urządzenia i broń. Wiedział też, że nadawcą części komunikatów, docierających do okrętu, jest FSB.

- Te urządzenia nie mają żadnych zastosowań wojskowych? - zapytał ponownie. - Na przykład takich jak podsłuchiwanie Amerykanów?

Wiktor Petkow spojrzał na niego bez słowa i wzruszył ramionami. Nie zamierzał niczego młodemu kapitanowi wyjaśniać. Czasem najlepiej pozwolić, aby czyjeś podejrzenia doprowadzały do najoczywistszych wniosków.

- Ach... - Mikowski kiwnął głową i z szacunkiem popatrzył na kulę, udając, że rozumie milczenie Petkowa.

Admirał powrócił do obserwowania monitorów. Może z biegiem lat młody kapitan się nauczy, że gry, w które grają ci, którzy posiadają władzę, to sztuka mistyfikacji.

Przed dziesięcioma laty Petkow zwerbował doborową grupę naukowców z IBAA i rozpoczął w Siewieromorskim Kompleksie Wojskowym realizację tajnego projektu. Nie było w tym nic niezwykłego - w ciągu minionych lat prowadzono tam wiele prac badawczych. Ale ten projekt, o nazwie Fala Uderzeniowa, nadzorował osobiście Wiktor Petkow - podówczas jeszcze kapitan - i badacze składali raporty tylko jemu. Na terenie położonego daleko na północy kompleksu, z dala od ciekawskich oczu, nietrudno było ukryć ten projekt wśród wielu innych. Nikt nie kwestionował działalności Petkowa - nawet wtedy, gdy wszystkich sześciu naukowców uczestniczących w realizacji projektu zginęło w katastrofie lotniczej. Miało to miejsce dwa lata temu i oznaczało przerwanie prac.

A przynajmniej tak mogło się wydawać.

Nikt poza Wiktorem Petkowem nie wiedział, że w tamtym momencie badania były już zakończone.

Widoczni na monitorze nurkowie zaczęli oddalać się od tytanowej kuli.

Wszystko zaczęło się od opublikowanej w 1979 roku pracy, w której wykazano związek dwutlenku węgla ze stopniowym ocieplaniem się globu. Straszliwa wizja topnienia

polarnych czap lodowych implikowała przerażające scenariusze podnoszenia się poziomu oceanów i ogólnoświatowej powodzi. W ówczesnym Związku Radzieckim najważniejszym ośrodkiem, zajmującym się badaniem tego rodzaju zagrożeń, był oczywiście Instytut Badań Arktycznych i Antarktycznych - w dawnym Leningradzie, a dziś Sankt Petersburgu, w którym znajduje się jedna z największych na świecie baz danych dotyczących zlodowaceń na kuli ziemskiej. Po długich analizach wyciągnięto wniosek, że jeśli roztopienie się lodów Grenlandii i Antarktyki mogłoby spowodować podniesienie się poziomu oceanów o ponad sześćdziesiąt metrów, to czapa lodowa wokół północnego bieguna nie niesie takiego zagrożenia. Ponieważ lód Arktyki *de facto* pływa po oceanie, wypiera tyle samo wody, ile wytworzyłby po roztopieniu. Podobnie jak roztopienie się pływających w szklance wody kostek lodu nie powoduje wylania się wody ze szklanki, także stopienie się arktycznej czapy lodowej nie podniosłoby poziomu wód oceanów. W 1989 roku jeden z badaczy IBAA dostrzegł jednak inne - o wiele większe - zagrożenie, jakie mogłoby powstać w przypadku nagłego zniknięcia arktycznej czapy lodowej. Nie byłoby warstwy izolującej Ocean Arktyczny. Nie mając odbijającej promienie słoneczne tarczy ochronnej, ocean zacząłby znacznie szybciej parować, w wyniku czego do atmosfery dostałoby się mnóstwo pary wodnej, co znacznie zwiększyłoby ilość opadów - deszczu i śniegu. Wnioski z raportu IBAA były jednoznaczne: tego rodzaju zmiana ziemskiego klimatu spowodowałaby chaos w dotychczasowym układzie pogodowym i zakłóciła system prądów oceanicznych, wywołując powodzie, doprowadzając do dezintegracji ekosystemów, zniszczenia upraw rolnych i zrujnowania ogólnoświatowej gospodarki.

Prawdziwość tej przepowiedni została potwierdzona w 1997 roku, kiedy doszło do lekkiego przesunięcia prądów Pacyfiku, zwanego zjawiskiem El Nino. Wedle szacunków amerykańskich agencji rządowych, światowe straty z tego powodu wyniosły ponad 90 miliardów dolarów oraz 50 000 zabitych - a zostało to spowodowane jedynie lekkim przesunięciem prądów morskich w ciągu jednego roku. Zaburzenia powstałe w wyniku zniknięcia północnej czapy lodowej trwałyby przez wiele dziesięcioleci i obejmowałyby wszystkie oceany, nie tylko Pacyfik. Byłaby to katastrofa nieporównywalna z czymkolwiek, co wydarzyło się w historii ludzkości.

Po zapoznaniu się z tym raportem zarządzono oczywiście zbadanie możliwości ewentualnego wojskowego wykorzystania owych zaburzeń klimatycznych. Czy można zniszczyć arktyczną czapę lodową? Badania szybko wykazały, że siła potrzebna do stopienia

takiej ilości lodu przekracza możliwości aktualnej technologii nuklearnej. Tak więc wydawało się, że sprawa pozostanie jedynie w kręgu teoretycznych rozważań.

Ale jeden z naukowców IBAA doszedł do wniosku, że wcale nie trzeba roztopiać lodów Arktyki - wystarczy je zdestabilizować. Jeżeli czapa lodowa byłaby częściowo rozpuszczona, a skorupa lodu spękana, reszty mogłyby dokonać jedno arktyczne lato. Gdyby zamienić twarde lód w rozmokły, promienie słoneczne miałyby łatwiejszy dostęp do znacznie większego obszaru Oceanu Arktycznego, ogrzewałyby wodę wokół pokawałkowanego lodu, rozpuszczając kolejne fragmenty kry. Oznaczałoby to, że do zniszczenia arktycznej czapy lodowej wcale nie jest potrzebna energia jądrowa - wystarczyłoby samo słońce. Gdyby późną wiosną porozbijać lody Arktyki, pod koniec lata już by ich nie było.

Jak jednak zdestabilizować czapę lodową? Odpowiedź uzyskano w 1998 roku, kiedy kolejny z naukowców IBAA, badający procesy krystalizacji lodu w warunkach arktycznych i związki między prądami morskimi a tworzeniem się torosów, podporządkował te procesy teorii harmonii. Stwierdził on, że lód, zwłaszcza pod wpływem dużego ciśnienia, zachowuje się jak każda inna struktura krystaliczna i przy zastosowaniu drgań określonej częstotliwości może zostać rozbity jak kielich z kryształu.

Właśnie ta praca stała się teoretyczną podstawą projektu Fala Uderzeniowa, którego celem było opracowanie metody sztucznego wytworzenia takiego zestawu fal harmoniczych i wartości temperaturowych, który doprowadziłby do rozsadzenia arktycznej czapy lodowej.

Kiedy zredukowano zewnętrzne oświetlenie okrętu, widoczna na monitorze tytanowa kula rozbłysła w ciemnej wodzie. Wiktor Petkow spojrzął na umocowany na swoim nadgarstku monitor. Plazmowy ekranik pokazywał pięcioramienną gwiazdę. Koniec każdego jej ramienia świecił. Trzeba było jeszcze tylko zainstalować w środku główny mechanizm odpalający.

Nie potrwa to już zbyt długo.

Wiktor Petkow wciąż wpatrywał się w jarzące się na monitorze nadgarstkowym punkciki.

Naukowcy, którzy zginęli w katastrofie lotniczej, nazwali tę konstelację matrycą Polaris - od Gwiazdy Polarnej, choć zasilany ładunkiem atomowym główny mechanizm odpalający wcale nie działał na niebiańskich zasadach. Było to subsoniczne urządzenie przerywające. Po aktywizacji najpierw miało eksplodować jak konwencjonalna broń atomowa, wyrwijąc wokół siebie krater średnicy półtora kilometra, następnie - zamiast fali

elektromagnetycznej, co miałyby miejsce w przypadku broni jądrowej - miało wysłać przez lód falę harmoniczną. Fala ta powinna uderzyć równocześnie we wszystkie pięć tytanowych kul i spowodować ich wybuch, dzięki czemu fala harmoniczna zostałaby wzmocniona i rozesłana we wszystkie strony z siłą wystarczającą do rozkruszenia całej arktycznej czapy lodowej.

Wiktor Petkow przetarł ekranik. W rogu znajdowało się małe czerwone serduszko, którego migotanie było zsynchronizowane z jego pulsem.

Już wkrótce...

Resztę nocy spędzi, testując system, upewniając się, że wszystko jest w porządku.

Czekał sześćdziesiąt lat... poczeka jeszcze jeden dzień.

Od ukończenia projektu Fala Uderzeniowa musiał czekać jeszcze dwa lata, ale uspokajała go świadomość, że dysponuje matrycą Polaris. Teraz był przekonany, że to los poprowadził go za rękę. Odkryto Stację Lodową Grendel, grobowiec ojca. Z pewnością był to jakiś znak. Odzyska ciało ojca, zabierze ukrytą w sercu stacji nagrodę, po czym zdetonuje Polaris i na zawsze zmieni świat.

Patrzył na gasnące jeden po drugim światła zewnętrznych reflektorów. Tytanowa kula Polaris jarzyła się w ciemności, stając się w arktycznej nocy Gwiazdą Polarną.

Dziesięć lat temu nie bez powodu zaczął realizację projektu Fala Uderzeniowa. Wybrał właśnie taki sposób kary. Pomogły mu w tym końcowe słowa raportu z 1989 roku. Naukowiec, który go sporządził, przewidział jeszcze jedno niebezpieczeństwo związane ze zniszczeniem arktycznej czapy lodowej - znacznie poważniejsze niż powódzie i chaos klimatyczny.

Wraz z wyparowywaniem Oceanu Arktycznego pochodząca z niego woda wracałaby na ziemię w postaci opadów - w północnych rejonach świata jako śnieg. Z biegiem czasu śnieg zamieniałby się w lód, tworzył potężne nowe lodowce i powiększał już istniejące. Lodowce te coraz bardziej by się rozszerzały, obejmowały kolejne tereny i przesuwały się coraz bardziej na południe.

Po 50 000 lat zaczęłaby się nowa epoka lodowcowa.

Patrząc na światło Polaris w czarnych wodach Arktyki, Wiktor Petkow rozmyślał nad symetrią wydarzeń.

Jego ojciec zginął, zamarzając w lodzie - teraz taki sam los czeka świat.



9 KWIETNIA, GODZINA 5.43

W POWIETRZU NAD ARKTYCZNĄ CZAPĄ LODOWĄ

Przez przednią szybę kokpitu twin ottera Matt obserwował słońce, wspinające się nad szczytem świata. Światło odbijało się od krzywizny lodu, boleśnie podrażniając oczy, które piekły aż do głębi oczodołów. Jenny założyła lotnicze okulary przeciwsłoneczne, on jednak obserwował piękno polarnego świtu gołymi oczami. Na tej szerokości geograficznej można się było spodziewać nie więcej niż dziesięciu wschodów słońca - potem jego zimna kula zawisnie na niebie na cztery miesiące. W takim miejscu jak to człowiek uczył się doceniać każdy wschód i zachód słońca.

Poranek był szczególny - wiatrowi z południowego wschodu udało się zwiać wszechobecne mgły i opary, zazwyczaj oblepiające całą okolicę. W dole we wszystkich kierunkach rozciągał się nieskazitelny świat poślizgniętego białego lodu, pokrytych lśniąca warstwą poszarpanych wierzchołków i powstałych ze stopionego śniegu jeziorzek o barwie nieba.

Od strony horyzontu, niczym różowy przypływ, sunęło w ich stronę światło słońca. Po błękitnie nieba rozchodziły się sfalowane pasma różnych odcieni pomarańcza i karmazynu.

- Nadchodzi burza - doleciał z głębi kabiny szorstki głos ojca Jenny, który właśnie się obudził.

Matt odwrócił się do niego.

- Dlaczego tak sądzisz?

Zanim John Aratuk zdążył mu odpowiedzieć, zaspany Craig wydał z siebie niezadowolony pomruk. Najwyraźniej nie był zainteresowany inuickimi prognozami pogodowymi. Leżący za dziennikarzem Bane podniósł łeb i ziewnął, jakby chciał rozerwać sobie szczękę. Chyba tak samo jak Craigowi nie podobało mu się, że go budzą.

Stary Innuita pochylił się do przodu i wskazał palcem na północ. Ta część nieba nadal była ciemna, jakby tuż nad horyzontem kłębił się dym. Powietrze wirowało i skręcało się.

- Mgła lodowa - wyjaśnił Innuita. - Temperatura spada mimo podnoszącego się słońca.

- Masz rację, pogoda wyraźnie się zmienia - przyznał Matt.

Burze w tych okolicach rzadko są łagodne. Jest tu albo spokojnie i przejrzyste - jak było właśnie w tej chwili - albo szaleje straszliwa burza. Ponieważ na tych szerokościach geograficznych rzadko pada śnieg, wiatry przybierają postać gwałtownych szkwałów, wzbijających w powietrze lodowy pył i okruchy, co powoduje utratę wszelkiej widoczności.

Matt popatrzył na Jenny.

- Zdążymy dotrzeć na czas do stacji dryfującej?

- Powinniśmy.

Było to pierwsze słowo, jakie powiedziała od opuszczenia Kaktovik. Matt czuł, że u Benniego coś ją zdenerwowało, nie chciała jednak na ten temat rozmawiać. Zjadła posiłek tak metodycznie jak przebijająca się przez uparte zbocze koparka, po czym zniknęła w biurze na krótką drzemkę. Nie było jej najwyżej pół godziny, a kiedy stamtąd wyszła, miała czerwone oczy. Nie wyglądało na to, żeby spała.

Jej ojciec popatrzył na Matta, który odwzajemnił to spojrzenie. Kiedy Jenny i Matt byli małżeństwem, obaj mężczyźni bardzo się zaprzyjaźnili. Razem biwakowali, polowali i łowili ryby, ale po stracie jedyne go wnuka Inuita - tak samo jak Jenny - zaczął traktować zięcia jak wroga.

Matt wiedział jednak, że John nie obwinia go o śmierć Tylera. Stary Inuita lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, jak trudne jest życie na pustkowiach Alaski, jak wielkie jest tam ryzyko nagłej śmierci. Dorastał w niewielkiej nadmorskiej wiosce nad przesmykiem Kotzebue niedaleko Cieśniny Beringa, jego pełne imię brzmiało Junaqaat, a zostało zmienione na John, kiedy przeprowadził się w głąb lądu. Podczas mrozów w 1975 roku mieszkańcy wioski poumierali z głodu - cała społeczność zniknęła w ciągu jednej zimy. John stracił wtedy rodzinę, ale jego los wcale nie był czymś wyjątkowym. Środki do życia zawsze były na zamrożonej północy skąpe, słabsi nie mieli szans przetrwać.

Choć John nie winił zięcia o utonięcie wnuka, miał do niego żal za paskudny okres, który nastąpił potem. Matt nie był wtedy dobry dla jego córki. Poczucie winy i rozpacz sprawiły, że stał się pusty w środku i zaczął częściej zaglądać do kieliszka. Nie umiając przeciwstawić się oskarżeniu, które wciąż widział w oczach Jenny, zamknął przed nią dostęp do swojego świata. Powiedzieli sobie wtedy słowa, które nigdy nie powinny być wypowiedziane, i w końcu zrobiło się tego zbyt wiele. Złamani i pobici, rozszczepili się - rozpadli na dwie części.

Ojciec Jenny położył Mattowi dłoń na ramieniu. Jego palce zawsze były bardzo delikatne. Matt dostrzegł w tym geście chęć uspokojenia go i akceptację. Innuici umieli nie tylko z godnością przyjmować śmierć, ale także wybaczać. John poklepał go po ramieniu i wrócił na swoje miejsce.

Matt wpatrywał się bez ruchu w lodowaty blask poranka. Od lat nie czuł się tak niepewnie. Było to niezbyt przyjemne - jakby w jego wnętrzu obluźowało się coś ciężkiego i zakłóciło mu równowagę.

Jenny sprawdziła na mapie kierunek i odległość.

- Za pół godziny znajdziemy się na współrzędnych, które podał Craig.

Matt nie odwracał wzroku od szyby.

- Czy nie powinniśmy zawiadomić bazy przez radio? Dać im znać, że nadlatujemy?

Pokręciła głową.

- Dopóki się nie dowiemy, co tam się dzieje, lepiej się nie ujawniajmy. Poza tym komunikacja radiowa w dalszym ciągu jest byle jaka.

W trakcie lotu łapali na różnych otwartych kanałach skrawki komunikatów. Informacja o wybuchach w zatoce Prudhoe rozeszła się natychmiast. Dokładnie jak przewidział Craig, na miejsce zjeżdżały agencje informacyjne, a spekulacje kwitły.

Ponury jak chmura gradowa dziennikarz wyprostował się na swoim fotelu.

- Jeżeli zjawimy się niespodziewanie, to jak uzasadnimy nasze przybycie? Wpadniemy tam jako reprezentacja organów prawa? Jako dziennikarze śledczy? Jako poszukujący kryjówek zbiegowie?

- Może pan zapomnieć o jakimkolwiek wdarciu się do środka przy mojej pomocy - oświadczyła Jenny. - Ten teren nie jest pod moją jurysdykcją. Według mnie powinniśmy przekazać im wszystko, co wiemy, i ostrzec ich. Ludzie, którzy nas zaatakowali, mogą być tuż za nami.

Craig rozejrzał się po pustym niebie, najwyraźniej szukając prześladowców.

- Czy baza będzie w stanie nas ochronić? - spytał. Matt odwrócił się do niego.

- Wie pan o tej stacji więcej niż ktokolwiek z nas. Jaki kontyngent marynarki wojennej tam stacjonuje?

Craig pokręcił głową.

- Nie przekazano mi żadnych informacji na temat celu mojej podróży... po prostu kazano mi się spakować i wpełzną do pierwszego samolotu Alaska Airlines, jaki odlatywał z Seattle.

Matt zmarszczył czoło. Musiał tam być przynajmniej okręt podwodny z załogą. Może w samej stacji też są żołnierze...

- No cóż, niezależnie od tego, kto tam jest, będą musieli nas przyjąć z powodu nadchodzącej burzy - stwierdził. - Potem nakłonimy ich do tego, aby nas wysłuchali. A czy nam uwierzą, to już inna para kaloszy. Po wybuchach w Prudhoe na pewno będą podejrzliwi.

Jenny kiwnęła głową.

- Masz rację, najlepiej rozegrać to właśnie w taki sposób.

- Kilka stopni na północ widzę coś - wtrącił John. - Czerwone budynki.

Jenny skorygowała kurs.

- To stacja dryfująca? - spytał Craig.

- Nie jestem pewna - odparła Jenny. - Te budynki znajdują się jakieś dziesięć kilometrów od współrzędnych, które mi pan podał.

- Takie namiary dostałem w redakcji.

- To wynik prądów - pogodził ich Matt. - W końcu to miejsce nazywa się „stacją dryfującą”. Nawet się dziwię, że jest tak blisko współrzędnych. Pana informacje pochodzą przynajmniej sprzed tygodnia.

Jenny skierowała samolot prosto na grupkę czerwonych chat.

Z każdą chwilą widać było więcej szczegółów. Niedaleko stacji znajdowała się duża płoń; w lód wokół wody powiercano stalowe pachołki - Matt doszedł do wniosku, że muszą służyć do cumowania okrętu podwodnego. Ale w tej chwili płoń była pusta. Za jeziorkiem wody Matt naliczył piętnaście budynków - rozpoznał w nich chaty typu Jamesway, zimową wersję chat Quonset. Pośrodku osady na wysokim maszcie łopotała amerykańska flaga.

- Przynajmniej baza jest amerykańska... - mruknął Craig, kiedy Jenny szykowała się do podejścia nad stację.

- W takim razie to musi być tutaj.

Z boku stacji stało kilka zaparkowanych w równej linii pojazdów. Od płoni do skupiska chat prowadziły wyraźne ślady pojazdów i ludzi, a drugie pasmo zmielonego gąsienicami lodu - proste jak z łuku strzelił - odchodziło od bazy i znikало w oddali. Dokąd

wiodło? Zanim Matt zdążył mu się dobrze przyjrzeć, Jenny zatoczyła półkole i przygotowała się do lądowania.

Z kilku budynków wyszli ludzie, ubrani w długie kurtki. Wszyscy patrzyli na niebo. Musieli usłyszeć hałas nadlatującego samolotu. W tak odległym miejscu arktycznej czapy lodowej goście na pewno byli rzadkością. Matt z ulgą stwierdził, że mieli kolorowe kurtki - dominowały zielenie, błękity, żółcie i czerwienie. Takie jaskrawe barwy mają ułatwiać odnalezienie towarzysza zagubionego w śnieżnej burzy.

Nie było wśród nich ani jednej białej kurtki.

Jenny wysunęła płozy i opuściła klapy, po czym zaczęła łagodnie obniżać lot, aby posadzić maszynę na płaszczyźnie gładkiego lodu, rozciągającej się na północ od bazy.

- Przypiąć się! - poleciła.

Twin otter opadał nosem w dół. Matt ścisnął dłońmi poręczę fotela. Po chwili samolot został ostro wypoziomowany i zaczął sunąć po lodzie. Drzenie, wywołane podskakiwaniem płóz na nierównym podłożu, sprawiło, że wszystkie nity w maszynie oraz plombę w zębach trzonowych Matta zaczęły dygotać.

Zaraz jednak po dotknięciu podłoża Jenny zredukowała moc i przestawiła klapy, aby łatwiej było hamować. Samolot zwolnił, a wibracje przeszły w łagodne postukiwania.

Craig odetchnął z ulgą.

- Witamy na środku Oceanu Arktycznego - powiedziała Jenny, po czym zawróciła samolot i pokolowała do oddalonej o kilkaset metrów stacji.

- Oceanu Arktycznego... - powtórzył jak echo Craig, niespokojnie wyglądając przez okienko.

Matt rozumiał jego obawy. Sam również od trzech lat nie ufał lodowi. Choć mogło się wydawać, że jest mocny, wcale nie musiało tak być. Dawał złudzenie solidności, fałszywe poczucie bezpieczeństwa, które zdradzało człowieka, kiedy najmniej się tego spodziewał. Wystarczyło odwrócić się na sekundę... stracić na chwilę koncentrację...

W dalszym ciągu ścisnął poręczę fotela, jakby spadali. Uważnie przyglądał się otaczającemu ich lodowemu światu. To tu było jego piekło - nie wśród buchających płomieni, ale w bezkresnym lodzie.

- Wygląda na to, że wysłano delegację powitalną - powiedziała Jenny, gdy zgasła silniki i śmigła wykonywały ostatnie obroty.

Matt spojrział w kierunku stacji. Jechało do nich sześć śnieżnych skuterów, obsadzonych ludźmi w identycznych granatowych kurtkach z naszywkami marynarki wojennej.

Ochrona stacji.

Jeden z mężczyzn podniósł się i powiedział przez trzymany w dłoni megafon:

- Natychmiast opuścić samolot! Trzymać ręce na widoku! Na jakąkolwiek próbę ucieczki albo wrogiego działania odpowiemy ogniem!

Matt westchnął.

- Najwyraźniej świat stracił wszelkie maniery...

GODZINA 6.34

STACJA LODOWA GRENDEL

Amanda patrzyła na panujące wokół zamieszanie, zdumiona ogromem pracy, wykonanej w ciągu jednej nocy. Ale przecież pora dnia nie miała w stacji większego znaczenia, zwłaszcza w ciemnych lodowych tunelach Zaplecza. Z ciekawością obserwowała ze swego milczącego świata krzątanie ludzi.

- Ostrożnie z tym! - wrzasnął Henry Ogden przez zamrożone jezioro. Nawet z tej odległości potrafiła odczytać z jego ust, co powiedział.

Pod nadzorem doktora dwójka studentów ostatniego roku próbowała ustawić maszt oświetleniowy. Miało to być czwarte źródło światła. Stojący w pobliżu na gumowych podkładkach generator, zasilający reflektory i inne urządzenia, podrygiwał gwałtownie, jakby miał szczególnie zły humor. Po lodzie wiły się przewody i kable.

Małe czerwone flagi na lodzie wyznaczały granice przeprowadzanych prac. Skalny klif również został zaatakowany. Opierało się o niego kilka stalowych drabin, a w wielu miejscach powbijano w skałę kolejne czerwone chorągiewki.

Amanda popatrzyła na lód, na którym za pomocą flag i taśmy zaznaczono prostokąty. Wiedziała, co to za „okazy” znajdują się pod lodem. Grendle, jak je zaczęli nazywać.

Wiść o odkryciu rozeszła się błyskawicznie. Prawdopodobnie doktor Ogden wcale nie zamierzał rozpowszechnić swego sekretu, ale w odizolowanej grupie naukowców nie da się długo zachować czegoś takiego w tajemnicy. Ktoś - nieważne kto - w końcu się wygadał.

W wielkiej gromadzie ramię w ramię pracowali zarówno studenci, jak i starsi pracownicy działu biologii, pojawili się jednak również naukowcy innych specjalności, a wśród nich także stary przyjaciel Amandy, doktor Oskar Willig. Szwedzki oceanograf cieszył się wielką

renomą wśród naukowej społeczności Omegi, jego osiągnięcia i zasługi były ogólnie znane, włącznie z Nagrodą Nobla z 1972 roku. Niesforne siwe włosy sprawiały, że był też doskonale widoczny i rozpoznawalny.

Aby do niego podejść, Amanda musiała okrążyć stertę pojemników na próbki i różnych pudeł. Wreszcie ktoś posypał lód piaskiem, a w bardziej uczęszczanych miejscach rozłożono gumowe maty. Doktor Willig klęczał na jednej z nich i wpatrywał się w głąb lodu.

Kiedy podeszła do niego, podniósł głowę.

- Amanda... - Uśmiechnął się i przykucnął na piętach. - Przyszłaś obejrzeć maskotkę stacji?

Odwzajemniła jego uśmiech.

- Widziałam ją już wczoraj w nocy.

Podniósł się z łatwością, która zadawała kłam jego wiekowi. Miał w końcu ponad siedemdziesiąt lat.

- Niesamowite odkrycie.

- Legendarny Grendel...

- *Ambulocetus natans* - poprawił ją doktor Willig. - Albo jeśli mamy wierzyć naszemu szacownemu koledze z Harvardu, *Ambulocetus natans arctos*.

Pokręciła głową. Podgatunek arktyczny... wyglądało na to, że doktor Ogden nie marnuje czasu.

- Co pan sądzi o jego twierdzeniu?

- Intrygująca teoria. Adaptacja prehistorycznego gatunku do polarnych warunków... ale od teorii do dowodu długa droga.

Amanda pokręciła głową.

- Ma dość materiału do opracowania.

- To prawda. Powinien być już rozto... - Willig wzdrygnął się i spojrzał przez ramię.

Podążyła za jego spojrzeniem i po chwili dostrzegła poruszenie, które ściągnęło jego uwagę i przerwało im rozmowę.

Henry Ogden i Connor MacFerran prawie stykali się nosami. Krzepki szkocki geolog wznosił się jak wieża nad niższym biologiem, Henry nie zamierzał jednak ustępować. Stał z rękami na biodrach, pochylony do przodu, niczym wściekły chichuahua przez pitbullem.

Doktor Willig odwrócił się do Amandy, aby mogła czytać z jego ust.

- No i znowu mamy zabawę. To już trzecie trykanie się łbami, odkąd przyszedłem tu godzinę temu.

- Lepiej sprawdzę, co się dzieje - powiedziała z wahaniem Amanda.

- Zawsze dyplomatka...

- Nie, raczej babysitterka.

Zostawiła doktora Williga i podeszła do zwaśnionych naukowców. Byli tak zaciętrzewieni, że nie zauważyli jej pojawienia się.

-...nie do czasu, aż wszystkie okazy zostaną zebrane!

Nawet jeszcze nie zaczęliśmy robić zdjęć! - krzyczał Henry, niemal przyciskając policzki do policzków Szkota.

- Nie możesz zabierać dla siebie całego pieprzonego czasu badań! Ten klif to bazalt z czystymi intruzjami karbonowymi. Chcę tylko pobrać kilka próbek.

- Ile?

- Nie więcej niż dwadzieścia. Twarz biologa pociemniała.

- Oszalałeś? Wszystko rozwalisz. Zmarnujesz nie wiadomo jak ważne dane.

Amanda ledwie była w stanie śledzić ich spór, czytając z warg, ale kompensowały to informacje, jakich dostarczały gesty i ruchy ciała. Wyglądało na to, że szykuje się bójka na pięści. W powietrzu niemal czuć było testosteron.

- Chłopcy... - powiedziała cicho.

Popatrzyli na nią, na jej skrzyżowane ramiona i surową minę. Cofnęli się o krok.

- O co tu chodzi?

Connor MacFerran odpowiedział pierwszy, ponieważ jednak miał gęstą brodę, Amandzie trudniej było czytać z jego ust.

- Byliśmy cierpliwi wobec zespołu biologicznego, ale każdy ma prawo pobierać próbki. A ta inkluzja - machnął ręką w stronę klifu - nie jest własnością doktora Ogdena.

Henry wzruszył ramionami.

- Mieliśmy tylko jedną noc na przygotowanie stanowiska. Nasze metody zbierania materiałów są znacznie delikatniejsze od niszczycielskich technik geologicznych. To po prostu sprawa priorytetu. Moje próbkowanie nie zniszczy inkluzji, ale jego z pewnością uszkodzi nasze okazy.

- To nieprawda!

Choć Amanda nie mogła słyszeć, że Connor podniósł głos, domyśliła się tego po zmianie koloru jego policzków i gwałtownych ruchach klatki piersiowej.

- Kilka odwiertów w pozbawionych twoich przeklętych mchów i porostów fragmentach klifu niczemu by nie zaszkodziło.

- Pył i hałas mogłyby zniszczyć wszystko. - Henry zwrócił się do Amandy. - Zdawało mi się, że zeszłej nocy podjęliśmy decyzję.

Skinęła głową.

- Connor, Henry ma rację. Ten klif jest tu od pięćdziesięciu tysięcy lat. Sądzę, że twój zespół może poczekać jeszcze kilka dni ze zbieraniem próbek.

- Potrzebuję przynajmniej dziesięciu - wtrącił szybko Henry.

- Ma pan trzy. - Odwróciła się do potężnego Szkota, którego usta rozciągnęły się w uśmiechu zadowolenia. - Wtedy pan będzie mógł zacząć zbierać próbki, ale pod warunkiem, że Henry się na to zgodzi.

Uśmiech olbrzyma zniknął.

- Ale...

Amanda odwróciła się. Kiedy jest się głuchym, to najlepszy sposób, aby komuś przerwać. Wystarczy przestać na niego patrzeć. Spojrzała znów na biologa.

- Henry, musi pan oczyścić w ciągu trzech dni część klifu, ponieważ po tym czasie wyrażę zgodę na rozpoczęcie wierceń.

- Ale...

Odwróciła się plecami do obydwu i ujrzała uśmiechającego się do niej szeroko doktora Williga. MacFerran ruszył na sztywnych nogach w kierunku wyjścia z tunelu, a Ogden poszedł w drugą stronę, do swoich podwładnych. Ten wymuszony rozejm powinien dać przynajmniej dobrą względną spójność, pomyślała Amanda.

Podszedł do niej doktor Willig.

- Przez chwilę sądziłem, że dasz im po klapsie.

- Za bardzo by im się to spodobało.

- Chodź. - Szwed dał jej znak ręką. - Powinnaś zobaczyć, co tak naprawdę chroni doktor Ogden.

Ujął dłoń Amandy i poprowadził ją w kierunku znajomego pęknięcia w wulkanicznej skale. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Już tam byłam.

- Tak, ale czy widziałaś, co wyczynia nasz kłótny naukowiec?

Tylko ciekawość pozwoliła jej iść dalej. Tym razem nie była w termicznym kombinezonie. Miała na sobie dzinsy, buty z cholewami, wełniany sweter i pożyczoną kurtkę z Goreteksu. Kiedy doszli do tunelu, poczuła, że jest jej gorąco. Z pęknięcia nieustannie wypływał strumień ciepłego powietrza.

Doktor Willig cały czas prowadził ją za rękę.

- To naprawdę niezwykle - powiedział.

- To znaczy? - Ciepło dekoncentrowało ją, podobnie jak lekki odorek zgnilizny, niesiony wilgotnym powietrzem. Po skale pod jej nogami płynęły strumyczki wody. Z góry również kapalo.

Po chwili weszli do groty. Podobnie jak w głównej części Zaplecza, którą właśnie opuścili, także i tu nastąpiła inwazja nowoczesnej technologii. W rogu dygotał generator. Pod dwiema ścianami stały ogrzewacze powietrza, skierowane ku środkowi groty. W jej centralnym punkcie zainstalowano na masztach dwa silne reflektory.

Poprzedniego dnia, przy świetle jednej latarki, grota wydawała się tajemnicza i zagubiona w czasie. Teraz, w świetle halogenów, wyglądała zupełnie inaczej.

Stwór, który leżał na podłodze, rozciągnięty i poprzybijany, nie był już czymś zamrożonym i prastarym. Wyeksponowane narządy wewnętrzne płakały strużkami wody i świeciły jak świeże mięso na rzeźnickim pieńku. Można było niemal uwierzyć, że sekcja rozpoczęła się nie sześćdziesiąt lat temu, ale poprzedniej doby.

Za truchłem stało sześć ociekających wodą wielkich bloków lodu, który nabrał teraz krystalicznej przejrzystości. W każdym bloku tkwiła zwinięta bladokóra bestia - nos był dokładnie pośrodku, skręcone ciało otaczało łeb, a następne koło zakreślał ogon.

- Czy te stwory coś ci przypominają? - spytał doktor Willig.

Amanda miewała czasem koszmary nocne, ale to, co widziała, z niczym jej się nie kojarzyło.

- Może to z powodu mojego nordyckiego pochodzenia, ale mnie przypominają nordyckie rzeźby przedstawiające smoki - powiedział doktor Willig. - Wielkie, zwinięte wym. Nos stykający się z ogonem. Symbol wiecznego kręgu życia.

Amanda próbowała podążać za tokiem jego myślenia.

- Sądzi pan, że wikingowie mogli się natknąć na te stwory? Te... grendle?

Wzruszył ramionami.

- Byli pierwszymi badaczami regionów polarnych, docierali przez północny Atlantyk do Islandii i podbiegunowych rejonów Grenlandii. Jeżeli tutaj mamy całe stadko tych istot, kto wie, czy nie ma ich w innych miejscach północnej zmarzliny?

- Sądzę, że to możliwe.

- To tylko luźna myśl... - Willig spojrział na roztopiające się bloki lodu - ale budzi we mnie złe przeczucie. Zwłaszcza w kontekście tylu zgonów, które miały miejsce w tej stacji.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Nie powinien nic wiedzieć o poziomie czwartym.

Następne jego słowa dowiodły jednak, że niepotrzebnie się niepokoїła.

- Wszyscy ci rosyjscy naukowcy i członkowie personelu... To straszliwa tragedia. Co tak naprawdę stało się tu sześćdziesiąt lat temu? Dlaczego stracono stację?

Amanda westchnęła. Pamiętała swoją pierwszą wizytę w tym lodowym grobowcu. Wszystkie te trupy... jedne - zasuszone szkielety, jakby śmierć nastąpiła z wygłodzenia, niektóre świadczyły o samobójczej śmierci, jeszcze inne wyglądały jak ciała ofiar gwałtownej przemocy. Mogła sobie tylko wyobrażać szaleństwo, jakie tu wtedy zapanowało.

- Nie możemy zapominać, że stację stracono w latach czterdziestych - powiedziała. - Przed okresem komunikacji satelitarnej. Zanim okręty podwodne zaczęły przepływać pod biegunem północnym i przed sporządzeniem mapy prądów arktycznych. Mógł wystarczyć jeden gwałtowny letni sztorm, utrata łączności, jakaś awaria techniczna w bazie czy nawet zatonięcie jednego statku z zapasami. Wszystkie takie wypadki mogły spowodować utratę stacji. W latach trzydziestych Arktyka była równie odległa od cywilizacji jak dziś dla nas Mars.

- Mimo wszystko to straszliwa tragedia. Skinęła głową.

- Może uzyskamy więcej odpowiedzi, kiedy za dwa dni dotrze do nas rosyjska delegacja. Jeżeli okażą się chętni do współpracy, może to i owo się wyjaśni.

Wiedziała jednak o czymś, o czym Rosjanie na pewno nigdy nie zechcą szczerze mówić. Nic nie usprawiedliwiałoby tego, co znaleziono na poziomie czwartym.

Oceanograf wpatrywał się w bloki lodu ze zwiniętymi grendlami i Amanda przypomniała sobie, że nie pozwoliła mu dokończyć ostatniej myśli.

- Mówił pan o złych przeczuciach. Coś w związku z nordyckimi rzeźbami przedstawiającymi zwiniętego smoka.

- No tak... - Willig potarł podbródek, co utrudniło jej odczytanie mu z ust ostatnich słów. Kiedy zobaczył, że Amanda mruży oczy, natychmiast opuścił dłoń. - Jak mówiłem,

symbol ten przedstawia odwieczny cykl życia, ma jednak jeszcze inne, znacznie mroczniejsze znaczenie. Biorąc pod uwagę tutejszą tragedię... los stacji... - Pokręcił głową.

- Co jeszcze oznacza?

Popatrzył na nią, aby mogła bez trudu odczytać, co mówi.

- Koniec świata.

GODZINA 7.05

Lacy Devlin była asystentką w dziale geologii pod kierownictwem Connora MacFerrana. Jej zmiana miała się zacząć dopiero za dwie godziny. Prawie całą noc spędziła z MacFerranem w jego tymczasowym pokoju w stacji. Zostawił w Kalifornii żonę, ale w końcu mężczyzna ma swoje potrzeby.

Uśmiechnęła się na wspomnienie nocy i przypięła łyżwy.

Wstała i spojrzała w głąb długiego, lekko zakrzywionego lodowego tunelu. Poprzeciągała się trochę, aby rozluźnić mięśnie w udach i łydkach. Nogi były jej znakiem firmowym. Drugie i umięśnione, lecz bardzo zgrabne, przechodziły w silne biodra. W 2000 roku była członkinią amerykańskiej reprezentacji olimpijskiej w łyżwiarstwie szybkim, ale zerwanie przedniego więzadła krzyżowego stawu kolanowego zmusiło ją do zakończenia kariery sportowej. Pozwoliło jej to przerwać dotychczasową niezbyt ciekawą pracę i zacząć studia w Stanford. Tam właśnie poznała Connora MacFerrana.

Zrobiła kilka kroków, by wypróbować shorttrackowe łyżwy. Wykonane na miarę buty z grafitu i kevlaru dokładnie obejmowały jej stopę i kończyły się tuż pod kostką. Po założeniu stawały się częścią jej ciała tak samo jak palce dłoni i stóp. Miała na sobie bieliznę termiczną, a na niej doskonale izolujący obcisły kombinezon w czerwone, białe i niebieskie pasy. No i oczywiście kask. Nie zwykły kask wyścigowy, lecz geologiczny hełm roboczy z latarką na czole.

Ruszyła. Wiele razy jeździła na łyżwach po lodzie na zewnątrz, ale tunele były znacznie bardziej wymagające. Wytopione przez wodę, pełne zakrętów przesmyki aż zapraszały do śmigania po nich.

Lacy mocno odpychała się nogami i maksymalnie wyciągała ciało, po nocy spędzonej z Connorem czując we wnętrzu lekki ból, który jeszcze potęgował jej radosne podniecenie i ekscytację. Minionej nocy po raz pierwszy powiedział, że ją kocha, wyszeptał jej to pospiesznie w ucho, wyrzucając z siebie pojedyncze słowa przy kolejnych pchnięciach. To wspomnienie tak ją rozgrzewało, że prawie nie czuła zimna.

W miejscu, z którego ruszyła, tunel lekko opadał, toteż od razu nabrała prędkości. Zamierzała przejechać trasę, którą pokonywała co dzień od odkrycia Zaplecza. Nie było tam miejsc interesujących geologów, więc nie posypano jej piaskiem. Po raz pierwszy Lacy obeszła tę trasę dwa miesiące temu, żeby sprawdzić, czy nie ma na niej przeszkód, i zapamiętać, jak skręcać, aby wrócić do miejsca startu.

Weszła ostro w pierwszy zakręt, podjeżdżając w górę zakrzywionej lodowej ściany. Od pędu świszczą jej w uszach. Kiedy wyszła z zakrętu, przykucnęła. Miała przed sobą całą serię ostrych zawijasów, kawałek szaleńczo poskręcane tunelu. Była to jej ulubiona część trasy.

Lewą rękę trzymała na plecach i balansowała ciałem, machając prawą ręką w rytm ruchów nogami. Prawa, lewa i znów prawa - chciała wpaść w ciąg zakrętów z większym przyspieszeniem. Wjechała w pierwszy z okrzykiem radości. Przy każdym kolejnym zawijanie wjeżdżała w górę ściany, ale szybkość, jaką utrzymywała, pozwalała jej zachować idealną równowagę.

Za odcinkiem z zakrętami była część wymagająca większej uwagi. Tunele krzyżowały się tu w wariackim labiryncie. Lacy lekko zwolniła, aby nie przegapić porobionych na lodzie znaków. Co prawda pamiętała kolejność zakrętów, nie chciała jednak popełnić błędu.

Przekręciła głowę, tak że światło latarki na helmie sięgnęło daleko w głąb tunelu, nadając lodowi półprzezroczysty blask. Znaczki - pomarańczowe strzałki - można było dostrzec bez trudu, bo zdawały się świecić własnym światłem.

Wpadła do pierwszego oznakowanego strzałkami tunelu, mijając ślepe zaułki i tunele, prowadzące do niebezpiecznych miejsc. Kiedy mijała jeden z nich, daleko w głębi przesunęły się jakieś cienie, jechała jednak za szybko, by dokładniej im się przyjrzeć. Zaryzykowała spojrzenie za siebie, niestety, była już za daleko - pod tym kątem promień latarki nie mógł wniknąć w głąb oddalającego się szybko tunelu.

Popatrzyła w przód. Przy prędkości, jaką rozwijała, najważniejsze było skupianie się na tym, co było przed nią. Zaczęła się denerwować - czuła się tak, jakby ktoś polał ją lodowatą wodą. Zadowolenie i radość zamieniły się w gniotący niepokój.

Próbowała pozbyć się tego uczucia.

- To tylko płatające figle cienie - powiedziała głośno, w nadziei że dźwięk własnego głosu ją uspokoi, stało się jednak inaczej: echa tych słów tylko ją przestraszyły. Zabrzmiały o wiele za głośno.

Uświadomiła sobie nagle, jak bardzo jest tu samotna.

W tym momencie usłyszała cichy stuk i zgrzyt. Prawdopodobnie to tylko jakiś oderwany kawałek lodu ześlizgnął się do tunelu i w coś uderzył, lecz Lacy mimowolnie zacisnęła szczęki. Wykręciła szyję i ponownie popatrzyła za siebie. Promień światła ukazał jedynie ciemny korytarz, ale tunel zakręcał, więc niewiele mogła zobaczyć.

Dobrze, że ponownie spojrziała do przodu, bo mało brakowało, a nie zauważyłaby kolejnej pomarańczowej strzałki. Musiała zahamować i ostro skręcić w odpowiedni korytarz.

Drżały jej nogi. Strach szybko męczył mięśnie. Doszła do wniosku, że powinna skręcić o jeden tunel wcześniej. Zaznaczyła to przejście, ponieważ wjeżdżało się nim na dodatkowe, niemal kilometrowe okrążenie. Wcześniejszy tunel był skrótem, z którego zazwyczaj nie korzystała, bo jej zwykła trasa wynosiła sześć kilometrów, teraz jednak chciała uciekać z tej cholernej płataniny, wrócić do ludzi, znaleźć się w ramionach Connora.

Przyspieszyła, by jak najszybciej pokonać to dodatkowe okrążenie, zostawić przesuające się cienie jak najdalej za sobą. Po przejechaniu kilkuset metrów doszła do wniosku, że wszystko to jej się tylko wydawało. Nie było żadnych podejrzanych cieni ani hałasów, jedynie ostry świst tnących lod łyżew.

Zaczęła wyjeżdżać z okrążenia. Tunel lekko się wznosił i dla utrzymania prędkości trzeba było popracować nogami. Na szczęście pomagały jej rozpęd i gładkość lodu. Weszła w znajomy rytm kolejnych odepchnięć od lodu ze świadomością, że trasa zaraz się skończy, że jest już w drodze do domu.

Zaśmiała się cicho. Czego się bała? Co mogło się kryć tu na dole? Zastanowiła się nad swoimi reakcjami. Może to noc spędzona z Connorem obudziła w niej złe przeczucia, jakieś echo poczucia winy? Wiele razy spotykała jego żonę na uniwersytecie. Linda była miłą, delikatną kobietą o życzliwym, przyjaznym stosunku do ludzi. Nie zasługiwała na takie...

Zgrzytliwy odgłos lodu przesuwanego po lodzie powrócił.

Teraz jednak dolatywał z przodu...

Lacy przyhamowała. W głębi korytarza, przy samym końcu okrążenia, przesunęły się cienie. Światło jej latarki nie sięgało tak daleko. Ruszyła powoli dalej. Musi sprawdzić, czy jest się czego bać. Z każdym jej krokiem światło wnikało głębiej w tunel.

- Halo! - zawołała. Może kręcił się tam jeden z naukowców, który wybrał się na samotną eksplorację terenu.

Nie otrzymała odpowiedzi. Nic więcej się nie poruszyło. Cienie zniknęły.

- Halo! - powtórzyła Lacy. - Jest tam kto?

Jechała powoli dalej. Podążała za światłem swojej latarki jak za przewodnikiem.

Okrażenie się skończyło i tunel powrócił do labiryntu. Lacy miała wysuszone i ściśnięte gardło, czuła się niemal tak, jakby ktoś ją dusił. Muszę tylko przejechać przez ten labirynt... i niedługo będę w domu.

Mimo poczucia winy marzyła przede wszystkim o ujrzeniu Connora. Sama myśl o tym wielkim mężczyźnie z silnymi dłońmi i szerokimi barkami przyspieszała pracę jej nóg. Kiedy znajdzie się w jego ramionach, będzie bezpieczna.

Wjechała do labiryntu. Niczego tu nie było. Złudzenia optyczne - próbowała przekonać samą siebie. To tylko lód, światło i cienie.

Podążała za linią pomarańczowych znaczników, świecących w ciemności jak promienie naprowadzające. Jeden skręt, drugi. Nagle w głębi czarnej studni światło jej latarki wyłowiło dwa rozjarzone czerwone punkty. Lacy od razu zorientowała się, co widzi. Ślepie - nieruchome, wielkie, pozbawione wszelkich uczuć. Gwałtownie zahamowała, wzbijając fontannę okruchów lodu. Wstrząsnął nią strach. Poczwała, że puścił jej pęcherz, po wewnętrznej stronie uda pociekła gorąca strużka.

Cofnęła się o krok, potem jeszcze jeden. Drżały jej nogi. Najchętniej by zawróciła i zaczęła uciekać, ale bała się odwrócić plecami do tych ślepi. Powoli kontynuowała odwrót.

Nagle ślepie zniknęły, choć Lacy nie umiała powiedzieć, czy stało się tak dlatego, że promień latarki przestał do nich sięgać, czy dlatego, że owo coś odeszło. Uwolniona spod paralizującego spojrzenia, zawirowała w miejscu i pomknęła przed siebie.

Pędziła do przodu, gnana przerażeniem. Machała gwałtownie rękami i nie odbijała się nogami, lecz kopała lód, wybijając w nim dziury. Pognała na ślepo w płataninę korytarzy. Strzałki, które wcześniej porobiła, miały pokazywać drogę przy objeżdżaniu wyznaczonej trasy w kierunku przeciwnym do kierunku obrotu wskazówek zegara i tylko w takim przypadku wskazywały prawidłowy kierunek poruszania się. Teraz, kiedy Lacy jechała „pod prąd”, wskazywały na stwora za jej plecami.

Po chwili zgubiła drogę.

Pojechała wąskim tunelem, w którym jeszcze nigdy nie była - właściwie nie tyle tunelem, co raczej wąskim pęknięciem w lodzie. Jej oddech zamienił się w chrapliwe westchnienia, krew pulsowała w uszach, ale bicie serca nie było wystarczająco głośne, by mogło zagłuszyć drapnięcia po lodzie.

Lacy zaczęła płakać, a łyzy zamarzały jej na policzkach. Przeżona, drobiła nogami w ciemnościach, na szczęście przesmyk wkrótce nieco się poszerzył, co pozwoliło jej odpychać się z większym impetem. Musi uciekać... musi cały czas się poruszać. Z jej gardła wydobył się głuchy jęk - nie brzmiał jak jej zwykły głos, nie była go jednak w stanie powstrzymać.

Odwróciła głowę do tyłu i poświeciła za siebie. Ciasnym tunelem coś się skradało. Coś ogromnego. W masywnym kształcie świeciły czerwone ślepia, reszta była biała niczym tocząca się ściana śniegu.

Niedźwiedź polarny! - wrzasnęło coś w jej głowie.

Przypomniały jej się pogłoski, że sonar DeppEye zarejestrował jakiś ruch.

Krzyknęła i znów rzuciła się do ucieczki.

Kiedy wypadła zza zakrętu, zauważyła, że kilka metrów przed nią podłoże się urywa. Jasny lód przechodził w ciemność. Była studentką geologii, więc знаła nazwę tego zjawiska: ścinanie lodu. Jak każdy kryształ, poddawany naciskowi lód łamie się, co powoduje powstawanie pionowych ścian w lodowcach. To samo zjawisko może występować wewnątrz wysp lodowych.

Lacy gwałtownie wbiła czubki łyżew w lód, nie wystarczyło to jednak do wyhamowania, zwłaszcza że tunel w tym miejscu opadał. Wyprysnęła za krawędź, prosto w ciemną pustkę. Wrzasnęła tak głośno, że mogło to spowodować popękanie lodu. Rozpaczliwie machając rękami i nogami, poleciała w dół.

Dół nie był duży i miał nie więcej niż pięć metrów głębokości, ale najpierw z jego dnem zetknęły się łyżwy Lacy. Impet okazał się zbyt silny - mimo kevlarowej osłony w jednej ze stóp pękła kość. Kolano drugiej nogi z taką siłą uderzyło o lód, że Lacy poczuła ból aż do barku. Upadła jak szmaciana lalka.

Ból przyćmił lęk, ogłuszył wszystkie końcówki nerwów.

Lacy spojrzała w górę, ku krawędzi.

Światło latarki umocowanej na jej czole uniosło się.

Stojąca na górze bestia zawahała się. Obserwowała Lacy martwymi ślepiami, jarzącymi się czerwono w promieniu światła latarki. Po chwili szpony stwora wbiły się w lód, napięły się mięśnie potężnych ramion i jego ciało wychyliło się za krawędź. Z przypominających pionowe rozcięcia nozdrzy wystrzeliwały chmurki pary, a z gardzieli wydobył się basowy, grmiący ryk, który zdawał się wprawiać w drzenie każdą cząsteczkę powietrza.

Lacy uświadomiła sobie, jak bardzo się przed chwilą pomyliła. To nie był niedźwiedź. Przerazenie niemal całkowicie stłumiło resztki jej zdrowego rozsądku.

Stwór musiał ważyć pół tony, jego skóra była gładka, jakby posmarowana olejem - podobnie jak u delfina. Miał podłużny łeb, bez uszu, ale wysoko wysklepiony, schodzący łukiem do również wydłużonego pyska, co nadawało całemu ciału smukły kształt. Pionowe nozdrza kończyły się bardzo wysoko, niemal nad szeroko rozstawionymi ślepiami.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Był zbyt wielki, zbyt pierwotny jak na współczesny świat. Choć Lacy niemal przekroczyła granicę szaleństwa, wiedziała, co widzi: coś prehistorycznego, dinozaurowatego... i zarazem ssakopodobnego.

Bestia również ją obserwowała. Cofnęła wargi, ukazując w wydłużonym pysku szeregi ostrych zębów, kontrastujących z różowymi dziąslami. Przypominające brzytwy szpony głębiej wbiły się w lód.

Resztki tkwiących w Lacy prymitywnych instynktów wyczuły prastary układ drapieżnik-ofiara. Z jej gardła wydobył się miaukliwy jęk.

Bestia zaczęła powoli schodzić do wyrwy w lodzie.

GODZINA 7.48

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Matt miał dość trzymania pod bronią. Godzinę temu został zaprowadzony do kantyny, gdzie siedzieli teraz przy jednym z czterech stolików. Połowę przestrzeni zajmowała mała kuchnia. Była teraz pusta i zimna. Prawdopodobnie śniadanie już zostało wydane.

Zaproponowano im kawę i chociaż konsystencją przypominała muł z dna Missisipi, była gorąca, więc przyjęli ją z radością. Craig dumiał nad swoim kubkiem, obejmując go dłońmi - jakby był wszystkim, co stało między nim a powolną, bolesną śmiercią.

Jenny siedziała obok ojca po drugiej stronie stołu. Jej złość, że wyciągnięto ich siłą z samolotu, nie ustąpiła nawet na jotę. Od uwięzienia ich w kantynie zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły. Odznaka szeryfa i dokumenty, które pokazała, wcale nie powstrzymały marynarzy z ochrony od zaprowadzenia ich pod bronią do zaimprovizowanej celi.

Jak Matt podejrzewał, po ataku na Prudhoe nikt nie zamierzał ryzykować. Nie było możliwości zadziałania z pominięciem dowództwa stacji. Znał to doskonale z czasów służby w wojsku.

Wpatrywał się w stojących przy drzwiach strażników - sądząc po naszywkach na mundurach, byli to bosman i mat. Obaj mieli przewieszane przez pierś karabiny, a w

kaburach przy pasach pistolety. Jenny odebrano broń - razem z karabinem służbowym, wiszącym w szafce z tyłu kabiny twin ottera.

- Dlaczego to tak długo trwa? - szepnęła przez zaciśnięte zęby.

- Pewnie komunikacja jest jeszcze zła - mruknął Matt. Dowódca oddziału zabezpieczenia wyszedł dwadzieścia minut temu, aby potwierdzić ich tożsamość, a to oznaczało konieczność skontaktowania się z kimś na lądzie, kimś, kto mógłby połączyć się z Fairbanks. Mogli tu spędzić cały poranek.

- Kto tu właściwie dowodzi? - spytała Jenny.

Matt wiedział, co jego była żona ma na myśli. Wyglądało na to, że oddział zabezpieczenia składa się z sześciu ludzi, którzy eskortowali ich do stacji. Gdzie byli pozostali marynarze? Przypomniawszy sobie, że kiedy nadlatywali nad stację, widział wyciętą w lodzie płoń i wbite w lód pacholki.

- Dowódca musi być na okręcie podwodnym - odparł.

- Na jakim okręcie podwodnym? - zainteresował się nagle Craig.

Matt wyjaśnił, co widział z powietrza.

- Stare stacje SCICEX zawsze były obsługiwane przez okręty podwodne marynarki wojennej. Ta stacja prawdopodobnie nie jest wyjątkiem, zwłaszcza że jesteśmy w głębi czapy lodowej. Mogę się założyć o własne zęby, że dowódca i wszyscy wyżsi oficerowie są na pokładzie okrętu podwodnego. Pewnie popłynęli pomóc w Prudhoe.

- A co z szefem zespołu badawczego? - spytał Craig. - Cywile też muszą mieć jakieś kierownictwo. Gdyby ktoś zechciał nas wysłuchać...

Odkąd zamknięto ich w kantine, zjawili się tu kilka osób - zarówno mężczyzn, jak i kobiet - aby pogapić się na przybyszów. Na ich twarzach malowała się ciekawość i żądza wiadomości ze świata. Jednego z naukowców - badacza NASA - strażnicy musieli wyprowadzić niemal siłą.

- Nie mam pojęcia, kto kieruje naukowcami, ale zaryzykowałbym stwierdzenie, że też go nie ma. - Matt wskazał głową wartowników. - Jestem pewien, że cywilny kierownik stacji dryfującej bez trudu by ich ominął.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kantyny wszedł komandor podporucznik Paul Sewell, dowódca ochrony stacji. Podszedł do stołu.

Bane wstał, ale Matt położył mu dłoń na łbie. Pies przysiadł na tylnych łapach, uważnie obserwując, co się dzieje.

Sewell położył na stole odznakę i legitymację Jenny.

- Pani tożsamość została potwierdzona - oświadczył i popatrzył na trzech mężczyzn. - Ale pani przełożeni w Fairbanks najwyraźniej nic nie wiedzą o pani wycieczce do nas. Powiedzieli, że jest pani na urlopie.

Położył na stole pozostałe dokumenty - odznakę Matta, prawo jazdy Johna i legitymację prasową Craiga. Jenny wzięła swoje rzeczy.

- A co z moim pistoletem i karabinem?

- Będą trzymane pod zamknięciem, aż wróci komandor. - Ton głosu Sewella nie dopuszczał możliwości jakiegokolwiek dyskusji. Mattowi podobał się jego sposób bycia - grzeczny, ale rzeczowy.

Jenny chyba podobał się mniej, bo jej mina stała się jeszcze bardziej ponura. Nie lubiła chodzić nieuzbrojona.

- Proszę pana, nie przylecieliśmy tu robić kłopotów - powiedział Craig. - Usłyszeliśmy o odkryciu przez was porzuconej stacji lodowej.

Komandor podporucznik popatrzył na niego zaskoczony.

- Mówi pan o tej rosyjskiej stacji?

Matt o mało nie zakrztusił się kawą. Rosyjska baza... Oczy Jenny rozszerzyły się, a jej ojciec bardzo powoli odstawił kubek z kawą na stół.

Jedynie Craig zachował spokój i odparł:

- Właśnie. Moja redakcja wysłała mnie, abym napisał reportaż o tym odkryciu, a ci państwo zgodzili się mnie eskortować po tym, gdy popadłem w... pewne kłopoty.

Matt odzyskał panowanie nad sobą.

- Próbowano go zabić - oświadczył. Komandor podporucznik pytająco uniósł brwi.

- Ktoś uszkodził samolot pana Teague'a i spowodował jego katastrofę - wyjaśnił Matt.

- Następnie zrzucono spadochroniarzy, aby dokończyli robotę. Ledwie udało nam się uciec i dotrzeć do szeryf Aratuk.

Jenny kiwnęła głową, potwierdzając jego słowa.

- Od tego czasu jesteśmy ścigani - dodał Craig. - Uważamy, że wybuchy nad zatoką Prudhoe mają coś wspólnego z tym wszystkim... z tutejszym odkryciem.

- W jaki... - Czoło Sewella pofałdowało się. - Chwileczkę! Kto panu powiedział o rosyjskiej stacji lodowej?

- Pochodzenie moich informacji jest poufne - odparł Craig, patrząc na niego. - Mogę rozmawiać na ten temat wyłącznie z kimś, mającym tu władzę. Z kimś, kto może nakazać działanie.

Na twarzy oficera pojawiły się zmarszczki. Widać było, że nie ma zaufania do przybyszów. Matt spostrzegł, że Craig uważnie obserwuje Sewella, próbując go wyczuć.

- Przed podjęciem jakichkolwiek decyzji muszę się skonsultować z komandorem Perrym, którego w tej chwili nie ma na stacji - powiedział w końcu dowódca ochrony.

Spychotechnika w górę hierarchii, pomyślał Matt.

- A kiedy ma wrócić? - spytał Craig. Sewell nie odpowiedział.

- Kto dowodzi stacją podczas jego nieobecności? - włączyła się Jenny. - Gdzie jest szef zespołu badawczego? Ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać?

Komandor podporucznik westchnął. Wyraźnie starał się pogodzić chęć bycia uprzejmym z potrzebą zachowania autorytetu.

- Doktor Amanda Reynolds, ale... jej również nie ma.

- Więc co będzie z nami? - spytała Jenny. - Nie może nas pan tak tu trzymać!

- Obawiam się, że mogę - odparł Sewell, po czym odwrócił się i odszedł. Wartownicy pozostali przy drzwiach.

- Niewiele nam to dało - stwierdził Matt po długiej chwili niezręcznej ciszy.

- Wręcz przeciwnie. - Craig przysunął się bliżej stołu - ściszył głos: - Rosyjska stacja lodowa. Nic dziwnego, że mnie nie wysłano. Musieli coś w niej znaleźć. Gorący kartofel polityczny. - Zaczął wyliczać na palcach: - Marynarka blokuje stację dryfującą. Naukowcy mają nakaz milczenia. Ktoś musiał się dowiedzieć o mojej podróży i próbował mnie powstrzymać. - Popatrzył po twarzach siedzących przy stole osób.

- Rosjanie? - zaryzykowała Jenny.

Craig skinął głową.

- Gdyby to było działanie naszego rządu, mogliby mnie powstrzymać jawnie, a ten, kto nas ścigał, trzymał nos przy samej ziemi, żeby radar go nie wykrył.

Matt potwierdził słowa dziennikarza skinieniem głową.

- On może mieć rację. Ci ludzie bez wątplenia mieli doświadczenie wojskowe. Mógł to być nieduży oddział uderzeniowy, wysłany dla przeprowadzenia delikatnej operacji.

- Ale dlaczego właśnie ja miałbym być ich celem? - zapytał Craig. - Jestem tylko dziennikarzem.

Matt pokręcił głową.

- Może jest pan jedyną osobą, która leciała tu z zewnątrz, albo jedyną wśród wszystkich osób zawiadamianych o ciekawych wydarzeniach, która coś wie o tutejszym odkryciu - powiedział. Przeanalizował szybko w myśli scenariusz, wedle którego przebiegały wydarzenia minionych dni, ale coś mu się w tym wszystkim nie zgadzało. Co w całej tej sprawie było aż tak ważnego, że uznano, iż wymaga takiej reakcji?

Przyjrzał się wartownikom marynarki. Stali sztywno, nie zachowywali się jak opiekujący się cywilami wojskowi. Wiedział z własnego doświadczenia, że właśnie tak zachowują się żołnierze tuż przed bitwą. A milczenie Sewella po pytaniu, kiedy może wrócić dowódca stacji... Matt wyraźnie czuł, że coś tu jest nie w porządku. Gdyby okręt popłynął do zatoki Prudhoe, aby pomóc, dowódcy nie byłoby przez kilka dni i Sewell na pewno zorganizowałby dla przybyszów pokoje, a to, że przetrzymywano ich w kantynie, świadczyło o tym, że komandor wkrótce ma wrócić. Jeżeli jednak tak było, dlaczego nie wezwano okrętu do Prudhoe? Katastrofa zdarzyła się niemal na ich własnym podwórku, więc dlaczego nie wyruszyli na pomoc? Dlaczego okręt musiał zostać w pobliżu stacji?

- Musimy się dowiedzieć, co tu jest grane - oświadczył Craig, wyrażając głośno to, co wszystkim chodziło po głowie.

- Jestem otwarty na wszelkie pomysły - mruknął Matt. Jenny poszukała jego wzroku, po czym powiedziała:

- Najpierw musimy wymyślić jakiś sposób dostania się do tej rosyjskiej stacji lodowej. Bez względu na to, co spowodowało cały ten bałagan, ma swoje źródło właśnie tam.

- Tylko jak? - zapytał Matt. - Nie możemy tam iść na piechotę, a samolot nam zaaresztowali.

Choć nikt nie miał żadnego pomysłu, widać było, iż wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że czas nieubłaganie mija, działając na ich niekorzyść.

Matt wyczuwał, że na tym kawałku zamrożonego terenu wkrótce dojdzie do wydarzeń, którym żadne z nich nie jest w stanie zapobiec. Rosjanie... Amerykanie... kryjąca jakieś tajemnice zagubiona rosyjska stacja...

W jaką tajną wojnę się wplątali?

Utrzymując ciszę

9 KWIETNIA, GODZINA 8.38

NA POKŁADZIE „DRAKONA”

Wiktor Petkow wyczuwał ogarniające młodego kapitana zniecierpliwienie. Przez ostatnią godzinę okręt unosił się z wyłączonymi silnikami dwa metry pod powierzchnią wody. Spód lodu był jeszcze bliżej - niecały metr od nich. Godzinę temu znaleźli w lodzie wąskie pęknięcie, zbyt wąskie na wynurzenie się, ale wystarczające do wysunięcia anteny.

Zgodnie z rozkazami czekali na mające nadejść *via* satelita komunikacyjny polecenie rozpoczęcia akcji od generała pułkownika Czenki z FSB, ale kompresowany przekaz spóźnił się. Admirałowi również zaczynała kończyć się cierpliwość. Ponownie popatrzył na zegarek.

- Nie rozumiem... - przerwał ciszę kapitan Mikowski. - Mamy dotrzeć do amerykańskiej stacji badawczej za dwa dni. Na co czekamy? Będziemy prowadzić kolejne ćwiczenia? Montować następne instalacje... meteorologiczne? - Podkreślił ostatnie słowo, nie krył sarkazmu. Cały czas sądził, że Polaris to urządzenie do podsłuchiwania Amerykanów.

Niech mu będzie, pomyślał Petkow.

Wszyscy obecni na mostku członkowie załogi byli mocno spięci. Wiedzieli o nocnym ataku na amerykańskie urządzenia wydobywcze na Alasce i choć nikt nie znał szczegółów, zdawano sobie sprawę, że w jego wyniku znajdujące się w pobliżu amerykańskie siły wojskowe otrzymały rozkaz pozostawania w gotowości bojowej i otaczające ich wody zrobiły się wyraźnie gorętsze.

Wiktor Petkow popatrzył na swój drugi nadgarstek. Kontrolujący przebieg misji Polaris monitor ciążył mu na nadgarstku. Ciekłokrystaliczny ekran przez cały czas pokazywał pięć świecących gwiazdek - brakowało tylko głównego zapalnika.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Przeprowadzone w nocy testy instalacji Polaris wykazały, że funkcjonuje bez zarzutu i wymaga jedynie drobnych korekt. Admirał znowu popatrzył na monitor. Zasilany energią jądrową system wykorzystywał najnowszą technologię dźwiękową, która mogła doprowadzić do popęknięcia całej arktycznej czapy lodowej, a w stanie „uśpienia” funkcjonował jako bardzo czuły odbiornik. Pięć końców „gwiazdy” tworzyło system radarowy, składający się z

gigantycznego lodowego talerza mogącego odbierać sygnały satelitarne o średnicy kilkuset kilometrów. Podobnie jak w przypadku systemów wykorzystujących fale o bardzo niskich częstotliwościach, niezależnie od miejsca, w jakim Wiktor Petkow by się znajdował, jego monitor mógł utrzymywać kontakt z instalacją Polaris.

Znajdujące się w rogu monitora serduszko przez cały czas migało w rytmie zsynchronizowanym z pulsem admirała.

W tej samej chwili z boks radiotelegrafisty wpadł do centrali dowodzenia oficer pokładowy.

- Odebraliśmy wiadomość! Dla admirała Petkova!

Przekazał metalową podkładkę kapitanowi Mikowskiemu, który podał ją admirałowi.

Wiktor Petkow odszedł kilka kroków i otworzył przymocowaną do podkładki teczkę. Kiedy czytał wiadomość, na jego ustach pojawił się zimny uśmiech.

PILNE PILNE PILNE PILNE

OD: FEDERALNAJA SŁUŻBA BIEZOPASNOSTI (FSB) DO: *DRAKON*

//BT//

DOT.: ŁUBIANKA 76-454A Z 9 KWIE. TEM.: POTWIERDZENIE OPERACJI

ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE ŚCIŚLE TAJNE

WYŁĄCZNIE DO RĄK DOWÓDCY FLOTY RMKS/

(1) AKCJA OSP LAMPART W ZP UDANA. OCZY WSZĘDZIE SIĘ ROZGLĄDAJĄ.

(2) KOD ROZPOCZĘCIA AUTORYZOWANY DLA CELU JEDEN. WYZNACZONY OMEGA.

(3) PO ZABEZPIECZENIU PRZEJŚĆ DO CELU DWA. WYZNACZONY GRENDEL.

(4) CELEM ZASADNICZYM NADAL POZOSTAJE ZEBRANIE DANYCH I MATERIAŁÓW DLA REPUBLIKI ROSYJSKIEJ.

(5) CELEM DRUGIM POZOSTAJE OCZYSZCZENIE OBIEKTU.

(6) NALEŻY BRAĆ POD UWAGĘ FAKT. ŻE ROZMIESZCZONO ODDZIAŁ U.S. DELTA FORCE. WYWIAD INFORMUJE O USTALENIU IDENTYCZNYCH CELÓW DLA ODDZIAŁU WROGA. KONTROLER OPERACJI W DALSZYM CIĄGU NA WOLNOŚCI. MISJA DELTA ZAKLASYFIKOWANA PRZEZ NSA JAKO CZARNA. POWTARZAM: CZARNA.

(7) KANAŁY POTWIERDZAJĄ ZDECYDOWANIE PO OBU STRONACH.

(8) DANE NIE MOGĄ WPAŚĆ W RĘCE WROGA. DOZWOLONE SĄ WSZELKIE DZIAŁANIA. KTÓRE MOGĄ TEMU ZAPOBIEC.

(9) PRZESYŁA GEN. PORUCZNIK. J. CZENKO

BT

NNNN

Wiktor Petkow zamknął teczkę. „Misja Delta zaklasyfikowana przez NSA jako czarna... Kanały potwierdzają zdecydowanie po obu stronach”. Pokręcił głową. Była to zwykła semantyka tajnych operacji. Eleganckie słowa wyrażające milcząco obustronną zgodę na rozpoczęcie nieeleganckiej wojny, w której wszystko jest dozwolone. Oba rządy podejmują, ale żadna ze stron nie przyzna się do tego, że miała miejsce.

Admirał Petkow doskonale wiedział dlaczego.

Oba mocarstwa znały mroczną tajemnicę, którą chciały zachować po wsze czasy, oraz wiedziały o związanej z nią jeszcze mroczniejszej nagrodzie. Żadna strona nigdy nie przyzna, że wie o istnieniu tajemnicy, ale jednocześnie nie zamierzano pozostawić jej samej sobie. Stawka była zbyt wysoka. Nagrodę stanowiło odkrycie ojca Wiktora Petkova - owoc wieloletniej pracy - które mogło zrewolucjonizować świat.

Komu ostatecznie przypadnie w udziale?

Admirał wiedział jedno: to było jego dziedzictwo. Amerykanie nigdy go nie dostaną. Przysiągł to swemu ojcu.

A potem będzie można pozalać inne sprawy.

Znów popatrzył na monitor. Znając kod rozpoczęcia akcji, mógł rozpocząć własny gambit. Wcisnął srebrny przycisk, umieszczony z boku monitora, i przytrzymał go przez pół minuty. Musiał uważać, aby nie dotknąć przy tym znajdującego się obok czerwonego przycisku - przynajmniej na razie.

Cały czas patrzył na ekran. Przez trzydzieści sekund wciskania przycisku miał jeszcze szansę zmiany decyzji - po aktywizacji systemu Polaris nie będzie odwrotu. Trzymał jednak przycisk wciśnięty, niezachwiany w swej decyzji.”

W ciągu sześćdziesięciu trzech lat życia widział, jak Rosja się zmienia: z carskiego kraju władyków i pałaców w komunistyczny reżim Stalina i Chruszczowa, a potem w konglomerat niezależnych państw zwalczających się nawzajem, na skraju gospodarczej miny. Każda zmiana osłabiała zarówno kraj, jak i ludzi.

Świat jako całość też nie zmieniał się na lepsze. Wielowiekowe nienawiści oploty go siecią wyniszczających wojen i terroru: od Irlandii Północnej, przez Bałkany, po Izrael i kraje Bliskiego Wschodu. Ten schemat powtarzał się bez końca, bez nadziei rozwiązania.

Wiktor Petkow z determinacją wciskał srebrny guzik.

Nadszedł czas na utworzenie nowego świata, w którym stare schematy zostaną rozbite, a wszystkie narody zmuszone do współpracy. Ten nowy świat narodzi się z lodu i chaosu.

Będzie to jego dziedzictwo - ku pamięci ojca, ku czci matki.

Znaczek centralnego zapalnika pozostał ciemny, ale punkty świetlne na końcach ramion gwiazdy zaczęły migać w jednakowych odstępach czasu, raz za razem okrążając ekran.

Wiktor Petkow puścił przycisk.

Zadanie wykonane.

System Polaris został aktywowany. Jeszcze tylko trzeba umieścić w stacji zapalnik centralny. Projekt Fala Uderzeniowa przechodził z teorii do rzeczywistości. Petkow obserwował zapalające się po kolei gwiazdki, światełko raz za razem obiegające monitor. Pozostawało jeszcze tylko wydanie ostatniej komendy.

Potem nie będzie możliwości wpisania kodu przerywającego sekwencję. Nie było układu zabezpieczającego. Podeszedł do niego Mikowski.

- Admirale?

Wiktor Petkow go nie słyszał. Kapitan wydawał mu się w tej chwili bardzo młody i naiwny. Jego świat właśnie się skończył, a on nawet tego nie podejrzewał. Admirał Petkow westchnął. Jeszcze nigdy nie czuł się tak wspaniale.

Nareszcie był wolny - nie musiał myśleć o przyszłości. Pozostawało mu już tylko odzyskanie ciała ojca i zabranie należącego do jego rodziny dziedzictwa.

W chwili gdy stary świat się kończył, nie liczyło się nic innego.

- Admirale - powtórzył Mikowski. - Przepraszam... Wiktor Petkow odwrócił się do niego.

- „Drakon” ma nowe rozkazy - zameldował kapitan.

GODZINA 9.02

USS „POLAR SENTINEL”

Perry stał w centrali dowodzenia przy peryskopie numer 1, przyciskając oczy do jego okularów. Wynurzyli się na głębokość peryskopową dziesięć minut temu, wykorzystując okno w lodzie i powoli wznosząc się między podwodnymi częściami torosów. Komandor obserwował przez peryskop rozciągające się we wszystkie strony lodowe pola. Wiatr się nasilił i smagał zamrożone płaszczyzny. Niebo w górze zrobiło się białe. Zbierało się na burzę, ale aby się o tym przekonać, Perry nie musiał sprawdzać pogody na zewnątrz.

Przez całą noc patrolowali wody wokół stacji dryfującej i rosyjskiej bazy, szukając zgodnie z rozkazem oznak obecności „Drakona”, lecz mroczne wody były puste. Poza stadkiem białuch, przepływających na skraju zasięgu sonaru, niczego nie zobaczyli. „Polar Sentinel” zdawał się być na tych wodach sam.

Mimo to załoga wciąż pozostawała spięta. Jej członkowie byli wojownikami w jednostce bez zębów, ścigającymi przeznaczony do przeprowadzania szybkich ataków okręt klasy Akula II. Perry zapoznał się z danymi wywiadowczymi na temat znajdującego się na pokładzie „Drakona” uzbrojenia. Nazywano ten okręt „smokiem”, bo uzbrojono go nie tylko w zwykły zestaw torped, ale także w broń o napędzie rakietowym: szybkie jak błyskawica torpedy Szkwał oraz przeznaczone do zwalczania okrętów podwodnych pociski rakietowe SS-N-16. Był to groźny przeciwnik nawet dla najlepszych jednostek amerykańskiej floty, a jego starcie z „Polar Sentinelem” przypominałoby walkę kijanki z lwem morskim.

Do centrali dowodzenia wszedł dyżurny radiotelegrafista.

- Komandorze, złapałem dowódcę Deadhorse, nie wiem jednak, jak długo uda mi się utrzymać łączność.

- Doskonale. - Perry złożył rączki peryskopu i hydraulika zaczęła ściągać urządzenie w dół. Poszedł za porucznikiem.

- Udało mi się odbić falę UHF od jonosfery, ale nie mogę obiecać, że da się to utrzymać - powiedział radiotelegrafista, kiedy wchodzili do zajmowanego przez niego pomieszczenia.

Perry kiwnął głową i podszedł do odbiornika. Wynurzyli się na głębokość peryskopową, aby wysunąć anteny i wysłać raport o przeprowadzonych w nocy działaniach. Komandor poprosił jednak radiotelegrafistę o połączenie z Prudhoe. Załoga nie mogła się doczekać najnowszych wiadomości stamtąd.

Perry przyłożył słuchawkę do ucha.

- Komandor Perry przy aparacie.

- Komendant Trący - szepnął mu do ucha cichutki głos. Był słabiotki, jakby dochodził z Księżycy, w dodatku co chwila zanikał. - Dobrze, że udało się panu nawiązać z nami kontakt.

- Jak wygląda sytuacja?

- W dalszym ciągu mamy tu niezły cyrk, ale pożary zostały wreszcie opanowane. Chyba udało nam się też natknąć na pierwszy rzetelny trop sabotażystów.

- Naprawdę? Domyślcie się, kto to mógł być? Zapadła długa chwila ciszy.

- Miałem nadzieję, że pan mi to może powiedzieć... - powiedział w końcu komendant Trący.

Perry zmarszczył czoło.

- Ja?

- Kiedy pan zadzwonił, właśnie próbowałem porozumieć się z Omegą. Godzinę temu ktoś przysłał film, na którym widać awionetkę, przelatującą nad Stacją Zbiorną Jeden tuż przed wybuchem. Jest ziarnisty, czarno-biały... jakby zrobiono go kamerą do zdjęć nocnych.

- Jaki to ma związek z Omegą?

- Dowódca oddziału zabezpieczenia stacji skontaktował się z Biurem Szeryfa w Fairbanks z prośbą o informację na temat jednego z ich samolotów i potwierdzenie tożsamości szeryfa, który nim lata. Dowiedzieliśmy się o tym, kiedy zaczęliśmy sprawdzać widoczne na materiale filmowym znaki rozpoznawcze awionetki, i również skontaktowaliśmy się z Fairbanks. Chodzi o ten sam samolot.

- Gdzie on teraz jest? - spytał Perry, choć domyślał się odpowiedzi.

- Wylądował dziś rano w pańskiej stacji.

Perry zamknął oczy. A więc koniec marzeń o przespaniu się godzinę lub dwie po ciągnącej się w nieskończoność nocy.

- Wysłałem do pańskich przełożonych wnioski o przekazanie osób z awionetki do Deadhorse w celu przesłuchania.

- Uważa pan, że to oni wysadzili przepompownię?

- Właśnie tego chcemy się dowiedzieć. Tak czy owak, niezależnie od tego, kim są, należy ich trzymać pod strażą.

Perry westchnął. Trudno było z tym polemizować, ale jeśli to właśnie ci ludzie dokonali sabotażu, po co przylecieli do stacji? Jeżeli zaś nie byli sabotażystami, łańcuch zbiegów okoliczności wyglądał zbyt podejrzanie, aby mogła to być sprawa przypadku.

Najpierw eksplozje w zatoce Prudhoe, potem dziwne zachowanie Rosjan, teraz nagle przybycie tajemniczych gości... bez wątpienia byli w jakiś sposób zamieszani w ostatnie wydarzenia, ale w jaki?

- Zanim przekażę zatrzymanych, muszę porozmawiać z COMSUBPAC - oświadczył.

- Do tego czasu będę ich trzymał pod strażą.

- Doskonale, komandorze. Powodzenia. - Trący rozłączył się.

Perry odwiesił słuchawkę.

- Natychmiast po powrocie do Omegi muszę skontaktować się z admirałem Reynoldsem - powiedział do radiotelegrafisty.

- Tak jest. Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Komandor wyszedł na korytarzyk, po czym wrócił na mostek. Siedzący przy stanowisku kontroli zanurzenia komandor podporucznik Bratt popatrzył na niego.

- Jakie wieści z Prudhoe?

- Wygląda na to, że cały ten bałagan wylądował nam na karku.

- Co pan ma na myśli?

- Wracamy do stacji. Musimy zająć się gośćmi.

- Rosjanami? Perry pokręcił głową.

- Niech pan bierze kurs na stację.

- Tak jest, komandorze! - odparł służbiście Bratt i zaczął przygotowywać okręt do zanurzenia.

Perry próbował poukładać sobie w głowie elementy tej łamigłówki, ale ponieważ brakowało zbyt wielu kawałków, wkrótce zrezygnował. Pomyślał, że może jednak uda mu się zdrzemnąć przed dopłynięciem do stacji dryfującej. Czuł, że wkrótce będzie potrzebował pełnej koncentracji.

Kiedy otworzył usta, aby wydać Brattowi kolejne polecenie, oficer nadzorujący sonar zawołał:

- Mamy kontakt Sierra Jeden!

Wszyscy natychmiast się ożywili. Kontakt sonarowy!

Komandor podporucznik Bratt przeszedł do pomieszczenia sonarowego, gdzie znajdowali się już technicy i nadzorujący ich pracę oficer. Po chwili dołączył do nich Perry i zaczął przyglądać się monitorom, po których przepływały zielone wodospady sonarowych danych.

Oficer nadzorujący zwrócił się do Perry'ego:

- Okręt podwodny, komandorze. Duży. Perry wbił wzrok w ekrany.

- To „Drakon”.

- Prawdopodobnie ma pan rację, komandorze - stwierdził Bratt, siedzący na stanowisku prowadzenia ognia, przy którym mógł odczytywać kurs i prędkość celu. - Płynie prosto na Omegę.

GODZINA 9.15

STACJA LODOWA GRENDEL

Wychodząc z tuneli Zaplecza, Amanda zdjęła kurtkę. Choć po pobycie w sercu lodowej wyspy wejście do ogrzewanego wnętrza było przyjemne, powietrze było tu w dalszym ciągu bardzo wilgotne, niemal jak w tropiku. Powiesiła kurtkę na haczyku przy drzwiach prowadzących do Zaplecza.

Doktor Willig nie zdjął kurtki, ale rozpiął ją i zsunął kaptur z głowy. Ściągnął także jednopalczaste rękawice, schował je do kieszeni, zatarł ręce i westchnął.

- Co zamierzasz? - zapytał.

- Nadciąga potężna burza - odparła Amanda. - Jeśli chcę wrócić do Omegi, muszę natychmiast wyruszać, inaczej utknę tu na kolejny dzień lub dwa, aż burza się przewali.

- A nie chcesz, prawda? - Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. - Komandor Perry na pewno niedługo wróci - dodał, wskazując ruchem głowy stojącego przy drzwiach marynarza. Ponieważ trzeba było obsadzić wypływającego na ćwiczenia „Sentinela”, zredukowano liczbę wartowników. - A przecież nie chciałabyś tego stracić.

- Oskarże... - mruknęła ostrzegawczo, ale sama również się uśmiechnęła. Czyżby tak łatwo było ją przejrzeć?

- Nie wstydz się, moja droga. Ja też tęsknię za Heleną. Trudno żyć samotnie.

Amanda ujęła dłoń swego mentora i ścisnęła ją delikatnie. Zona Williga zmarła przed dwoma laty na ziarnicę złośliwą.

- Wracaj na Omegę - powiedział Willig. - Nie trwój czasu, który możesz spędzić z kimś bliskim.

Odeszli już kawałek od wartownika stojącego przy drzwiach prowadzących na poziom czwarty. Oceanograf odwrócił się, rzucił okiem na marynarza, po czym znów popatrzył na Amandę.

- W dalszym ciągu nie chcesz mi powiedzieć, co tam jest?

- Naprawdę nie chciałbyś tego wiedzieć. Wzruszył ramionami.

- Naukowcy są przyzwyczajeni do poznawania niemiłych prawd... zwłaszcza tak starych jak ta baza.

- Na pewno wkrótce się tego dowiesz - odparła Amanda.

- Po przybyciu Rosjan...

Wzruszyła ramionami, nie potrafiła jednak ukryć goryczy w swoim głosie:

- Polityka.

Nienawidziła utrzymywać czegokolwiek w tajemnicy przed własnymi ludźmi, a w tym przypadku było to dla niej tym trudniejsze, że uważała, iż świat powinien się dowiedzieć o tym, co zdarzyło się tutaj sześćdziesiąt lat temu. Ktoś powinien zostać za to pociągnięty do odpowiedzialności. Opóźnianie chwili ujawnienia informacji o tym, co zostało tu odkryte, było bez dwóch zdań próbą zyskania na czasie, służyło przygotowaniu działań, mających osłabić siłę rażenia tej informacji, może nawet całkowitego utajnienia odkrycia. Głęboko w jej wnętrzu płonął ogień złości.

Doszli do okrążających szyb centralny spiralnych schodów i po pokonaniu kilku stopni Amanda poczuła, że metalowa konstrukcja pod jej stopami drży. Dostrzegła też jakiś ruch w dole szybu. Po chwili minęła ich stalowa kabina, wznosząca się ku wyższym poziomom stacji. Amanda popatrzyła na doktora Williga.

- Uruchomili windę! Kiwnął głową.

- Lee Bentley i jego zespół z NASA mają używanie z tą antyczną maszyną. Chłopcy i ich zabawki...

Amanda westchnęła z podziwem. To, co jeszcze niedawno tkwiło zamrożone w lodzie, tajało i wracało do życia. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Kiedy doszli na samą górę, pożegnali się i Amanda wróciła do prowizorycznego pomieszczenia, w którym spędziła minioną noc. Zebrała rzeczy i przebrała się w kombinezon termiczny. Ponieważ spór między geologami a biologami został zażegnany przynajmniej na kilka dni, mogła wracać na Omegę.

Gdy wychodziła z pokoju, zobaczyła idącą przez salę przeznaczoną do wspólnego użytkowania kobietę w granatowym mundurze. Kapitan Serina Washburn, jedyna kobieta wśród stacjonującego w bazie personelu marynarki, szła z uniesioną ręką, aby zwrócić na siebie uwagę Amandy. Była wysoka, miała skórę barwy hebanu i włosy ostrzyżone tuż przy skórze. Na jej widok przychodziły do głowy opowieści o Amazonkach - mitycznych

kobietach wojowniczkach o wielkiej odwadze i urodzie. Serina Washburn zawsze była poważna i spokojna. Zatrzymała się przed Amandą w postawie wyrażającej szacunek.

- Doktor Reynolds, mam dla pani wiadomość z Omegi. Amanda westchnęła. Co znowu się stało?

- Tak?

- Dziś rano w stacji wylądowała grupa cywilów i jest przetrzymywana pod strażą przez oddział zabezpieczający.

- Co to za ludzie?

- Jest ich czworo, w tym kobieta szeryf, strażnik Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt oraz dziennikarz. Ich tożsamość została potwierdzona.

- Więc dlaczego są przetrzymywani pod strażą? Washburn przestąpiła z nogi na nogę.

- W związku z sabotażem w Prudhoe...

A więc nikt nie chciał ryzykować, pomyślała Amanda.

- Wiadomo, dlaczego ci ludzie zjawili się w Omedze?

- Wiedzą o rosyjskiej stacji.

- Skąd?

Kapitan Washburn wzruszyła ramionami.

- Twierdzą, że grozi nam jakieś niebezpieczeństwo. Coś być może związanego z wybuchami na polach naftowych. Nie chcą powiedzieć nic więcej, dopóki nie będą mogli rozmawiać z kimś z dowództwa. Ale nie udało nam się nawiązać kontaktu z komandorem Perrym.

Amanda skinęła głową. Jako kierownik bazy będzie musiała zająć się tą sprawą.

- I tak właśnie zamierzałam wracać na Omegę. Zobaczę, o co chodzi.

Zrobiła krok, zamierzając odejść, ale kapitan Washburn dotknęła jej ramienia.

- Jest jeszcze coś...

- Tak?

- Dziennikarz i pozostali koniecznie chcą tu przyjechać i robią w związku z tym straszny smród.

Amanda przez chwilę miała ochotę wydać polecenie, aby zatrzymano ich w Omedze, przypomniała sobie jednak, jak bardzo denerwowała ją atmosfera tajemnicy, otaczającej odkrycie na poziomie czwartym. Skoro jest tam dziennikarz, ktoś, kto może to wszystko nagłośnić... i szeryf...

Ale jeżeli pojedzie na Omegę przesłuchać przybyszów, nadciągająca burza wkrótce ich tam unieruchomi. Kiedy wróci Perry, zakaze dziennikarzowi wstępu do rosyjskiej stacji. Związany rozkazami przełożonych komandor nie będzie mógł inaczej postąpić, ona jednak miała większą swobodę... Wzięła głęboki wdech. Jeśli chciała wypuścić trochę prawdy na zewnątrz, zanim straszliwe odkrycie zostanie głęboko schowane w chmurze retoryki i kłamstw, miała bardzo mało czasu.

Popatrzyła na kapitan Washburn.

- Niech pani sprowadzi tych cywilów.

- Proszę...?

- Przesłucham ich tutaj. Washburn uniosła brwi.

- Nie sądzę, aby komandor podporucznik Sewell zgodził się z tą decyzją.

- Tutaj mogą być pilnowani tak samo dobrze jak w Omedze. Jeżeli komandor życzy sobie, żeby ktoś miał na nich oko, nie mam nic przeciwko temu. Może przysłać z nimi tylu ludzi, ilu uzna za konieczne, ale chcę ich mieć tutaj przed burzą.

Washburn przez chwilę milczała, po czym skinęła głową.

- Tak jest. - Odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku pomieszczenia, w którym zainstalowano krótkofalówkę do komunikacji z Omegą.

Amanda rozejrzała się wokół. Wreszcie ktoś z zewnątrz dowie się, co tu ukryto - była to jedyna szansa ujawnienia prawdy.

W dalszym ciągu jednak czuła tkwiący gdzieś w jej wnętrzu niepokój. Zanim zdążyła zastanowić się nad jego przyczyną, padł na nią ogromny cień. Była to jedna z rzeczy, których najbardziej nienawidziła w głuchocie - nigdy nie słyszała, jak ktoś podchodzi do niej od tyłu.

Odwróciła się i ujrzała wznoszącego się nad nią jak góra Connora MacFerrana. Sprawiał wrażenie mocno zaniepokojonego.

- Widziała pani Lacy?

Panią Devlin? Kiwnął głową.

- Widziałam ją, kiedy wchodziłam do Zaplecza. Miała ze sobą łyżwy. - Amanda interesowała się łyżwiarstwem szybkim i zamieniła kilka słów na temat tego sportu ze studentką geologii - Connor popatrzył na zegarek.

- Powinna wrócić godzinę temu. Mieliśmy się spotkać... eee... i porozmawiać o kilku próbkach.

- Nie widziałam jej od chwili, kiedy rozstałyśmy się w wejściu do tuneli. Może się zgubiła?

Szkot zrobił jeszcze bardziej zaniepokojoną minę.

- Chyba pójde sprawdzic. Wiem, jaką trasę jeździ. Odszedł, kiwając się na boki jak wielki niedźwiedź.

- Niech pan kogoś ze sobą weźmie! - zawołała za nim Amanda. - I proszę mnie zawiadomić, jak ją pan znajdzie!

Uniół rękę, nie potrafiła jednak powiedzieć, czy miało to wyrażać zgodę, czy odmowę.

Przez chwilę patrzyła za nim. Jej obawy zamieniły się w strach. Miała nadzieję, że Lacy nie zrobiła sobie nic złego. Ruszyła w kierunku swojego pokoju, rozpinając po drodze kombinezon. Przy jednym ze stolików dostrzegła doktora Williga. Szwedzki oceanograf dał jej znak, by podeszła.

- Sądziłem, że już cię tu nie ma - powiedział, kiedy się zbliżyła.

- Zmiana planów.

- Cóż... rozmawiałem właśnie z doktorem Gustofem. - Wskazał na siedzącego z nim kanadyjskiego meteorologa norweskiego pochodzenia. Erik Gustof strząsnął z krótko przystryżonej brody okruchy kanapki i kiwnął Amandzie głową. - Analizował dane z dalej położonych instrumentów i twierdzi, że nadchodząca burza będzie niezwykle gwałtowna. Wiatr może osiągać prędkość ponad stu kilometrów na godzinę.

Erik potwierdził jego słowa skinieniem głową.

- To prawdziwy rozwalacz stodoł. Będziemy unieruchomieni na dobre.

Amanda westchnęła. Przypomniało jej się ostrzeżenie ludzi, którzy przylecieli na Omegę: nadciąga niebezpieczeństwo. Wyglądało na to, że wiedzieli, o czym mówią, choć miała wrażenie, że to nie pogoda będzie prawdziwym zagrożeniem.

- Wszystko w porządku? - spytał doktor Willig.

- Na razie tak - odparła drętwo. - Na razie.

GODZINA 10.05

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Jenny włożyła kurtkę i po raz kolejny przyjrzała się wartownikom. Jej towarzysze też się ubierali w dostarczone przez personel stacji ciepłe rzeczy - rękawice, szaliki, swetry. Ponieważ połatana wojskowa kurtka Matta nie miała kaptura, wciągnął na głowę pożyczoną

wębianą czapkę. Z typowym dla siebie uporem odmówił przyjęcia zaoferowanej mu kurtki któregoś z marynarzy. Jenny wiedziała, że jej były mąż nigdy by się nie rozstał z tą sfatygowaną częścią swojej przeszłości.

- Musicie też założyć okulary przeciwsłoneczne - powiedział komandor podporucznik Sewell.

- Ja nie mam - mruknął Craig, poprawiając na ramieniu plecak z aparatami i innymi rzeczami, który przed kilkoma minutami przyniósł mu z twin ottera jeden z bosmanów marynarki.

Przed półgodziną Sewell wrócił z nowymi instrukcjami. Udało mu się nawiązać kontakt z cywilnym dowództwem Omegi - najwyraźniej była to córka admirała, dowodzącego wojskowym personelem stacji. Dla Jenny z daleka śmierdziało to nepotyzmem, ale nie mieli powodu narzekać - doktor Reynolds pozwoliła im pojechać do rosyjskiej bazy.

Sewell wyjął z kieszeni ciemne okulary i podał je Craigowi. Komandor podporucznik miał zostać w Omedze - razem z jednym z członków ich grupy.

Jenny uklękła i objęła Bane'a. Wilk pomachał ogonem i ugryzł ją lekko w ucho. Sewell nie pozwolił mu jechać z ludźmi.

- Dobry chłopiec... - uspokajała psa Jenny.

BUM... BUM... BUM... - załomotał w odpowiedzi psi ogon.

Podszedł do nich Matt i podrapał Bane'a za uchem. - Wrócimy jutro, przyjacielu.

Jenny popatrzyła na niego z ukosa. Bane był ostatnią łączącą ich nicią, kawałkiem wspólnej miłości. Matt zauważył, że Jenny mu się przygląda, i spojrzał jej w oczy, zaraz jednak obojgu zrobiło się nieswojo. Matt odwrócił się pierwszy.

- Zaopiekuję się państwa psem - powiedział młody podporucznik marynarki, kiedy Jenny wstała. Trzymał Bane'a za smycz.

- Dobrze się postaraj - mruknął Matt. Dwudziestolatek kiwnął głową.

- Tata ma w domu zaprzęg husky.

Jenny popatrzyła na niego. Miał oliwkową cerę i jasne oczy, pełne młodszej niewinności i entuzjazmu. Wyglądał na Aleute. Przeczytała jego nazwisko na naszywce.

- Tom Pomautuk... - Jej oczy rozszerzyły się. - Nie jesteś przypadkiem synem Śnieżnego Orła? Jimmy'ego Pomautuka?

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Zna pani mojego ojca?

- Uczestniczył w dziewięćdziesiątym dziewiątym w Iditarod. Zajął trzecie miejsce.

Na ustach chłopaka pojawił się uśmiech dumy.

- Zgadza się.

- Też wtedy biegłam. Pomógł mi, kiedy miałam problemy z moim zaprzęgiem i przewróciłam sanie. - Pozostawienie Bane'a pod opieką syna Śnieżnego Orła wydawało się doskonałym rozwiązaniem. - Jak tam Nanook?

Uśmiech podporucznika stał się jeszcze szerszy, choć pojawił się w nim cień smutku.

- Starzeje się. Teraz pomaga tacie już tylko przy oprowadzaniu wycieczek. Jego dni prowadzenia zaprzęgu minęły, ale szkolimy na Fox Island jednego z jego szczeniaków.

Sewell przerwał im:

- Jeżeli chcecie zdążyć przed burzą, musicie wyruszać. Jenny ostami raz poklepała Bane'a.

- Uważaj na Toma - powiedziała.

- Nie podoba mi się zostawianie Bane'a z obcym człowiekiem - burknął Matt.

- Możesz z nim sam zostać - odparła Jenny i ruszyła w kierunku wyjścia.

Matt zrobił to samo. Miała wrażenie, jakby za jej plecami sunęła gradowa chmura.

Wyszli na mroźne powietrze i zostawili za sobą jasność światełek, rozpraszających mrok pochmurnego dnia. Słońce jarzyło się matowo, uwięzione między dniem i nocą w wiecznym zmierzchu. Od rana horyzont zacisnął się wokół stacji, atakowany przez lodową mgłę. Jenny tak właśnie zawsze wyobrażała sobie czyściec: jako niekończącą się białą ponurość.

Kiedy wzięła pierwszy łyk powietrza, zimno wpłynęło w głąb jej ciała. Czuli się, jakby jej płuca wypełniła lodowata woda. Zakaszła. Temperatura znacznie spadła. Przy takim zimnie każda odkryta część ciała była narażona na natychmiastowe odmrożenie. Włoski w nozdrzach zamieniły się w lodowe igielki. Nawet łzy zamarzały, zanim zdążyły wypłynąć. W takim miejscu jak to nie da się żyć.

Kiedy wyszli z zasypanych chat, wiatr zaczął szarpać ich ubraniami, szukając nagiej skóry. Jenny czuła w powietrzu zapach burzy.

Kuląc się, pobiegli w kierunku stojących nieopodal dwóch snocatów.

Gdzieś w oddali rozległ się głośny huk i potoczył echem po lodzie.

Craig rozejrzał się zaniepokojony.

- Co to było?

- Pękająca kra - wyjaśniła Jenny. - Burza powoduje ruch lodu.

Po chwili usłyszeli kolejne huki, jakby gdzieś za horyzontem uderzały pioruny. Jenny czuła przez podeszwy butów, że burza będzie bardzo gwałtowna.

Kiedy dotarli do pojazdów, dwóch matów zaprowadziło Jenny i jej ojca do pierwszego sno-cata, Craig i Matt poszli z własną eskortą do drugiego. Mimo okazania gotowości do współpracy poprzez pozwolenie im na wyjazd do rosyjskiej stacji lodowej Sewell zabezpieczał się, dzieląc ich czteroosobową grupę na dwie części i cały czas trzymając pod strażą.

Jeden z pilnujących Jenny i Johna marynarzy podszedł do sno-cata i otworzył jego drzwi.

- Proszę wsiadać.

Jenny pochyliła głowę i weszła do kabiny śnieżnego pojazdu, którego silnik pracował na niskich obrotach. Z przyjemnością ukryła się przed wichrem.

Kierowca, ubrany w granatową długą kurtkę, już siedział na swoim fotelu. Kiedy Jenny wsuwała się na ławeczkę, skinął jej głową na powitanie.

- Proszę pani...

Zmarszczyła czoło. Jeśli jeszcze ktoś zwróci się dziś do niej per „proszę pani”, to... Ojciec usiadł obok niej, strażnicy wcisnęli się na tylną ławkę.

- Przykro mi, ale nie możemy włączyć ogrzewania - powiedział kierowca. - Musimy oszczędzać energię na pokonanie tych pięćdziesięciu kilometrów.

Kiedy wszyscy usiedli, gąsienicowy pojazd ruszył śladem pierwszego sno-cata. Po chwili kierowca wcisnął klawisz i z maleńkich głośniczków zaczął się wydobywać brzękliwy rytm rockabilly.

Jeden z siedzących z tyłu marynarzy jęknął.

- Musisz puszczać to wsiowe gówno? Nie masz hip-hopu?

- Kto prowadzi? Mogłem włączyć Backstreet Boys. - W głosie kierowcy brzmiała groźba.

- Dobra, dobra... w porządku - dał za wygraną marynarz. Oddalali się od stacji, każdy zajęty własnymi myślami. Pod gąsienicami chrzęścił śnieg.

Kierowca nucił pod nosem, Jenny patrzyła do tyłu, za siebie. Po kilkuset metrach czerwone budynki stacji zaczęły przypominać spowite poranną mgłą duchy, porywy wiatru

sprawały, że zanikały i ponownie się pojawiały. Wszystko wskazywało na to, że zaraz zacznie padać śnieg.

Kiedy odwracała się do przodu, jej uwagę zwrócił jakiś ruch - nie w bazie, ale za nią. Przez biel przedzierał się, niczym przebijający się przez lód waleń, wielki cień. Przyjrzała się uważniej, nie umiałyby jednak określić, co widzi.

Podmuch wiatru rozwiął na chwilę mgłę i Jenny zobaczyła czarny kiosk, wznoszący się za poszarpaną linią torosów. W mroźnym powietrzu jego powierzchnia parowała jak skóra żywego zwierzęcia. Z boków świeciły plamki reflektorów, na lodzie poruszały się maleńkie jasnoczerwone kropeczki. Wzdłuż lodowej grani przesuwwały się we mgle niewyraźne kontury ludzkich postaci.

- To wasz okręt podwodny? - spytała Jenny.

Obaj siedzący z tyłu marynarze gwałtownie się odwrócili. Ten, który wcześniej bawił się w krytyka muzycznego, skoczył na równe nogi.

- Kurwa mać! - wrzasnął i jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwi sno-cata. - To te pieprzone Ruski!

Do kabiny natychmiast wdarł się wicher. Kierowca zahamował. W jadącym przed nimi pojeździe chyba niczego nie zauważono, bo jechał dalej, coraz głębiej zanurzając się we mgłę.

Jenny popatrzyła na ojca, który także obserwował to, co działo się za nimi.

- Mają na sobie białe kurtki - stwierdził. Jenny również to zauważyła.

Kiedy sno-cat się zatrzymał, pierwszy strażnik wyskoczył na zewnątrz.

- Niech pan jedzie dalej - powiedziała Jenny do kierowcy, ale zignorował ją.

Stojący na zewnątrz marynarz uniósł swój karabinek szturmowy, kierując go w stronę wynurzonego okrętu podwodnego i biegnących wzdłuż krawędzi torosu ludzi.

Mgłę przecinały przesuwające się na boki czerwone promienie laserowych celowników. Nagle ze szczytu kiosku okrętu podwodnego buchnął snop jaskrawego światła. Wystrzelona przez Rosjan rakietka pomknęła niskim łukiem w kierunku stacji i po chwili uderzyła w jeden z peryferyjnych budynków.

Eksplozja wstrząsnęła chatą, zamieniając ją w grad płonących kawałków drewna. Impet pocisku wybił w lodzie dziurę o średnicy trzech metrów.

- Zniszczyli antenę satelitarną... - jęknął siedzący z tyłu marynarz i wychylił się przez otwarte drzwi.

Jenny dostrzegła pojedynczy promień lasera, przesuający się po lodzie w ich kierunku. Kiedy zatrzymał się na ich pojeździe, krzyknęła:

- Jazda!

Ponieważ kierowca nie zareagował, sama wdepnęła pedał gazu. Sno-cat, który stał na biegu, skoczył naprzód.

Co pani wyprawia?! - wrzasnął kierowca i kopnięciem zrzucił jej stopę z pedału.

- Zniszczyli system komunikacyjny! - odwrzasnęła Jenny.

- Sądzisz, że pozwolą nam odjechać?!

Jakby dla podkreślenia jej słów rozległ się terkot broni maszynowej. Znajdujący się na zewnątrz strażnik klęczał na śniegu i strzelał.

- Jedźcie! - krzyknął.

Kierowca przez pół sekundy się wahał, po czym wcisnął pedał gazu.

- Wskakuj!

- Fernandez, szybko! - wrzasnął do kumpla marynarz z tylnego siedzenia.

Strażnik wstał i zaczął się wycofywać. Lufa jego karabinka parowała. Na śnieżnym pojeździe zaczęły się zatrzymywać kolejne czerwone kropki laserów. Marynarz odwrócił się i zaczął biec. Kiedy zostały mu nie więcej jak dwa kroki, potknął się i prawa noga uciekła spod niego. Uderzył o lód i zaczął się po nim czołgać, pozostawiając za sobą czerwony ślad.

- Fernandez! - Drugi marynarz wyskoczył ze sno-cata, podbiegł do kolegi, chwycił go za kołnierz i zaczął ciągnąć po lodzie.

Kierowca zwolnił na tyle, aby obaj strażnicy mogli wsiąść. Jenny przetoczyła się na tylną ławkę i złapała rannego. Gdy obaj marynarze znaleźli się w kabinie, Fernandez walnął pięścią w fotel.

- Kopnij ten szmelec w dupsko! - wrzasnął. Był z powodu postrzelenia bardziej wściekły niż przestraszony.

Drugi marynarz ścisnął mu udo dłońmi, między jego rękawicami przesączała się krew.

Sno-cat przebijał się z chrzęstem przez lód. Jenny wpatrywała się w przestrzeń przed nimi. Prowadzący pojazd zniknął w lodowatej mgle. Gdyby oni też tak mogli...

Z głośników cały czas ryczała muzyka rockabilly. Nagle wszystko zagłuszył głośny wizg.

- Jasna cholera... - zaklął kierowca.

Eksplzja buchnęła tuż przed nimi, obsypując sno-cata okruchami lodu. Przednia szyba pokryła się pajęczyną pęknięć. Natychmiast zostali osłepieni.

Kierowca gwałtownie szarpnął kierownicą. Ponieważ sno-cat ma wysoko umieszczony punkt ciężkości, jedna z gaśienic uniosła się nad lodem i pojazd wpadł w poślizg. Przez dym zobaczyli, co próbował ominąć.

W lodzie przed nimi ziała dziura. Jakies trzy metry niżej na rozbujanej wodzie pływały kawały lodu. Z krawędzi wybitego przez raketę otworu unosił się dym.

Sno-cat sunął poślizgiem w kierunku grożącej śmiercią dziury, cały czas na jednej gaśienicy, wściekle zarzucając na boki. Jenny była przekonana, że nie mają najmniejszych szans uniknąć wypadnięcia do wody, ale kierowca wciąż jeszcze walczył.

Wszyscy przestali oddychać.

Jakimś cudem pojazd zatrzymał się na skraju poszarpanej dziury.

Kierowca zaklął - po części z ulgi, po części z przerażenia.

Pochylony sno-cat opadł na drugą gaśienicę z taką siłą, że zagrzechotały im zęby. Lód zareagował na uderzenie głośnym trzaskiem.

Jenny poczuła, że jej serce się zatrzymuje.

- Na zewnątrz!!! - ryknęła i sięgnęła po klamkę, było już jednak za późno.

Lód, na którym stali, odłamał się niczym odrywająca się od przybrzeżnego lodowca góra. Sno-cat podążył za nim i rycząca głośnie muzyką masa zaczęła koziołkować do lodowatego oceanu.

GODZINA 10.38

USS „POLAR SENTINEL”

Perry stał na mostku. Cała załoga wstrzymywała oddech. Wszystkie oczy były skierowane na ekrany monitorów i wskaźniki urządzeń pomiarowych. Komandor stał oparty o obudowę jednego z monitorów, ukazującego cyfrowy obraz, odbierany przez jedną z kamer. W odległości niecałego kilometra sunął cień „Drakona”, rozjaśniany kolumną światła, padającą nań z góry przez okno w lodzie. Okręt podwodny wroga zdawał się nie zauważać obserwującego go mniejszego cienia.

- Hydro fony wychwytyują odgłosy strzelaniny - odezwał się komandor podporucznik Bratt. Ze słuchawkami na uszach siedział na miejscu, które w zwykłej bojowej jednostce tego typu było stanowiskiem ogniowym.

- Jasna cholera! - zaklął pod nosem Perry.

Zacisnął pięść.

Bratt popatrzył mu w oczy.

- Rozkazy? - spytał.

Od pierwszego kontaktu sonarowego „Polar Sentinel” podążał cicho i szybko za zbliżającym się do Stacji Dryfującej Omega okrętem klasy Akula. Bez broni nie mieli szansy stawić czoła większej, uzbrojonej jednostce, a bez wynurzenia się nie mogli ostrzec stacji dryfującej - w związku z tym udawali ducha.

- Rejestruję odpalenie rakiety - syknął nadzorca sonaru. Na ekranie, jakby z nieba spadł meteor, nagle eksplodował fragment lodu, a w głąb wody wystrzelił jaskrawy płomień. Nie trzeba było hydrofonów, aby usłyszeć rozchodzące się w wodzie echo wybuchu. Na mostku zapadła pełna napięcia cisza.

- Moim zdaniem to był budynek ze sprzętem satelitarnym - szepnął po chwili Bratt, trzymając palec na wektorowej mapie stacji Omega.

Odcinając stację od świata, pomyślał Perry. Nadajniki i odbiorniki satelitarne były jedynym ogniwem, łączącym ich ze światem zewnętrznym - poza „Polar Sentinelem”.

- Co robimy? - spytał Bratt.

- Musimy wystawić usta nad wodę - odparł Peny. - Komandorze, proszę wydać rozkaz płynięcia do rosyjskiej stacji. Przekażemy stamtąd raport o sytuacji w trakcie ewakuacji cywilów. Na pewno będzie to następny cel Rosjan.

- Tak jest, komandorze!

Bratt zaczął wydawać rozkazy załodze odpowiedzialnej za zanurzenie. Sternik i balastowy ustawili okręt i obrócili go. Zaczęli bezgłośnie odpływać.

W dalszym ciągu słychać było przebijające się przez lód echa eksplozji. Hałas pomagał im ukryć pospieszną ucieczkę, choć tak naprawdę mogliby się wycofać niepostrzeżenie nawet przy całkowitej ciszy. Wyposażony w ciche pędniki najnowszej generacji oraz pogrubioną warstwę bezechowej, pochłaniającej impuls sonarowy wykładziny „Sentinel” był „niewidzialny” dla większości istniejących na świecie urządzeń wykrywających. Odpływali, nie wywołując żadnej reakcji ze strony „Drakona”. Nic nie wskazywało na to, że ich wykryto.

Perry obserwował ekran monitora. Kolumna wpadającego przez dziurę w lodzie światła rozpływała się i ciemniała za nimi, aż pozostała jedynie czerń.

Bratt zameldował:

- Szacunkowy czas dotarcia do rosyjskiej bazy: trzydzieści dwie minuty.

Komandor skinął głową i rozejrzał się po mostku. Twarze ludzi były ponure, pełne złości. Uciekali od walki, ale zdawali sobie sprawę, że nie wygraliby jej. Poza tym tylko „Polar Sentinel” mógł ewakuować stację.

Perry nagle poczuł, jak całe jego ciało wypełnia strach, zamieniając wnętrze w lód. Amanda... pojechała wczoraj do stacji lodowej, aby zażegnać jakiś spór między biologami i geologami, miała jednak wrócić rano do Omegi. Była już z powrotem czy w dalszym ciągu przebywała w rosyjskiej stacji?

Podszedł do niego Bratt.

- Rosjanie nie będą potrzebowali zbyt wiele czasu na zablokowanie Omegi, zwłaszcza że nie ma tam żołnierzy. Zaraz potem zwałą się na swoją stację.

Miał rację. Ich okienko na ewakuację cywilów nie będzie zbyt duże. Perry odchrząknął.

- Komandorze, proszę przygotować oddział szybkiego reagowania. Pod pańskim dowództwem. Uzbroić ludzi i przygotować do zejścia na lód natychmiast po wynurzeniu. Musimy jak najszybciej zabrać stamtąd wszystkich.

- Tak jest! Jaki czas przeznaczają pan na ewakuację? Perry przez chwilę się zastanawiał, obliczał prędkość okrętu przeciwnika i siły obronne Omegi. Potrzebowali jak najwięcej czasu, nie mógł jednak ryzykować przechwycenia jego okrętu w wynurzeniu.

- Piętnaście minut - odparł w końcu. - Chcę, żebyśmy się zanurzyli dokładnie piętnaście minut po wynurzeniu.

- To niewiele.

- Nie interesuje mnie, czy będzie pan musiał wyciągać ludzi spod prysznicy. Sprowadź mi ich do „Sentinela”! Nie zajmujcie się sprzętem, zapasami, niczym. Sprowadźcie tylko wszystkich na pokład.

- Tak jest, komandorze. - Bratt odwrócił się na pięcie i natychmiast zaczął wykrzykiwać rozkazy.

GODZINA 10.44

STACJA LODOWA GRENDDEL

Głęboko w Zapleczu Amanda podążała za szerokimi plecami Connora MacFerrana. Po zorganizowaniu przewiezienia do stacji dziennikarza i jego grupy poczuła, że przepelnia ją nerwowa energia. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że choć przez sprowadzanie tu

obcych nie łamie nakazu blokady informacyjnej wydanego przez marynarkę, występuje przeciwko jego duchowi. Nie wolno jej było przekazać światu zewnętrznemu informacji o dokonanych na poziomie czwartym odkryciach, ale mogła ujawnić to komuś, kto znalazł się w stacji. Szeryf, dziennikarz, inni ludzie... dopóki przebywali w stacji, znajdowali się wewnątrz strefy zakazu i informacja nie miała szans wyjść „na zewnątrz”.

Mimo to poruszała się po cienkim lodzie. Greg... komandor Peny... nie będzie zadowolony. Był oficerem marynarki wojennej jak jej ojciec. Naginanie zasad nie należało do rzeczy, które tolerowali. Amanda musiała jednak słuchać głosu serca, a była przekonana, że fakty muszą zostać ujawnione. Potrzebowała kogoś niezależnego, kto by dał im świadectwo - na przykład tego dziennikarza.

Po podjęciu tej decyzji ogarnęło ją zbyt silne podniecenie, aby mogła spokojnie przesiedzieć dwie godziny. Tyle miało zająć przewiezienie przybyszów ze stacji dryfującej. Po otrzymaniu potwierdzenia od Washburn wróciła więc do Zaplecza, żeby sprawdzić, czy są jakieś wieści o Lacy Devlin.

Jak dobrze, że postanowiła to sprawdzić...

Natknęła się na Connora MacFerrana, przypinającego sobie do butów raki. Były naszpikowane krótkimi kolcami jak buty do golfa, aby trzymały się dobrze śliskiej powierzchni. Ignorując jej prośbę, MacFerran najwyraźniej zamierzał sam wyruszyć na poszukiwania.

- Wszyscy są zajęci - poskarżył się, po czym poklepał kieszeń kamizelki. - Ale mam walkie-talkie.

Amanda nie zamierzała jednak puścić go samego, a ponieważ miała na sobie kombinezon termiczny, musiała jeszcze tylko również przypiąć raki.

MacFerran szedł teraz przed nią, zatrzymując się na każdym skrzyżowaniu labiryntu tuneli. Miał na głowie górniczy hełm i świecił zamocowaną na czole latarką w każdy mijany korytarz. Potem unosił dłonie do ust, a jego klatka piersiowa gwałtownie unosiła się i opadała. Choć Amanda nie widziała jego warg, bez trudu mogła się domyślić, że krzyczy, wołając Lacy.

Kiedy to robił, nie pozostawało jej nic innego jak czekać. W rękę trzymała latarkę, na ramię zarzuciła zwój liny. Byli teraz w części Zaplecza, do której rzadko ktoś się zapuszczał - w labiryncie tuneli, pęknięć i grot.

Connor dotknął namalowanej na ścianie pomarańczowej strzałki. Gdy wyruszali, powiedział jej, że właśnie takie znaki wyznaczają trasę, którą zawsze Lacy zwykła przejeżdżać na łyżwach, Amanda nie musiała jednak szukać strzałek - podłoga była poznaczona śladami łyżew, tajemniczymi napisami zrobionymi stałą na lodzie.

Connor poszedł dalej korytarzem. Po chwili uniósł dłoń do ust i znów zawołał. Sądząc po niezmiennym tempie jego marszu, nie otrzymał odpowiedzi.

Szli przez następne dwadzieścia minut, w czasie których najpierw pokonali schodzący w dół i zakręcający korytarz, a potem wrócili do płataniny pęknięć i tuneli. Connor nie przestawał wołać i szukać kolejnych pomarańczowych znaków.

Tak bardzo był zaabsorbowany nasłuchiowaniem i wypatrywaniem pomarańczowych strzałek, że nie zauważył pęknięcia w lodzie, odchodzącego od głównego korytarza.

- Connor! - zawołała za nim Amanda.

Na dźwięk jej głosu aż podskoczył. Odwrócił się do niej.

- Co jest?

Wskazała na skręcające w bok ślady łyżew.

- Pojechała tędy.

Pochyliła się i potarła zadrapany lód. Trudno było określić, kiedy powstały te ślady, ale warto było je sprawdzić. Popatrzyła na geologa.

Kiwnął głową i wszedł w pęknięcie w lodzie. Poszła za nim, świecąc latarką.

Szli wąskim przesmykiem, wbijając mocno nogi w lód, aby zachować przyczepność. Tunel zwężał się, ale prowadził dalej.

Connor zatrzymał się i odwrócił - nie spojrzał jednak na Amandę, tylko dalej za nią, w głąb tunelu. Miał zmarszczone czoło.

- Co się stało? - spytała.

- Zdawało mi się, że coś słyszałem.

Nasłuchiwał jeszcze przez kilka sekund, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się. Kontynuowali marsz.

Po dziesięciu krokach ścieżka kończyła się pionowym uskokiem.

Connor doszedł do skraju pierwszy i pochylił się, aby poświecić lampą na czole w dół. Nagle zeszywniał i padł na kolana.

Amanda przycisnęła się obok niego i spojrzała w dół. Jama miała mniej więcej pięć metrów głębokości. Plama czerwieni na lodzie wyglądała jak świeża rana. Pośrodku niej leżał but. Tuż obok hełm z rozbitą lampą.

Connor popatrzył na Amandę.

- To rzeczy Lacy.

Nie było śladu ciała, ale w bok odchodziła krwawa smuga, która znikwała poza ich polem widzenia.

- Muszę zejść na dół - oświadczył Connor. - Może jest jakieś wyjście, którego stąd nie widzimy. Jeśli Lacy próbowała się odczołgać...

Amanda przyjrzała się wielkiej czerwonej plamie na lodzie. Przy tej ilości krwi sprawa wydawała się beznadziejna, zdjęła jednak z ramienia linę.

- Jestem lżejsza, więc ja zejdem, a pan będzie mnie asekurował.

Connor wyglądał, jakby zamierzał skoczyć w dół, ale jedynie skinął głową.

Amanda rzuciła w dół kawałek liny. Connor zebrał się w sobie, usiadł na lodzie półtora metra od krawędzi, rozkraczył nogi i wbił raki w ściany. Potem owinał się liną pod pachami i potrząsnął nią, by sprawdzić, czy o nic nie zaczepiła.

- Gotów?

- Nie wypuszczę takiego chucherka jak pani - burknął. - Proszę tylko znaleźć Lacy.

Amanda skinęła głową. Włożyła latarkę do kieszeni, chwyciła linę i zaczęła schodzić do lodowego dołu. Opuszczała się powoli, przekładając dłoń po dłoni na linie i asekurowując się wbijaniem kolców w pionową ścianę. Szybko dotarła na dół.

- Już! - krzyknęła, kiedy dotknęła stopami dna.

Lina zabujała się, potężny mężczyzna zmienił pozycję i podsunął się do skraju dołu. Linę miał w dalszym ciągu owiniętą wokół klatki piersiowej. Patrzył z niepokojem w dół i poruszał ustami, ale z powodu gęstej brody i blasku lampy na jego hełmie Amanda nie była w stanie zrozumieć, co mówi.

Zamiast się do tego przyznać, pomachała mu i wyciągnęła latarkę.

Ledwie ją włączyła, jej nozdrza zaatakował paskudny odór. Zdawał się unosić nad samym dnem dołu, jak to zazwyczaj bywa z zepsutym powietrzem w jaskiniach - ciężki, gęsty i duszący. Amanda przełknęła ślinę. Pewnego lata, kiedy jeszcze studiowała w Stanford, pracowała w psiarni laboratorium wykorzystującego do badań zwierzęta i fetor, który właśnie

poczuła, przywrócił wspomnienia tamtych czasów. Był to zapach krwi, kału i moczu, smród tożsamy dla niej ze strachem.

Przesunęła światło latarki wzdłuż krwawego pasma. Prowadziło do pionowego pęknięcia w lodowej ścianie. Szczelina wchodziła w dno zagłębienia, w którym stała Amanda, i przypominała nieco studzienkę, którą woda spływa z ulic do burzowców. Sięgała jej mniej więcej do kolan, ale była dość szeroka.

Amanda podeszła do otworu.

- Lacy! - krzyknęła.

Spojrzała w górę na Connora, by sprawdzić, czy usłyszał jakąś odpowiedź. Tak jak poprzednio klęczał na skraju dziury w lodzie, nie patrzył jednak w dół, lecz w tunel przed sobą.

Amanda trąciła coś stopą i kiedy spojrzała pod nogi, ujrzała but. Kopnięty przez nią, sunął po lodowej podłodze, obracając się jak bąk. Odruchowo powiodła za nim latarką. But uderzył w ścianę i zatrzymał się. Leżał teraz tak, że latarka świeciła na niego od strony cholewki.

W bucie coś tkwiło. Wystawała z niego jasna kość, poszarpana w miejscu złamania.

Amanda wrzasnęła, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. A może jednak się wydobył - nie była w stanie tego stwierdzić. Zaczęła się gwałtownie cofać, odpychając się rakami jak łyżwami.

Spojrzała w górę, ku krawędzi pionowej ściany.

Nikogo tam nie było.

- Connor! - zawołała.

Widziała światło jego latarki, podskakujące gdzieś głębiej w tunelu, jakby nagle zebrało mu się na szkockie tańce. Zwisająca z góry lina też podrygiwała i bujała się na boki.

- Connor!

Światło na górze zamarło w miejscu, jakby geolog ją usłyszał. Ale nie wiadomo dlaczego świeciło prosto w górę, w kierunku sufitu tunelu. Tańcząca lina znieruchomiła.

Amanda przesunęła się, aby móc zajrzeć głębiej w tunel na górze. Skierowała światło latarki w tamtą stronę. Gardło jej się zacisnęło, a w niesłyszających uszach zadudniła krew. Ledwo powstrzymała się przed kolejnym krzykiem.

Coś poruszało się nad lampą geologa i po suficie tunelu przesuwał się wielki cień. Coś wielkiego, przygarbionego...

Trzymała latarkę oburącz, jakby celowała z pistoletu. To oczywiście tylko Connor... ale z powodu głuchoty nie mogła być tego pewna. Prawdopodobnie coś do niej krzyczał...

Przerażenie ścisnęło jej żołądek.

Cień przysuwał się coraz bliżej.

Amanda postanowiła nie czekać dłużej.

Pobiegła wzdłuż krwawego śladu na lodzie, kierując się ku jedynej drodze ucieczki. Rzuciła się do przodu i upadła na brzuch, a impet uderzenia wypchnął jej z płuc całe powietrze. Nie zwróciła na to uwagi. Sunęła po lodzie w stronę ciemnego otworu, oświetlając sobie drogę latarką.

Po chwili zniknęła, połknięta przez szczelinę w ścianie.

Rozpęd sprawił, że przejechała po lodzie kilka metrów w głąb „odpływu”. W świetle latarki widziała, jak niski sufit gwałtownie ucieka w górę. Kiedy nieco zwolniła, oparła się na kolanach i po dwóch obrotach zatrzymała się.

Okazało się, że zjechała opadającym w dół lodowym tunelem do groty. Usiadła i rozejrzała się. Sklepienie było w tym miejscu na tyle wysoko, że gdyby pochyliła głowę, mogłaby stać, ale wolała siedzieć. Wodziła dookoła promieniem latarki.

Był to ślepy zaułek... ale nie tylko...

Na nieckowatym dnie groty wszędzie leżały kości - połamane, porozszczepiane, niektóre białe jak śnieg, inne jeszcze żółtawe. Wokół świeciły puste czaszki, zarówno ludzkie, jak i zwierzęce. Kości udowe, żebra, łopatki.

W głowie Amandy zaczęło dudnić jedno słowo: gniazdo...

W kącie w głębi leżało coś przypominającego pomięty ludzki kształt, połamany i pozgniatany, ubrany w resztki czerwono-biało-niebieskiego kombinezonu termoizolacyjnego. Wokół niego zamarzły kałuże krwi.

Była to Lacy.

GODZINA 10.47

NA LODZIE...

Matt szarpał się z dwoma strażnikami, siedzącymi po jego obu bokach na tylnym siedzeniu sno-cata.

- Musimy zawrócić! - wrzeszczał.

Cios łokciem trafił go prosto w nasadę nosa. Ból i gwiazdy, które zawirowały mu przed oczami, natychmiast go oślepiły i rzuciły na fotel.

- Siedz albo cie skujemy! - Kapitan marynarki Mitchell Greer skrzywil sie i pomasowal sobie lokiec.

Drugi straznik, mat o nazwisku Doug Pearlson, wyciagnal pistolet. Choc celowal w sufit, bylo to wyraźne ostrzezenie.

- Matt, uspokoj sie - rzucil z przedniej lawki Craig.

- Mamy rozkazy - powiedzial kierowca.

Minute temu polaczyl sie z nimi komandor podporucznik Sewell i kazal bez zatrzymywania sie kontynuowac jazde do rosyjskiej stacji lodowej. Nie udalo mu sie z nia osobiście skontaktowac, a trzeba bylo ostrzec znajdujacych sie tam ludzi o ataku Rosjan.

Zanim skonczyli rozmowe, kolejna eksplozja przerwala komunikacje. Pocisk upadl bardzo blisko nich, wybuch smagnal ich niemal po pietach, a lod pod gasienicami sno-cata wyraźnie zdrzjal. Wszyscy odwrócili sie do tyłu. W dali slychac bylo karabiny maszynowe.

Burza nadeszla wczesniej, niz sie spodziewano, i pedzacy nad lodem wicher wzbijal w powietrze tumany sniegu. Wszelkie próby nawiązania kontaktu z drugim sno-catem nie przynosily rezultatu. Strach o Jenny i jej ojca sprawil, ze Matt podjal próbe przejecia pojazdu, nie mial jednak szans - bylo ich trzech na niego jednego.

Wciaz nie widzieli podążajacego za nimi pojazdu.

- Spróbuj więc jeszcze raz się z nimi połączyć! - krzyknal Matt do kierowcy, mrugajac oczami, aby powstrzymac łzawienie spowodowane uderzeniem w nos. Czul w gardle smak krwi.

Tamten pokrecil glowa i wzial do ręki mikrofon.

- Cat Dwa, tu Cat Jeden, zglos sie. Odbior. Nie bylo odpowiedzi.

- Pewnie to tylko lokalne zaklócenia - stwierdzil kierowca. - Od czasu do czasu miewamy tu cos takiego. Czasem czlowiek moze sie porozumiec z kimś na drugim koncu swiata, a na jego własnym podwórku nie ma polaczenia. - Wzruszyl ramionami.

Matt nie bardzo wierzyl w cos takiego. Jenny byla w niebezpieczeństwie. Czul to całym sobą. Niestety, znajdowali sie kilka kilometrow przed jej sno-catem i nawet gdyby udalo mu sie wyskoczyc, nie mial pewności, czy zdołalby dotrzec do niej na czas.

- Na pewno nic jej nie jest - mruknal uspokajajaco Craig. Matt nic na to nie odpowiedzial.

Sno-cat przebijal sie przez burze, oddalajac sie coraz bardziej od kobiety, która Matt kiedyś kochal. Moze nawet jeszcze nadal kochal.

GODZINA 10.48

Jenny musiała na moment stracić przytomność. Jeszcze przed chwilą sno-cat koziółkował, a teraz lodowata woda przepalała jej spodnie, przywracając pełną koncentrację. Odepchnęła się rękami w górę i rozejrzała wokół.

Cat był obrócony o sto osiemdziesiąt stopni, część kabiny wypełniła już woda. Silnik w dalszym ciągu pracował, wprawiając pojazd w wibracje. Zamocowane na dachu reflektory jarzyły się w wodzie pod nimi, oświetlając ponurą scenerię.

John Aratuk już wstawał, obejmując dłonią nadgarstek drugiej ręki.

- Tato? - zawołała Jenny, przesuwając się w jego stronę.

- W porządku... ręka mi ugrzęzła między siedzeniami - mruknął i popatrzył na kierowcę, który leżał twarzą do dołu w rosnącej kałuży wody, z głową wygiętą pod nienaturalnym kątem. - Ma złamany kark.

Dwaj wartownicy walczyli z drzwiami.

Fernandez walnął ramieniem w klamkę, nic się jednak nie wydarzyło. Woda napierająca na częściowo zanurzonego sno-cata zaciskała drzwi.

- Kurwa! - warknął Fernandez i odkuśtykał na jednej nodze, pozostawiając za sobą w wodzie krwawy ślad z postrzelonej drugiej. - Spróbuj znaleźć coś do wybicia okna! - rzucił do kolegi. W wodnistym świetle reflektorów białka jego oczu niemal się zarzyły.

Jenny podeszła do nich, sięgnęła za plecy drugiego wartownika i wyciągnęła mu z kabury pistolet.

- Może to? - spytała, po czym odbezpieczyła broń i strzeliła w przednią szybę cata, która popękała i częściowo została wyrwana.

- Jasne! - zawołał Fernandez. - To wystarczy. Drugi strażnik odebrał Jenny broń i zanim schował ją do kabury, wykrzywił się paskudnie.

- Proszę się nie obrażać na Kowalskiego - powiedział Fernandez i dał znak, aby poszukali sobie jakiejś osłony. - Joe nie lubi, kiedy ktoś dotyka jego rzeczy.

Schowali się pod siedzeniami. Kowalski wybił kopniakami resztę szkła szyby. Woda zaczęła gwałtownie wlewać się do środka. Do kabiny wpadały też kawały lodu.

- Z deszczu pod rynnę... - mruknął Kowalski.

- Kierujmy się w tamtą stronę - zaproponowała Jenny, wskazując duży fragment spękanego lodu, który wydawał się na tyle stabilny, że chyba można było na niego wyjść.

- Panie przodem - powiedział Kowalski.

Stali teraz po uda w wodzie i aby zrobić pierwszy krok, Jenny musiała pokonać opór zdrętwiałych nóg. Kiedy znalazła się na zewnątrz, zimno smagneło jej ciało. Z trudem oparła się chęci zwinienia w kulkę. Woda morska zamarza w temperaturze -1,9C, ale ta wydawała jej się milion razy zimniejsza - tak zimna, że aż parzyła. Kopniakami i machnięciami rąk odsuwała z drogi mniejsze kawałki lodu. Powoli przepłynęła kilka metrów dzielących ją od lodowego zbocza i zaczęła się na nie wciągać, odrętwiałymi palcami próbując się czegoś chwycić.

Kiedy wypelzła z wody, popatrzyła za siebie. Mężczyźni podążali jej tropem. Kowalski próbował pomóc Fernandezowi, ten jednak go odepchnął.

Sno-cat powoli zanurzył nos w wodę, po czym zaczął pogrążyć się w granatowej głębinie. Jenny mignęła przed oczami przyciśnięta do szyby blada twarz kierowcy. Jeszcze przez kilkanaście sekund było widać sunące w dół światło, ale wkrótce sno-cat i jego samotny pasażer zniknęli.

Jenny pomogła ojcu wyjść z wody na popękana część ściany. Była naszpikowana kanciastymi kawałkami lodu i ostrymi występami, które tworzyły jednak równocześnie naturalną drabinę, pozwalającą wyjść na powierzchnię.

Wychodzili na górę, pomagając sobie nawzajem. Była to zimna, mokra wspinaczka. Ich przemoczone ubrania zamieniały się w lód, włosy przymarzały do skóry, a kończyny dygotały jak w napadzie padaczki.

W końcu wszyscy wspięli się na lód i położyli się na nim. Pokonało ich nie zmęczenie, ale zimno. Trzymało jak w imadle. Było wszechobecne.

Wiatr jeszcze bardziej się nasilił. Wokół wirowały tumany śniegu i kryształków lodu.

John Aratuk podpełzł do córki i objął ją, próbując chronić przed lodowatymi podmuchami. Minęły wieki od czasu, kiedy ostatni raz trzymał ją w ramionach. Gdy straciła matkę, miała dopiero szesnaście lat. Przez następne dwa lata, które ojciec spędził w więzieniu, a potem przebywał na zwolnieniu warunkowym, mieszkała u ciotki i wuja. Podczas tego okresu prawie ze sobą nie rozmawiali, ponieważ jednak życie Inuitów koncentruje się wokół spotkań towarzyskich - przyjęć z okazji różnego rodzaju rocznic, narodzin, ślubów i pogrzebów - I Jenny została zmuszona do zawarcia z ojcem pokoju, lecz ich związkowi daleko było do serdeczności. I takich gestów jak ten.

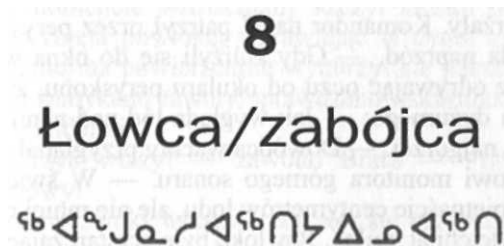
Po jej policzkach popłynęły łzy, natychmiast zamarzając.

- Tato... przepraszam.

Ramiona starego Innuity mocniej zacisnęły się wokół niej.

- Ciii... oszczędzaj energię.

- Na co? - wymamrotała, sama jednak nie była pewna, czy powiedziała to głośno.



9 KWIETNIA, GODZINA 11.12

USS „POLAR SENTINEL”

- Światlik w przodzie! - krzyknął dowódca wachty. - Czterdzieści stopni bakbort!

- Dzięki Bogu... - szepnął Perry w okular peryskopu. Zaczął nim obracać, po kolei odliczając stopnie. Pięć minut trwało, zanim znaleźli płoń, wykutą niedaleko lodowej wyspy. Szalejąca na powierzchni burza przesunęła powierzchniowy lód o kilkanaście stopni. Nic tu nie było stałe - poza niebezpieczeństwem.

Oglądany przez peryskop spód lodu był czarny jak sadza, ale w lewo, gdzie wskazał oficer dyżurny, jarzył się jaskrawym akwamarynem prostokątny otwór, rozświetlając wodę do bladego błękitu, tak charakterystycznego dla mórz karaibskich. Perry obserwował jasną dziurę w lodzie, uśmiechając się do siebie.

- To płoń! Bakbort naprzód jedna trzecia, sterbort wstecz jedna trzecia, ster cała w prawo! Podejźmy pod ten światlik!

Określenia „światlik” zaczęto używać na pokładach okrętów podwodnych od pierwszych rejsów pod polarną czapą lodową. Oznaczało ono tyle co „otwór w lodzie”. Miejsce, w którym można się wynurzyć.

Nie było w okolicy miejsca, skąd mieliby lepszy widok, zwłaszcza przy tej presji czasowej, której podlegali.

Kiedy przekazano rozkazy Perry'ego i okręt zaczął się obracać, by ruszyć ku wyznaczonemu celowi, stalowe płyty lekko zadrzały. Komandor nadal patrzył przez peryskop.

- Mała naprzód. - Gdy zbliżyli się do okna w grubym lodzie, nie odrywając oczu od okularu peryskopu, zwrócił się do oficera dyżurnego: - Jak wygląda lód nad nami?

- Nie najgorzej. - Dowódca wachty przyglądał się uważnie ekranowi monitora górnego sonaru. - W świetliku jest najwyżej piętnaście centymetrów lodu, ale nie mniej niż osiem.

Perry odetchnął z ulgą. Powłoka była wystarczająco cienka aby mogli się wynurzyć. Obserwował ciemny lód wokół akwamarynowego jeziorka - poszarpany i groźny jak zęby rekina.

- Jesteśmy pod świetlikiem - poinformował go siedzący na stanowisku zanurzeniowym Bratt.

- Cała stop. Ster na śródkręcie. - Gdy wykonywano jego rozkazy, Peny zatoczył peryskopem koło. Musiał się upewnić, że w płoni jest wystarczająco dużo miejsca, aby mogli się wynurzyć, nie zahaczając o przypominające zęby smoka brzegi. Oględziny wypadły zadowolająco, więc wyprostował się i złożył peryskop. Pał z nierdzewnej stali zaczął się chować w podłodze.

- Przygotować się do wynurzenia. - Odwrócił się do Bratta. - Proszę powoli wypływać.

Kiedy pompy zaczęły opróżniać zbiorniki balastowe, rozległo się ciche sapanie. Okręt ruszył powoli w górę.

- W tej rosyjskiej jednostce na pewno usłyszą, że zrzucamy balast - mruknął Bratt.

- Nic na to nie poradzimy. - Peny zszedł z podestu przy peryskopie. - Czy oddział ewakuacyjny jest gotowy do zejścia na lód?

- Tak jest! Są przygotowani. Opróżnimy stację w niecałe dziesięć minut.

- Proszę wyprowadzić wszystkich. - Peny po raz setny pomyślał o Amandzie.

Bratt uważnie mu się przyglądał, jakby czytał w jego myślach.

- Nikogo nie pominiemy, komandorze. Tego może pan być pewien.

Peny kiwnął głową.

- Gotowi do zejścia! - krzyknął dowódca wachty.

W tym momencie wzmacniany szczyt kiosku przebił się przez zamrożoną powłokę, wprawiając w dygot cały okręt. Chwilę później na powierzchnię wynurzył się pękaty kadłub. Otwierano i zamykano zawory, sprawdzano wskaźniki. Zewsząd dobiegały meldunki.

- Otworzyć włazy! - zawołał Bratt. - Przygotować oddział lądowy!

Pootwierano zamki włazów i zaczęli się przy nich zbierać mężczyźni w granatowych długich kurtkach, z zarzuconymi na ramiona karabinkami. Jeden z nich podał kurtkę Brattowi, który szybko ją na siebie włożył.

- Wkrótce wracamy - powiedział.

Peny popatrzył na zegarek. Rosjanie z pewnością już byli w drodze do stacji.

- Piętnaście minut. Nie dłużej.

- Mnóstwo czasu - stwierdził Bratt i wyprowadził swoich ludzi.

Peny patrzył, jak wychodzą. Z góry wpływało do okrętu zimne, wilgotne powietrze. Kiedy zniknął ostatni marynarz, zatrzaśnięto właz. Peny zaczął chodzić po stanowisku peryskopowym. Najchętniej byłby teraz na zewnątrz, razem z Brattem, ale jego miejsce było w okręcie, na mostku.

Niedługo jednak wytrzymał.

- Kapitanie - zwrócił się do dowódcy wachty - przejmuje pan dowodzenie. Idę obserwować do Cyklopa, proszę przełączać tam wszystkie meldunki z brzegu.

- Tak jest, komandorze.

Peny ruszył na dziób okrętu. Przeszedł przez kilka włazów i minął puste stanowiska badawcze. Po otwarciu ostatniego włazu wszedł do znajdującego się za nim pomieszczenia, oświetlanego dziennym światłem.

Stanął pod kopułą z przezroczystego leksanu. Woda, spływająca na zewnątrz po syntetycznym szkłe, zamarzała poszarpanymi ścieżkami lodu, zaklejając powierzchnię kopuły frak-talowymi wzorami. Widok nie był najlepszy, bo z płyt karbonu, którymi opancerzony był okręt, unosiła się para, a z wysokich jak góry lodowych szczytów opadały zamarzającymi kaskadami tumany śniegu.

Perry patrzył w kierunku przypominającego jaskinię otworu prowadzącego do wnętrza rosyjskiej stacji. Dostrzegał niewyraźne kontury ludzkich postaci, walczących z wiatrem. Byli to ludzie Bratta. Po kolei znikali w wejściu do tunelu.

Zahuczał interkom i cichy głosik powiedział:

- Komandorze, tu mostek.

Perry podszedł do odbiornika i wcisnął klawisz.

- Tak?

- Radiotelegrafista melduje brak odbioru przez NAVSAT. Tkwimy pod następną burzą na Słońcu, jesteśmy w tej chwili głusi i niemi.

Perry zaklął pod nosem. Bez możliwości korzystania z systemu satelitarnego byli bezradni. Wcisnął klawisz interkomu.

- Jak długo będziemy pozbawieni łączności?

- Można tylko zgadywać. Radiotelegrafista uważa, że będą krótkie okna otwartej przestrzeni, ale nie potrafi określić kiedy. Przypuszcza, że aktualna aktywność burzowa na Słońcu skończy się po zachodzie słońca. - Zapadła długa chwila ciszy. - Zamierza spróbować odbić falę UHF od jonosfery, ale nie ma żadnej gwarancji, że przy tej pogodzie ktoś nas usłyszy. Przy odrobinie szczęścia może uda nam się nawiązać kontakt z Prudhoe.

- Zrozumiałem, mostek. Niech próbuje przez cały czas wynurzenia. Chcę też, aby umieścił na lodzie SLOT. Niech SLOT dokona przekazu jakiś czas po zachodzie słońca.

SLOT, czyli Submarine-Launched One-Way Transmitter, składał się z zawierającej nadajnik boi, którą można było zaprogramować na wysłanie z opóźnieniem skompresowanego komunikatu w kierunku satelity. Nadanie przekazu po zachodzie słońca dawało większe prawdopodobieństwo, że burza już się uspokoi i wiadomość dotrze do odbiorcy.

- Tak jest!

Perry popatrzył na zegarek. Minęło pięć minut. Ponownie wszedł pod leksanową kopułę. Widoczność nie przekraczała kilku metrów. Widział linię torosów, ale bez szczegółów, mimo to obserwował dalej. Po minucie przez śnieg zaczęły się przesuwać przypominające duchy kontury. Pierwsi ewakuowani.

Pusty korpus okrętu przeniósł po chwili szczęknięcie otwieranego zewnętrznego wjazdu. Perry wyobraził sobie wizg wiatru. Ze szkwału wychodziły kolejne postacie. Próbował je liczyć, ale wirujący śnieg niweczył próby oddzielenia od siebie poszczególnych sylwetek, odróżnienia kobiet od mężczyzn.

Znowu zabrzączał interkom.

- Komandorze, *tu* mostek. Przełączam komandora podporucznika Bratta.

Słowa zastępcy Perry'ego były już bardzo słabo słyszalne.

- Komandorze? Sprawdziliśmy wszystkie poziomy. Wysłałem dwóch ludzi z megafonami, aby obeszlili wszystkie zajęte przez ludzi części Zaplecza.

Perry ledwo się powstrzymał, aby nie przerwać swojemu zastępcy i zapytać o los Amandy. Mimo to otrzymał odpowiedź:

- Dowiedzieliśmy się, że doktor Reynolds jeszcze *tu* jest. Perry z ulgą wypuścił powietrze. A więc nie wróciła na stację dryfującą i nie dostała się pod ogień. Tutaj była bezpieczna.

Następna informacja była jednak mniej optymistyczna.

- Niestety, nikt jej nie widział w ciągu ostatniej godziny. Poszła z jednym z geologów szukać w tunelach studentki, która oddaliła się samowolnie.

Komandor wcisnął klawisz.

- Bratt, nie chcę, aby choć jedna osoba została w stacji.

- Tak jest, komandorze. Perry popatrzył na zegarek.

- Macie jeszcze siedem minut.

Zanim otrzymał odpowiedź, znów włączyła się centrala dowodzenia.

- Mostek do dowódcy. Od kilku minut nie wychytujemy przez hydrofony żadnych oznak walki na broń palną. Sonar pokazuje jakieś podejrzaną echa, mogące sugerować zanurzenie się okrętu podwodnego: syk wypuszczanego powietrza, pracę elementów mechanicznych...

To mógł być tylko „Drakon”. Rosyjski łowca/zabójca przemieszczał się. Skończył im się czas. Perry nie mógł dłużej ryzykować życia obecnych na starej rosyjskiej stacji ludzi.

- Połączyć mnie z Brattem - rozkazał.

- Tak jest, komandorze!

Chwilę później z głośnika doleciał chrapliwy głos jego zastępcy:

- Bratt, słucham.

- Komandorze, wkrótce będziemy mieli towarzystwo. Natychmiast wszystkich wyprowadzić.

- Jeszcze nie obeszliliśmy całego Zaplecza.

- Ma pan trzy minuty na opróżnienie stacji!

- Zrozumiałem. Bez odbioru.

Perry zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Popatrzył przez kopułę Cyklopa na zewnątrz, po czym wyszedł z pomieszczenia. Podążył na tył okrętu, do centrali, aby ponownie objąć dowodzenie.

Tłoczyli się tu ludzie, pomagając przestraszoną cywilom schodzić po drabinkach do przedziałów mieszkalnych. Ponieważ właz był przez cały czas otwarty, temperatura we wnętrzu okrętu spadła o dobre dwadzieścia stopni.

Obok Perry'ego pojawił się nagle doktor Willig, w którego włosach pełno było topniejącego śniegu.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że jest pan bardzo zajęty, komandorze... - zaczął zdyszany.

- O co chodzi?

- Amanda... jest w Zapleczu.

- Tak, wiemy. - Peny starał się mówić opanowanym głosem. Nie mógł pokazać, że jest przerażony. Musiał zachowywać się jak dowódca.

- Z pewnością przed odpłynięciem zdążymy wyprowadzić wszystkich ze stacji, prawda?

- Robimy, co możemy.

Odpowiedź ta nie rozwiała jednak strachu, malującego się w oczach szwedzkiego oceanografa, dla którego Amanda była jak córka.

W tym momencie pomachał do nich dowódca wachty.

- Komandorze, znów mamy na linii komandora podporucznika Bratta.

Perry popatrzył na zegarek, po czym przeniósł wzrok na otwarty właz. Drabinka była pusta. Gdzie jest jego zastępca? Podeszedł do radia.

- Komandorze, wasz czas się kończy. Zabierajcie się stamtąd!

Odpowiedź była bardzo słabo słyszalna, więc wszyscy na mostku zamilkli.

- Nie znaleźliśmy jeszcze kilku cywilów. Jestem teraz w Zapleczu z kapitan Washburn. Proszę o zgodę na pozostanie, dla ochrony tych, co *tu* jeszcze są. Znajdziemy ich i... dobrze się ukryjemy.

Perry zacisnął dłoń w pięść. Tuż obok niego rozległ się nowy głos:

- Zostawiłem komandorowi podporucznikowi plany stacji. - Był to Lee Bentley, członek zespołu NASA. - Są na nich rozrysowane wszystkie tunele dostępne i stare szyby konstrukcyjne.

Wszystkie oczy skupiły się na Perrym. Doktor Willig chyba jeszcze nigdy w życiu nie był taki błady. Czekano na decyzję komandora.

Peny wcisnął klawisz nadawania.

- Komandorze... - Strach o Amandę ścisnął mu serce, musiał jednak chronić okręt pełen cywilów i żołnierzy. - Nie możemy dłużej czekać.

- Rozumiem.

- Znajdźcie pozostałych... zadbajcie o ich bezpieczeństwo.

- Zrozumiałem. Bez odbioru. Perry zamknął oczy.

Ciężkie milczenie przerwał doktor Willig, pytając z niedowierzaniem:

- Tak ich pan po prostu zostawi?

Perry westchnął i odwrócił się do dowódcy wachty.

- Zanurzać.

GODZINA 11.22

STACJA LODOWA GRENDEL

Amanda kuciała pośrodku gniazda, ciężko oddychając przez zaciśnięte zęby. Krew waliła jej w uszach, niewielką przestrzeń wypełniał smród wyrwanych wnętrzności i krwi. Zwłoki studentki geologii wyglądały jak połamany manekin. Coś poszarpało Lacy. Coś wielkiego.

Dziewczyna leżała na plecach, jej kończyny były połamane, a twarz porozbijana, jakby ciałem potrząsano i wielokrotnie uderzano o lód.

Amanda starała się nie patrzeć na brzuch Lacy. Został rozerwany, a z otwartej jamy sączyła się krew. Wilki zawsze najpierw zjadają wnętrzności ofiary, zaczynają od rozszarpywania właśnie tej części ciała.

Bez wątplenia w tunelach krążył wielki drapieżnik, ale o jakie dokładnie zwierzę chodziło? Nie był to wilk... nie na tej szerokości geograficznej. Nic nie świadczyło także o obecności króla arktycznej dziczy - białego niedźwiedzia. Nie było jego odchodów ani kłębow białej sierści.

Co to więc było?

Amanda zajęła posterunek przy jedynym wyjściu z groty i próbowała uporządkować myśli. Przypomniała sobie ruch, zarejestrowany przez sonar DeepEye, który testowała. Teraz było jasne, że to, co maszyna wychyciła, nie było sonarowym duchem.

Zaczęła analizować fakty. Stwór, który znajdował się w tunelach, w jakiś sposób wyczuł przejście fali sonarowej i uciekł przed nim do kryjówki w głębi lodowej wyspy. Jakie stworzenie byłoby jednak do tego zdolne? Które zwierzęta umiały wyczuwać sonar? Ponieważ przed rozpoczęciem badań z użyciem DeepEye Amanda zapoznała się dokładnie z techniką sonarową, знаła odpowiedź: nietoperze, delfiny i... walenie.

Popatrzyła na rozpląszczone, wypatroszone zwłoki. Przypominały jej inny rozciągnięty i rozpruty korpus.

Okaz *Ambulocetus*, którego sekcję przerwano w połowie i do którego rościł sobie prawa doktor Ogden.

Zdaniem biologów *Ambulocetus* był przodkiem dzisiejszych waleni. Myśl ta jeszcze bardziej zmroziła Amandę.

Czy było to możliwe? Czy mogły tu istnieć żywe okazy - nie tylko zamrożone?

Wstrząsnął nią dreszcz. Wydawało się to absurdalne, ale żadne inne wytłumaczenie nie miało sensu. Ani wilk, ani niedźwiedź polarny. Koszmar przybrał materialną postać. Niemożliwe stało się możliwe.

Zasłoniła latarkę dłonią. W głębi tunelu światło latarki umieszczonej na kasku Connora w dalszym ciągu odbijało się od sklepienia. Przyjrzała się jedynej drodze wyjścia. Nigdzie nic się nie poruszało. Otoczenie było całkowicie nieruchome, w żaden sposób nie mogła stwierdzić, czy drapieźnik już sobie poszedł, czy jeszcze krąży w okolicy.

Była uwięziona - nie tylko w grocie, ale także w kokonie ciszy. Brak słuchu pozbawiał ją informacji o zbliżaniu się wroga: nie usłyszy warknięcia, drapania pazura o lód, szmeru oddechu.

Bała się wyjść z groty.

Nie mogła tu jednak zostać.

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. W ścianach było trochę pęknięć, a pod nimi kilka pagórków, usypanych z poodrywanych kawałków lodu, ale szpary były za małe, aby można się było w nich schować.

Odwróciła się w kierunku tunelu.

Przez odbite światło przesunął się ogromny cień.

Przestraszona, odsunęła się do tyłu, przecisnęła na pośladkach przez leżące na podłodze kości. Zgasiła latarkę. Jedyne światło dochodziło teraz znad gniazda, wpadało do groty przez gardziel skośnego tunelu. Za wejściem do groty coś czyhało, tkwiło niczym głaz w strumieniu światła.

Po chwili zaczęło przesuwać się w jej stronę.

Amanda uciekła w stronę jednego z pęknięć w ścianie. Kręciło jej się w głowie, z trudem stłumiła panikę. Zapaliła latarkę i rzuciła ją tuż obok zwłok Lacy, w nadziei że światło ściągnie stwora. Ta myśl pociągnęła za sobą następne. Skąd ten stwór wie, gdzie ma szukać swojej ofiary w tych ciemnościach? Wyczuwa temperaturę ciała? Drżenia? Ustala jej położenie za pomocą echolokacji?

Musiła założyć wszystkie ewentualności.

Wciągnęła na głowę kaptur kombinezonu i wepchnęła się bokiem w szczelinę. Potarła lodową ścianę dłonią, po czym rozsmarowała szron na twarzy. Uznała, że jeśli stwór wyczuwa temperaturę ciała, termoizolacyjny kombinezon powinien uczynić ją niewidoczną, a jedynymi „widocznymi” miejscami będą dłonie i twarz, dlatego schłodziła skórę.

Wcisnęła się w szczelinę, w nadziei że wystająca na zewnątrz część jej ciała okaże się zbyt mała, aby umożliwić echolokację. Zakryła usta i starała się oddychać bardzo płytko, obawiając się, że może zdemaskować ją nawet wydmuchiwanie z płuc ciepłe powietrze.

Zmusiła się do bezruchu i czekała.

Nie trwało to długo.

Patrzyła z niedowierzaniem, jak stwór wpelza do groty. Żywy grendel...

Najpierw wsunął do środka łeb. Z dwóch przypominających pionowe nacięcia nozdrzy, umieszczonych u góry wysoko wysklepionej czaszki, wylatywały strużki gorącej pary oddechu. Z długiego pyska skapywała świeża krew.

Connor...

Wargi stwora odsunęły się, ukazując ostre jak brzytwy zęby. Wcisnął się do swojego gniazda z uniesionym wysoko pyskiem, pociągając nosem. Był bardzo duży, mógł ważyć jakieś pół tony. Od czubka nosa do końca grubego ogona miał około trzech metrów.

Kiedy wszedł, okrążył grootę pod ścianami, czujny jak łasica. Poruszał się wężowatymi, gibkimi ruchami przypominającymi ruchy wydry, ale skórę miał białą, nagą i gładką. Wyglądał na istotę stworzoną do szybkiego poruszania się w wodzie i prześlizgiwania wąskimi tunelami. Czarne oczy mrużyły się przed blaskiem odrzuconej przez Amandę latarki.

Minął miejsce, w którym ukrywała się Amanda, prawie się o nią ocierając, po czym zatrzymał się i popatrzył w światło. Jego muskularne barki przypominające górskie granie uniosły się, uda napięły, a pazury tylnych łap wbiły w lód. Gwałtownie smagnął ogonem, zmiatając leżące za nim stare kości, a potem wyprysnął przed siebie niczym atakujący lew. Wylądował na zwłokach Lacy z takim impetem, że latarka poleciała daleko w bok. Zaczął drzeć i szarpać ciało zębami i pazurami tak szybko, że nie dało się dostrzec pojedynczych ruchów. Zaraz jednak porzucił swoją ofiarę, pognął za światłem i zaczął rzucać latarką po grocie. Kiedy uderzyła w coś szczególnie mocno, zgasła.

Amanda przez cały czas wstrzymywała oddech.

Wszystko odbyło się dla niej w całkowitej ciszy.

Nagła ciemność na sekundę ją oślepiła. Zaraz jednak znów zaczęła dostrzegać przesączające się z zewnątrz światło. W mroku grendel był tylko upiornym cieniem.

Znowu okrążał grotę. Raz, drugi. W dalszym ciągu zdawał się nie zauważać Amandy. Zatrzymał się pośrodku i zaczął kręcić łbem, jakby przeszukiwał ściany. Nie wiadomo, czy spowodował to strach, czy jakiś rodzaj ultradźwięków - ale w tym momencie Amanda poczuła, że jeżą jej się włoski na karku.

Po jej czole zaczęła spływać kropla potu. Grendel odwrócił się ku niej i zaczął węszyć. Miała wrażenie, że patrzy wprost na nią. Z trudem powstrzymywała krzyk.

Po chwili grendel wstał, wykrzywił wargi i począł ku jej kryjówce.

GODZINA 11.35

NA ZEWNĄTRZ, NA LODZIE...

Jenny żyła. Nie wiadomo jakim cudem, ale żyła...

Leżała wraz ze starym Innuitą na lodzie, lecz choć jego zimne ramiona wciąż ją obejmowały, przestała już reagować na ich dotyk. Nie miała siły się poruszyć, by sprawdzić, czy John żyje. Ich ubrania przymarzły do siebie, łącząc córkę i ojca w jedną całość. Burza szalała, oddzielając ich od reszty świata. Jenny straciła Fernandezę i Kowalskiego z oczu.

Próbowała się przesunąć, ale nie czuła rąk ani nóg. Jej ciało przestało drżeć, jakby zrezygnowało z dostarczania krwi do kończyn. Wszystkie układy organizmu przestawiły się na maksymalnie oszczędny tryb pracy, wszystkie rezerwy były przeznaczone na zachowanie przy życiu rdzenia ciała.

Zniknęło nawet poczucie zimna, ogarnął ją wielki spokój. Chciało jej się spać, ale opierała się, bo sen oznaczał śmierć.

Tato... nie była w stanie wypowiedzieć nawet tego słowa. Wargi nie chciały się poruszyć. Z głębi pamięci wydobywało się inne imię - nieproszone, niechciane: Matt...

Jej serce uderzało powoli, jakby było z ołowiu.

Najchętniej by zapłakała, ale jej kanaliki łzowe zamarzły. Nie chciała w ten sposób umierać. Przez ostatnie trzy lata snuła się przez życie, wykonując jedynie to, co do niej należało, a teraz zachciało jej się zacząć naprawdę żyć. Przeklinała stracony czas, to niby-życie, jakie ostatnio prowadziła. Natura była jednak obojętna na czyjeś życzenia i marzenia - po prostu zabijała, tak jak to robi każdy drapieżnik.

Zamykały jej się oczy. Trzymanie ich otwartych zbyt bolało.

Kiedy świat już niemal całkiem odpłynął, w wirującym śniegu błysnęły flary. Jedna, dwie, trzy, cztery... Ich mgliste rozbłyski prześwitywały słabo przez ścianę szkwału, latały we wszystkie strony, szybując w podmuchach wiatru. Śnieżne anioły...

Jenny zmrużyła powieki, by na nie popatrzeć. Rozbłyski pojaśniały, a po kilku następnych oddechach dołączyło do nich monotonne wycie, z trudem przebijające się przez wściekły ryk wichru.

To nie były anioły...

Ze śniegu wyjechały dziwne pojazdy. Wyglądały jak skutery śnieżne, ale poruszały się zbyt szybko, mknęły po lodzie z elegancją i prędkością niemożliwą do osiągnięcia dla zwykłych ski-doo. Przypominały lecące nad lodem skutery wodne.

Nie były to jednak ani skutery śnieżne, ani wodne. Kiedy zamieniły się z iluzji w rzeczywistość, Jenny zobaczyła, że suną po lodzie, nie dotykając go. Widziała kiedyś takie pojazdy na pokazach. Modele eksperymentalne.

Poduszkowce.

Te były jednak małe, na dwie osoby, otwarte z góry, a siedziało się na nich jak na motocyklu. Przednia owiewka była mocno pochylona do tyłu, mogła osłaniać nie tylko kierowcę, ale i pasażera. Podobnie jak skutery śnieżne, miały płozy, które wydawały się jednak służyć tylko do skręcania i hamowania. Pojazdy zgrabnie opadły na lód, pojechały jeszcze kawałek poślizgiem i zatrzymały się dwa metry od nich.

Zsiedli z nich mężczyźni ubrani w białe kombinezony i skierowali na nich broń.

Jenny słyszała wypowiedane po rosyjsku zdania, ale świat wciąż pozostawał zamazany, rozświetlały go jedynie latarki naczolowe ludzi z poduszkowców.

Wszyscy mieli na twarzach maski jak żołnierze z oddziałów szturmowych. Podchodzili ostrożnie, ale z wyraźną niecierpliwością. Kilku obejrzało wybitą w lodzie dziurę, inni podeszli do leżących na lodzie ludzi. Jeden ukląkł obok Jenny i warknął coś po rosyjsku.

Była w stanie odpowiedzieć jedynie niezrozumiałym charkotem.

Nawet wydanie z siebie nieartykułowanego dźwięku wymagało od niej zebrania wszystkich sił, jakie jej jeszcze pozostały. Kiedy człowiek w masce wyciągnął do niej rękę, straciła przytomność. Gdy się ocknęła, stwierdziła, że siedzi w kubelkowym fotelu, przypięta pasami. Świat dookoła znów zamienił się w niewyraźną plamę. Leciwała.

W którymś momencie resztki jej świadomości przebiły się przez otaczającą głowę mgłę i zobaczyła, że siedzi za żołnierzem ubranym jedynie w gruby szary sweter. Jego kurtkę miała na sobie ona. Obszyty futrem kaptur niemal całkowicie zasłaniał jej twarz.

Wracali do stacji dryfującej. Z dziury w lodzie, pozostałej po jednym z budynków, buchał ogień.

Nie miało to sensu, więc po prostu znów straciła przytomność.

Obudziła się w świecie bólu. Parzył każdy centymetr jej ciała. Miała wrażenie, że jest żywcem opiekana, że całe jej ciało opływa żrący kwas, który zrywa z niej skórę. Krzyknęła, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Zaczęła bić trzymając ją ręce.

- Już dobrze, pani Ara tuk - powiedział zza jej pleców szorstki głos. - Jest pani bezpieczna. - Potem ten sam głos zwrócił się do osoby, która ją trzymała: - Daj nieco cieplejszą wodę.

Jenny trochę bardziej oprzytomniała. Była naga i ktoś trzymał ją pod strumieniem wody. Udało jej się wyjąkać:

- To... pali...

- Woda jest letnia. Krew wraca do skóry. Ma pani kilka lekko odmrożonych miejsc. - Coś ukłuło ją w ramię. - Daliśmy pani morfinę, aby zmniejszyć ból.

Popatrzyła na mówiącą do niej osobę. Był to komandor podporucznik Sewell. Siedziała na podłodze prysznicza w ogólnej łazience. Znajdowali się tu jeszcze inni żołnierze marynarki, wszyscy byli czymś zajęci. Z innych kabin buchała para.

Wkrótce nieznośny ból zamienił się w torturę. Po policzkach Jenny popłynęły łzy, mieszając się z wodą z prysznicza. Temperatura ciała powoli rosła. Zaczął się niemożliwy do opanowania dygot.

- A... mmm... mój... ojciec? - wyjąkała.

- Zajęliśmy się nim - odparł Sewell. - Jest nawet w lepszej formie niż pani. Już go owinięto ręcznikami. Twardy drań. Ma tylko małe odmrożenie na nosie. Musi być zrobiony z lodu...

Jenny uśmiechnęła się do siebie. Tata...

Całe jej ciało drżało i dygotało, ale jego temperatura powoli wracała do normy. Końcówki nerwów w dłoniach i stopach budziły się do życia, kłując milionem igiełek. Bolało, jakby ją powoli krzyżowano.

W końcu pozwolono jej wstać. Rozgrzała się na tyle, że poczuła lekki wstyd z powodu swojej nagości - wszędzie wokół kręcili się umundurowani mężczyźni. Kiedy wyprowadzano ją spod prysznic, ujrzała w kabinie obok świeżą gołąm tyłkiem Kowalskiego, dygoczącego pod strumieniem wody.

Owinęto ją natychmiast ciepłymi ręcznikami.

- A Fernandez? - spytała. Sewell pokręcił głową.

- Kiedy Rosjanie do was dotarli, już nie żył. Zaprowadzono ją do szeregu krzeseł, ustawionych przed dmuchawami ciepłego powietrza. Morfina sprawiła, że nieco plątały jej się nogi, ale jakoś dotarła do celu i usiadła ciężko. Był tam jej ojciec, popijał z kubka gorącą kawę.

- Jen - powiedział. - Witamy z powrotem w życiu.

- Nazywasz to życiem? - burknęła. Przed jej oczami przesunął się krzywy uśmiech Fernandez. Trudno było pojąć, że ktoś tak żywotny jak on może umrzeć. Mimo to ogarnęło ją tępe uczucie ulgi - na pewno po części spowodowane przez morfinę, ale chyba głównie płynące ze świadomości, że udało jej się uratować.

Żyła.

Dmuchała posyłała ku niej kolejne porcje wilgotnego ciepła, ktoś wsunął w jej drżące dłonie kubek z kawą.

- Proszę pić - powiedział Sewell. - Musimy panią maksymalnie rozgrzać od zewnątrz i od środka, poza tym kofeina pobudza.

- Nie musi mi jej pan reklamować, komandorze. - Upiła łyk gorącego, niemal wrzącego napoju. Czowała, jak spływa do żołądka, paląc przełyk. Wstrząsnął nią dreszcz bólu - ale i przyjemności.

Rozejrzała się. Znajdowali się w jakiejś wielkiej sypialni - pod dwiema ścianami stary łóżka, a pośrodku stoły i krzesła. Obecni byli w większości cywilami, naukowcami, ale widać było także kilku marynarzy.

Popatrzyła na Sewella.

- Co się stało?

- Rosjanie. Przejęli stację.

- Tego sama się domyślałam. Dlaczego? Pokręcił głową.

- Ma to jakiś związek ze stacją lodową, którą odkryliśmy. Interesuje ich coś, co kiedyś tam ukryto. Systematycznie przesłuchują cały personel, aby się dowiedzieć, co wiemy.

Dlatego was uratowali. Sądzieli, że może uciekacie z kimś lub czymś, więc was tu ściągnęli. Poinformowałem ich, kim jesteście.

- Czego szukają?

- Nie wiem. Cokolwiek znajduje się w tamtej bazie, jest otoczone tajemnicą. TDW.

- TDW?

- Tylko dla wtajemniczonych. - Jego głos stwardniał. - A ja najwyraźniej do nich nie należę.

- Więc co teraz?

- Niewiele możemy zrobić. Mamy bardzo mały oddział zabezpieczający. - Powiódł ręką wokół. - Dranie zabili pięciu moich ludzi. Zostaliśmy błyskawicznie pokonani i spędzeni tutaj. Tak samo cywile. Powiedzieli, że jeśli nie będziemy sprawiali kłopotów, zostaniemy uwolnieni w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- A co z drugim sno-catem? - spytał ojciec Jenny spod swojej sterty ręczników. - Z Mattem i Craigiem?

Jenny cała się spięła. Obawiała się najgorszego.

- O ile wiem, nic im nie jest - odparł Sewell. - Zanim mnie aresztowano, udało mi się z nimi skontaktować. Kazałem im po przybyciu do starej stacji podnieść alarm.

Jenny wypła kolejny łyk kawy. Jej dłonie drżały jeszcze bardziej. Z jakiegoś powodu chciało jej się płakać.

- Wszyscy tu są?

- Wszyscy żywi.

Rozejrzała się wokół, szukając twarzy młodego mężczyzny. Nie dostrzegając jej.

- Gdzie jest podporucznik Pomautuk? Sewell pokręcił głową.

- Nie ma go tu. Jest wśród zaginionych, razem z kilkoma cywilami. Nie jestem jednak niczego pewien, bo Rosjanie zabrali kilka ciężiej rannych osób do skrzydła szpitalnego. Może jego też. Szczegóły cały czas są niejasne.

Jenny popatrzyła na ojca. Czubek jego nosa miał barwę popiołu. Stary Inuita zauważył jej strach, wysunął doń spomiędzy ręczników i wyciągnął w jej stronę. Chwyła jego palce. Były szorstkie, pełne starych odcisków, ale jeszcze mocne. Zmagał się w życiu z tyloma trudnościami i tak wiele ich pokonał... i przeżył. Próbowła przez dotyk wchłonąć nieco jego siły. Popatrzyła na Sewella.

- Te czterdzieści osiem godzin... Wierzy im pan? Myśli pan, że nas wypuszczą?

- Nie wiem. Jenny westchnęła.
- A więc inaczej mówiąc: nie. Wzruszył ramionami.
- Nieważne, czy im wierzymy, czy nie. Jest ich dwa razy więcej od nas. Do tego wszyscy są uzbrojeni.
- Co z waszym dowódcą i okrętem podwodnym?
- „Polar Sentinel” może znajduje się w okolicy, ale nie jest uzbrojony. Mam nadzieję, że zwiędą stąd i wezwą pomoc. Jeśli żyją.
- Więc co? Będziemy beczynn timer czekać? Mamy wierzyć Rosjanom, że nic nam nie zrobią?

Przed chwilą dołączył do nich Kowalski, również owinięty od stóp do głów w ręczniki. Opadł ciężko na krzesło.

- Nigdy w życiu - rzucił krótko. Zapadła cisza. Nikt nie protestował.
- Potrzebujemy planu - stwierdziła w końcu Jenny.

GODZINA 11.45

STACJA LODOWA GRENDEL

Czy już tędy szliśmy? - zastanawiał się komandor podporucznik Roberto Bratt. Zgubili się, co nie poprawiało mu nastroju. Zawsze obwinał o swoją wybuchowość geny: jego matka była Meksykanką, a ojciec Kubańczykiem. Oboje byli głośni i niestabilni emocjonalnie, ciągle się ze sobą kłócili. Ale te tunele pozbawiłyby cierpliwości nawet Gandhiego. Każde miejsce wyglądało tak samo: lód, lód, lód.

Idąca przed nim pani kapitan weszła do następnego tunelu. Podążył za nią, pod jego stopami zachrzącał piasek.

- Washburn! - wrzasnął. - Wiesz w ogóle, dokąd idziesz?!

Kapitan Serina Washburn zwolniła nieco i skierowała światło latarki na namalowany na ścianie jaskrawoczerwony znak.

- Komandorze, to jedyne miejsce, którego jeszcze nie sprawdzaliśmy. Potem będziemy potrzebowali farby w sprayu, aby oznakować dalsze korytarze.

Machnął ręką, żeby szła dalej. Wspaniale...

Podczas chaotycznej ewakuacji ludzie Bratta używali do ogłaszania alarmu megafonów i naukowcy zaczęli wychodzić z lodowych tuneli, ale z powodu siedzących im na karku Rosjan nie zdążyli przeczesać całego Zaplecza.

Kiedy kurz osiadł, okazało się, że brakuje kilku osób - w tym kierowniczkę stacji, doktor Amandy Reynolds.

Bratt czuł się zmuszony do pozostania, ale zaskoczyło go, że kapitan Washburn chce do niego dołączyć. Była odpowiedzialna za stację i nie zamierzała jej opuszczać, dopóki nie zostanie z niej zabrany ostatni członek personelu.

Im dłużej razem przebywali, tym bardziej ją doceniał. Washburn była o kilka centymetrów wyższa od niego, szczupła i muskularna i przypominała średniodystansowca. Krótka obcięta włosy sprawiały, że wyglądała nieco mniej kobieco, choć miała jasnokawową gładką skórę i duże ciemne oczy. W tej chwili jednak nie jej kobiecość była dla Bratta najważniejsza, lecz sprawność wojskowa.

Myślał tylko o tym, co ma do zrobienia, i koncentrował się na przepatrywaniu tuneli. Miał wyraźnie określone zadanie: odnaleźć wszystkich zabłąkanych cywilów i zapewnić im bezpieczeństwo.

Przyłożył megafon do ust i wcisnął przycisk. Jego słowa buchnęły w przestrzeń:

- Tu komandor podporucznik Bratt! Jeśli ktoś mnie słyszy, niech da głośno znać!

Opuścił megafon. Dzwoniło mu w uszach. Potrzebował chwili, by móc usłyszeć odpowiedź. Nie spodziewał się żadnej reakcji, bo szukali już od półgodziny bez żadnego rezultatu, kiedy więc tym razem mu odpowiedziano, nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

Washburn odwróciła się do niego, unosząc brew.

Okrzyk powtórzył się jednak, słaby, ale wyraźny.

- Tutaj!

Dolatywał gdzieś z przodu.

Pobiegli w głąb tunelu. Bratt poprawił wiszący na ramieniu karabinek. Kieszenie miał powypychane amunicją, pozbieraną od podwładnych, którzy wrócili na „Polar Sentinelę”. Washburn była podobnie obciążona, ale mimo to poruszała się znacznie szybciej.

Tunel przeszedł w dużą grotę, pełną pracujących na wolnym biegu generatorów, masztów oświetleniowych i innego sprzętu. Było tu znacznie cieplej i bardziej wilgotno. Tylnej ściany groty nie pokrywał lód - tworzyła ją podziurawiona wulkaniczna skała.

- Jezu... - mruknął pod nosem Bratt.

W ich kierunku szedł, ślizgając się na lodzie, niski łysy mężczyzna w niezapiętej kurtce. Był to jeden z naukowców stacji. Po jego bokach szło dwóch młodszych mężczyzn.

- Doktor Ogden? - zdziwiła się Washburn. - Co pan tu robi? Nie słyszał pan wezwania do ewakuacji?

- Tak, słyszałem... - wysapał mężczyzna, kiedy zbliżył się do nich - ale moja praca nie ma nic wspólnego z polityką. To nauka. Dopóki moje obiekty są bezpieczne, nie interesuje mnie, kto rządzi stacją. W żadnym razie nie mogę ich zostawić własnemu losowi. Zwłaszcza teraz. Są prawie całkiem roztopione.

- Obiekty? - zdziwił się Bratt. - Roztopione? O czym pan mówi?

- Muszą zostać zabezpieczone - oświadczył naukowiec. - Powinien pan to zrozumieć. Nie mogę ryzykować zniszczenia danych.

Bratt popatrzył na przestępujących z nogi na nogę i nerwowo ściskających dłonie towarzyszy doktora Ogdena - prawdopodobnie byli to absolwenci uczelni. Nie sprawiali wrażenia tak bardzo przekonanych o konieczności ochrony badanych obiektów jak ich opiekun.

- Musi pan je zobaczyć! - krzyknął Ogden. - Zarejestrowaliśmy aktywność elektryczną mózgu!

Powiedziawszy to, pospieszył z powrotem tam, skąd przyszedł.

Washburn ruszyła za nim.

- Jest tu gdzieś doktor Reynolds? - spytała.

Bratt starał się ich dogonić, żeby usłyszeć odpowiedź. Jeżeli była tu reszta personelu... Niestety, odpowiedź doktora zniweczyła jego nadzieję.

- Amanda? Nie wiem, gdzie ona jest. - Ogden odwrócił się, ze zdziwieniem marszcząc czoło. - Dlaczego pani o nią pyta?

- Jest gdzieś w stacji - odparła kapitan Washburn. - Podobno razem z doktorem MacFerranem szukają zagubionej studentki.

Ogden przejechał dłonią po zamrzniętych wąsach.

- Nic o tym nie wiem. Byłem **tu** całą noc z zespołem biologów.

Kiedy doszli do ściany, Bratt stwierdził, że mają pod nogami warstewkę wody, która wypływa z pęknięcia w skale. Biolog wprowadził ich do niego. Zanim zdążyli przejść kilka kroków, z naprzeciwka ktoś nadbiegł.

Była to kolejna podopieczna Ogdena, studentka. Przerażona poślizgnęła się i Bratt musiał ją złapać. Ilu idiotów było **tu** jeszcze na dole?

- Profesorsze! Ccc... coś się dzieje! - wydukała.

- O co chodzi?

Wskazała za siebie. Próbowwała coś powiedzieć, ale strach ścisnął jej gardło. Ogden ruszył w stronę, z której przybiegła.

- Coś się stało?

Poszli za nim. Po dziesięciu krokach znaleźli się w grocie wielkości podwójnego garażu. Także tutaj na słupach oświetleniowych płonęły reflektory i wszędzie stał sprzęt.

Bratt rozejrzał się i skrzywił, gdy poczuł wypełniający jaskinię zapach. Kiedyś podczas wakacji pracował w Monterey w fabryce przerabiającej ryby i dobrze pamiętał odór gnijących rybich wnętrzności i smród rozkładającej się krwi. Tu było tak samo - tyle że źródłem paskudnego zapachu nie były martwe ryby.

Na lodowej podłodze leżał jakiś bladobiały stwór, przekręcony na bok, obdarty ze skóry i wypatroszony. Przypominał nieco bieluchę, ale miał nogi. Nie był sam: dookoła leżało zwiniętych sześć kolejnych okazów - świeższych i całych. Ich blade ciała pokryte były jeszcze kawałkami lodu. Do dwóch poprzyczepiane były kolorowe przewody, podłączone do zaopatrzonych w monitory urządzeń. Po ekranach przesuwały się sfalowane łagodnie linie.

Ogden rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Nie rozumiem... - Odwrócił się do spanikowanej studentki. - Co się stało?

Wskazała za siebie, na jeden ze skulonych okazów, leżący najbliżej wypatroszonego pobratymca.

- To się... poruszyło.

Ogden skrzywił się i zbył ją machnięciem dłoni.

- Niedorzeczne. To tylko gra cieni. Pewnie przesunął się któryś z masztów z reflektorem.

Dziewczyna jednak nie wyglądała na przekonaną. Była naprawdę przerażona.

Ogden odwrócił się do Bratta i Washburn.

- Chodzi o odczyty elektroencefalografu - wyjaśnił. - Przestraszyły ją zupełnie niepotrzebnie... jest mało doświadczonym pracownikiem.

- Zapis fal mózgowych? - Bratt popatrzył na przebiegające po monitorach sinusoidy.

- Tak - potwierdził Ogden. - Zarejestrowaliśmy u roztopiających się okazów pewną aktywność mózgu.

- Żartuje pan? Te stwory żyją?

- Oczywiście, że nie. Mają pięćdziesiąt tysięcy lat, ale zjawisko takie obserwuje się czasami, kiedy żywe istoty szybko zamarzają a potem są powoli rozmrażane. Choć obiekt nie żyje, rozmrażające się związki chemiczne w mózgu zmieniają stan skupienia, a chemia to chemia. Rozpoczynają się pewne procesy neurochemiczne. Potem jednak, z braku krążenia krwi, zanikają. Z tego właśnie powodu muszę tu być i zbierać dane, zanim te procesy ustaną. Obserwujemy aktywność fizjologiczną, która zanikła pięćdziesiąt tysięcy lat temu!

- Dopóki te stwory nie żyją, to nie ma znaczenia - mruknął Bratt.

Nagle jeden ze zwiniętych okazał spazmu. Jego ogon gwałtownie się wyprostował i trafił w słup oświetleniowy, przewracając go z łoskotem.

Wszyscy odskoczyli - z wyjątkiem doktora Ogdena, który gapił się zdumiony.

Ciało stwora w dalszym ciągu się prostowało i skręcało w gwałtownych esach-floresach. Po chwili zaczęło podskakiwać na podłodze i rzucać się na boki jak wyciągnięty właśnie z wody marlin. Przez cały korpus przebiegały potężne fale konwulsji.

Biolog podszedł bliżej i wyciągnął rękę, jakby musiał dotknięciem przekonać się o realności tego, co się dzieje.

- Ożywa...

- Doktorze... - powiedział ostrzegawczo Bratt.

W tym momencie bestia rzuciła się w stronę Ogdena. Jej paszcza rozwarła się szeroko, ukazując szeregi rekinich zębów. Zwierzę kilka razy kłapnęło szczękami, niebezpiecznie zbliżając się do palców biologa. Ogden zatoczył się do tyłu i złapał za dłoń, jakby naprawdę został ugryziony.

Bratt miał tego dość. Złapał biologa za ramię i odciągnął go gwałtownie, po czym rozsunał stojących wokół ludzi. W jego dłoniach pojawił się karabinek.

Doktor stanął obok niego.

- Niesamowite... - wysapał.

Bratt chciał coś odpowiedzieć, nagle jednak poczuł za uszami przenikliwe buczenie i jego szczęka zaczęła dzwonić jak kamerton. Znał to uczucie - kto pływa na okręcie podwodnym, często jest wystawiany na działanie sonaru. Doskonale wiedział, jaka jest przyczyna tego, co się działo.

Pozostali musieli odczuwać to samo, bo zaczęli trzeć dłońmi uszy.

Ultradźwięki...

- Patrzcie! - zawołał jeden ze studentów i wskazał na monitor elektroencefalografu.

Bratt spojrział na wykres. Powolna sinusoida zamieniła się w gwałtowny zygzak. Podłączone do przewodów okazy zaczęły dygotać. Po chwili wystrzelił drugi ogon, prostując się błyskawicznie.

Wszyscy rzucili się do ucieczki.

- Nie do wiary... - wydyszał Ogden, dłubiąc palcem w ucho. - Chyba ten pierwszy coś przekazuje pozostałym...

- Za pomocą sonaru - dodał Bratt.

- Wczesne śpiewy wielorybie - mruknął naukowiec. - *Ambulocetus* to przodek dzisiejszych gatunków ssaków morskich. Prawdopodobnie ultradźwięki działają jak wyzwalacz biologiczny, budzący resztę stada. Mechanizm obronny, służący całej społeczności.

Coraz więcej cielsk podrygiwało w gwałtownych skurczach. Ogony roztrzaskiwały sprzęt, ultradźwiękowy sygnał narastał.

Leżący na boku pierwszy stwór łapał powietrze szeroko rozwartą paszczą. Po chwili przekreślił się na brzuch.

- Niech ktoś je zastrzeli! - zawyła studentka. Bratt uniósł broń.

Biolog przeniósł spojrzenie z jego karabinka na ozywającego stwora.

- Oszalał pan? Przecież to odkrycie śmiecia... a pan chce to zniszczyć? Musimy je chronić!

Bratt starał się być grzeczny, ale stanowczy.

- To nie scena z filmu *Uwolnić orkę*. Znacznie bardziej zależy mi na ochronie ludzi. - Ujął niskiego doktora za łokieć i popchnął go w kierunku wyjścia z grotu. - A jeśli pan tego jeszcze nie zauważył, te stwory nie wyglądają na planktonożerców... już raczej przypominają żarłaczce. Moim zdaniem doskonale potrafią same się obronić.

Naukowiec zaczął protestować, ale Bratt odwrócił się od niego i popatrzył na Washburn.

- Proszę pilnować doktora Ogdena, pani kapitan. Kiwnęła głową, zerkając jednym okiem na ciskające się wściekle potwory.

Bratt poprowadził całą grupę do wyjścia. Kiedy wyszli z pęknięcia w skale, szybkim krokiem ruszyli przez zamrożone jezioro.

- Rosjanie muszą o tym wiedzieć! - gorączkował się Ogden. - Na pewno właśnie dlatego chcą przejąć stację! Chcą chwały tylko dla siebie!

Bratt wiedział, że to nieprawda, był bowiem jedną z nielicznych osób, które znały tajemnicę poziomu czwartego. Rosjanie wcale nie szukali chwały, nie zamierzali niczego rozgłaszać.

Kiedy dotarli do przeciwległego końca groty, idąca z tyłu Washburn zawołała:

- Komandorze, mamy towarzystwo! Bratt odwrócił się.

Z pęknięcia w skale wysuwał się jeden ze stworów. Zaraz za nim pojawił się następny... potem jeszcze jeden...

Chybotwały się na boki, ale mimo niepewnego chodu wyglądały na zdeterminowane. Po pięćdziesięciu tysiącach lat były też prawdopodobnie bardzo głodne.

- Szybko się budzą - stwierdził Ogden z podziwem w głosie.

Bratt dał znak machnięciem ręki, aby wszyscy się pospieszyli.

- Wychodzić! - krzyknął. - Wszyscy wychodzić!

Na dźwięk jego głosu łby trzech bestii obróciły się w ich stronę. Bratt ponownie poczuł znajome buczenie za uszami. Te przeklęte stwory znów wymacały ich swoimi sonarami.

- Cholera jasna! - wrzasnął i wycelował w bestie z karabinka. - Washburn, niech wszyscy idą w głąb korytarza. Szybko! Zna pani drogę. Zatrzymam te stwory, aby nie podeszły za blisko.

Uniósł karabinek.

- Nie... - wymamrotał błagalnie Ogden.

- Profesorze, nie czas teraz na dyskusje.

GODZINA 11.58

NA ZEWNĄTRZ, NA LODZIE

Matt miał wrażenie, że jego kręgosłup zamienił się w galaretę. Od ponad godziny starszy bosman Frank O'Donnell jechał gąsienicowym pojazdem z najwyższą możliwą prędkością, nie zważając na nierówności terenu. Matt miał wrażenie, że jest puszką farby, wrzuconą do mieszarki wibracyjnej. Zdawało mu się, że każda kość w jego ciele została wytrząśnięta i obita.

Patrzył przez okno na wirujący śnieg. Wiatr szarpał ich pojazdem na wszystkie strony. Dawno już stracił nadzieję, że uda mu się przekonać obu marynarzy, aby zrezygnowali zjazdu do rosyjskiej stacji. Jedynym ich ustępstwem było to, że kierowca co pięć minut próbował nawiązać kontakt z drugim sno-catem.

Nikt jednak nie odpowiadał.

Próbowali także złapać bazę, ale nie mieli szczęścia. Mogło się wydawać, że są tu zupełnie sami.

Obawa Matta o los Jenny zamieniła się w lęk, ciężący mu w brzuchu jak kamień. Nie potrafił się skoncentrować na analizie własnej sytuacji.

- Jest stacja! - zawołał nagle O'Donnell i wskazał przed siebie. W jego głosie słychać było wyraźną ulgę. - Przynajmniej zostawili światło.

Matt pochylił się do przodu, zadowolony, że może przestać myśleć o własnych zmartwieniach. Craig popatrzył na niego błyszczącymi oczami.

Spiętrzone torosy tworzyły wielkie jak góry lodowe ściany. Śnieg dał poziomo, zamazując wszelkie szczegóły, ale przy podstawie jednego z torosów przez mrok przebijało światło reflektora.

- Nie widzę żadnej stacji - stwierdził Craig.

- Wszystko jest pod lodem - wyjaśnił kierowca. - Cała baza.

Sno-cat skierował się na latarnię kierunkową, podskakując na nierównym lodzie. Matt dostrzegł inne pojazdy gąsienicowe, w połowie zasypane śniegiem, ukryte w wąwozach między pionowymi ścianami. Stał tam nawet bojer z opuszczonymi żaglami. Sno-cat mijał pojazdy, podążając w stronę oświetlonego wejścia.

- Kurwa! - krzyknął nagle kapitan Greer. Zaskoczeni, spojrzeli w stronę, w którą kierował wzrok.

W śnieżnej zawierusze Matt ujrzał coś niemożliwego. Przebijając lód, z głębin oceanu wynurzał się kiosk okrętu podwodnego, parujący i spływający wodą.

- Rosjanie... - syknął Pearlson.

Matt popatrzył na płoń, w której wynurzał się okręt. Otwór w lodzie był mały, za mały dla wielkiego rosyjskiego okrętu. Było w nim miejsce tylko na kiosk.

- Co robimy? - spytał.

- Prawie kończy mi się paliwo - mruknął O'Donnell. Greer był starszy stopniem.

- Do stacji! - rozkazał bez wahania.

Matt kiwnął głową, zgadzając się z nim w duchu. Potrzebowali kryjówki. Pozostanie na zewnątrz oznaczało pewną śmierć. Hydrofony okrętu podwodnego bez wątpienia wychwyciły odgłos ich silnika i Rosjanie wiedzieli już, że nadjeżdżają.

O'Donnell dodał gazu. Kiedy pojazd najechał na jakiś szczególnie ostry występ, Matt podskoczył do samego sufitu.

- Trzymać się! - krzyknął O'Donnell.

Matt pomasaował sobie głowę i usiadł. Ostrzeżenie rychło w czas... Greer ścisnął oparcie fotela.

- O'Donnell...

- Widzę ich!

Matt popatrzył na okręt. Przez właz na szczycie mostu wychodzili żołnierze w białych kombinezonach. Wyciągali ręce w ich kierunku.

Sno-cat ostro skręcił i pomknął do wejścia stacji.

- Zwolnij! - wrzasnął Craig, zapierając się z całej siły o deskę rozdzielczą.

Kiedy Matt zrozumiał, co kierowca zamierza, jego oczy się rozszerzyły.

- Chyba żartujesz...

O'Donnell jeszcze dodał gazu. Sno-cat pomknął prosto do tunelu.

Nagle huknęły strzały i pociski załomotały o tył pojazdu. Eksplozje przypominały wybuchy petard. Łoskot był ogłuszający. Tylne szyby rozprysnęły się na kawałki.

W tym momencie sno-cat wpadł w tunel.

O'Donnell zredukował bieg i ostro wcisnął hamulec, ale nie zatrzymało to rozpędzonego pojazdu, który pomknął schodami w dół, z uniesionym tyłem, drapiąc dachem o sufit tunelu.

Uderzenie zgmiotło tył kabiny i sno-cat ze zgrzytem gaśienic opadł na schody.

Pasażerowie zbili się w jeden wielki kłęb, zamieniając się w płataninę rąk i nóg.

Matt ujrzał przed sobą mignięcie stalowych drzwi.

Uderzyli w nie z impetem, który rzucił wszystkich do przodu. Matt przeleciał przez siedzenie i uderzył barkiem w przednią szybę, która wypadła z ramy. Przetoczył się po masce, ześlizgnął z niej i wylądował na lodzie jak szmaciana lalka.

Ale przynajmniej się zatrzymali.

Kiedy Matt zaczął wstawać, Craig wychylił się z kabiny.

- Jak się czujesz? - spytał. Rana na jego głowie znów pękła i po twarzy spływała strużka krwi.

- Lepiej od ciebie - odparł Matt, macając ręce i nogi, aby upewnić się, czy nie kłamie.

O'Donnell jęknął i złapał się za bok. Musiał uderzyć o kierownicę i złamać sobie kilka żeber. Greer i Pearlson już wstali z tylnej ławki i wyglądali przez dziurę po tylnej szybie, sprawdzając, czy nie nadchodzą Rosjanie.

Matt obejrzał ich pojazd. Sno-cat był wbity w tunel wejściowy jak korek w butelkę.

- Nie ma to jak dostawa pod same drzwi - mruknął.

- Wszyscy wysiadać! - rozkazał Greer. Podniósł z podłogi broń i wskazał dłonią wejście do stacji.

Nie było możliwości otworzenia drzwi sno-cata, ale dziura po przedniej szybie pozwalała swobodnie wyjść z pojazdu. Matt pomógł wszystkim przejść po masce.

- Wchodzimy głębiej! - krzyknął Greer, kiedy znaleźli się na zewnątrz. - Wrak zatrzyma Rosjan, ale nie na długo!

Pobiegli korytarzem. Greer dogonił Matta i wyciągnął w jego stronę beretkę 9 mm.

- Wiesz, jak się tym posługiwać?

- Służyłem w Zielonych Beretach.

Greer popatrzył na niego, po czym włożył mu broń do ręki.

- W takim razie nie odstrzelisz sobie stopy. Matt obejrzał broń.

- Chyba że pozwoli mi się to stąd wydostać.

Po kilku metrach tunel wejściowy przechodził w rozległą owalną przestrzeń, z której wchodziło się do innych pomieszczeń - Wokół centralnie położonych schodów ustawiono krzesła i stoły. Na niektórych z nich stały niedojedzone posiłki. Przecinając salę z bronią gotową do strzału, rozglądali się. Nikogo tu nie było.

- Gdzie są wszyscy? - zdziwił się Matt.

Greer poprowadził ich schodami w dół. Następny poziom również był pusty.

- Zniknęli - stwierdził zdumiony Pearlson.

- Zostali ewakuowani - poprawił go Greer. - „Polar Sentinel” musiał dowiedzieć się o ataku, przyplłynął tu i zabrał ludzi.

- Wspaniale - mruknął Matt. - Przebyliśmy taki szmat drogi, aby ich ostrzec, a oni już zwinęli interes.

- Co robimy? - spytał Craig. Połowa jego twarzy była zalana krwią, a druga szara jak popiół.

Greer poprowadził ich dalej w głąb.

- Na trzecim poziomie jest szafka z bronią. Granaty, stare karabiny. Weźmiemy tyle, ile uniesiemy.

- A potem?

- Ukryjemy się gdzieś. Przeżyjemy.

- Bardziej podoba mi się druga część planu - oświadczył Matt.

Kiedy dotarli na poziom trzeci, niedaleko rozległy się odgłosy strzelaniny. Nie dolatywały z góry, ale z dołu.

- Ktoś jeszcze tu jest - stwierdził Craig.

- Brzmiało to, jakby dolatywało z poziomu tuż pod nami - zauważył Pearlson.

- Idziemy! - rzucił Greer.

Ledwie ruszyli, gdzieś w górze huknęła głośna eksplozja. Wszyscy znów zamarli.

- Rosjanie - powiedział Matt.

- Szybciej! - rozkazał Greer i zaczął zbiegać schodami. Nad ich głowami wykrzykiwano rozkazy po rosyjsku. Od ścian odbijał się echem łoskot biegnących stóp.

Craig i Matt biegli tuż za Greerem, Pearlson i O'Donnell ubezpieczali tyły. Wpadli na poziom czwarty. Nie wychodziło się tu ze schodów na wspólną przestrzeń, lecz do długiego korytarza.

Również był pusty, ale jego koniec zamykały podwójne drzwi.

- Zaplecze - powiedział Pearlson.

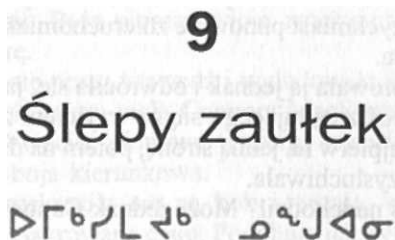
- Dobre miejsce do ukrycia się - stwierdził Greer. - Mamy dla siebie cały pieprzony labirynt. Idziemy!

- Ciekawe, kto strzelał - zastanawiał się głośno Craig, kiedy biegli do drzwi.

Matt też chętnie by się tego dowiedział.

- Módlmy się, żeby to byli nasi - mruknął Greer.

Matt doskonale go rozumiał. Potrzebowali wsparcia. Pojawiało się jednak inne pytanie: jeżeli to byli Amerykanie, do czego strzelali?



9 KWIETNIA, GODZINA 12.02

STACJA LODOWA GRENDEL

W mroku pełnego kości gniazda potężny stwór pełzł w kierunku kryjówki Amandy. Rozwierał szeroko paszczę, ukazując zakrwawione zęby. Między jego pazurami zwisały kawałki poszarpanego kombinezonu Lacy.

Amanda wciskała się coraz głębiej w pęknięcie w lodzie i czuła ultradźwiękowe wycie grendla w kościach szczęki, korzeniach zębów, cebulkach włosów na karku. Impulsy akustyczne sprawiały, że znieruchomiała niczym królik w reflektorach samochodu.

Idź sobie, błagała w myśli. Tak długo wstrzymywała oddech, że przed oczami zaczęły jej wirować gwiazdy. Nie miała jednak odwagi wypuścić powietrza. Po jej twarzy spływały strużki zimnego potu.

Proszę...

Grendel zatrzymał się pół metra od niej. Oświetlany od tyłu, był jedynie dwuwymiarowym cieniem. Tylko jego ślepia odbijały odrobinę światła, emitowanego przez lodowe ściany.

Purpurowe, pozbawione emocji i zimne jak otaczający ich ze wszystkich stron lód. Amanda patrzyła w te ślepia, wiedząc, że wkrótce umrze. Nagle stwór odwrócił łeb i skierował wzrok ku wyjściu z tunelu. Ten jego ruch tak zaskoczył Amandę, że gwałtownie wypuściła powietrze. Nie była w stanie utrzymać go dłużej w płucach. Natychmiast ponownie znieruchomiała, przekonana że się zdradziła.

Bestia zignorowała ją jednak i odwróciła się, jakby jej uwagę przyciągnęło coś znajdującego się za wyjściem z tunelu. Przekrzywiła łeb najpierw na jedną stronę, potem na drugą i uważnie się czemuś przysłuchiwała.

Czyżby ktoś nadchodził? Może jednak Connor żył i wzywał pomocy?

Niezależnie od tego, co się działo, grendel kilka razy machnął ogonem i wielkimi susami ruszył do wyjścia z groty.

Amanda jeszcze przez chwilę dygotała w swojej kryjówce, po czym wypadła na zewnątrz. Zataczając się na odrętwiałych nogach, zaczęła iść w stronę wyjścia. Przed jej oczami w dalszym ciągu wirowały gwiazdy - był to raczej efekt strachu niż niedotlenienia. Przykucnęła przy otworze wyjściowym i patrzyła, jak stwór oddala się w kierunku pionowej pięciometrowej dziury w ścianie biegnącego górą tunelu.

Ponieważ cisza była jeszcze bardziej przerażająca niż sama bestia, Amanda wspięła się stromym przejściem do góry. Pomagała sobie rakami i po chwili wystawiła głowę przez otwór w lodzie.

Grendel wdrapywał się właśnie po lodowym klifie, szybki jak wspinająca się po betonie jaszczurka. Wkrótce zniknął za krawędzią. Najwyraźniej ruszył na polowanie.

Wzrok Amandy zatrzymał się na niebieskiej linie, zwisającej z krawędzi pionowej ściany.

Wbiła w nią wzrok.

Była jej jedyną nadzieją.

Wyturlała się z otworu w lodzie i wstała. Podeszła do lodowej ściany, modląc się, aby lina nadal była zamocowana do tego, co pozostało z Connora. Kiedy widziała go po raz ostatni, opasywała jego tułów.

Objęła linę dłońmi.

Boże, proszę...

Pociągnęła za linę. Wyglądało na to, że trzyma. Odchyliła się do tyłu, sprawdzając jej wytrzymałość. W dalszym ciągu nie puszczała.

Zaczęła wspinać się z oczami pełnymi łez. Przesuwała się dłoń za dłonią, głęboko wbijając raki w lód. Strach dodawał jej sił. Była niesamowicie zmęczona, ale w końcu dotarła na górę.

Wciągnęła się przez krawędź i wylądowała kilka centymetrów od nieruchomego ciała Connora MacFerrana. Latarka na jego hełmie świeciła pionowo w górę, rozświetlając ciemny tunel niczym boja kierunkowa.

Amanda przekreśliła się na bok i wstała, starając się nie patrzeć na zmasakrowane ciało. Podobnie jak było w przypadku Lacy, Connorowi bestia także rozpruła brzuch. Jego krew rozlała się wokół wielką kałużą, która zamarzała na lodzie. Tylko dzięki temu Amandzie udało się wspiąć w górę pionowej ściany - kiedy ukrywała się w gnieździe grendla, trup Connora przymarzył do lodu, stając się kotwicą, która pozwoliła jej wyjść z dziury w podłodze korytarza.

Przyłożyła dłoń do ust, pomodliła się szybko w myśli o przebaczenie i zdjęła Connorowi hełm z głowy. Potrzebowała jego latarki. Gdy rozpiniała paski hełmu, nie mogła odwrócić oczu od zwłok. Lewe oko i nos geologa zostały wyrwane jednym pociągnięciem pazura, gardło miał rozszarpane tuż przy obojczyku, a broda była zamarznąłą krwawą masą.

Amanda nie potrafiła opanować płaczu.

Wstała i założyła hełm na głowę. Był za duży, przekrzywiał jej się, więc musiała ciasno zaciągnąć paski. Popatrzyła w głąb długiego tunelu. Nie było śladu grendla.

Kiedy już miała odejść, jej uwagę przyciągnął jakiś błysk. Odwróciła się. Na lodzie leżała mała siekierka. Należała do Connora. Nosił ją zawsze przy pasie i musiał wyciągnąć, próbując się bronić.

Schyliła się pospiesznie i podniosła siekierkę. Choć była to właściwie zabawka, dodawała otuchy.

Ruszyła tunelem w kierunku, z którego godzinę temu przyszli, zanim jednak zrobiła kilka kroków, dotyk styliska siekierki przywołał wspomnienie słów Connora. Kiedy prosiła go, aby nie szedł szukać Lacy sam, machnął ręką, stwierdzając, że wszyscy są zajęci, po czym dodał coś jeszcze...

„Ale mam walkie-talkie”.

Odwróciła się na pięcie i uklękła przy ciele geologa. Zaczęła przeszukiwać jego porwaną kamizelkę, z której sypało się pierze, i po chwili znalazła radio.

Kłęcząc, włączyła nadawanie. Kiedy zapaliła się czerwona dioda, przycisnęła walkie-talkie do ust.

- Tu Amanda Reynolds. - Starła się szeptać, choć mógł jej nikt nie usłyszeć. - Jeśli ktoś mnie słyszy... jestem uwięziona w Zapleczu. W tunelach grasuje jakiś wielki drapieжник. Zabił Lacy Devlin i Connora MacFerrana. Krąży gdzieś teraz, poluje... nie wiem gdzie. Spróbuję dotrzeć do górnych poziomów. Proszę... jeśli ktoś mnie słyszy, proszę wziąć ze sobą broń. Przekażę moją pozycję, kiedy dotrę do któregoś z oznakowanych tuneli.

Położyła palce na głośniczku. Proszę, niech ktoś mnie usłyszy. Czekwała na zadrganie głośniczka, znak, że ktoś próbuje nawiązać z nią kontakt, nic się jednak nie działo.

Wstała i popatrzyła w głąb ciemnego tunelu. Promień światła jej latarki wbijał się w mrok. W jednym ręku trzymała walkie-talkie, w drugim siekierkę.

Musiała wydostać się z Zaplecza.

Jeśli jej się to uda, będzie bezpieczna.

GODZINA 12.15

NA POKŁADZIE „DRAKONA”

Jego ludzie wykonali doskonałą robotę.

Kapitan I rangi Anton Mikowski stał przy peryskopie, splatając dłonie na plecach. Miał na sobie mundur używany w trakcie rejsu bojowego - zieloną bluzę i spodnie, z nogawkami wetkniętymi w cholewy wysokich butów. Ze stanowisk bojowych napływały raporty.

Wszystkie strefy wciąż pozostawały zielone.

Nie ryzykował. Jeden z oddziałów na lądzie przekazał, że Stacja Lodowa Grendel została zabezpieczona. Pięcioosobowej grupy Amerykanów, którzy wjechali do stacji pojazdem śnieżnym, jeszcze nie znaleziono. Wszyscy uciekli jak przestraszone króliki i zniknęli w tunelach, ale prędzej czy później ich zlokalizują. To jedynie sprawa czasu. Reszta stacji była pusta, jej personel został ewakuowany przez okręt podwodny, którego balastowanie słyszeli niecałą godzinę temu.

Mikowski znał swojego przeciwnika. Amerykańska jednostka zdawcza USS „Polar Sentinel”. Nie stanowił zagrożenia. Był to model eksperymentalny, nieuzbrojony. W tej chwili najprawdopodobniej uciekał z ewakuowanymi cywilami. „Drakon” nie miał rozkazu go ścigać.

Ich głównym zadaniem było zajęcie bazy, zabezpieczenie jej, założenie punktu komunikacyjnego, a następnie zanurzenie się i patrolowanie okolicznych wód w oczekiwaniu na prawdziwe zagrożenie. Mogły to być szybkie jednostki szturmowe wroga, czające się pod czapą lodową.

Przeznaczone na ich zadanie okienko miało dwanaście godzin. Wejść - wyjść. Zamieszanie w zatoce Prudhoe spowolni działania przeciwnika.

- Kapitanie, udało mi się nawiązać kontakt z bazą Omega - powiedział radiotelegrafista.

- Bardzo dobrze. - Mikowski zszedł z podestu wokół peryskopu i podszedł do stanowiska radiowego. Radiotelegrafista podał mu słuchawki. - Mówi kapitan Mikowski. Muszę porozmawiać z admirałem Petkowem.

Słowa z trudem przebijały się przez szumy i trzaski.

- Tak jest, kapitanie. Admirał spodziewa się wiadomości od was.

Czekając na podejście admirała do aparatu, Mikowski układał w myśli to, co chciał powiedzieć. Admirał pozostał w Omedze, aby przesłuchać więźniów i przeszukać amerykańską bazę - chciał się upewnić, czy to, czego rząd rosyjski szukał w Stacji Lodowej Grendel, nie zostało przeniesione do amerykańskich laboratoriów w ich stacji badawczej.

Mikowski nigdy przedtem nie widział człowieka tak pełnego werwy i równocześnie tak spokojnego. W admirałe płynęła krew zimniejsza od wszystkiego, na co można się natknąć w Arktyce. Jego przydomek - *Biefyj Prizrak*, Biały Duch - zadziwiająco do niego pasował. Kiedy Mikowskiemu powierzono dowodzenie okrętem flagowym z admirałem Floty

Północnej na pokładzie, był niezwykle podniecony. Czuł się wyróżniony i z satysfakcją patrzył na zazdrość równych mu rangą oficerów, teraz jednak... cieszył się, że admirał zszedł z pokładu.

W tym momencie Petkow, jakby usłyszał jego myśli, pojawił się na linii - jego głos był jak zwykle beznamiętny i pozbawiony wszelkich emocji.

- Kapitanie, jaki jest wasz status?

Zaskoczony pytaniem Mikowski ciężko przełknął ślinę.

- Stacja Grendel zabezpieczona. Tak jak przewidywaliście admirale, została ewakuowana, pięć wrogich obiektów jest na wolności. - Szybko opisał, w jaki sposób Amerykanie dostali się do stacji. - Zwiększyłem siłę oddziału uderzeniowego do dwudziestu ludzi. Przechesują teren poziom za poziomem. Do chwili waszego przybycia będzie oczyszczony.

- Właśnie wyruszam. Czy ładunek nuklearny wyładowano już na stacji?

- T...tak - odparł Mikowski, mając przed oczami metrowej średnicy tytanową kulę. Została zgodnie z rozkazem przymocowana do podłogi na najniższym poziomie. - Admirale, nie ma potrzeby, żebyście zjawiali się na stacji, zanim zostanie całkowicie zabezpieczona. Procedura...

- Nieważne, czy znajdziecie tych Amerykanów, czy nie. Zamknijcie bazę, przede wszystkim poziom czwarty. Wyruszam z oddziałem na poduszki. Natychmiast zanurzyć okręt. Patrolować na dużej głębokości. Spotkanie w stacji Grendel szesnasta zero zero.

- Tak jest, admirale. - Mikowski popatrzył na zegarek. Za niecałe trzy godziny. - „Drakon” wynurzy się ponownie dokładnie o szesnastej zero zero.

- Doskonale. - Trzaski umilkły i Biały Duch zniknął z eteru.

Mikowski zwrócił się do radiotelegrafisty:

- Połączcie mnie z dowódcą oddziału uderzeniowego.

- Tak jest, kapitanie!

Uwagę Mikowskiego zwróciło zamieszanie wokół sonaru. Zajmujący się nim marynarze przyglądali się ekranom i o coś spierali.

Podszedł do nich.

- Co się dzieje?

Dowódca grupy sonarowej popatrzył na niego.

- Zarejestrowaliśmy pewną anomalię, ale to nie ma sensu...

- Jaką anomalię?

- Wielokrotny aktywny sygnał sonarowy. Bardzo słaby.

- Skąd dochodzi? - Mikowski natychmiast zaczął rozpatrywać wszelkie możliwe przyczyny: amerykański okręt badawczy, zbliżanie się szybkich okrętów szturmowych, może nawet okrętów na powierzchni, poza granicą lodu...

Odpowiedź, którą otrzymał, była jednak znacznie bardziej niepokojąca.

- Sygnały dochodzą z wnętrza stacji.

GODZINA 12.22

STACJA LODOWA GRENDEL

Z pistoletem w wyciągniętej dłoni Matt przeszedł za kapitanem Greerem przez podwójne drzwi, za którymi kończyły się konstrukcje stacji lodowej i zaczynały stworzone przez naturę lodowe tunele, korytarze, nagłe uskoki i grotty. Craig trzymał się blisko niego, całą grupę zamykali Pearlson o kamiennym wzroku i pojękujący O'Donnell. Pobiegli w głąb labiryntu tuneli.

Jedyną latarkę miał Greer, znaleźli ją przy drzwiach wejściowych. Światło skakało po lodowych ścianach w rytm ich biegu, wywołując błękitne refleksy. Przypominało to nieco gonitwę we wnętrzu lodowej rzeźby.

- Wiesz, dokąd idziemy? - spytał Craig.

- Gdzieś tu na dole są ludzie - odparł Greer. - Musimy ich znaleźć.

- Duże jest to Zaplecze? - spytał Matt.

- Duże.

Biegli dalej, świadomi, że Rosjanie depczą im po piętach. Odległość od wroga bardziej się liczyła niż kierunek.

Skracając raz za razem, wchodzili coraz głębiej w jądro wyspy. Kiedy znaleźli się przy przecięciu kilku korytarzy, znów rozległa się strzelanina. Był to ogień z broni automatycznej, gdzieś z przodu. Ale z którego tunelu?

Zatrzymali się.

Odpowiedź nadeszła chwilę później. Z prawej strony, zza zakrętu tunelu błysnęło światło. Podskakiwało jak szalone. Znów rozległy się strzały. W ciasnej przestrzeni brzmiały bardzo głośno.

- Nadchodzą kłopoty - stwierdził Matt i wycelował pistolet w głąb tunelu.

Teraz słyhać było także krzyki. Marynarze unieśli broń.

Światło robiło się coraz jaśniejsze, oświetlało zbliżającą się postać. W ich stronę biegł młody mężczyzna, potykając się i ślizgając, choć podłoga była wysypana piaskiem. Wyciągał ręce, jakby błagał o pomoc. Długie, sięgające do ramion włosy, kurtka firmy North Face i termicznie izolowane spodnie informowały, że jest cywilem.

Kiedy wpadł między nich, Matt spodziewał się, że się zatrzyma, ale mężczyzna tylko przebiegł przez ich grupę, wołając:

- Uciekajcie!

Pojawiły się następne biegnące postacie: starszy łysy mężczyzna, dwudziestoparoletnia dziewczyna, kolejny młody mężczyzna. Tę grupę prowadziła wysoka, bardzo piękna Murzynka.

- Washburn! - krzyknął O'Donnell, kiedy ją zobaczył.

- Brać dupę w troki i wiać! - warknęła.

Zza uciekającej grupy znów załomotała strzelanina. Ogień z wyłom lufy otaczał świetlistą aureolą ostatnią postać, żołnierza. Klęczał na jednym kolanie i puszczał serię w głab korytarza, którym przybiegli wszyscy uciekinierzy. Oświetlony promieniem latarki tunel jarzył się jak wbijający się głęboko w lód niebieski wąż.

- Co się dzieje? - spytał Greer.

Matt dostrzegł nadpływającą tunelem prosto na strzelającego marynarza ciemność. Co to mogło być?

Washburn podprowadziła do nich grupkę swoich towarzyszy i zawołała głośno, próbując przebić się przez odgłos strzałów:

- Musimy wydostać się z tych tuneli... natychmiast!

- Nie możemy - odparł Greer. - Rosjanie...

- Pieprzyć Rosjan! - wydyszała Washburn. - Dobiera się nam do dupy coś znacznie gorszego!

Odgłosy strzałów zamilkły. Oslaniający ich marynarz ruszył ku nim, wymieniając w biegu pusty magazynek.

- Tempo, tempo!

Greer wskazał palcem O'Donnella i Pearlsona.

- Ty i ty, zabrać cywilów na górę!

O'Donnell kiwnął głową, złapał Craiga za łokieć i ruszył korytarzem, prowadząc spanikowanych ludzi. Matt strząsnął z siebie rękę Pearlsona.

Marynarz wzruszył ramionami i pobiegł przed siebie. Zaraz jednak odwrócił się i krzyknął przez ramię do swojego kapitana:

- A co z Ruskimi?

„Pieprzyć Rosjan!”. Matt w dalszym ciągu ze zdumieniem przetrawiał odpowiedź kobiety, którą spotkali. Odpowiedź Greera była znacznie konkretniejsza:

- Zaprowadzić cywilów do wyjścia z Zaplecza i czekać tam na nas!

Pearlson odwrócił się na pięcie i cała grupa ruszyła dalej. Dobiegł do nich ostatni z uciekinierów.

- Komandor Bratt! - zawołał z wyraźnym zdziwieniem Greer.

- Przygotować się do prowadzenia ognia zaporowego! - rzucił Bratt, odwrócił się do tyłu i ukląkł na jedno kolano. Wyrwał z kieszeni magazynek i wepchnął go w leże.

Greer dołączył do swojego przełożonego, stanął za nim i ustawił lufę karabinka nad jego barkiem. Podał latarkę Mattowi.

Matt popatrzył na grupę uciekających cywilów, a potem na przygotowujących się do rozpoczęcia ostrzału marynarzy. Zastanawiał się, co robić - zostać czy uciekać. Mógł jeszcze pobic na ślepo którymś z bocznych tuneli, ale ponieważ nie widział w tym większego sensu, postanowił zostać na miejscu.

Podszedł z drugiej strony do Bratta.

Komandor spojrzał na niego.

- A pan kim jest?

Matt uniósł pistolet i wycelował w głąb tunelu.

- W tej chwili gościem, który osłania panu tyłek.

- Wobec tego witamy na pokładzie - mruknął Bratt.

- Co się do nas zbliża? - spytał Greer.

- Twój najgorszy koszmar senny.

Tuż za zasięgiem latarek zamigotały czerwone ślepie. Matt poczuł w głowie dziwne buczenie, jakby w jego czaszce latała chmara komarów.

- Nadchodzą! - zawołał Bratt i gwałtownie wciągnął Powietrze.

W polu widzenia ukazał się potężny biały stwór w czerwone pasy... nie, umazany krwią... Wypełniał sobą cały tunel, z jego licznych ran kapłała krew. Miał powyrywaną

miejscami skórę, bok jego pyska wyglądał jak surowe mielone mięso, ale szedł... Za nim pomykały następne cienie. Co to było, do diabła?

Prowadzący stwór szedł prosto na nich. Jego szpony drapały lód.

Buczenie w czaszce Matta nasilało się.

Nagle buchnęła palba, wrywając go z odrętwienia. Wycelował w dziwnego stwora pistolet, zdawał sobie jednak sprawę, że w tej sytuacji jest to pusty gest. Podobnie jak w przypadku grizzly, taka licha broń nie dawała żadnej szansy powalenia bestii. Zresztą stwór miał kilka świeżych postrzałów w głowę, a mimo to bez trudu się poruszał.

Szedł z nisko opuszczonym łbem niczym szarżujący byk, wykorzystując grubą gumową skórę i izolacyjną warstwę tłuszczu jako chroniącą przed kulami tarczę.

Matt zaczął naciskać spust, bardziej z wściekłości niż w nadziei, że zabije zbliżające się do nich monstrum.

- Te cholerstwa nie chcą ginąć! - wysapał Bratt. Matt strzelał dalej, dopóki zamek nie znieruchomiał. Koniec naboju.

Greer natychmiast to zauważył.

- Biegnij za nimi! - krzyknął, odwracając głowę w kierunku, w którym uciekli cywile. W tunelu nie było już nikogo widać. Podał Mattowi radio. - Kanał czwarty.

Matt wziął radio i już miał zacząć uciekać, kiedy pierwsza bestia padła na lód. Wyglądało to, jakby się poślizgnęła. Przesunęła się jeszcze kilka metrów po lodzie, jadąc po nim nosem, po czym znieruchomiała.

Była martwa.

Buczenie w głowie Matta osłabło do ostrego swędzenia za uszami. Bratt wstał.

- Cofnąć się!

Korpus martwego stwora blokował drogę następnym, ale za stertą posiekanego miecha widać było ruchy kolejnych bestii.

Matt i dwaj marynarze wycofali się do następnego skrzyżowania korytarzy. Lufy ich karabinków cały czas były skierowane na zatykające tunel truchło.

- Na razie powinno je to zatrzymać - mruknął Greer. Nagle martwe cielsko skoczyło w ich kierunku, przesunęło się parę metrów po lodzie, lekko przekreśliło i ponownie znieruchomiało.

- Pewnie... - mruknął Matt. Greer uniósł brwi.

- Co to ma znaczyć? Cielsko znów się przesunęło.

- Pozostałe pchają z tyłu! - zawołał Bratt, bardziej zdumiony niż przestraszony. - Jasna cholera!

Buczenie w głowie Matta, przez chwilę przyciszone, nagle znów eksplodowało. Czuł jednak, że tym razem dolatuje z innej strony - miał wrażenie, że ktoś patrzy mu przez ramię. Odwrócił się w kierunku odchodzącego w bok tunelu.

W świetle latarki odbiła się para czerwonych ślepi.

Niewiele więcej niż dziesięć metrów od miejsca, w którym stał.

Kiedy stwór ruszył na niego, Matt odruchowo poderwał pistolet. Kątem oka dostrzegł, że zamek jest odsunięty. W pistolecie w dalszym ciągu nie było naboii...

GODZINA 12.49

Nie mogąc się zorientować, co odciągnęło grendla, Amanda nie miała pojęcia, gdzie stwór może się teraz znajdować. Hełm Connora tkwił przekrzywiony na jej głowie, posyłając w głąb tunelu ukośny promień. Światło trafiło w pomarańczową strzałkę na ścianie.

Znacznik Lacy Devlin.

Amanda obejrzała dalszy odcinek ściany. Proszę...

Na niebieskim lodzie ukazał się kolejny namalowany znak: zielony romb. Trasa Lacy w końcu przecięła się z inną. Z ust Amandy wyrwało się chlipnięcie ulgi. Wreszcie dotarła do oznakowanych regionów Zaplecza.

Podniosła walkie-talkie i wcisnęła przycisk nadawania.

- Jeśli ktoś mnie słyszy, znalazłam kolejną oznakowaną trasę. Zielone romby. Idę nią. Przez ostatnią godzinę nie - działałam tego stwora, ale proszę o pomoc.

Wyłączyła radio, aby oszczędzać baterię, i zaczęła się modlić o to, żeby ktoś ją wreszcie usłyszał.

Przyspieszyła kroku, otoczona martwą ciszą.

Przechodziła od jednego rombu do następnego. Przypuszczała, że jest już blisko zagospodarowanych przez naukowców jaskiń. Zaryzykowała i zgasiła lampę na hełmie, rezygnując z jedyne go wspomagającego ją światła.

Ciemność zamknęła się wokół niej, ciasna i klaustrofobiczna.

Była teraz nie tylko głucha, ale i ślepa.

Po kilkudziesięciu sekundach jej oczy przywykły do ciemnego lodu. Zaczęła badać otoczenie, powoli obracając głowę.

W końcu znalazła to, czego szukała.

Gdzieś nad nią, głęboko w lodzie, świeciła gwiazda, rozlewało się jasne jeziorko. Byli tam jacyś ludzie z latarkami.

Po chwili światło rozdzieliło się na dwie mniejsze gwiazdy, znacznie słabsze, choć też wyraźnie widoczne. Obie gwiazdy powoli oddalały się od siebie.

Jedna z nich weszła wyżej, zaczęła zanikać i wkrótce zgasła.

Druga ruszyła szybko w kierunku Amandy. Światło przesuwało się szybko.

Poszukiwacze... ktoś ją usłyszał...

Bała się krzyczeć, wiedząc, co czyha w tunelach. Uznała, że najlepiej będzie, jeśli znacznie iść naprzeciw zbliżającemu się światłu. Włączyła lampę na helmie.

W jej silnym blasku widoczne w ciemności światełko zgasło. Bardzo się to Amandzie nie podobało, ale poruszanie się bez oświetlenia drogi było zbyt niebezpieczne. Poza tym nie mogła sobie pozwolić na zgubienie szlaku zielonych rombów. Jeżeli ktoś ją usłyszał, będą szukać na tej właśnie trasie.

Szła szybko, ale co minutę się zatrzymywała i sprawdzała swoje położenie w stosunku do ratowników.

Podczas każdego postoju robiła jeszcze coś...

GODZINA 12.52

„W dalszym ciągu idę wzdłuż zielonych rombów, ale uważajcie. Drapieżnik, który zabił Lacy i Connora, wciąż krąży po tunelach”.

Radio, które Matt dostał od Greera, wciąż przekazywało kolejne fragmenty opowieści zaginionej kobiety. Usiłował się z nią porozumieć, ale albo jej aparat nie łapał sygnału, albo był uszkodzony. W końcu zaprzestał prób nawiązania kontaktu. Miał dość własnych problemów.

Kontynuował szaleńczą ucieczkę lodowym tunelem z pustym pistoletem w jednej dłoni i latarką w drugiej.

Pięć minut temu jedna z bestii przecięła skrzyżowanie, oddzielając go od dwóch marynarzy. Natychmiast otworzyli do niej ogień, próbując dać Mattowi więcej czasu na ucieczkę, ale nic to nie dało.

Mając do obrony jedynie pusty pistolet, biegł lodowym tunelem, ślizgając się i zjeżdżając po stromych spadkach. Utrzymanie się na nogach było nie lada sztuką i wiele razy uderzał ramionami o ściany i występy. Nie zamierzał jednak zwalniać. Widział, jak szybko

potrafi poruszać się naszpikowana pociskami biała bestia, i wolał sobie nie wyobrażać możliwości zdrowego osobnika.

Przez kilka długich minut nie widział potwora. Może gdzieś sobie poszedł, bo buczenie za uszami niemal całkowicie zniknęło. Stwory wykorzystywały częstotliwości fal akustycznych spoza granicy słyszalnej dla ludzkiego ucha. Nie czuł teraz dziwnego buczenia. Czy to oznaczało, że potwór odszedł? Radio ponownie zaskrzeczało.

„Proszę... jeśli ktoś mnie słyszy, niech sprowadzi pomoc. Weźcie ze sobą broń! W dalszym ciągu jestem na trasie zielonych rombów!”

Co to miało znaczyć? O jaką „trasę zielonych rombów” chodziło? Brzmiało to trochę jak reklama płatków owsianych.

„Nie widziałam grendla od czterdziestu pięciu minut. Wszystko wskazuje na to, że zniknął. Może uciekł”.

Matt zmarszczył czoło. Grendla? Tak nazywał się stwór, który ich zaatakował? Jeśli tak, kobieta najwyraźniej wiedziała o tym, co dzieje się tu na dole, więcej niż ktokolwiek inny.

Wybiegł z za zakrętu, przejechał ślizgiem na obcasach dwa metry i obrócił się, by skręcić. Tunel przed nim rozchodził się w dwie strony. Światło latarki oświetliło niewielką kolorową plamę na lodzie. Przy prawym korytarzu namalowano niebieskie kółko, przy lewym zielony romb. Oznakowania dróg.

Zrozumiał, o co chodziło kobiecie. Skręcił w lewo i pobiegł dalej, cały czas zerkając za siebie i równocześnie rozglądając się za następnym zielonym rombem.

Jeśli już uciekam, równie dobrze mogę biec do kogoś, kto wie, co tu się dzieje...

Zagłębiał się coraz bardziej w tunel, nadal jednak nie widział nigdzie kobiety z drugiej strony swojego walkie-talkie. Łód zdawał się ciągnąć bez końca, był niebieskim wszechświatem, rozjaśnianym tylko przez jego samotną latarkę.

- Halo! - Głos kobiety dochodził tym razem nie z radia, ale z przodu korytarza.

Matt poślizgiem pokonał kolejny zakręt, przytrzymując się ściany, aby zachować równowagę. Kiedy skierował światło latarki w korytarz za zakrętem, jego oczom ukazała się przedziwna scena: pośrodku korytarza stała wysoka, zgrabna naga kobieta, pomalowana na niebiesko jak innuicka bogini.

Ślizgając się na piętach, podjechał do niej i stwierdził, że wcale nie jest naga: miała na sobie przylegający ciasno do ciała błękitny kombinezon z zaciągniętym na głowę kapturem, na którym tkwił przekrzywiony na bok hełm górniczy z latarką, świecąca mu prosto w oczy.

- Dzięki Bogu! - krzyknęła i ruszyła ku niemu. Kiedy zgasła latarkę, ujrzał wyraźnie rysy jej twarzy. Była zdumiona jego widokiem.

- Kim pan jest? - spytała, zerkając za jego plecy. - Gdzie pozostali?

- Jeżeli rozgląda się pani za ekipą ratunkową, będzie się pani musiała zadowolić tylko mną. - Uniósł w górę bezużyteczny pistolet. - Choć wcale nie jestem pewien, czy się do czegokolwiek przydam.

- A kim pan jest? - spytała ponownie. Mówiła trochę niewyraźnie i przesadnie głośno. Czyżby była pijana?

- Matthew Pike, Agencja Ochrony Ryb i Zwierząt Alaski.

- Agencja Ochrony Ryb i Zwierząt? - powtórzyła ze zdziwieniem. - Mógłby pan opuścić latarkę? Jestem... głucha i trudno mi pod światło czytać z ruchu pana warg.

Opuścił latarkę.

- Przepraszam. Jestem członkiem grupy, przewiezionej tu z *Omegi*.

Skinęła głową, ale w jej oczach tliła się jeszcze resztką podejrzliwości.

Co tu się dzieje? Gdzie są pozostali?

- Stacja została ewakuowana. Rosjanie zaatakowali *Omegę*.

- Boże... dlaczego?

- Są teraz w trakcie przejmowania tutejszej stacji. Ale co z panią? Kim pani jest? Co pani tu robi sama?

Podeszła bliżej, jej wzrok cały czas skakał między Mattem a tunelem za jego plecami.

- Jestem doktor Amanda Reynolds, kierownik Stacji Dryfującej *Omega*. - W kilku słowach opowiedziała mu o zaginionych naukowcach i ataku potężnych drapieżników.

- Przez radio nazwała je pani grendlami - powiedział, kiedy skończyła. - Jakby pani wiedziała, czym są.

- Znaleźliśmy tu zamrożone egzemplarze tych stworów w jednej z grot. Podobno mają pięćdziesiąt tysięcy lat, pochodzą z okresu ostatniego zlodowacenia. Jakiś wymarły gatunek.

Wymarły, niech mnie cholera... Teraz on z kolei opowiedział jej o własnych przeżyciach od chwili ataku Rosjan, cały czas omiatając tunel światłem latarki.

- A więc jest więcej grendli... - mruknęła cicho. - Oczywiście. Ale jak udało im się tak długo ukrywać?

- Już się nie ukrywają. Jeżeli gdzieś jest ich zamrożone gniazdo, nie możemy tu zostać. Zna pani inną drogę na powierzchnię? Moim zdaniem lepiej będzie zejść z tej oznakowanej rombami trasy i spróbować innej.

Wskazała do przodu.

- Ta droga powinna nas doprowadzić do innych tuneli, ale nie jestem zbyt obeznana z Zapleczem. Podejrzewam, że wszystkie korytarze zbiegają się przy wyjściu.

- Miejmy nadzieję. Chodźmy. - Ruszył pierwszy, tym razem jednak szedł powoli, ostrożnie. - Musimy wypatrywać wszelkich oznak obecności tych stworów: śladów, zadrapań lodu i tym podobnych. Powinniśmy unikać tych miejsc.

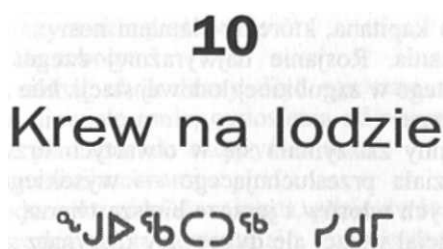
Pomyślał, że ta kobieta zasługuje na szacunek. Stała sama twarzą w twarz z jedną z tych bestii i przeżyła, a teraz próbowała uciekać, mając do dyspozycji jedynie walkie-talkie i małą siekierkę. W dodatku nie słyszała, co dzieje się wokół.

- Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, nie natkniemy się już na żadnego z tych stworów - powiedziała.

Zanim Matt zdążył odpowiedzieć, jego czaszkę przeszyło buczenie, boleśnie wstrząsając kosteczkami słuchowymi w uchu.

Poczuł zaciskającą mu się na łokciu dłoń. Amanda przysunęła się do niego. Mimo głuchoty również musiała poczuć vibracje. Siła, z jaką wpijała palce w skórę Matta, świadczyła o tym, że wie, co oznaczają.

Ich szczęśliwa passa się skończyła.



9 KWIETNIA, GODZINA 13.02

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Po godzinie spędzonej przed dmuchawą gorącego powietrza Jenny poczuła, że całkiem już odtajała - i wróciło jej nieco energii. Może pomogła w tym kofeina, może morfina - a może ich zwariowany plan?

Przed chwilą dotarła do nich wiadomość, że rosyjski okręt podwodny odpłynął. Przyniósł ją marynarz, którego Rosjanie znaleźli ukrytego w jednym z baraków naukowych i dołączyli do reszty więźniów. Twierdził, że na własne oczy widział, jak rosyjska jednostka odpływa.

- Czy potrafisz ocenić, ilu Rosjan jeszcze zostało? - spytał komandor podporucznik Sewell, klękając obok niego.

Mężczyzna ogrzewał ręce w misce z ciepłą wodą. Dygotał z zimna i tak silnie szczykały mu zęby, że miał trudności z odpowiedzią.

- Nnie... bbbardzo, komandorze. Widziałem mniej więcej dziesięciu, ale musi ich być więcej.

- Znacznie więcej... - mruknął Sewell, zaciskając wargi. Marynarz popatrzył na swojego przełożonego.

- Zzz... zastrzelili Jenkinsa. Próbował uciekać do stacji NASA. Chciał wziąć ich pojazd. Strzelili mu w plecy.

Sewell poklepał marynarza po ramieniu. Zewsząd docierały podobne informacje. Było oczywiste, że Rosjanie mają rozkaz zajęcia stacji. Oficerowie i niektórzy naukowcy byli po kolej zabierani pod broń, ale wracali w normalnym stanie z wyjątkiem kapitana, któremu złamano nos.

Przesłuchania. Rosjanie najwyraźniej czegoś szukali czegoś ukrytego w zagubionej lodowej stacji. Nie znaleźli tego jednak. Jeszcze.

Kiedy Jenny zatrzymała się w otwartych drzwiach, przez chwilę widziała przesłuchującego - wysokiego Rosjanina z szopą białych włosów i jeszcze bielszą twarzą.

Sewell chciał wstać, ale dygoczący marynarz zatrzymał go ruchem dłoni.

- Komandorze, widziałem także, jak dwaj Rosjanie wrzucali do dziury w lodzie pojemnik. Wiercono też następne dziury.

- Jak wyglądał ten pojemnik?

- Był wielkości małej beczułki. - Marynarz pokazał dłońmi rozmiar. - Cały czarny, z jasnopomarańczowymi denkami.

- Cholera...

Jenny stała nieopodal i pochylona wiązała nowe, suche buty.

- Co to takiego? - spytała.

- Rosyjskie ładunki zapalające. Bardzo silne. - Sewell wstał i zamknął oczy. - Najwyraźniej zamierzają roztopić lód wokół tej bazy i zatopić ją.

Stojący obok Kowalski skończył się ubierać i stanął przed dmuchawą. Jego paznokcie w dalszym ciągu były fioletowawe.

- To co, realizujemy nasz plan? - zapytał.

- Nie mamy wyboru, musimy - odparł Sewell. - Chyba dla wszystkich jest jasne, że Rosjanie zamierzają splądrować stację i zostawić za sobą spaloną ziemię. Przejmą to, co jest schowane w stacji Grendel, i nie zostawią nikogo, kto by mógł o czymkolwiek opowiedzieć.

Kowalski westchnął.

- Więc pozwolą nam żyć, dopóki tego nie znajdą. Kiedy znajdą, będzie po nas.

Sewell odwrócił się do Jenny.

- Nasz plan... W dalszym ciągu uważa pani, że będzie potrafiła wykonać swoją część?

John Aratuk położył dłoń na ramieniu córki. Nie chciał, aby brała w tym udział. Przykryła jego dłoń swoją.

- Zrobię to - powiedziała, patrząc Sewellowi w oczy.

Przez chwilę ją obserwował, jakby chciał ocenić jej zdecydowanie, po czym skinął głową.

- No to do roboty.

Kowalski stanął obok Jenny. Był ogromny, przypominał goryla i miał niewiele mniej owłosienia od niego.

- Będzie pani musiała nadażyć za mną.

Jenny przewróciła oczami.

Sewell podszedł z nimi do miejsca, gdzie dwóch marynarzy odsunęło kawałek sufitu i przecinało izolację dachu plastikowymi nożami. Pracowali w części pomieszczenia niewidocznej dla stojących przy drzwiach wartowników. Zresztą Rosjanie nie pilnowali więźniów szczególnie gorliwie, pewni, że ich ucieczka jest niemożliwa. Chata była dobrze strzeżona, ale nawet gdyby zdołali się z niej wydostać, poza obozem czekałaby ich śmierć. Skonfiskowano im kurtki, a tylko głupiec ryzykowałby ucieczkę w samej koszuli.

Podjęcie ucieczki oznaczało w tych warunkach pewną śmierć.

Ta ponura myśl krążyła cały czas po głowie Jenny. Obserwowała pracujących w pocie czoła marynarzy, którzy przebili się już przez izolację z włókna szklanego i właśnie odkręcali

zewnątrzną płytę dachu. Ponieważ dysponowali jedynie plastikowymi nożami, praca posuwała się bardzo powoli, ale jakoś sobie radzili.

Na podłogę spadła śruba.

Sewell wskazał ku górze.

- Zazwyczaj montuje się tam jeden z trzech świetlików, ale tutaj, gdzie przez pół roku jest ciemno, a przez drugie pół nieustannie świeci słońce, uznano okna za zbędne i zamieniono je na zwykłe poszycie dachowe.

- Została jeszcze jedna - powiedział jeden z pracujących na górze mężczyzn.

- Przyciemnij oświetlenie - polecił mu Sewell i lampy w bezpośrednim otoczeniu wybijanej dziury zgasły.

Jenny owinęła się dodatkowym kocem i zasupłała go, robiąc z niego coś w rodzaju poncho z kapturem. Było zbyt obszerne dla niej, ale lepsze to niż nic. Musiała mieć coś, co ją osłoni Przed wiatrem.

Spadła ostatnia śruba. Po chwili w nadstawione dłonie jednego z pracujących spadła płyta. Natychmiast dmuchnął lodowaty wiatr.

Zawyło przeraźliwie. Sewell skinął na jednego z bosmanów który szybko włączył odtwarzacz płyt CD. Wyjący na zewnątrz wicher zagłuszyła muzyka U2.

- Musicie się spieszyć - powiedział dowódca ochrony do Kowalskiego i Jenny. - Jeżeli ktokolwiek tu wpadnie, przyłapie nas. Powinniśmy jak najszybciej zamknąć tę dziurę.

Jenny kiwnęła głową. Pod otwór w dachu podsunęto piętrowe łóżko, które miało im posłużyć za prowizoryczne schodki. Jenny zaczęła wchodzić pierwsza. Przez chwilę zatrzymała wzrok na ojcu, wyraźnie widząc w jego oczach niepokój. Nie odezwał się jednak. Nie mieli wyboru. Była w tej grupie najlepszym pilotem.

Stojąc na łóżku, wsadziła ręce w otwór i złapała pokrytą lodem krawędź dachu. Ponieważ nie miała rękawic, jej palce natychmiast przyczepiły się do metalu. Zapiekło jak żywy ogień, ale zignorowała ból.

Wspomagana przez dwóch żołnierzy, którzy ją podsadzali, wystawiła głowę na zewnątrz. Wicher i drobiny lodu natychmiast ją oślepiły.

Nasunęła na oczy gogle, położyła się na brzuchu na brzegu dachu chaty i wyslizgnęła na zewnątrz. Poruszała się bardzo ostrożnie, z nosem oddalonym zaledwie o kilka centymetrów od skorodowanego dachu. Wiatr był tak silny, że mogła w każdej chwili sfrunąć

z niego jak latawiec. Co gorsza, podobnie jak starsze chaty typu Quonset, chaty typu Jamesway miały beczkowate dachy, które po bokach opadały niemal pionowo do podłoża.

Jenny usiadła okrakiem na szczycie dachu, trzymając się kurczowo oblodzonej powierzchni. Przesunęła się w bok i patrzyła, jak Kowalski przeciska swoje potężne ciało przez podświetlaną słabym światłem dziurę - niczym Jonasz wydostający się z metalowego wieloryba.

Kiedy wielki marynarz z cichym stęknieniem wygramolił się na zewnątrz, wskazał palcem zawietrzną stronę chaty. Oboje ześlizgnęli się na brzuchach do miejsca, w którym stromy dach robił się pionowy. Był także oblodzony - i z trudem się na nim utrzymywali.

Po tej stronie chaty śnieg tworzył wysoką zaspę, zamarzną fałę, sięgającą skraj dachu. Kowalski rozejrzał się, sprawdzając, czy w okolicy nie kręcą się rosyjscy żołnierze. Po chwili Jenny znalazła się obok niego. Wyglądało na to, że nie ma bezpośredniego zagrożenia, ale w pędzącym tuż nad podłożem śniegu widoczność nie przekraczała trzech metrów.

Kowalski popatrzył na Jenny.

Kiwnęła głową.

Jej towarzysz prowadził. Ześlizgnął się z dachu stopami w dół i spadł na zaspę, po czym fachowo się po niej stoczył, znikając Jenny z oczu.

Przygotowała się do zeskoku z dachu i na pożegnanie spojrzała w kierunku otworu, którym wydostali się na zewnątrz. Został ponownie zamknięty. Nie było już dla nich powrotu. Zsunęła się na zmarzniętych pośladkach i po chwili spadła na pokryty warstwą lodu śnieg.

Teraz musieli uciec jak najdalej od chaty.

Jenny sturlała się po zboczu zasy i wylądowała Kowalskiemu na plecach. Było to jak zderzenie z zakopanym w śniegu głazem. Impet uderzenia wypchnął jej całe powietrze z płuc.

Zamiast pomóc jej wstać, Kowalski wepchnął ją jeszcze głębiej w śnieg i wskazał przed siebie ręką.

Za sąsiednią chatą kulila się przed wiatrem grupka cieni. Można je było dostrzec jedynie dlatego, że tuż obok stały gotowe do jazdy minipoduszki z zapalonymi reflektorami.

Kowalski i Jenny czekali w ukryciu.

Po chwili cienie wsiadły na poduszki. Silniki musiały cały czas pracować na wolnym biegu, bo światła reflektorów natychmiast się uniosły, zakreśliły łuk i skierowały się

w przeciwną stronę. Wycie wichru zagłuszało pracę silników, sprawiając, że cała ta scena wydawała się jeszcze bardziej nierealna.

Kiedy pojazdy zniknęły w pustej lodowej przestrzeni, dwaj wartownicy opuścili swój posterunek i ukryli się we wnętrzu chaty.

Jenny patrzyła na rozplywający się w dali blask świateł ostatniego z poduszkowców. Mogły lecieć tylko w jedno miejsce: do rosyjskiej stacji lodowej. Wróciła myślami do snocata, wiozącego jej byłego męża i dziennikarza z Seattle, który zniknął, jadąc w tym samym kierunku. Po raz pierwszy od wielu lat pomodliła się o bezpieczeństwo Matta. Tak bardzo chciała móc wypowiedzieć słowa, które przez cały ten czas tkwiły w niej uwieszone z powodu wypełniającej ją goryczy i złości. Wydawało jej się to teraz takie niemądre - tyle zmarnowanych w rozpacz lat.

Wyszeptała w wiatr ciche słowa:

- Przepraszam, Matt... tak mi przykro... Nagle tuż za nimi huknęły wystrzały.

- W górę! - wrzasnął prosto w ucho Jenny wielki marynarz i podniósł ją jednym szarpnięciem. - Biegnij!

GODZINA 13.12

STACJA LODOWA GRENDEL

Amanda biegła obok wysokiego obcego. Grendel pozostawał poza zasięgiem wzroku, gdzieś w labiryncie korytarzy, ale buczenie jego systemu echolokacyjnego wypełniało tył jej głowy czymś, co przypominało rozmazane drzenie.

Szedł za nimi powoli, zmuszając ich do wchodzenia coraz głębiej we wnętrze lodowej wyspy.

- Na co on czeka? - spytał Matt.

- Aż skończy się nam szczęście - odparła Amanda, przypominając sobie los Lacy Devlin. - Za którymś razem wejdziemy w ślepy korytarz. W zamknięte przejście, korytarz z dziurą w podłodze. Wpadniemy w pułapkę.

- Inteligentny zabójca... wspaniała kombinacja. Wyszli zza kolejnego zakrętu o gładkich ścianach. Raki na butach pozwalały Amandzie zachowywać dobrą przyczepność, ale Matt ciągle się ślizgał. Złapała go, kiedy omal nie stracił równowagi.

Odwrócił się do niej.

- Nie możemy tak dalej iść. Schodzimy coraz głębiej i głębiej, oddalamy się od wyjścia z tych kazamat.

- Co innego moglibyśmy zrobić? - Uniosła czekan, który wzięła od Connora. - Stań do walki tylko z tym?

- Nie ma mowy.

- Cóż, pan jest z Agencji Ochrony Ryb i Zwierząt, ja jestem inżynierem geofizykiem. To pańska działka.

Matt zmarszczył brwi.

- Musimy zrobić coś, co odwróci uwagę tej bestii od nas.

Zostawić fałszywy trop. Jeśli uda nam się minąć tego stwora, dostać się powyżej niego, to będziemy przynajmniej mogli uciekać w stronę wyjścia.

Aby spróbować znaleźć rozwiązanie tego problemu, Amanda zmusiła umysł do pracy. Zrekapitulowała całą swoją wiedzę na temat grendli. Było tego tyle, co kot napłakał, ale nie miała zamiaru się poddawać. Grendle wyszukiwały swoje ofiary, posługując się echolokacją, były też wrażliwe na światło i być może na ciepło. Doskonale pamiętała swój eksperyment w gnieździe potworów. Kiedy grendel zniszczył jej latarkę, nie zdawał sobie sprawy z jej obecności, dopóki nie zaczęła się pocić.

Światło i ciepło. Czowała, że jest bardzo blisko znalezienia rozwiązania, nie umiała go jednak nazwać.

Minęli kolejne skrzyżowanie tuneli i w tym momencie Amandę oświeciło.

- Zaczekaj! - krzyknęła i zatrzymała się gwałtownie. Matt zwolnił, hamując piętami i opierając się dłonią o lodową ścianę.

Amanda wróciła do skrzyżowania tuneli. Światło i ciepło. Pociągnęła za pasek, mocujący kask pod brodą, i ściągnęła go. Włączyła lampkę, po czym sięgnęła do pasa po maskę do ogrzewania wdychanego powietrza. Wyjęła ją i nastawiła element grzewczy na maksymalną moc. Natychmiast rozgrzał się w jej dłoni.

- Co pani ma zamiar zrobić? - zapytał Matt. Rozejrzała się po krzyżujących się korytarzach w poszukiwaniu śladów obecności grendla i powiedziała:

- Te istoty są wyczulone na sygnały świetlne i cieplne. Odwróciła kask i włożyła do niego maskę wraz z elementem grzewczym. Matt podszedł do niej i kiwnął głową.

- Przynęta...

- Miejmy nadzieję, że zadziała. - Amanda przeszła obok Matta, pochyliła się nisko nad lodem i niczym gracz w kręgle pchnęła hełm po podłodze jednego z korytarzy. Żółty plastik

Pomknął, wirując po lodzie. Przymocowany do niego reflektorek migotał jak policyjny kogut. Po chwili kask odbił się od ściany i zniknął za zakrętem, zabierając ze sobą moduł grzewczy.

Amanda wstała i popatrzyła na Matta.

- Światło i ciepło - powtórzyła. - Miejmy nadzieję, że grendel pójdzie za tą przynętą w głąb wyspy. Kiedy nas minie będziemy mogli się przemknąć i wrócić na górę.

- To jak rzucenie psu patyka. - Matt popatrzył na nią z wyraźnym szacunkiem. Zgasił latarkę. Jedyne światło dolatywało od strony kasku z latarką, który był już bardzo daleko.

Wycofali się do bocznego tunelu i schowali za poprzewracanymi lodowymi blokami. Skuleni, obserwowali główne przejście. Światelko „przynęty” było słabe, ale wciąż widoczne. Kask musiał się na czymś zatrzymać. Amanda miała nadzieję, że stało się to wystarczająco daleko, aby mogli się bezpiecznie przemknąć.

Teraz pozostawało już tylko czekać, aż grendel połknie przynętę.

GODZINA 13.18

Matt klęczał na jednym kolanie i wyglądał przez dziurkę w zwałach lodu. Otwierał szeroko oczy, próbując wchłonąć każdy foton, rozświetlający sąsiednie przejście. Z całych sił starał się coś usłyszeć, wyczuwał jednak tylko wibrację sonaru polującej bestii. Była słaba, ale wciąż narastała.

Nagle palce kobiety w jego dłoni spazmatycznie zadrgały.

Matt też to zobaczył. Przesuwające się cienie.

W głębi korytarza pojawił się ciemny kontur, wchłaniając ledwie widoczny poblask, płynący od strony kasku. Stwór wypełnił sobą przejście, jego ramiona zatrzymały się na skrzyżowaniu korytarzy. Choć Matt wiedział, że cielsko grendla jest białe, teraz wyglądał jak czarny olej.

Wargi stwora odsunęły się do tyłu, ukazując zęby. Masywny łeb obrócił się na boki. Buczenie w głowach Matta i Amandy nasiliło się. Wyglądało to tak, jakby w poszukiwaniu łupu stwór próbował rozdygotać ciemność.

Matt nawet nie drgnął. Choć był dobrze ukryty za zwałami lodu, bał się, że najmniejszy ruch może przyciągnąć uwagę grendla. Zastanawiał się, czy potwór potrafi wyczuć ich obecność przez warstwę lodu.

Niemal czuł na sobie jego spojrzenie.

Bał się nawet mrugnąć. Złap przynętę, draniu!

Stwór w dalszym ciągu podejrzliwie rozglądał się po mrocznym tunelu, jakby coś wyczuwając. Z głębi jego gardła wydobył się dudniący warkot i zaraz potem gwałtownie odwrócił łeb.

Ruszył w głąb korytarza - powoli, ale zdecydowanie, przyciągany światłem i ciepłem. Być może wyczuł ich obecność, ale zignorował płynące od nich sygnały i skierował się ku silniejszej przynęcie.

Po chwili zniknął.

Matt odczekał minutę, aby bestia oddaliła się odpowiednio daleko, a potem ostrożnie wstał i ruszył do głównego korytarza. Nie mieli odwagi czekać zbyt długo. Grendel wkrótce zauważył pomyłkę i wrócił po nich. Musieli szybko jak najdalej od niego odskoczyć.

Amanda szła obok Matta. Sprawdził korytarz. Przed nimi widać było cień grendla, znikającego za zakrętem w pościgu za fałszywym łupem.

Wkrótce doszli do głównego tunelu i weszli w ciemność, ostrożnie stawiając stopy i macając wokół rękami. Korytarza, którym szli, nie rozświetlał już blask lampki na kasku.

Mniej więcej po minucie Matt zaryzykował i zapalił swoją latarkę, modląc się, aby jej światło nie ściągnęło grendla z powrotem. Przysłonił ją dłonią, tłumiąc blask. Wyływające spomiędzy jego palców światło było bardzo słabe, ale wystarczało im. Przyspieszyli.

Żadne z nich się nie odzywało.

Pół biegnąc, pół ślizgając się po lodzie, Matt nie przestawał się myśleć o innych grendlach, które mogły krążyć w okolicy. Na razie jednak nic nie wyczuwał.

W końcu zaryzykował i włączył walkie-talkie. Dał latarkę Amandzie, po czym przycisnął mikrofon do ust.

- Porucznik Greer? Słyszysz mnie pan? Odbiór? - powiedział szeptem, z obawy że jego normalny głos mógłby się za bardzo roznieść.

Cały czas biegnąc tuż przed Amandą, czekał na odpowiedź.

Odpowiedział mu słaby, daleki, ale rozpoznawalny głos:- Tu komandor podporucznik Bratt. Gdzie pan jest? Matt zmarszczył czoło.

- Cholera, żebym to wiedział... a pan?

- Zebraliśmy się z pozostałymi członkami stacji przy wyjściu do Zaplecza. Może pan do nas dotrzeć?

- Znalazłem doktor Reynolds. Robimy, co w naszej mocy. Matt odwrócił się do Amandy. Zza jej pleców nagle rozległ się dudniący echem ryk.

Amanda musiała zauważyć po jego minie, że coś się dzieje.

- Coś się stało? - spytała.

- Chyba Mały Willy domyślił się właśnie, że go oszukaliśmy.

Amanda spojrzała przez ramię.

- Nadejdzie tędy. Niech pan zdejmie buty.

- Słucham...?

- Będzie pan miał lepszą przyczepność.

Kiwnął głową i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Zdjął mokasyny i skarpety. Lód był zimny, ale miała rację - stopy lepiej chwytają lód. Wsadził mokasyny do kieszeni kurtki i zaczęli biec.

Po chwili Matt ponownie włączył radio.

- Mówi Matthew Pike. Idziemy do was z doktor Reynolds, mamy jednak na ogonie towarzystwo.

Odpowiedź była natychmiastowa:

- W takim razie ruszajcie dupska. Zrobimy, co się da, aby wam pomóc, ale nie wiemy, gdzie jesteście.

Biegając, Matt zauważył na ścianie plamkę farby. Oczywiście...

Ponownie przytknął do ust radio.

- Idziemy tunelami oznakowanymi zielonymi rombami! Dokąd ten szlak prowadzi?

Zapadła długa cisza, po czym radio ponownie zaskrzeczało.

- Rozumiem, zielone romby. Bez odbioru.

Matt schował radio do kieszeni swojej połatanej wojskowej kurtki i pomodlił się, aby tamci byli w stanie im pomóc. Biegli tunelami w górę, mijając kolejne poskręcane tunele. Nagle Matt znów poczuł piłowanie sonaru w głowie. Grendel odnalazł ich.

Kiedy dotarli do końca szczególnie długiego prostego odcinka, Matt spojrzał za siebie. Zmaterializowały się za nim czerwone ślepie. Oddalone o dwadzieścia metrów dwie istoty zmierzyły się wzrokiem - drapieżca i ofiara.

Z paszczy grendla wydobył się przypominający grzmot warkot.

Zaczęła się ostateczna pogoń.

GODZINA 13.22

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Jenny i Kowalski biegli po śniegu. Aby jak najmniej rzucać się w oczy, pochylali się nisko. Skraj prowizorycznego wełnianego poncho Jenny łopotał i szarpał nią. Jedną ręką przytrzymywała kaptur przy głowie, naciągając go na usta i nos, tak aby na wierzchu pozostały tylko gogle.

Z trudem posuwali się naprzód. Wicher, śnieg, lód - wszystko to sprawiało, że ich ucieczka była powolna i wyczerpująca. Odkryte fragmenty skóry paliły, Jenny nie zamierzała jednak poddać się bez walki.

Gdzieś za nimi zagrzechotały strzały, odbijając się echem w zamieci, ale ogień nie był skierowany na nich. Zgodnie z planem Sewell i pozostali symulowali frontalny atak, skierowany na drzwi baraku i mający odwrócić uwagę od dwójki uciekinierów.

Jenny modliła się, aby nikt nie zginął, ale w jej głowie cały czas tkwił strach o ojca.

Ich plan nie był zbyt skomplikowany - zamierzali wzbić się w powietrze, wezwać pomoc i pomknąć do brzegu.

Wyjrzeni zza kolejnej chaty. Mieli przed sobą parking bazy. Rozrzucone po lodowym placu cieniste pagórki wyznaczały miejsca spoczynku rozmaitych maszyn śnieżnych - zimowy cmentarz porzuconych pojazdów.

Nigdzie nie było jednak widać samolotu. Przy widoczności poniżej kilku metrów stał spowity śnieżną zasłoną gdzieś dalej.

Kucając po zawietrznej chaty, Jenny próbowała przeanalizować sytuację. Oślepieni burzą śnieżną, mogli przejść tuż obok twin ottera, wcale go nie dostrzegając, a nie mieli czasu na krążenie po okolicy. Jeżeli nie zabiją ich Rosjanie, zrobi to zimno.

Teraz, kiedy się zatrzymali, zaczęło wnikać przez nieliczne warstwy ubrania Jenny, szukając ciepłej skóry, którą można by zmrozić. Policzki miała jak podrapane drucianą szczotką. Pomasowała je, aby przywrócić krążenie. Opuchnięte palce przypominały parówki.

Poczekali, aż wicher na sekundę osłabnie, w nadziei że ujrzą choć kawałek samolotu, do którego musieli się dostać. Niestety, wiatr nie zamierzał im pomagać. Wiał potężnie, ciągle z taką samą siłą, niezmienny jak prąd oceaniczny.

Wreszcie Kowalskiemu skończyła się cierpliwość.

- Idziemy... - syknął Jenny w ucho. - Nie możemy bez końca czekać.

Strzelanina za ich plecami ucichła. Symulowany atak Sewella został zakończony. Jeżeli Rosjanie zaczną liczyć więźniów, szybko poznają prawdę i rozpoczną poszukiwania. Musieli zniknąć, zanim do tego dojdzie.

Kowalski ruszył do walki z wiatrem, a Jenny za nim, wykorzystując jego potężne plecy jako osłonę. Przecięli parking i wyszli na otwarte lodowe pole.

Po dziesięciu krokach Jenny spojrzała za siebie.

Baza zniknęła. Nawet światła wydawały się mirażami.

Jenny szukała jakiegoś śladu samolotu, ale znajdowali się wewnątrz białego pęcherza, nieustannie uderzanej i okręcanej śniegowej bańki. Z trudem stawiali nogę za nogą, próbując zachować możliwie prostą linię.

Mijały minuty. Jenny coraz bardziej się niepokoila. Gdyby twin otter tu był, już by do niego doszli.

Przed nimi pojawiło się migoczące światełko. Kowalski zaklął. Musiała to być jedna z latarni na skraju bazy, zasilana z generatora. Może jakimś sposobem zatoczyli koło i wrócili do punktu wyjścia? Nie miało to jednak sensu, bo wicher przez cały czas dął im w twarz.

Nagle przez słaby blask latarni przemknął jakiś cień. Był ciemny i niski... i pędził prosto na nich.

Jenny i Kowalski zamarli.

Ciemny kształt poruszał się zbyt szybko, aby dało się rozróżnić jakieś szczegóły.

Po chwili skoczył na nich z otchłani burzy. Kowalski pochylił się, aby wziąć na siebie pierwszy impet uderzenia, niczym niedźwiedź odpierający atak lwa. Śnieg zawirował, zamieniając mroczną bestię w wielkiego psa.

- Bane!

Jenny obeszła swego towarzysza i pies natychmiast przewrócił ją na plecy, a gorący jęzor zaczął, szukać jej lodowatej skóry.

Mieszaniec nie mógł już bliżej się przycisnąć, ale drapał i popiskiwał, jakby chciał zlać się ze swoją panią w jedność.

Migoczące światełko urosło, zbliżając się do nich - nie była to latarnia, lecz człowiek z palącą się flarą w ręku, ubrany w grubą kurtkę.

Jenny natychmiast zauważyła jedną rzecz: kurtka była nie biała, lecz granatowa.

Marynarka wojenna USA.

- Wiedziałem, że to albo pani, albo pani mąż - powiedział przybysz z wyraźną ulgą w głosie. Był to podporucznik Tom Pomautuk, z którym zostawili psa. - Bane zaczął wyć i nagle się wyrwał.

Kowalski wyprostował się.

- Gdzie się chowałeś?

Młody podporucznik wskazał flarą.

- W samolocie szeryf Aratuk. Kiedy rąbnęła pierwsza eksplozja, Bane natychmiast tam pognał.

Chciał znaleźć się w znajomym miejscu, pomyślała Jenny. W jedynym kawałku domu, jaki tu ma.

- Musiałem za nim iść, bo przecież odpowiadam za niego - dodał Tom. - A kiedy zrozumiałem, co się dzieje, pomyślałem, że mogę od razu skorzystać z radia i nadać SOS.

- Złapałeś kogoś? Tom pokręcił głową.

- Nie miałem czasu, aby dłużej próbować. Musiałem się schować przed patrolami, więc weszliśmy z psem do ładowni. Gdy zaczęła się burza, uznałem, że nikt nie będzie się kręcił na zewnątrz, i spróbowałem jeszcze raz. Wszedłem z samolotu i właśnie roztopiałem flarą lód na antenach, kiedy Bane znów zaczął piszczeć i ciągnąć mnie w waszą stronę.

Jenny poklepała psa.

- Schowajmy się przed tym wichrem.

- Amen - powiedział Kowalski i przez całe jego ciało przebiegł potężny dreszcz.

- Jaki mamy plan? - spytał Tom, prowadząc ich do awionetki. Z białego tła zaczął się wynurzać przypominający jasnoszarego ducha kontur twin ottera.

- Najpierw spróbujemy się pomodlić, aby silniki się obróciły. Ich rozgrzanie zajmie kilka minut. Pod osłoną burzy moglibyśmy wystartować, tak że nikt by nas nie usłyszał.

- Chce pani wystartować? - zdumiał się Tom. - Lecieć... przy takiej pogodzie?

- Już latałam bez widoczności - zapewniła go Jenny, wiedziała jednak, że tym razem nie ma do czynienia z mgłą. Nie będzie łatwo.

Doszli do samolotu, odwiązali liny pozycjonujące i wyszarpnęli spod kół zamrożone kliny. Po wstępnym przygotowaniu samolotu wsiedli do środka. Temperatura w zabezpieczonej przed wiatrem kabinie wydawała im się wyższa o pięćdziesiąt stopni. Jenny zajęła fotel pilota, Kowalski usiadł obok, a Tom i Bane podzielili się miejscem na ławce za nimi.

Kluczyki tkwiły w stacyjce, tak jak Jenny je zostawiła. Włączyła główne zasilanie i zrobiła szybki sprawdzian wszystkich systemów. Wyglądało na to, że maszyna jest w porządku. Zaczęła przerzucać przełączniki, odłączając nagrzewnicę bloku silnika od zapasowego akumulatora.

- Nic tu nie działa jak trzeba - mruknęła i włączyła podwójne silniki. Przez jej fotel przebiegł znajomy dreszcz.

Odgłos pracujących silników gubił się w wichurze, ale Jenny wyraźnie go słyszała. Jak daleko niosło ten dźwięk? Czy Rosjanie już nadchodzili?

Popatrzyła na Kowalskiego. Wzruszył ramionami, jakby czytał jej w myślach. Jakie to ma teraz znaczenie?

Powoli dodawała gazu, by rozgrzać silniki. Za oknami widać było śmigła, roztrącające napierający na nie śnieg.

- Gotowi? - spytała po minucie. Nikt nie odpowiedział.

- No to jedziemy - powiedziała, choć tak cicho, że ledwie można było ją usłyszeć. Nawet dla niej samej zabrzmiało to jak szept. Pchnęła przepustnicę, śmigła wgrzyły się w wiatr i twin otter oderwał się od miejsca, do którego już zaczynał przymarzać. Awionetka ruszyła na płozach.

Jenny tak manewrowała maszyną, aby jak najbardziej oddalić się od bazy. Zamierzała pokolować pod wiatr i wykorzystać jego siłę do wzniesienia się w powietrze. Czekala ich niezła wycieczka.

- Trzymajcie... - zaczęła, nie udało jej się jednak dokończyć zdania.

- Mamy towarzystwo - stwierdził Kowalski, który patrzył do tyłu.

Jenny też to zobaczyła. Sunęły za nimi dwa światełka, przypominające reflektory samochodowe. Po chwili rozdzieliły się i zaczęły łukami okrążyć ich samolot.

Poduszkowce.

Jenny mocniej pchnęła przepustnicę i silniki ryknęły. Awionetka przyspieszyła, ale napierający na nią od przodu wicher mocno ją spowalniał. W normalnych warunkach przedni wiatr pomaga szybko wystartować, ten jednak wiał podmuchami, które szarpały maszyną.

- Rosjanie musieli nas usłyszeć.

- Albo zainstalowali czujniki podczerwieni i zobaczyli rozgrzewające się silniki.

Przez hałas silników przebił się nagle terkot broni maszynowej, choć śnieg tak ciasno otulał twin ottera, że brzmiało to, jakby dochodziło zza grubej zasłony. Kilka pocisków odbiło się z głośnym wizgiem od poszycia uciekającego samolotu. Na szczęście ogon i przedział bagażowy osłaniały kabinę.

Jenny próbowała przyspieszyć.

- Okrążają nas! - krzyknął Tom.

Jenny rozejrzała się. Widać było dwie jasne plamy reflektorów, zataczające łuki. Najwyraźniej z poduszkowców zamierzano strzelić w kabinę twin ottera.

Cholera, są takie szybkie...

Patrzyła na dudniący o przednią szybę śnieg, przyciskający samolot do podłoża, niepozwalający mu się wzbić. To się nie mogło udać. Nie mieli czasu na walkę z wiatrem. Pozostawała jej tylko jedna możliwość.

- Trzymajcie się! - krzyknęła.

Zredukowała moc lewego silnika, dodała ciągu prawemu. Równocześnie na jednym skrzydle podniosła klapy, a na drugim je opuściła. Samolot zawirował w miejscu jak samochód w poślizgu i po chwili nos twin ottera wskazywał tam, skąd właśnie przybyli.

- Co robisz? - wrzasnął Kowalski i odepchnął się od okna. Jenny dała obu silnikom pełną moc. Śnieg wokół śmigieł zamienił się w chmurę mgły. Twin otter skoczył do przodu i pomknął po lodzie.

Pchany wiatrem gwałtownie przyspieszał.

Kowalski zrozumiał, dokąd Jenny zamierza lecieć - z powrotem do bazy.

- Nie wyrobisz się. Nigdy nie wzlecisz dostatecznie wysoko.

- Wiem.

Poduszkowce zawirowały i zmieniły kurs. Od ogona twin ottera z wizgiem odbił się pojedynczy pocisk.

- Nigdy w życiu się nie wyrobimy... - szepnął Tom. Jenny nie zwracała na nich uwagi. Trzymała mocno dźwignie przepustnicy i obserwowała przyrządy, przede wszystkim prędkościomierz. Dawaj...

Kątem oka dostrzegła zbliżające się światła bazy. W miejscu, gdzie stały chaty, widać było ciemniejsze cienie.

Twin otter pędził prosto na nie.

Kiedy uniósł się lekko, drgania podskakujących na lodzie płóz osłabły. Jenny wstrzymała oddech. Jeszcze nie miała wystarczającej prędkości. Podejrzała, że chwilowe uniesienie się samolotu było spowodowane silniejszym podmuchem wiatru. Miała rację. Po chwili płozy znowu uderzyły w nierówny lód i cała maszyna się zatrzęsała.

- Skręć! - krzyknął Kowalski. - Nie uda ci się!

Ale Jenny nuciła coś pod nosem i kierowała się prosto na jeden z ciemnych budynków - cień w jeziorze światła, utworzonego przez latarnie. Modliła się, aby był tak samo ustawiony jak barak, z którego uciekła razem z Kowalskim.

Pędzili prosto na budynek. Jenny zostawiła sobie w rezerwie odrobinę mocy. Bardzo im się teraz przyda.

- Co ty właściwie... - zaczął Kowalski i dokończył: - Ożeż jasna cholera...

Tak samo jak pod barakiem, z którego uciekli, także i tutaj wiatr nawiał od nawietrznej śniegu, tworząc zamrażającą zaspę, sięgającą niemal dolnej krawędzi dachu.

Kiedy samolot dotarł do lodowego zbocza, natychmiast podniósł dziób wysoko w górę. Jenny dodała resztkę mocy, płozy wjechały na lód i po chwili maszyna znalazła się na dachu.

Płozy zazgrzytały o zardzewiałą blachę i w następnej sekundzie już lecieli, wgrzyzając się w burzę.

Przez kilka następnych minut Jenny walczyła o utrzymanie kontroli nad samolotem. Zaraz po wzniesieniu się w powietrze twin otter zaczął skakać jak szarpany wiatrem latawiec. Na ich szczęście, choć wiało bardzo mocno, kierunek i siła wiatru wciąż pozostawały te same, więc kiedy Jenny obróciła maszynę dziobem na wiatr, mogła go użyć do wzniesienia się. Po chwili odzyskała panowanie nad awionetką.

Westchnęła i sprawdziła instrumenty: wysokość, prędkość, kompas. W obecnych warunkach były jej jedynymi źródłami informacji. Za oknami było jednolicie białe - nie dało się rozróżnić, gdzie kończy się lód i zaczyna niebo.

- Niezły z ciebie numer - stwierdził Kowalski z szerokim uśmiechem.

Jenny chemie odpowiedziałyby mu równie radosnym uśmiechem, ale jedno spojrzenie na wskaźnik paliwa sprawiło, że ścisnęło ją w żołądku. Kończyła im się benzyna w zbiorniku rezerwowym. Wskazówka opadała z taką szybkością, że można było to wyjaśnić tylko w jeden sposób: jakaś kula przerwała przewód paliwowy i gubili benzynę. Popatrzyła na wskaźnik głównego zbiornika.

Tu wszystko było w porządku - jeżeli tego rodzaju określenie mogło pasować do napelnionego w jednej ósmej zbiornika.

- Co się stało? - spytał Tom.

- Kończy nam się paliwo.

- Co? - zdziwił się Kowalski. - Jakim sposobem? Jenny pokazała mu tarczę i wyjaśniła, co się stało. Kowalski zaklął szpetnie.

- Ile uda nam się przelecieć? - spytał Tom.

- Niedaleko. - Jenny pokręciła głową. - Niecałe sto kilometrów.

- No to wspaniale... - jęknął Kowalski. - Utkniemy na pustkowiu.

Jenny doskonale rozumiała jego zdenerwowanie. Gdyby musieli wkrótce lądować, przy panującej na zewnątrz temperaturze nie przeżyliby długo bez ciepłych ubrań.

- Co możemy zrobić? - spytał Tom. Odpowiedziało mu milczenie.

Jenny leciała dalej. W tej chwili było to jedyne, co mogła zrobić.

GODZINA 13.29

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt i Amanda nie mieli już żadnych sztuczek w zanadrzu, więc pozostało im tylko jedno, najbardziej podstawowe działanie obronne.

- Uciekamy! - wrzasnął Matt i mocno pchnął Amandę. Skoczyła do przodu jak ranna łania.

Matt robił, co mógł, aby dotrzymać jej kroku, ale bieg na bosaka po lodzie przypominał poruszanie się z dwoma przymarzniętymi do stóp stekami. Co kilka kroków tracił kolejny kawałek dystansu.

- Chyba znam... tak, znam to miejsce! - krzyknęła nagle Amanda. - Jesteśmy niedaleko wyjścia!

Matt spojrzał przez ramię.

Grendel pędził za nimi, był oddalony od nich nie więcej niż o dziesięć metrów. Mknął jak burza, jego pazury krzesły iskry z lodu. Musiał czuć, że łup zaraz może mu umknąć, bo przestał zachowywać dotychczasową ostrożność.

- Na dół!

Ten krzyk doleciał z części tunelu, która znajdowała się przed nimi, a był na tyle głośny, że przebił się przez buczenie w ich głowach.

Matt popatrzył w przód i ujrzał skierowane na nich lufy.

Oddział marynarki!

Amanda wpadła między żołnierzy, ale on był jeszcze daleko za nią. Nie miał innej możliwości, więc padł na brzuch, a ręce, w których trzymał czekan, wyciągnął przed siebie.

W korytarzu eksplodowała salwa z broni palnej. Nad głową Matta zaświstały kule. Od ścian i sufitu zaczęły odpryskiwać kawałki lodu, obsypując go ostrymi okruchami, przekręcił się na plecy i patrzył między swoimi nogami. Grendel zatrzymał się metr od niego, opuścił łeb i wyciągnął łapę, zdecydowany nie pozwolić swojej ofierze umknąć. Z głębi jego klatki piersiowej wydobył się głuchy grzmot, a z nozdrzy wystrzeliły strużki pary wodnej. Kiedy uderzyły w niego pociski, smukłe kształty spryskała krew.

Odpychając się stopami od lodu, Matt zaczął się ślizgać w kierunku wybawienia.

Ostrzeliwana z trzech pistoletów maszynowych bestia nie zrezygnowała jednak z łupu. Do przodu wyprysnęła wielka łapa, trafiła koniec nogawki Matta i przygwoździła jego nogę do lodu. Matt szarpnął się, ale nic to nie dało. Przez ułamek sekundy patrzył grendlowi prosto w oczy i zobaczył płonący w jego ślepiach ogień.

Po chwili wargi grendla cofnęły się. Nie zamierzał wypuścić swojej zdobyczy, nawet gdyby miał zginąć.

Matt zamachnął się czekaniem, nie kierował jednak uderzenia w łeb bestii, lecz wyżej. Drugą ręką rozpiął pasek spodni i krótkim szarpnięciem otworzył suwak. Trzymając się czekana, podciągnął się do góry, wysunął nogi ze spodni i odroczył się na bok w samych kalesonach termicznych.

Kiedy starał się jak najdalej odpelznąć, bestia za jego plecami ryknęła. Był to niesamowity, obejmujący całą gamę dźwięków, równocześnie wściekły i pełen zawodu ryk. Matt dotarł do żołnierzy.

Natychmiast chwyciły go czyjeś ręce i postawiły na nogi.

Spojrzał za siebie, na grendla. Bestia była odwrócona tyłem, wspinała się na ścianę tunelu, zamierzając zawrócić, by uciec przed ostrzałem. Za chwilę zniknie za zakrętem.

Matt wraz z Amandą podszedł do głównej grupy - naukowców i żołnierzy marynarki.

Craig przyjrzał mu się uważnie.

- Byłem pewien, że pan nie żyje.

- Jeszcze z tego nie wyszliśmy.

Bratt zebrał swoich ludzi, Greera, O'Donnella, Pearlsona Wahsburn, i wyjaśnił im sytuację.

Amanda popatrzyła na Bratta.

- „Polar Sentinel” odpłynął?

- Komandor Perry nie miał wyboru.

- Co teraz zrobimy?

- Nie możemy zostać tu na dole - odparł Bratt. - Zaczyna się nam kończyć amunicja. Będziemy musieli podjąć walkę z Rosjanami.

- Znam kilka miejsc na poziomie trzecim, gdzie moglibyśmy się schować - powiedziała wysoka czarna pani kapitan. Wskazała głową w kierunku tuneli. - Są tam szyby serwisowe i pomieszczenia magazynowe. A także stary magazynek broni. Gdyby udało się nam tam niepostrzeżenie dostać...

- Wszędzie lepiej niż w tych pieprzonych tunelach - stwierdził Greer.

Bratt skinął głową.

- Ale musimy być ostrożni.

Matt też byłby szczęśliwy, mogąc się wydostać z tych lodowych tuneli. Od tego wierzącego buczenia bolały go już uszy.

Nagle drgnął.

Jezu...

Okręcił się wokół własnej osi. Niedawna strzelanina niemal go ogłuszyła i dopiero kiedy jej echa zamilkły, poczuł, że buczenie wcale nie znikło.

A przecież stwór został odpędzony.

Dostrzegł w oczach Amandy, że ona także to poczuła.

- Nie jesteśmy sami! - wrzasnął.

Zaczęto oświetlać latarkami wejścia do rozchodzących się na boki tuneli. W ich blasku po kolei odbijały się coraz to następne pary ślepi.

- To rozmrożona grupa z jaskini! - krzyknął Bratt, dając znak ręką, żeby się cofnięto. - Wreszcie udało im się przebić przez tamto truchło!

- Musiał je ściągnąć odgłos strzałów! - zawołał przerażony doktor Ogden, cofając się.

- Uciekajmy! - ryknął Bratt. - Nie mamy wystarczającej siły ognia, aby powstrzymać te bestie!

Cała grupa rzuciła się do beładnej ucieczki.

Nagły ruch natychmiast ściągnął uwagę stworów, podobnie jak uciekająca mysz prowokuje kota do pogoni.

- Tędy! - wrzasnęła Amanda.

Zbliżali się do podwójnych drzwi prowadzących do stacji.

Kiedy cała grupa do nich dotarła, Matt otworzył szerokie wejście i zaczął poganiać cywilów:

- Tempo! Tempo! Tempo!

Marynarze pilnowali tyłów i wpadli do środka jako ostami.

Kiedy drzwi zostały zatrzaśnięte, gdzieś przed nimi huknął wystrzał. Matt skulił się, ledwo unikając trafienia rykoszetem.

Wyglądało na to, że ich strzały przyciągnęły nie tylko grendle.

- Stać! - warknął na nich żołnierz w białej kurtce, z ciężkim obcym akcentem. Stał wraz z czterema innymi żołnierzami w przeciwnym końcu korytarza. W rękach trzymali gotowe do strzału karabinki szturmowe. - Rzucić broń! Szybko!

Amerykańska grupa zamarła.

Tylko Amanda szła dalej, nie słysząc tego rozkazu. Kiedy Matt złapał ją za łokieć, popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Pokręcił głową.

- Zostań tutaj - powiedział bezgłośnie, poruszając samymi ustami.

- Róbcie, co każą - polecił Bratt, odrzucając jako pierwszy broń. Po chwili o podłogę zaklekotały kolejne karabinki i pistolety. - Odsuńcie się od drzwi. Przesuwajcie się powoli.

- Trzymać ręce w górze! - wrzasnął na nich Rosjanin. - Podchodzić pojedynczo!

Bratt skinął głową.

Cała grupa szybko uformowała pojedynczy rząd i ruszyła. Zanim zrobiono dziesięć kroków, w podwójne drzwi za ich plecami załomotało potężne uderzenie. Metalowa płyta wyraźnie się wygięła.

Wszyscy zamarli.

- Na ziemię! - rozkazał Bratt.

Amerykanie opadli na ręce i kolana. Matt pociągnął za sobą Amandę.

Rozległ się jeden strzał, być może komuś odruchowo zgiął się palec, ale pocisk doszedł celu. O'Donnell nieco się spóźnił z wykonaniem rozkazu i jego potylicą eksplodowała, rozpryskując wokół krew i kawałki kości. W ostatnim odruchu ręce marynarza rozłożyły się na boki i martwe ciało poleciało na plecy.

Buchnął grad rosyjskich komend i wyzwisk - każdy krzyczał na każdego.

- Niech to cholera... - zaklął Bratt, czerwony z wściekłości.

Matt patrzył to na Rosjan, to na wygięte drzwi. Z deszczu pod rynnę.

Dowodzący grupą rosyjskich żołnierzy podoficer wystąpił krok do przodu.

- Co to za sztuczka?

Coś ponownie zaatakowało drzwi, uderzając w nie niczym rozpędzony pociąg. Zawiasy pękły jak przecięte i dwa skrzydła masywnych drzwi wpadły do korytarza.

Razem z drzwiami wskoczył do niego także grendel. Tuż za nim pojawiły się następne.

Kiedy klęczący na podłodze ludzie zaczęli uciekać na czworakach, zapanował kompletny chaos.

Rosjanie otworzyli ogień - ale strzelali bezładnie i nierówno, widać było wyraźnie, że bardzo się przestraszyli.

- Nie podnosić się! - krzyczał Bratt. - Pełznąć naprzód! Nie mieli najmniejszej szansy. Mogli zginąć od zabłąkanej kuli jak O'Donnell albo zostać rozszarpani przez bestie.

- Tutaj! - wrzasnęła Amanda. Przeturlała się pod ścianę i złapała umieszczoną niecały metr nad podłogą rączkę. Mało brakowało, a przypadkowa kula obcięłaby jej palec, ale udało jej się pociągnąć za rączkę. Pomagając sobie drugą dłonią, otworzyła małe drzwiczki. - Do środka!

Wskoczyła pierwsza, inni podążyli za nią.

Ostami był Greer, za którym gnał grendel.

Amanda zatrzasnęła za nim drzwiczki w tej samej chwili, gdy grendel walnął w nie swoim ogromnym cielskiem. Uderzenie było tak silne, że Amanda przewróciła się na Matta. Przytrzymał ją, zaraz jednak wróciła do włazu.

W ciemności rozległ się zgrzyt zasuwanej stalowej sztaby.

Odgłosy walki za drzwiami, choć mocno stłumione, wyraźnie do nich docierały. O ściany i zamknięty wąż raz za razem uderzały potężne cielska.

Wszyscy leżeli, dysząc, na podłodze, wsłuchani w walkę na korytarzu, stłoczeni w bezładnej kupie. Matt wyjął z kieszeni mokasyny i naciągnął je na bolące, zmarznięte stopy.

- Przez chwilę powinniśmy być bezpieczni - powiedziała Amanda. - Te drzwiczki są zrobione z grubej stali.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Matt, kończąc wiązać buty.

- W sercu stacji - odparł Bratt. - W głównym laboratorium.

Ktoś wcisnął klawisz i zapaliły się nagie żarówki.

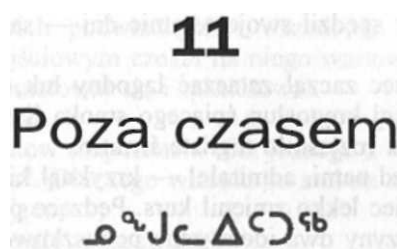
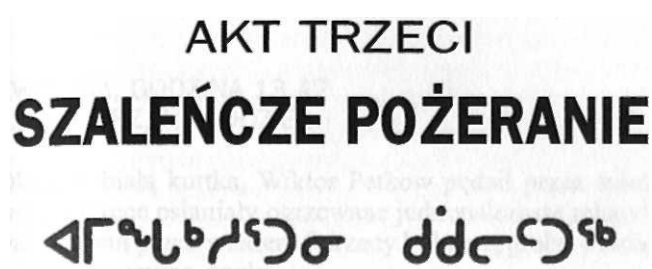
Matt rozejrzał się po czystym i wysprzątanym wnętrzu. Stalowe stoły były ustawione z wojskową precyzją. W szafkach z oszklonymi frontami przechowywano naczynia

laboratoryjne i wypolerowane narzędzia. Pod jedną ze ścian ustawiono szereg lodówek. Od głównego pomieszczenia odchodziły mniejsze, było jednak zbyt ciemno, aby dostrzec, co się w nich znajduje.

Kiedy się rozglądał, zaczęły zapalać się kolejne żarówki. Rozbłyskiwały jedna po drugiej, oświetlając wychodzący z laboratorium i uciekający łukiem w dal korytarz. Wyglądało na to, że zakrzywia się on wraz z zewnętrzną ścianą i być może okrąża cały poziom.

Po chwili Matt zobaczył, co oświetla każda żarówka.

- Mój Boże...



9 KWIETNIA, GODZINA 13.42

NA ZEWNĄTRZ, NA LODZIE...

Okutany białą kurtką, Wiktor Pełkow pędził przez śnieżną burzę. Jego ręce osłaniały ogrzewane jednopalczaste rękawice, a twarz chronił przed wiatrem futrzany kołnierz, gruby wełniany szal i polaryzacyjne gogle.

Nie było jednak takiej odzieży, która mogłaby zatrzymać zimno, sączące mu się do serca. Jechał do grobowca ojca, do ukrytej głęboko w lodzie zamarzniętej krypty.

Siedział okrakiem na tylnym siedzeniu dwuosobowego poduszkiowca, przyczepiony do fotela pasami. Kierowca, jeden z ludzi Mikowskiego, prowadził maszynę z lekkomyślną pewnością siebie, typową dla młodości. Maszyna mknęła nie więcej niż o szerokość dłoni nad powierzchnią lodu, tnąc powietrze niczym rakieta.

Burza nieustannie próbowała zepchnąć ich z kursu, ale kierowca ciągle wyrównywał i za pomocą żyroskopowego systemu nawigacyjnego trzymał się najkrótszej linii, prowadzącej do zagubionej stacji.

Wiktor Petkow obserwował smagany śniegiem krajobraz. Wokół widać było jedynie nagą pustkę, lodową pustynię. Ponieważ słońce zakrywały chmury i śnieg, świat rozplynął się w bladym półmroku. Odbierało to człowiekowi siły i wolę. W takim miejscu jak to rozpacz i brak nadziei przybierały materialną postać. Mając uszy wypełnione nieustannym wyciem wichury, Wiktor Petkow niemal czuł, jak wciskają mu się do serca.

To tu ojciec spędził swoje ostatnie dni - samotny i zapomniany.

Poduszkowiec zaczął zataczać łagodny łuk, sunąc wzdłuż przypominającej kręgosłup śpiącego smoka linii torosów. Po chwili półmrok rozjaśniło mgliste światło.

- Cel przed nami, admirale! - krzyknął kierowca.

Poduszkowiec lekko zmienił kurs. Pędzące po bokach prowadzącej maszyny dwa identyczne poduszkowce skopiowały ten manewr niczym szwadron lecących w formacji bojowej migów. Cała trójka kierowała się w stronę światła.

Przez zasłonę śniegu zaczęły przebierać szczegóły otoczenia. Lodowy łańcuch górski, czarne prostokątne jezioro wody, będące dziełem człowieka. U podstawy jednego z lodowych szczytów w śnieżną zadymkę wbijał się niczym radiolatarnia snop światła.

Objechali płoń i skierowali się ku wejściu do bazy. Po chwili trzy poduszkowce opadły na tytanowe płozy i pojechały dalej ślizgiem po lodzie. Zatrzymały się niedaleko wejścia i zaparkowały u podnóża jednego z torosów, który chronił je przed silniejszymi podmuchami wiatru.

Kierowca zeskoczył ze swojego siedzenia, ale Wiktor Petkow nie mógł pozbyć się uprzęży, która podczas jazdy przytrzymywała go w fotelu. Z powodu grubych rękawic miał ograniczoną swobodę ruchów, nie poszłoby mu to jednak łatwo nawet wtedy, gdyby je zdjął, zbyt silnie trzęsły mu się dłonie. Wbijał wzrok w otchłań szybu wejściowego - wysadzonego wcześniej, a potem wyrąbanego i stopionego, aby udostępnić dojście do znajdującej się w głębi krypty. Widział w Egipcie w podobny sposób zgwałcone starożytne groby, splądrowane przez hieny cmentarne. Tym właśnie byli - zarówno Amerykanie, jak i oni, Rosjanie - hienami cmentarnymi, walczącymi ze sobą o kości i migoczące błyskotki.

Jestem jedyną osobą, która ma prawo do tego miejsca, pomyślał.

- Admirale? - Kierowca sięgnął do jego uprzęży, chcąc mu pomóc.

Wiktor Petkow powrócił do rzeczywistości, rozpiął się i zsiadł z pojazdu. Kiedy stanął na lodzie, zerwał z dłoni ogrzewane rękawice i schował je do kieszeni. Zimno natychmiast przypiekło gołą skórę - jakby jego dłoń uściśniętą sam Diabeł, zapraszając go do grobowca ojca.

Minął swoich podwładnych i wszedł do wnętrza stacji. W szybie wejściowym czekał na niego wartownik. Na widok Petkova wyprostował się i zsalutował.

- Admirale...

Wiktor Petkow rozpoznał w nim jednego z wyższych oficerów „Drakona”. Dlaczego właśnie on stał na warcie? Było to dość niepokojące.

- Co się stało, poruczniku?

Oficer próbował coś powiedzieć, ale najwyraźniej miał kłopot z dobraniem odpowiednich słów.

- Natknęliśmy się na kilka problemów, admirale. Na jeden tutaj i drugi w Omedze. Kapitan Mikowski czeka na wasz telefon przez UQC.

Petkow zmarszczył czoło i popatrzył na pustą płoń. Z wody wychodziła czarna, niemal całkowicie schowana w śniegu kreska kabla i biegła do głównego wejścia do bazy. Linia UQC była czymś w rodzaju podwodnego telefonu, sonaru, który zamiast brzęczenia przenosił słowa. Ponieważ tego rodzaju komunikacja obejmowała niewielkie odległości, oznaczało to, że „Drakon” musi być w pobliżu.

Dał znak strażnikowi, aby szli dalej.

Minęli tkwiący tuż przy drzwiach wejściowych wysadzony wrak sno-cata i poszli w głąb tuneli. Wartownik zaczął mówić szybko:

- Tutejszy problem polega na tym, że na poziomie czwartym zabarykadowała się grupa żołnierzy i cywilów. Nie mogliśmy do nich dotrzeć, bo nasi ludzie zostali zaatakowani przez jakieś dziwne stwory.

- Stwory?

- Mają białą skórę. Są ogromne. Ale osobiście ich nie widziałem. Kiedy przybyły posiłki, zniknęły w korytarzach. Straciliśmy jednego człowieka, zabrały go te bestie. Korytarz jest teraz pilnowany.

Pod Wiktorem Petkowem ugięły się nogi, kiedy to usłyszał. Przed wyjazdem z Moskwy czytał tajne zapiski ojca. Grendle... czy to mogły być one? Czy któreś mogły

przeżyć? Znajdowali się już w głównej części stacji. Czarny przewód w gumowej osłonie dochodził do niewielkiej radiostacji. Na widok admirała radiooperator wstał.

- Admirale! Kapitan Mikowski czeka...

- Słyszałem. - Petkow podszedł do aparatu i podniósł słuchawkę. - Mówi Wiktor Petkow.

- Admirale, mam pilny raport od naszych sił w Omedze. - Słowa brzmiały głucho, jakby ktoś mówił przez długą mūrę, można było jednak rozpoznać głos. - Chciałem was natychmiast poinformować.

- Mówcie dalej.

- Doszło do złamania zasad bezpieczeństwa. Kobieta i amerykański marynarz uciekli z baraków i dotarli do awionetki.

Petkow zacisnął pięść. Jak mogło do tego dojść?

- Przy tej burzy nie damy rady ich znaleźć. Prawdopodobnie lecą do wybrzeża Alaski, aby podnieść alarm.

Wiktora Petkowa ogarnęła wściekłość. To nie miało prawa się zdarzyć. Ich misja nie mogła mieć świadków. Wszystko zostało starannie zaplanowane. Pod osłoną burzy śnieżnej i burzy na Słońcu amerykańskie satelity szpiegowskie byłyby w stanie dostrzec jedynie niewyraźne ślady w podczerwieni. Choć patrolujące okręty podwodne i nawodne mogły składać meldunki o odgłosach potyczek, brak świadków pozwoliłby rządowi rosyjskiemu „zdroworozsądkowo” wszystkiemu zaprzeczyć. Umożliwiono nawet ucieczkę amerykańskiemu okrętowi badawczemu „Polar Sentinel” z ludźmi ewakuowanymi ze stacji. Zresztą nawet gdyby „Sentinelowi” udało się dostrzec „Drakona”, jego załoga nie byłaby w stanie sprawdzić, co dzieje się na powierzchni lodu.

Zdroworozsądkowe zaprzeczanie. Nowa fraza współczesnej wojny.

Niestety, uciekło dwoje więźniów, dwoje świadków, którzy mogli to wszystko opowiedzieć lub opisać w Internecie.

Wiktor Petkow zmusił się do wzięcia głębokiego, uspokajającego wdechu. Opanował złość, zdusił ją. Jego pierwsza reakcja była odruchowa, ale w ostatecznym rozliczeniu ta sprawa nie miała znaczenia. Przypomniawszy sobie o swoim szerszym planie, położył dłoń na nadgarstkowym monitorze Polaris.

Pozwoliło mu to odzyskać spokój. Przecież oba rządy przystały na tę tajną wojnę, którą w kręgach politycznych eufemistycznie nazywano potyczką. Tego rodzaju tajne

konfrontacje zbrojne często miały miejsce między światowymi mocarstwami, w tym również z udziałem Stanów Zjednoczonych. Przeprowadzano je w najbardziej oddalonych zakątkach świata: na wodach Korei Północnej, na irackich pustyniach, w głębi Chin, w otchłaniach mórz polarnych. Wojskowi dowódcy najwyższego szczebla doskonale rozumieli ich konieczność, ale szczegółowe informacje na ich temat nigdy nie docierały do wiadomości opinii publicznej. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal.

- Admirale, jakie są wasze rozkazy? - spytał Mikowski. Wiktor Petkow zastanawiał się przez chwilę, rozważając sytuację. Była nie najlepsza, ale nie rozpaczliwa, choć nie mógł już sobie pozwolić na więcej błędów. W każdym razie Omega i znajdujący się tam więźniowie przestali być aktywami. Nagrody na pewno tam nie było.

- Kapitanie, „Drakon” ma jak najszybciej znaleźć się przy Omedze - powiedział spokojnym, pewnym głosem.

- Admirale...?

- Po przybyciu na miejsce zabrać stamtąd naszych ludzi i wycofać się.

- A Omega... więźniowie?

- Kiedy nasi ludzie będą bezpieczni, zdetonować ładunki. Zatopić stację w oceanie.

Zapadła długa cisza. Rozkaz ten oznaczał wyrok śmierci dla niewinnych ludzi, którzy pozostaną w Omedze. Odpowiedź kapitana była ledwie słyszalna:

- Tak jest, admirale.

- Potem wróćcie tutaj. Nasza misja jest już niemal zakończona. - Wiktor Petkow odłożył słuchawkę i odwrócił się do zebranych wokół ludzi. - Teraz zajmijmy się drugim problemem.

GODZINA 13.55

STACJA LODOWA GRENDEL

Wzdłuż wewnętrznej ściany zakręcającego korytarza co kilkadziesiąt centymetrów stały pionowe stalowe pojemniki na wysokości nieco ponad dwóch metrów. Po podłodze i suficie biegły gumowe węże i poskręcane przewody, łącząc je ze sobą.

Choć każdy z nich miał w przedniej części szybę z grubego szkła, pokrywająca je warstwa lodu sprawiała, że wewnątrz pozostawało niewidoczne.

Ale z szyb kilkunastu najbliższych pojemników ktoś niedawno zdrapał lód i szron i umieszczone nad nimi żarówki świeciły prosto do środka. Wszystkie pojemniki były wypełnione przezroczystym błękitnawym lodem.

Pośrodku każdego lodowego bloku, niczym zamknięty w bursztynie owad, tkwił obiekt. Nagi człowiek o twarzy wykrzywionej w śmiertelnej agonii, którego dłonie przyciskały się od wewnątrz do szkła, a fioletowe zagięte palce starały się wypchnąć przegrodę. Mężczyźni. Kobiety. Nawet dzieci.

Matt z przerażeniem wpatrywał się w długi tunel. Pojemnik za pojemnikiem. Ile mogło ich być? Odwrócił się od tego makabrycznego widoku. Na twarzach pozostałych obecnych również widać było, jak bardzo są wstrząśnięci.

Ale dwoje członków grupy nie było przerażonych, lecz zażenowanych.

Matt wrócił do głównego pomieszczenia i stanął przez komandorem podporucznikiem Brattem i Amandą Reynolds.

- Co to jest? - spytał, wskazując ręką rząd pojemników.

Obok niego stanął Craig, po chwili dołączyła do nich Washburn i reszta cywilów.

- To, co Rosjanie próbują ukryć - odparła Amanda. - Tajne laboratorium z czasów drugiej wojny światowej. Używane do prowadzenia eksperymentów na ludziach.

Matt popatrzył na zaryglowane wejście. Pilnowali go Greer i Pearlson. Na razie Rosjanie zrezygnowali z ich wyważania. Prawdopodobnie po przegonieniu grendli do Zaplecza trochę bali się powrotu bestii. Było jednak jasne, że nie zostawią ich w spokoju zbyt długo.

- Co ci dranie tu robili? - spytała Washburn, która wyglądała na najbardziej wstrząśniętą.

Cały jej poprzedni stoicki spokój prysł jak bańka mydlana.

Amanda pokręciła głową.

- Nie wiemy. Kiedy tylko odkryliśmy, co jest w tym laboratorium, zamknęliśmy je. - Wskazała oszkloną szafkę, w której dwie półki zajmowały równe szeregi brulionów. - Odpowiedzi są prawdopodobnie tam, niestety, tekst jest napisany w jakimś dziwnym języku. Nie byliśmy w stanie nic zrozumieć.

Craig podszedł do szafki i otworzył ją. Przyjrzał się zeszytom.

- Są ponumerowane - stwierdził. - Wygląda mi to na daty - Przejechał palcem po grzbietach. - Jeżeli dobrze je odczytuję, obejmują okres od stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku do... maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego. - Wyciągnął z szafki ostami brulion i przekartkował go.

- Dwanaście lat - powiedział Bratt. - Aż trudno uwierzyć, że to trwało tak długo i nikt się o niczym nie dowiedział...

- W tamtych czasach komunikacja była znacznie trudniejsza - powiedziała Amanda. - Nie podróżowano tyle. Ukrycie takiej stacji jak ta nie było trudne.

- Albo utracenie jej, jeśli się chciało - dodał Matt. - Co tu się, do pioruna, mogło dziać?

Z korytarza odezwał się doktor Ogden, który stał przed jednym z pojemników:

- Może się domyślam... Wszyscy odwrócili się w jego stronę.

- Czego się pan domyśla? - spytał szorstko Bratt.

- Grendle - powiedział biolog. - Widział pan, co się stało. Ożyły po śmieciach zamrożenia.

Oczy Amandy rozszerzyły się.

- To niemożliwe!

- Możliwe - odparł Bratt. - Doktor Ogden ma rację. Widziałem to na własne oczy.

- Tego rodzaju cudowne odrodzenie nie jest w świecie zwierzęcym wyjątkiem - mówił dalej Ogden. - Są żółwie, które tkwią w zamrożonym mule przez całą zimę, po czym budzą się wraz z wiosennymi roztopami.

- Ale przy całkowitym zamrożeniu to chyba wykluczone - upierała się Amanda.

- Niekoniecznie. Arktyczna żaba drzewna zamarza w zimie. Jej serce przestaje bić. Gdy przekroi się ją w stanie zamarzniętym, nie krwawi. Aktywność elektryczna mózgu całkowicie zanika. Nie ma śladów jakiegokolwiek aktywności komórkowej. Zwierzę jest pod każdym względem martwe, kiedy jednak nadchodzą wiosenne roztopy, w ciągu kwadransa jego serce znowu zaczyna bić, krew ponownie zaczyna krążyć i żabki skaczą jak nowo narodzone. Matt skinął głową.

- To prawda. Czytałem o tych żabach.

- Ale jak to możliwe? - spytała Amanda. - Przecież kiedy ciało zamarza, zamieniająca się w lód woda zawarta w komórce zwiększa objętość i niszczy ją. Jak w przypadku odmrożenia. W jaki sposób żaby mogą przeżyć?

- Odpowiedź na to pytanie jest bardzo prosta - odparł Ogden.

Amanda popatrzyła na niego.

- Cukier.

- Słucham...?

- Glukoza. Od dziesięciu lat ten gatunek bada kanadyjski biolog, doktor Ken Storey. Odkrył on, że kiedy na skórze żaby zaczyna się tworzyć lód, komórki wypełniają się glukozą, zwiększając osmolalność do poziomu uniemożliwiającego tworzenie się w nich lodu.

- Ale powiedział pan przecież, że żaby zamarzają.

- Tak, lecz zamarza jedynie woda pozakomórkowa. Glukoza we wnętrzu komórek działa jak krioprotektant, płyn przeciw zamarzaniu, chroniący komórkę do chwili, aż temperatura wokół niej ulegnie podwyższeniu. Doktor Storey ustalił, że procesem tym kieruje zestaw dwudziestu genów, powodujących zamianę glikogenu w glukozę. Nie wiadomo, jak na razie, co pobudza działanie tych genów, ale wielu naukowców skłania się ku teorii hormonalnej, uważając, że skóra żab wydziela jakiś specyficzny związek. Najbardziej osobliwe jest w tym wszystkim to, że ów zestaw dwudziestu genów występuje u wszystkich kregowców.

Amanda wzięła głęboki wdech.

- Włącznie z *Ambulocetus*... czyli grendlami.

Ogden kiwnął głową.

- Pamiętaj pani, że proponowałem, aby nazwać ten nowy gatunek *Ambulocetus natans arctos*. Uznałem go za zaadaptowany do warunków arktycznych podgatunek pierwotnego walenia ziemnowodnego. Gigantyzm i depigmentacja to powszechnie znane oznaki adaptacji arktycznej. Dlaczego więc tu miałyby być inaczej? Jeżeli *Ambulocetus* uczynił z tych rejonów swoje miejsce zamieszkania - w krainie rządzonej nie prawami słońca, a cyklami zamarzania i rozmrażania - mogły się do tego przystosować wszystkie procesy organiczne.

Bratt kiwnął głową.

- Widzieliśmy na własne oczy, co się stało z tymi bestiami. Wiemy, że są do tego zdolne.

Ogden ponownie kiwnął głową i mówił dalej:

- To coś w rodzaju zawieszenia wszystkich funkcji życiowych. Wyobrażacie sobie potencjalne zastosowania tego procesu? Do dziś badacze uniwersyteccy używają żab arktycznych jako modelu przy eksperymentach dotyczących zamrażania ludzkich narządów. Dla świata byłoby to dobrodziejstwo. Wszystkie narządy można by zamrażać i przechowywać do chwili, aż byłyby potrzebne.

Matt znów popatrzył na rząd pojemników.

- A ci ludzie? Sądzi pan, że właśnie tu coś takiego robiono? Bank narządów szaleńca? Magazyn części zamiennych?

Ogden odwrócił się do niego.

- Nie, nie sędzę.

- Więc co?

- Podejrzewam, że Rosjanie próbowali tu czegoś na znacznie szerszą skalę. Jak mówiłem, zestaw dwudziestu genów kierujących zawieszaniem funkcji życiowych u żaby drzewnej można znaleźć u wszystkich gatunków kręgowców. Dotyczy to także ludzi.

Oczy Matta rozszerzyły się.

- Moim zdaniem ludzie ci byli zwierzętami laboratoryjnymi w programie badań nad zawieszaniem procesów życiowych. Rosjanie próbowali przenieść zdolność grendli do wychodzenia ze stanu zamrożenia na ludzi, poszukiwali możliwego do zastosowania sposobu zawieszania procesów życiowych. Szukali świętego Graala wszystkich nauk... - Ogden popatrzył po twarzach wokół siebie - ...nieśmiertelności.

Matt spojrział na powykęcane postacie w lodzie.

- Chce pan powiedzieć, że ci ludzie żyją?

Zanim Ogden zdążył odpowiedzieć, rozległo się walenie w drzwi do laboratorium. Było beznamienne i równocześnie zdecydowane. Wszyscy zamarli.

Po chwili usłyszeli twardy głos:

- Natychmiast otwórzcie te drzwi... jeżeli będziemy musieli otworzyć je siłą, zapłacicie nam za to.

Sposób, w jaki zostało to powiedziane, świadczył o tym, że nie jest to czcza pogróżka.

Wilk przybył do wrót ich kryjówki.

GODZINA 14.04

W POWIETRZU NAD POLARNĄ CZASZĄ LODOWĄ

Jenny walczyła z walącym w przednią szybę twin ottera wichrem. Choć wiał ze stałą siłą, nagle podmuchy z boków i nie wiadomo skąd się biorące zawirowania sprawiały, że musiała mocno trzymać drążek i ani na chwilę nie mogła odwrócić oczu od instrumentów. Przez ostatnie dziesięć minut nie odważyła się ani razu wyjrzeć na zewnątrz. Co by to zresztą dało?

Nic nie widziała, ale mimo to cały czas miała na oczach gogle. Blask południowego słońca przebijał się przez przednią szybę nawet mimo burzy i sprawiał, że najchętniej zamknęłaby oczy. Kiedy po raz ostatni spała?

Odsuwała jednak te myśli i obserwowała wskaźnik prędkości. Za wolno. Czołowy wiatr zżerał prędkość. Próbowwała ignorować wskaźnik paliwa. Wskazówka stała przy dużym czerwonym E. Paliło się żółte światelko ostrzegawcze. Pusty zbiornik. Lecieli jedynie na oparach paliwa.

- Na pewno tego chcemy? - burknął Kowalski, który jakiś czas temu zrezygnował z wzywania kogokolwiek przez radio.

- Nie widzę innej możliwości - odparła Jenny. - Nie mamy dość paliwa, aby dotrzeć do wybrzeża. Gdzieś będziemy musieli lądować. Wolę tu, gdzie mamy szansę przeżyć.

- Ile nam jeszcze zostało? - spytał Tom. Bane leżał obok niego, owinięty własnym ogonem.

- Jeżeli współrzędne, które mi podałeś, są właściwe, zostało nam jeszcze jakieś piętnaście kilometrów.

Kowalski wyrzwał przez szybę.

- Nie mogę uwierzyć, że to robimy...

Jenny udała, że nie słyszy tych słów. Już to omówili. To była ich jedyna szansa. Wykorzystywała każdą możliwość wyduszenia dodatkowych kilku kilometrów prędkości i każdą chwilę ciszy w wichrze, aby skoczyć do przodu. Im więcej lodu zbierało się na skrzydłach i przedniej szybie, tym wolniej i oporniej reagowały instrumenty samolotu. Powoli zamieniali się w latającą kostkę lodu.

Lecieli w milczeniu przez następne pięć minut. Jenny prawie nie oddychała, czekała na pierwszą przerwę w pracy silników, sygnał, że chciwe maszyny pochłonęły już resztę paliwa.

- Tam! - zawołał nagle Tom, wyrzucając między głowami Jenny i Kowalskiego rękę do przodu.

Bane uniósł łeb.

Jenny próbowała zobaczyć, co pokazuje młody podporucznik.

- Dziesięć stopni na sterburtę! Zaczekaj, aż wiatr trochę odpuści!

Jenny wciąż wpatrywała się we wskazane miejsce. Nagle, kiedy wichur dziko skręcił, dostrzegła światło.

- Jesteś pewien, że to tu? Tom skinął głową.

- Stacja Lodowa Grendel... - jęknął Kowalski. Obserwując wysokościomierz, Jenny zaczęła podchodzić do lądowania. Bez paliwa potrzebowali więcej miejsca. Nie mogli wrócić do Omegi, a lądowanie na pustkowiu oznaczało śmierć. Najbezpieczniej było tutaj, w starej stacji lodowej.

Ryzykowali, ale powinno się im udać. Rosjanie na pewno się ich nie spodziewali. Gdyby wylądowali w osłoniętym miejscu, Tom Pomautuk, który dobrze znał stację, wprowadziłby ich do środka przez jeden z szybów wentylacyjnych. Mogliby się gdzieś schować i poczekać, aż Rosjanie odejdą.

Poza tym brak paliwa nie pozostawiał im wielkiego wyboru.

Kiedy lewy silnik zakaszłał, śmigło samolotu zaczęło się luźno kręcić i w ułamku sekundy twin otter - „bliźniacza wydra” - stał się „pojedynczą wydrą”. Lecąc na jednym silniku, Jenny walczyła o utrzymanie maszyny w poziomie i równocześnie manewrowała kłapami, ale wciąż opadali.

- Trzymać się mocno! - krzyknęła.

Kowalski wbił dłonie w podłokietniki swojego fotela.

- Jasne! - odkrzyknął.

Nie było widać, gdzie zaczyna się płaszczyzna lodu. Jenny obserwowała przesuwające się na wysokościomierzu cyferki. Wiatr dał nieustannie, próbował zatrzymać samolot w powietrzu.

Jenny zagryzła dolną wargę, koncentrowała się. Chciała zapamiętać pozycję radiolatarni, której światło znowu zniknęło. W jej głowie powstała mapa, utworzona z danych instrumentów i instynktownej wiedzy.

Kiedy wskazania wysokościomierza spadły poniżej siedemdziesięciu metrów, skupiła się na zachowaniu równowagi walcząc z wiatrem o utrzymanie się w poziomie. Śnieg zgęstniał, bo do tego, który spadał z nieba, dochodził jeszcze ten który samolot podrywał z lodowego podłoża.

Jenny zamierzała opaść jak najłagodniej. Był to jedyny bezpieczny sposób wylądowania na ślepo. Równo i powoli... dopóki drugi silnik jeszcze pracuje. Patrzyła na wysokościomierz: trzydzieści metrów... dwadzieścia...

- Uwaga! - krzyknął z tyłu Tom.

Podniosła wzrok znad instrumentów. Wiatr miejscami rozdzielał zasłonę śniegu, ukazując wznoszącą się przed nimi poszarpaną lodową ścianę, zakończoną ostrymi zębami, lekko rozmywanymi przez śnieżną mgiełkę. Była nie więcej niż sto metrów przed nosem samolotu. Jenny w ułamku sekundy rozważyła możliwości samolotu. Nie miała wystarczająco dużo mocy, aby przeskoczyć górą.

Kowalski kłął, wyrzucając z siebie nieprzerwany ciąg słów. Była to jego wersja modlitwy.

Jenny zagryzła zęby i pchnęła drążek do przodu, zmuszając awionetkę do zanurkowania. Jasna cholera, spieprzę to lądowanie, pomyślała. Spadali ostatnie piętnaście metrów stromym łukiem, prosto na lodową ścianę.

Nigdzie nie było widać gruntu.

Modlitwa Kowalskiego nabrała znacznie bardziej osobistego charakteru i zakończyła słowami:

- Naprawdę... naprawdę... cię... nienawidzę...

Jenny i tym razem go zignorowała. Skupiała się na instrumentach, ufała im. Obiecywały, że lód jest tuż-tuż. Maksymalnie odchyliła klapy i samolot ostro zanurkował dziobem w dół.

Najwyraźniej było tego za wiele dla drugiego silnika, bo westchnął, zakaszłał i zdechł. Zaczęli jeszcze szybciej opadać. Za chwilę zderzą się z lodem.

- Kuuuuuuurrrrr... - zawył Kowalski, przyciskając jedną rękę do bocznej szyby, a drugą do deski rozdzielczej.

Jenny nuciła pod nosem. Siła nośna powietrza jeszcze ich podtrzymywała, choć ledwo ledwo. Wskazówka wysokościomierza opadła jeszcze trochę, po czym stanęła na zerze. W dalszym ciągu nie było widać podłoża. W tym momencie płozy dotknęły lodu, równo i płasko. Jenny podniosła klapy, żeby zahamować. Wylądowali z prędkością znacznie większą, niż lubiła.

Kiedy twin otter mknął po lodzie, boczny wiatr próbował ich przewrócić na bok, ale Jenny pracowała klapami i walczyła z maszyną, manewrując nią tak, że się nie przewracali.

- Hamuj! - krzyknął z tyłu Tom.

Torosy mknęły ku nim, a samolot prawie wcale nie stracił prędkości. Ponieważ lądowali na płozach, Jenny nie mogła użyć hydraulicznych hamulców, pozostały jej tylko klapy i tarcie. Klap mogła używać do woli, ale tarcia miała bardzo mało.

Po dziesięciu latach jeżdżenia psim zaprzęgiem dobrze wiedziała, że bez niego niewiele potrafi zdziałać.

Twin otter sunął w kierunku lodowego klifu, ku nieuniknionej katastrofie. Jenny zdawała sobie sprawę, że za chwilę straci samolot.

- To zaboli - mruknęła.

Modliła się, aby lód do samego końca pozostał gładki. Wszystko zależało od klap - no i odpowiedniej synchronizacji działań.

Patrzyła na ogromniejący klif, po czym w ostatniej chwili opuściła klapy na prawym skrzydle, w dalszym ciągu hamując przeciwnymi. Samolot zarzucił tyłem i zawirował niczym mistrz jazdy figurowej na lodzie. Jego ogon odwrócił się w stronę klifu i uderzył w niego pierwszy, pochłaniając znaczną część impetu i odrywając się od kadłuba. Potem w lodowy klif uderzyło skrzydło, zgięło się i również oderwało. Następna była kabina - uderzyła o lód bokiem, ponieważ jednak ogon i skrzydło wzięły na siebie największą część impetu, kolizja nie była silniejsza od stłuczki parkingowej.

Wszyscy byli trochę poturbowani, ale żywi.

Bane wrócił z podłogi na fotel. Nie wyglądał na zbyt zachwyconego tym eksperymentem. Jenny odwróciła się do Kowalskiego. Wyciągnął przed siebie ręce, złapał ją za oba policzki i pocałował prosto w usta.

- Już nigdy się nie kłóćmy - wysapał.

Od nasady zniszczonego skrzydła oderwał się silnik i załomotał o lód.

- Lepiej stąd wiejmy - mruknął Tom.

Zaczęli wychodzić z awionetki. Jenny na pożegnanie zabrała z szafki w kabinie twin ottera kilka drobiazgów: latarkę, dwie zapasowe kurtki i dwie pary rękawic, duży zwój liny, rakietnicę i garść rakiet sygnalizacyjnych. Popatrzyła na puste haki, na których zawsze wisiała jej służbowa strzelba, i skłęła pod nosem Sewella za to, że ją skonfiskował.

Wysiadła i rzuciła jedną z kurtek Kowalskiemu.

- Wygląda na to, że Boże Narodzenie jest w tym roku wcześniej - powiedział, wkładając kurtkę. Była nieco za mała na niego - rękawy podjeżdżały jakieś dziesięć centymetrów nad nadgarstek, ale nie narzekał.

Jenny dygotała na lodowatym wietrze, na szczęście zasłaniał ich klif, chroniąc przed najgorszymi podmuchami. Pospiesznie włożyła drugą kurtkę.

Bane podreptał wokół wraka, po czym uniósł tylną łapę i puścił żółty strumień, który zaczął parować w lodowatym powietrzu.

Kowalski przyglądał się temu przez chwilę.

- Mądry zwierzak - mruknął. - Z przyjemnością zrobiłbym to samo. Aby zapamiętać, że nie powinno się wsiadać do niczego mniejszego niż siedemset czterdzieści siedem.

- Z szacunkiem. Ten mały samolocik dał z siebie wszystko, żeby cię tu dostarczyć. - Jenny popatrzyła na wrak, czując dojmujący żal z powodu tej straty.

Tom obciągnął kurtkę.

- Dokąd teraz?

- Tam, gdzie nie będziemy mile widziani - odparł Kowalski. Wskazał na linię torosów.
- Zobaczymy, czy uda się nam wślizgnąć tylnymi drzwiami.

- Dokąd prowadzi ten ukryty szyb? - spytała Jenny.

Tom wyjaśnił budowę systemu wentylacyjnego bazy, działającego bez pomp. Szyby sięgały od powierzchni do najgłębszych poziomów stacji - a nawet jeszcze dalej. Zimne powietrze z góry, cięższe od rozgrzanego powietrza w głębi stacji, wpływało nimi w dół, wypychając zużyte cieplejsze powietrze.

- Tworzy to pasywny system cyrkulacyjny - powiedział młody podporucznik. - Świeże powietrze zatrzymuje się w systemie grot, otaczających całą stację, a potem jest ogrzewane i rozprowadzane po stacji.

- Więc szyb wentylacyjny wychodzi do tego systemu grot? - upewniła się Jenny.

Kowalski pokiwał głową.

- Kiedy się tam dostaniemy, powinniśmy być bezpieczni.

Tom potwierdził i dodał:

- Nazywamy to miejsce Zapleczem.

GODZINA 14.13

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt uciekał razem ze wszystkimi łukowatym korytarzem, biegnącym dookoła poziomu badawczego. Mijali kolejne makabryczne pojemniki, stojące po ich prawej stronie. Matt uświadomił sobie, że je liczy. Był przy dwudziestym drugim.

Zmusił się do zatrzymania. Pojemniki znikwały za zakrętem, musiało być ich przynajmniej pięćdziesiąt. Odwrócił się do przeciwległej ściany, zrobionej ze stalowych płyt.

Było w niej kilka okien i zamkniętych na glucho drzwi oraz parę otwartych włazów. Zajrzał do jednego z nich i ujrzał korytarzyk z okratowanymi celami.

Musieli tutaj trzymać więźniów, pomyślał. Mógł sobie jedynie wyobrażać przerażenie więzionych tu ludzi. Czy zdawali sobie sprawę z tego, jaki los ich czeka?

Za Mattem dreptał doktor Ogden, Amanda szła z przodu. Biolog co jakiś czas zatrzymywał się, przecierał rękawem przednią szybę któregoś z pojemników, zaglądał do środka i coś pomrukiwał.

Matt pokręcił głową. Miał za słaby żołądek, aby chcieć zaspokajać ciekawość. Pragnął tylko się stąd wydostać i wrócić do ostępów Alaski, gdzie jedyną rzeczą, jakiej należało się bać, był głodny grizzly.

Zza ich pleców doleciał głośny łomot. Rosjanie włamywali się do laboratorium. Po wypowiedzianym lodowatym głosem ostrzeżenia Amerykanie natychmiast uciekli, kierując się w głąb laboratorium.

- Zostało chyba jeszcze jakieś dziesięć metrów - powiedział.

Ścisnął w dłoni plany stacji, a Craig co chwila zaglądał mu przez ramię. Dostarczył je materiałoznawca z NASA, który sporządził schemat całego obiektu. Matt miał nadzieję, że znał go naprawdę dobrze.

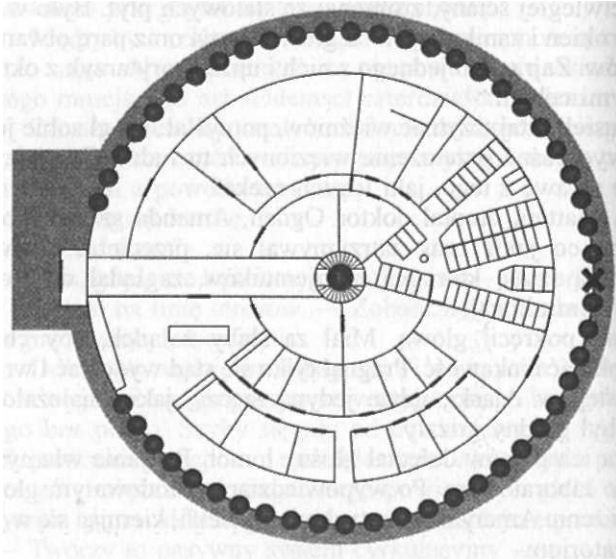
Nagle usłyszeli krzyk Greera, znajdującego się kilka metrów przed nimi.

- Tutaj!

Kapitan klęczał na jednym kolanie. Między dwoma zbiornikami był właz. Wychodziły z niego rury i przewody, które rozdzielały się na dwie strony, biegnąc po podłodze i pod sufitem.

Pearlson wskazał na umieszczony nad włazem rysunek, przedstawiający plan piętra, i dźgnął palcem zaznaczony na nim czerwony krzyżyk.

Matt przyjrzał się schematowi, po czym rozejrzał się. Znajdowali się w połowie długości korytarza z pojemnikami, w połowie drogi wokół piętra.



Pearlson i Greer zaczęli odkręcać właz za pomocą skalpeli. [Wszyscy](#) uzbrojeni byli w „broń”, w którą zaopatrzyli się przed ucieczką z laboratorium: skalpele, piły do cięcia kości, stalowe młotki, a Washburn trzymała w rękach haki do mięsa. Matt wolał nie zastanawiać się, do czego mogły służyć te wszystkie narzędzia. Sam uzbroił się w długi kawał stalowej rury.

Czekając, aż marynarze otworzą właz, obserwował swoich towarzyszy. Zamienili się w myśliwych z epoki kamiennej, uzbrojonych w... fabrycznie wykonane narzędzia chirurgiczne. Był to przedziwny widok.

Ogden znowu przecierał rękawem szybkę jednego z pojemników. Pisk pocieranej o szkło wełny przyciągnął uwagę Matta. Musiał się powstrzymać, aby nie walnąć naukowca rurą. Miał ochotę wrzasnąć: „Zostaw ich w spokoju!”.

Jakby czytając w jego myślach, doktor popatrzył na niego i mrużąc oczy, mruknął:

- To wszystko rdzenni mieszkańcy... - Miał lekko schrypnięty głos. - Wszystko.

Matt wreszcie zauważył, jak bardzo biolog jest spięty, jak niewiele brakuje, aby się załamał - próbował panować nad sobą, dając zajęcie umysłowi.

Podszedł do niego.

- Rdzenni...?

- Innuici. Aleuci. Eskimosi. Może pan sobie wybrać, jak pan chce ich nazywać. - Ogden zakreślił łuk dłonią, jakby chciał objąć tym gestem wszystkie pojemniki. - Wszyscy są niemal tacy sami. Może nawet pochodzą z jednego plemienia.

Matt podszedł do pojemnika, którego szybkę naukowiec przed chwilą przetarł. Z początku wydał mu się pusty. Spojrzał w dół.

Na dnie pojemnika siedział zamrożony mały chłopiec.

Biolog miał rację. Czarne włosy, migdałowe oczy, wysokie kości policzkowe, nawet kolor skóry - choć teraz podbiegłej fioletem - wszystko to dowodziło, że dzieciak był Inuitą.

Z ludu Jenny.

Matt opadł na kolano.

Oczy chłopca były zamknięte, jakby spał, ale unosił małe rączki, przyciskając je do ścian swojego lodowego więzienia. Matt położył dłoń na szkle, dokładnie na jednej z dłoni malca. Co za potwory mogły zrobić coś takiego dziecku. Chłopiec nie mógł mieć więcej niż osiem lat.

Ciało Matta przeszła błyskawica przypomnienia.

Był w tym samym wieku co Tyler, gdy zginął.

Matt wpatrywał się w nieruchomą twarz, a do jego umysłu wdarło się kolejne wspomnienie: obraz Tylera, leżącego na sosnowym stole w ich chacie. Jego syn też umarł w lodzie. Jego wargi też były fioletowe, a oczy zamknięte.

Ból tamtej chwili dźgał jak nóż. Jak dobrze, że nie ma tu Jenny i nie musi tego oglądać... Miał nadzieję, że jest bezpieczna, ale nie powinna tego nigdy zobaczyć...

- Przepraszam was... - szepnął, kierując te słowa do obu chłopców. W jego oczach zebrały się łzy.

Jakaś dłoń dotknęła jego barku. Amanda.

- Powiadomimy świat o tym - powiedziała niezbyt wyraźnie; smutek źle wpływał na jej artykulację. - Jak mogło do czegoś takiego... był tylko dzieckiem...

Matt nie odwracał twarzy od szybki w pojemniku, cały czas przyciskając palce do szkła.

Stojący po jego drugiej stronie Ogden pochylał się nad panelem z przyciskami i dźwigniami, wodząc palcem po napisach.

- Dziwne... - mruknął.

- Co? - zapytał Matt.

Biolog chwycił niewielką dźwignię i choć stawiała lekki opór, przesunął ją w dół. W cichym korytarzu rozległ się wyraźnie słyszalny trzask, a przyciski na panelu zamigotały. Gdzieś zaskoczył silnik, zakaszłał, po czym zaczął równomiernie pomrukiwać. Szkło wizjera w pojemniku zadrżało.

- Co pan wyprawia?! - krzyknął z nagłą wściekłością Matt.

Ogden cofnął się o krok i popatrzył na Matta i Amandę.

- Jezu, to działa... nigdy bym nie pomyślał...

Od strony drzwi wejściowych doleciało echo gwałtownego łoskotu.

- Rosjanie! - zawołał Bratt. - Przebili się!

- My też - wysapał Greer, krzywiąc się z wysiłku. - Prawie.

Pearlson walczył z ostatnią śrubą.

Craig stał za ich plecami, rzucając niespokojne spojrzenia na koniec korytarza. Przyciskał do piersi trzydziestocentymetrowy przecinak do kości.

- Szybciej... - syknął.

Od wejścia dolatywały krzyki, ale stawiane na stalowych płytach kroki były bardzo ostrożne.

- Mam! - wysapał po chwili Greer. Razem z Pearlsonem podnieśli właz.

- Wynosimy się stąd! - wrzasnął Bratt.

Pierwszy zanurkował do włazu Craig, który stał najbliżej. Za nim podążyli następni.

Matt ukląkł obok zamrożonego chłopca. Poczul się nagle słaby i zmęczony. Dłoń, którą przyciskał do szkła, bolała od zimna panującego w środku pojemnika. Czul drzenie szkła, wywołane przez ukrytą maszynę.

- Matt, pospiesz się - ponagliła go Amanda.

Ostami raz popatrzył na chłopca. Miał wrażenie, że go porzuca. Jeszcze przez chwilę potrzymał palce na szkle, po czym się odwrócił.

Greer pomógł Amandzie precyzyjnie się przez właz i machnął na Matta.

Matt wślizgnął się do dziury.

W środku czekała Washburn. Jednym z haków do mięsa, z którymi wyglądała jak amazońska piratka, wskazała w głąb niskiego korytarza.

Matt na czworakach ruszył za Amandą. Stalową rurę, w którą był uzbrojony, trzymał pod pachą. Prowadził Bratt, tuż za nim szli Craig i biolodzy. Matt spieszył się, aby zrobić za sobą miejsce dla Pearlsona, Greera i Washburn.

Tunel biegł do góry pod ostrym kątem i właściwie można było nazwać go szybem. Aby ułatwić wspinanie się, wyłożono go gumowymi matami. Wzdłuż obu ścian biegły przewody.

Po pięciu metrach nagle zrobiło się ciemno. Matt spojrzął za siebie i zobaczył, że Greer zamknął właz. Może pozwoli im to uciec albo przynajmniej sprawi, że trasa ich ucieczki zostanie odkryta trochę później. Poziom czwarty był duży i podzielony na wiele

części. Szukając ich, Rosjanie tracą nieco czasu i może przez kilka minut nie zauważą odkręconych śrub wjazdu.

Było jednak ciemno i znacznie zimniej.

Szyb dochodził do jakiegoś starego pomieszczenia technicznego znajdującego się w lodowym sześcianie. Było tu kilka starych mebli, zwoje przewodów i miedzianego drutu, sterty zapasowych metalowych płyt, jakaś gruba gumowa rura i skrzynia z narzędziami.

Rząd wbitych w lód drewnianych szczebli prowadził do znajdującego się o sześć metrów wyżej kolejnego szybu.

Bratt popatrzył na swoją mapę i powiedział cicho:

- Tędy można się pewnie dostać do poziomu trzeciego. Wszystkie te szyby prowadzą w górę, każdy następny na kolejny poziom.

Washburn również spojrzała na mapę.

- Powinniśmy dotrzeć do starej zbrojowni na poziomie trzecim. To główna część stacji, ale jeżeli uwaga Rosjan byłaby przez jakiś czas odwrócona, mała grupa mogłaby się tam przekraść.

Bratt skinął głową.

- Na górę! - rozkazał.

Aby mieć wolne ręce, schowali narzędzia chirurgiczne w kieszeniach, po czym zaczęli się wspinać w takiej samej kolejności, w jakiej dotychczas uciekali. Matt szedł za Amandą. Wkrótce dotarł na górę i wciągnął się do następnego szybu serwisowego.

Nagle za jego plecami rozległ się krzyk. Dolatywał z tunelu, którym właśnie uciekli z poziomu czwartego.

- Cholera... - zaklął Greer.

A więc Rosjanie już znaleźli ich króliczą norę.

Usłyszeli strzał. Pocisk zrykoszetował od ścian szybu i wpadł do pomieszczenia serwisowego, uderzając w lód o parę centymetrów od nóg wspinającej się Washburn.

Matt sięgnął w dół i podciągnął ją. Zwinna jak kot czarna pani kapitan prześlizgnęła się obok niego.

- Powiedz pozostałym, żeby się pospieszyli - powiedziała.

Nie trzeba było jednak nikogo poganiać. W chwili strzału wszyscy zamarli, ale teraz poruszali się bardzo żwawo, prowadzeni przez Bratta.

Dotarło do nich echo kolejnych odgłosów: mamrotanie rozkazów po rosyjsku. Trudno było rozróżnić słowa, ale choć Mattowi jeszcze dzwoniło w uszach, nie podobało mu się ich brzmienie. Spojrzał w dół.

- Dawać dupska w górę! - syknął do dwóch ostatnich ludzi z grupy, którzy przyciskali się do ścian szybu, obawiając się kolejnych strzałów.

Greer pierwszy wszedł na drabinę i śmignął w górę jak małpa - Pearlson następował mu na pięty, niemal wspinał się po jego nogach.

Matt złapał Greera za kaptur i pociągnął go w górę, po czym pchnął w kierunku reszty grupy.

Pearlson zdążył już położyć jedną rękę na krawędzi. Kiedy Matt odwrócił się, aby mu pomóc, nad jego ramieniem dostrzegł czarny przedmiot, wpadający do pomieszczenia w dół.

Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Przedmiot przypominał matowoczarny ananas.

Pearlson musiał dostrzec wyraz jego oczu.

- Co... - zaczął i spojrzał przez ramię w dół. Ciemny przedmiot przez chwilę tańczył po lodzie, a potem uderzył w ścianę tuż pod najniższym stopniem drabiny.

- Cholera! - wymamrotał Pearlson. Matt wyciągnął rękę i złapał go za kaptur.

Pearlson odtrącił jego rękę i skoczył w górę, zasłaniając wylot szybu swoim ciałem.

- Wiejcie! - wrzasnął.

Kiedy granat eksplodował, impet wybuchu odrzucił Matta do tyłu. Oślepił go błysk eksplozji, a na twarzy i szyi poczuł falę gorąca. Musiał krzyczeć, ale nie słyszał tego.

Błysk natychmiast zgasł, gorąco jednak nie zniknęło - przeciwnie, zaczęło robić się coraz silniejsze.

Gdy Matt odzyskał zdolność widzenia, zrozumiał dlaczego.

Pearlson w dalszym ciągu blokował wylot szybu, ale jego ubranie się paliło. Nie tylko ubranie - paliło się całe jego ciało.

Nie użyto normalnego granatu, lecz granatu zapalającego, eksplodującego płynnym ogniem.

Kiedy lód od strony Matta się stopił, ciało Pearlsona spadło w dół. Gumowa mata zaczęła pokrywać się bąblami, więc Matt, odpychając się stopami i dłońmi, odsunął się kilka metrów do tyłu. Miał wrażenie, jakby twarz i szyję spaliło mu słońce.

Gdyby Pearlson nie zasłonił sobą wylotu szybu, wszyscy by się ugotowali. Gorąco było tak intensywne, jakby siedziało się przed otwartym piecem. Lód wokół Matta się rozpuszczał, ze ścian spływały strużki wody.

Rosjanie musieli zdawać sobie sprawę, że w plątaninie tuneli serwisowych i korytarzyków zwierzyna może im umknąć. Ich atak był brutalny i szybki. Granat miał albo zabić przeciwnika, albo wypłoszyć go z kryjówek.

Ktoś położył Mattowi dłoń na ramieniu.

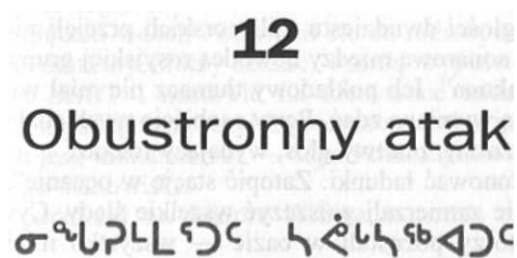
Greer. Kapitan patrzył w wytopioną dziurę.

- Ruszajmy się.

Mattowi dudniło w uszach. Prawie nie słyszał, co do niego powiedziano, ale skinął głową. Popęzli za resztą grupy.

Dokąd mogli jeszcze uciec? Wszędzie czyhała śmierć. Nie wiadomo było tylko jeszcze, w jaki sposób zejść z tego świata. Matt popatrzył przed siebie, a potem do tyłu.

Lód albo ogień.



9 KWIETNIA, GODZINA 14.15

USS „POLAR SENTINEL”

Wszyscy czekali na rozkazy komandora Perry'ego. „Polar Sentinel” unosił się na głębokości peryskopowej pod powierzchnią otwartej wody między dwoma wielkimi płatami kry. Kilka metrów wyżej wiał wicher o prędkości ponad stu kilometrów na godzinę, tutaj jednak panowała śmiertelna cisza.

Perry odwrócił się do radiooperatora, piegowatego bosmana, bladego jak kartki papieru, które trzymał w dłoniach.

- I nie można się spodziewać kontaktu satelitarnego? - spytał.

Dwudziestodwuletni radiooperator przełknął ślinę, wytrzymał jednak spojrzenia otaczających go ludzi.

- Nie, komandorze. Burza magnetyczna jest jeszcze silniejsza niż wicher na górze. Próbowałem już każdej sztuczki, jaka mi przyszła do głowy.

Perry kiwnął głową. W dalszym ciągu byli pozostawieni sami sobie. Nie można było dłużej zwlekać. Pół godziny wcześniej radiooperator niemal wbiegł na mostek i zameldował o przejęciu rosyjskiej wiadomości, przekazanej za pomocą UQC. Podwodne telefony, choć wykorzystywane do przeprowadzania rozmów na krótkie odległości, nie zapewniają prywatności, zwłaszcza jeżeli sygnały wyłapuje taka jednostka jak »Sentinel». Mały okręt był nie tylko szybki i cichy, ale miał też najlepsze „uszy” ze wszystkich istniejących na świecie jedno stek morskich.

Z odległości dwudziestu mil morskich przejęli niewyraźną rozmowę sonarową między dowódcą rosyjskiej grupy i kapitanem „Drakona”. Ich pokładowy tłumacz nie miał wiele pracy z tą krótką wymianą zdań. Perry osobiście wysłuchał nagrania Usłyszał zimny, martwy głos, wydający rozkaz:

„...zdetonować ładunki. Zatopić stację w oceanie”.

Rosjanie zamierzali zniszczyć wszelkie ślady. Cywile, żołnierze, którzy pozostali w bazie - wszystko miało zostać zmiecione z czaszy lodowej.

Słyszając to, Perry natychmiast kazał znaleźć miejsce, gdzie dałoby się wystawić antenę. Choć było wątpliwe, aby ktokolwiek zdążył zareagować, musieli wysłać SOS.

Ale nawet ta mizerna próba się nie udała. Piętnaście minut temu wynurzyli się w maleńkiej płoni, po obu stronach której wznosiły się wysokie zasy śniegu. Trzeba było wysunąć antenę prosto w wicher i wysiłki radiooperatora nic nie dały. Nawiązanie komunikacji okazało się niemożliwe.

Z grupy wystąpił doktor Willig. Szwedzki oceanograf stał się w naturalny sposób rzecznikiem obecnych na pokładzie cywilów.

- Są tam nasi koledzy, przyjaciele, członkowie rodzin... Ale rozumiemy ryzyko.

Perry przyglądał się otaczającym go twarzom. Jego ludzie, każdy na swoim posterunku, mieli tak samo zdeterminowane miny. Odwrócił się i wszedł na stopień schodków, prowadzących do stanowiska peryskopowego. Potrzebował chwili, aby określić własną motywację. Gdzieś tam była również Amanda... W jakim stopniu na jego decyzję wpłyną uczucia, które wobec niej żywił? Ile był gotów zaryzykować: życie załogi i znajdujących się pod jego opieką cywilów, okręt?

Widział, jak bardzo wszyscy są zdesperowani, ale w ostatecznym rozrachunku odpowiedzialność ponosił tylko on. Mógł kontynuować ucieczkę w kierunku wybrzeża Alaski

albo wrócić do Omegi i zrobić, co w jego mocy, aby ratować znajdujących się tam jeszcze ludzi.

Czym jednak „Sentinel” mógł się przeciwstawić większemu, w pełni uzbrojonemu rosyjskiemu myśliwemu-zabójcy? Dysponowali tylko trzema rodzajami broni: prędkością, niewidzialnością i przebiegłością. Wziął głęboki wdech i odwrócił się do radiooperatora. Nie możemy dłużej czekać. Proszę wypuścić w wodę nad nami SLOT i nastawić na nieustanne nadawanie do NAVSAT, z podłączoną rosyjską rozmową, którą przejęliśmy.

- Tak jest, komandorze! - odparł radiooperator i pobiegł do swojego stanowiska.

Perry popatrzył na doktora Williga, a potem na swojego zastępcę.

- Zanurzenie dwadzieścia pięć metrów, kąt opadania trzydzieści stopni - rozkazał.

Wszyscy wstrzymywali oddech, czekali na decyzję. Dokąd popłyną - do przodu czy z powrotem? Następne słowa komandora rozwiały te wątpliwości:

- Ustawić okręt na supercicho.

GODZINA 14.35

NA POKŁADZIE „DRAKONA”

Kapitan Mikowski stał nad sternikiem i poziomowym, którzy wprowadzali okręt do płoni. Oficer zanurzeniowy, Gregor Janowicz, obserwował głębokościomierz.

Wszystko było pod kontrolą.

Gregor odwrócił się do kapitana. W jego oczach tlił się niepokój. Był pierwszym oficerem na statku dowodzonym przez Mikowskiego mniej więcej od roku i rozpoznawali swoje nastroje, wyczuwali nawet myśli. Mikowski widział teraz w jego oczach pytanie: „Naprawdę zamierzamy coś takiego zrobić?”.

Westchnął ciężko. Mieli wyraźne rozkazy. Po ucieczce więźniów stacja dryfująca przestała być aktywem i stała się dla ich misji elementem ryzyka.

- Wszystkie zawory zamknięte! - zawołał pierwszy oficer, patrząc na swojego kapitana. - Gotowi do wynurzenia.

- Wynurzenie! - rozkazał Mikowski. - Równy i spokojnie.

Zadyszały pompy i „Drakon” wynurzył się szybko i gładko. Wzdłuż kadłuba odbijały się echem raporty. Wszystko w porządku.

- Otworzyć właz! - polecił Mikowski.

Gregor gestem ręki przekazał jego rozkaz marynarzowi stojącemu przy zamkach włazu. Kiedy go otwierano, do kapitana podszedł pierwszy oficer.

- Oddział gotów do zejścia na ląd - powiedział sztywno. - Rozkazy?

Mikowski popatrzył na zegarek.

- Zabezpieczyć więźniów. Sprawdzić dwukrotnie, czy zapalniki są odpowiednio rozmieszczone. Za piętnaście minut chcę mieć wszystkich naszych ludzi na pokładzie. Kiedy ostatni z nich wejdzie na pokład, natychmiast zalewamy zbiorniki i schodzimy w głąb.

Gregor Janowicz stał bez ruchu, nie patrzył jednak na Mikowskiego, ale w daleką przestrzeń. Może gdzieś tam można było zrozumieć i wybaczyć to, co właśnie zamierzali zrobić. Nikt nie potrafi jednak sięgać wzrokiem tak daleko.

Mikowski wydał ostatni rozkaz:

- Kiedy pokład zostanie zalany, zdetonować zapalniki. Po stacji dryfującej ma nie zostać nawet śladu.

GODZINA 14.50

STACJA LODOWA GRENDEL

Gdy Jenny wspinała się na następne lodowe zbocze, ze straszliwym trudem walcząc o każdy centymetr, była szczęśliwa, że ojciec został w Omedze. Przynajmniej nie musiał przeżywać tego co ona. Rękawice miała pocięte ostrym jak noże lodem, bolały ją palce, a łydki paliły. Reszta ciała była przemarznięta do szpiku kości.

Z przypominającym jęk westchnieniem wciągnęła się na grań.

Kowalski, który siedział już na niej okrakiem, podciągnął ją i we dwoje zsunęli się na tyłkach i dłoniach na drugą stronę.

- Jesteś cała? - spytał, pomagając jej wstać.

Kiwnęła głową i biorąc głębokie hausty zimnego powietrza, czekała, aż dołączą do nich Bane i podporucznik Pomautuk.

Pies nie chciał przepelznąć na drugą stronę i Tom musiał go ciągnąć za uprząż. Potem wspólnie sturlali się w dół.

- Ile jeszcze? - spytała Jenny. Tom popatrzył na zegarek z kompasem. Wyciągnął do przodu rękę.

- Jakieś sto metrów.

Jenny wbiła wzrok w miejsce, które wskazywał. Wydawało się nie do przebycia. Minęła godzina, a oni ledwie pokonali zewnętrzny skraj otaczających podziemną stację wysokich jak góry torosów. Przed nimi rozciągał się pofałdowany, spękany, wypiętrzony i

rozbity na pojedyncze fragmenty teren. Pokonanie go przypominało próbę sforsowania góry szkła.

Nie mieli jednak wyboru.

Ruszyli dalej. Nad ich głowami szalał wicher, jego łomot przypominał odgłosy rozbijania się potężnych fal o kamienny brzeg. Śnieg wirował, tworząc spirale i wstęgi.

Jenny w dalszym ciągu wykorzystywała plecy Kowalskiego jako parawan. Wielki marynarz przypominał glinianego golema, maszerującego z uporem przez śnieg i zawieję. Koncentrowała się na jego ramionach i plecach, starając się powtarzać każdy jego krok.

Nagle Kowalski się pochylił, opadł na kolano i wyrzucił ręce w bok, po czym się przewrócił.

- Jebane! - wrzasnął.

Przebił jedną nogą warstwę cienkiego lodu, zakrywającego niewielkie jeziorko, i zanim zdążył się złapać jego brzegów, był w wodzie po uda. Odtoczył się na bok i zaczął wyciągać nogę z pułapki, wyrzucając z siebie litanie przekleństw.

- Kurwa mać! Wygląda na to, że nie mogę przestać wpadać do wody!

Mimo buńczuczności tych słów Jenny dostrzegła w jego oczach błysk strachu. Razem z Tomem pomogli mu wstać.

- Idź dalej - powiedziała. - Ruch i ciepło ciała powinny cię uchronić od zamarznięcia.

Strząsnął z siebie ich ręce.

- Gdzie ten pieprzony szyb wentylacyjny?

- Niedaleko - odparł Tom.

Od tego miejsca on prowadził, a Bane truchtał tuż przy jego nodze. Kowalski szedł kawałek za nimi, pomrukując przez cały czas pod nosem.

Jenny, idąca tuż za nim, usłyszała nagle za plecami cichy chłupot. Spojrzała za siebie i ujrzała unoszące się i opadające kawałki kry, poruszane od dołu wodą. To tylko prądy, pomyślała i podążyła za prowadzącą dwójką.

Po pięciu minutach, kiedy obeszli kolejny lodowy wierzchołek, znaleźli się przed zagradzającym im drogę potężnym szczytem.

- Jesteśmy na zewnętrznym obrzeżu zatopionej lodowej wyspy - powiedział Tom.

Jenny spojrzała pod nogi. Trudno było uwierzyć, że idą po górze lodowej, sięgającej półtora kilometra w głąb.

- Gdzie ten szyb wentylacyjny? - spytał Kowalski, szcękając zębami.

- Tam. - Tom wskazał na czarny otwór u podstawy góry. Miał zbyt równe brzegi, aby mógł być naturalnego pochodzenia. Jego boki miały mniej więcej metr długości i kiedyś zamykała go mosiężna krata, teraz jednak była wyłamana i odrzucona na bok.

Niedźwiedzie polarne, szukające miejsca na legowisko, pomyślała Jenny.

Tom podszedł do otworu i opadł na kolana i dłonie.

- Musimy uważać, bo tunel jest dość stromy. Czterdzieści pięć stopni. Dla bezpieczeństwa powinniśmy powiązać się liną.

Jenny wyjęła z kieszeni latarkę i podała ją podporucznikowi. Zapalił ją i poświecił w dół.

- Wygląda na to, że jakieś dziesięć metrów dalej skręca ostro w prawo - powiedział i ściągnął z ramienia zwój liny. - Zupełnie jak wejście do naszych śnieżnych domów.

Jenny zajrzała w głąb tunelu. U Inuitów jeden albo dwa ostre zakręty korytarza prowadzącego do wnętrza „igloo” zapobiegały wpadaniu do środka wiatru ze śniegiem.

- Pieprzyć to! Włóżmy tam jak najszybciej! - burknął dygoczący z zimna Kowalski.

Kiedy Jenny się prostowała, nagle zjeżyły jej się włoski na karku. Pełniąc funkcję szeryfa, musiała w sobie wytworzyć jakiś siódmy zmysł, ostrzegający ją przed niebezpieczeństwem. Nie byli sami. Odwróciła się gwałtownie.

- Co... - zaczął zaskoczony marynarz.

Zza lodowego wierzchołka coś wyskoczyło. Było potężne, miało podłużny łeb i czarne ślepia. Wbijało pazury w lód, unosząc pysk i węsząc.

Jenny zamarła. Co to, do cholery?

Bane skoczył do przodu i warknął ostrzegawczo. Przygarbił się, futro na karku stanęło mu dęba, nisko opuścił głowę.

Stwór przykucnął. Jego wargi cofnęły się, ukazując potężne śnieżnobiałe kły.

Jenny więcej nie było trzeba. Każdy, kto tak jak ona dorastał na Alasce, doskonale wiedział, że jeżeli coś ma wielkie zęby, będzie próbowało człowieka zjeść.

- Do środka! - krzyknęła i złapała Bane'a za kark. - Już!

Tom umiał szybko reagować na rozkazy. Natychmiast zanurkował na brzuchu do szybu i pomknął po śliskim lodzie.

Jenny zaczęła się cofać, ciągnąc za sobą opierającego się Bane'a.

Kowalski machnął ręką, aby wchodzili. Kiedy się odwracała, musiała puścić psa. Bane odbiegł kilka kroków od niej i znów zaczął warczeć.

- Zostaw go! - wrzasnął Kowalski, wpychając ją do szybu. Wsunął się do środka tuż za nią, nie pozostawiając jej wyboru.

Ruszyła stromym kanałem w dół.

- Bane! - zawołała jeszcze. - Noga!

Spojrzała przez ramię, ale Kowalski zasłaniał jej widoczność. Kiedy zbliżali się do zakrętu tunelu, tempo ich ucieczki wyraźnie spadło.

- Pełnij! Szybko! - popędził ją marynarz. Szyb za nimi pociemniał nagle.

- Cholera! Goni nas!

Na zakręcie Jenny spojrzała w tył. Ścigający ich stwór schodził za nimi szybem, zsuwał się bardzo szybko wężowatymi mchami, wykorzystując smukłość swojego ciała.

Bane pędził dwa kroki przed bestią.

- Tempo! - wrzeszczał Kowalski, próbując przepchnąć Jenny przez zakręt.

Ona jednak opierała się i grzebała nerwowo w kieszeniach kurtki. Po chwili wyrwała raketnicę.

- Na ziemię! - krzyknęła i wycelowała w górę szybu.

Wielki marynarz padł płasko na lód.

Jenny wycelowała ponad łbem psa i strzeliła. Kiedy pocisk przemknął Bane'owi tuż obok ucha, głośno pisnął. Flara trafiła goniącą ich bestię prosto w pysk.

Buchnął jaskrawy ogień, stwór ryknął i zaczął walić się łapami po pysku.

Gdy Bane doskoczył do Jenny, ślizgając się, popęzła za podporucznikiem z latarką.

Dopóki nie skręciła za róg, Kowalski pilnował tyłów.

- Wygląda na to, że się wycofuje - powiedział. - Pewnie uznał, że jak na jego gust jesteś zbyt ostra.

Tunel robił się coraz bardziej stromy i wkrótce ześlizgiwali się głowami w dół. Jenny starała się hamować butami i rękami, ale ściany były zbyt śliskie.

Po niespełna minucie doleciał do nich głos Toma:

- Jestem na końcu! To już niedaleko!

Po chwili światło pojaśniało i Jenny wypadła z szybu w szeroki tunel. Kowalski wylądował niemal na niej, ostatni był Bane. Jenny odtoczyła się na bok, wstała i zaczęła rozcierać dłonie, żeby je ogrzać. Rozejrzała się wokół. Jak głęboko dotarli?

Tom stał pod ścianą. Palcem dotykał namalowanego na lodzie zielonego rombu.

- Chyba wiem, gdzie jesteśmy, ale... - Skierował latarkę w dół.

Ktoś spryskał podłogę czerwoną farbą.

Bane, cały czas najeżony, powąchał farbę.

Jenny wyprostowała się. To nie była farba, ale krew.

Świeża krew.

Kowalski pokręcił głową.

- Nie powinniśmy byli opuszczać tej pieprzonej stacji dryfującej...

Nikt nie zaprzeczył.

GODZINA 14.53

NA ZEWNĄTRZ STACJI DRYFUJĄCEJ OMEGA

Sierżant sztabowy Ted Kanter leżał w zaspie śniegu, ubrany w biały kombinezon szturmowy, i obserwował amerykańską stację badawczą przez lornetkę z podczerwienią. Piętnaście minut temu widział wynurzenie rosyjskiego okrętu podwodnego, który pojawił się pośrodku burzowych podmuchów.

Znajdował się sto metrów od stacji, a jego jedynym środkiem kontaktu ze światem zewnętrznym były akustyczne słuchawki General Dynamie, sprzężone z laryngofonem. Przed chwilą złożył raport i kontynuował obserwację.

Miał rozkaz zachować czujność, ale nie ruszać się.

Od chwili ich przybycia rozkaz się nie zmienił.

W odległości nieco ponad pięciuset metrów w dwóch białych namiotach biwakowała reszta grupy szturmowej oddziału Delta Force - z wyjątkiem partnera Teda, który leżał dwa metry od niego w zaspie. Sześcioosobowa grupa zajmowała to stanowisko od szesnastu godzin - dostarczona na miejsce i zrzucona na spadochronach pod osłoną nocy.

Dowódca oddziału, starszy sierżant sztabowy Wilson, Delta Jeden, znajdował się wraz z resztą oddziału w punkcie ataku Alfa, odległym o pięć kilometrów. Ich dwa helikoptery, ukryte pod kamuflażem arktycznym, czekały do chwili, aż zostanie wydany rozkaz wkroczenia do akcji.

Grupa Kantera z bezpośredniej odległości widziała przybycie rosyjskiego okrętu podwodnego. Potem Rosjanie weszli do stacji i opanowali ją. Amerykańscy żołnierze patrzyli, jak giną ludzie - ktoś został zastrzelony czterdzieści metrów od ich stanowiska, nie mogli jednak zareagować. Rozkazy były jasne: czuwać, obserwować, rejestrować.

Nie działać. Jeszcze nie teraz.

Kontroler operacji zezwolił na wkroczenie do akcji dopiero po otrzymaniu kodu ataku. Przedtem należało załatwić kilka innych spraw politycznej i strategicznej natury. Poza tym należało znaleźć i zabezpieczyć cel misji, któremu nadano kryptonim „Piłka”. Dopiero wtedy mogli ruszać. Do tej chwili Kanter miał jedynie obserwować poczynania przeciwnika.

Piętnaście minut temu widział, jak Rosjanie opuszczają okręt. Musiał wiedzieć, jakie są siły Rosjan, policzył więc ludzi wchodzących w skład oddziału schodzącego na ląd, po czym dodał tę liczbę do żołnierzy znajdujących się już w obiekcie.

Rosjanie zaczęli wracać. Kanter patrzył przez lornetkę i od poprzedniej liczby odliczał każdego znikającego we włazie okrętu podwodnego żołnierza. Jego wargi zacisnęły się.

Sprawa była oczywista. Przycisnął klawisz nadajnika.

- Delta Jeden, odbiór. Odpowiedź była natychmiastowa:

- Delta Cztery, raportuj.

- Moim zdaniem Rosjanie opróżniają stację - powiedział Kanter, nie przerywając liczenia. Do ogólnej sumy nieprzyjacielskich żołnierzy musiał teraz jeszcze dodać Rosjan, którzy przeszli przez grań pobliskiego torosu i kierowali się do czekającego na nich okrętu.

- Rozumiem. Delta Cztery, mamy nowe rozkazy. Kanter zeszytniał.

- Kontroler aktywował kod ataku. Przygotować ludzi do rozpoczęcia akcji na mój rozkaz.

- Zrozumiałem, Delta Jeden - odparł Kanter i odcoczył się ze swojej kryjówki w bok.

Zaczynała się prawdziwa bitwa.

GODZINA 14.54

USS „POLAR SENTINEL”

Perry chodził po mostku pędzącego pod lodem okrętu. Wszyscy milczeli. Załoga zdawała sobie sprawę z wagi akcji i związanego z nią ryzyka. Plan był niemal niemożliwy do realizacji. Perry wiedział, że nawet gdyby im się udało, może go to kosztować belki kapitańskie. Nie dbał o to. Umiał odróżnić zło od dobra, ślepe wypełnianie rozkazów od osobistej odpowiedzialności. Ale czy potrafi odróżnić odwagę od głupoty?

Od początku wyprawy do Omegi wiele razy był bliski odwołania „Polar Sentinel”, nakazania powrotu do bezpiecznych wybrzeży Alaski. Nie zrobił tego, lecz w miarę zmniejszania się odległości do ich miejsca przeznaczenia coraz częściej nachodziły go wątpliwości. Zastanawiał się, czy dawni kapitanowie też przeżywali podobne rozterki. Jeszcze nigdy nie czuł się tak mało przygotowany do dowodzenia okrętem.

Nikt go jednak nie mógł zastąpić.

- Komandorze - szepnął do niego dowódca wachty, polar Sentinel” był dźwiękoszczelny, ale zawsze istniało ryzyko, że unoszący się niedaleko w wodzie okręt wroga może ich usłyszeć, i nikt nie miał odwagi mówić głośno. - pozycja przeciwnika potwierdzona. „Drakon” wynurzył się przy Omedze.

Perry sprawdził odległość. Zostało im jeszcze pięć mil morskich do Omegi.

- Kiedy to się stało?

Dowódca wachty pokręcił głową. Ponieważ nie mogli włączać aktywnego trybu sonaru, dokładne dane dotyczące „Drakona” nie były znane. Najważniejsze, że go znaleźli, niestety, mieli ograniczone pole działania. Rosjanie prawdopodobnie właśnie ewakuowali stację, a z przechwyconej rozmowy wynikało, że kiedy „Drakon” się zanurzy, jego kapitan zdetonuje ładunki. Nie będzie ryzykował bezpieczeństwa swojego okrętu na samym początku zalewania zbiorników.

Jak to jednak miało wyglądać w czasie?

Do Perry’ego podszedł oficer zanurzeniowy „Sentinela”, kapitan Liang. Wyraz jego twarzy świadczył o napięciu i zaniepokojeniu.

- Komandorze, dokonaliśmy symulacji i rozważyliśmy kilka możliwości.

- Ile potrwa cały manewr?

- Mogę zająć pozycję w ciągu trzech minut, ale będę potrzebował kolejnych dwóch na bezpieczne wynurzenie.

- Pięć minut...

A jeszcze trzeba dopłynąć na miejsce.

Perry popatrzył na prędkościomierz. Czterdzieści dwa węzły. Jak na okręt podwodny, była to ogromna prędkość, ale na tym między innymi polegała przewaga „Sentinela”. Nie mieli jednak odwagi płynąć szybciej. Gdyby załoga „Drakona” zauważyła zawirowania wody spowodowane ruchem śrub albo zarejestrowała jakikolwiek inny sygnał świadczący o ich zbliżaniu się, byłoby po nich.

Obliczył w myśli czas potrzebny na dotarcie do stacji, zajęcie pozycji, zorganizowanie ratunku i ucieczkę. Nie mieli go aż tyle. Popatrzył na dowódcę wachty. Gdyby „Drakon” jeszcze nie był na pozycji... jeszcze nie zaczął ewakuować swoich ludzi...

Liang również o tym wiedział. Wszyscy wiedzieli. Perry przygotował się do wydania polecenia nawrotu. Próbowali, ale sprawa okazała się beznadziejna. Rosjanie pokonali ich.

Wyobraził sobie uśmiech Amandy, zmarszczki, które pojawiały się w kącikach jej oczu, kiedy się śmiała, sposób, w jaki jej wargi rozchylały się pod jego wargami, delikatnie, słodko...

- Spróbujemy opóźnić odpłynięcie „Drakona” - powiedział do Lianga.

- Tak jest, komandorze.

- Chcę, żebyśmy namierzyli go aktywnym sonarem.

- Komandorze...?

Perry odwrócił się do swoich ludzi.

- Musimy dać „Drakonowi” znak, że w pobliżu jest inna jednostka. Że ktoś ich obserwuje. - Chodził po mostku i równocześnie wyjaśniał swój plan: - Założyli, że odpłynęliśmy. Że nie będzie żadnego świadka tego, co się wydarzy. Sonarowy sygnał zmusi ich kapitana do porozumienia się z przełożonym i opóźni akcję. Może da nam to czas, którego potrzebujemy.

- Ale spowoduje też, że staną się czujni - zauważył Liang. - Trudno nam wtedy będzie przemknąć się niepostrzeżenie i przeprowadzić akcję ratunkową.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Przesłano nas tutaj, abyśmy sprawdzili prędkość „Sentinela” oraz instalacje zabezpieczające przed wykryciem. I właśnie to zamierzam zrobić.

Liang wziął głęboki wdech.

- Tak jest, komandorze. Perry kiwnął głową.

- Jeden ping... i milczymy.

- Tak jest, komandorze.

Dowódca wachty poszedł do przedziału sonaru i zaczął konferować z jego obsadą, a Perry odwrócił się do oficera zanurzeniowego.

- Zaraz po tym, jak dam sygnał, niech sternik odbije o czterdzieści pięć stopni od dotychczasowego kursu. Nie chcę, by nas namierzyli. Musimy płynąć szybko i cicho.

- Jak duch, komandorze - odparł Liang i wrócił na swoje stanowisko.

Jeden z techników sonarowych skoczył nagle na równe nogi.

- Komandorze! Słyszę syk powietrza od strony „Drakona”!

Perry zaklął. Rosyjski okręt przygotowywał się do zanurzenia. Zalewał zbiorniki, otwierając zawory powietrzne. Spóźnili się. Ewakuacja została już zakończona.

Dowódca wachty popatrzył na niego. Jego wzrok wyraźnie pytał: kontynuujemy czy przerywamy? Perry nie zawahał się jednak.

- Zapukamy do ich drzwi - oświadczył.

Oficer odwrócił się i położył dłoń na panelu sterowania sonarem. Przerzucił kilka dźwigni i wcisnął przycisk.

Zrobili swoje. Ujawnili się. Teraz pozostało jedynie obserwowanie reakcji przeciwnika. Chwila ciągnęła się w nieskończoność. „Sentinel” zrobił nawrót, przechylając się przy tym mocno.

Perry stał z zaciśniętymi pięściami.

- Syk powietrza przerwany, komandorze... - szepnął technik.

Usłyszano ich.

W tym momencie drugi technik podniósł się ze swojego miejsca i odchrząknął, próbując ściągnąć na siebie uwagę Perry'ego. Miał na uszach słuchawki.

- Komandorze, mam drugi kontakt! Na hydrofonach. Drugi kontakt? Perry podszedł do niego szybkim krokiem.

- Skąd dochodzi?

Oczy technika skierowały się ku górze.

- Źródło hałasu jest dokładnie nad nami, komandorze. Perry machnął ręką, by technik dał mu słuchawki. Kiedy przycisnął je do uszu, usłyszał dźwięk przypominający powoli bijące werble... kilka dźwięków o szybko przyspieszającej kadencji.

Był kiedyś technikiem sonarowym i dobrze znał dobiegający z góry odgłos.

- To łopaty wirnika - szepnął. Technik skinął głową i dodał:

- Dwa ptaszki w powietrzu.

GODZINA 14.56

NA POKŁADZIE „DRAKONA

Mikowski otrzymał tę samą informację od swoich techników obsługujących sonar. Przed chwilą ich okręt został trafiony przez z rozmysłem nadany ping - pojedynczy sygnał sonarowy. Ktoś był w wodzie pod nimi - a teraz także nad nimi, w powietrzu.

„Drakon” został przyszpilony.

Jeżeli tamten okręt skierował na nich sygnał sonarowy, bez wątplenia kierował na nich także broń. Mikowski niemal czuł wycelowaną w okręt torpedę. To, że w wodzie oprócz nich nie było żadnego innego celu, dowodziło, że ping był ostrzeżeniem.

Nie ruszaj się, bo pójdziesz na dno.

Nie mógł na to nijak zareagować. Nie miał możliwości się bronić. Uwięziony w płoni „Drakon” nie mógł ani manewrować, ani uciekać przed wrogiem. Otoczony ze wszystkich stron lodem nie mógł nawet sprawdzić sytuacji za pomocą sonaru. Wynurzony w tym akurat miejscu, był niemal zupełnie ślepy.

Nie to było jednak najgorsze.

Mikowski spojrzał swojemu pierwszemu oficerowi przez ramię na monitor radaru. Burza śnieżna i zmieniające się prądy magnetyczne sprawiały, że odczyty były bardzo słabo widoczne. Zbliżały się do nich dwa helikoptery - leciały tuż nad lodem, uniemożliwiając nawiązanie kontaktu i wycelowanie rakiet, zwłaszcza w tej zadymce.

- Nadlatują bardzo nisko, trzymają się linii torosów - powiedział Gregor.

- Zarejestrowałem odpalenie rakiety! - krzyknął jeden z siedzących przy sonarze techników.

- Cholera jasna! - Mikowski popatrzył na monitory przekazujące obraz z kamer zewnętrznych. Widać było na nich niewyraźne kontury otaczających stację torosów. Resztę świata pokrywała jednolita biel. - Rozpoczynamy działania obronne! Wystrzelić plewy!

Dla okrętu podwodnego nie ma gorszej pozycji do obrony niż wynurzenie. Mikowski wolałby teraz leżeć na dnie rowu oceanicznego - i tam właśnie zamierzał się udać. W cholere z tym, kto go namierzył i pingował.

- Pławność negatywna! - krzyknął do Gregora. - Szybkie zanurzenie awaryjne!

- Pławność negatywna! - Wzdłuż kadłuba ryknęły syreny. Gwałtowne zalewanie zbiorników balastowych wprawiło cały okręt w drżenie.

- Wystrzeliwać plewy aż do pełnego zanurzenia! - Mikowski odwrócił się do marynarzy na stanowiskach ogniowych. - Chcę wiedzieć, kto jest z nami na dole. Natychmiast po zejściu pod lód cel ma być namierzony i zlikwidowany.

Odpowiedziano mu skinieniami głową.

Mikowski znów skoncentrował się na monitorze. Z pokładu okrętu wystrzeliła w niebo chmura skrawków folii. Były to „plewy”, które miały zakłócić pracę urządzeń namierzających rakiet i skierować je gdzie indziej. Niestety, dmący z potężną siłą wicher natychmiast zwał skrawki folii, odsłaniając okręt.

„Drakon” zapadał się pod wodę jak kamień, nie na tyle jednak szybko, aby Mikowski nie zdążył dostrzec na ekranie nagłego ruchu.

Była to lecąca prosto na nich spirala śniegu.

Sidewinder.

Nie uciekną przed nim.

W tym momencie woda zalała zewnętrzne kamery i obraz znikł.

Zaraz potem rozległa się ogłuszająca eksplozja. „Drakonem” wstrząsnęło, jakby został trafiony potężnym młotem. Kiedy nim zabujało, zewnętrzne kamery na chwilę znów znalazły się nad wodą i na ekranie pojawił się fragment płoni. Jej krawędź zamieniła się w niewielką zatokę, a po wodzie i lodzie rozlewał się ogień.

Rakieta nie trafiła! Mało brakowało, ale nie trafiła. Mimo wiatru chmurka folii musiała spowodować odchylenie toru lotu rakiety o kilka stopni.

Przeniesiona przez wodę siła uderzenia odrzuciła „Drakona” w bok i częściowo wypchnęła go w górę, na powierzchnię, co sprawiło, że stał się widoczny. Nie na długo jednak. Okręt szybko się ustabilizował i kontynuował opadanie. Po chwili całkowicie zanurzył się w wodzie.

Mikowski podziękował bogom mórz i swoim ludziom i odwrócił się od ekranu.

Nagle jego uwagę przyciągnął inny monitor. Ukazywał widok z kamery zanurzonej metr pod wodą i skierowanej ku powierzchni wody. Choć obraz był przefiltrowany przez wodę, dzięki jej przejrzystości był niezwykle wyraźny, poza tym’ rozjaśniały go płomienie eksplozji sidewindera.

Na krawędzi lodu pojawił się ubrany w polarny kombinezon żołnierz. Na ramieniu trzymał czarną rurę i kierował ją prosto na kamerę.

Wyrzutnia raketowa.

Z tyłu rury wystrzelił płomień.

- Przygotować się na uderzenie! - wrzasnął Mikowski.

Nie zdążył jeszcze skończyć zdania, kiedy „Drakonem” wstrząsnęło. Tym razem pocisk trafił.

Gdy rakieta wgryzała się w okręt od strony rufy, wrywając dziurę w kadłubie, Mikowskiemu zadzwoniło w uszach. Pocisk przeciwpancerny.

Zaczęła ich zalewać woda, na mostek wleciała chmura dymu. „Drakon”, już i tak ciężki od wody w zbiornikach balastowych, przechylił się i uniósł dziób. Oficer poziomowy walczył o utrzymanie właściwej pozycji, a Gregor pochylał się nad nim i coś do niego wrzeszczał.

Mikowskiemu wciąż dzwoniło w uszach i nie słyszał słów Gregora.

Okręt nadal się pochylał. Do uszu Mikowskiego zaczęły docierać pierwsze dźwięki - metaliczne łaskoty. Zamykano kolejne włazy - ręcznie i elektronicznie - by odciąć zalewane wodą przedziały.

Mikowski walczył z trzydziestostopniowym pochyleniem okrętu.

Ekran monitora pokazywał, jak dziób „Drakona” przebija powierzchnię wody i unosi się wysoko w górę niczym wieloryb, podczas gdy rufa ciągnie okręt w dół.

Znów byli widoczni z powierzchni.

Mikowski szybko poszukał wzrokiem żołnierza, który wystrzelił raketę. Mężczyzna w białej kurtce biegł co sił w nogach wzdłuż lodowej grani i po chwili zanurkował po drugiej stronie.

Dlaczego uciekał?

Odpowiedź na to pytanie pojawiła się w chwilę później. Ze śnieżnej zadymki wyleciały dwa pomalowane na biało helikoptery, sikorsky seahawk i sikorsky H-92. Kiedy maszyny zwolniły, z H-92 wyrzucono liny i natychmiast zaczęli się po nich spuszczać żołnierze z karabinami na plecach. H-92, biorący na pokład tyłu ludzi co autobus, zataczał szeroki łuk, wciąż wyrzucając z siebie żołnierzy i kierując się na stację dryfującą.

Mikowski natychmiast się domyślił, kim są przybysze. Białe puch wprowadził go w sytuację.

Delta Force Stanów Zjednoczonych.

Drugi helikopter, seahawk, przeleciał nad przechylonym okrętem, bucząc jak mucha krążąca nad nosem zdychającego byka. Mikowski poczuł, że ogarnia go rozpacz. „Drakon” zapadał się rufą w morze i najlepsze, czego mógł się spodziewać jego kapitan, to okazanie łaski załodze przez atakujących.

Kiedy przygotowywał się do wydania rozkazu opuszczania pokładu, seahawk przelatywał właśnie nad zewnętrzną kamerą. Mikowski wbił wzrok w monitor. Coś było nie tak z dolną częścią helikoptera. Potrzebował chwili, aby zrozumieć, co widzi.

Beczki... do brzucha seahawka były przymocowane szare beczki.

Od razu je rozpoznał. Jego podwładni także. Bomby głębinowe.

Patrzył, jak pierwsza z nich odrywa się od seahawka i wirując w powietrzu, leci na ich okręt. Wiedział już, jaki los czeka jego podwładnych. Nie będzie łaski.

GODZINA 15.02

USS „POLAR SENTINEL”

Perry stał w Cyklopie, otoczony zewsząd Oceanem Arktycznym. „Sentinel” uciekł na bezpieczną odległość od strefy walki i tkwił cicho w miejscu. Nawet silniki unieruchomiono.

Po pierwszym uderzeniu rakiety Perry kazał się głęboko zanurzyć. „Drakon” został najwyraźniej zaatakowany z powierzchni. Potwierdzono to chwilę później, kiedy oficer sonarowy zameldował o skutecznym ataku raketowym. Z odległości mniej więcej ośmiuset metrów doszedł do nich odgłos eksplozji oraz syk powietrza, wypływającego z przedziurawionego okrętu.

- Wygląda na to, że kawaleria w końcu przybyła - powiedział Liang z ulgą.

Prawdopodobnie miał rację, atakującymi musieli być komandosi Delta Force, o których wspomniano w ostatniej wiadomości od admirała Reynoldsa. Ale przed poinformowaniem kogokolwiek o ich obecności na tych wodach Perry chciał mieć potwierdzenie. Chwila ataku była zbyt dogodna. I w jaki sposób Delcie udało się pokonać burzę? Dlaczego nikt przedtem nie słyszał obu helikopterów? Leciały na tyle wysoko, że hydrofony zasygnalizowały ich obecność dopiero wtedy, gdy zanurkowały, aby zaatakować?

Perry nie lubił pytań, na które nie umiał odpowiedzieć. Na okręcie podwodnym paranoja jest jedną z cech, które pozwalają przeżyć w niebezpiecznych wodach.

Przeszedł do przedziału dziobowego i zaczął obserwować bitwę przez luk. Musiał widzieć, co się dzieje, a zewnętrzne kamery nie miały dostatecznego zasięgu, aby pokonać dzielącą ich od stacji odległość.

Nie mogąc z nich korzystać, obserwował bitwę z Cyklopa przez lornetkę.

W odległości ośmiuset metrów widział unoszącego dziób „Drakona”, wyraźnie widocznego w świetle płonącej płoni. Rosyjski okręt był pochylony niemal pod kątem sześćdziesięciu stopni i obracał się coraz bardziej pionowo.

Perry wiedział, że jego przeciwnik z pewnością zaraz rozpocznie ewakuację. Bitwa była już rozstrzygnięta i załoga „Drakona” miała tylko jedną szansę: jak najszybciej opuścić okręt.

Po chwili woda rozbłysła jaskrawym blaskiem, utrwalając obraz na siatkówce Perry’ego i w następnej chwili go oślepiając. Zamrugał, aby odzyskać zdolność widzenia, i w tym momencie usłyszał głuchy łoskot. Brzmiał jak grzmot - zaraz potem rozległ się grzechot trących o siebie stalowych płyt.

Kiedy Perry znowu zaczął widzieć, „Drakon” stał pionowo, otoczony wirującą chmurą pęcherzy powietrza. Kawały lodu, zepchnięte w głąb wody, ponownie wypływały na powierzchnię.

Zahuczał interkom.

- Komandorze, tu mostek. Poszły bomby głębinowe.

Perry odwrócił się i wcisnął klawisz.

- Zabierajmy się stąd! - krzyknął, po czym pobiegł z powrotem na mostek.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła wodą, rzucając „Sentinelem” na boki.

W lodowatych wodach robiło się zbyt gorąco.

GODZINA 15.03

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

John Aratuk od dawna był pogodzony ze śmiercią. Widział, jak giną całe wsie - w tym również jego własna. Trzymał za rękę swoją umierającą żonę, zaklinowaną we wraku samochodu, który rozbił pod wpływem alkoholu. Śmierć była stale obecna w jego życiu. Kiedy więc jego towarzysze krzyczeli albo płakali, on siedział spokojnie, skuty na plecach plastikowymi kajdankami.

Kolejna eksplozja wstrząsnęła barakami, sprawiając, że wiszące pod sufitem lampy znów się rozbijały. Siła wybuchów wypychała od dołu lód, który falował i dygotał, grożąc unicestwieniem całej stacji.

Siedzący wokół Johna żołnierze usiłowali oswobodzić się z pęt, próbując użyć każdej ostrej krawędzi do przecięcia twardego plastiku.

Gdy Jenny i Kowalski uciekli, Rosjanie zwięzali pozostałych i trzymali ich pod strażą, ale kilka chwil temu nagle wybiegli, łapiąc po drodze swój ekwipunek. Nietrudno było się domyślić, że zostawiają bazę samą sobie.

Dlaczego? Czyżby znaleźli to, po co przybyli? Co zamierzali zrobić z więźniami? Pytania te wciąż krążyły między cywilnymi naukowcami, ale John znał już odpowiedź - zobaczył ją w oczach komandora podporucznika Sewella, który słyszał rozmowę o ładunkach rozmieszczonych wokół bazy. Wiadomo było, co ma nastąpić.

Zaraz potem zaczęły się wybuchy. Wstrząsały lodem i zagłuszały nawet burzę.

- Niech wszyscy się uspokoją! - krzyknął Sewell i w tym momencie kolejny wstrząs omal nie zwałił go z nóg. W ostatniej chwili przytrzymał się jednego z łóżek. - Panika nie pomoże nam uciec!

John siedział nieporuszony, obojętny na to, co się wokół niego działo. Jenny udało się uciec - słyszał buczące w górze silniki twin ottera. Przysunął stopy bliżej grzejnika.

Przynajmniej będzie mu ciepło, gdy nadejdzie śmierć.

GODZINA 15.04

NA ZEWNĄTRZ STACJI DRYFUJĄCEJ OMEGA

Sierżant sztabowy Kanter przycupnął na zboczu torosu. Wyrzutnia raketowa, której użył do przebicia kadłuba okrętu leżała obok niego, nie była mu już jednak potrzebna. Uszy bolały go od eksplozji bomb głębinowych. Choć częściowo zasłaniała go grań, każdy wybuch odczuwał jak uderzenie pięścią w spłot słoneczny.

Patrzył, jak kolejne bomby wpadają do wody. Ustawiono je na detonację przy zanurzeniu na głębokość trzech metrów. Przy każdym wybuchu woda wypiętrzała się, wysoko w niebo wystrzeliwał gejzer wody, a lód pod Kanterem unosił się gwałtownie.

Rozległa płoń zamieniła się we wzburzone jezioro. Na jej brzegach płonął ogień. Proste krawędzie płoni przestały istnieć. W górę wznosiły się kłęby pary, zasłaniając potężny kadłub tonącego okrętu. Wystawał pionowo z wody dziobem do góry i bardzo szybko się zapadał.

Kanter ujrzał w wodzie dwóch rosyjskich marynarzy, walczących o utrzymanie głów nad wodą. Mieli na sobie pomarańczowe kamizelki ratunkowe. Nie było dla nich ratunku - metr od nich spadła do wody bomba głębinowa. Kiedy eksplodowała, poszarpane ciała przeleciały w powietrzu i rozbiły się o kadłub „Drakona”.

Nikt z okrętu nie miał szansy ucieczki.

Kawałek dalej sikorski H-92 krążył wokół seahawka. Zrzucił na lód wszystkich swoich pasażerów i czekał na dalsze rozkazy. Delta Jeden przygotowywał się do przejścia amerykańskiej bazy naukowej.

Ale uwaga Kantera była cały czas skupiona na płoni.

Gwałtowność i siła ataku mogły porazić - była to symfonia lodu, ognia, wody i dymu. Kanter czuł każdy wybuch, jakby sam był fizycznym elementem ataku.

Jeszcze nigdy nie czuł takiej dumy.

Nagle zobaczył z boku umierającego okrętu jakiś ruch.

GODZINA 15.06

NA POKŁADZIE „DRAKONA”

Mikowski, podobnie jak większość oficerów obecnych na mostku, był zapięty w fotelu i próbował utrzymać jakiś porządek. Ich jednostka była już martwa: pozgniatało przedziały, wszędzie wdzierła się woda, silniki niemal przestały działać. Na mostku było pełno dymu, który utrudniał widzenie i myślenie, a eksplozje ogłuszały. Wszyscy mieli na twarzach maski tlenowe, ale nie miały one ich uratować, tylko umożliwić przeprowadzenie ostatniego aktu zemsty.

- Wiadomość przekazana przez cyfrową krótkofalówkę! - krzyknął radiooperator ze swojej kabiny. Połowę twarzy miał spaloną wywołaną przez spięcie pożarem, który na szczęście już opanował. Jego głos brzmiał tak, jakby dolatywał z długiego tunelu, był głuchy i skrzekliwy.

Mikowski popatrzył na swojego oficera uzbrojenia i otrzymał od niego potwierdzenie kiwnięciem głową. Nie mogli zachować odpowiedniego protokołu, lecz nadal się ze sobą porozumiewali. Oficer potwierdzał namierzenie i skierowanie broni na cel, do jakiego nikt jeszcze nie strzelał.

Ich okręt był skazany na zagładę, ale oni jeszcze żyli.

„Drakon” miał na pokładzie pełny zestaw osiągających prędkość 200 węzłów torped Szkwiał, rakiety woda-woda SS-N-16 i kilka torped raketowych UGST. Te ostatnie były najnowszą rosyjską konstrukcją, napędzaną płynnym mono-paliwem z własnym utleniaczem. Tkwiły w specjalnych rurach z boku kadłuba i w chwili wystrzelenia były wypychane w bok. Niewłaściwa obsługa wyrzutni tych torped na „Kursku” doprowadziła w 2000 roku do wypadku, który skończył się tragicznym zatonięciem okrętu.

Dziś jednak wszystko przebiegało prawidłowo.

Kiwnięcie głową oznaczało, że prawa wyrzutnia UGST jest załana i gotowa, a cel namierzony. Należało tylko jeszcze wypowiedzieć jedno słowo.

- Ognia!

Było to ostatnie słowo, jakie Mikowski wypowiedział w życiu.

GODZINA 15.07

USS „POLAR SENTINEL”

- Mam odpalenie broni! - krzyknął oficer nadzorujący pracę sonaru i skoczył na równe nogi. - Torpeda w wodzie!

Perry wbił w niego wzrok.

- Jaki cel?

„Polar Sentinel” oddalał się od strefy walki, gdyż bomby głębinowe mogły zaszkodzić także jemu. Czasza lodowa odbijała znaczną część fali uderzeniowej eksplodujących ładunków i kierowała ją w dół.

Uciekając, cały czas obserwowali „Drakona”. Perry nie zamierzał ryzykować.

- Najwyraźniej nie my jesteśmy celem.

- A kto?

GODZINA 15.07

NA ZEWNĄTRZ STACJI DRYFUJĄCEJ OMEGA

Sierżant sztabowy Kanter gorączkowo próbował porozumieć się z Delta Jeden. Musiał go ostrzec.

- Delta Jeden.

Kanter miał laryngofon, za pomocą którego można było transmitować nawet najcichszy szept, ale głośno krzyczał.

- Musi pan przekazać seahawkowi...

Było już jednak za późno. Ze swojego punktu obserwacyjnego na lodowej grani Kanter ujrzał błysk ognia pod linią wodną zapadającego się w głębiny okrętu. Z boku potężnego kadłuba wystrzelił z wody srebrzystoszary kształt i wyprysnął w powietrze.

Rakieta pomknęła w niebo i skierowała się prosto ku unoszącemu się w górze seahawkowi. Helikopter nie miał najmniejszej szansy ucieczki.

- Jezu! - wrzasnął w ucho Kantera Delta Jeden.

Torpeda uderzyła w maszynę. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że przebija się przez seahawka na wylot niczym strzała.

Kanter wstrzymał oddech.

Łopaty wirnika uderzyły w czubek rakiety. Eksplozja - spotęgowana jeszcze wybuchem dwóch wiszących pod brzuchem helikoptera bomb głębinowych - rozniosła maszynę na strzępy w kuli ognia i metalu.

Sierżant schował się za grań, pochylił głowę i starał się jakoś osłonić przed gradem kawałków stali i strugami płonącego paliwa. Przez hałas wybuchu słychać było charakterystyczne DUMP-DUMP łopat wirnika drugiej maszyny.

Kanter spojrzął za siebie.

Drugi helikopter, duży sikorski, pędził tuż nad jego głową. Był pokryty palącymi się szczątkami rozwalonej maszyny, które wgrzyły się w jego kadłub jak ostre piły. Kiedy

nadleciał kawał łopaty seahawka i trafił prosto w przednią szybę, duży sikorski gwałtownie położył się na bok.

Kanter próbował wstać, ale śliski lód i wicher nie pozwoliły mu na to. Wbijając palce w ostry lód i czubkami butów szukając oparcia, spróbował ponownie.

Spojrzał w górę. Duży sikorski spadał prosto na niego, obracając się jak bąk.

Nie da rady uciec.

Przewrócił się na plecy i patrząc w niebo, czekał na śmierć. Cholera jasna... Nie miał nic mądrzejszego do powiedzenia i to właśnie najbardziej mu się nie podobało.

GODZINA 15.14

USS „POLAR SENTINEL”

Perry słuchał raportów, napływających z kolejnych stanowisk. Jego myśli krążyły jednak cały czas wokół tego, co się przed chwilą stało, więc ledwie słyszał, co się do niego mówi.

Przed kilkoma minutami „Drakon” zapadł się w potężny rów oceaniczny, na głębokość znacznie przekraczającą granicę wytrzymałości jego kadłuba. Perry słyszał bulgot, kiedy rosyjski okręt wydawał ostatnie tchnienie.

Ale „Drakon” nie zginął sam.

Kra lodowa zachowuje się jak wielka beczka, podobnie jak ona doskonale przekazując dźwięki. Perry słyszał wszystko, co się wydarzyło, a kiedy helikopter wbił się w lód, był widoczny przez peryskop. Przez chwilę tkwił nieruchomo, oświetlany ogniem płonącej benzyny i oleju, ale w końcu otaczający go lód się roztopił i zwolnił chwyt. Poskręcany wrak zaczął zapadać się w ocean, goniąc „Drakona”.

Zapanowała śmiertelna cisza.

Perry manewrował swoim okrętem, zastanawiając się nad kolejnym ruchem.

Co tu się wyprawia, do diabła? Odcięty od świata, nie bardzo wiedział, co robić. Mieli się wynurzyć i spróbować nawiązać kontakt z tymi, którzy wyłączyli Rosjan z walki? Czy naprawdę był to oddział Delta Force? Co się działo ze starą stacją lodową? W dalszym ciągu była opanowana przez Rosjan?

- Komandorze... - zaczął kapitan Liang, wpatrując się w niego pytającym wzrokiem. - Przygotowujemy się do wynurzenia?

Był to najlogiczniejszy krok, ale Perry się wahał.

Okręt podwodny jest najskuteczniejszy, jeżeli nikt nie wie o jego obecności, i Perry nie zamierzał rezygnować z tej przewagi. Powoli pokręcił głową.

- Nie, kapitanie, jeszcze nie...

GODZINA 15.22

**DOWÓDZTWO GRUPY OKRĘTÓW PODWODNYCH STREFY PACYFIKU
PEARL HARBOR, HAWAJE**

Admirał Kent Reynolds przeszedł przez wzmocnione grubą stalową płytą drzwi, prowadzące do centrali dowodzenia. W przypominającym wielką jaskinię pomieszczeniu znajdowali się już członkowie jego wyselekcjonowanego zespołu, eksperci z różnych dziedzin, zwołani w nocy, w większości wyciągnięci z łóżek.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się za admirałem, szczęknęły zamki.

Pośrodku sali stał długi stół konferencyjny z polerowanego hawajskiego drewna koa o soczystej ciemnej barwie - choć w tej właśnie chwili nie można było tego zobaczyć z powodu leżących wszędzie papierów, książek, teczek z aktami, map i laptopów.

Wokół stołu, pojedynczo i w małych grupkach, pracowali członkowie zespołu, złożonego z ekspertów z zakresu komunikacji, wywiadu i wiedzy o Rosji. Rozmawiano przyciszonymi głosami, każda grupa starała się mówić tak, aby nie mogli jej usłyszeć sąsiedzi. Nawet tutaj niechętnie dzielono się tajemnicami.

Od podświetlanych map wiszących na ścianie oderwał się wysoki chudzielec w spodniach od Armaniego, bez marynarki i w koszuli z podwiniętymi rękawami. Był to Charles Landley z NRO, czyli National Reconnaissance Office, przyjaciel rodziny Reynoldsa i mąż jednej z jego siostrzenic. Jeszcze przed chwilą wpatrywał się w mapę regionu antarktycznego, ukazującą biegun północny.

Odwrócił się do przybysza, ukazując zmęczoną twarz. Na jego ustach nie było powitalnego uśmiechu.

- Admirale Reynolds, dziękujemy za tak szybkie przybycie.

- Co jest, Charlie?

Pięć minut wcześniej przerwano Reynoldsowi konferencję telefoniczną z COMSUBLANT, który był jego odpowiednikiem w hierarchii dowódczej na wybrzeżu Atlantyku. Charles Landley z pewnością nie zrobiłby tego, gdyby sprawa nie była pilna.

- SOSUS zarejestrował serię eksplozji.

- Gdzie?

SOSUS to umieszczany w oceanach zintegrowany hydro-foniczny system nasłuchowy. Jest tak czuły, że może wychwycić pierdnięcie wieloryba.

Charlie podszedł do mapy i stuknął w nią palcem.

- Sądzymy, że na współrzędnych Stacji Dryfującej Omega. Prawdopodobieństwo osiemdziesiąt pięć procent.

Admirał Reynolds wziął głęboki wdech. Obawa o Amandę, cały czas obecna, eksplodowała nagłym bólem za mostkiem.

- Analiza sytuacji?

- Naszym zdaniem był to szereg bomb głębinowych. Zarejestrowaliśmy także charakterystyczny bulgot implodującego okrętu podwodnego. - Charlie uniósł brew. - Przed tymi odgłosami przejęliśmy także dźwięki przypominające pracę łopat wirnika helikoptera... były jednak za słabe, abyśmy mogli mieć pewność.

- Oddział szturmowy? Charlie skinął głową.

- W tej chwili wywiad tak uważa. Ale bez zdjęć z satelity jesteśmy ślepi.

- Kiedy ta burza na Słońcu przestanie przeszkadzać naszej platformie szpiegowskiej? Ile jeszcze potrwa?

- Minimum dwie godziny. Prawdopodobnie Rosjanie właśnie dlatego przywlekli się tam dwa tygodnie po przecieku o odkryciu. Czekali na przerwę w komunikacji, aby móc swobodnie działać, przez nikogo nieobserwowani.

- A oddział szturmowy, który zatopił okręt podwodny?

- Pracujemy nad tym. Może to być drugi rosyjski oddział szturmowy... jeśli tak, to zatonał „Polar Sentinel”. A jeśli to nasz oddział Delta Force, na dno poszedł „Drakon”.

Admirał pozwolił sobie na odrobinę nadziei.

- To musiał być oddział Delta Force - oświadczył. - Z tego, co udało mi się wydusić od Sił Specjalnych, można wnioskować, że oddział Delta Force został tam przerzucony jeszcze przed atakiem Rosjan.

Jego przyjaciel przyglądał mu się przez chwilę. Miał przymrużone oczy i był wyraźnie zmartwiony. Admirał Reynolds z niepokojem czekał na jego następne słowa. Coś było nie tak.

- Dowiedziałem się jeszcze czegoś... - zaczął przyciszonym głosem Landley.

Admirał popatrzył na ludzi zbierających i zestawiających dane. Najwyraźniej Charlie nie wszystkim się z nimi podzielił. Reynolds podejrzewał, że właśnie to, co zaraz usłyszy,

było prawdziwym powodem wezwania go. Pulsujący ból pod żebrami nasilał się coraz bardziej.

Landlej zaprowadził go do niewielkiego stolika zarzuconego mapami. Na wierzchu leżał laptop, po którego ekranie pływała ikona NRO. Charlie zalogował się i wpisał hasło dostępu. Zanim otworzył plik, musiał przyłożyć kciuk do czytnika.

Dał znak admirałowi, aby podszedł.

Admirał Reynolds pochylił się nad ekranem. Miał przed sobą raport Pentagonu sprzed tygodnia, z klauzulą TOP SECRET, zatytułowaną GRENDEL OP.

Charlie nie powinien mieć dostępu do tego pliku, lecz NRO miała swoje kanały i sposoby. Teraz udawał, że koncentruje się na ściennej mapie Azji, co nie miało nic wspólnego z sytuacją, ale robił to tak, jakby miało.

Admirał Reynolds wyjął z kieszeni okulary i zaczął czytać. Informacja składała się z trzech stron. W pierwszej części przedstawiano historię rosyjskiej stacji. Kiedy ją czytał, poczuł nagle, że maści mu się wzrok - jakby jego umysł bronił się przed przyjęciem tego, co widziały oczy. Nie mogło być jednak wątpliwości. Było tu wszystko: daty, nazwiska.

Jego wzrok zatrzymał się na słowach: EKSPERYMENTY NA LUDZIACH. Przypomniało mu to wojenne opowieści ojca o wyzwaniu hitlerowskich obozów koncentracyjnych, o popełnianych w nich okropnościach.

Jak mogli...

Czując mdłości, czytał dalej. Ostatnia część raportu przedstawiała reakcję dowództwa wojskowego USA: wyznaczenie celu i przedmiotu działania, scenariusze gry końcowej. Teraz już wiedział, co znajdowało się w stacji lodowej oraz jaki jest ostateczny cel operacji Grendel.

Kiedy się prostował, Charlie położył mu dłoń na ramieniu, by go uspokoić.

- Uznałem, że powinieneś to wiedzieć.

Admirał Reynolds poczuł, że ma trudności z oddychaniem. Amanda... Ból za mostkiem wystrzelił na zewnątrz i przeszył lewą rękę. Jego klatkę piersiową opasała stalowa taśma.

- Admirale...

Dłoń na jego ramieniu zacisnęła się mocniej, podtrzymując go, kiedy ugięły się pod nim nogi. Jak przez mgłę widział odwracających się ku niemu ludzi.

Nie wiadomo dlaczego znalazł się nagle na podłodze. Klęczał.

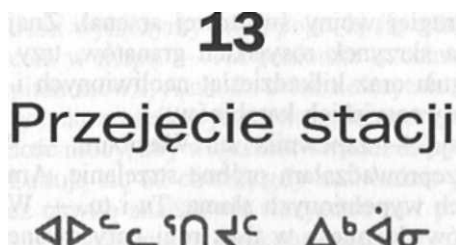
- Wezwać pomoc! - krzyknął Charlie, obejmując go ramieniem.

Admirał Reynolds wyciągnął rękę w górę i złapał dłoń Charliego.

- Mu... musze... się skon... taktować z... komandorem Perrym....

Charlie patrzył na niego z niepokojem.

- Już za późno - powiedział.



9 KWIETNIA, GODZINA 15.23

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt pochylał się nad schematami stacji. Dygotał z zimna. Mapa była rozłożona na podłodze ciasnego sześcianu, kolejnego starego pomieszczenia serwisowego wykutego w lodzie. Klęczał z jednej strony dokumentu, mając po bokach Amandę i Craiga, a naprzeciwko kucali Washburn, Greer i komandor podporucznik Bratt.

Pod jedną ze ścian stał doktor Ogden i patrzył w przestrzeń szklistym wzrokiem. Jego wargi poruszały się, jakby mówił coś do siebie, jakby analizował coś, co mu chodziło po głowie. Trójka jego studentów - Magdalene, Antony i Zane - zbiła się w ciasną grupkę. Każdy z nich miał nieszczęśliwą i przerażoną minę.

Od straszliwej śmierci mata Pearlsona minęło pół godziny. Napędzani adrenaliną, uciekli do jednego z pomieszczeń serwisowych na poziomie trzecim.

Rozważyli przez ten czas kilka strategii: od pozostania na miejscu po rozdzielenie się i ucieczkę różnymi przejściami, aby zmniejszyć ryzyko złapania wszystkich naraz. Brano nawet pod uwagę wyjście na powierzchnię i dostanie się do zaparkowanych tam sno-catów i ski-doo. Ale jedno było jasne: bez Względu na to, jaki scenariusz wybiorą, będą mieli większą szansę przeżycia, jeżeli zdobędą broń.

Tak więc przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji musieli dotrzeć do zbrojowni. Washburn widziała ten pochodzący z czasów drugiej wojny światowej arsenał. Znajdowało się w nim kilka skrzynek rosyjskich granatów, trzy niemieckie miotacze ognia oraz kilkadziesiąt naoliwionych i owiniętych w focze skóry rosyjskich karabinów.

- Działają - zapewniła ich Washburn. - W zeszłym tygodniu przeprowadzałam próbne strzelanie. Amunicja leży w skrzynkach wypełnionych słomą. Tu i tu. - Wabiła koniec swoich haków do mięsa w dwa rogi narysowanej na mapie zbrojowni.

Matt pochylił się niżej, balansując ciężarem ciała na kolanach. Straciwszy spodnie na rzecz Małego Willy'ego, został w samych kalesonach, a klęczenie na lodzie było trudnym sprawdzianem dla termicznej odporności jego bielizny.

- Powinniśmy dostać się do zbrojowni i wyjść stamtąd w ciągu minuty - oświadczyła Washburn. - Problem w tym, jak tam dotrzeć.

Bratt kiwnął głową. Greer wrócił przed chwilą z korytarza prowadzącego do centrum stacji. Na tym poziomie włącz serwisowy wychodził na generatorownię i akumulatorownię. Niestety, zbrojownia znajdowała się po przeciwnej stronie piętra, za dużą otwartą przestrzenią.

Matt zmrużył oczy, próbując zmusić mózg do pracy. Musi być jakiś sposób... Razem z pozostałymi wpatrywał się w mapę.

Generatorownia miała boczne wyjście, prowadzące do sąsiedniego pomieszczenia elektrycznego, ale wychodząc stamtąd, musieliby przeciąć otwartą przestrzeń centralną. Na pewno była strzeżona. Ich jedyną bronią były narzędzia medyczne - nie pokonaliby nimi znajdujących się tam wartowników bez zaalarmowania całej stacji.

Matt usiadł i zaczął sobie masować kolana.

- Nie ma innego dostępu na ten poziom? Tylko przez generatorownię i pomieszczenie elektryczne?

Bratt wzruszył ramionami.

- Chyba tak. Mamy tylko te plany.

- Hm... - mruknął Craig. - Dla odwrócenia uwagi moglibyśmy wyłączyć generatory, pogasić światła i dostać się do zbrojowni po ciemku.

Greer pokręcił głową.

- Musimy zakładać, że Rosjanie wiedzą, gdzie są główne generatory. Jeśli wyłączymy prąd, pojawią się właśnie tam. - Stuknął palcem w mapę. - Na poziomie trzecim.

Kiedy kapitan mówił, Amanda uważnie czytała z jego warg.

- Poza tym nawet jeśli wyłączymy generatory, akumulatory zachowają dość mocy, aby większość światel dalej się paliła - dodała. - Ładują się od chwili, gdy nasi ludzie je włączyli.

Matt przez chwilę analizował wszystkie za i przeciw.

- A jeżeli zostawimy w spokoju generatory... - położył palec na planie, po czym przesunął go - ...i przetniemy przewody prowadzące do górnego poziomu stacji? Jeżeli

kapitan Greer ma rację, przerwa w oświetleniu ściągnie tam Rosjan... jednocześnie odciągając ich od nas.

Greer kiwnął głową.

- Myślę, że Rosjanie i tak już przetrzucili większość sił na górę. Na pewno się spodziewają, że zechcemy się przebić. Kiedy odetniemy prąd na najwyższym poziomie, wszyscy tam popędzą.

- Miejmy nadzieję, że wartownicy z naszego poziomu również - mruknął Bratt, wpatrując się w mapę.

- Cokolwiek postanowimy, lepiej działajmy szybko - powiedziała Amanda. - Prędzej czy później zaczną posyłać swoich ludzi do tuneli serwisowych.

- Albo wrzucać do nich granaty zapalające - stwierdził Craig. Przykucnął na piętach i objął się ramionami. Co chwila spoglądał niespokojnie w kierunku odchodzących od niewielkiego pomieszczenia trzech tuneli, jakby w każdej chwili spodziewał się ujrzeć w nich atakujących Rosjan albo czarny ananas, który ich spali.

Bratt kiwnął głową i wyprostował się.

- Dobrze. Zajrzyjmy do pomieszczenia elektrycznego. Sprawdźmy, czy plan jest możliwy do zrealizowania, i przeliczmy znajdujących się na naszym poziomie Rosjan. - Rozejrzał się. - Greer i Washburn idą ze mną.

- Ja też - oświadczył Matt. Nie zamierzał beczynnie czekać.

Greer poparł go.

- Ten gość był w Zielonych Beretach. Kiedy trzeba będzie załatwić jakiegoś wartownika, przyda nam się dodatkowa para rąk.

Bratt zlustrował Matta od góry do dołu i kiwnął głową.

- Reszta zostaje tutaj - polecił. Matt uniósł rękę.

- Powinniśmy mieć kogoś na warcie w generatorowni. W razie kłopotów da reszcie znak, żeby wchodziła wyżej.

- Dobry pomysł - przyznał Bratt.

- Weźcie mnie ze sobą - powiedział Craig, ale jego mina wcale nie wskazywała na to, że naprawdę tego chce.

- W porządku. No to bierzmy się do roboty - rzucił Bratt, złożył plany i podał je Amandzie, po czym szybko zrekapitulował plan: - Odcinamy światło i wykorzystujemy

odwrócenie uwagi Rosjan, aby unieszkodliwić wszystkich znajdujących się na tym poziomie żołnierzy, a potem biegniemy do zbrojowni i zabieramy tyle broni, ile się da.

Matt podniósł z podłogi swoją rurę. Kiedy napotkał zaniepokojone spojrzenie Amandy, uśmiechnął się, próbując dodać jej otuchy.

- Bądź ostrożny - powiedziała cicho.

Kiwnął głową i ruszył za trzema marynarzami. Craig pełzł za nimi na rękach i kolanach. Generatorownia znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów od nich. Kiedy dotarli do celu, Washburn hakami do mięsa zaczęła otwierać włącz.

Wpełzli do generatorowni. W wilgotnym, gorącym powietrzu unosił się odór oleju napędowego i spalin. Generatory stukały w swoich obudowach wystarczająco głośno, aby ukryć ich wejście.

Matt zobaczył pod lewą ścianą stertę akumulatorów. Każdy był wielkości standardowego klimatyzatora. Kiedy się im przyglądał, kątem oka zauważył coś na sąsiedniej ścianie i kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

Rzucił swoją rurę, podszedł do ściany i zdjął z uchwytów ciężką siekierę.

- Rany... - jęknął Greer, ważąc w dłoniach własną broń: długie stalowe szpikulce. - Szkoda, że nie zauważyłem jej pierwszy...

- Kto pierwszy, ten lepszy - stwierdził Matt i zarzucił sobie siekierę na ramię.

Bratt poprowadził ich do sąsiedniego pomieszczenia. Wszystkie cztery ściany pokrywały panele sterujące. Kiedy znaleźli sterowniki poziomu pierwszego, Matt zobaczył, że wszystkie napisy są po rosyjsku. Jak sobie z tym poradzą?

- Tutaj. - Washburn wskazała rząd szklano-ołowianych bezpieczników wielkości hot doga. - To są przekaźniki pierwszego poziomu.

- Jesteś pewna? - spytał Matt.

- Mój ojciec był elektrykiem w Oakland.

- A córka zna rosyjski - mruknął Greer. - Kobieta w moim typie...

- Główny przełącznik jest tak zardzewiały, że nie da się ruszyć - oświadczyła Washburn. - Będę musiała wyciągnąć bezpieczniki.

- Zaczekaj! - Bratt podszedł do drzwi, prowadzących do głównego pomieszczenia. Było w nich okienko, przez które można było zajrzeć do środka. Wskazał dwoma palcami na swoje oczy, po czym uniósł w górę cztery palce.

Czterech wartowników. Odwrócił się do pozostałych.

- Panie Teague - powiedział cicho, patrząc na Craiga. - Proszę zamknąć drzwi generatorowni, aby w chwili gdy będziemy otwierać główne drzwi, hałas nie zwrócił uwagi wartowników.

Dziennikarz skinął głową, zamknął drzwi i stanął przed nimi jak na warcie. Bratt spojrział na pozostałych.

- Na mój znak... - szepnął. - Wszyscy musicie być wtedy gotowi do działania. - Uniósł dłoń z wyciągniętymi wszystkimi palcami. Zaczął odliczać, zginając palce: - Pięć... cztery... trzy...

GODZINA 15.28

Admirał Wiktor Petkow stał w przedsionku laboratoriów znajdujących się na poziomie czwartym. Stalowe drzwi leżały na podłodze za nim, razem z przeciętymi zawiasami i sztabą blokującą. W poprzek drzwi wydrapane były litery rosyjskiego alfabetu, układające się w napis:

ГРЕНДЕЛ

Była to nazwa laboratorium oraz bazy i stworów, kryjących się w lodowych grotach wokół stacji. Grendel.

Projekt jego ojca.

Podszedł do otwartej szafki. Zawierała datowane dzienniki, zaszyfrowane i schowane tu przez jego ojca. Niczego nie dotykał. Zauważył brak trzech zeszytów. Ten, kto je wziął, wiedział, czego szukać. Zacisnął pięść. Łatwo mógł się domyślić tożsamości złodzieja - zwłaszcza po tym, czego właśnie się dowiedział.

Młody porucznik, który przekazał mu najnowszy raport, stał sztywno obok, czekając na polecenia. Wiktor Petkow jeszcze nie dał znaku, że przyjął raport do wiadomości.

Porucznik wpadł tu przed chwilą jak bomba, domagając się natychmiastowej rozmowy. Radiooperator obsługujący podwodny telefon UQC przejął za pomocą hydrofonu niepokojące odgłosy: echa odbijających się od pokrywy lodu dalekich wybuchów.

- To bomby głębinowe - powiedział porucznik. - Radiooperator uważa, że to eksplozje bomb głębinowych.

Nie była to jednak najgorsza wiadomość. Między eksplozjami na falach krótkich nadano bardzo zakłócony sygnał: SOS z „Drakona”. Ich okręt podwodny został zaatakowany.

Sprawcą tego musiał być oddział Delta Force, który przybył wreszcie na scenę mocno spóźniony, ale nadrabiał powolność śmiercionośną skutecznością.

Kiedy porucznik kończył swój raport, jego głos drżał:

- Radiooperator zarejestrował też bulgot, oznaczający implozję okrętu podwodnego.

Wiktor wbił wzrok w puste miejsca w szeregu dzienników. Nie miał wątpliwości, kto je ukraść: ta sama osoba, która kazała zaatakować „Drakona”, kontroler Delta Force, przysłany tu przed rozpoczęciem całej akcji w celu przejęcia wyników badań jego ojca, zabezpieczenia ich przed wkroczeniem ekipy sprzątającej. Po zabraniu nagrody wezwano oddział Delta Force.

- Admirale?

Wiktor Petkow popatrzył na swojego podwładnego.

- Nikt więcej nie może wiedzieć o „Drakonie”.

- Admi... rale...

Zapadła cisza. Petkow wbił w młodego marynarza swoje stalowoszare oczy.

- Tak jest, admirale...

- Utrzymamy tę bazę, poruczniku. Znajdziemy Amerykanów, którzy tu byli. - Petkow zacisnął mocno pięść. - Wykonamy nasze zadanie.

- Tak jest!

- Mam nowe rozkazy do przekazania ludziom. Porucznik wyprężył się, gotów do przyjęcia zadania. Wiktor Petkow powiedział mu, czego oczekuje. Jednostka Polaris ma być rozpakowana i zamocowana do podłogi poziomu piątego. Cała załoga została zapoznana z celem misji: mieli przejąć wyniki badań, a potem zlikwidować bazę. Ale choć wszyscy zdawali sobie sprawę z destrukcyjnego charakteru instalacji na poziomie piątym - uważali je za zwykły ładunek nuklearny klasy Z - nikt nie znał jego prawdziwego potencjału i przeznaczenia.

Kiedy Wiktor Petkow podawał kod uzbrojenia Polaris, porucznik zbladł.

- Nie pozwolimy Amerykanom zabrać stąd nagrody - dodał na koniec admirał. - Nawet gdyby miało to kosztować życie nas wszystkich, nie może do tego dojść.

- Tak jest, admirale... oczywiście, admirale... - jękał się młodzieniec. - Moi ludzie ich znajdą.

- Nie zawiedźcie mnie, poruczniku. Odmaszerować. Porucznik odszedł tak szybko, że wyglądało to niemal jak ucieczka. Nie ma lepszego sposobu zmotywowania załogi niż zagrożenie śmiercią, pomyślał Petkow. Znajdą Amerykanów i odbiorą nagrodę albo nikt nie opuści tej bazy żywy - ani Amerykanie, ani Rosjanie, ani on sam.

Słuchając kroków oddalającego się porucznika, popatrzył na swój monitor nadgarstkowy. Gwiazda Polaris świeciła na nim jasno, informując o ciągłym kontakcie z instalacją. Znajdujący się w środku ekranu układ zapłonowy nadal pozostawał ciemny.

Petkow czekał.

Miał przedtem nadzieję, że przed zdetonowaniem Polaris wróci do Rosji z badaniami ojca i oczyści rodzinne nazwisko ale teraz sytuacja uległa zmianie.

Piął się bez przeszkód po drabinie stanowisk we Flocie Północnej i został jej admirałem, ponieważ umiał dostosowywać strategię do okoliczności i cały czas dostrzegał szerszą perspektywę. Nie inaczej było także w tej chwili. Popatrzył na małe rysunek serca, znajdujący się w dolnym rogu monitora nadgarstkowego, i cofnął się myślami w czasie.

Miał osiemnaście lat, wchodził do rodzinnego domu, przepełniony dumą, ściskając w rękach dokument informujący o przyjęciu go do Akademii Marynarki Wojennej ZSRR. Najpierw poczuł mocz. Potem silny wiatr, który wpadł za nim przez otwarte drzwi, zabujał wiszącą na sznurze matką. Skoczył do przodu, wypuszczając list o przyjęciu do Akademii, który poleciał matce pod nogi.

Zamknął oczy. Zatoczył pełny krąg - zostawił ciało matki i przybył tutaj, do grobowca ojca.

Od jednej śmierci do kolejnej.

Nadszedł czas zakończyć ten cykl.

Zemsta była dla niego ważniejsza niż honor.

To właśnie była owa szersza perspektywa.

Otworzył oczy i zauważył, że obraz na monitorze uległ zmianie - odrobinę, ale wyraźnie. Pięć gwiazdek w dalszym ciągu zapalało się po kolei wokół centralnego punktu, a w rogu z każdym uderzeniem jego serca rozbłyskiwało małe serduszko, dołączył jednak do tego kolejny symbol - rubinowy diament pośrodku ekranu.

Porucznik wypełnił rozkaz.

System Polaris został uzbrojony.

Wszystko zależało już tylko od niego.

Sięgnął do jedyne przycisku, którego do tej pory nie dotykał. Wcisnął czerwony występ na krawędzi monitora i przytrzymał go przez wymaganą minutę.

Sekundy mijały - w końcu światelko pośrodku zaczęło migotać. Urządzenie zostało aktywowane.

Admirał przyglądał się mignięciom i czekał, aż migotanie markera zapalnika zsynchronizuje się z ikoną serca w rogu. Dopiero wtedy puścił przycisk.

Dzieło zostało dokonane.

Mechanizm detonujący Polaris był teraz zespolony z jego pulsem. Jeżeli jego serce przestanie na minutę bić, dojdzie do eksplozji - Było to dodatkowe zabezpieczenie, plan zapasowy na wypadek gdyby wszystko obróciło się przeciwko niemu. Opuścił rękę.

Był teraz żywym detonatorem. Nie istniał kod przerywający sekwencję, nie było zabezpieczenia na wypadek awarii. Po wydaniu sygnału zapłonu nic nie mogło powstrzymać Polaris.

Po wybuchu stary świat przestanie istnieć i zacznie się nowy, wykuty z lodu i krwi. Petkow zemści się na wszystkich: na Rosjanach, na Amerykanach, na całym świecie. Żałował jedynie, że nie będzie mógł tego oglądać.

Umiał jednak radzić sobie z żalem... robił to przez całe życie.

Kiedy chciał się odwrócić i odejść, zbliżył się do niego marynarz. Nadbiegał z korytarza, w którym stały zbiorniki z zamrożonymi ludźmi.

- Admirale! Admirale Petkow!

- Co się stało?

- Ccc... coś... - Marynarz wskazał za siebie, na korytarz. - Coś się tam dzieje!

- O co chodzi? O Amerykanów? - Przy szybie wentylacyjnym, w którym eksplodował granat zapalający, postawiono grupę wartowników, którzy mieli poczekać, aż zrobi się w nim trochę mniej gorąco, i ruszyć w pogoń za uciekinierami.

- Nie, nie o Amerykanów! - Marynarz miał rozszerzone z przerażenia oczy. - Sami musicie to zobaczyć!

GODZINA 15.29

...dwa... jeden...

Matt obserwował bezgłośnie odliczanie Bratta, podkreślane zginaniem palców i zakończone zamknięciem dłoni w pięść...zero... start!

Washburn zaczęła wrywać bezpieczniki odpowiedzialne za zasilanie poziomu pierwszego, ale stara instalacja stawiała opór, była głęboko wżarta w gniazda. Odbywało się to zbyt wolno.

Matt odsunął Murzynkę na bok i trzonkiem siekiery rozbił rząd bezpieczników. Strzeliła kaskada iskier, syknęło i w górą popłynęła struga dymu.

Efekt był natychmiastowy. Z oddali rozległy się głośne krzyki.

Bratt dał im znak, aby podeszli do drzwi. Matt widział przez okienko w drzwiach, jak grupa ludzi w białych kurtkach biegnie w kierunku centralnych schodów. Ich karabinki były gotowe do strzału. Rozległy się kolejne krzyki, przerywane warknięciami rozkazów.

Dwóch z czterech wartowników pobiegło schodami w górę, a dwóch zostało.

- Dwa ptaszki nie chcą wylecieć z gniazda - mruknął Greer.

- Będziemy musieli ich załatwić - stwierdził Bratt. - Nie mamy wyboru.

Wartownicy, obaj w rozpiętych kurtkach, pilnowali swoich posterunków, ale patrzyli na schody, więc byli odwróceny plecami do pomieszczenia elektrycznego.

Bratt wskazał na Marta i Washburn.

- Wy bierzecie tego z lewej, my z Greerem drugiego. Matt przygotował siekiere. Jeszcze nigdy nikogo nie zabił taką prymitywną bronią. W Zielonych Beretach strzelał do ludzi, jednego przebił bagnetem, nikogo jednak nie zarąbał siekiere. Popatrzył na Craiga.

Dziennikarz patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Stał przy drzwiach do generatorowni.

- Patrz przez okienko - powiedział Matt. - Jeżeli cokolwiek pójdzie nie tak, zasuwaj do pozostałych. Niech wieją gdzie pieprz rośnie.

Craig otworzył usta, ale zaraz je zamknął i kiwnął głowę. Kiedy podchodził do drzwi, coś wypadło mu z kieszeni kurtki i uderzyło o podłogę.

Bratt jęknął, ale dudnienie generatorów wszystko zagłuszało. Matt podniósł zgubę dziennikarza. Gruby zeszyt. Rozpoznał w nim jeden z dzienników z laboratorium. Uniósł brew i oddał go Craigowi.

- Do artykułu - wyjaśnił szybko tamten i schował brulion. - Jeżeli kiedykolwiek się stąd wydostaniemy...

Matt musiał przyznać, że facet ma klasę. Cały czas pamięta o swojej robocie.

- Gotowi? - zapytał Bratt.

Pokiwano głowami.

Bratt sięgnął do klamki. Zaczekał, aż z góry doleci głośniejsza salwa krzyków, po czym pchnął drzwi. Czterech mężczyzn wbiegło cicho do dużej sali, rozdzielając się na dwójki, z których każda ruszyła do „swojego” wartownika. Obaj Rosjanie byli cały czas odwróceny do nich plecami.

Matt biegł, nie zwracając uwagi na ból w stopach. Siekierę trzymał oburącz. Washburn mknęła obok niego i po pięciu krokach go wyprzedziła.

Rozpędzona, nie zauważyła leżącej na podłodze tacy obiadowej.

Jej stopa trafiła prosto na tacę i uciekła spod ciała Washburn, zamieniając znakomity sprint w bezładny wiatrak rąk i nóg. Kobieta próbowała przytrzymać się stołu, ale efekt był taki, że wylądowała razem z meblem u stóp wartowników.

Hałas sprawił, że odwrócili się - z uniesioną do strzału bronią.

Bratt i Greer byli już dostatecznie blisko. Bratt rzucił w jednego z wartowników skalpelem. Precyzyjnie wycelowane ostrze wbiło się w lewe oko Rosjanina. Padł do tyłu, z otwartymi ustami, zanim jednak zdążył krzyknąć, znalazł się nad nim Greer.

Matt przeskoczył próbującą wstać Washburn.

Lecąc w powietrzu, zamachnął się siekierą, był jednak zbyt powolny, znajdował się za daleko.

Z lufy kałasznikowa wartownika plunął ogień i wygryzł ścieżkę na ramieniu Matta, ale następne kule jakimś sposobem poszły w górę.

Dopiero wtedy Matt zauważył leżącą na podłodze Washburn. Rzuciła jednym ze swoich haków do mięsa, który przebił udo żołnierza i wytrącił go z równowagi.

Kiedy Rosjanin padał do tyłu, Matt uderzył go siekierą w głowę. Czaszka pękła jak dojrzały arbuz.

Matt puścił trzonek siekiery i odskoczył w bok, nie chcąc patrzeć na konwulsyjne drgawki wartownika. Drżały mu ręce. Zbyt wiele lat minęło od czasu, kiedy był żołnierzem. Popelnił błąd, patrząc w oczy człowieka, którego musiał zabić - raczej chłopca niż mężczyzny. Rosjanin miał nie więcej niż dziewiętnaście lat.

Stanął przy nich Bratt.

- Idziemy. Ktoś na pewno usłyszał strzały. Nie możemy liczyć na zbyt wiele czasu.

Matt przełknął pod wpływającą mu do gardła żółć i wstał. Musiał dalej działać. Pamiętał sno-cata Jenny, znikającego w mrocznej zadymce wśród strzelaniny i wybuchów.

Nie oni zaczęli tę wojnę.

Greer ściągał z zabitego przez siebie żołnierza strój kamuflujący: białą kurtkę i spodnie.

- Potrzebujemy kogoś, kto będzie robił za obserwatora - mruknął.

Starł z wodoodpornej tkaniny plamy krwi i zaczął się przebierać, zamierzając udawać zabitego.

- Ja to zrobię - powiedział Matt. - Ty wiesz lepiej, czego potrzebujemy ze zbrojowni.

Greer kiwnął głową i rzucił mu mundur zabitego.

Matt usiadł na krześle i zaczął wciągać spodnie przez mokasyny. Rosjanin był od niego znacznie mocniej zbudowany, co ułatwiało mu ubieranie się. Zrzucił białą kurtkę na swoją i podniósł z podłogi kałasznikowa.

Washburn i Bratt przeciągnęli ciała za dwa przewrócone stoły, a potem Bratt porozbijał kolbą karabinu kilka żarówek, aby szczegóły były mniej widoczne.

- Idziemy - powiedział w końcu i ruszył z Washburn i Greerem do zbrojowni.

Po chwili zniknęli za drzwiami.

Matt naciągnął na głowę kaptur i popatrzył po sobie.

Jeśli nic innego mi nie pozostało, to przynajmniej umrę w spodniach, pomyślał.

Podszedł do schodów, żeby zasłonić sobą plamy krwi. Wkrótce ktoś na pewno się zjawi, aby sprawdzić, co było powodem strzelaniny. Bratt miał rację, zamieszanie zbyt długo nie potrwa.

Matt modlił się, aby wystarczyło im czasu na uzbrojenie się. Jego modlitwa nie została jednak wysłuchana. Na schodach załomotały kroki - z góry. Ktoś szedł do nich.

Cholera...

Przysunął się jeszcze bliżej do schodów i stanął z nisko pochyloną głową, aby go nie rozpoznano. Zjawiała się grupa żołnierzy z bronią gotową do strzału. Zaczęli wrzeszczeć do niego po rosyjsku.

Niczego nie rozumiał.

Udając przerażenie, podszedł do samych schodów. Miał opuszczoną broń, ale trzymał palec na spuście. Drugą ręką wskazał w dół i zamachał nią gorączkowo. Przy tym hałasie i wrzaskach żołnierze prawdopodobnie nie byli w stanie rozróżnić, skąd doleciały odgłosy strzelaniny. Matt próbował dać im do zrozumienia, że strzelano na którymś z dalszych poziomów.

Aby uwiarygodnić swoje przedstawienie, zrobił krok do przodu, jakby zamierzał iść razem z nimi.

Dowódca oddziału skinieniem ręki kazał mu zostać na miejscu, a swój oddział posłał niżej. Żołnierze pobiegli na dół.

Kiedy ostami z nich zniknął za zakrętem schodów, Matt cofnął się i westchnął z ulgą. Oszustwo za chwilę wyjdzie na jaw, ale na razie szczęście im dopisywało.

W drzwiach zbrojowni pojawił się Bratt, obładowany bronią jak wielbłąd.

- To się nazywa szybkie myślenie - mruknął z uznaniem, spoglądając w stronę schodów. Musiał obserwować całą sytuację.

Za plecami Bratta pojawili się Washburn i Greer - obładowani podobnie jak on. Nieśli też drewnianą skrzynkę.

- Granaty - wyjaśnił Greer Mattowi, kiedy go mijali. - Teraz kolej na kilka niespodzianek z naszej strony.

Pobiegli do pomieszczenia elektrycznego, a potem do generatorowni. Craig zniknął - na pewno wrócił do reszty.

Z pewnym trudem przepętlili przez właz, przeciągnęli przez niego broń i skrzynkę z granatami.

Matt prowadził, uzbrojony w zdobyczny kałasznikowa i dwa dodatkowe karabiny, które przewiesił przez plecy. Kieszenie kurtki miał pełne amunicji.

Kiedy doszli do końca korytarza, wytoczył się z niego do pomieszczenia serwisowego, wstał i zaczął się z niedowierzaniem rozglądać.

Pomieszczenie było puste. Wszyscy zniknęli. Za Mattem zjawiała się Washburn. Miała ponurą minę.

- Dziennikarz musiał się przestraszyć strzałów i zwać z pozostałymi.

Matt pokręcił głową.

Kiedy Greer ujrzał puste pomieszczenie, jęknął.

- Nienawidzę tego! Ściągamy sobie na głowę kłopoty, żeby przynieść coś na imprezkę, a wszyscy wychodzą.

- Ale dokąd mogli pójść? - zastanawiał się Matt. Bratt zdążył już przeszukać podłogę.

- Nie mam pojęcia, w każdym razie zabrali ze sobą plan... to była nasza jedyna mapa tego przeklętego miejsca.

GODZINA 15.38

Admirał Petkow szedł za młodym matem wzdłuż szeregu pojemników. Starał się nie patrzeć na ich zawartość, ale czuł na sobie spojrzenie zmarłych, niemal słyszał oskarżenia tych mimowolnych uczestników eksperymentów ojca.

Nie były to jedyne duchy, które rościły sobie prawo do utraconej bazy. Wszyscy stacjonujący tu kiedyś naukowcy - z jego ojcem włącznie - zginęli, zamknięci w lodzie tak samo jak nieszczęśnicy znajdujący się w tym korytarzu.

A kolejnym duchem, który tędy szedł, był Biały Duch Floty Północnej.

Mat Lauzewicz prowadził admirała, niemal potykając się z pośpiechu.

- Nie bardzo wiem, co to znaczy, ale pomyśleliśmy, że powinniście to sami zobaczyć.

Wiktor machnął ręką.

- Pokaż.

Korytarz zakręcał równoległe do zewnętrznej ściany. Byli prawie w jego połowie, gdy z przodu doleciał śmiech. Wyszli zza zakrętu i ujrzeli przed sobą grupkę pięciu żołnierzy. Stali w swobodnych pozach, jeden palił - dopóki nie zobaczyli admirała.

Śmiech zamarł, wszyscy się wyprężyli. Papieros został pospiesznie zdeptany.

Grupa żołnierzy rozdzieliła się przed dowódcą. Stali przed jednym z pojemników. W odróżnieniu od pozostałych, ciemnych, ten świecił od środka. Szron pokrywający przednią szybę rozpuścił się i spływał po niej mokrymi strugami.

Kiedy Wiktor podszedł bliżej, poczuł bijące od pojemnika ciepło. Zza jego tylnej ściany dolatywał terkot kaszłającego i rżącego silnika, któremu towarzyszył cichy bulgot.

- Nie wiedzieliśmy, co robić - powiedział Lauzewicz, przeczesując palcami swoje ciemne włosy.

W pojemniku nie było już lodowego bloku, lecz delikatnie bulgocząca ciepła woda, w którą zamienił się lód w wyniku działania potrójnej warstwy siatki grzewczej, pokrywającej całą tylną ściankę zbiornika. Siatka ta była również źródłem światła. Jej zewnętrzne warstwy świeciły czerwono, wewnętrzne bardziej intensywnie, jaśniej.

- Dlaczego nie powiedziano mi o tym wcześniej?

- Myśleliśmy, że to jakaś sztuczka Amerykanów, mająca odwrócić naszą uwagę - powiedział jeden z żołnierzy. - Ten pojemnik jest dokładnie przy przejściu, którym uciekli. - Wskazał właz w ścianie. Przez otwór wydobywał się jeszcze dym po wybuchu granatu zapalającego.

- Nie byliśmy pewni, czy to ważne - dodał Lauzewicz. Nieważne? Wiktor Petkow w milczeniu wpatrywał się w zbiornik. Nie mógł oderwać oczu od tego, co widział.

W środku pływał chłopiec, zawieszony w bulgoczącej wodzie. Miał zamknięte oczy, jakby spał. Jego spokojna, gładka oliwkowa twarz była otoczona aureolą sięgających do

ramion czarnych włosów. Ręce przyciskał do boków i wyglądał jak aniołek. Jak coś doskonałego.

Nagle lewe ramię chłopca drgnęło, jakby ktoś pociągnął je za niewidzialny sznurek.

Młody mat popatrzył na admirała.

- Robi tak od kilku minut. Zaczęło się od ruchu palca. Po chwili ostrym, spazmatycznym ruchem poruszyła się noga chłopca.

Wiktor podszedł jeszcze bliżej. Czyżby ten malec ciągle żył? Pomyślał o zaginionych dziennikach z raportami. To one były najważniejsze - dzienniki ojca. Musiał sprawdzić, czy ostami raport ojca był prawdziwy. Czytał go osobiście, słysząc w głowie głos ojca, jakby to Władimir Petkow mu go czytał.

Pamiętał ostatnie zdanie: „Tego dnia pokonaliśmy śmierć”.

Przez chwilę obserwował chłopca. Czy to mogła być prawda? Jeżeli tak, kradzież notesów nie ma znaczenia. Dowód sukcesu ojca znajdował się przed jego oczami. Popatrzył na żołnierzy. Miał świadków, którzy to potwierdzą. Dokładny mechanizm i procedura były zapisane w zaszyfrowanych dziennikach ojca, ale chłopiec byłby żywym dowodem.

- Czy można otworzyć ten pojemnik? - zapytał.

Mat Lauzewicz wskazał znajdującą się z boku pojemnika dużą dźwignię. Była zablokowana w górnym położeniu, oznakowanym rosyjskim słowem ZAMKNIĘTE. W dolnym końcu szczeliny, wzdłuż której można było przesunąć dźwignię, był napis: OTWARTE.

Wiktor Petkow skinął głową.

Lauzewicz zrobił krok naprzód, złapał oburącz masywny drążek i pociągnął go w dół. Przez chwilę mechanizm się opierał, a potem dźwignia z głośnym trzaskiem skoczyła do przodu. Lauzewicz musiał użyć całej siły ramion, aby utrzymać ją w tej pozycji i zepchnąć na dół.

Natychmiast rozległ się chlupot wypływającej z pojemnika wody. Wiktor Petkow widział ze swojego miejsca, jak w dnie zbiornika otwiera się niewielka kratka.

Chwycone przez odpływającą wodę ciało chłopca zawirowało i jego ramiona rozłożyły się poziomo na boki. Ciało zdawało się pozbawione kości, całkiem bezwładne. Uderzyło w przednią szybę, a potem w siatkę z tyłu. Kiedy woda spłynęła do końca, chłopiec opadł na dno pojemnika jak kupka szmat, bez jakichkolwiek oznak życia. Przypominał wyrzucone na morski brzeg dziwne głębinowe zwierzę.

Nagle uszczelka szyby puściła z cichym, wilgotnym cmoknięciem i cały przód pojemnika otworzył się niby drzwiczki, wypuszczając na zewnątrz sprężone powietrze. Wokół rozszedł się delikatny zapach amoniaku.

Lauzewicz całkowicie otworzył pojemnik.

Wiktor Petkow zrobił krok do przodu i opadł przy nagim chłopcu na kolana. Dotknął jego zwisającego na zewnątrz ramienia.

Było ciepłe, ogrzane bulgocącą kapielą. Nie wyczuł w nim jednak życia.

Przesunął dłoń od nadgarstka ku małym paluszkom. Chciał siłą woli zmusić chłopca, by powrócił do życia. Co malec mógłby mu opowiedzieć? Czy znał jego ojca? Wiedział, co tu się działo? Dlaczego baza nagle przestała funkcjonować?

Były to ostatnie lata drugiej wojny światowej. Odległa arktyczna stacja badawcza zamilkła, spóźniła się z raportem o miesiąc, potem o kolejny, ale ponieważ kraj pustoszyła wojna, nikt nie miał czasu tego zbadać. Przy ówczesnym poziomie komunikacji i trudnościach, z jakimi wiązała się wyprawa w arktyczne rejony, nie było możliwości przeprowadzenia dochodzenia.

Minął kolejny rok. Zbombardowano Hiroszimę i Nagasaki. Broń atomowa stała się najważniejszym elementem arsenału i wszyscy starali się ją zdobyć. Realizowany w Stacji Lodowej Grendel projekt badawczy stał się przestarzały, niewart angażowania ludzi i środków, aby odkryć, co się z nim stało. Prądy mogły przenieść stację w dowolne miejsce. Lodowa wyspa, w której została zbudowana, mogła nawet popękać na części i zatonać, co często zdarza się w przypadku takich pływających gigantów.

Minęły kolejne lata.

Ostami raport ojca, w którym twierdził, że pokonał granicę między życiem a śmiercią, został potraktowany jak wyssane z palca rojenia i odstawiony na półkę. Jedyne dowód znajdował się w dziennikach z raportami dotyczącymi badań, zaginionych wraz z bazą i kierownikiem projektu.

Tajemnica życia i śmierci...

Wiktor Petkow patrzył na chłopca. Jego wargi były błękitnawe, a cała twarz szara i mokra. Admirał osuszył policzki malca dłonią.

Gdy to robił, wokół jego drugiej dłoni zacisnęły się mocno drobne paluszki, mocniej, niż mógłby się spodziewać.

Po chwili leżące cały czas wewnątrz pojemnika ciało chłopca wygięło się spazmatycznie. Nogi zaczęły kopać, głowa odgięła się do tyłu, a kręgosłup wyprężył.

Z otwartych ust chłopca wyleciała woda i spłynęła odpływem w pojemniku.

- Pomóżcie mi go wydostać! - krzyknął Wiktor Petkow, ciągnąc chłopca do siebie.

Mat Lauzewicz wcisnął się do środka pojemnika i złapał za kopiące nóżki, zanim jednak zdołał je unieruchomić, dostał niezłego kopniaka w skroń.

We dwóch wyciągnęli chłopca ze zbiornika. Ciało szarpało się, kończyny gwałtownie młóciły powietrze. Wiktor objął głowę chłopca, aby nie rozbił sobie czaszki na twardej podłodze. Oczy malca poruszały się pod powiekami.

- On jest żywy! - zawołał jeden z żołnierzy, w przerażeniu cofając się o dwa kroki.

Nie żywy, poprawił go w myśli admirał, ale i nie martwy. Jest gdzieś pośrodku.

Konwulsje trwały dalej i skóra chłopca zrobiła się gorąca, zaczęły ją pokrywać krople potu. Wiktor Petkow wiedział, że jednym z głównych zagrożeń podczas bardzo gwałtownych albo bardzo długich napadów padaczki jest spowodowane intensywnymi skurczami mięśni przegrzanie organizmu, które może spowodować uszkodzenie mózgu. Czy chłopiec umierał, czy też jego ciało walczyło o rozgrzanie się, usunięcie ostatnich pozostałości stanu hibernacji?

Po chwili konwulsje przeszły w silne drżenie. Admirał cały czas trzymał chłopca. W końcu klatka piersiowa małego uniosła się, jakby coś chciało ją rozsadzić od środka. Całe ciało było wygięte łukiem w górę, a wargi, jeszcze niedawno fioletowe, zrobiły się różowe, skórę zlewał pot.

Nagle ciało chłopca zapadło się w sobie i z głębi jego piersi wydobył się urywany kaszel. Malec zamarł w bezruchu, powrócił do udreżonego snu, jak na początku.

Wiktor Petkow poczuł, że przeszywa go fala żalu, poczucie utraty kogoś bliskiego.

Być może było to najważniejsze osiągnięcie jego ojca - ale ostatecznie nieudane.

Popatrzył na twarz chłopca, spokojną teraz i odprężoną.

W tym momencie mały otworzył oczy i zdziwiony spojrział na pochylającego się nad nim mężczyznę. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała. Podniósł dłoń nad podłogę, zaraz ją jednak opuścił.

Żył...

Chłopiec poruszył ustami i wypowiedział jakieś słowo, ale tak cicho, że niemal niesłyszalnie:

- *Otiec...* Rosyjskie słowo.

Wiktor Petkow popatrzył na stojących wokół żołnierzy. Kiedy opuścił wzrok na małego, zobaczył, że chłopiec w dalszym ciągu się w niego wpatruje.

Małeńkie usta znów się poruszyły i powtórzyły poprzednie słowo:

- *Otiec...*

Zanim admirał zdążył cokolwiek odpowiedzieć, tuż obok załomotały ciężkie buciory. Nadbiegła grupa uzbrojonych żołnierzy.

- Admirale! - krzyknął idący przodem porucznik.

- Co się stało?

Porucznik popatrzył na klęczącego dowódcę, potem na nagie dziecko na podłodze, potem znów na admirała.

- Admirale, Amerykanie... zgłosiło światło na najwyższym poziomie. Sądzymy, że próbują uciec.

Wiktor Petkow zmrużył oczy. Nie ruszał się z miejsca.

- Nonsens.

- Admirale...? - Dowódca oddziału był wyraźnie zdziwiony reakcją przełożonego.

- Amerykanie nigdzie się nie wybierają. Cały czas są w bazie.

- Co mamy robić?

- Wasze rozkazy się nie zmieniły. - Wiktor Petkow wpatrywał się w chłopca, wiedział, że mały jest kluczem do wszystkiego. Nic innego się nie liczyło. - Ścigajcie ich. I zabijcie.

GODZINA 15.42

Poziom niżej Craig pełził tunelem serwisowym. W rękę ścisnął mapę. Komora musiała być niedaleko. Pozostali podążali za nim.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu tuneli. Pełno tu było rur i przewodów. Przepięknie się przez nie i skręcił w lewo.

- Jak daleko jeszcze? - spytał z tyłu doktor Ogden. Craig nie musiał mu odpowiadać - przez kratkę w podłodze, zakrywającą ujście szybu, wsączało się przytłumione światło.

Podpełzł do niego szybko, opadł na brzuch i dokładnie obejrzał pomieszczenie w dole, oświetlone tylko jedną żarówką. Wydawało się prostokątne, a jego ściany wyłożono stalowymi płytami, podobnie jak w innych pomieszczeniach stacji. Było jednak puste, dawno pozostawione samemu sobie.

Najlepsza kryjówka, jaką mógł wymyślić.

Izolowana od reszty bazy, położona daleko od miejsc, w których kręcili się ludzie.

Obrócił się nogami do przodu, aby odsunąć kratę stopami. Śruby początkowo nie chciały puścić, ale jego desperacja okazała się silniejsza od skorodowanej stali i lodu. Po chwili krata opadła na zawiasach w dół.

Craig wystawił głowę na dół, aby upewnić się, czy nic im nie grozi, po czym przekręcił się, wysunął w dół nogi i opuścił się do pomieszczenia.

Nie spadł z wysoka. Pomieszczenie zostało kiedyś zalane wodą, która dotarła do wysokości metra i zamarzała. Z lodu do połowy wystawały skrzynki i beczki oraz regał z narzędziami - jego pierwsze trzy półki skrywał lód.

Najdziwniejszy był jednak widok dwóch gigantycznych mosiężnych kół. Miały mniej więcej po trzy metry średnicy i były połączone potężnymi sześciokątnymi osiami z tkwiącymi w lodzie silnikami. Obiegające zewnętrzne krawędzie kół zęby wpasowane były w rowki masywnej mosiężnej płyty, tworzącej jedną ścianę pomieszczenia.

Prawe koło było pochylone, najwyraźniej zostało wyrwane z płyty przez jakąś dawną eksplozję. Na powierzchni metalu widać było ślady ognia. Wyrывая się ze swojego łożyska, koło przebiło metalową ścianę. Być może właśnie to spowodowało zalanie pomieszczenia.

Craig wyjrzał przez pęknięcie, ale było za ciemno, aby dało się coś zobaczyć.

- Co to za miejsce? - spytała Amanda i rozejrzała się wokół, zatrzymując spojrzenie na gigantycznej przekładni.

Craig odwrócił się do niej, aby mogła czytać z jego warg.

- Według schematu jest to pomieszczenie kontrolne bramy wychodzącej na morze. - Wskazał na mosiężną ścianę. - Stąd opuszczano i podnoszono bramę, kiedy rosyjska łódź podwodna dokowała w jaskini pod nami.

Do środka zdążyli już wejść doktor Ogden i jego trójka studentów. Wszyscy rozglądali się nerwowo.

- Będziemy tu bezpieczni? - spytała Magdalene.

- Bezpieczniejsi niż gdzie indziej - odparł Craig. - Rosjanie na pewno wkrótce zaczną przeczesywać tunele i wrzucać do nich granaty zapalające. Chyba lepiej ukryć się tutaj. To pomieszczenie jest oddalone od głównego kompleksu, może nawet Rosjanie nie wiedzą o jego istnieniu.

Podszedł do drzwi w ścianie naprzeciwko wychodzących na morze wrót. Przez znajdujące się w nich niewielkie okienko widać było wąski korytarz, prowadzący do stacji. Wypełniała go woda, sięgająca niemal do sufitu. Żaden Rosjanin stamtąd nie nadejdzie.

Amanda musiała się zbliżyć do niego, aby czytać z jego warg.

- A co z Mattem i marynarzami?

Craig zagryzł wargi. Trudno mu było spojrzeć jej w oczy.

- Nie mam pojęcia. Będą musieli sami zadbać o siebie. Obserwując z pomieszczenia elektrycznego sytuację, widział, jak Washburn się poślizgnęła i upadła, ściągając na siebie uwagę wartowników. Strzelanina, która po tym nastąpiła, zmusiła go do powrotu do cywilów. Matt i reszta byli już albo martwi, albo w niewoli. Tak czy siak, nie mógł ryzykować, że również zostanie złapany. Zabrał więc wszystkich pozostałych dalej - wybierając tym razem zejście w dół. Pomieszczenie kontroli wrót morskich wydawało mu się idealną kryjówką.

Doktor Ogden podszedł do nich wraz ze swoimi studentami. Wszyscy ostrożnie stawiali stopy na lodzie.

- A więc będziemy tu siedzieć i czekać, aż Rosjanie sobie pójdą?

Craig odsunął na bok skrzynkę pełną butelek po wódce. Mieszkańcy stacji musieli sobie zrobić na koniec przyjęcie. Kiedy przesuwał skrzynkę, butelki zagrzechotały. Usiadł na drugiej, pustej skrzynce. Marzył o mocnym drinku.

- Do tej pory prawdopodobnie ktoś już się dowiedział o tym, co tu się dzieje. Pomoc pewnie jest w drodze. Musimy przetrwać do jej przybycia.

Amanda wpatrywała się w niego przenikliwym, świdrującym spojrzeniem. Craig czuł, jak bardzo jest wściekła. Nie chciała wcześniej uciekać, nie znając losu Marta i marynarzy, została jednak przegłosowana.

Odwrócił się, nie mogąc wytrzymać tego milczącego oskarżenia. Potrzebował czegoś, co pozwoliłoby wszystkim zacząć myśleć o czymś innym niż sytuacja, w której się znaleźli. Sięgnął za pazuchę kurtki i wyciągnął jeden z dzienników, które zabrał z laboratorium. Kiedy to przeczytają, może któryś z nich wpadnie na pomysł, jak rozwiązać tę zagadkę.

Na widok notesu oczy Amandy rozszerzyły się.

- Ukradł to pan?

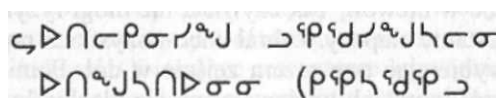
Craig wzruszył ramionami.

- Wziąłem pierwszy zeszyt i dwa ostatnie. - Wyjął zza pazuchy pozostałe dwa bruliony. Jeden podał Amandzie, drugi Ogdenowi. - Pomyślałem sobie, że to najlepszy wybór. Początek i koniec. Komu potrzebny środek?

Amanda i doktor Ogden otworzyli otrzymane dzienniki. Studenci zaglądali profesorowi przez ramię.

- To jakieś bzdury - powiedział Zane, najmłodszy z nich, krzywiąc się z niesmakiem.

- Nie, to kod - poprawiła go Amanda, przerzucając kartki. Craig postukał palcem w trzeci zeszyt, który miał na kolanach. Wpatrywał się w pierwszą linijkę.



- Co to za pismo? Na pewno nie są to litery rosyjskiego alfabetu - mruknął.

Amanda zamknęła swój brulion.

- Wszystkie zeszyty są tak samo zapisane. Do ich odszyfrowania trzeba będzie zatrudnić cały sztab kryptologów.

- Ale po co to było szyfrować? - zdziwił się Craig. - Co takiego się w nich kryje?

Amanda wzruszyła ramionami.

- Dawniej naukowcy mieli paranoję w związku ze swoimi odkryciami i kodowali notatki na różne sposoby. Nawet Leonardo da Vinci zapisywał wszystko tak, że dało się to odczytać jedynie w lustrze.

Craig wpatrywał się w dziwaczne pismo, próbując odnaleźć w nim jakiś sens. Nic mu nie przychodziło do głowy. Prawdopodobnie brakowało jakiegoś kluczowego elementu.

Kiedy wreszcie się wyprostował, usłyszał jakiś dziwny odgłos. Z początku wydawało mu się, że to jedynie gra jego wyobraźni, ale hałas narastał.

- Co to? - spytała Magdalene.

Craig wstał.

Amanda zaczęła się rozglądać.

Craig poszukał źródła dźwięku. Dolatywał z pęknięcia, zrobionego w ścianie przez wyrwane koło zębate. Pochylił się i nadstawił uszu.

- To chyba... szczekanie... - powiedział Zane, kiedy wszyscy zebrali się przy otworze.

- Tak, to pies - potwierdził doktor Ogden.

- Pewnie, że pies! - zawołał Craig, rozpoznając charakterystyczne szczekanie. Przez ostatnie dni wystarczająco dużo się go nasłuchiwał. Nie miało to jednak sensu. - To Bane...

Trzy ślepe myszki

9 KWIETNIA, GODZINA 16.04**STACJA LODOWA GRENDEL**

Kucając na skrzyżowaniu tuneli i unosząc w górę zaciśniętą pięść, Jenny dała Bane'owi znak, aby był cicho. Mieszaniec warczał basowo i wciskał jej się w bok. Matt wytresował psa na komendy podawane gestami, co było szczególnie przydatne podczas polowania.

Tym razem jednak to oni byli zwierzyną.

Za Jenny stał Tom Pomautuk, flankowany przez Kowalskiego. Wskazywał palcem zielony romb, namalowany na ścianie odchodzącego w lewo tunelu.

- Tędy - szepnął.

Jenny dała znak Bane'owi, aby prowadził. Pies ruszył naprzód. Ostrożnie, z nastroszonym grzbietem. Poszli za nim.

Przez minione pół godziny bestie migąły im co chwila - masywne i zarazem smukłe - ale podobnie jak w przypadku pierwszej, sposób, który wynaleźli, działał odstrasżająco.

Jenny ścisnęła raketnicę. Eksplozja światła i gorąca wystarczała, aby dezorientować stwory i zmusić je do cofnięcia, nie przerywały jednak pościgu. Zostały jej tylko dwie rakietki, już załadowane do podwójnych luf. Kiedy je wystrzeli, pozostaną bez amunicji.

Nagle latarka zamigotała i na długi moment w tunelu zrobiło się ciemno. Tom zaklął i walnął nią w ścianę. Zapaliła się, ale po chwili znowu zgasła. Kowalski jęknął.

Latarka, zabrana z twin ottera, była bardzo stara, należała do pierwotnego wyposażenia samolotu. Jenny nigdy nie wymieniają w niej baterii. Zwymyślała się w duchu za to niedopatrzenie.

- No, mała... - wymamrotał błagalnie Kowalski.

Tom potrząsnął latarką, tym razem oburącz. Niestety, nawet najbardziej energiczne potrząśnięcie nie było w stanie jej ożywić. Ciemność opadła na nich jak ciężki płaszcz.

- Bane... - szepnęła Jenny.

Poczuła znajome ocieranie się o nogę. Palcami wyczuła futro. Poklepała psa po boku. Odpowiedział jej cichym, prawie niesłyszalnym pomrukiem.

- Co teraz? - spytał Tom.

- Flary - odparł Kowalski. - Możemy zapalić jedną z nich i nieść ją. Może starczy nam do jakiegoś miejsca, w którym będziemy się mogli schować przed tymi stworami.

Jenny ścisnęła raketnicę.

- Zostały tylko dwa naboje. Co będzie, jeżeli te bestie dopadną nas wcześniej?

- Jeśli mamy mieć szansę na przeżycie, musimy je widzieć. Nie można było polemizować z tą logiką. Jenny otworzyła raketnicę.

- Zaczekajcie - szepnął Tom. - Popatrzcie w prawo. Czy to nie światło?

Jenny spojrzała we wskazanym przez niego kierunku, ale widziała tylko ciemność. Po chwili jednak dostrzegła niewyraźną plamkę światła. Coś przeświecało przez lód.

- To stacja.

- Niemożliwe - odparł Tom. - Powinniśmy być bardzo daleko od wejścia.

- Mimo wszystko to światło - powiedział Kowalski. - Sprawdźmy. Zapal flarę.

- Nie - zaprotestowała Jenny i zatrzasnęła raketnicę. - Blask oślepi nas i stracimy kierunek. Będziemy musieli szukać drogi po ciemku. - Jenny wsadziła raketnicę do kieszeni i wyciągnęła rękę do wielkiego marynarza. - Weźmy się za rękę.

Kowalski złapał jej dłoń, a Jenny drugą ręką ujęła dłoń Toma

- Bane, noga - szepnęła i ruszyli. Marynarz prowadził.

Pełzli tunelem jak trzy ślepe myszki. Poruszali się bardzo powoli. Jenny czuła dziwne napięcie w szczęce i delikatne drżenie głęboko za zębami trzonowymi. Czuła to zjawisko od chwili, gdy weszli do tuneli. Może były to jakieś wibracje generatorów albo silników, napędzających urządzenia stacji.

Nie bardzo jednak ją to wyjaśnienie przekonywało. Jeżeli źródłem tego zjawiska były urządzenia techniczne stacji, dlaczego się nasilało?

Pokonali kilka kolejnych zakrętów, zbliżając się coraz bardziej do światła.

- Wygląda na to, że schodzimy w dół - mruknął Kowalski.

Było zbyt ciemno, by stwierdzić, czy ma rację.

- Musieliśmy się porządnie oddalić od oznakowanego tunelu, którym szliśmy - powiedział Tom. - Możemy się łatwo zgubić.

- Światło zrobiło się jaśniejsze - oświadczyła Jenny, choć nie była tego pewna. Może to wynik adaptacji oczu do ciemności. Swędziała ją głowa. Co to było?

- Nasza sytuacja przypominała mi opowieść dziadka o Sednie - powiedział Tom.

- O czym? - zdziwił się Kowalski.

- Sedna to jeden z naszych bogów - wyjaśniła Jenny. Wiedziała, że nie powinna tyle mówić, ale słyszenie głosu, nawet własnego, zmniejszało dyskomfort ciemności. - Innuicki duch. Coś w rodzaju syreny. Mówi się, że zwabia do morza marynarzy, którzy płyną za jego świetlistą postacią, dopóki nie utoną z wyczerpania.

- Najpierw potwory, teraz duchy... Nienawidzę Arktyki. - Kowalski mocniej ścisnął palce Jenny.

Szli dalej, pogrążeni w swoich myślach i lękach.

Jenny słyszała sapanie Bane'a, drepczącego przy niej i klepiącego ją ogonem po nogach.

Po minucie, która ciągnęła się jak godzina, wyszli zza kolejnego zakrętu i ujrzeli, że światło dochodzi z jamy w lochu - a dokładniej z kawałka jej tylnej ściany. Lód jarzył się w tym miejscu jaskrawym szafirowym blaskiem, drażniąc ich odzwyczajone od światła oczy.

Puścili swoje ręce i podeszli bliżej.

Kowalski obejrzał jamę w ścianie.

- Ślepy zaułek - stwierdził. Tom i Jenny dołączyli do niego.

- Więc skąd bierze się to światło? - spytała Jenny. Usłyszano ją i jakiś głos krzyknął z drugiej strony ściany:

- Halo!

Był to kobiecy głos.

W odpowiedzi Bane szczechnął.

- To ta Sedna? - prychnął Kowalski.

- Nie, chyba że nauczyła się angielskiego - odpowiedział mu Tom.

Jenny uciszyła Bane'a i powtórzyła okrzyk nieznannej kobiety:

- Halo!

- Kto tam jest? - zapytał inny głos, tym razem męski. Rozpoznając ten głos, Jenny zadrżała.

- Craig?

Zapadła chwila ciszy.

- Jenny?

Podeszła do ściany. W nierównej powierzchni lodu była szeroka na pięć centymetrów szpara. Stamtąd płynęło światło. W szczelinie ukazały się fragmenty twarzy. Metr od Jenny. Do jej oczu napływały łzy.

Jeżeli był tam Craig, to pewnie i Matt...

- Skąd... co tu robisz? - spytał Craig.

Zanim Jenny zdążyła odpowiedzieć, Bane znów zaczął szczeleć. Kiedy odwróciła się, aby go uciszyć, okazało się, że wpatruje się w tunel, z którego przyszli.

Wpatrywały się w nich stamtąd czerwone ślepie, odbijające światło z pęknięcia.

- Cholera jasna... - jęknął Kowalski.

Stwór wszedł do groty i ruszył na nich. Był największy ze wszystkich, które dotychczas widzieli.

Jenny wyszarpnęła raketnicę, wycelowała i strzeliła. W powietrzu przeleciała ognista smuga i pocisk eksplodował między przednimi łapami bestii. Błysk poraził wszystkich.

Stwór ryknął i przysiadł. Odpychając się przednimi łapami cofnął się do tunelu, uciekając od oślepiającego blasku. Tom i Kowalski podeszli bliżej.

- To coś nie zniknie na długo - stwierdził marynarz. Jenny wciąż ścisnęła broń.

- Została mi tylko jeszcze jedna flara. - Odwróciła się do szpary w lodzie i powiedziała: - Potem nie będziemy mieli nic do ich odganiania.

Usłyszał ją Craig.

- To są grendle - powiedział. - Były tu zahibernowane przez tysiące lat.

Ale Jenny nie interesowały takie drobiazgi, przede wszystkim chciała poznać odpowiedź na inne pytanie.

- Gdzie Matt?

Craig westchnął i dopiero po chwili odparł:

- Zostaliśmy rozdzieleni. Jest gdzieś w stacji, ale nie wiem gdzie.

Jenny wyczuła w jego słowach jakieś niedopowiedzenie, nie było jednak czasu na indagacje.

- Musimy znaleźć stąd jakieś wyjście - oświadczyła. - Nasza latarka się popsowała i została nam tylko jedna flara do obrony.

- Jak się tu dostaliście? Jenny machnęła za siebie.

- Przez szyb wentylacyjny gdzieś tam. Dochodzi do powierzchni.

- Tu nigdzie nie jest bezpiecznie. Mamy trochę metalowych narzędzi, może udałoby się nimi poszerzyć szparę i przeciągnąć was do nas - powiedział Craig, ale nie brzmiało to zbyt optymistycznie.

Okazało się, że lód ma metr grubości. Nie daliby rady go przebić.

Zza pleców Craiga odezwał się kobiecy głos, ten sam, który usłyszeli na początku:

- A co z paliwem do silników otwierających bramę? Może uda się zrobić wybuch. Przebić przejście.

Craig popatrzył na mówiącą do niego kobietę, a potem znów odwrócił się do Jenny.

- Trzymajcie się - powiedział.

Po drugiej stronie zaczęto dyskutować. Mówiono coś o hałasie, który ściągnie Rosjan. Jenny spojrzała na przygasającą flarę. Chyba wołałaby mieć do czynienia z Rosjanami.

Po chwili w szczelinie znów pojawił się Craig.

- Spróbujemy coś zrobić. Lepiej się cofnijcie. Wsunęto w szparę jakiś przedmiot. Wyglądało to jak końcówka rury i śmierdziało kerozyną i olejem napędowym.

Jenny odsunęła się od ściany. Tom i Kowalski wraz z Bane'em pilnowali tunelu.

W pęknięciu pojawił się ogieniek, po czym w stronę Jenny wystrzelił długi jęzor płomienia. Padła na plecy, a tuż nad jej głową przemknęła kula ognia. Gorąco nadpaliło jej brwi.

- Nic ci nie jest? - spytał Kowalski, podchodząc bliżej. Machnęła ręką, aby odszedł, i podniosła się.

- Chyba nie będę się już musiała martwić o odmrożenia na nosie.

- Ciesz się, że jeszcze masz nos.

Płomień w dziurze szalał, wokół buchała para, natychmiast skraplając się i mocząc wszystko naokoło: ściany, podłogi i ludzi. Do ich groty wpływały strugi płonącego paliwa.

Płomienie tańczące po lodowych ścianach przypominały jakiś surrealistyczny obraz.

- Próbują wytopić dla nas przejście - wyjaśniła Jenny pozostałym.

Strugi płomieni wciąż wypływały przez otwór w lodzie, odpychając całą trójkę coraz bardziej do tyłu.

- Miejmy nadzieję, że się przedtem nie spalimy - mruknął Kowalski.

GODZINA 16.12

Amanda trzymała rurę, a Zane pompował paliwo.

- Trzymaj ciśnienie! - nakazała mu, szarpiąc zawór i rozlewając jeszcze więcej paliwa na ogień w lodowym pęknięciu. Musiała uważać, aby ogień nie przeskoczył na przewód, a tylko utrzymywanie wysokiego ciśnienia wypływu paliwa mogło do tego nie dopuścić. Przypominało to dolewanie podpałki do palącego się już grilla.

Craig stał po drugiej stronie pęknięcia i osłaniał dłonią twarz. Na zewnątrz buchały para i dym, a wokół nich rozlewały się kałuże wody. W kilku miejscach płonął rozlany na podłodze olej. Biolodzy gasili te ogniska kocami przeciwpożarowymi, które znaleźli na półkach z narzędziami.

- Połowa roboty już za nami - powiedział Craig do Amandy.

- Jak szeroko wytapiamy? - spytała, czytając z jego warg.

- Jakieś czterdzieści centymetrów, wąsko, ale tak, aby dało się precyzyjnie.

Amanda skinęła głową i pracowała dalej. Czterdzieści centymetrów będzie musiało wystarczyć. Nie mogli robić zbyt szerokiego przejścia, aby nie przeszły przez nie grendle.

Ale nie było to jedyne niebezpieczeństwo.

Ze stanowiska przy drzwiach machała do Amandy Magdalene, próbując zwrócić na siebie jej uwagę.

- Przestań! - zawołała bezgłośnie, poruszając samymi ustami.

Amanda zamknęła zawór.

Dziewczyna odsunęła się od drzwi i wskazała na nie palcem.

- Żołnierze!

Craig podszedł do niej, wyjrzał przez okienko w drzwiach, po czym popatrzył na Amandę.

- Wyłamali drzwi prowadzące na korytarz. Jest zalany i zamrożony, ale musieli dostrzec płomień przez okienko.

- Nie mogą wiedzieć, że to my - mruknął Ogden, ściskając koc przeciwpożarowy.

Craig pokręcił głową.

- Muszą sprawdzić, skąd wziął się ten ogień. Dopóki tego nie zrobią, nie odpuszczają.

- Co wobec tego robimy? - spytała Amanda, ścisząc głos do szeptu.

Popatrzył na dziurę w lodowej ścianie.

- Ponieważ ten plan się nie udał, zrealizujemy nowy.

- Jaki?

Craig pokręcił głową, jego twarz stwardniała nagle. Wyciągnął sznureczek ściągający kaptur kurtki i przyłożył go do ucha. Jednocześnie podniósł kołnierz kurtki i przycisnął go do szyi.

Amanda patrzyła na jego usta.

- Delta Jeden, tu Rybołów. Słyszysz mnie?

GODZINA 16.16

- Delta Jeden, zgłoś się - powtórzył Craig nieco bardziej natarczywie i zamilkł, czekając na odpowiedź.

Miniaturowy przekaźnik UHF w podszewce jego kurtki emitował silne, przenikające przez lód sygnały, ale aby komunikaty były odbierane, impuls radiowy musiał być kierowany na czaszę odbiorczą. Czasza taka stała w odległej o sześćdziesiąt pięć kilometrów bazie Delta Force i od przybycia Craiga na stację ubiegłej nocy automatycznie nakierowywała się na miejsce, w którym się znajdował.

Choć do nadania komunikatu dla znajdującego się pod jego rozkazami oddziału Delta Force wystarczył szept, problemem był odbiór. Z powodu dużej ilości otaczającego ich lodu metalizowana nitka, przepleciona przez szwy kurtki, stawała się kiepskim odbiornikiem. Aby Craig mógł usłyszeć odpowiedź, musiał wyjść z tej zamrożonej dziury.

Mimo wszystko dotarły do niego ciche słowa, znikające i powracające.

„Delta...dbiór”.

- Jaki jest twój status?

„Cel... zatonał. Omega zabezpieczona. Oczekuję dalszych rozkazów”.

Craig pozwolił sobie na westchnienie ulgi. „Drakon” został zmieciony z szachownicy. Doskonale. Mocniej przycisnął laryngofon do szyi.

- Delta Jeden, bezpieczeństwo „Piłki” jest zagrożone, a wyjście utrudnione przez obecność Rosjan. Wszelkie wrogie działanie z twojej strony może spowodować reakcję defensywną i zniszczenie danych wraz z bazą. Spróbuję wydostać się ze stacji. Kiedy wyjdę, zaczniemy ewakuację. Ruszać się tylko na mój rozkaz.

Odpowiedziały mu trzaski, a potem posiekane słowa, „...komplikacja... dwa helikoptery... ludzie na ziemi... jeden ptak lata...”.Cholera jasna. Nie miał pełnej oceny sytuacji. Brakowało zbyt wielu fragmentów tekstu, jasne było jednak, że rosyjski okręt podwodny został wyłączony z walki.

- Czy wasz oddział jest ciągle mobilny? „Tak jest!”.

- Znakomicie. Utrzymujcie Omegę. Mobilizacja oddziału ewakuacyjnego tylko na mój rozkaz. Spróbuję się z wami skontaktować.

„...Jeden...zumiałem”.

- Rybołów bez odbioru. - Craig szarpnął drucikiem i odbiornik schował się w kapturze. Cała grupa wpatrywała się w niego wybałuszonymi oczami.

- Kim pan jest? - spytała Amanda.

- Moje prawdziwe nazwisko jest nieistotne. Na razie wystarczy Craig.

- Więc czym pan jest?

Zacisnął usta. Nie było sensu dalej się kamuflować. Jeżeli miał zabezpieczyć dane, potrzebował pomocy wszystkich obecnych w tym pomieszczeniu, odpowiedział więc:

- Pracuję dla CIA, jestem oficerem łącznikowym z obecnymi tu oddziałami sił specjalnych. Dowodzę oddziałem Delta Force, który przejął Omegę.

- Omega jest wolna? - zdziwiła się Amanda.

- W tej chwili tak. - Craig machnął ręką w kierunku dziury w ścianie. - To nam jednak w niczym nie pomoże. Musimy wydostać się z tej stacji.

- Jak? - spytał doktor Ogden. Craig znów wskazał na pękniętą ścianę.

- Oni jakoś się tu dostali. Wyjdziemy tą samą drogą.

- A grendle? - spytała Magdalene.

Craig podszedł do skrzynki z butelkami po wódce.

- Aby przeżyć, będziemy musieli współpracować.

GODZINA 16.17

Jenny patrzyła na ponownie rozpalony płomień, który znów kazał jej się cofnąć. Dzięki Bogu...

Minutę temu, kiedy ogień zgasł, podeszła do ściany i zajrzała w otwór. Trzydzieści centymetrów w głąb przejście miało już prawie czterdzieści centymetrów szerokości. Choć wąskie, można byłoby się przez nie jakoś przecisnąć.

Zostało już niewiele do wytopienia.

Przez chwilę obawiała się, że ludziom z tamtej strony zabrakło paliwa. Ale po krótkiej przyciszonej dyskusji rura ponownie się pojawiła.

Płomienie chciwie wgryzały się w tunel, usuwając kolejną warstwę lodu. Byli już blisko szczęścia, mimo to Jenny wstrzymywała oddech. Spojrzała na Toma i Kowalskiego.

Razem z Bane'em pilnowali tunelu, sprawdzając, czy nie pojawia się któryś ze stworów.

Tom zauważył, że Jenny ich obserwuje.

- Cały czas tu krąży - mruknął. - Widzę poruszający się cień.

- Drań nie zamierza zrezygnować z kolacji - dodał Kowalski.

- Dopóki pali się ogień, będzie trzymać się z daleka - powiedziała Jenny, dodając w duchu: mam nadzieję.

- W takim razie poproszę o miotacz ognia na najbliższe urodziny - oświadczył Kowalski.

Jenny wbiła wzrok w ciemny tunel, próbując zrozumieć, co takiego właściwie chce ich dopaść. Craig nazwał tego stwora „grendlem”, ale co to było? Wśród ludzi z jej plemienia krążyły legendy o duchach wielorybów, które wychodziły z oceanu i wciągały do niego młodych mężczyzn i kobiety. Zawsze sądziła, że to jedynie przesady i mity, teraz jednak nie była tego taka pewna.

Płomień znów przygasł. Co oni tam robili?

Kiedy ogień zamienił się w drobne migotania, Jenny podeszła do ściany. W otworze pojawił się jakiś ciemny kształt. Postać owinięta mokrym kocem.

Po chwili koc odrzucono do tyłu i błysnęło światło, ukazując wysoką szczupłą kobietę, ubraną w niebieski jednoczęściowy kombinezon termiczny. Światło pochodziło z lampy górniczej, którą kobieta trzymała w ręku. Uniosła ją.

- Amanda... doktor Reynolds! - krzyknął Tom.

Jenny знаła to nazwisko - była to kierowniczką Stacji Dryfującej Omega.

- Co robicie? - spytał Kowalski. Wskazał na dziurę, przez którą przepychała się następna osoba. - Zdawało nam się, że to my mamy do was dołączyć.

- Zmiana planów - odparła doktor Reynolds i rozejrzała się. - Wygląda na to, że tu jest bezpieczniej.

Jakby dla uwiarygodnienia jej słów z drugiej strony rozległa się kanonada z broni maszynowej. Pociski odbijały się od metalu.

Kiedy druga postać zrzuciła z siebie koc, okazało się, że to Craig. Pomógł kolejnej osobie wyjść z dziury.

- Nie chciałbym się powtarzać, ale chyba nadchodzą Rosjanie.

Do groty weszły następne cztery osoby: trzech mężczyźni i kobieta. Wszyscy mieli przerażone miny. Bane obwąchał ich i przeszedł im między nogami.

Najstarszy z czwórki przybyszów powiedział do Craiga:

- Strzelają w drzwi.

- To prawdopodobnie próba zatrzymania nas tutaj - stwierdził Craig. - Inni żołnierze pewnie nadchodzą tunelami.

Kowalski wskazał na dziurę w lodzie.

- Biorąc pod uwagę, co gania po tych korytarzach, proponuję, żebyśmy wszyscy przenieśli się tam, skąd przyszlście, i pomachali Rosjanom białą flagą.

- I tu, i tam grozi nam śmierć - odpowiedział Craig, kręcąc głową. - Tyle że tutaj możemy spróbować się bronić. - Wyciągnął coś z kieszeni. Była to butelka po wódce, wypełniona do połowy ciemnożółtym płynem i zatkana szmatą. - Mamy ich dziesięć. Jeżeli wasze flary powstrzymywały grendle, to tak samo powinny zadziałać te koktajle Mołotowa.

- Więc co? - spytała Jenny.

- Wychodzimy stąd - oświadczył Craig. - Szybem wentylacyjnym.

- A mnie zaczynało się tu już podobać - burknął Kowalski. Jenny pokręciła głową.

- Ukrywając się na górze, zamarzniemy. Cały czas szaleje burza.

- Nie będziemy się ukrywać - odparł Craig. - Dotrzemy do zaparkowanych pojazdów i pojedziemy do Omegi.

- Ale Rosjanie... - zaczęła Jenny.

- Omega została wyzwolona przez oddział Delta Force - przerwała jej Amanda. - Spróbujemy dotrzeć do punktu ewakuacyjnego.

Jenny popatrzyła na nią zaskoczona. Kowalski przewrócił oczami.

- Kurwa... pięknie. Uciekliśmy stamtąd tuż przed przejściem przez Delta Force. Musimy popracować nad koordynacją naszych działań.

Jenny odzyskała mowę.

- Skąd wiecie?

Amanda wskazała kciukiem na Craiga.

- Pani przyjaciel jest z CIA. To kontroler oddziału Delta Force.

- Co takiego? - Jenny odwróciła się gwałtownie do niego. Kiedy spojrzeli sobie w oczy, z drugiej strony dziury rozległy się kolejne strzały.

- Musimy się stąd zabierać - powiedział Craig. - Trzeba szybko znaleźć ten szyb wentylacyjny.

Jenny stała nieruchomo, niezdolna do wchłonięcia nowej informacji.

- Co tu się... do diabła... dzieje?

- Wyjaśnię wszystko później. Teraz nie mamy czasu. - Dotknął jej ramienia, po czym dodał: - Naprawdę mi przykro. Nie chciałem was w to wciągać.

Minął Jenny, zapalił zapalniczką szmatę przy pierwszej butelce i wszedł w tunel. Rzucił butelkę daleko przed siebie.

Eksplozja była bardzo gwałtowna, ogień rozprysnął się po całym tunelu. Jenny dostrzegła gwałtowny ruch bestii, która uciekła i schowała się za zakrętem.

- Chodźmy - ponaglił ich Craig i ruszył w kierunku pożaru. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

GODZINA 16.28

Matt, obładowany bronią ze zbrojowni, wspinał się po drabince za Greerem. Na górze czekał na nich komandor podporucznik Bratt, oświetlany wojskową latarką długopisową, która wisiała mu na szyi. Pomógł Greerowi wejść do tunelu.

Wspinając się, Matt spojrzał w dół. Washburn pilnowała obu tuneli odchodzących od pomieszczenia, z którego przybywali. Karabin miała gotowy do strzału i widać było, że wie, jak minimalizować ryzyko. Dotarli właśnie do poziomu drugiego i zamierzali skierować się na pierwszy.

Kiedy Matt pokonywał ostatnie szczeble drabinki, wyciągnęła się ku niemu ręka, chwyciła go za biały kaptur i wyciągnęła na górę.

- Co z cywilami? - wysapał. Broń, którą niósł, i granaty poupychane po kieszeniach, swoje ważyły.

- Nie wiemy, ale mogą być wszędzie. Musimy mieć nadzieję, że znaleźli bezpieczną kryjówkę.

Matt wpełzł za Greerem w tunel, aby zrobić miejsce Washburn. Wkrótce znów byli razem i pełzli tunelem. Teraz Greer prowadził, a Bratt pilnował tyłów.

Nie rozmawiali ze sobą. Ich plan był prosty: pozostawać w ciągłym ruchu, znaleźć słabe miejsce w szeregach Rosjan i spróbować wyrwać się ze stacji. „Polar Sentinel” wyrzucił boję SLOT, czyli specjalny nadajnik przeznaczony do użytku łodzi podwodnych. Bratt wiedział, gdzie został umieszczony, liczyli więc na to, że kiedy go odnajdą, będą mogli

wpisać ręcznie SOS, po czym schowają się między torosami. Nadal szalała burza i mogło im się udać bawić z Rosjanami w kotka i myszkę, aż przyleci pomoc.

Do tego czasu będą też dla Rosjan przynętą, odwracającą ich uwagę od ukrywających się w stacji cywilów.

Dotarli do kolejnego sześciennego pomieszczenia, gdzieś między poziomami drugim i pierwszym. Weszli do niego znacznie ostrożniej. Rosjanie prawdopodobnie przeszukiwali właśnie górne poziomy, przewidując, że Amerykanie zechcą przebić się na powierzchnię.

Greer wszedł pierwszy do środka i powiódł latarką po podłodze w poszukiwaniu świeżych śladów stóp. Uśmiechnął się i uniósł kciuk.

Matt wpełzł następny i przeciągnął się.

W tym momencie lód zadygotał. Doleciało do nich echo eksplozji - przytłumione, ale wyraźne. Matt skulił się. Rozległa się bezładna strzelanina.

- Co to ma...

W powietrzu zatańczyły okruchy lodu, spadające ze ścian. Matt popatrzył na wchodzącą do pomieszczenia pozostałą dwójkę. Uśmiechali się, tak jak Greer.

- Zdradźcie mi ten żart - powiedział Matt, prostując się. Greer wskazał kciukiem za ramię.

- Wygląda na to, że Rosjanie wreszcie znaleźli swoich zabitych kolegów z poziomu trzeciego.

- Zostawiliśmy im w zbrojowni niespodziankę - wyjaśniła Washburn z zimnym, zadowolonym uśmiechem. - Uznaliśmy, że kiedy znajdą ciała, najpierw tam zajrzą.

- Rewanż za Pearlsona i resztę - oświadczył Bratt i dodał już bez uśmiechu: - Powinno ich to trochę spowolnić. Teraz wiedzą, że jesteśmy uzbrojeni.

Matt kiwnął głową, choć był wstrząśnięty. Tyle rozlanej krwi... Wziął głęboki wdech. Od opuszczenia zbrojowni wciąż zastanawiał się, gdzie są Jenny i jej ojciec. Obawa o nich tłumiła jego współczucie dla innych śmierci. Musiał przeć naprzód. Nie pozwoli, aby ktoś stał między nim a Jenny. To postanowienie przerażało go i rozgrzewało równocześnie. Przez trzy lata pozwalał, aby żaloba i stary ból tworzyły między nimi barierę, teraz jednak wydawały mu się tak blade jak tutejsze zimne powietrze.

Szli dalej, z każdym krokiem zbliżając się do górnego poziomu.

Po kolejnych dwóch drabinkach i jeszcze jednej porcji pełzania usłyszeli nad sobą stłumione głosy i krzyki. Podeszli ostrożnie do źródła hałasu, porozumiewając się gestami dłoni. Pogasili latarki.

Do tunelu przed nimi wpadało słabe światło. Przysunęli się do kratki, wbudowanej w jedną ze ścian tunelu.

Bratt wyrżał przez nią i po długiej chwili ruszył dalej, dając Mattowi znak, aby i on wyrżał.

Wstrzymując oddech, Matt podpełzł i popatrzył na zewnątrz. Kratka wentylacyjna wychodziła na kuchnię. Pod jedną ze ścian stały piece i kuchenki, a resztę przestrzeni wypełniały białe stoły i regały. Podwójne drzwi musiały prowadzić do ogólnego, centralnego pomieszczenia.

Jedną połówkę drzwi trzymał rosyjski żołnierz z latarką w dłoni. Był odwrócony do nich plecami. Rozmawiał z innym żołnierzem.

W widocznym w głębi pomieszczeniu centralnym podskakiwały światła latarek, schodami biegali w górę i w dół ludzie, wrzeszcząc na siebie. Wchodził też po nich jakiś zakrwawiony żołnierz. Na ramieniu kurtki miał naszyty czerwony krzyż. Coś krzyknął i zaczął schodzić. Pobieгло za nim kilku ludzi.

Żołnierze stojący przy drzwiach odeszli od nich w końcu, pozwalając im się zamknąć. Za okienkami w obu połówkach widać było podskakujące światełka latarek.

Matt popatrzył na Bratta.

Komandor przysunął usta do jego ucha.

- Możesz znów się zabawić w Rosjanina?

- To znaczy? - zapytał Matt, ale znał już odpowiedź. W dalszym ciągu miał na sobie biały mundur, który zabrał zabitemu wartownikowi.

- Mamy cię szansy. Jest jeszcze ciemno, wszyscy są roztrzęsieni. Z kapturem na głowie powinieneś przejść między nimi, nie zwracając na siebie uwagi.

- I co?

Bratt wskazał na drzwi.

- Będziesz naszymi oczami.

Kiedy wyjaśniał swój plan, Mattowi serce waliło w piersi, ale pokiwał głową.

- Możemy nie mieć lepszej szansy - dodał na koniec Bratt.

- No to działamy - mruknął Matt.

Washburn zaczęła wrywać kratę swoimi wieloczynnościowymi hakami do mięsa.

Kiedy puściła, Bratt dotknął ramienia Matta.

- Cały plan zależy od ciebie.

- Wiem. - Matt wziął głęboki wdech. - Dobrze by było, gdybym miał jakąś motywację.

- Co powiesz na perspektywę przeżycia? - zapytał zza jego pleców Greer.

- Przekonałeś mnie. - Matt wypełził z szybu i stanął przy drzwiach kuchni.

Pozostali szybko pozajmowali pozycje. O wszystkim miało zdecydować sprawne działanie.

Bratt spojrzeniem zadał Mattowi ostatnie pytanie: „Jesteś gotów?”.

GODZINA 16.48

Jenny trzymała Bane'a przy sobie. Idący z przodu Kowalski rzucił w korytarz kolejny koktajl Mołotowa. Szkło rozprysnęło się i kolejna fala płomieni oblała ściany.

Droga była wolna.

W ciągu ostatnich dwudziestu minut nie widziano ani jednego grendla.

- Te stwory żyją w ciemności i w lodzie - powiedział doktor Ogden. - Choć światło i ciepło je przyciągają, wybuchające butelki przeciążają je sensorycznie i dezorientują, więc uciekają.

Jak na razie okazywało się to prawdą. Nie atakowani, dotarli do oznakowanej trasy i schodzili teraz w głąb wyspy, w kierunku szybu wentylacyjnego. Spokój zakłóciło im jedynie echo dalekiej eksplozji, które doleciało gdzieś z góry. Kiedy tunele zadygotały, wszyscy stanęli, ponieważ jednak wybuch nie miał żadnych innych reperkusji, ruszono dalej.

Idąca za Jenny Amanda cały czas rozmawiała szeptem z biologami, a Tom - z dwoma koktajlami Mołotowa w rękach - osłaniał tyły.

Craig próbował się jej wytłumaczyć ze swojego zachowania.

- Byłem głównym operatorem misji. Miałem znaleźć dane i zabezpieczyć je, ale Rosjanie musieli się o tym dowiedzieć i próbowali zaatakować mnie na Alasce. Gdyby nie Matt, udałoby im się.

- Mogłeś nam o tym powiedzieć. Craig westchnął.

- Miałem jednoznaczne rozkazy. Udzielać informacji tylko wtajemniczonym. Zostały wydane na najwyższych szczeblach władzy. Stawka była zbyt wysoka, w dodatku wszystko robiło się coraz trudniejsze, zwłaszcza po ataku na Prudhoe. Musiałem się tu jakoś dostać.

- A wszystko dla kilku danych z badań dotyczących kriogeniki. - Jenny próbowała sobie wyobrazić pojemniki z zamrożonymi ludźmi w środku. Wydawało się to niemożliwe, było zbyt potworne.

Craig wzruszył ramionami.

- Miałem rozkazy.

- Wykorzystałeś nas. - Przypomniała sobie rozmowy w twin otterze po wybuchach w przepompowni nad zatoką. - Manipulowałeś nami.

Uśmiechnął się przepraszająco.

- Co mam powiedzieć? Jestem dobry w tym, co robię. - Uśmiech zniknął z jego twarzy i Craig westchnął. - Musiałem korzystać z tego, co było pod ręką. Ponieważ obserwowali mnie Rosjanie, byliście dla mnie jedyną możliwością dostania się tutaj. Przykro mi. Nie sądziłem, że zrobi się z tego aż taki bałagan.

Gdy mijali pałacy się koktajl Mołotowa, Jenny wbiła wzrok w tunel. Jedno pytanie zachowała dla siebie: czy w dalszym ciągu przedstawiał ich jak pionki na szachownicy?

Następne słowa Craiga zabrzmiały, jakby kierował je do siebie:

- Musimy się stąd wydostać. Kiedy nas już nie będzie w stacji, oddział Delta będzie mógł wkroczyć z pełną siłą i zabezpieczyć ją. Dopiero wtedy będzie po wszystkim.

Jenny kiwnęła głową. Po wszystkim... gdybyż to było takie proste. Wciąż trzymała przy boku Bane'a. Świadomość jego obecności uspokajała ją, chodziło jednak o coś więcej. W końcu uznała, że ma prawo przyznać się do tego. Bane był także ogniwem łączącym ją z Mattem. Podrapała psa po karku, chciała poczuć emanujące z jego ciała ciepło. Craig opowiedział jej o Matcie - o tym, jak z marynarzami próbował włamać się do zbrojowni.

Nie wiadomo było, co się potem stało.

Bane przycisnął się do nogi Jenny, jakby wyczuwał jej strach.

- Widzę szyb wentylacyjny! - krzyknął Kowalski. Przyspieszono kroku. Jenny przeprowadziła Bane'a przez płonący koktajl Mołotowa. Gorąco dusiło, powietrze śmierdziało. Lód topił się, pod nogami tworzyły się strużki i kałuże wody i szli po zdradliwie śliskim podłożu. Pasma ognia rzeźbiły w podłodze kanaliki.

Kiedy minęli płomienie, znów zapadła ciemność. Kowalski prowadził z uniesioną wysoko nad głową latarnią.

Z lewej strony pojawił się przypominający wylot zsypu tunel. Koniec szybu wentylacyjnego.

Gdy cała grupa zebrała się wokół niego, Jenny wysunęła się do przodu. Od tej chwili wszystko zależało od niej. Tunel był zbyt stromy, aby wspinać się nim, korzystając tylko z rąk i nóg. Tom podał jej czekan, który znaleźli w pomieszczeniu kontroli wrót prowadzących na morze. Sprawdziła wyważenie narzędzia oraz jego ostrze.

Doktor Reynolds usiadła na podłodze i zaczęła odpinać raki.

- Chyba to ja powinnam się tym zająć - stwierdziła.

- Na mnie też będą pasować - odparła Jenny. - Wicie razy wspinałam się po górach Alaski. - Nie wspomniała o tym, o czym wcześniej rozmawiali. Raki były za małe dla każdego z mężczyzn, a głuchota Amandy mogła skomplikować sytuację, gdyby w szybie pojawiły się jakieś przeszkody.

Doktor Reynolds podała jej raki i Jenny szybko przypięła je sobie do butów. Kolce umożliwią jej wspinanie się, a czekan to w razie potrzeby pomoc i broń.

Tom podał jej dwa ostatnie koktajle Mołotowa.

- Rzuciłem linę przy wejściu, kiedy zostaliśmy zaatakowani. Jeżeli przywiążesz ją do kraty, powinna sięgnąć na dół.

Jenny kiwnęła głową i wsunęła butelki do kieszeni.

- Żaden problem. Pilnuj Bane'a. Grendle go denerwują. Nie daj mu pogonić za nimi.

- Nie martw się, przypilnuję go, a potem wejdę z nim na górę.

- Dziękuję, Tom.

Kowalski ustawił się tak, by mogła wejść po nim jak po drabince. Wsunęła się do szybu i podciągnęła nogi, aby wbić raki w lód. Weszły głęboko, ich kolce były dobrze utrzymane.

- Uważaj na siebie - powiedział na pożegnanie Kowalski. Ruszyła w górę, wspinając się w sposób, jakiego nauczył ją dawno temu ojciec, kiedy wędrowali po lodowcach: „Cały czas miej dwa punkty podparcia”.

Po zablokowaniu obu stóp sięgnęła w górę czekanem i wbiła go w lód. Kiedy ten punkt został zabezpieczony, podciągnęła jedną nogę, zablokowała ją, po czym podciągnęła drugą.

Szło to powoli, ale wyraźnie słyszała w uszach słowa ojca: „Powoli jest bezpiecznie”.

Wspinała się krok po kroku i mimo ponurego nastroju pozwoliła sobie na odrobinę optymizmu. Przynajmniej ojciec nie ucierpiał. Komandor Sewell obiecał się nim

zaopiekować, a teraz przybyły oddziały Delta...Trzeba było tylko do nich dotrzeć. Ale co z Mattem?

Kolce pod lewą stopą wyrwały kawałek lodu i wyslizgnęły się ze ściany. Jenny klasnęła brzuchem o lód i całym ciężarem ciała zawisła na czekaniu, udało jej się jednak oprzeć i zablokować nogi. Chwilę odpoczywała, łapiąc wielkie hausty zimnego powietrza.

Dwa punkty podparcia - przez cały czas.

Odsunęła na bok obawy o Matta. Myślenie o nim nie wpływało na nią dobrze. Musiała się skupić. Będzie się mogła martwić potem. Ta myśl wywołała mimowolny uśmiech - Matt powiedział jej kiedyś, że mogłaby swoim martwieniem się wybić dziurę w stalowej płycie.

Chciałaby mieć w tej chwili choćby jedną dziesiątą opanowania Matta. Wbiła czekan w ścianę i pokonała kolejny fragment drogi. Zobaczyła przed sobą zakręt. Prawie na samej górze. Kiedy go pokonała, ujrzała na końcu tunelu jaskrawe światło dnia. Wyjście było otwarte, wolne.

Mając przed oczami cel, podjęła wspinaczkę, nie tak szybko jednak, aby zapomnieć o ostrożności. Cały czas słyszała głosy dwóch mężczyzn swojego życia:

„Powoli jest bezpiecznie”.

„Nie martw się”.

Dotarły do niej także słowa z przeszłości, głęboko ukryte i zamknięte. Przypomniała sobie delikatnie muskające jej szyję wargi, gorący oddech na karku i chrapliwe od pożądania słowa: „Kocham cię... tak bardzo cię kocham, Jen...”.

Przytuliła te słowa do serca i powiedziała głośno to, co zostało zapomniane, wiedząc teraz, że jest to najprawdziwsza prawda:

- Ja też cię kocham, Matt.

GODZINA 16.50

Matt pchnął drzwi kuchni i wszedł do centralnego pomieszczenia. Choć światło się nie paliło, uniósł jedną rękę, aby zasłonić twarz, i równocześnie nasuwał obsyty futrem kaptur kurtki głęboko na oczy. Kałasznikowa miał zawieszoną na ramieniu.

Wokół biegali ludzie, nie zwracając na niego uwagi. Ruszył w kierunku przeciwległego krańca sali, trzymając się blisko zewnętrznej ściany - starał się cały czas pozostawać w mroku. Najwięcej żołnierzy zgromadziło się w centralnej części pomieszczenia. Wszyscy wpatrywali się w dół schodów, skąd buchał dym z eksplozji pułapki w zbrojowni.

Dwóch ludzi wciągało na górę ciężki kształt, owinięty w plastik.

Worek z ciałem.

Za pierwszą parą żołnierzy pojawiła się druga, obciążona takim samym ponurym ciężarem. Towarzysze zabitych obserwowali tę procesję z wściekłymi minami. Z dołu dolatywały krzyki, wszędzie migotały światła latarek.

Ktoś powiódł promieniem latarki po jego postaci. Matt przez cały czas szedł odwrócony. Kiedy przechodził między stolikami, wpadł na krzesło i przewrócił je. Gdy załomotało o podłogę, usiłował je złapać. Ktoś wrzasnął na niego. Zabrzmiało to jak przekleństwo.

Zamachał ręką i poszedł dalej. W końcu dotarł do miejsca, skąd widział prowadzący na zewnątrz korytarz. Rozbity sno-cat w dalszym ciągu blokował wejście, został jednak nieco odsunięty, aby dało się przejść. Przy wraku stało dwóch ludzi, ale za nim coś jeszcze się poruszało.

Matt kątem oka obserwował całe otoczenie.

Na tym właśnie polegało jego zadanie: zbadać teren i określić, ilu wrogów dzieli ich od wolności. Jeżeli ucieczka byłaby możliwa, miał dać swoim towarzyszom znak, a potem użyć granatu dla wywołania zamieszania. Miał rzucić go w kierunku szybu centralnego. Zamieszanie powinno umożliwić im prześlizgnięcie się do wyjścia. Potem miał ich osłaniać ogniem z karabinka. Najpierw jednak musiał ocenić, czy ucieczka przez hol jest w ogóle możliwa.

Zmrużył oczy i niemal podskoczył, kiedy ktoś krzyknął tuż za jego plecami. Nie słyszał żadnych kroków.

Odwrócił się i zobaczył olbrzyma w rozpiętej kurtce. Potężny żołnierz miał ponad dwa metry wzrostu. Matt obejrzał go szybko, szukając jakichś dystynkcji. Choć twarz mężczyzny była porwana i ogorziała, wyglądał na młodego. Za młodego, aby mieć wysoką rangę.

Matt wyprostował się i popatrzył na wielkoluda, wskazującego lufą karabinka na worki z ciałami, które położono na stołach. Żołnierz miał czerwone policzki, w kącikach jego ust zbierała się ślina, gdy wrzeszczał.

Nie znając rosyjskiego, Matt zrobił to, co zrobiłby każdy w podobnej sytuacji. Pokiwał głową i mruknął: **Da**. Była to dokładnie połowa jego rosyjskiego słownictwa. W tym przypadku decyzja była losowa: *da* albo *niet*.

Tak albo nie.

Najwyraźniej krzykliwa przemowa była burą i powinno się przytaknąć. Poza tym nie należało się sprzeczać z takim olbrzymem.

- *Da* - powtórzył Matt nieco energiczniej.

Dłoń wielkości szynki klepnęła go w ramię, niemal powalając na kolana. Udało mu się jednak jakoś utrzymać na nogach. Wielkolud zaczął się oddalać.

Wyglądało na to, że się udało.

W tym momencie wiszący po wewnętrznej stronie kurtki Matta granat poluzował się i spadł na podłogę z głośnym łoskotem. Zawlecзка znajdowała się na swoim miejscu, nie było więc obawy, że eksploduje.

Matt jęknął z rozpacz.

Granat potoczył się pod stopy wielkoluda.

Rosjanin pochylił się, jego palce wyciągnęły się po granat, ale nagle znieruchomiał. Musiał się zorientować, że granat jest bardzo stary. Zgięty wpół, popatrzył na Matta. Miał ściągnięte brwi, zębaki w jego mózgu powoli się obracały.

Matt przesunął wiszący na ramieniu karabinek kolbą naprzód i wbił ją wielkoludowi prosto w nasadę nosa. Poczuł, jak pęka kość. Głowa Rosjanina poleciała do tyłu, a potem znowu do przodu. Za głową podążyło całe ciało.

Matt natychmiast opadł na kolana obok wielkoluda, udając, że pomaga mu wstać. Roześmiał się chrapliwie, jakby drwił z kolegi, który się potknął.

Zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, wyszarpnął spod leżącego granat, wyrwał zawleczkę i potoczył go pod stołami w kierunku szybu centralnego. Nie doleci co prawda tak daleko jak rzucony, ale będzie musiało wystarczyć.

Przeliczył się jednak. Granat trafił w leżące na podłodze krzesło - to samo, które Matt przed chwilą przewrócił - odbił się i zaczął turlać się z powrotem. Cholera...

Matt skulił się za wielkoludem, który stękał oszołomiony i na ślepo machał wokół siebie rękami. Matt był wściekły, że nie mógł dać znaku kolegom. Trudno... na pewno zrozumieją. Granat eksplodował.

Stolik, który się nad nim znajdował, wystrzelił w powietrze, wirując jak bąk. Matt ledwie to zarejestrował, bo impet wybuchu pchnął go wraz z leżącym żołnierzem do tyłu. O gruby kark Rosjanina załomotały odłamki i Matta opryskała gorąca fontanna krwi.

Odotoczył się na bok. Nic nie słyszał. Z podłogi podnosili się ludzie, światła latarek przeszukiwały pomieszczenie, teraz pełne dymu.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch w podwójnych drzwiach kuchni.
Wybiegała stamtąd trójka ludzi. Prowadził Bratt. Biegli prosto na niego.
Ciągle w szoku, Matt nie rozumiał, dlaczego nie biegną do wyjścia. Przewrócił się na bok i wszystko stało się jasne.

Dlatego...

Leżał w korytarzu, prowadzącym do wyjścia.

Sno-cat znajdował się dwa metry od niego.

Jeszcze bliżej stało dwóch żołnierzy. Celowali w Matta z kałasznikowów i krzyczeli - a przynajmniej tak sądził, bo ich usta się poruszały. Nic jednak nie słyszał.

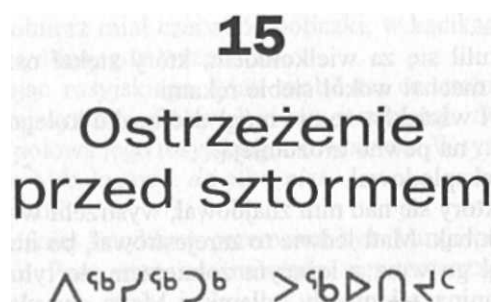
Podeszli do niego, celując prosto w głowę.

Zaryzykował i podniósł ręce do góry.

- *Niet!* - Szanse były pół na pół. *Da* albo *niet*.

Tym razem wybrał źle.

Jeden z żołnierzy strzelił



9 KWIETNIA, GODZINA 16.55

STACJA LODOWA GRENDEL

Amanda stała kilka kroków z tyłu i wpatrywała się w szyb wentylacyjny. Jenny była już poza zasięgiem światła latarki. Wszyscy zebrali się przy ujściu szybu i zaglądali do niego nerwowo.

Amanda czuła się wyizolowana. Sądziła, że już się przyzwyczaiła do braku bodźców dźwiękowych, do sposobu, w jaki odcina to człowieka od świata jeszcze bardziej niż ślepotą. Słuch sprawia, że człowiek wciąż ma poczucie więzi z otoczeniem. Choć Amanda widziała, przypominało to patrzenie z daleka, przez szklaną ścianę, dzielącą ją od innych ludzi.

W ciągu ostatnich kilku lat czuła pełny kontakt ze światem tylko podczas nielicznych chwil w ramionach Grega. Ciepło jego ciała, delikatny dotyk, smak ust, zapach skóry... wszystko to usuwało szklaną ścianę między nią a resztą świata.

Nie było go tu jednak. Rozumiała, że musiał odpłynąć z cywilami, uratować tych, których mógł, ale czuła ból. Chciała go mieć przy sobie... potrzebowała go.

Objęła się ramionami, próbując zdusić narastające w niej przerażenie. Fala odwagi, na której płynęła, odkał po raz pierwszy zobaczyła grendla, zamieniła się w zwykłą wolę przeżycia, chęć parcia do przodu.

Obok niej stał Tom Pomautuk, trzymający wartę razem z Bane'em. Drugiego końca pilnował Kowalski. Napięcie sprawiało, że ich twarze przypominały maski, a oczy wbijały się nieruchomo w przestrzeń.

Amanda podejrzewała, że wygląda podobnie.

Oczekiwanie męczyło wszystkich. Cały czas spodziewano się nowego ataku ze strony Rosjan albo grendli...

Podążyła za spojrzeniem Toma w głąb tunelu. Przypomniała sobie rozmowę z doktorem Ogdenem.

Biolog przedstawił jej wtedy swoją teorię dotyczącą struktury społecznej grendli. Przypuszczał, że większą część życia przebywają w hibernacji. Byłby to dobry sposób oszczędzania energii w środowisku tak skąnym w pożywienie. Zamarzniętego stada mógł pilnować tylko jeden lub dwóch wartowników. Polowały w otaczających stację wodach, dostając się do nich przez groty połączone z Zapleczem, a wychodziły na powierzchnię przez wyjścia naturalne lub zrobione przez człowieka. Badając teren, Ogden znalazł w korytarzach Zaplecza miejsca, które wyglądały, jakby wydłubywano coś pazurami spod lodu - według niego chodziło o zamarznięte grendle. Wartownicy musieli zmieniać się co kilka lat, aby jednostki do tej pory aktywne mogły odpocząć w hibernacji. Prawdopodobnie właśnie dlatego tak długo pozostawały nieodkryte: aktywna była jedna sztuka, może dwie, a pozostałe spały przez śmiecia. Trudno powiedzieć, jak długo ten gatunek istnieje. Kontakty tych stworzeń z ludźmi były tak rzadkie, że ich efektem mogły być mity o smokach i śnieżnych potworach.

- Albo o Grendlu Beowulfa - powiedziała wtedy Amanda. - Dlaczego jednak pozostawały tak długo na tej wyspie?

Ogden i na to miał odpowiedź:

- Wyspa jest ich gniazdem. Przeszukałem mniejsze jaskinie w ścianie klifu i znalazłem zamrożone małe. Było ich tylko kilka, ale biorąc pod uwagę długowieczność tych zwierząt, podejrzewam, że wystarczy to do zachowania puli reprodukcyjnej. A jak w przypadku

większości gatunków z małymi miotami, cała społeczność będzie bronić swego gniazda kłami i pazurami.

Gdzie teraz są? - zastanawiała się Amanda. Jeżeli zamierzały bronić gniazda, ogień ich nie powstrzyma. Tom odwrócił się, najwyraźniej jego uwagę przyciągnął jakiś hałas.

Rozejrzała się, szukając jego źródła. Grupa stojąca przy szybie poruszyła się. Amanda natychmiast zorientowała się, co się stało. Z otworu wysunęła się końcówka liny i opadła na podłogę. Jenny udało się dotrzeć na górę.

Wszyscy zbili się ciasniej.

Craig uniósł rękę. Miał oświetlone latarnią usta, więc Amanda dobrze widziała, co mówi.

- Aby nie przeciążyć liny, będziemy wchodzić po trzy osoby. Ja pójdę pierwszy z dwiema kobietami. - Wskazał na Amandę i Magdalene. - Potem doktor Ogden i jego studenci. Na koniec marynarze z psem.

Popatrzył po twarzach stojących przed nim ludzi, by sprawdzić, czy ktoś ma obiekcje.

Wszyscy zdawali się z nim zgadzać. Ona też nie zamierzała protestować - w końcu znalazła się w pierwszej grupie. Craig pomógł wejść Magdalene do szybu, po czym zaoferował pomocną dłoń Amandzie.

Machnęła ręką, aby szedł pierwszy.

- Wspinam się przez całe życie - powiedziała. Kiwnął głową, złapał linę i zaczął się podciągać. Amanda ruszyła za nim. Wspinaczka była niełatwa, ale strach dodał całej grupie sił, kazał wszystkim jak najszybciej oddalić się od czyhającego na nich na dole niebezpieczeństwa. Amanda nigdy w życiu tak bardzo nie cieszyła się widokiem dziennego światła. Wypełzła na górę jako trzecia i wyturlała się na otwartą przestrzeń.

Natychmiast zaczął w nią walić wicher.

Jenny pomogła jej wstać.

- Burza już się rozchodzi - powiedziała, patrząc w niebo. Amanda wpatrywała się w pędzący śnieg ze zmarszczonym czołem, ale prawie nic nie widziała. Zimno zaczęło się wgryzać w jej odsłonięte policzki. Jeżeli burza już się rozchodziła, to ciekawe, jak było wcześniej.

Craig wsadził głowę w otwór - najwyraźniej po to, aby zawołać następną trójkę - po czym odwrócił się do nich.

- Jeżeli burza faktycznie cichnie, musimy się spieszyć, bo będziemy mieli gorszą osłonę.

Czekali na następną trójkę - biologów. Po chwili trzy postacie wyturlały się z szybu wentylacyjnego. Craig znów wsadził głowę do środka.

Amanda poczuła nagle, że jeżą jej się włoski na karku. Głucha na odgłosy burzy, poczuła to pierwsza. Okręciła się wokół własnej osi.

Sonar...

- Stójcie! - wrzasnęła. - Grendle! Wszyscy zamarli, a potem zaczęli się rozglądać.

Craig w dalszym ciągu tkwił w otworze. Zaczął szukać w kieszeniach koktajlu Mołotowa. Po chwili Amanda dostrzegła jego usta.

- ...słyszę krzyki. Stwory są też na dole!

Henry Ogden próbował podpalić szmatę przy swojej butelce zapalającej, ale wiatr zdmuchiwał płomień jego zapalniczki.

- ...skoordynowany atak. Porozumiewają się ze sobą ultradźwiękami.

Amanda wpatrywała się w biel. Byli w pułapce.

Z zadymki wypełzały ku nim przypominające cienie wielkie kształty, wychodziły ze śnieżnej burzy niczym gigantyczne fantomy.

Henry w końcu zapalił nasączoną olejem szmatę i rzucił butelkę w kierunku stworów. Przeleciała kawałek w powietrzu, wylądowała w zaspie i z sykiem zgasła. Bestie kontynuowały swój marsz.

Amanda dostrzegła jakiś ruch za lodowym szczytem daleko na prawo. Kolejny grendel... za nim szedł jeszcze jeden. Okręzały ich ze wszystkich stron. Craig wyszedł do przodu z butelką w dłoni.

- Nie na śnieg! - zawołała Amanda. - Jest świeży, mokry.

Craig kiwnął głową i rzucił. Płonąca butelka poleciała lukiem przez szalejący śnieg i trafiła w ostrą krawędź torosu. Przed największą grupą grendli buchnęły płomienie.

Bestie skuliły się i zatrzymały.

Uciekajcie, namawiała je w myślach Amanda.

Poczuła jednak, że sonarowy sygnał w jej głowie się nasila, jakby któreś ze zwierząt zaryczało ze złości. Na otwartej przestrzeni płomienie najwyraźniej mniej je przerażały.

Craig odwrócił się do grupy i wyciągnął rękę za siebie.

- Z powrotem do szybu!

Gdy Amanda odwróciła się, z szybu właśnie wyskakiwał Bane, szczekając i szczerząc zęby jak prawdziwy wilk. Jenny natychmiast go złapała, aby nie ruszył na grendle.

Wszyscy wokół niej krzyczeli. Nie tylko Amanda nic nie słyszała - pozostali byli zbyt spanikowani, aby cokolwiek zrozumieć z tych wrzasków. Dlaczego nikt nie wskakiwał do szybu?

Odpowiedź nadeszła bardzo szybko. Z dziury wypełził Kowalski, czerwony na twarzy i też rozkrzyczany.

- Cofnąć się! Są tuż za nami!

Na końcu pojawił się Tom. Lewy rękaw kurtki miał nadpalony i dymiący. Kiedy wyturlał się na zewnątrz, szybko wsadził rękę w śnieg. Z szybu leciał dym.

- Szyb się zawalił od tego mołotowa! Jest zablokowany! Kowalski popatrzył na płomienie na śniegu i twarz mu się zapadła.

- Jasna cholera...

Amanda odwróciła się. Ogień z rzuconej przez Craiga butelki przygasał. Grendle, najwyraźniej słuchając jakiegoś polecenia nadawanego za pomocą ich wewnętrznego systemu komunikacyjnego, ponownie ruszyły w ich kierunku. Prosto przez płomienie.

Grupa ludzi zbiła się ciasno.

Nie mieli gdzie uciekać.

GODZINA 17.03

Oddalony o metr Rosjanin strzelił. Z lufy wyleciał cienki płomień. Ogłuszony hukami granatu Matt nie słyszał strzału - także tego, który trafił stojącego przed nim Rosjanina.

Poleciał do tyłu, piekło go lewe ucho. Zdezorientowany patrzył, jak prawa strona głowy rosyjskiego żołnierza eksploduje fontanną strzępków mózgu i odłamków kości. Wszystko odbyło się w całkowitej ciszy. Matt uderzył o podłogę, lądując na barku. Po jego szyi spływała krew. Strzał musnął mu ucho.

Bratt, Greer i Washburn biegli w jego stronę. Z lufy karabinka Bratta jeszcze leciał dym.

Drugi wartownik próbował zareagować, ale zanim odwrócił broń, Greer i Washburn strzelili do niego. Pocisk trafił Rosjanina w ramię, obracając nim jak bakiem. Druga kula wbiła mu się w szyję, obryzgując ścianę krwią.

Mattowi powracał słuch. Pierwsze wracały najgłośniejsze odgłosy. Wrzaski, strzały. Drzwi do kuchni nagle eksplodowały, wyrwały się z zawiasów i poleciały w powietrzu. Z kuchni buchnął dym. Kolejna pułapka.

Kiedy Matt próbował wstawać, dobiegła do niego trójka Amerykanów. Bratt złapał go za kaptur kurtki i postawił na nogi, po czym wrzasnął mu prosto do ucha:

- Następnym razem przykleję ci ten granat taśmą! Pobiegli w kierunku sno-cata.

- Żołnierze... - jęknął Matt i zamachał ręką. Strzelano do nich zza sno-cata. Padli na podłogę i schowali się za wrakiem. Pociski załomotały o zniszczony pojazd.

Matt przyciskał plecy do sno-cata. Obserwował pełne dymu centralne pomieszczenie. Cały czas byli na widoku. Nie mieli możliwości żadnego manewru.

Jego uwagę zwrócił nagle jakiś ruch w kłębowiskach dymu. Z szybu centralnego wychodził przypominający widmo człowiek, oświetlany kilkoma latarkami. Był wysoki i siwy, miał na sobie długi rozpięty płaszcz wojskowy. Niósł na rękach owiniętego kocem chłopca. Chłopiec płakał i zakrywał sobie uszy.

Nie miało to sensu.

- Na dół! - wrzasnął Bratt, przyciskając głowę Matta do podłogi.

Greer rzucił granat na sno-cata, by wyeliminować znajdujących się w nim strzelców, Washburn potoczyła drugi po podłodze, w kierunku szybu centralnego.

- Nie! - wrzasnął Matt.

Podwójna eksplozja ponownie odebrała mu słuch. Sno-cat podskoczył i przesunął się o trzydzieści centymetrów w ich kierunku. Zasypały ich kawałki lodu, korytarz wypełnił gęsty dym.

Bratt wyciągnął rękę przed siebie i ruszył. Nie mieli innego wyjścia, musieli próbować wybiec na zewnątrz. Skoczyli wszyscy razem, mając nadzieję, że eksplozja granatu usunęła im z drogi wszystkich wrogów.

Komandor prowadził, za nim biegli Washburn i Matt. Greer był ostami, ostrzeliwał się na ślepo za siebie. W uszach Matta strzały brzmiały jak oddawane gdzieś daleko albo jak wystrzeliwane z kapiszonowca.

Nagle Greer wpadł na Matta i o mało go nie przewrócił. Odzyskując równowagę, Matt popatrzył na niego ze złością.

Kapitan klęczał na jednym kolanie.

Matt zatrzymał się i odwrócił, by mu pomóc. Na twarzy Greera malował się ból i wściekłość. Machnął do Matta, aby szedł dalej, i coś do niego bezgłośnie krzyknął.

Matt zobaczył, że pod kapitanem zbiera się kałuża krwi, wypływającej z nogi. Wytryskujący rytmicznie płyn był jasno-czerwony. Krew tętnicza. Greer opadł ciężko na podłogę, karabinek oparł na kolanach.

Washburn, która jednym spojrzeniem oceniła sytuację, złapała Matta za rękę i szarpnęła go, aby za nią szedł.

Greer popatrzył Mattowi w oczy i zrobił coś przedziwnego. Wzruszył ramionami, jakby cała ta sytuacja w ogóle go nie dotyczyła, po czym uniósł karabinek, wycelował go w stronę centralnych schodów i zaczął strzelać.

Matt pozwolił Washburn odciągnąć się od niego. Minęli sno-cata i ruszyli w kierunku wyrwanych drzwi. Wszędzie leżały ciała, nikt nie stawiał oporu.

W oderwanej ręce jednego z Rosjan Matt zauważył coś znajomego. Złapał to i wsadził do kieszeni. Może się przydać.

Wybiegli na zewnątrz, w burzę.

Matt natychmiast odzyskał słuch. Usłyszał wycie wichru.

- Tędy! - krzyknął Bratt, wskazując zaparkowane pojazdy. Zamierzali ukraść ski-doo i pojechać do ukrytego między lodowymi szczytami nadajnika SLOT.

Najpierw jednak musieli dotrzeć do pojazdów.

Dzieliło ich od nich sto metrów.

Ruszyli biegiem, kierując się ku zakopanym do połowy w śniegu pojazdom.

Trudno było oczekiwać, że nie są strzeżone.

Zaczęto do nich strzelać. Odrywane pociskami kawałki lodu kłuły ich w twarze.

Bratt i Washburn padli na lód, chowając się za lodowymi występami. Matt zrobił tak samo. Strzelcy byli ukryci w dolinie między dwiema graniami. Matt dostrzegł tam pomarańczowe namioty.

- Trzymają w nich zwłoki ludzi ze stacji - szepnęła Washburn. - Znam drogę od tyłu i mam jeszcze jeden granat. Oslaniajcie mnie. - Zaczęła się odczołgiwać w stronę wejścia do stacji.

Bratt strzelał w kierunku namiotów, a Matt przeturlał się na brzuch i szukał cieni na śniegu. Strzelał, gdy tylko dostrzegł jakiś ruch.

Washburn dotarła do wąskiego przejścia między dwoma szczytami, któredy mogła zejść od tyłu strzelających do nich Rosjan.

I nagle - co było dla tego dnia typowe - wszystko się zawaliło.

GODZINA 17.11

Przy wyjściu z szybu wentylacyjnego zaczęli szykować się do starcia. Jenny trzymała Bane'a za obrożę. Wiatr w dalszym ciągu dął, ale śnieg prawie przestał padać.

- Na mój znak! - krzyknął Kowalski. Stał razem z Tomem w pierwszym szeregu, obaj trzymali w rękach zapalone koktajle Mołotowa.

Zebrało się wokół nich pięć grendli. Zatrzymały się, kiedy zza najbliższego wierzchołka zaczęły buchać eksplozje. Czułe na drgania stwory były nimi wyraźnie zaniepokojone.

- To stacja - powiedział Tom. - Ktoś ją zaatakował.

- Brzmi jak granaty - mruknął Kowalski. Chwilowe wahanie grendli dało im trochę czasu na zapalenie szmacianych lontów przy butelkach i szybkie uzgodnienie szczegółów planu.

Nie był zbyt elegancki. Tak naprawdę to był nie tylko nieelegancki, ale paskudny.

Kowalski ruszył jako pierwszy na najbliższą bestię, machając zapalonym ładunkiem.

Zwierzę odsunęło wargi i pokazało zęby jak pies, który chce zaatakować. Pozostałe grendle cofnęły się o krok. Przywódca bestii stał bez ruchu, wcale nieprzestraszony tą demonstracją.

- Dobrze wypasiony - szepnął do Jenny Ogden. - To najwyraźniej jeden ze strażników grupy. Będzie najzajadlej pilnował terytorium.

Był to jeden z elementów ich planu. Unieszkodliwić przywódcę, a wtedy reszta może się rozproszyć.

Kowalski zrobił kolejny krok. Tom był tuż za nim. Grendel nagle ryknął i rzucił się na nich.

- Kurwa! - zawył Kowalski i rzucił butelkę w otwartą paszczę bestii. Odkoczył do tyłu, uderzył w Toma. Obaj upadli.

Marynarz dobrze wycelował. Podpalona butelka wpadła do paszczy stwora. Efekt był niezwykły.

Z paszczy grendla buchnęły płomienie i przez chwilę przypominał plującego ogniem smoka. Zawył i zaczął deptać płomienie pod nogami, kręcąc się w ślepej furii wokół własnej osi. Pozostałe bestie rozproszyły się we wszystkie strony.

W powietrzu rozszedł się smród palonego mięsa.

- Teraz! - krzyknął Kowalski i wraz z Tomem zerwali się na nogi.

Młodemu podporucznikowi udało się utrzymać butelkę nad śniegiem i teraz zamachnął się nią z wprawą zawodowego baseballisty. Pocisk pofrunął nad szarpiącym się na boki grendlem i eksplodował kilkadziesiąt metrów dalej, zapalając śnieg i odstrasżając czające się w pobliżu zwierzęta.

- Idziemy! - wrzasnął Kowalski i ruszył jako pierwszy. Poparzony grendel upadł na lód. Na jego wargach tańczyły płomyki, z wysoko umieszczonych nozdrzy także wylatywały ogieńki. Po chwili zamarł w bezruchu.

Kowalski na wszelki wypadek obszedł go szerokim łukiem. Tom machnął na pozostałych, aby ruszali. Jenny biegła z Craigiem i doktor Reynolds. Bane, wolny teraz, gnał przodem i wkrótce dołączył do Kowalskiego. Biolodzy biegli na końcu, z Tomem.

Cała grupa pędziła ile sił przez lód i ogień. Kowalski miał jeszcze kilka koktajli Mołotowa. Rzucił je przed nimi, a grendle cofały się przerażone.

Nagle rozległ się krzyk.

Jenny odwróciła się i zobaczyła, że Antony przebił nogą cienki lód i utknął w dziurze. Tom i Zane pomagali mu się wydostać z lodowej pułapki.

Kowalski zatrzymał się, aby pozwolić im dogonić grupę.

- Cholerne dziury! - syknął.

W takim miejscu można było bez trudu złamać nogę albo skrzywić kark. Zane pomógł przyjacielowi wstać.

- Cholera, ale zimno... - jęknął Antony.

W tym momencie lód za nim zatrzęszczał i pękł. Z powstałego otworu wyprysnął grendel i złapał zębami nogę chłopaka. Kiedy lód pękał, Tom i Zane zostali odrzuceni na bok. Półtonowa bestia opadła z powrotem w dziurę, ciągnąc za sobą Antony'ego.

Nawet nie zdążył krzyknąć, zanim zniknął.

Zaczęto wrzeszczeć i cała grupa rzuciła się do panicznej ucieczki. Ponieważ lód przykrywała warstwa śniegu, nie było możliwości zorientowania się, w których miejscach jest cieńszy.

- Płyną za... nami... - wydyszał Ogden. - Śledzą nas pod lodem...

- Nie możemy się zatrzymywać - stwierdził Kowalski. Nikt nie zamierzał tego robić.

Wciąż posuwali się do przodu, choć nieco wolniej. Kowalski nadal prowadził. Wszyscy starali się iść po jego śladach.

Jenny widywała polujące w taki sam sposób niedźwiedzie polarne, wyskakujące spod lodu, aby pochwycić niczego się niespodziewającą ofiarę. Okolica musiała być pełna lekko tylko zamarzniętych otworów do oddychania i pęknięć w lodzie, powstałych na skutek ruchów okolicznych torosów.

Muszą bardzo uważać.

Kilka metrów przed nią uniósł się pagórek śniegu - coś silnego wypchnęło go do góry. Z dołu doleciał trzask pękającego lodu. Grendle w dalszym ciągu ich ścigały.

- Za torosy! - krzyknął Tom z tyłu. - Parking jest tuż przed nami!

Ostrożnie przyspieszyli.

Gdy Jenny wyszła zza zakrętu, stwierdziła, że Tom ma rację. Płatanina pagórków przechodziła w otwartą przestrzeń. Prawie udało im się uciec spomiędzy zdradliwych torosów.

Kiedy zbliżali się do przejścia, przez wycie wiatru przebiły się odgłosy strzelaniny. Kowalski jako pierwszy doszedł do krawędzi wzgórza, uniósł ramię, zatrzymując wszystkich, i wyjrzał. Strzelanina była bardzo blisko i nasilała się.

Podszedł do niego Tom.

- Ktoś walczy z Rosjanami - stwierdził.

- Może to oddział Delta? - spytała Amanda Craiga. Pokręcił głową.

Kowalski syknął na nich. Kiedy podeszli do niego, wyciągnął rękę. W odległości dziesięciu metrów od nich stał sno-cat, a tuż za nim poustawiano inne pojazdy.

Za parkingiem Jenny ujrzała dwie postacie, strzelające w kierunku torosów z lewej strony. Odpowiadano im ogniem, pociski uderzały w chroniącą strzelców krótką grań.

Nie można było się zorientować, kto to jest. Choć śnieg przestał padać, wiatr w dalszym ciągu wzbijał śnieg z powierzchni kry, zasłaniając szczegóły.

Nagle Bane skoczył do przodu i pomknął między pojazdami w kierunku otwartej przestrzeni.

Jenny zamierzała za nim pobiec, ale Kowalski złapał ją za łokieć i wskazał ręką w bok.

W sztormowym półmroku świeciło tam jasno wejście do bazy. Co chwila pojawiały się w nim podświetlane od tyłu postacie i wybiegały na zewnątrz. Szykowała się większa bitwa.

Jenny rozejrzała się za Bane'em, ale psa już nie było widać, zniknął między pojazdami.

Strzelanina nasilała się coraz bardziej.

- I co teraz? - spytał Tom.

GODZINA 17.14

Zza grani Matt patrzył, jak na Washburn rzuca się trzech ludzi. Kopała i walczyła, ale nic to nie dawało. Ze środka wybiegali kolejni żołnierze, blokując wejście do bazy. Inni zajmowali pozycje strzeleckie w głębi portalu wejściowego.

Otoczenie Matta i Bratta nie zajmie im zbyt wiele czasu. Matt strzelał do Rosjan biegnących wokół wejścia do stacji, próbując uniemożliwić im zajęcie pozycji, z której mogliby do nich strzelać. Bratt robił to samo z żołnierzami spomiędzy namiotów. Niestety, kończyła im się amunicja.

- Spróbuję ściągnąć na siebie ich ogień - powiedział Bratt. - Ty idź do pojazdów. Jeśli uda ci się do któregoś z nich dostać, wiesz stąd.

- A co z tobą?

Bratt wolał nie odpowiadać.

- Zrobię, co się da, aby dać ci jak najwięcej czasu. Matt zawahał się.

Bratt popatrzył na niego. Jego oczy płonęły.

- To nie jest twoja wojna!

Ani nie twoja, chciał dodać Matt, ale nie było czasu na dyskusje. Kiwnął jedynie głową.

Bratt wyciągnął z kieszeni granat i gestami przedstawił swój plan.

- Gotów?

Matt wziął głęboki wdech i uniósł się lekko.

- Ruszaj!

Bratt rzucił granat. Nie dał rady dorzucić go do żołnierzy w namiotach - nie przy tym wietrze, wiejącym od lodowych gór - ale i tak wykonał świetną robotę. Eksplozja zasłoniła widok.

To była szansa Matta. Ruszył pełnym sprintem. Bratt przekreślił się i zaczął strzelać do żołnierzy przy wejściu do stacji.

Plan może by się udał, ale Rosjanie przy namiotach zdążyli już załadować wyrzutnię rakiet. Zaraz potem Matt usłyszał syczący odgłos wystrzału, po którym nastąpił charakterystyczny świst.

Padł na brzuch i zaczął skręcać ciało, kilka metrów przejechał na barku. Ostry lód poszarpał mu kurtkę. Widział, jak Bratt się odwraca i zbiera do skoku, ale dystans był zbyt mały, a rakietka za szybka.

Zasłonił twarz - aby ją chronić i aby nie widzieć.

Rakietka uderzyła w powierzchnię lodu z dudniącym pogłosem. Lód zadygotał. Matt opuścił ramię i odepchnął się od lodu. Ich tymczasowa kryjówka zamieniła się w dymiącą dziurę.

Bratt zniknął.

Po sekundzie tuż obok niego spadł but, podskoczył na śniegu i zasyczał w kontakcie z lodem.

Przerażony Matt odtoczył się na bok. Wstał. Zdecydowany nie dopuścić, aby poświęcenie Bratta okazało się niepotrzebne, ruszył biegiem w kierunku pojazdów.

GODZINA 17.16

Jenny patrzyła na samotną postać, biegnącą po lodzie. Mężczyzna miał na sobie białą kurtkę... Rosjanin. Po chwili skryła go chmura śniegu.

- Musimy ruszać - powiedział Craig. - Wykorzystajmy zamieszanie, aby złapać tyle pojazdów, ile się da.

- Kto umie prowadzić cata? - spytał Kowalski, wskazując największy pojazd. Był tylko o dziesięć metrów od nich. Tak blisko...

Ogden uniósł rękę.

- Ja umiem. Kowalski kiwnął głową.

- Ja i Tom weźmiemy skutery, żeby działać na flankach i odciągać uwagę. Powinniście się wszyscy zmieścić w sno-cacie. Zostały mi jeszcze dwa mołotowy. - Rzucił jedną butelkę Tomowi. - Zrobimy, co się da, aby odciągnąć Ruskich od waszych tyłków.

- No to do roboty - mruknął Craig.

Cała grupa ruszyła do śnieżnego pojazdu. Tom i Kowalski rozdzielili się i każdy pobiegł do innego ski-doo.

Henry Ogden dobiegł do pojazdu pierwszy i szarpnięciem otworzył drzwiczki. Podczas gdy sprawdzał silnik, Zane i Magdalene wspięli się na przednie siedzenie. Silnik zakaszłał i po chwili zapalił. Hałas wydawał się bardzo głośny, a ponieważ strzelanina zamarła, z pewnością ściągnie uwagę Rosjan. Można było tylko mieć nadzieję, że żołnierze są jeszcze ogłuszeni po eksplozji rakiety. Jeśli nie, mogli liczyć jedynie na wyjący wiatr.

Jenny szukała wzrokiem oznak, że usłyszano włączenie silnika, ale chmura powstała po wybuchu rakiety ograniczała widoczność. Wiatr zwiewał dym w kierunku wejścia do stacji i zasłaniał Rosjanom pole widzenia. Długo to jednak nie potrwa.

Usłyszała uruchamianie ski-doo, potem drugiego. Tom i Kowalski mieli już wierzchowce.

- Do środka! - krzyczał Craig, otwierając tylne drzwi i poganiając Amandę oraz Jenny.

Kiedy Amanda złapała ramę drzwi, przez hałas silnika przebiło się głośne szczeknięcie.

Jenny obesła pojazd od tyłu. Bane...

Rozejrzała się i dostrzegła jakiś ruch. W odległości pięćdziesięciu metrów po śniegu wlokła się jakaś postać. Samotny rosyjski żołnierz w białej kurtce.

Amanda znieruchomiała.

Jenny wskazała Craigowi uzbrojoną postać. Rosjanin najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. Prawdopodobnie był oszołomiony i ogłuszony.

- Musimy go zneutralizować - stwierdził Craig.

W tym momencie Jenny dostrzegła inny kształt - ciemny i nisko przycupnięty. Bane. Wielki pies skoczył na mężczyznę i przewrócił go.

Craig też to widział.

- Wygląda na to, że mamy faceta z głowy. Niezły sierściuch.

Jenny patrzyła zdziwiona na psa. Nie było to typowe dla Bane'a zachowanie.

Zobaczyła, jak mężczyzna najpierw kotłuje się z psem, po czym klęka, obejmuje go i przytula do siebie. Zrobiła dwa kroki do przodu.

- To Matt!

GODZINA 17.18

Ujrzawszy psa, Matt poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Skąd Bane się tu wziął? Pokonał sam taką drogę z Omegi? Zakrawało to na cud.

Skądś doleciał do niego cichy krzyk, nie potrafił jednak określić kierunku. Rozejrzył się. Ponownie usłyszał krzyk. Ktoś wołał go po imieniu.

Bane skoczył dwa kroki naprzód, po czym odwrócił się do swojego pana, wyraźnie go ponaglając.

Matt zaczął sztywno stawiać nogę za nogą. Szedł za psem, ledwie mogąc uwierzyć we własne szczęście. Nie powinien tego robić.

Przez wiatr znów przebił się charakterystyczny świdrujący jęk. Następna rakietka.

Rosjanie musieli wiedzieć, dokąd Matt zamierza iść. Chcieli zniszczyć parking, odciąć mu jakąkolwiek możliwość ucieczki.

Matt, potykając się, szedł za Bane'em, chciał go złapać i przydusić do śniegu, ale pies wpadł już między pierwszy szereg pojazdów.

- Bane! Nie!

Zawsze posłuszny, wielki pies stanął i spojrzał za siebie.

W tym momencie rakietka uderzyła w lód, odrzucając Matta do tyłu z potężną siłą. Wylądował na plecach, impet wypchnął mu z płuc całe powietrze. Poczul przewalającą się nad nim falę gorąca.

Z jego gardła wydobył się krzyk, który niemal rozerwał mu serce.

- Nie!!!

Usiadł. Parking przestał istnieć, zamienił się w płataninę lodu i poskręcanych pojazdów. Pośrodku ziała dziura sięgająca aż do oceanu.

Matt zakrył twarz dłońmi.

GODZINA 17.19

Jenny musiała na ułamek sekundy stracić przytomność. Przed chwilą stała przy snocacie, wołając do Matta, a teraz leżała na plecach. Kiedy usiadła, świat kręcił się wokół i dzwoniło jej w uszach.

Znajdowała się o jakieś sześć metrów od pojazdu śnieżnego. Pamiętała szarpnięcie, kiedy lód się pod nią wypięrzył i wyrzucił ją w powietrze. Cat leżał przewrócony na bok, rozbity siłą eksplozji.

Matt...

Przypomniało jej się, że widziała go tuż przed eksplozją. Strach sprawił, że od razu oprzytomniała.

Próbowała wstać. Craig podnosił się ze śniegu trzy metry dalej. Amanda stała przy sno-cacie, najwyraźniej nawet nieoszolomiona.

Pole lodowe za nimi było zniszczone, z lodu leciała para. Pośrodku ziała wielka dziura. Wszędzie leżały wraki pojazdów, rozrzucone jak zabawki. Nie było śladu Matta ani Bane'a, ale kłęby pary wodnej zasłaniały dużą część widoku.

Tom leżał na lodzie, przyciśnięty skuterem śnieżnym. Nie poruszał się, wypływała spod niego ciemnoczerwona struga.

Boże...

Pojazd Kowalskiego leżał na boku, w połowie wysokości torosu, jego silnik ciągle jeszcze perkotał. Samego marynarza nie było nigdzie widać.

- Musimy im pomóc - oświadczyła Amanda. Jenny, potykając się, podeszła do niej.

Amanda odwróciła się. Jej słowa były bardziej niż zwykle rozmyte.

- Wybuch... - Pokręciła głową. - Ten pocisk spadł mi niemal na głowę.

Jenny położyła jej dłoń na ramieniu. Obserwowanie tego, co się działo, bez słyszenia musiało być straszne. Podeszedł do nich Craig.

Za szybą sno-cata poruszali się ludzie. Ogden miał na czole ranę, ale razem z Magdalene próbował uspokoić Zane'a. Student był półprzytomny i chaotycznie machał rękami.

- Musimy ich stamtąd wyciągnąć - powiedziała Jenny.

- Drzwi się zablokowały - odparła Amanda. - Próbowałam... nie mogłam... może razem...

Craig odwrócił się od sno-cata.

- Nie będziemy mieli czasu - mruknął, patrząc w przestrzeń za wybitym w lodzie otworem.

Kiedy wiatr zdmuchnął mgłę z miejsca wybuchu, ukazał się szereg postaci w białych kurtkach, idących w ich kierunku z gotową do strzału bronią.

Craig spojrzął na kobiety.

- Oddział sprząający. Musimy się schować, zanim nas zobaczą.

Jenny popatrzyła na zniszczone pojazdy.

- Gdzie? - Wskazała ręką na torosy. - Z powrotem na terytorium grendli?

Craig pokręcił głową, zastanawiał się nad czymś.

- Oddział Delta mógłby tu być za dwadzieścia minut... jeśli do tego czasu wytrzymamy.

- Może mam lepszy pomysł - wtrąciła Amanda. - Ale musimy się pospieszyć. Chodźcie. - Odwróciła się i ruszyła w bok od parkingu.

Jenny popatrzyła na postacie w sno-cacie, a potem na nieruchome ciało Toma. Nie podobało jej się, że musi ich zostawić, ale nie miała wyjścia. Zwłaszcza że była bez broni. Jej palce dotknęły pustej kabury. Zrozpaczona, odwróciła się z poczuciem winy.

Kiedy ruszyła za Craigiem i Amanda, za ich plecami zawyły maszyny. Spojrzała przez ramię - przez mgłę i dym przebijały światła dwóch reflektorów. Nadjeżdżały z boków, okrężały strefę uderzenia rakiety.

Poduszkowce.

Jenny zaczęła biec szybciej.

Trzydzieści metrów przed nią Amanda zniknęła za lodowym wierzchołkiem. Craig był następny. Kiedy tam dotarła, zatrzymała się i po raz ostami popatrzyła na tych, których musiała zostawić. Tom, leżący pod skuterem śnieżnym, z widocznym trudem uniósł rękę.

- Tom żyje! - wysapała.

Craig, schowany w lodowej niszy, naturalnym zagłębieniu w torosie, krzyknął do niej:

- Nie mamy czasu wracać! Za chwilę będą tu Rosjanie! Jenny domyśliła się, jak mają uciec. W zagłębieniu był ukryty jednomasztowy bojer na długich tytanowych płozach. Amanda stała przy jego dziobie z niewielką siekierką w dłoniach. Przecinała zabezpieczające pojazd cumy.

Jenny stanęła w wejściu do groty i jeszcze raz popatrzyła na Toma. Jego ramię opadło na śnieg i znieruchomiało.

Zagryzła zęby. Nie mogli ryzykować, że znów zostaną złapani. Odwróciła się plecami do Toma i podeszła do bojera.

- Każdy z jednej strony! - zawołała Amanda, skacząc to tu, to tam z siekierką w dłoni.
- Musimy go stąd wypchnąć!

Kiedy Jenny chwyciła bok lodowego pojazdu, chcąc spełnić jej polecenie, usłyszeli wizg poduszkowca. Craig popatrzył na nią. Naprawdę skończył im się czas. Nie było możliwości ratować pozostałych.

Po odcięciu cum Amanda wrzuciła siekierkę do wnętrza kadłuba i zaczęła pchać pojazd od dziobu.

- Cofnijcie go o jakieś trzy metry, to postawię żagle. Pchali z całych sił, ale bojer był ciężki. Nie dał się poruszyć.

Nie zdążą...

- Dawaj... - mruknął Craig.

Nagle bojer ruszył. Wcałe nie był ciężki - po prostu jego płozy przymarzły do podłoża. Szybko wypchnęli go na wiatr.

- Wszyscy na pokład, blisko dziobu! - krzyknęła Amanda, obiegając bojer od prawej strony. - Po jednej osobie z każdej strony, dla równowagi!

Jenny i Craig wspięli się na kadłub.

Amanda błyskawicznie odwiązała żagiel. Materiał natychmiast złapał wiatr, wydał się i naciągnął szoty.

Bojer pomknął do tyłu, oddalając się od torosów.

Gdy sunęli po lodzie, Jenny dostrzegła za dziobem bojera oba poduszkowce, okrążające sno-cata. Na każdym z nich siedziało dwóch ludzi.

Kiedy Rosjanie ich dostrzegli, poduszkowce skrzyły.

- Cholera! - zaklął Craig.

Obaj siedzący z tyłu poduszkowców żołnierze zaczęli do nich strzelać, obsypując pociskami lód przed i wokół bojera. Kilka pocisków przestrzeliło żagiel, ale niewiele to zaszkodziło.

- Położyć się płasko! - krzyknęła Amanda. - Głowy na dół!

Tuż nad nimi przeleciał bom, z siłą, która bez trudu rozbiłaby człowiekowi czaszkę. Po chwili bojer zareagował na manewr - jedna płoza podniosła się, a kadłub obrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

Jenny wstrzymała oddech, pewna, że się przewrócą, ale uniesiona płoza wróciła na lód. Wydymając się, żagle strzeliły głośno - przypominało to odgłos, jaki wytwarza przekraczający barierę dźwięku samolot - i pomknęli dalej.

Wiatr huczał wokół nich.

Po chwili Jenny odważyła się spojrzeć do tyłu. Poduszkowce zaczęły odpadać. Przy tym wietrze nic nie mogło mierzyć się z bojerem.

Jenny poczuła, że znowu kiełkuje w niej nadzieja.

Nagle ujrzała po obu stronach prowadzącego poduszkowca błyski ognia. Minirakiety!

GODZINA 17.22

Matt biegł nisko pochylony, kluczył między uderzającymi i rykoszetującymi wokół niego pociskami. Napędzany złością, omijał przewracane pojazdy i wraki, szukał każdej możliwej osłony, ale tyraliera rosyjskich żołnierzy za jego plecami nieubłaganie się zbliżała.

Dalszą drogę blokowała mu wyrwana w lodzie dziura. Obejście jej spowolni go, ale przynajmniej zniknie w unoszącej się nad wodą przy krawędziach lodu mgłę.

Kierował się na zawietrzną, gdzie była najgęstsza. Co jednak potem? Nie mógł się wiecznie ukrywać w tej mgłę. Musiał zgubić Rosjan.

Jego uwagę przyciągnął jakiś ruch po prawej stronie. Zobaczył potężną niebieską półkulę. Żagiel bojera, wydęty przez wiatr. Pojazd ścigały dwa poduszki. Po chwili przy bojerze buchnęła potężna eksplozja, wzbijając w powietrze lód i wodę. Lodowy pojazd uratował się, skręcając w ostatniej chwili w bok, ale został obrzucony kawałami kry. Poduszki natychmiast się do niego zbliżyły.

Tuż przy stopie Matta w lód uderzył pocisk. Matt odskoczył, skupiając się na własnym położeniu. W jego kierunku poleciały kolejne pociski. Kiedy się odwracał, jego wzrok padł na...

A może...

Próbując ocenić dystans, szpetnie zaklął. Wolał jednak zginąć, próbując się ratować, niż dostać kulkę w łeb od Rosjan.

Zmienił kierunek. Pędził teraz prosto na wybitą w lodzie, dymiącą dziurę. Biegł po otwartej przestrzeni, wyraźnie widoczny. Ścigały go pociski, coraz bardziej się zbliżając.

Skoczył z krawędzi z szeroko rozłożonymi ramionami.

W wodzie pływały kawały lodu. Przekreślał ciało, starając się je omijać, i po chwili wpadł w lodowatą otchłań.

Zimno natychmiast wbiło się w niego, ścisnęło go jak imadło, choć raczej piekło, niż ziębiło. Miał ochotę zwinąć się w ciasną kulkę. Płuca rozpaczliwie chciały zaczerpnąć powietrza.

Ale poddanie się tym pragnieniom oznaczałoby śmierć.

Napiął mięśnie klatki piersiowej i zaczął pracować nogami, rękami ściągając ciało w dół, pod krawędź lodu. Wysiłek pomagał - tak samo jak trzy warstwy Goreteksu w kurtce. Wpłynął w ciemny ocean.

Woda była czarna jak atrament, ale starał się koncentrować na celu, który wybrał sobie jeszcze na powierzchni. Jakies sześćdziesiąt metrów przed nim do oceanu wpadało przytłumione światło dnia.

Było to w miejscu, gdzie Rosjanie zrobili w lodzie otwór, przez który wynurzył się ich okręt podwodny. Matt płynął właśnie tam, tuż pod lodem, walcząc z zimnem i ciężarem ubrania. Musiał tam dopłynąć.

Rosjanie na pewno uznają, że zginął, i zrezygnują z pościgu. Jeśli mu się uda, wyjdzie na lód i poszuka jakiejś jaskini w torosach. W wewnętrznej kieszeni kurtki miał paczkę papierosów i zapalniczkę. Rozpali ognisko i zaczeka, aż Rosjanie odejdą.

Nie był to jednak najlepszy plan... tak naprawdę miał więcej wad niż zalet.

Ale lepsze to niż kula w plecy.

Wciąż walczył. Jeszcze tylko kawałek...

Snop światła był coraz bliżej. Matt młócił nogami i rękami, a kiedy była taka możliwość, łapał za wystające w dół krawędzie lodowej skorupy i podciągał się, by szybciej dotrzeć do otwartej wody.

Może to wcale nie był najlepszy pomysł?

Nie pozwalał jednak, by ogarnęła go panika. W Zielonych Beretach przechodził szkolenie w bardzo trudnym terenie. W dalszym ciągu kopał nogami i poruszał rękami. Dopóki serce pompuje krew, żyje.

Ale powoli zaczynał go ogarniać strach.

W taki sposób zginął Tyler... tonąc pod lodem.

Odsunął tę myśl i dalej płynął ku światłu. Lecz snach i poczucie winy nie chciały odejść.

Jak ojciec, tak i syn.

Kiedy jego płuca spazmatycznie się skurczyły, z ust wyleciał mu łańcuszek pęcherzyków powietrza. Światło przed nim pociemniało.

Może zasługuję na to... nie uratowałem Tylera.

Coś w nim jednak wciąż nie chciało w to uwierzyć. Płynął coraz wolniej. Światło zdawało się już blisko. Tak długo walczył o wyzwolenie - teraz i w przeszłości. Nie umrze. Nie pozwoli dać się zabić poczuciu winy, nie będzie powoli umierał jak przez minione trzy lata.

Wypłynął na światło, rozpęd wyrzucił go poza wyciętą w lodzie krawędź. Ogarnęła go jasność.

Będzie żył.

Zużywając ostatnie resztki powietrza w płucach, podpłynął do powierzchni, ku światłu i ratunkowi. Wyciągnął drżącą, przemarzną rękę - i dotknął lodu.

W czasie sztormu powierzchnia płoni zamarzła.

Wyporność wypchnęła go ku górze. Uderzył głową w lód. Zaczął macać wokół siebie, załomotał pięścią w przezroczystą barierę. Warstwa lodu miała jakieś piętnaście centymetrów. Za gruba, aby mógł przebić się od spodu.

Popatrzył ku światłu, ku wolności, od której dzieliło go piętnaście centymetrów lodu.

Jak ojciec... tak syn...

Ogarnęła go rozpacz. Skierował wzrok ku dołowi, podążył spojrzeniem za światłem w lodowatą głębię.

W dole coś się poruszało. Ujrzał jakieś kształty. Jeden, potem drugi... jeszcze jeden. Ogromne i mimo swoich rozmiarów pełne wdzięku, doskonale dostosowane do otoczenia. Wielkie białe cielska zbliżały się ku uwięzionej ofierze, płynąc ku światłu.

Grendle.

Matt przycisnął plecy do lodowej pokrywy i patrzył w dół. Przynajmniej nie umrze jak Tyler...

GODZINA 17.23

Amanda ściągnęła żagle, próbowała przejechać przez deszcz kawałów lodu bez strat. Głaz wielkości krowy wylądował metr przed dziobem bojera, odbił się i potoczył w tym samym kierunku, w którym podążali.

Pochyliła się, walcząc o odbicie w bok. Kiedy lodowy głaz stracił impet i zwolnił, ominęła go.

Rozejrzała się - z nieba w dalszym ciągu spadał lód. W lodzie za nimi widoczna była potężna wyrwa. Oba poduszkowce wciąż się zbliżały.

Amanda pracowała pedałami, poruszając nimi w nierównych odstępach czasu. Spowalniało to bojer, ale chcąc uciec przez poduszkowcami albo rakietami, nie mogli liczyć tylko na prędkość. Najlepszym kursem był szarpany zygzak, czyniący z nich cel nie do trafienia.

Amanda koncentrowała się na obserwacji terenu przed pojazdem, a Jenny i Craig położyli się na brzuchach i patrzyli do tyłu. Ułożyli się tak, aby mogła w razie potrzeby czytać z ich warg.

- Wspaniała jazda - powiedziała Jenny.

Amanda pozwoliła sobie na niewesoły uśmiech. Nie byli jeszcze bezpieczni.

Craig wyciągnął swoje radio i podniósł kołnierz kurtki. Mówił tak, że Amanda nie widziała jego warg.

Można się było jednak domyślić, że wzywa na pomoc oddział Delta. Uciekł ze stacji i „Piłka”, którą miał ze sobą, była poza zasięgiem Rosjan. Nie mógł jednak ryzykować jej przejścia. Nie teraz, kiedy był tak blisko celu.

Jenny pomachała do Amandy. Kolejne problemy.

Amanda odwróciła się. Prawy poduszkowiec zbliżał się, pędząc z ogromną prędkością nad płaską przestrzenią.

Poprawiła kurs i przyspieszyła, wykorzystując silniejszy podmuch wiatru. Robiła, co mogła, aby odskoczyć od poduszkowców.

- Znowu ustawiają się do strzału - powiedziała Jenny.

Amanda spojrzała przez ramię. Kierowca oraz pasażer bliższego poduszkowca byli nisko pochyleni nad maszyną. Musieli wyduszać z niej ostatnie rezerwy.

Będzie musiała zrobić to samo.

Popatrzyła na prędkościomierz. Zbliżali się do stu kilometrów na godzinę. Jeszcze nigdy tak szybko nie jechała tym bojerem.

Próbowała zignorować niebezpieczeństwo i skoncentrować się na pojeździe: palce na linach, stopy na pedałach, dłoń na rumplu. Czowała, jak wiatr szarpie żaglami i całym bojerem. Próbowała stać się z nim jednością, słuchając go tak, jak umie to robić jedynie ktoś głuchy. Przez kadłub czuła wizg płóz i ryk wiatru. Jej ułomność zamieniła się w przewagę.

Wydusiła z bojera kolejnych kilka kilometrów. Wskaźnik prędkościomierza przepętlął przez sto i zbliżał się do stu pięciu.

- Strzelają! - krzyknęła bezgłośnie Jenny...sto dziesięć... sto piętnaście... sto dwadzieścia...

Z prawej strony błysnęło i w niebo wystrzelił łód. Amanda przekreśliła bojer, obracając żagiel, tak aby pochwycił falę uderzeniową wybuchu.

...sto trzydzieści... sto trzydzieści pięć...

Najechali na występ lodu. Bojer wyskoczył w górę niczym surfer, który pochwycił ogromną falę. Rakieta eksplodowała dokładnie pod nimi, odrywając lodowy klin.

Bojerowi nic się nie stało, bo leciał w powietrzu. Amanda uniosła się w foteliku i ściągnęła żagle. Po chwili uderzyli o lód i pomknęli z ogromną prędkością.

...sto czterdzieści pięć... sto pięćdziesiąt...

Znów zostali obsypani lodem, ale strefa wybuchu była za nimi. Bojer mknął, zjednoczony z burzą i pilotem.

Craig wyciągnął rękę.

- Zawracają! Udało się!

Amanda nawet nie próbowała patrzeć za siebie. Wiedziała, że wygrała. Płozy ledwie dotykały lodu. Pozwoliła pojazdowi pędzić na skrzydłach burzy. Dopiero kiedy zaczął sam zwalniać, dotknęła hamulca.

Reakcja dźwigni od razu poinformowała ją o niebezpieczeństwie. Ostatni skok zniszczył hamulec.

Naciskała dźwignię raz po raz, ale nic to nie dało. Spróbowała zrefować żagiel, lecz wiatr był za silny i nie udało jej się to. Liny zamieniły się w napięte pasma stali. Bojer nie był przystosowany do takich prędkości.

Jenny i Craig zauważyli, co się dzieje.

Wiatr znów się nasilił, strzałka prędkościomierza przesunęła się jeszcze dalej.

...sto pięćdziesiąt pięć... sto sześćdziesiąt...

Na tej prędkości kończyła się skała.

Mknęli zdani na łaskę wichru, z szybkością, przy której najmniejszy błąd mógł zabić.

Pozostało im tylko jedno wyjście, jedna możliwość ratunku.

Amanda nie miała najmniejszej ochoty z niej korzystać, ale wiedziała, że nic innego im nie zostało.

- Potrzebuję siekiery! - krzyknęła.

GODZINA 17.26

Matt, niemal na granicy utraty przytomności, patrzył na stadko grendli. Podpływały od dołu - krążąc wokół niego cierpliwie. Nie spieszyły się. Tak samo jak i on, wiedziały, że nie może uciec. Był uwięziony między lodem nad nim i zębami pod nim.

Pamiętał o sztuczce Amandy, która odciągnęła te stwory za pomocą kasku i maski grzewczej. Gdyby udało mu się odwrócić ich uwagę czymś gorącym... jaskrawym...

Nagle przypomniał sobie o czymś.

Zaczął macać się po kieszeniach kurtki, z nadzieją że to, co wyjął z martwej dłoni rosyjskiego żołnierza, kiedy uciekał ze stacji, wciąż tam jest. Na szczęście było.

Wyciągnął czarny ananas. Rosyjski granat zapalający, taki sam jak ten, który zabił Pearlsona.

Walcząc z zawężającym się z braku powietrza polem widzenia, odsunął na bok osłonę zawleczeni i wcisnął przycisk pod spodem granatu. Popatrzył na najbliższego grendla i puścił granat w jego kierunku, licząc na to, że siła eksplozji wepchnie stwora z powrotem w głąbiny.

Granat szybko opadał, koziołkując ku czekającemu stadu.

Nie znając czasu jego opóźnienia, Matt zwinął się w ciasną kulkę i zasłonił dłońmi uszy. Wypchnął z płuc resztkę zużytego powietrza, ale nie zamknął ust. Woda wpłynęła mu do gardła. Kątem oka wciąż obserwował otaczające go potwory.

Jeden z nich trącił nosem mijający go granat.

Matt zamknął oczy. Proszę...

Świat na dole buchnął oślepiającym ogniem. W tej samej chwili, gdy Matt dojrzał przez przymknięte powieki błysk eksplozji, poczuł falę uderzeniową, która wypchnęła go w górę, zgmiotła mu klatkę piersiową i zaczęła miażdżyć czaszkę. Poczucił straszliwe gorąco, które natychmiast poparzyło jego odmarzającą skórę.

Kiedy wyrzuciło go w górę, pokrywa lodu pękła i wyleciał w powietrze, machając rękami jak oszalały. Wziął wdech, mignęła mu przed oczami lodowa płaszczyzna, po czym zaczął spadać do wody, pełnej kawałów lodu i piany. Na powierzchni wody tańczyły ognie.

Uderzył w wodę, zanurzył się i znów wypłynął, oszołomiony, z dudnieniem w głowie. Machał ciężkimi jak ołów rękami i nogami.

Tuż przed nim niemal pionowo wyprysnął potężny bladobiały kształt, zrzucając z grzbietu krę i płomień. Czarne ślepie wbiły się w Matta.

Matt próbował odpłynąć.

Cielsko przekreśliło się... i zapadło pod wodę.

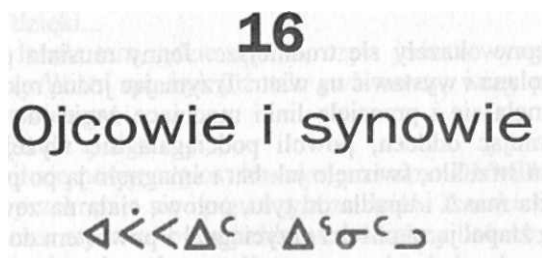
Martwe.

Dygocząc z zimna i przerażenia, Matt wpatrywał się we wznoszący się w niebo słup pary. To by było na tyle, jeśli chodzi o cichą ucieczkę. Kiedy zaczął się rozglądać, szukając miejsca, w którym mógłby wspinać się na lód, na krawędzi płoni pojawiły się ludzkie postacie.

Rosjanie.

Z wycelowanymi w niego karabinkami.

Matt złapał się kawału lodu. Skończyły mu się pomysły.



9 KWIETNIA, GODZINA 17.30

NA LODZIE...

Jenny wyciągnęła spod siebie siekierkę do lodu. Kiedy się podnosiła, rzuciła okiem na przemykający krajobraz. Pędzili, gnani pełną siłą sztormu. Wicher wył przeraźliwie. Wizg płóz brzmiał jak syk stada wściekłych węży, a wibracje kadłuba sprawiały, że swędziała ją skóra.

Trzymała siekierkę w jednej dłoni, a drugą złapała się relingu. Miała wrażenie, że w każdej chwili może wylecieć w górę jak latawiec.

- Co mam zrobić?! - krzyknęła. Amanda wskazała na bom.

- Musimy odciąć żagiel! Linka się zablokowała! To jedyny sposób, aby zwolnić!

Jenny popatrzyła na balon żagla, po czym znów odwróciła się, żeby Amanda mogła czytać z jej ust.

- Powiedz, co mam zrobić. Amanda pochyliła się do przodu.

- Chcę, żeby żagiel się zapadł, ale nie zerwał. Będziemy go jeszcze potrzebować. Musisz przeciąć kilka linek, tak aby zaczął łopotać. Kiedy zrobi się luźniejszy, będę mogła go ściągnąć - powiedziała, po czym pokazała Jenny, które linki powinna przeciąć.

Pierwsza, mocująca żagiel do bomu, poszła bardzo łatwo - wystarczyło, aby Jenny położyła się na plecach i kilka razy uderzyła. Po chwili linka puściła, a żagiel zadrżał, ale nie opadł.

Następne okazały się trudniejsze. Jenny musiała podnieść się na kolana i wystawić na wiatr. Trzymając jedną ręką maszt, zamachnęła się i przecięła linki mocujące żagiel do masztu. Wstrzymując oddech, powoli podciągała się wyżej. Jedno z wiązań strzeliło, świsnęło jak bat i smagnęło ją po policzku.

Puściła maszt i upadła do tyłu, połową ciała na zewnątrz.

Craig złapał ją za pasek i przyciągnął z powrotem do masztu.

Jenny odzyskała równowagę. Krew spływała gorącą stróżką po jej policzku.

Zamiast poddać się strachowi, rozłościła się. Przycisnęła się do masztu i zaczęła walić z jeszcze większą determinacją.

- Uważaj! - krzyknęła Amanda.

Kiedy zmieniły się przytrzymujące go siły, żagiel załopotał. Bom jęknął.

Amanda walczyła z odciętym kawałkiem liny, który latał wokół niej. Nagle puścił kabestan i wystrzelił z niego cały pęk lin.

- Na dół!

Jenny chciała zrobić, co jej kazano, ale było za późno. Bom zataczał już łuk na wysokości jej głowy. Nie było możliwości, aby zdążyła na czas uciec. Zamiast się schylić, podskoczyła.

Uniknęła uderzenia przez bom, ale pochwyciła ją płachta żagla. Złapała jego skraj, zebrała w dłonie tyle materiału, ile mogła. Kiedy bom wyniósł ją poza kadłub bojera, znalazła kolejne miejsca, których mogła się złapać, bliżej masztu.

Wisząc, palcami stóp niemal dotykała lodu.

Żagiel znów złapał wiatr i pchnął ją, wydymając się jak balon. Wyrwało ją z jej grzędy i wyrzuciło w powietrze. Krzyknęła.

Po chwili uderzyła - ale nie w lód, a w bojer. Amanda tak ustawiła pojazd, że Jenny spadła prosto na kadłub.

- Nic ci nie jest? - spytał Craig.

Jenny nie była w stanie nic z siebie wydusić, poza tym nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć na to pytanie. Oddychała ciężko, zdając sobie sprawę, jak blisko była śmierci.

- Opanowałam żagiel! - krzyknęła Amanda. - Zwalniam!

Bogu dzięki...

Jenny leżała tam, gdzie upadła, czuła jednak wyraźnie, że zwalniają. Wiatr nie był już tak gwałtowny, wizg płóz też zrobił się cichszy.

Westchnęła z ulgą.

Pojawił się nowy odgłos: basowe, poważne DUMP-DUMP.

Jenny przekręciła się i popatrzyła za dziób. Z niskich burzowych chmur wyleciał biały helikopter. Miał na bokach amerykańskie znaki.

- Delta Force - mruknął Craig.

Dopiero wtedy Jenny pozwoliła napłynąć łzom do oczu. Udało im się.

- Tu Rybołów - powiedział Craig. - Jesteśmy bezpieczni. Kierujemy się do bazy. Niech ktoś nastawi dla nas duży dzbanek kawy.

GODZINA 18.04

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt siedział w celi. Był wykończony. Miał na sobie komplet suchych rosyjskich ubrań: spodnie, zieloną bluzę z kapturem i o numer za duże buty. Ledwie pamiętał, jak to wszystko wkładał. W dalszym ciągu dygotał i drżał po niedawnym pobycie w Oceanie Arktycznym. Jego własne ubranie leżało na kupce w kącie wartowni. Wszystko zostało dokładnie przeszukane.

Przy drzwiach stał wartownik. Dwóch żołnierzy, którzy rozebrali Matta, przeszukali go i rzucili mu suche ubranie, już wyszło, znikając z jego dokumentami. Przedtem jednak opróżnili portfel i schowali do kieszeni wszystkie przemoczone banknoty. A więc tak wyglądały ich komunistyczne ideały.

Matt rozejrzał się. Choć w chwili, gdy go tu przyprowadzono, był lekko otumaniony, wiedział, gdzie jest. Widział te cele, kiedy poprzednio uciekał przed Rosjanami. Był na poziomie czwartym, gdzie musiano kiedyś przetrzymywać biedaków, których potem zamrożono w pojemnikach.

Cele miały jedną ścianę - tylną, a ich pozostałe trzy boki były okratowane. Zero prywatności, żadnych toalet, w kącie stało jedynie zardzewiałe wiadro. Poza tym wyposażenie pomieszczenia składało się z żelaznego łóżka bez materaca.

Matt siedział teraz na nim i obejmował głowę dłońmi. Wstrząs od wybuchu granatu jeszcze dawał o sobie znać pulsowaniem za uszami. Od ciosu kolbą karabinu bolała Matta szczęka, a z nosa sączyła mu się krew, nie wiedział jednak, czy od eksplozji, czy uderzenia pistoletem.

- Wszystko gra? - spytał sąsiad z celi obok. Był to jeden z biologów.

Próbował przypomnieć sobie imię tego chłopaka. Myślenie ciągle jeszcze przychodziło mu z trudem.

- ...ppp... rządku... - wymamrotał.

Razem z chłopakiem w celi siedziała jeszcze dwójka biologów: doktor Ogden i dziewczyna. Mattowi tłukło się po głowie pytanie, gdzie jest trzeci student. Czy nie było ich troje? Jęknął. Jakie to ma znaczenie?

- Pike! - powiedział nagle za jego plecami jakiś głos. Matt się odwrócił.

W celi po przeciwnej stronie stała przy kratkach Washburn. Dolną wargę miała rozbitą, oko zamknięte opuchlizną.

- Co się stało z komandorem Brattem? - spytała.

Pokręcił głową. Mózg w środku zaklekotał. Ogarnęła go fala mdłości. Przełknął żółć.

- Cholera... - mruknęła Washburn.

Byli jedynymi osobami, którym udało się przeżyć.

Do krat rozdzielających ich cele podszedł doktor Ogden.

- Panie Pike... Matt... jest coś, o czym powinien pan wiedzieć. Pańska żona...

Matt uniósł głowę.

- Co... co z nią?

- Była z nami. Widziałem, jak uciekła z tym gościem z CIA i doktor Reynolds bojerem.

Matt słyszał gorycz w głosie biologa, nie bardzo jednak docierało do niego, co Ogden mówi. Zbyt wiele rzeczy nie miało sensu. W końcu przypomniał sobie widok gonionego przez dwa poduszkowce bojera.

- Jenny...

Ogden streścił mu ostatnie wydarzenia.

Matt nie chciał mu wierzyć, ale pamiętał nagle pojawienie się Bane'a i... jego koniec. Zacisnął palce na twarzy. Jenny... była tak blisko. Co się z nią stało?

Ogden opowiadał dalej, ścisząc głos do szeptu:

- Znam trochę rosyjski. Usłyszałem, co wartownicy mówili, kiedy nas przeszukiwali.

Chcą odzyskać jakieś książki. Dzienniki, które zabrał człowiek z CIA.

- Ja też to słyszałam - potwierdziła Washburn, przysuwając się bliżej.

Matt zmarszczył czoło.

- Jaki człowiek z CIA?

Do doktora Ogdena podszedł student. Matt wreszcie przypomniał sobie jego imię. Zane.

- Mówił, że nazywa się Craig Teague.

Matt poczuł, jak przepływa przez niego fala gorąca. Przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa.

- Craig... Teague jest z CIA? Ogden kiwnął głową.

- Przysłano go tu, aby zabezpieczył rosyjskie dane dotyczące hibernacji.

Matt przypomniał sobie wszystko, co im się razem z Craigiem przytrafiło. Cały czas wyczuwał w nim jakąś ukrytą siłę, która momentami wpływała na powierzchnię. Nigdy by jednak nie podejrzewał...

Zacisnął pięść. Uratował tamtemu dupsko, a on tak mu się odpłacał.

- Pieprzony drań...

- Co teraz zrobimy? - spytała Washburn.

Matt, balansując na granicy między wściekłością a strachem o Jenny, nie mógł się skoncentrować.

- Dlaczego nas tu trzymają?

Zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć Washburn, otworzyły się zewnętrzne drzwi i do środka weszli ci sami żołnierze, którzy zabrali Mattowi dokumenty. Kazali podejść bliżej uzbrojonego wartownikowi i we trójkę stanęli przed celą Matta.

- Pójdiesz z nami - powiedział jeden z żołnierzy niezbyt pewnym angielskim.

Uzbrojony wartownik otworzył drzwi. Pozostali dwaj Rosjanie mieli pistolety. Matt zastanawiał się, czy nie udałoby mu się wyrwać jednemu z nich broni. Wstał. Nogi mu się trzęsły i omal się nie przewrócił. To by było na tyle, jeśli chodzi o frontalny atak.

Machnięto pistoletem, aby wychodził.

Prawdopodobnie była to odpowiedź *na* pytanie Washburn. Chciano ich przesłuchać. A potem? Matt popatrzył na pistolet. Użyteczność więźniów z pewnością na tym się skończy. Za dużo widzieli. Nie pozwolą im żyć.

Dwóch wartowników poprowadziło go w głąb poziomu czwartego. Nie szli jednak kolistym korytarzem między przerażającymi zbiornikami, ale wewnętrznym, kończącym się pojedynczym pokojem.

Kazano mu wejść do środka.

Wszedł do niedużego gabinetu, wyposażonego w mahoniowe meble: duże biurko, regały, szafki. Na podłodze leżała skóra. Z niedźwiedzia polarnego. Z łbem.

Jego uwagę natychmiast zwrócił ubrany w zbyt obszerną koszulę chłopiec. Wyglądał w niej jak w sutannie. Klęczał na podłodze, głaskał niedźwiedzia po łbie i szeptał mu coś do ucha.

Kiedy Matt wszedł, chłopiec popatrzył na niego. Matt potknął się o skraj dywanu i upadł na kolano. Od razu poznał malca.

Jeden z wartowników wrzasnął coś po rosyjsku i złapał Matta za kark.

W tym momencie odezwał się nowy głos, zimny, nawykły do rozkazywania. Matt uniósł głowę, by zobaczyć mówiącego. Ze skórzanego fotela podniósł się mężczyzna w czarnym mundurze i machnięciem ręki kazał wartownikowi się oddalić.

Był wysoki i miał szerokie ramiona, najbardziej jednak zwracało uwagę co innego - siwe włosy i szare jak burza oczy.

- Proszę usiąść - powiedział doskonałym angielskim.

Matt podniósł się z podłogi, ale postanowił nie siadać. Wiedział, z kim ma do czynienia. Z dowódcą sił rosyjskich.

Drzwi gabinetu zamknęły się z cichym trzaskiem, lecz jeden z wartowników został w środku. Poza tym wysoki mężczyzna miał pistolet przy pasie.

Twarde szare oczy wbiły się w Matta.

- Jestem admirał Wiktor Petkow. A pan?

Matt zobaczył na biurku swój portfel. Nie było powodu kłamać. Nigdzie go to nie zaprowadzi.

- Matthew Pike.

- Agencja Ochrony Ryb i Zwierząt? - W głosie mężczyzny słychać było powątpiewanie.

Matt starał się zachować spokój.

- Tak wynika z moich dokumentów, nieprawdaż?

Jedno szare oko drgnęło. Najwyraźniej rosyjski admirał nie był przyzwyczajony do podobnego zachowania. Jego głos stwardniał.

- Panie Pike, możemy to rozegrać kulturalnie albo...

- Czego pan chce? - Matt czuł się zbyt zmęczony, aby bawić się w grzeczności. Nie był w końcu Jamesem Bondem.

Twarz admirała poczerwieniała, zacisnął wargi. Zanim jednak zdążył cokolwiek odpowiedzieć, podszedł do niego chłopiec i dotknął jego dłoni.

- To dziecko z pojemnika... - wymamrotał Matt.

Dłoń admirała otoczyła paluszki chłopca w ochronnym geście.

- Żywy dowód sukcesu mojego ojca, który prowadził tu badania.

- Pańskiego ojca? Petkow skinął głową.

- Był wielkim człowiekiem, jednym z wiodących rosyjskich badaczy Arktyki. Jako kierownik tutejszej stacji zajmował się możliwością zawieszania procesów życiowych przy zastosowaniu kriogeniki.

- Przeprowadzał eksperymenty na ludziach. Petkow popatrzył na chłopca.

- Teraz łatwo jest tych badaczy osądzać. Wtedy były inne czasy. To, co dziś uważamy za *mierzost...* za odrażające, wtedy było nauką. - Jego głos złagodniał, słysząc w nim było zakłopotanie, ale i dumę. - W czasach mojego ojca, między dwiema wojnami światowymi, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Każdy kraj próbował odkryć coś nowego, stworzyć nową technologię, która zrewolucjonizowałaby jego gospodarkę. Zbliżała się wojna i zachowanie przewagi liczebnej na polu bitwy mogło zdecydować o zwycięstwie albo porażce. Można by zamrażać żołnierzy, aby móc zająć się ich ranami w bardziej sprzyjających warunkach, przechowywać narządy, a nawet „dawać na lód” całe armie. Możliwości zastosowań medycznych i militarnych kriogeniki były ogromne.

- Więc pański rząd zmusił Inuitów, aby stali się obiektami eksperymentów.

Oczy Petkova zwięzły się.

- Nie wie pan, co tu się działo, prawda?

- Nie wiem nic.

- Więc nie wie pan też, gdzie są skradzione dzienniki mojego ojca? Kto je wziął?

Matt zastanawiał się, czy nie skłamać, nie widział jednak potrzeby chronienia Craiga Teague'a.

- Zabrano je.

- W bojerze, który uciekł?

Uciekł? Więc istniała jednak nadzieja... W tym bojerze była prawdopodobnie Jenny. Potrzebował chwili, aby pozbierać myśli.

- Uciekli?

Petkow uważnie mu się przyglądał, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę. Może usłyszał błaganie w głosie Matta albo uznał, że Amerykanin nie stanowi zagrożenia, w każdym razie odpowiedział na pytanie:

- Uciekli moim ludziom i dotarli do Omegi.

Matt cofnął się i opadł na fotel, w którym jeszcze przed chwilą nie zamierzał siadać. Poczł falę ulgi.

- Dzięki Bogu. Jen... moja żona tam była.

- Więc jest teraz w większym niebezpieczeństwie niż pan. Matt znów się spał.

- Jak to?

- Ta sprawa jeszcze się nie zakończyła. Dla nikogo z nas. - Petkow popatrzył na chłopca. - Wie pan, ta stara stacja lodowa nie jest rosyjska...

Matt poczuł się, jakby uderzono go w brzuch. Petkow znów popatrzył na niego.

- Należy do Amerykanów.

GODZINA 18.16

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Jenny wysiadła z bojera i stanęła na lodzie. Popatrzyła na zniszczoną płoń. Jej równe brzegi przestały istnieć, były osmalone sadzą i pokryte rdzawymi plamami oleju. We wrakach dwóch helikopterów palił się ogień. Powietrze śmierdziało dymem i paliwem.

W górze rozległo się przypominające grzmoty dudnienie łopat jedyne go ocalałego helikoptera, który szykował się do lądowania niedaleko bojera. Amanda zabezpieczała bojer, mocowała żagle, kawałkami drewna blokowała płozy. Kiedy seahawk opadł na lód, spojrzała na niego.

Craig podszedł do helikoptera, kuląc się przed tworzonym przez rotory wiatrem. Przyciskał do szyi laryngofon i coś mówił do siedzącego w maszynie dowódcy Delta Force.

Spomiędzy chat wyszła grupa żołnierzy w białych strojach polarnych. Wszyscy byli uzbrojeni, choć mieli opuszczoną broń. Ponieważ Rosjanie byli blisko, woleli nie ryzykować.

Jeden z żołnierzy podszedł do kobiet przy bojerze.

- Chciałbym, aby panie poszły ze mną do środka. Rosjanie pozakładali w bazie mnóstwo ładunków zapalających, a nie wiemy, czy któreś z nich nie są bombami-pułapkami.

Jenny skinęła głową, bała się jednak pytać o ojca. Czy był zdrow i cały?

Poszli między budynkami. Przestało padać, ale wicher w dalszym ciągu dał między chatami. Mało brakowało, a Jenny by się wywróciła na śliskim lodzie. Po chwili domyśliła się, gdzie je prowadzą - do tego samego baraku, z którego uciekła z Kowalskim.

Na tę myśl do jej oczu znowu napłynęły łzy. Płakała podczas całej jazdy bojerem, przepełniona smutkiem. Kowalski zaginał, Tom też prawdopodobnie nie żył. Bane również. A Matt...

Wszyscy odeszli.

Ktoś jednak musiał przeżyć.

Kiedy żołnierz otworzył przed nią drzwi przedsionka, przyspieszyła kroku. Weszły obie z Amandą do środka i wartownik wskazał im znajdujące się na końcu korytarza podwójne drzwi, prowadzące do wnętrza chaty.

Trochę zdziwił ją widok dwóch uzbrojonych strażników, którzy przy nich stali.

- To dla waszej ochrony - wyjaśnił eskortujący je żołnierz. - Do chwili aż będziemy mieli pewność, że baza jest bezpieczna, chcemy, aby wszyscy znajdowali się w jednym pomieszczeniu. Ponieważ Rosjanie są tylko pięćdziesiąt kilometrów stąd, jeszcze nie jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Jenny nie miała nic przeciwko ochronie. Po tym, co ostatnio przeszła, uważała nawet, że im więcej żołnierzy, tym lepiej.

Ciepło w baraku uderzyło ją po twarzy niczym mokre prześcieradło. Z grzejników buchało gorąco, a liczba zgromadzonych w pomieszczeniu ludzi sprawiała, że było bardzo duszno. Jenny rozejrzała się szybko.

Natychmiast dostrzegła komandora Sewella, który siedział z samego brzegu. Miał obandażowaną twarz i rękę na temblaku. Podeszła do niego.

Popatrzył na nią niezakrytym przez opatrunek okiem.

- Po prostu nie może pani trzymać się z dala, co?

- Co się stało? - spytała, wodząc wzrokiem po jego poobijanej postaci.

- Kazała mi pani chronić ojca. - Wzruszył ramionami. - Traktuję takie polecenia poważnie.

Tłumek się rozdzielił i przycisnęła się przez niego znajoma postać. John Aratuk był bardzo zmęczony, ale cały. Padła mu w ramiona.

- Tato! Mocno ją objął.

- Jen... skarbie.

Nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Coś w niej pękło i zaczęła szlochać. Nie był to zwykły płacz, ale wybuchy bolesnego, zduszonego łkania. Nie potrafiła się opanować, wypływało to gdzieś z głębi jej jestestwa. Udało jej się przeżyć, ale tak wielu ludzi nie miało tego szczęścia.

- Mmm... Matt... - wyłkała. Obejmujące ją ramiona zeszywniały.

Płakała dalej, a ojciec zaprowadził ją do łóżka, na którym usiedli obok siebie. Nie próbował uspokajać jej słowami. Słowa przyjdą później. Teraz potrzebowała kogoś, kto by japo prostu trzymał i kogo ona mogłaby trzymać.

Kołysał ją delikatnie.

Po jakimś czasie zaczęła się uspokajać, była jednak pusta i odrętwiała. Powoli podniosła głowę. Zobaczyła Craiga, który siedział przy stoliku z Amandą, komandorem Sewellem i mężczyzną w śnieżnym kombinezonie bojowym.

Nieznamy trzymał pod pachą hełm. Miał krótkie ciemne włosy, szesane do tyłu. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, ale musiały to być ciężkie lata. Jego twarz była ogorzała, a od ucha do obojczyka biegła po szyi paskudna blizna. Kiedy się pochylił, aby przyjrzeć się bliżej czemuś, co leżało przed nim na stole, pomacał tę bliznę.

- Nie uważam, aby cokolwiek z tego miało znaczenie - powiedział. - Powinniśmy uderzyć teraz, zanim Rosjanie mocniej się okopią.

Jenny, zaniepokojona tym, co usłyszała, wysunęła się z ramion ojca. Poklepała go po dłoni.

- Jen?

- Już mi lepiej. - Przynajmniej w tej chwili, dodała w myśli. Wstała i podeszła do grupy przy stoliku. Ojciec ruszył za nią.

Craig popatrzył na Jenny.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Na tyle, na ile można się tego spodziewać w tych okolicznościach.

Odwrócił się z powrotem do mężczyzny w śnieżnym kombinezonie.

- To dzienniki, które miałem zdobyć. Są zaszyfrowane, więc nie wiem, co zawierają.

Amanda popatrzyła na Jenny.

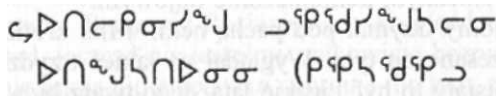
- Nie wie, czy wziął te, co trzeba - wyjaśniła jej.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał ubrany na biało żołnierz. - Mój oddział może przejąć stację w niecałe dwie godziny. Potem przyślą panu tylu specjalistów od deszyfrowania, ilu pan sobie zażyczy.

Jenny przyjrzała mu się uważnie. Musiał to być dowódca oddziału Delta Force.

- Rosyjski admirał nie jest głupi - powiedział Craig. - Wysadzi stację, żebyśmy jej nie przejęli. Zanim zaczniemy strzelać, potrzebujemy więcej danych wywiadowczych.

Jenny w pełni się z nim zgadzała. W całej tej sprawie zdecydowanie za mało myślano. Przyjrzała się otwartemu dziennikowi, leżącemu na dwóch zamkniętych. Raporty z badań. Jej wzrok zatrzymał się na dwóch linijkach symboli.



Wyciągnęła rękę i wzięła notes. Craig popatrzył na nią, marszcząc czoło. Przeciągnęła palcem po tekście.

- Ostatnie słowo to „grendel”. Craig odwrócił się do niej.
- Potrafisz odczytać ten szyfr? Jenny wzruszyła ramionami.
- Nie. Nie widzę w tym sensu. - Pokazała tekst ojcu. Pokręcił głową.
- Ja też nie.

Jenny zaczęła kartkować notes.

- Wszystko jest zapisane w inuktitut... a raczej pismem inuickim, ale nie jest po inuicku. Ostatnie słowo, „grendel”, potrafiłam przeczytać, bo zapisano je fonetycznie inuickimi symbolami.

Craig wstał i podszedł do niej.

- Fonetycznie? Kiwnęła głową.
- Możesz przeczytać pierwszą linijkę? Jak brzmiałaby wypowiedziana na głos?

Jenny wzruszyła ramionami.

- Spróbuję. - Przytknęła palec do pierwszej linijki i zaczęła powoli, niepewnie czytać:
- Iii... stor... ija... lied... ja... noj... stan... cii Grendel.

Craig wyprostował się.

- To po rosyjsku! Mówisz po rosyjsku! - Powtórzył słowa, nie dzieląc ich: - *Istońja liedianoj stancji Grendel*. To znaczy: „historia stacji lodowej Grendel”!

Jenny wbiła w niego zdumiony wzrok. Craig klepnął się dłonią w czoło.

- Oczywiście, doktor, który kierował stacją, musiał znać inuicki. Przecież jego obiektami badawczymi byli Inuici.

Musiał się z nimi jakoś porozumiewać. Używał inuickich symboli, aby robić notatki po rosyjsku. - Odwrócił się do Jenny. - Mogłabyś przetłumaczyć mi te notesy?

- Wszystkie?
- Tylko najważniejsze fragmenty. Muszę wiedzieć, czy mamy właściwe tomy.
- Aby mieć pewność, że dane z badań zostały zabezpieczone - dodała Amanda.

Craig skinął głową. Nie odrywał wzroku od dziennika, który Jenny trzymała w dłoniach.

Rzuciła spojrzenie w kierunku Amandy, niezbyt pewna, czy dobrze rozumie to, co się dzieje. Poruszyła bezgłośnie ustami, tak aby Amanda ujrzała jej wargi nad ramieniem Craiga: „Ufasz mu?”.

Amanda nic nie powiedziała, ale po chwili niemal niewidocznym gestem poruszyła głową w bok.

Nie.

GODZINA 18.35

STACJA LODOWA GRENDEL

Wiktor Petkow z satysfakcją patrzył na zaskoczoną minę więźnia. Robiło mu się niedobrze, kiedy miał do czynienia z radosnym amerykańskim ignorowaniem własnej historii i popełnianych przez własny rząd potworności - przy równoczesnym potępianiu innych rządów za to samo. Ich hipokryzja napawała go obrzydzeniem.

- Gówno prawda. Niemożliwe, żeby to była nasza baza - upierał się Amerykanin. - Chodziłem po niej. Wszystkie napisy są po rosyjsku.

- Dlatego, panie Pike, że odkrycia dokonaliśmy my. Rząd radziecki nie chciał pozwolić, abyście je ukradli i przypisali sobie całą chwałę. - Machnął ręką. - Ale pozwalaliśmy Stanom Zjednoczonym finansować badania i śledzić ich postępy.

- To był wspólny projekt? Petkow kiwnął głową.

- My dostarczyliśmy ciasto, a wy upiekliście z niego chleb, tak?

- Wasz rząd dał więcej niż tylko pieniądze. - Wiktor Petkow posadził sobie chłopca na kolanach. Malec przytulił się do niego, szukając uspokojenia w tym, co znajome. Admirał wpatrywał się w Amerykanina. - Dostarczyliście obiekty badawcze.

Oczy stojącego przed admirałem mężczyzny rozszerzyły się z przerażenia. Wbił wzrok w chłopca.

- Niemożliwe. Nigdy byśmy w czymś takim nie wzięli udziału. To wbrew wszystkiemu, co reprezentują sobą Stany Zjednoczone.

Wiktor Petkow uznał, że musi uzupełnić jego wiedzę.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku niedaleko jeziora Anjikuni został wysadzony oddział szturmowy Armii Stanów Zjednoczonych. Żołnierze opróżnili całą wioskę. Wzięli wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci. - Poglaskał chłopca po włosach. - Zabrali nawet martwe ciała, zachowane w zamrzniętych grobach, jako materiał porównawczy. Kto by szukał kilku Eskimosów?

- To niemożliwe. Nie uczestniczylibyśmy w eksperymentach na ludziach.

- Naprawdę pan w to wierzy? Pike patrzył na niego buntowniczo.

- Stany Zjednoczone mają za sobą długą historię używania do celów badawczych obywateli, których uznano za mniej potrzebnych. Z pewnością zna pan badania nad syfilisem z Tuskegee. Dwustu czarnych mężczyzn, zakażonych syfilisem, wykorzystano jako obiekty badawcze. Nie poinformowano tych ludzi o chorobie i nie leczono, aby amerykańscy naukowcy mogli obserwować ich straszliwe, powolne umieranie.

Więzień spuścił wzrok.

- To było w latach trzydziestych. Dawno temu.

- Ale nie skończyło się w latach trzydziestych - odparł Wiktor Petkow. - Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty. Chicago. Czteryście więźniów zostało zakażonych malarią, aby można było przetestować na nich nowe leki. Ten właśnie eksperyment posłużył potem hitlerowcom do usprawiedliwienia podobnych zbrodni, popełnianych przez nich podczas drugiej wojny światowej.

- Nie może pan tego porównywać z tym, co robili hitlerowcy. Potępiliśmy ich działania i wszystkich skazaliśmy.

- Więc jak usprawiedliwi pan projekt Spinacz? Amerykanin zmarszczył czoło.

- Wasz wywiad rekrutował hitlerowskich naukowców, proponując im azyl i nowe tożsamości w zamian za uczestnictwo w tajnych projektach. Nie byli to wyłącznie Niemcy. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym roku wasz rząd przyznał, że tak samo postępował z japońskimi zbrodniarzami wojennymi, którzy przeprowadzali potem eksperymenty na amerykańskich żołnierzach.

Krew odpłynęła z twarzy Pike'a. Wpatrywał się w inuickiego chłopca i powoli docierała do niego prawda. Tak brutalna utrata niewinności była bolesna.

- To było dawno temu... - wymamrotał, próbując jakoś usprawiedliwić to, co tak trudno było mu zaakceptować. - W czasie drugiej wojny światowej.

- Właśnie - powiedział Wiktor Petkow. - A jak pan sądzi, kiedy zbudowano tę bazę?

Pike pokręcił tylko głową.

- I proszę się nie oszukiwać, że tego rodzaju tajne eksperymenty na waszych obywatelach to prehistoria, coś, o czym można zapomnieć - dodał admirał. - Jest udokumentowanym faktem, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych CIA i Departament Obrony rozpryskiwały nad dużymi miastami środki chemiczne. Wypuszczano też nad

Georgią i Florydą komary zakażone żółtą febrą, a później przysyłano tam wojskowych naukowców, udających urzędników resortu zdrowia, którzy przebadali wszystkich mieszkańców. Listę tę można ciągnąć dalej: eksperymenty z LSD, badanie wytrzymałości na promieniowanie, testowanie gazów bojowych działających na układ nerwowy, badania biologiczne. To trwa do dziś... na waszym własnym podwórku, a obiektami tych eksperymentów są wasi obywatele. W dalszym ciągu jest pan zaskoczony, że robiono coś takiego także tutaj?

Amerykanin nie miał na to odpowiedzi. Patrzył przed siebie i lekko drżał - nie wiadomo, czy z powodu swojej niedawnej kąpieli w Oceanie Arktycznym, czy tego, co usłyszał.

Głos Wiktora Petkowa zmienił barwę.

- Śmie pan osądzać mojego ojca? Zmuszono go, aby tu służył, oderwany od rodziny...
- Admirał musiał przełknąć wściekłość i żółć, by móc dalej mówić. Potrzebował lat, aby wybaczyć ojcu. Nie tego, co tu robił, ale tego, że zostawił rodzinę. Zrozumiał wszystko znacznie później. Tego samego oczekiwał od siedzącego naprzeciwko Amerykanina, choć nie do końca wiedział, dlaczego próbuje pokazać mu prawdę. Czyżby ciągle jeszcze usiłował usprawiedliwić przed samym sobą to, co tu się wydarzyło?

Popatrzył na twarz siedzącego mu na kolanach chłopca i poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Zamachał palcami.

- Zabierzcie tego człowieka! - zawołał do wartownika. - Nie jest mi już potrzebny.

Obudziło to chłopca. Drobną rączką sięgnęła do policzka admirała.

- *Papa* - powiedział po rosyjsku.

Dzieciak przywiązał się do niego jak dopiero co wykluta gąska, ale Wiktor Petkow wiedział, że nie tylko o to chodzi. Miał kilka zniszczonych fotografii ojca i zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jest do niego podobny. Miał takie same siwe włosy. Takie same szare jak lód oczy. Nawet strzygł się tak samo jak ojciec na ostatnim zdjęciu. Dla chłopca, dopiero co przebudzonego z mroźnego snu, czas nie minął. Obudził się i zobaczył syna, który wyglądał jak ojciec. Dla niego nie było żadnej różnicy.

Wiktor dotknął twarzy chłopca. Te oczy patrzyły na mojego ojca, pomyślał. Te dłonie dotykały go. Czuł się głęboko związany z malcem. Jego ojciec pewnie bardzo dbał o niego, skoro chłopiec tak go pokochał. On sam więc będzie musiał dawać mu z siebie nie mniej.

Przeciagnał palcem po policzku dziecka. Po utracie całej rodziny wreszcie odnalazł więź z przeszłością.

Chłopiec uśmiechnął się i coś cicho powiedział. Nie po rosyjsku. Wiktor Petkow nie zrozumiał.

Amerykanin jednak zrozumiał. Stał przy drzwiach razem z uzbrojonym wartownikiem, który go miał wyprowadzić.

- Mówi po inuicku - wyjaśnił. Wiktor zmarszczył czoło.

- Co... co powiedział?

Pike wrócił od drzwi i pochylił się nad chłopcem.

- *Kinauvit?*

Dzieciak rozpromienił się i usiadł prosto.

- *Makivik... Maki!* Amerykanin popatrzył na Wiktora.

- Spytałem go, jak ma na imię. Nazywa się Makivik, ale wszyscy mówią na niego Maki.

Wiktor Petkow odsunął z czoła pasmo włosów.

- Maki - powtórzył. Podobało mu się brzmienie tego imienia. Pasowało do chłopca.

Dzieciak sięgnął do swojej głowy i pociągnął się za włosy.

- *Nanuq* - powiedział i zachichotał.

- Niedźwiedź polarny - przetłumaczył więzień. - Nazwał tak pana od koloru pańskich włosów.

- Nie mnie, lecz mojego ojca - odparł Wiktor. Pike spojrział na niego ze zdziwieniem.

- Uważa pana za pańskiego ojca? Wiktor Petkow skinął głową.

- Nie sądzę, aby zdawał sobie sprawę z tego, ile czasu minęło.

Maki, mając słuchaczy, paplał radośnie, pocierając sobie oko. Pike zmarszczył czoło.

- Co powiedział?

- Ze zdawało mu się, iż pan jeszcze śpi.

- Śpię?

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Obu to samo przyszło do głowy.

Czy to możliwe?

Wzrok Wiktora Petkova powędrował w stronę zewnętrznego korytarza, wzdłuż którego ustawione były pojemniki.

- *Niet.* To niemożliwe. - Jego głos drżał. - Niech go ppp... pan zapyta. Gdzie?

Pike domyślał się, czego Wiktor Petkow od niego oczekuje. Skupił się na dziecku.

- Maki... - zaczął. - *Nau taima?*

Chłopiec coś mu odpowiedział i zszedł admirałowi z kolan.

- *Qujannamiik* - szepnął Pike do malca, po czym dodał po angielsku: - Dziękuję.

Wiktor Petkow wstał.

- Czy on wie, gdzie może być mój ojciec?

Maki pomachał ręką.

- *Malingga!*

Pike przetłumaczył:

- Chodźcie...

GODZINA 19.18

STACJA DRYFUJĄCA OMEGA

Amanda siedziała przy stole i patrzyła na usta Jenny, która czytała dziennik, tłumacząc inuickie symbole. Starła się robić to powoli, aby Craig mógł wszystko zrozumieć.

Pierwszy zeszyt został już przejrany. Zawierał historię założenia stacji i sięgał aż do czasów tragedii „Jeanette” w 1879 roku.

Amerykański parowiec arktyczny „Jeanette”, dowodzony przez porucznika George’a W. DeLonga, został wysłany w celu zbadania nowej trasy żeglugowej między Stanami Zjednoczonymi a Rosją, został jednak unieruchomiony w lodzie i zamarzł. Tkwił w lodzie przez dwie zimy, aż w końcu został zgnieciony przez krę w 1881 roku. Rozbitkowie uciekli trzema szalupami, które przeciągnęli po lodzie do otwartego morza. Do wybrzeży Syberii dotarły jednak tylko dwie.

Historia nie zna losu trzeciej szalupy - ale najwyraźniej znali ją Rosjanie.

Sobota, pierwszy października Roku Pańskiego 1881.

Jenny i Craig wspólnie przetłumaczyli początek dziennika.

Jesteśmy ocaleni. Nasze modlitwy zostały wysłuchane. Po nocnej burzy, którą przeczekaaliśmy schowani pod płachtą płótna, co godzina wybierając wodę, nadszedł spokojny i jasny dzień. Na morzu pojawiła się wyspa. Nie ziemia, a jedynie lodowa wyspa. Bóg nie jest dla marynarzy tak łaskaw. Była to góra z mnóstwem grot, mogliśmy jednak na chwilę zejść ze statku. Odkryliśmy tam truchła przedziwnych morskich stworów, zachowane w lodzie. Dla

kogoś tak głodnego jak my każde mięso jest wspaniałym mięsem, to zaś smakowało szczególnie dobrze. Słodycz na języku. Chwalmy Pana.

Amanda rozejrzała się. Wszyscy obecni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jakie „stwory” znaleźli marynarze w górze lodowej. Grendle. To, że mięso miało słodki smak, było potwierdzeniem wyników dokonanej przez doktora Ogdena analizy porównawczej fizjologii komórkowej grendli i arktycznej żaby drzewnej. Podobnie jak w przypadku żaby, krioprotektantem był w ich organizmach cukier, a raczej glukoza. Nie wspomniała jednak o tym, pozwoliła, aby Jenny i Craig kontynuowali.

Drugi października. Zostało nas tylko troje. Nie wiem, jakie grzechy popełniliśmy na tych morzach, ale ukarano nas za nie w straszliwy sposób. W nocy truchła ożyły i zaatakowały nas we śnie. Stwory, które były naszym posiłkiem, same stały się tej nocy konsumentami. Tylko trzem z nas udało się dotrzeć do szalupy i uciec. Byliśmy ścigani, ale uratowało nas uderzenie harpunem. Ciągnęliśmy stwora za szalupą, aż upewniliśmy się, że nie żyje, a potem wzięliśmy jego łeb jako trofeum. To dowód gniewu Boga, który chcemy pokazać światu.

Decyzja ta nie okazała się szczęśliwa. Po kolejnych trzech dniach spędzonych na morzu rozbitkowie dotarli do nadmorskiej syberyjskiej wioski, gdzie pokazali swoje trofeum i opowiedzieli, co im się przytrafiło. Wieśniacy okazali się jednak przesądni. Uznali, że wniesienie łba do ich wioski ściągnie na nich kolejne bestie, więc marynarzy zaszlachtowano, a łeb stwora został poświęcony przez wioskowego pastora i zakopany pod kościołem.

Dopiero trzydzieści lat później historia ta dotarła do uszu pewnego przyrodnika. Prześledził legendę do źródła, odkopał czaszkę i zabrał ją do Petersburga. Znalezisko dołączono do zbiorów największej na świecie biblioteki zajmującej się badaniami Arktyki - Instytutu Badań Arktyki i Antarktydy. Zaczęto szukać owej nieszczęsnej lodowej wyspy, ale nawet przy wykorzystaniu map, których używali zabici w wiosce marynarze, trwało to kolejne dwadzieścia lat. Była integralną częścią arktycznej kry. Poszukiwania okazały się jednak owocne.

Opowieść marynarzy okazała się prawdą. Ponownie odnaleziono grendle.

W tym momencie Craig, wyraźnie zniecierpliwiony, kazał Jenny przestać i przejść do dwóch ostatnich dzienników - notatek z badań, sporządzonych przez Władimira Petkowa, ojca rosyjskiego admirała, który zaatakował Omegę i stację lodową.

- To jest dla nas ważniejsze - oświadczył.

Kiedy Jenny znowu zaczęła tłumaczyć, do baraku wszedł dowódca oddziału Delta Force, który przedstawił się jako Delta Jeden. Towarzyszyło mu dwóch jego ludzi.

Podszedł do Craiga i zaczął raportować. Amanda czytała z jego warg.

- Ptak jest gotów do lotu. Aby wyruszyć na Stację Lodową Grendel, potrzebujemy tylko pańskiego rozkazu.

Craig powstrzymał go gestem dłoni.

- Jeszcze nie. Dopiero kiedy będę pewien, że mamy wszystko, czego potrzebujemy.

Ponieważ nie pozostało im zbyt dużo czasu, jedynie przejrzeni następane rozdziały, by się upewnić, że są tam ostatnie notatki z badań. Szybko się jednak okazało, że doktor Władimir Petkow, nawet szyfrując tekst, nie ujawniał wszystkiego.

Z gruczołów znajdujących się w głębokich warstwach skóry grendli naukowcy wyizolowali hormon, odpowiedzialny za wprowadzanie zwierząt w stan hibernacji. Wyglądało na to, że gruczoły te reagowały na tworzenie się na skórze lodu i zaczynały wtedy wydzielać hormony powodujące krioprezerwację.

Jednak wszelkie próby zaszczepienia obiektów badawczych tym hormonem kończyły się niepowodzeniem. Nie udawało się osiągnąć ich ożywienia po rozmrożeniu.

Craig powtarzał głośno fragment tekstu, mając kłopot z kilkoma bardziej skomplikowanymi słowami:

Potem dokonałem intuicyjnego odkrycia... chodziło o kofaktor, aktywujący hormon. Doprowadziło to do pierwszego udanego ożywienia. To przełom, na który tak długo czekałem.

Obiektem eksperymentu była szesnastoletnia dziewczyna, która umarła w konwulsjach kilka minut po rozmrożeniu. Dla doktora Petkova był to jednak postęp.

Przy tym fragmencie Jenny zbladła. Amanda doskonale rozumiała dlaczego. Byli to ludzie z jej narodu, okrutnie i bezdusznie wykorzystywani przez rosyjskiego badacza.

Wedle danych z dziennika doktor Petkow spędził następne trzy lata na doskonaleniu całego procesu, używając kolejnych obiektów testowych. Craig kazał Jenny tylko pobieżnie przejrzeć te ustępy, ponieważ dotyczyły dodatkowych badań nad środkami uspokajającymi i nasennymi i nie miały wiele wspólnego z główną linią badań.

Ale pod sam koniec trafili na to, czego Craig szukał. Władimir wreszcie znalazł odpowiednią kombinację, którą opisał następująco: „Niemożliwa mikstura, której reprodukcja będzie szaleństwem, to bardziej przypadek niż nauka”. Prace zakończyły się jednak sukcesem. Doktor Petkow dokonał syntezy ostatecznej wersji serum.

W tym miejscu dziennik nagle się kończył. Nie było żadnej informacji na temat tego, co się stało z próbkami i jaki był dalszy los stacji.

Jenny zamknęła ostatni zeszyt.

- To wszystko.

- Musi być więcej - mruknął Craig, biorąc od niej dziennik.

- Wygląda na to, że im doktor Petkow był skuteczniejszy, tym bardziej robił się paranoidalny - zauważyła Amanda. - Podzielił swoje odkrycie na dwie części: notatki i próbki.

Craig zmarszczył czoło. Delta Jeden wyprostował się.

- Jak brzmią pańskie rozkazy?

- Musimy tam wrócić - stwierdził Craig. - To jedynie połowa łamigłówek. Mamy notatki, ale Rosjanie mają próbki. Musimy je zdobyć, zanim zostaną zniszczone przez admirała Petkova.

- Jesteśmy gotowi do wymarszu na pański rozkaz - oświadczył Delta Jeden.

- Bierzmy się do roboty - powiedział Craig. - Nie możemy dać Rosjanom czasu na zlikwidowanie próbek.

Delta Jeden ruszył ku wyjściu. Idąc, wydawał podążającym u jego boku ludziom przypominające warknięcia rozkazy.

- Za chwilę dołączę do oddziału! - zawołał za nim Craig. - Przygotować ptaszka! - Przyglądał się przez chwilę dziennikom, po czym odwrócił się do Jenny. - Nie mogę ich tu zostawić. Muszą być pod ochroną, ale chcę poznać ich treść bardziej szczegółowo. Może nie dostrzegaliśmy jakiegoś istotnego szczegółu.

- O co ci chodzi? - spytała Jenny.

- Potrzebuję przy sobie kogoś, kto zna inuktitut. - Patrzył to na nią, to na jej ojca. - Musimy wiedzieć, czy w tych zeszytach są jakieś wskazówki albo sugestie.

- Chcesz, żeby jedno z nas z wami poleciało? - Jenny zrobiła krok do przodu. - Nie sądzisz, że w tej sprawie dość już nadstawialiśmy karku? Że dość poświęciliśmy?

- To, że znacie ten język, może uratować komuś życie. Doktor Ogden, jego studenci i na pewno jeszcze inni... wszyscy tkwią w tej starej bazie. Nie chcę was zmuszać, ale potrzebuję pomocy.

Jenny spojrzała na ojca, a potem na Craiga. Cała ta sprawa wydawała się jej podejrzana.

- Polecę, ale pod jednym warunkiem. Craig uniósł pytająco brwi.

Jenny poklepała się po pustej kaburze.

- Chcę dostać z powrotem mój cholerny pistolet. Craig kiwnął głową.

- Nie martw się. Tym razem wszyscy będziemy uzbrojeni. Zaczęli ostatnie przygotowania. Amanda obserwowała przez okno Craiga, który stał przy Delcie Jeden i coś do niego mówił. Burza wracała, ale widziała jego poruszające się usta. Był jednak trochę za daleko. Odwróciła się do komandora Sewella, który dokonywał przeglądu swoich ludzi. Mieli bronić bazy do powrotu oddziału Delta, który odlatywał na ostatnią misję w pełnym składzie.

- Komandorze, mogłabym na chwilę pożyczyć pańską lornetkę?

Zmarszczył czoło, ale podał ją Amandzie. Skierowała lornetkę na Craiga i dowódcę Delta Force, rozmawiających pod jednym z reflektorów.

- Wszyscy gotowi? - zapytał Craig.

Krótkie kiwnięcie głową. Twarz Delty Jeden była czujna i skupiona.

- Wszystko gotowe. Cała wina spadnie na Rosjan - oświadczył.

Ktoś stanął obok, co lekko przestraszyło Amandę. Odwróciła się - był to John Aratuk.

- Na co patrzysz? - spytał.

Zanim Amanda zdążyła odpowiedzieć, wyrazić głośno swój lęk i podejrzenia, nagle coś poczuła. Nie... to niemożliwe...

Włoski na jej ramionach drżały. Czowała charakterystyczne mrowienie za niesłyszającymi uszami, które brzmiało dla niej jak dzwonki alarmowe.

Czy grendle mogły przebyć taką odległość?

- Co się stało? - spytał John, wyczuwając jej przerażenie. Odwróciła się do niego i zaczęła masować ramiona.

- Sonar...

GODZINA 19.31

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt trzymał chłopca za rękę i szedł za nim korytarzem. Minęli skrzydło więzienne i weszli do zewnętrznego, zakrzywionego korytarza.

- *Malingga!* - powtórzył chłopiec.

Rosyjski admirał szedł za nimi, towarzyszyło mu dwóch uzbrojonych wartowników. Nie było szansy na szybką ucieczkę. Poza tym Matt bał się o bezpieczeństwo małego Makiego. Nie mógł zostawić chłopca na pastwę losu.

Kiedy przechodzili przez blok więzienny, pozostali więźniowie rzucali mu pytające spojrzenia. Gdy doktor Ogden zobaczył chłopca, zrobił mocno zdziwioną minę.

Matt trzymał małe ciepłe paluszki w dłoni. Wydawało się niemożliwe, że to dziecko jeszcze kilka godzin temu tkwiło zamrożone w lodzie. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie Tylera. Obaj chłopcy zginęli w lodzie, ale jeden powrócił.

Po chwili weszli do korytarza z pojemnikami. Chłopiec zaczął się przyglądać zamazanym postaciom w środku. Wiedział, co zawierają? Może byli tu jego rodzice?

Wsadził do ust kciuk, oczy miał okrągłe jak spodki. Przestraszony, szybko szedł dalej.

- Czy on wie, dokąd idzie? - spytał z tyłu Wiktor Petkow. Matt przetłumaczył to pytanie Makiemu.

- *Ii* - powiedział chłopiec, nie wyjmując palca z ust, i kiwnął głową.

Korytarz się skończył. Stanęli przed ścianą. Obeszli cały poziom. Nie było dalszej drogi. Żadnych drzwi.

Chłopiec doszedł do samego końca korytarza. Z prawej strony stał ostatni pojemnik. Mały podprowadził Matta do pustej ściany. Wyglądała na całkowicie gładką, ale paluszki chłopca znalazły ukryty panel. Obrócił się na zawiasie do środka, ukazując mosiężne koło średnicy trzydziestu centymetrów.

Maki bawił się panelem, poruszając nim do przodu i tyłu. Powiedział coś w inuktitut, Matt przetłumaczył.

- Mówi, że z tamtej strony jest twój tajny pokój. Admirał łagodnie odsunął dłoń chłopca i przyjrzał się mosiężnemu kołu. Po chwili cofnął się i skinął na Matta.

- Proszę otworzyć.

Matt pochylił się i złapał za koło. Nie chciało się ruszyć.

- Potrzebuję łomu - wymamrotał, stękając z wysiłku. Chłopiec sięgnął pod koło i odsunął niewidoczną blokadę.

Koło natychmiast się poruszyło, najwyraźniej dobrze naoliwione.

Kiedy mechanizm zaczął się zatrzymywać, z cichym sykiem puściły uszczelki i część ściany się odsunęła. Tajne przejście.

Kazano Mattowi się cofnąć. Do ukrytych drzwi podszedł wartownik i pociągnął je.

Ze środka, niczym z otwartej lodówki, wypłynęło zimne powietrze. Zapaliło się światło. Podobnie jak pomieszczenia techniczne stacji, i to również zostało wyrąbane w lodzie. Nie było jednak magazynem, ale laboratorium.

Pod trzema ścianami stały wycięte z lodu stoły robocze, nad nimi znajdowały się lodowe półki, pełne prymitywnych wirówek, pipet i skalowanych pojemników. W półkach w ścianie naprzeciwko drzwi wejściowych, oświetlanych szeregiem nagich żarówek, wywiercono otwory. W każdym z nich tkwiła umieszczona tłoczkiem do góry strzykawka. Lód był wystarczająco przezroczysty, aby można było zobaczyć, że wszystkie są napełnione bursztynowym płynem. Było ich chyba z pięćdziesiąt.

Wchodząc do środka, Matt rozejrzał się uważnie. Najwyraźniej przeprowadzane tu badania musiały być wykonywane w niskich temperaturach.

Chłopiec również wszedł do laboratorium. W dalszym ciągu ssał kciuk. Jego oczy rozszerzyły się nagle, po czym popatrzył na rosyjskiego admirała.

Matt doskonale rozumiał jego zdziwienie.

- *Papa* - powiedział mały w inuktitut i powtórzył to słowo po rosyjsku.

Na podłodze siedziała ludzka postać z wyciągniętymi nogami i zwieszoną bezwładnie głową. Nawet przez warstwę lodu widać było, kto to jest. Rodzinne podobieństwo nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Westchnienie Wiktora Petkowa potwierdziło to. Podeszedł do ciała, padł przed nim na kolana i wyciągnął ręce.

Petkow senior miał fioletową twarz, jego ubranie pokrywał szron i lód. Jeden z rękawów koszuli był podwinięty, a obok ręki leżała pęknięta strzykawka. Od miejsca wbicia igły w ciało do strzykawki na podłodze wiła się zamrożona strużka krwi.

Matt podeszedł do strzykawek na półkach i wyciągnął jedną z nich. Płyn nie zamarzł, był obojętny na temperaturę. Spojrzał na zwłoki na podłodze.

- Wstrzyknął sobie serum... - mruknął pod nosem. Wiktor Petkow patrzył to na chłopca, to na swojego ojca. Po chwili spojrzał na Matta. Nietrudno było się domyślić, nad czym się zastanawia. Czy ojciec może ożyć jak chłopiec?

Na jednym ze stołów Matt dostrzegł taki sam notatnik jak te, które znajdowały się w szafce w laboratorium. Otworzył kruchą okładkę i ujrzał gęste linie znaków inuktitut. Znajac ten język dzięki Jenny i jej ojcu, umiał rozpoznać litery, ale nie układały się w sensowne słowa. Powtórzył je głośno, szukając w nich znaczenia.

- Mówi pan po rosyjsku - powiedział Petkow. Matt wskazał na zeszyt.

- Tylko czytam, co tu jest napisane.

Nadal klęcząc, Wiktor Petkow dał znak, żeby Amerykanin podał mu dziennik. Przejrzał go i oddał Mattowi.

- Niech pan czyta... - Głos mu się załamał. - Proszę... Maki podszedł do admirała i przytulił się do niego, najwyraźniej zmęczony i zdezorientowany. Petkow objął chłopca ramieniem.

Matt nie bardzo mógł dyskutować. Poza tym sam był ciekaw treści zapisków, zaczął więc czytać, a Petkow tłumaczył na głos. Co jakiś czas przerywał, by zadać pytanie albo kazać Mattowi przeczytać coś jeszcze raz.

Powoli poznawali prawdę.

Dziennik był testamentem Władimira Petkowa. Wyglądało na to, że w ciągu dziesięciu lat, które rosyjski naukowiec spędził w stacji, stopniowo budziło się w nim sumienie. Głównym powodem tej odmiany był Maki. Dziecko urodziło się w stacji i straciło rodziców w wyniku badań. Tęskniąc za swoim pozostawionym w Mateczce Rosji synem, Władimir bardzo przywiązał się do malca, co jest niewybaczalnym błędem przy prowadzeniu badań nad żywymi istotami. Nigdy nie należy nadawać imion laboratoryjnym zwierzętom. To proceduralne uchybienie sprawiło jednak, że Władimir odkrył na nowo, co znaczy być człowiekiem, i stracił naukową obojętność.

Wydarzyło się to mniej więcej w tym samym czasie, w którym rozwiązał zagadkę aktywizacji hormonów u grendli. Należało je pobierać od żywych okazów, nie od zamrożonych. Hormon pobrany od okazów zahibernowanych albo martwych był nieaktywny. Poza tym z próbkami trzeba było obchodzić się bardzo ostrożnie i utrzymywać je w stałej temperaturze.

Takiej jak w tej lodowej grocie.

Matt jeszcze raz rozejrzał się po laboratorium. Rozumiał teraz, do czego było potrzebne.

Rozwiązaniem łamigłówki okazało się ponownie połączenie ognia i lodu - hormonu żywego grendla z lodem wyspy. Nigdzie indziej podobne odkrycie nie byłoby możliwe.

Ale właśnie to złamało Władimira Petkowa. Porażony świadomością uczestnictwa w odbywającym się w stacji procederze, swoim udziałem w zniszczeniu tylu ludzkich istot, postanowił zataić swoje odkrycie przed światem - zwłaszcza gdy poznał prawdę o holokauście.

- W naszej rodzinie są Żydzi - wyjaśnił Wiktor Petkow.

Matt wiedział, o co mu chodzi. Jeżeli prześladowani są przedstawiciele własnego narodu, człowiekowi łatwiej otwierają się oczy na prawdę. Samo zrozumienie nie wystarczało jednak - Władimir potrzebował aktu skruchy. Świat nigdy nie powinien dostać tego, co zostało w tym miejscu odkryte. Tak więc razem z garstką współpracowników dokonał sabotażu, niszcząc sprzęt radiowy stacji i zatapiając należący do niej okręt podwodny. Odcięcie od świata i ciągle przemieszczanie się stacji miało dokonać reszty - spowodować jej zniknięcie gdzieś w Arktyce. Kilku pracowników próbowało dotrzeć do lądu po lodzie, ale najwyraźniej im się nie udało.

Aby ochronić więźniów, Władimir wprowadził ich w sen hibernacyjny.

Matt popatrzył w kierunku korytarza, zastanawiając się, czy był to akt łaski, czy raczej kolejne wykorzystanie. Tkwiąca w ramieniu naukowca igła świadczyła o tym, że sobie również zaaplikował serum. Czy zadziałało?

- Mój ojciec zniszczył tę stację - powiedział Petkow. - Ale nie był zdrajcą.

- Jeśli chciał mieć do siebie szacunek, musiał to zrobić - stwierdził Matt. - Musiał ukryć to, co w tak obrzydliwy sposób stworzył.

Wiktor Petkow spojrzał na ojca.

- Co ja zrobiłem... - wyszeptał i pomacał palcami gruby zegarek na nadgarstku. Migają na nim maleńkie lampki. - Wszystkich tu sprowadziłem. Chciałem uczynić poświęcenie ojca czymś bezwartościowym.

Ich uwagę zwrócił nagły ruch przy drzwiach. Do środka wszedł żołnierz i stanął sztywno przed admirałem. Wyraźnie podniecony, zaczął coś szybko mówić po rosyjsku.

Admirał wstał, a żołnierz wybiegł z laboratorium.

Petkow popatrzył na Matta.

- Przed chwilą dostaliśmy za pośrednictwem hydrofonu UQC potwierdzenie, że zbliża się do nas helikopter. Właśnie opuścił bazę Omega.

Oddział Delta Force, pomyślał Matt. Kawaleria wreszcie nadjeżdżała. Czy to znaczyło, że Jenny jest bezpieczna? Mógł jedynie mieć taką nadzieję.

Petkow dał strażnikom znak, aby zabrali Matta.

- Ojciec oddał za to odkrycie swoje życie i nie pozwolę go ukraść. Dokończę to, co on zaczął. - Podciągnął rękaw i odsłonił dziwny zegarek. - To się jeszcze nie skończyło.

GODZINA 19.48

W POWIETRZU NAD LODEM...

Jenny siedziała z tyłu sikorsky'ego seahawka. Patrzyła przez okno, choć nie bardzo było na co patrzeć. Wznoszony przez łopaty wirnika wiatr wzbijał śnieg. Wystartowali w białej chmurze.

Po chwili śnieg opadł. Wicher nadal szarpał helikopterem, ale pilot był znakomicie wyszkolony i utrzymywał maszynę w poziomie.

W słuchawkach Jenny rozległ się głos siedzącego z przodu Craiga:

- Powinniśmy być w stacji za dwadzieścia minut. Gdybyś mogła zacząć czytać zapiski z ostatniego notesu, nastawię twój mikrofon na nagrywanie. Będę też słuchał. Każda wskazówka może nam pomóc.

Jenny dotknęła leżącego na kolanach notatnika i popatrzyła w głąb przedziału dla załogi. Delta Jeden siedział przypięty na rozkładanym krzeselku, gotów w każdej chwili do działania wraz ze swoimi dwunastoma ludźmi. Z ponurym wyrazem twarzy tępo patrzył na śnieżne połacie.

Jenny spojrzała tam, gdzie patrzył. Czerwone budynki Omegi były już tylko smugą na bieli. Słońce powoli opadało za horyzont, ale wkrótce miało wejść w fazę letnią.

Czy ten dzień kiedykolwiek się skończy?

Wróciła myślą do leżącego na kolanach dziennika, gotowa kontynuować tłumaczenie, lecz jej uwagę przyciągnął błysk ognia na horyzoncie, który zamigotał różą płomienia i wirującego śniegu.

Poczuła wstrząs. Basowy huk był słyszalny nawet przez izolowane słuchawki. Fala uderzeniowa załomotała o jej klatkę piersiową jak kopniak muła.

Boże... nie... nie...

Oparła się na pasach i przycisnęła twarz do okienka. To nie do wiary...

Helikopter zabujał się na boki, jakby pilot chciał zawrócić.

Przez chwilę nic nie było widać. Jenny modliła się, aby jej przecucie się nie sprawdziło. Zaraz jednak ujrzała wirującą kolumnę ognia, przypominającą potężne tornado. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się stacja Omega, w niebo strzelały płomienie.

Kaskada ognia powoli opadała, połykana przez wiatr i śnieg.

Jenny odzyskała zdolność słyszenia. W kabinie rozlegały się pełne zaskoczenia i konsternacji krzyki. Mężczyźni przysuwali się do okienek, aby móc lepiej widzieć. Ich twarze przypominały nieruchome maski.

Pośrodku zamrożonej pustyni, oświetlana dymiącymi ogniami, niczym arktyczny wulkan ziała gigantyczna dziura. Dookoła niej rozlewały się jeziora ognia.

Nie było śladu Omegi. Została zlikwidowana, zdmuchnięta z oblicza Ziemi.

Jenny nie mogła oddychać. Ojciec... wszyscy pozostali...

Na ogólnym kanale darł się Craig:

- Jasna cholera! Zdawało mi się, że mówiłeś, że wszystkie ładunki-pułapki zostały rozbrojone!

- Zostały... - odpowiedział jeden z sierżantów. - Chyba... chyba że któregoś nie zauważyłem...

Jenny ciągle jeszcze nie mogła oddychać. Do jej oczu napływały łzy, ale zatrzymywała je pod powiekami. Widziała zaskoczenie na wszystkich twarzach... z wyjątkiem jednej.

Dowódca oddziału Delta Force wyglądał przez okno na płonący krajobraz. Wyraz jego twarzy nie zmienił się - mężczyzna nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

Nagle popatrzył na nią i Jenny pojęła przerażającą prawdę.

Słuchała, jak Craig drze się na sierżanta i słyszała w jego głosie fałsz. Wszystko było przygotowane. Działali na takich samych zasadach jak Rosjanie: zamierzali capnąć zdobyc i nie zostawić ani jednego świadka. Wszystko po sobie posprzątać.

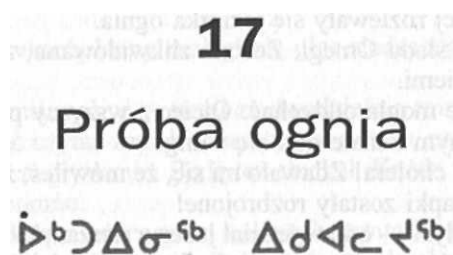
Jenny nie zmieniła wyrazu twarzy, ukryła swą wiedzę. Przyglądała się Delcie Jeden. On też na nią patrzył, próbując ją przejrzeć. Wiedziała, że pożyje tylko tak długo, jak długo będzie przydatna. Jej znajomość języka inuktitut była jedyną barierą między życiem i śmiercią.

Craig szeptał jej kondolencje, nie słuchała go jednak. Udawała, że wpatruje się w notes.

Kątem oka obserwowała tańczące płomienie. Po jej policzku stoczyła się łza - zrodzona z żalu i wściekłości. Tato...

Sięgnęła dłonią do kabury. Kolejna niespełniona obietnica.

Kabura była pusta.



9 KWIETNIA, GODZINA 19.55

STACJA LODOWA GRENDL

Matt siedział w celi. Był zdziwiony, że zostawiono z nim chłopca. Maki leżał skulony na łóżku, w kokonie koców. Może admirał chciał, aby mały miał blisko siebie kogoś, kto zna jego język. Matt nie zaprotestował, nie miał nic przeciwko zaopiekowaniu się Makim. Siedział w nogach łóżka i patrzył na malca, śpiącego z dłońmi zwiniętymi przy ustach, jakby się modlił.

Miał oczywiście inuickie rysy: oliwkową cerę, hebanowe włosy i brązowe migdałowe oczy. Patrząc na niego, Matt myślał o Tylerze, który miał takie same ciemne włosy i oczy - jak matka. Czuł ból, ale strach i napięcie ostatnich godzin tak go wypaliły, że pozostało w nim jedynie głębokie poczucie straty.

- Trudno w to uwierzyć... - powiedział doktor Ogden, któremu Matt streścił informacje zawarte w dzienniku.

Matt skinął głową, niezdolny oderwać oczu od chłopca.

- Wiele bym dał, aby go zbadać... i może pobrać próbkę krwi...

Matt westchnął i zamknął oczy. Naukowcy... Nigdy nie potrafili podnieść wzroku znad swoich badań, aby sprawdzić, czy kogoś nie krzywdzą.

- Hormon z grendli... przynajmniej to ma wreszcie sens - mówił dalej Ogden. - Uzyskanie kriogenicznego zawieszenia funkcji życiowych wymagałoby natychmiastowej enzymatycznej reakcji genów. Skóra lodowacieje, co powoduje wydzielanie się hormonu, który sprawia, że komórki wypełniają się glukozą, aby nie ulec zniszczeniu, a potem ciało zamarza. Ponieważ grendle są ssakami, ich hormony muszą zawierać podobne związki chemiczne jak hormony innych ssaków. Insulinę krów i świń wykorzystywano do leczenia cukrzycy u ludzi, prawda? Prace, które tu prowadzono, wyprzedzały swoją epokę. Błyskotliwe... Matt miał tego dość. Odwrócił się gwałtownie.

- Błyskotliwe? Oszalał pan? Może „potworne”? Ma pan pojęcie, co zrobiono tym ludziom? Ilu zabito? Pieprzyć te badania! - Wskazał na Makiego, który poruszył się lekko przez sen. - Czy on wygląda jak szczur laboratoryjny?

Ogden cofnął się od krat.

- Nie chciałem sugerować...

Doktor miał pod oczami głębokie cienie. Kiedy odepchnął się od krat, wyraźnie widać było, jak drżą mu ręce. Był tak samo zmęczony i przerażony jak pozostali. Nie powinienem na niego krzyżeć, pomyślał Matt i ściszył głos:

- Ktoś musi poczuwać się do odpowiedzialności za to wszystko. Trzeba wyznaczyć jakąś granicę. Nauka nie może wynosić się ponad moralność. Kiedy do tego dochodzi, tracimy wszyscy.

- Skoro mowa o traceniu, to co z oddziałem Delta Force? - wtrąciła się Washburn. - Dadzą radę przejąć tę stację?

Studenci spojrzeli na nią. Była to ich jedyna nadzieja: ratunek z zewnątrz. Matt zdawał sobie jednak sprawę z determinacji admirała Petkowa. Rosyjski dowódca nie zamierzał się poddawać - nawet gdyby doszło do konfrontacji z przeważającymi siłami. Matt zauważył w jego oczach zimny, beznamiętny blask, który przerażał go znacznie bardziej niż broń rosyjskich żołnierzy i grendle.

Jedynie chłopiec zdawał się budzić w tym człowieku ludzkie uczucia. Matt znowu popatrzył na Makiego. Podobnie jak stało się to w przypadku Władimira Petkowa, chłopiec mógł obudzić sumienie także w jego synu, ale taka przemiana wymaga czasu... czasu, którego nie mieli. Petkow był teraz wpędzonym do pułapki rosyjskim niedźwiedziem. Nie było nic bardziej niebezpiecznego ani nieprzewidywalnego.

Matt odwrócił się do Washburn.

- Doliczyłem się przynajmniej dwunastu żołnierzy, poza tym Rosjanie mają przewagę znajomości tego miejsca. Wejście tu wymagałoby frontального ataku, a potem krwawego, brutalnego czyszczenia poziomu po poziomie.

- Ale przylecą? - spytała Magdalene.

Zostało ich pięcioro, a jeżeli liczyć także Makiego - sześcioro. Skoro leciał do nich oddział Delta Force, to nie tylko na ratunek. Craig musiał dowiedzieć się o próbkach. Sukces misji zależał od przechwycenia ich.

Washburn też zdawała sobie z tego sprawę.

- Nie przylatują po nas - wyjaśniła, odpowiadając na pytanie Magdalene. - Nie my jesteśmy priorytetem.

Otworzyły się drzwi skrzydła więziennego i pojawił się w nich admirał Petkow w towarzystwie tych samych dwóch strażników co poprzednio. Podeszli do celi Matta.

Petkow powiedział ze swoją zwykłą bezceremonialnością:

- Wasz oddział Delta wysadził stację Omega. Matt wziął głęboki wdech.

- Gówno prawda - syknęła Washburn.

- Zarejestrowaliśmy eksplozję kilka minut po ich starcie. Washburn jęknęła. Matt wiedział, że admirał nie kłamie. To nie było w jego stylu. Zniszczono Omegę... ale dlaczego? Petkow odpowiedział na to pytanie dwoma słowami:

- Zdroworozsądkowe zaprzeczanie.

Matt rozważył tę odpowiedź. Czuł w niej prawdę. Operacje oddziałów Delta Force były utajnione i bardzo skuteczne. Wkraczały do strefy walki, przeprowadzały akcję i nie pozostawiały ani jednego świadka.

Ani jednego świadka...

Zrozumiał, co to znaczy. Zrobił krok do tyłu i wpadł na pryczę, co obudziło Makiego.

Petkow dał wartownikowi znak, aby otworzył celę.

- Wygląda na to, że wasz rząd szuka tego samego co mój. Chce przejąć badania dla siebie, nie pozostawiając nikogo, kto mógłby o tym poinformować innych. Za wszelką cenę.

Otworzono celę i Matt znów znalazł się pod bronią.

- Czego pan ode mnie chce?

- Aby powstrzymał pan obie strony. Ojciec poświęcił wszystko, żeby ukryć wyniki swoich badań, i dlatego nie chcę pozwolić, aby któryś rząd wygrał.

Matt zmarszczył brwi. Jeżeli admirał mówił prawdę - jeżeli naprawdę była to „czarna” operacja - może właśnie znalazł sojusznika. Mieli wspólnego wroga. Popatrzył na admirała, czując, jak kipi w nim złość. Jeżeli ci z Delty zamordowali wszystkich w Omedze... co wydawało się niepojęte, ale jak najbardziej możliwe... zrobi wszystko, aby pomścić ofiary.

Zobaczył przed sobą patrzące na niego z miłością czarne oczy.

Jenny...

Twarz admirała wyrażała determinację, ale czy mógł mu ufać?

- Co pan proponuje?

- Aby pomachał pan białą flagą - odparł lodowatym głosem Wiktor Petkow. - Porozmawiam z dowódcą Delta Force, który ukradł dzienniki mojego ojca. Zobaczymy, na czym stoimy.

Matt zmarszczył czoło.

- Nie sądzę, aby Craig był po przybyciu tutaj w nastroju do rozmowy. Moim zdaniem poprowadzą rozmowy za pomocą M-szesnaście.

- Będzie ich pan musiał przekonać, że nie powinni tego robić.

- W jaki sposób?

- Weźmie pan ze sobą kogoś...

- Kogo?

Oczy Petkova skierowały się ku drobnej postaci skulonej na łóżku.

GODZINA 19.59

W DRODZE, NAD LODEM...

Jenny czytała przez łyżę leżący na jej kolanach tekst. Nie miała pojęcia, co oznacza. Po prostu przekładała symbole inuktitut na fonetyczny rosyjski. Tylko to mogła zrobić, aby nie zacząć krzyczeć. Wiedziała, że Craig słucha, nagrywa, szuka jakiegoś śladu.

Siedzący naprzeciwko niej Delta Jeden cały czas wyglądał przez okno. Płomienie unoszące się nad wysadzoną stacją dryfującą zniknęły już w półmroku. Przez odlotem helikopter okrążył strefę wybuchu, ale nie dostrzeżono nikogo żywego.

Czytanie przerwał nagle głos pilota na kanale ogólnym:

- Stacja lodowa przed nami.

- Przygotować się do ataku raketowego - powiedział Craig. - Na mój rozkaz.

Atak raketowy? Jenny wyprostowała się.

- Współrzędne namierzone.

- Ognia!

Zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, rozległ się syk i detonacja. Po chwili dołączył do tego płomień.

Kiedy seahawk położył się na wiatr, Jenny wyjrzała przez okienko.

Spirala dymu znaczyła trasę rakiety. Uderzyła w lodowe szczyty z lewej strony wejścia do stacji i we wszystkie strony wystrzeliły kawały lodu i ognia. W wicherze załopotą pomarańczowa płachta namiotu.

Jenny wiedziała, że to on był celem. Z tego namiotu Rosjanie ostrzelali ich raketami. Wyglądało na to, że Craig oczyszcza teren przed lądowaniem - a może dokonuje także zemsty.

Seahawk opadał w chmurach dymu i pary wodnej.

- Grupa Jeden przygotować się! - wrzasnął Delta Jeden. Drzwi po przeciwnej stronie kadłuba rozsunęły się i do kabiny wpadł wicher. Zimno od razu wgrzyzło się w odsłoniętą

skórę Jenny. Żołnierze zaczęli wyskakiwać. Wypryskiwali na zewnątrz jeden po drugim i w ciągu kilku sekund już ich nie było.

- Grupa Dwa!

Otworzyły się drzwi po stronie Jenny i wiatr o mało nie wyrwał jej z rąk dziennika. Przycisnęła go do piersi.

Mężczyźni przepychali się obok niej, chwyтали liny i wyskakiwali, gdy tylko zdążyły się rozwinąć. Po chwili kabina opustoszała. Zostało jedynie trzech ludzi, w tym Delta Jeden.

- Przygotować się do otwarcia ognia!

Dwaj żołnierze, siedzący już na swoich miejscach, unieśli lufy zamocowanych przy drzwiach karabinów maszynowych.

- Na mój rozkaz strzelać! Ogień na cały teren!

Jenny zaryzykowała i wyjrzała w dół. Dym po eksplozji rakiety zaczął się już rozwiewać. Zrzućeni z helikoptera ludzie rozbiegli się i położyli na brzuchach.

- Ognia! - rozkazał Delta Jeden.

Ciężkie karabiny ryknęły i zaczęły pluć ogniem. Łuski spadały jak mosiężny deszcz. Łód wokół leżących na nim żołnierzy rozpryskiwał się na wszystkie strony.

Z ukrytego w lodzie bunkra wybiegł jakiś Rosjanin. Pociski przecięły go niemal na pół, a jego krew poplamiła lód. Wyglądało na to, że na zewnątrz stacji nie ma już ani jednego przeciwnika.

- Zejdź niżej - polecił pilotowi Craig.

Seahawk opadł w dół i cofnął się nieco, aby żołnierze na ziemi znaleźli się między nim i wejściem do bazy. Delta Jeden przyciskał jedną słuchawkę do ucha.

- Nadchodzą raporty! - zawołał. - Powierzchnia nasza! Wejście do stacji silnie strzeżone!

- Można bezpiecznie lądować? - spytał Craig.

- Utrzymywałbym ptaszka w powietrzu, dopóki stacja nie zostanie opanowana. Problemem jest jednak paliwo. Mamy daleką drogę do Alaski. Czeka! - Przez chwilę uważnie słuchał, a potem odsunął laryngofon od szyi i powiedział: - Oddziały naziemne raportują ruch przy wejściu do stacji. Ktoś wychodzi. Nieuzbrojony. Macha białą flagą.

- Co? Już? Kto to taki?

Helikopter obrócił się w powietrzu. Jenny dostrzegła znajdującą się w odległości stu metrów postać. Choć smugi dymu zasłaniały widok, mężczyzna był dobrze widoczny na tle

śniegu. Miał na sobie ciemną kurtkę, wyraźnie odcinającą się od bieli. Nawet z takiej odległości rozpoznała ją. Prała, cerowała, łątała i prasowała to cholerstwo przez dziesięć lat.

- To Matt! - zawołała, nie ukrywając radości i zdziwienia. Westchnęła z ulgą.

Ogólny kanał cały czas był otwarty i Craig ją usłyszał.

- Jesteś pewna?

- Jest z nim chłopiec - powiedział Delta Jeden.

Teraz i Jenny go dostrzegła. Malec trzymał się nogi Matta, który obejmował go ramieniem. W drugiej ręce niósł kij z przymocowanym kawałkiem białego materiału.

- Ląduj! - rozkazał Craig pilotowi. Seahawk zaczął opadać.

Delta Jeden pokręcił głową.

- Czy nie powinniśmy zostać w powietrzu, aż sprawa się wyjaśni?

- Został wysłany jako emisariusz. Może uda się to jakoś wykorzystać.

Do ulgi Jenny dołączył się niepokój. Od początku byli z Mattem pionkami w tej grze. Najwyraźniej ich zadanie jeszcze się nie skończyło.

Płozy helikoptera opadły na śnieg. Wokół zawirował biały tuman. Łopaty wirnika powoli zwalniały.

- Chcę, aby silnik pozostał ciepły - polecił pilotowi Delta Jeden.

- Tak jest!

Craig przeszedł z kokpitu do przedziału pasażerskiego.

- Zostawimy tu dzienniki. - Spojrzał na Deltę Jeden. - Jesteś za nie odpowiedzialny.

- A pan?

- Pójdę do tego człowieka. Kilka razy wyciągnął mi tyłek z kłopotów, zobaczymy, czy teraz też potrafi mi pomóc. - Odwrócił się do Jenny. - Wolałbym, żebyś się nie pokazywała.

- Nie zatrzymasz mnie - odparła i zaczęła rozpinąć pasy. Aby jej przeszkodzić, musieliby ją zastrzelić.

Craig zastanawiał się przez moment, po czym wzruszył ramionami. Prawdopodobnie uznał, że lepiej będzie mieć wszystkie cele na oku.

Wysiedli. Skulili się pod łopatami wirnika i po chwili otoczyło ich trzech żołnierzy Delta Force, którzy utworzyli ich eskortę.

Jenny koncentrowała się jedynie na postaci stojącej trzydzieści metrów od wejścia do stacji. Matt! Musiała się powstrzymywać, aby nie pobiec do niego. Wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić, bo mogło to sprowokować kogoś z żołnierzy do strzału.

Trzymała się więc grupy, pozwalając się prowadzić. Po chwili przekroczyli granicę obszaru zajętego przez Amerykanów i weszli na teren neutralny.

Matt klęczał na jednym kolanie, obejmując chłopca ramionami. Malec, owinięty od stóp do głów w czyjaś kurtkę, w której wyglądał jak w wojskowym szynelu, kurczowo trzymał się dorosłego. Rękawy jego kurtki dotykały lodu. Odwrócił się i popatrzył wielkimi oczami na zbliżających się ludzi.

W tym momencie Jenny po raz pierwszy ujrzała jego twarz: czarne włosy, duże brązowe oczy, drobne rysy. Nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa i potknęła się.

- Tyler!

GODZINA 20.07

NA LODZIE...

Całą uwagę Matta pochłaniał Maki. Od chwili gdy wyszli z tunelu na wiatr, chłopiec uczeplił się go kurczowo. Eksplozje i ryk ciężkich karabinów maszynowych bardzo go przstraszyły. Po wyjściu na zewnątrz zachowywał się tak, jakby miał lęk przestrzeni, śnieg i lód wywoływały w nim panikę. Matt domyślał się dlaczego. Prawdopodobnie całe życie spędził w stacji, być może na poziomie czwartym. Na otwartym terenie, gdzie rozpościerał się przed nim cały świat, tracił grunt pod nogami.

Potrzebował czegoś, czego mógłby się uczeplić - więc uczeplił się Matta.

Matt ledwie zauważył zbliżanie się grupy żołnierzy. Rozpoznał Craiga, ale musiał pilnować Makiego, aby nie uciekł do stacji. Nagle usłyszał znajomy głos:

- Tyler!

Odwrócił się w jego stronę i zobaczył wychodzącą z grupy żołnierzy Jenny. Miała dzikie oczy, natychmiast jednak dostrzegła swoją pomyłkę.

- Nazywa się... nazywa się Maki - wykrztusił Matt, wstając. Dziecko znów uczepliło się go kurczowo, tym razem jednak Matt nie protestował. Kolana ugięły się pod nim z ulgi, że widzi Jenny, i teraz on potrzebował wsparcia ze strony chłopca.

Ruszyła do niego biegiem.

Matt nie wiedział, czego się spodziewać, więc lekko się skulił.

I nagle znalazła się w jego ramionach, przytuliła się do niego, obejmowała go za szyję. Stało się to w tak naturalny sposób, że jakiegokolwiek słowa okazały się niepotrzebne. Jakby nie minęło tyle czasu. Przyciągnął ją jeszcze bliżej, aby upewnić się, że nie śni. Czuł

zapach jej włosów i odnajdywał pod palcami kształt karku. Była prawdziwa... miał ją w swoich ramionach.

Chlipała mu w ucho:

- W bazie... tata...

Matt zeszywniał. Nie było przy niej Johna, nie było go też w helikopterze. Ojciec Jenny został w Omedze. Sądząc po zachowaniu Jenny, to, co powiedział Petkow, nie było kłamstwem. Naprawdę wysadzono stację.

- Jenny, tak mi przykro... - Nawet dla niego samego słowa te zabrzmiały słabo i nijako. Mógł jej jedynie zaofiarować siebie i swoją siłę.

Trzęsła się cała. Usłyszał szeptane słowa, przeznaczone tylko dla jego uszu:

- To był Craig. Nie ufaj mu.

Palce Matta zacisnęły się na jej kurtce. Patrzył na stojącego z tyłu Craiga i nie zmieniał wyrazu twarzy, jakby nie słyszał ostrzeżenia Jenny.

A więc wszystko było prawdą. Wszystko.

Powoli odsunął się od Jenny, ale nadal obejmował ją jednym ramieniem.

Craig podszedł do nich.

- Matt, cieszę się, że jesteś cały. Co się dzieje? Co robisz na zewnątrz bazy?

Matt zdusił w sobie chęć zdzielenia go w pysk. Gdyby to zrobił, zginąłby. Od tej chwili ich przeżycie zależało od tego, czy będzie potrafił przekonująco kłamać.

- Boże, jak wspaniale was tu widzieć... Niepewny uśmiech Craiga zrobił się szerszy.

- Rosyjski admirał kontroluje sytuację na dole, ale przysłał mnie tutaj, bo uważa, że jeżeli zaczniecie strzelać na ślepo i dopiero później zadawać pytania, nikt na tym dobrze nie wyjdzie.

- Dlaczego w ogóle kogoś wysyłał?

- Chce pertraktować. Twierdzi, że posiadacie tylko połowę klucza do znajdującego się na dole skarbu. Ty masz zapiski, on próbki. Jedno bez drugiego jest bezużyteczne. Craig podszedł bliżej.

- Mówisz prawdę?

Matt przesunął Makiego między swoimi nogami i nogami Jenny. Chłopiec mocno trzymał się ud dorosłego.

- To dowód, z którym mnie tu przysłał.

Craig pochylił się do malca i uważnie mu się przyjrzał.

- Nie rozumiem.

Należało się tego spodziewać. Craiga wyszkolono w postrzeganiu spraw w sposób wyizolowany, patrzeniu na cel jak przez tunel i ignorowaniu reszty. Zwłaszcza zwłok, pozostawianych po drodze.

- To chłopiec z pojemnika, aktywowanego przez doktora Ogdena.

Craig znowu popatrzył na malca.

- Boże, naprawdę? Ożył? To działa?

Matt nie mógł pozwolić sobie na zdradzenie, że zna zamiary ludzi z Delta Force.

- Działo, ale jedyne próbki serum są zabezpieczone w ukrytym pomieszczeniu na dole. Widziałem to miejsce. Admirał zaminował bazę. Zniszczy wszystko.

- Czego chce?

- Rozejmu. Rozmowy z tobą. Na poziomie pierwszym. Ściągnie swoich żołnierzy na dół. Możesz przyjść z pięcioma ludźmi, dowolnie uzbrojonymi, jeśli jednak cokolwiek stanie się admirałowi, jego podwładni mają rozkaz zastrzelić więźniów i wysadzić bazę. Nie sądzę, abyś miał wielki wybór. Albo wszystko stracisz, albo podpiszesz pakt z tym diabłem.

Matt zamilkł i czekał, zastanawiając się, czy nie przesadził.

Craig odwrócił się, podniósł kołnierz kurtki i zaczął mówić do mikrofonu, po czym wyciągnął z kaptura sznurek i przystawił go do ucha. Matt domyślił się, że to ukryte radio.

Jenny przysunęła się do niego.

- Konsultuje się z dowódcą Delta Force - powiedziała szeptem. - Skradzione dzienniki są w helikopterze. Co z tym rozejmem? Możemy komukolwiek ufać?

- Jedyna osoba, której ufam, stoi przy mnie. Ścisnęła jego dłoń.

- Jeżeli z tego wyjdziemy...

- Kiedy - poprawił ją. - Kiedy z tego wyjdziemy.

- Matt...

Pochylił się i delikatnie dotknął ustami jej ust. Nie był to pocałunek, ale obietnica czegoś więcej. Obietnica, której zamierzał dotrzymać. Poczul sól na jej wargach. Przeżyją to.

Craig z powrotem odwrócił się do Matta. Zbierali się wokół niego żołnierze. Szykowali broń.

- Masz rację. Wygląda na to, że nie mamy wyjścia, musimy spotkać się z tym draniem.

Matt policzył ludzi Craiga. Pięciu.

- Masz jednego za dużo - powiedział, kiwając głową w stronę żołnierzy.

Craig zmarszczył czoło.

- Jak to? Powiedziałeś: pięciu. Matt wskazał na Jenny.

- Ona też idzie z nami. Daj jej broń.

- Ale...

- Idzie z nami albo nie wracam. A jeśli nie wrócę, Petkow wysadzi magazyn z serum.

Kręcąc głową, Craig odwołał jednego ze swoich ludzi.

- Jak chcesz, ale tutaj byłaby bezpieczniejsza.

Matt nie odpowiedział. Uznał, że bez względu na to, co ich czeka, najlepiej będzie, jeśli zostaną razem. Jenny uścisnęła mu dłoń i wyciągnęła dłoń po pistolet.

Jeden z żołnierzy podał jej swój. Matt złapał ją za rękę i zmusił, by włożyła pistolet do kabury. Była za bardzo wściekła, mogłaby zastrzelić Craiga na miejscu.

Ruszyli do stacji. Matt niósł Makiego na rękach. Malec przyglądał się Jenny z wyraźnym przestachem w oczach. Weszli przez wysadzone wejście i poszli w dół tunelem. Ciepłe powietrze objęło ich niczym oddech jakiegoś ogromnego stwora.

Matt był ciekaw, czy Petkow jest gotów. Kiedy się rozstawali, rosyjski admirał nie miał jeszcze sprecyzowanego planu. Celem Matta było sprowadzenie Craiga do środka, resztą miał się zająć admirał. Co chciał uzyskać i na co liczył? Rosyjski oddział był słabszy liczebnie i gorzej uzbrojony.

Szli w głąb poziomu pierwszego, Matt prowadził. Światła znów się paliły - ktoś musiał znaleźć zapasowe bezpieczniki i uruchomił zasilanie. Krew na podłodze była przerażająco jaskrawa. Odsunięto na bok stoły i pod jedną ze ścian poukładano ciała.

Petkow stał pośrodku, przy spiralnych schodach. Ściągnięto windę i admirał postawił jedną stopę na platformie.

- Witam - powiedział zimno.

Wszedł na platformę. Znajdowało się na niej dziwne urządzenie - tytanowa kula na trójnogu. Po jej poziomym obwodzie przemykały niebieskie światełka. Choć aparatura nie była oznakowana, niemal krzyczała: bomba!

Matt uświadomił sobie nagle z przerażeniem, że jego nowy sojusznik w tej wojnie supermocarstw wcale nie jest tak chętny do współpracy, jak przypuszczał. Co to za nowa gra?

Za jego plecami zadudniły kroki. Odwrócił się i ujrzał kolejnych pięciu żołnierzy Delta Force, wbiegających do sali i zajmujących pozycje. Wyglądało na to, że żadna ze stron nie zamierza uszanować rozejmu.

Nie powinno go to zaskoczyć, a jednak się zdziwił.

Petkow był całkowicie spokojny.

- Ryzykuje pan powodzenie swojej misji - powiedział do Craiga. - Próbki zostaną zniszczone na mój rozkaz albo w przypadku mojej śmierci.

Craig podszedł do Matta i zabrał mu chłopca.

- To jest wszystko, czego potrzebuję - powiedział, unosząc małego do góry. - *Isliedowatielskij subiekt*. Przedmiot badań. Jenny była tak łaskawa i przeczytała mi podczas lotu kilka dalszych fragmentów dzienników pańskiego ojca. Dowiedzieliśmy się, że w organizmie ożywionego obiektu serum utrzymuje się przez tydzień. Mając notatki i chłopca, wydestylujemy ten związek. To, co pan posiada, jest bez wartości, mimo to złożę panu propozycję: pańskie życie za próbki, które pan przetrzymuje. Oferta jest ważna przez minutę.

- Dziękuję za szczodłą propozycję, ale wystarczy mi mniej niż minuta.

W tym momencie całym poziomem wstrząsnęła eksplozja, wypiętrzając podłogę i wyrzucając wszystkich w górę. Buchnął dym. Matt wylądował obok Jenny i rozejrzał się szybko.

Wyjście na powierzchnię zniknęło. Drogę blokowały kawały lodu, których część rozsypała się po podłodze przy samym wejściu. Matt wstał. Znów dzwoniło mu w uszach. Craig i reszta oddziału Delta Force zbierali się z podłogi. Dwóch żołnierzy nie żyło, przygniecionych przy wyjściu bryłami lodu.

Światło migotało, zbierający się dym zmuszał do kaszlu.

Matt spojrzał na centralne schody i zobaczył, że Petkow zniknął. Jestem uwięziony między dwoma szaleńcami, żywcem zakopany razem z nimi, pomyślał.

Popatrzył na tytanową kulę na platformie windy. Niebieskie światełka pędziły dookoła.

To nie skończy się dobrze...

GODZINA 20.15

POD LODEM...

Na pokładzie „Polar Sentinel” Amanda kuciała obok komandora Grega Perry’ego. Obserwowali monitor sonaru DeepEye. Stali za nimi ludzie - jedni patrzyli na ekran, inni spoglądali przez leksanową kopulę okrętu.

Komandor trzymał dłoń na kolanie Amandy, najwyraźniej nie zamierzając pozwolić jej odejść. Nie miała nic przeciwko temu.

Pół godziny wcześniej, w stacji Omega, była bliska paniki. Udało jej się powiedzieć wszystkim obecnym o planach dowódcy Delta Force oraz o ultradźwiękach, sugerujących obecność grendli. Okazało się jednak, że to nie grendle się zbliżały, lecz „Polar Sentinel”.

Zanim zdążyła poinformować o sonarowych sygnałach komandora Sewella, podwójne drzwi do baraku gwałtownie się otworzyły i do środka - wraz z niewielkim oddziałem - wkroczył Greg. Kazał wszystkim zachować ciszę.

Zaskoczona, padła mu w ramiona, a on przyciągnął ją do siebie, pocałował i szepnął, że ją kocha.

Poczekali, aż helikopter Delta Force odleci, po czym ruszyli biegiem. Prowadzeni przez Grega, dotarli do baraku oceanografów. Kiedy do niego weszli, zobaczyli przedziwny widok. Pośrodku laboratorium wystawała wieżyczka „Polar Sentinel”. Okręt wynurzył się w wyciętej w lodzie dziurze, którą naukowcy wykorzystywali do spuszczenia dwuosobowego batyskafu.

Zdając sobie sprawę, że zostało im bardzo niewiele czasu, wszyscy szybko powskakiwali do okrętu.

Greg natychmiast wydał rozkaz zanurzenia awaryjnego i „Polar Sentinel” zaczął opadać jak cegła. Kiedy rosyjskie ładunki zerwały barak znad ich głowy, byli już na głębokości 40 sążni.

Amanda znajdowała się wtedy w Cyklopie. Widziała oślepiający błysk strzelających w dół płomieni. Okrętem zatrzęsło, impet eksplozji pchnął go daleko w głąb, ale warstwa wody okazała się wystarczająca, aby nic im się nie stało.

Greg powiedział jej potem o przekazie od admirała nadanym za pomocą fal VLF, ostrzegającym przed rzeczywistym celem misji oddziału Delta Force.

„Nigdy nie przypuszczałem, że będę musiał ratować was przed naszymi własnymi siłami” - zakończył swój przekaz Reynolds. Zabrzmiało to bardzo gorzko.

Opowiedział jej też o stanie zdrowia ojca. Zawał był dość poważny, ale chory znajdował się pod dobrą opieką w szpitalu w Oahu.

- Kazał wysłać ostrzeżenie, zanim zajęli się nim lekarze. Uratowało ich to.

„Polar Sentinel” znów był w wodzie. Tym razem przyczał się pod odwróconą górą lodową, w której znajdowała się Stacja Lodowa Grendel. Obserwowali za pomocą sonaru przebieg ataku na stację. Widoczna na ekranie bezgłośna walka, przypominający duchy mężczyźni i latające wszędzie pociski miały w sobie coś surrealistycznego.

Potem eksplodowały ładunki i ekran zalała plama żółci.

Teraz jednak obraz powoli się klarował.

Greg ścisnął Amandę za kolano, dając jej znak, że chce coś powiedzieć. Popatrzyła na niego.

- Nie wiem, co możemy zrobić, aby im pomóc. Wygląda na to, że wejście się zawaliło. Są uwięzieni w środku.

- Jenny... - usłyszeli nagle za sobą czyjś głos. John Aratuk wskazał palcem jeden z cieni, tworzonych na ekranie przez sonar. - To moja córka.

Amanda popatrzyła na starego Innuite.

- Jest pan pewien?

John zbliżył się do ekranu i powiódł palcem po dolnej części postaci.

- Kiedy miała dwadzieścia dwa lata, złamała nogę. Musieli jej wstawić gwoździe.

Amanda wyostrzyła obraz. Innuita mógł mieć rację. Działanie sonaru jest podobne do działania promieni rentgenowskich. W dolnej części sonarowego cienia na ekranie widać było charakterystyczną plamkę. To rzeczywiście mogła być Jenny.

Spojrzała na Johna. Jego twarz wykrzywił strach. Wiedział, że to jego córka. Amanda zastanawiała się, w jaki sposób dałoby się jeszcze uratować uwięzionych w stacji ludzi.

Greg wskazał na monitor. Na górnych piętrach zaczęły pojawiać się żółte plamki. Amanda nie musiała patrzeć na jego usta, aby wiedzieć, co oznaczają. Strzały.

Mniej więcej w połowie wysokości stacji błysnęła większa bursztynowa plama.

Spojrzała na Grega.

- Granat...

Z przerażeniem patrzyła na schodzące coraz bardziej w głąb stacji żółte rozbłyski.

Była to wojna bez brania jeńców.

GODZINA 20.22

STACJA LODOWA GRENDEL

Ekspłodował kolejny granat, wstrząsając podłogą pod stopami Jenny. Trzymała na rękach inuickiego chłopca. Krzyczał i płakał, zakrywał dłońmi uszy i zaciskał powieki. Kuciała i równocześnie starała się go bujać na rękach.

Nad nimi stał Matt z karabinkiem w dłoniach.

Z szybu centralnego dobiegały wrzaski i okrzyki, wylatywały stamtąd kłęby dymu i sadzy. Gdzieś w dole szalał ogień. Konstrukcja i wyposażenie bazy składały się głównie ze stali, mosiądzu i miedzi, ale było w niej też sporo słomy i innych palnych materiałów.

Stacja paliła się.

Nawet jeśli oddział Delta Force ją opanuje, to co dalej?

Albo wszyscy zginą w płomieniach, albo zostaną pogrzebani w lodzie, kiedy stacja się zapadnie.

Istniała jednak jeszcze trzecia możliwość.

W słupie dymu stała na platformie windy tytanowa kula. Jeden z żołnierzy - saper - klęczał przy otworze w kuli, który powstał po usunięciu kawałka płaszcza bomby, i zaglądał do środka. Robił to już od dziesięciu minut, narzędzia leżały nietknięte obok niego. Nie był to dobry znak.

Kiedy strzelanina w dole nieco osłabła, Craig zaczął wrzeszczeć do radia. Poziomu pilnowało dwóch stojących przy centralnych schodach żołnierzy, pozostali szaleli w głębi stacji.

Craig opuścił laryngofon i podszedł do platformy. Popatrzył na zawalone wyjście.

- Tych kilku ludzi, którzy zostali na górze, nie da rady nas stąd wykopać. Zajęłoby im to kilka dni. A próba wysadzenia przejścia rakietą wszystkich by zabiła.

- Więc co?

Craig zamknął oczy. Po chwili je otworzył i popatrzył na tytanową bombę.

- Kazałem im odlecieć pięćdziesiąt kilometrów stąd. Nie mogę ryzykować zniszczenia dzienników.

- Pięćdziesiąt kilometrów? - zdziwił się Matt. - To nie przesada?

Craig wskazał na badaną przez sapera kulę.

- To bomba atomowa. Tyle na razie dowiedział się sierżant Conrad. Jeśli nie uda nam się jej rozbroić... - Wzruszył ramionami.

Jenny musiała przyznać, że potrafił nad sobą panować. Nawet w takiej sytuacji myślał przede wszystkim o swoim zadaniu.

- Strzelanina chyba słabnie - mruknął Matt.

Jenny teraz też to zauważyła. Objęła chłopca. Słysząc było tylko pojedyncze krótkie serie.

Strażnicy przy schodach poruszyli się.

- Idą nasi! - zawołał jeden z nich.

Schodami wchodziło dwóch żołnierzy Delta Force. Prowadzili pod bronią rosyjskiego żołnierza. Miał nie więcej niż osiemnaście lat. Trzymał dłonie na głowie, po jego twarzy spływała krew, a ubranie pokrywała sadza.

Jeden z Amerykanów warknął coś do niego po rosyjsku i Rosjanin opadł na kolana.

- Poddają się - powiedział do Craiga drugi z Amerykanów. - Mamy jeszcze dwóch więźniów na poziomie trzecim.

- A reszta?

- Nie żyje. - Żołnierz popatrzył na schody. Strzelanina zamilkła. - Oczyszcziliśmy wszystkie poziomy poza czwartym. Nasi ludzie w tej chwili go przeczesują.

- Co z admirałem Petkowem?

Żołnierz trącił Rosjanina bronią. Chłopak przewrócił się na bok, zbyt przerażony, aby zdjąć rękę z głowy i podeprzeć się nią.

- Mówi, że uciekł na poziom czwarty. Ale jeszcze go nie znaleźliśmy. Zresztą więźniów może kłamać. Może potrzebuje drobnej zachęty.

Zanim się tym zajęto, podszedł do nich sierżant Conrad. Craig odwrócił się do niego.

- No i?

Sierżant pokręcił głową.

- Nie przypomina niczego, co znam. Wiem tylko, że to mała bomba atomowa, z minimalnym promieniowaniem. Na pewno jednak nie tradycyjna. Podejrzewam, że to coś podobnego do pulsacyjnej bomby elektromagnetycznej, nad którymi trwają obecnie prace. Jak na bombę atomową jest mała, ale może wytworzyć bardzo silną pulsację. W tym przypadku jednak nie chodzi chyba o pulsację elektromagnetyczną. O inną, ale nie wiem jaką.

Matt przerwał mu:

- Mówisz, że jest mała. A eksplozja? Też byłaby „mała”? Saper wzruszył ramionami.

- Mała jak na bombę atomową, ale wystarczy do rozbicia tej wyspy jak zgniłe jajo. Niezależnie od tego, jaki impuls wysła, kiedy wybuchnie, będzie po nas.

- Możesz to rozbroić? Sierżant pokręcił głową.

- Zapalnik jest na fale dźwiękowe. Samo urządzenie podłączono do zewnętrznego detonatora. Jeżeli nie zdobędziemy kodu rozbijającego, to maleństwo wybuchnie za... - popatrzył na zegarek - pięćdziesiąt pięć minut.

Więzień musiał to zrozumieć, bo zaczął coś bełkotać.

Matt wszedł między Amerykanina i Rosjanina.

- Nie przejmuj się. Znajdę Petkova. Wiem, gdzie powinien być.

- Gdzie? - spytał Craig.

- Na poziomie czwartym. Pokażę ci.

Craig zmrużył oczy i popatrzył na młodego rosyjskiego żołnierza.

- W porządku. I tak pewnie nic nie wie. - Wyciągnął pistolet i strzelił klęczącemu jeńcowi w głowę.

Odgłos wystrzału w niemal pustej stacji był niesamowity. Wokół rozprysnęły się krew, mózg i kawałki czaszki.

- Jezus Maria! - wrzasnął Matt. - Dlaczego to zrobiłeś?

- Nie udawaj głupiego, Matt. Dobrze wiesz dlaczego. - Craig ruszył w dół schodów i machnął żołnierzom, by go ochraniać. - My albo oni. Wybierz sobie stronę i ruszamy.

Matt popatrzył na Jenny, która odwróciła się od trupa, osłaniając przy tym Makiego.

Strzał wywołał u niego kolejną falę płaczu. Jenny przytuliła go mocno.

Matt pochylił się i objął oboje.

- Idź - szepnęła wbrew swemu sercu. Bardzo chciałaby, żeby przy nich został. - I uważaj na plecy.

Kiwnął lekko głową. Głównym niebezpieczeństwem była teraz bomba. Kiedy je usuną, znajdzie jakiś sposób wymknięcia się zarówno Rosjanom, jak i ludziom z Delta Force.

Wstał i zarzucił karabinek na ramię.

Jenny zamknęła oczy, by nie patrzeć, jak odchodzi, ale gdy zrobił dwa kroki, otworzyła je. Próbowwała zapamiętać każdy jego ruch, ułożenie ramion, długość kroku, nie wiedząc, czy go jeszcze kiedyś zobaczy. Tak bardzo żałowała wszystkich straconych lat.

Po chwili zniknął. Obaj strażnicy obserwowali szyb. Poza nimi nie było nikogo. Jenny próbowała uspokoić cicho popłakującego chłopca, ale nie potrafiła - tak jak nie potrafiła uspokoić Tylera. Przeciągała palcami przez włosy małego Innuity, szeptała nic nieznaczące dźwięki.

Wartownicy przy schodach cicho ze sobą rozmawiali. Nie było słycać strzałów ani wybuchów, choć dym w dalszym ciągu wypełniał salę. Przez oleistą mgłę przebijały światelka na tytanowej kuli, odliczając czas jak mające umrzeć serce.

Nagle za plecami Jenny odezwał się cichy głos - cichy, niewyraźny szept ducha. Nie była nawet pewna, czy jej się to tylko nie wydawało. Ale za chwilę znów usłyszała swoje imię.

- Jenny... słyszysz mnie?

Ostrożnie spojrziała za siebie. Nie rozpoznawała głosu. Dolatywał z przewróconego głośnika.

„Jenny, mówi komandor Peny z »Polar Sentinel«,».

GODZINA 20.32

USS „POLAR SENTINEL”

Peny stał w kabinie radiooperatora i mówił do telefonu podwodnego UQC:

- Jenny, jeśli mnie słyszysz, zbliż się do źródła mojego głosu. - Czekając, przełączył dźwignię interkomu, wzywając Cyklopa. - John, czy Amanda widzi Jenny na monitorze? Czy twoja córka reaguje?

Po krótkiej chwili ciszy nadeszła odpowiedź: „Tak”.

Przez ostatnie pięć minut czekali, aż Jenny zostanie sama. Peny podsłuchiwał przedtem prowadzoną za pomocą telefonu podwodnego rozmowę między stacją a „Drakonem” i miał nadzieję, że eksplozja nie przerwała przewodu.

- Jenny, widzimy cię na naszym sonarze. Możesz się odezwać? Gdzieś tam powinna być słuchawka, taka jak w starym telefonie. Jeśli ją znajdziesz, zacznij do niej mówić.

Czekał i modlił się. Nie wiedział, jak mógłby pomóc, ale do stworzenia jakiegokolwiek planu musiał znać sytuację w stacji. Urządzenie milczało jednak.

Poszukaj, Jenny... potrzebujemy czegoś. Odrobiny szczęścia... Cisza trwała nadal.

GODZINA 20.33

STACJA LODOWA GRENDEL

Jenny ścisnęła w dłoni słuchawkę. Była zrozpaczona - ktoś odciął przewód. Nie mogła porozumieć się ze światem zewnętrznym. Miała ochotę zacząć walić słuchawką, ale tylko ją odłożyła.

Wartownicy byli zajęci rozmową. Jenny w dalszym ciągu obejmowała jedną ręką Makiego, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Głos komandora powrócił:

„Musisz mieć jakiś problem. Monitorujemy wszystkie środki komunikacji na stacji. Wszystko mamy powłączane. Wystarczy, jeśli znajdziesz dowolny nadajnik. Może być walkie-talkie. Mamy świetne uszy. Poszukaj, ale niech nikt z Deltę nie zobaczy, co robisz”.

Jenny zamknęła oczy.

„Cały czas cię obserwujemy. Zrobimy co w naszej mocy”.

Słuchała, ale jego słowa spływały po niej jak woda z foczego futra. Nawet jeśli znajdzie nadajnik, w czym to pomoże? Co im to da?

Patrzyła na krążące wokół tytanowej kuli światełka. Ogarnęły ją rozpacz i poczucie beznadziei. Była zbyt zmęczona, aby dalej walczyć. Nie spała prawie od dwóch dni, strach i napięcie wypaliły z niej wszelkie zasoby energii. Czowała się jak pusta skorupa.

Nagle z głośniczka doleciał nowy głos:

„Jenny, jesteśmy tutaj. Nie odpłyniemy, dopóki was stamtąd nie wyciągniemy”.

Ledwie słyszała słowa, ale głos przyciągnął jej uwagę: znajome lekkie niedociągnięcia wymowy, rozciąganie zgłosek.

- Amanda... - wyszeptała. Było to jak zwracanie się do ducha.

„Mam tu kogoś, kto chce z tobą porozmawiać”. W czasie przerwy, która nastąpiła po tych słowach, Jenny próbowała zrozumieć, co Amanda miała na myśli. „Skarbie... Jen...”.

Z oczu Jenny popłynęły łzy, wypełniając pustkę w jej sercu.

- Tata!

Jej wybuch zwrócił uwagę wartowników. Pochyliła się nad chłopcem i zaczęła do niego mówić, aby ukryć swoje podniecenie.

Za jej plecami ojciec mówił dalej... żywy!

„Rób, co mówi komandor Peny. Nie zostawimy was”.

Objęła chłopca i zaczęła się kiwać, próbując powstrzymać łzy. Jej ojciec żył. Świadomość tego cudu odsunęła na bok rozpacz. Nie podda się!

Podniosła głowę i popatrzyła na zabitego rosyjskiego żołnierza. Z górnej kieszeni jego bluzy wystawało czarne walkie-talkie.

Wstała i wzięła Makiego na ręce, po czym zaczęła chodzić w tę i z powrotem, ale tak, aby zbliżyć się do ciała. Kiedy już była wystarczająco blisko, zaczęła, aż wartownicy się odwrócą, pochyliła się szybko, złapała walkie-talkie i odskoczyła do tyłu.

Schowała radio pod kurtkę Makiego. Nikt go tam nie będzie szukał. Co teraz?

Światelka na tytanowej kuli migotały bez przerwy. Dopóki to zagrożenie nie zostanie usunięte, nie będzie dla nich ratunku. Wszystko zależało teraz od mężczyzny, którego kochała.

GODZINA 20.36

Matt szedł jako pierwszy kolistym korytarzem z pojemnikami.

Craig podążał za nim ze swoimi dwoma ludźmi. Żołnierze Delta Force obsadzili cały ten poziom. Po wyeliminowaniu wszystkich Rosjan stacja znów należała do Amerykanów. Wszystkich z wyjątkiem rosyjskiego admirała...

Matt doszedł do końca korytarza, stanął przy ukrytym panelu i zaczął zastanawiać się, co powinien teraz zrobić. Cały czas pamiętał o Jenny i chłopcu. Czerpał siłę z jej serca, z jej chęci bronięcia niewinnych. Zanim jednak będzie można podjąć jakąkolwiek decyzję, trzeba pozbyć się bomby.

Zacisnął palce na karabinku.

- Nikogo tu nie ma - powiedział Craig.

- Naprawdę? - Matt otworzył panel i odsłonił kółko. Popatrzył na Craiga z uniesioną brwią. - Więc wejdz pierwszy, bo nie spodziewam się ciepłego powitania.

Craig machnął ręką, aby się odsunął, i kazał jednemu z żołnierzy obrócić kołem. Pamiętając własną frustrację, Matt pozwolił mu z nim trochę powalczyć. Liczył się jednak czas, więc w końcu sięgnął do zapadki. Kółko się obróciło i drzwi się uchyliły.

Nikt się nie ruszył, żeby je szerzej otworzyć.

Po chwili Craig podszedł do szpary.

- Admirale Petkow! Chciał się pan spotkać, negocjować z nami. Jestem cały czas do tego gotów!

Nikt mu nie odpowiedział.

- Może się zabił - mruknął jeden z żołnierzy. Nie miał jednak racji.

- Wejść! - zawołał Petkow.

Craig zmarszczył czoło, zaniepokojony ustępliwością Rosjanina. Popatrzył na Matta.

- Nie wejdę tam pierwszy. To twoja przeklęta gra. Kazał wszystkim odejść, po czym otworzył drzwi i schował się za nimi. Nic się jednak nie działo.

Jeden z żołnierzy, sierżant, wystawił za węgiel małe lusterko.

- Nie ma powodu do obaw - powiedział po chwili ze zdziwieniem. - Nie jest uzbrojony.

Craig dał mu znak, aby wszedł pierwszy. Sierżant uniósł broń, przesunął się i zanurkował do pomieszczenia. Przyklął na jedno kolano i powiódł wokół bronią, gotów odpowiedzieć ogniem na strzały. Ale nie było strzałów.

- Czysto!

Craig ostrożnie obszedł drzwi z wycelowanym do przodu pistoletem i wszedł do środka. Matt podążył za nim, drugi żołnierz został w korytarzu.

W laboratorium niewiele się zmieniło. Niczego nie usunięto ani nie zniszczono. Matt spodziewał się, że admirał zniszczy strzykawki z serum, ale nadal tkwiły w półkach.

Admirał siedział na podłodze obok swojego ojca. Wyglądali nie jak ojciec i syn, ale jak bracia.

- Władimir Petkow... - powiedział Craig. Nie trzeba było potwierdzać tego, co oczywiste. Craig wycelował broń w admirała.

- To się nie musi tak skończyć - oświadczył. - Da nam pan kod rozbijający bomby na górze i może pan dalej żyć.

- Tak jak pozwolił pan żyć moim ludziom i swoim ludziom w Omedze? - Petkow uniósł rękę i odsunął rękaw, ukazując monitor na nadgarstku. - Bomba na górze to ładunek dźwiękowy, nastawiony na wybuch za czterdzieści dwie minuty. Craig nawet nie próbował udawać.

- Mogę je zamienić w całą wieczność bólu. Petkow roześmiał się na tę groźbę.

- Nie jesteś w stanie nauczyć mnie niczego o bólu, *hujok*, Craig najeżył się.

- Ładunek dźwiękowy? - zdziwił się Matt. - Zdawało mi się, że to bomba atomowa.

Wzrok admirała przeniósł się na niego, ale Rosjanin dobrze wiedział, kto jest jego prawdziwym wrogiem.

- To nuklearny zapalnik. Po sześćdziesięciu sekundach pulsacji dźwiękowej główny reaktor przejdzie w stan krytyczny i eksploduje. Wybuch zniszczy całą wyspę.

Craig przysunął pistolet do jego głowy. Petkow spokojnie postukał palcem w monitor na swoim nadgarstku.

- Jest połączony z moim pulsem. Zabij mnie, a czas do detonacji skróci się do minuty.

- Może więc co innego cię przekona. - Craig przesunął lufę pistolem w kierunku głowy ojca admirała. - Matt opowiedział mi całą tę historię. Twój ojciec wziął serum razem z Eskimosami. Jeśli to zrobił, jakaś jego część chciała żyć.

Petkow miał kamienną twarz, ale nic nie powiedział.

- Mógłby teraz żyć... jak tamten innuicki chłopiec. Chciałbyś mu odebrać szansę ponownego narodzenia? Rozumiem wstyd i żal, który popchnął go ku tej decyzji, ale w śmierci nie ma odkupienia, tylko w życiu. Chciałbyś mu to odebrać? - Craig podszedł bliżej i zmiądzzył butem użytą przed laty strzykawkę. - Wstrzyknął to sobie. Chciał żyć.

Petkow popatrzył na ojca i poruszył słabo ręką, jakby się wahał.

- A co z małym Makim? - spytał Matt. - Pana ojciec wziął go do ostatniego testu... traktował go jak swojego syna. Chciał, aby mały żył, więc jeśli nie dla siebie, niech pan to zrobi dla niego!

Petkow westchnął i zamknął oczy. W pomieszczeniu zapadła cisza. W końcu admirał zaczął mówić z trudem:

- Kod rozbrajający to szereg liter. Trzeba je wpisać od pierwszej do ostatniej, a potem na odwrót.

- Podaj mi je - powiedział Craig. - Proszę...

Petkow otworzył oczy.

- Pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Zrób ze mną, co chcesz, ale chroń chłopca. Craig zmrużył jedno oko.

- Oczywiście.

- I żadnych laboratoriów badawczych. Wspomniałeś, że chcesz zrobić z niego *issliedowatielskij subiekt*, przedmiot badań. - Wskazał półki ze strzykawkami. - Masz tu więcej niż dość. Daj mu normalnie żyć.

Craig skinął głową.

- Przysięgam.

Petkow ponownie westchnął.

- Proponuję, żebyś zapisał ten kod - powiedział. Craig wyjął z kieszeni małe pudełeczko.

- Dyktafon cyfrowy. Petkow wzruszył ramionami.

- Kod brzmi:

U-Ż-I-W-U-A-I-B-E-I-T-A-J-E-I-B-O-R-G-W

Craig puścił nagranie, aby sprawdzić jego jakość.

- Zgadza się - powiedział admirał, kiwając głową.

- Doskonale. - Craig podniósł pistolet i pociągnął za spust. Odgłos wystrzału w małym pomieszczeniu brzmiał ogłuszająco. Kilka strzykawek pękło.

Zaskoczony i oszołomiony Matt zatoczył się do tyłu. Żołnierz przy drzwiach, jak na ukryty sygnał, wyrwał mu z dłoni karabinek. Drugi wycelował broń prosto w twarz Matta.

Wiktor Petkow leżał na podłodze. Ciało ojca - pozbawione głowy - opadło mu na nogi. Strzał z tak bliskiej odległości roztrzaskał zamrożoną czaszkę.

Matt w oszołomieniu gapił się na Craiga.

Ten wzruszył ramionami.

- Tym razem zrobiłem to, bo się wkurwiłem.

GODZINA 20.49

Wiktor trzymał ciało ojca. Kawalki czaszki obsypały jego nogi, podłogę, półki. Odprysk kości rozciął mu głęboko policzek, ale prawie tego nie czuł. Wciąż obejmował martwe ciało.

Jeszcze chwilę przedtem istniała nadzieja, że jakaś część jego ojca żyje, zawieszona w czasie, teraz jednak została roztrzaskana jak jego zamrożona czaszka.

Władimir Petkow był martwy.

Znowu.

Jak po tylu latach cierpienie może być tak dojmujące? Choć serce boleśnie waliło mu w piersi, łzy nie przychodziły. Wypłakał wszystkie, kiedy był mały, i teraz nic mu nie zostało.

- Zabierzcie ich do cel i dołączcie do reszty - rozkazał swoim ludziom Craig. - Kobiętę i chłopca też tam sprowadźcie.

Chłopca... Wiktor zadrżał.

- Przysiągłeś! - zawołał chrapliwie.

- I dotrzymam obietnicy. Jeżeli nie skłamałeś.

GODZINA 20.50

Matt patrzył, jak admirał z trudem wstaje. Skuto mu ręce, tak że nie miał dostępu do monitora na nadgarstku, i razem z Mattem wyprowadzono pod bronią z pomieszczenia.

Było po wszystkim. Craig zwyciężył.

Po rozbrojeniu bomby drań będzie miał mnóstwo czasu na wezwanie reszty oddziału Delta i odkopanie wyjścia. Próbkę i notesy stanowiły komplet, po który przyleciał na wyspę.

Pozostawało jeszcze sprzątnięcie.

Przyprowadzeni do cel Matt i Petkow wzbudzili zainteresowanie pozostałych więźniów - doktora Ogdena ze studentami w jednej celi i Washburn w drugiej.

Wkrótce przyprowadzono także Jenny i Makiego. Wsadzono ich do celi zajmowanej przez Washburn.

Matt podszedł do krat.

- Nic ci nie jest?

Jenny pokręciła głową. Twarz miała jak popiół, ale jej oczy płonęły żywym ogniem. Washburn wzięła chłopca i usiadła z nim na pryczy. Mały wydawał się zafascynowany jej ciemną skórą.

- Co się stało? - spytała Jenny.

- Craig ma próbki, książki i kod rozbrajający bombę.

- *Hujok* nie ma niczego - powiedział Petkow. Były to jego pierwsze słowa od chwili, gdy ich tutaj przyprowadzono.

Matt odwrócił się do niego.

- Jak to?

- System Polaris nie ma kodu rozbrajającego.

Chwilę potrwało, zanim dotarło to do Marta. Admirał pokonał Craiga jego własną bronią. W innych okolicznościach Matt przyjąłby to z uznaniem, ale w obecnej sytuacji słowa admirała oznaczały, że dla nich również nie ma ratunku.

- Za dwadzieścia dziewięć minut ten świat się skończy - oznajmił Wiktor Petkow.



9 KWIETNIA, GODZINA 20.52

STACJA LODOWA GREDEL

Craig wpisywał kod na elektronicznym panelu, podłączonym do tytanowej kuli. Spieszył się. Podłączając panel, stracili dziesięć cennych minut.

Mimo pośpiechu uważnie słuchał cyfrowego nagrania. Po wstukaniu kodu zrobił to jeszcze raz, wpisując litery w odwrotnej kolejności. Jego palce poruszały się szybko i pewnie.

W-G-R-O-B-I-E-J-A-T-I-E-B-I-A-U-W-I-Ż-U

Kiedy skończył, wcisnął ENTER.

Nic się nie wydarzyło.

Znowu nacisnął - z tym samym wynikiem.

- Czy wszystko jest dobrze podłączone? - spytał sierżanta Conrada.

- Tak jest. Urządzenie przyjęło kod, ale nie reaguje.

- Może źle go wpisałem... - Jeżeli tak, to prawdopodobnie pomylił się przy wpisywaniu odwrotnej sekwencji. Popatrzył na litery i natychmiast zrozumiał, że wcale się nie pomylił.

- Jasna cholera!

Litery tworzyły słowa, które składały się na popularne rosyjskie powiedzenie: „Zobaczymy się w grobie”.

- Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku - mruknął Conrad, pochylony nad tytanową kulą.

- Nic nie jest w porządku! Mamy zły kod! - wrzasnął Craig i zeskoczył z platformy.

Popędził schodami w dół. Był tylko jeden sposób, aby drań zaczął gadać.

Chłopak!

GODZINA 20.53

Matt w oszołomieniu słuchał opisu systemu Polaris. Bomba dźwiękowa na poziomie pierwszym była tylko jednym z jego elementów. Na zewnątrz rozmieszczone zostały wzmacniacze, mające rozesać falę uderzeniową we wszystkie strony. Sama skala całego tego przedsięwzięcia odbierała mowę - zniszczyć polarną czasę lodową, spowodować kataklizmy na cały ziemski glob i zapoczątkować następną epokę lodowcową.

W końcu odzyskał mowę.

- Oszalał pan? - Nie była to może najbardziej dyplomatyczna reakcja, ale nie miał ochoty bawić się w grzeczności.

Petkow popatrzył na niego tępo.

- Czy po tym, co pan widział, jest to świat, którego chce pan bronić?

- Tak, bo żyję w nim. - Wyciągnął rękę przez kraty i dotknął dłoni Jenny. - Jest w nim wszystko, co kocham. Jest popieprzony, ale nie wylewa się dziecka z kąpielą.

- Polaris nie da się zatrzymać. Mamy jeszcze tylko dwadzieścia minut. Nawet gdybyśmy mogli stąd uciec, wzmacniacze wtórne są rozmieszczone w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Aby zapobiec pełnemu efektowi, należałoby unieszkodliwić przynajmniej dwa elementy z pięciu. To niewykonalne.

Matt nie chciał się poddawać defetyzmowi, ale co mogli zrobić?

Jenny wysunęła swoją dłoń z jego dłoni.

- Zaczekajcie...

Rzuciła okiem na obu wartowników stojących przy drzwiach - jeden spoglądał na zewnątrz, drugi do środka. Palili jednego papierosa, podając go sobie.

Nie patrząc na nich, Jenny przeszła przez celę i zbliżyła się do Washburn. Maki spał na jej rękach, zmęczony i przerażony do szpiku kości. Jenny sięgnęła pod jego kurtkę i stojąc plecami do wartowników, wyjęła walkie-talkie.

Wsunęła radio do swojej kieszeni i wróciła na poprzednie miejsce.

- Z kim zamierzasz się porozumieć? - spytał Matt.

- Z „Polar Sentinelem”... Mam nadzieję, że mi się uda. Usłyszała ją Washburn.

- Komandor Peny tu jest? - zapytała i zaczęła wstawać. Jenny gestem kazała jej z powrotem usiąść..

- Monitoruje wszystko, co tu się dzieje, szuka sposobu, aby nas uratować. - Pokręciła głową. - Jeżeli ten gość mówi prawdę, to nie zdążymy uciec, ale może coś zrobią z Polaris.

Matt skinął głową.

- Spróbuj go złapać.

Washburn zasłoniła sobą Jenny i dla ukrycia próby nawiązania komunikacji zaczęła śpiewać Makiemu kołysankę. Matt podszedł do rosyjskiego admirała.

- Jeżeli mamy mieć jakieś szanse, musimy znać dokładne współrzędne drugiego wzmacniacza.

Petkow pokręcił głową - nie dlatego, że chciał odmówić, ale po prostu nie wierzył, że to cokolwiek da.

Matt z trudem powstrzymywał się, aby nie zacząć go dusić.

- Admirale, proszę... wszyscy zginiemy. To, co pański ojciec chciał ukryć, zostanie zniszczone. Wygrał pan. Wyniki jego badań przypadną na zawsze, ale zemsta, której pan chce dokonać wobec świata... Wszystkie złe rzeczy, jakich się pańskim zdaniem dopuścił wobec pańskiego ojca wasz czy nasz rząd... już się skończyły. Obaj wiemy, co tu się naprawdę dzieło. Ta potworność była również dziełem pańskiego ojca. Współpracował z naszym rządem jako naukowiec i dopiero pod koniec odnalazł swoje człowieczeństwo.

Petkow miał zmęczoną twarz.

- Maki uratował duszę pańskiego ojca - Matt wskazał na chłopca - a pański ojciec próbował go ocalić, zamrażając w lodzie. Nawet umierając, wierzył w przyszłość. Właśnie w tym jest nadzieja. - Ponownie wskazał palcem malca. - W dzieciach tego świata. Nie ma pan prawa im go odbierać.

Admirał patrzył na Makiego, ułożonego wygodnie na rękach Washburn, przytulonego do jej szyi. Murzynka coś mu cicho śpiewała.

- Jest pięknym chłopcem - powiedział w końcu. - Dam panu współrzędne, ale okręt nigdy tam nie dotrze na czas.

- On ma rację - mruknęła Jenny, chowając radio. - Rozmawiałam z „Sentinelem”. Perry nie sądzi, że zdąży dopłynąć do jednego wzmacniacza, nie wspominając już o dwóch. Mimo to ruszy tam natychmiast, ale potrzebuje współrzędnych.

Matt przewrócił oczami. Oddałby prawą rękę za jednego optymistę w grupie.

- Daj mi radio - powiedział.

Jenny podała mu walkie-talkie przez kraty. Matt przysunął aparat do warg Petkova i wcisnął nadawanie.

- Proszę mówić.

Zanim admirał zdążył cokolwiek powiedzieć, przy wejściu rozległ się głośny hałas. Jeden ze strażników upadł na podłogę, z jego oka wystawała rękojeść sztyletu. Drugi wartownik również leżał na podłodze, ale coś na nim siedziało. Próbował krzyknąć, uniemożliwiło mu to jednak szybkie cięcie po gardle wielkim, paskudnie wyglądającym nożem. Na podłogę trysnęła krew.

Kiedy złapał się za gardło i zaczął charczeć, napastnik pokazał twarz. Był potężny jak goryl.

- Kowalski! - krzyknęła Jenny.

Wielki marynarz wytarł zakrwawione dłonie o kurtkę.

- Musimy przestać się tak spotykać - burknął.

- Jak... myślałam... ten atak raketowy... Kowalski szybko przeszukiwał zabitego wartownika.

- Rzuciło mnie w zaspę. Kiedy zobaczyłem, co się dzieje, głęboko się zakopałem. Potem znalazłem kolejny szyb wentylacyjny. Spieprzajmy stąd.

- Jak?

Marynarz wskazał palcem na drzwi.

- Z maleńką pomocą moich przyjaciół.

Do środka wszedł następny mężczyzna - z bandażem wokół głowy i karabinkiem w dłoniach.

- Tom! - zawołała Jenny.

Młody porucznik nie był sam. Spomiędzy jego nóg wyskoczył kudłaty kształt z jasnymi ślepiami i wywieszonym jęzorem.

- Boże... - jęknął Matt. - Bane... - Słowa utkwiły mu w gardle. Wielki pies skoczył na drzwi celi, wepchnął nos między kraty i piszcząc, próbował się przez nie przecisnąć.

- Znaleźliśmy go między lodowymi szczytami - wyjaśnił Kowalski, otwierając równocześnie drzwi. - A raczej to on nas znalazł. Rosjanie zostawili Toma w śniegu, ale tylko stracił przytomność. Ściągnąłem go na dół i zabrałem ze sobą.

- Przeżyliście... - z niedowierzaniem wyszeptła Jenny. Kowalski wyprostował się.

- Wam nie dziękuję, chłopcy... zwialiście i zostawiliście nas na niemal pewną śmierć. Następnym razem przynajmniej sprawdźcie puls.

Kiedy cela Marta została otwarta, zaczął błyskawicznie działać. Wyciągnął sztylet z oka wartownika i przeciął więzy admirałowi. Potem przeszukał oba trupy, zabrał im broń i porozdawał ją ludziom.

- Lepiej się stąd zabierajmy.

- Tędy - powiedział Tom i ruszył przodem.

Cała grupa pobiegła do tego samego przewodu serwisowego, którym Matt i inni uciekali kilka godzin temu.

Kiedy zaczęli wchodzić do szybu, piętnem wstrząsnęła eksplozja. Rozległy się krzyki. Craig musiał się dowiedzieć, że kod jest fikcją. Matt nie chciał być świadkiem chwili, w której Craig odkryje, że uciekli.

Jako ostatni zniknął w szybie.

Kowalski prowadził.

- Od początku ataku siedzieliśmy w ścianach jak szczury. Tom zna tę stację jak własną kieszeń. Czekaliśmy tylko na okazję, aby was uwolnić.

- Gdzie jest szyb wentylacyjny? - spytała Washburn, kiedy weszli do pomieszczenia serwisowego. Cały czas trzymała Makiego na rękach. Chłopiec milczał i przyglądał się wszystkiemu wielkimi oczami.

- Około ośmiuset metrów stąd - odparł Tom. - Ale tu będziemy bezpieczniejsi.

- Jaki jest promień rażenia bomby Polaris? - spytał admirała Matt.

Kowalski zawirował w miejscu.

- Bomby? Jakiej bomby? Petkow zignorował go.

- Zagrozeniem jest nie tyle wybuch, ile fala uderzeniowa. Roztrzaska wyspę i lód w promieniu wielu kilometrów. Nie ma dla nas ucieczki.

- Jakiej pierdolonej bomby?! - zawył Kowalski. Jenny wyjaśniła mu szybko.

Pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć temu, co usłyszał.

- Fantastycznie! Ratuje was ostami raz.

- Ile zostało nam czasu? - spytał Tom. Matt popatrzył na zegarek.

- Piętnaście minut. Za mało, żebyśmy zdążyli uciec.

- Więc co zrobimy?

Matt wyjął z kieszeni zabrany żołnierzowi Delta Force czarny ananas.

- Może mam pomysł.

- Kolego, ten granat jest za słaby, żeby wybić dziurę na powierzchnię.

- Nie idziemy na górę.

- A gdzie?

Matt powiedział, po czym poprowadził ich biegiem. Czas uciekał.

Kowalski pędził za nim.

- Mowy nie ma, kurwa...

GODZINA 21.10

Craig wpatrywał się w puste cele i martwych wartowników. Wszystko było jasne. Odwrócił się gwałtownie do stojących obok niego dwóch żołnierzy.

- Znaleźć ich!

Do środka wbiegł trzeci żołnierz.

- Wygląda na to, że uciekli do szybów serwisowych! Craig zacisnął pięść.

- Oczywiście... - mruknął. Ale co zamierzali? Dokąd chcieli dotrzeć? - Poślijcie tam dwóch ludzi. Rosyjski admirał nie może...

Przerwała mu stłumiona eksplozja. Podłoga zadrżała.

Wartownicy zeszywnieli.

Craig spojrział między swoje stopy.

- Cholera jasna!

GODZINA 21.11

Piętro niżej Matt sprawdzał właz prowadzący do doku. Wszyscy stali pod ścianą. Przed chwilą otworzył metalowe drzwiczki i wrzucił za nie dwa granaty zapalające - od każdego z zabitych wartowników wziął po jednym.

Ostrożnie dotknął metalu palcami. W ciągu kilkudziesięciu sekund lodowate drzwiczki rozgrzały się niemal do czerwoności. Siła eksplozji tych granatów znowu go zdumiała. Czy jednak były dość silne, aby sprawić to, co zamierzał?

Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Kiedy huk ucichł, otworzył właz. Za nim znajdowała się grota z dokiem starego radzieckiego transportowego okrętu podwodnego serii I. Do niedawna pomieszczenie w połowie wypełniał lód, obejmując cały kiosk okrętu. Matt pamiętał, że Władimir Petkow zalał okręt, a potem zrzucił cały balast, dzięki czemu okręt podpłynął ku górze i zablokował się. Z biegiem czasu grota wypełniła woda, która zamarzła.

Granaty zamieniły lodowy grobowiec w interno. Woda bulgotała na powierzchni. Na tworzącym się wokół okrętu jeziorku płonęły ognie. Czuć było smród palonego fosforu, buchała para.

Matta piekła twarz - było jeszcze za gorąco, aby dało się wejść do środka.

- Następnym razem wrzucić jeden granat - burknął Kowalski.

Lód otaczający kiosk już się stopił, właz do okrętu był odsłonięty.

Teraz jeszcze tylko musieli się tam dostać. Matt popatrzył na zegarek. Trzydzieści minut. Nie mieli czasu na czekanie. Odwrócił się do reszty grupy.

- Wszyscy do środka!

Washburn wbiegła do groty pierwsza, za nią biolodzy. Woda nie sięgała im nawet do kolan. Następny poszedł Tom.

- Otwórzcie właz! - krzyknął Matt.

Razem z Kowalskim pilnował drzwi, z bronią skierowaną na schody. Mimo grubej izolacji ludzie Craiga musieli usłyszeć eksplozję.

- Wprowadź wszystkich do okrętu! - polecił Jenny. Ruszyła z Bane'em u nogi i Makim na rękach. Petkow mówił do walkie-talkie, przekazując współrzędne dowódcy „Polar Sentinel”.

- Matt! - krzyknęła nagle Jenny. - Woda robi się coraz głębsza. Wlewa się do środka!

Poziom wody podniósł się już do jej kolan. Nagle, z cichym sykiem, pośrodku na wpół zamarzniętej powierzchni wody wystrzelił gejzer.

- Cholera! - Matt natychmiast zrozumiał, co się stało. Rosyjskie granaty okazały się za dobre. Wytopiły w lodzie otwory aż do oceanu i z zewnątrz do groty przeciekała woda. Po chwili wystrzelił kolejny gejzer, woda wlewała się coraz gwałtowniej.

Jenny i admirał stali w płonącym jeziorze, którego lustro sięgało im już do pasa.

- Pospieszcie się! - zawołała Jenny.

Obok Matta rozległy się strzały. Z lufy karabinka Kowalskiego leciał dym.

- Nadchodzą! Nikogo to nie zdziwiło. Matt cofnął się o krok.

Washburn i Tom otworzyli właz wejściowy okrętu, biolodzy już schodzili do kiosku. Ale okręt był martwy, nieczynny. Zamierzali schować się w nim, w nadziei że ochroni ich przed lodem, roztrzaskującym się po wybuchu bomby Polaris. Szanse przeżycia były niewielkie, ale Matt wierzył, że szczęście go nie opuści.

Dopóki nie zginie, nie przestanie walczyć.

Nagle jego uwagę zwrócił metaliczny dźwięk. Po schodach spadał granat.

- Cholera! - wrzasnął Kowalski. Zatrzasnął właz i zablokował go. - Skacz!

Odsunęli się od włazu na boki. Siła eksplozji była tak silna, że metalowe drzwiczki zostały wyrwane z zawiasów, pofrunęły w powietrze, odbiły się od lodowego sufitu groty i spadły do wody.

Matt zaczął odpełzać od wejścia.

Kowalski jedną ręką machał, drugą strzelał.

- Wszyscy do środka!

Obaj parli do okrętu, w pół idąc i w pół płynąc przez podnoszącą się wodę.

Jenny i admirał już prawie dotarli do okrętu. Tom i Washburn wciągali do środka Bane'a.

W tym momencie wystrzelił kolejny gejzer wody, rozdzielając Jenny i admirała.

Wpadła do wody, kurczowo obejmując chłopca. Po chwili wynurzyła się i zaczęła prychać. Maki zawodził głośno.

Admirał skoczył ku nim.

Nagle pojawił się między nimi wielki grzbiet. Matt początkowo sądził, że to kawał lodu, ale potężny kształt rozbił wokół siebie wodę gwałtownym ruchem i zniknął pod powierzchnią. Wszyscy zamarli. Wiedzieli, co to jest.

Grendel.

Bestia musiała dostać się do środka przez wypalone granatem dziury w lodzie i rozpoznawała nowe terytorium. Jenny wyżej uniosła Makiego.

Matt rozejrzył się. Nie można było się zorientować, gdzie jest bestia. Bali się poruszyć, ściągnąć uwagę stwora na siebie, ale pozostanie na miejscu również oznaczało śmierć.

Matt znowu popatrzył na zegarek. Dwanaście minut.

Woda coraz bardziej pogłębiającego się jeziora była czarna i spokojna. Grendel mógł znajdować się wszędzie i czekać na sposobną chwilę do ataku.

Nikt się nie poruszał.

GODZINA 21.12

USS „POLAR SENTINEL”

Perry przyglądał się mapie i obliczeniom nawigacyjnym. - Jest pan pewny, że to współrzędne najbliższego wzmacniacza? - spytał podporucznika.

- Tak jest, komandorze.

Cholera. Komputer podał czas, jaki zajęłoby im droga do tego miejsca. Perry sprawdził zegarek - roleksa submarinera - nagle żałując, że chodzi tak dokładnie. Dwanaście minut.

Nie zdążą. Nawet przy maksymalnej prędkości czterdziestu dwóch węzłów z ledwością dotrą do jednego ze wzmacniaczy - nie wspominając już o dwóch. Przy utrzymywanej w tej chwili prędkości cały okręt wibrował, bo napędzane energią nuklearną silniki generowały dziesięć procent więcej pary, niż przewidywała to konstrukcja jednostki. Nie musieli już jednak płynąć cicho. Był to brutalny pęd do mety.

- Potrzebujemy więcej mocy.

- W maszynowni uważają...

- Wiem, co uważają. - Perry doskonale zdawał sobie sprawę, że jeszcze większa prędkość może zagrozić całemu okrętowi. Wytrzymałość płyt karbonu i tytanu też ma swoje granice. Nie miał jednak czasu na wynurzanie się i konsultację z admirałem Reynoldsem. Musiał podjąć decyzję sam.

- Poruczniku, proszę przekazać maszynowni, że potrzebujemy jeszcze dziesięć procent mocy.

- Tak jest, komandorze. - Rozkazy natychmiast zostały przekazane dalej.

Po kolejnych kilku chwilach dygot jeszcze się zwiększył, zaczęły też pobrzękiwać leżące na stołach długopisy i podkładki z metalowymi uchwytami.

Wszyscy siedzieli w napięciu na swoich miejscach.

Perry podszedł do stanowiska peryskopowego i zaczął chodzić wzdłuż niego. Kiedy rozmawiał z Amandą, jako specjalistka z zakresu dynamiki lodu przyznała, że system Polaris ma teoretyczne podstawy. Tego typu globalne zagrożenie było możliwe.

Potwierdzono osiągnięcie żądanej przez komandora prędkości.

- Sześćdziesiąt węzłów!

Perry popatrzył na siedzącego przy stole z mapami podporucznika. Młody oficer pokręcił głową.

- Jeszcze dziesięć mil do pierwszych współrzędnych. Musieli przyspieszyć.

- Proszę dać mi maszynownię - rozkazał Perry.

GODZINA 21.15

STACJA LODOWA GRENDEL

Matt stał po pachy w wodzie. Kałuże płonącego oleju rozświetlały grocie, nie pozwalały jednak dostrzec ukrytego w wodach wokół nich grendla. Czasami, kiedy między nimi przepływał, na wodzie pojawiały się drobne zmarszczki.

Czas mijał, a oni siedzieli w pułapce.

Dziesięć minut.

Jeżeli zaczną uciekać, będą skazani, ale będą także skazani, jeżeli nie zaczną uciekać.

Zza dymu, od strony wysadzonego włazu nagle doleciał głos:

- Nie ruszać się!

- Super... - mruknął Kowalski. - Po prostu super.

- Mamy was na muszce! - wrzasnął Craig. - Jeden ruch i zaczniemy strzelać!

Dla podkreślenia jego słów mroczne pomieszczenie przecięły ostre linie laserowych promieni i zatrzymały się na ich klatkach piersiowych.

- Nie ruszać się! - powtórzył Craig.

Wszyscy zastosowali się do tego polecenia, ale nie karabiny kazały im stać bez ruchu.

Woda w dalszym ciągu była ciemna i spokojna.

- Tak jakbym miał na to ochotę... - burknął Kowalski. W dymie poruszały się postacie żołnierzy.

- Chcę tu natychmiast mieć admirała! - krzyknął Craig. Trzy metry od Matta woda się poruszyła.

Matt popatrzył Jenny w oczy i nakazał jej spojrzeniem, że ma stać nieruchomo.

Zerknął na zegarek. Dziewięć minut.

Wybór był niewielki: karabiny, grendle, broń atomowa.

Musiał się na coś zdecydować.

Jeszcze raz popatrzył na swoją byłą żonę. Stojący razem z nim w wodzie ludzie mieli tylko jedną szansę. Przykro mi... - powiedział Jenny wzrokiem, po czym odwrócił się i ruszył ku brzegowi.

GODZINA 21.16

Admirał widział, co chce zrobić Amerykanin. Chciał się poświęcić. Zamierzał ściągnąć grendla na siebie, pozwalając pozostałym uciec do okrętu. Jego oczy zatrzymały się na chwilę na chłopcu w ramionach kobiety.

Ojciec adoptował to dziecko i właściwie poświęcił życie, aby je ochronić. Ogarnęła go złość i zazdrość o uczucie, jakim ojciec obdarzył tego malca zamiast niego. Ale przecież dzięki temu chłopcu poczuł związek z ojcem. Ludzie tworzą rodziny tam, gdzie mogą. Jego ojciec tyle w tej stacji stracił - nie utracił jednak człowieczeństwa.

Odwrócił się do brzegu. To on sprawił, że znaleźli się w takiej sytuacji.

Tak jak przedtem jego ojciec, wiedział, co musi zrobić.

- Wychodzę! - krzyknął i zastąpił Amerykaninowi drogę.

- Co pan...

- Masz - powiedział Wiktor Petkow i rzucił Mattowi walkie-talkie. - Zaopiekuj się chłopcem - dodał i zaczął iść do brzegu. - Wychodzę! - krzyknął ponownie i położył dłonie na głowie. - Nie strzelajcie!

- Admirale...

Wiktor Petkow popatrzył na Matta.

- Minuta - powiedział cicho, stukając palcem w monitor na nadgarstku. - Macie minutę.

GODZINA 21.17

Minutę? Matt popatrzył na zegarek, który informował go, że do wybuchu bomby mają jeszcze osiem. Zaraz jednak zrozumiał.

Dostrzegł w wodzie ruch, który zaczął się od leniwego S, po czym skierował się prosto na admirała.

Matt spojrział na monitor na nadgarstku Wiktora Petkova. Kiedy jego serce przestanie bić, odliczanie skróci się od razu do minuty.

Ruch w wodzie nadal kierował się na admirała.

Rosjanin brał na siebie kulę, ale skracał przez to czas do eksplozji.

Matt odwrócił się do Jenny.

- Szykuj się do biegu - powiedział.

Craig stał przy wyrwanym włązie z dwoma żołnierzami po bokach. Znajdowali się wyżej od nich, woda ledwie sięgała im do kolan. Lufy ich karabinów przesuwwały się za admirałem.

Petkow był cztery metry od Craiga, kiedy grendel uderzył. Zwierzę wyskoczyło z wody z szeroko rozdziawioną paszczą i zaatakowało człowieka od tyłu.

Głowa admirała gwałtownie odskoczyła do tyłu, a jego ciało zostało pchnięte do przodu i wyniesione nad wodę. Petkow przeleciał kawałek w powietrzu, po czym stwór obrócił się w locie, przytrzymując łup zębami. Ciało plasnęło o wodę.

Craig i jego ludzie cofnęli się przerażeni.

- Biegnijcie! - wrzasnął Matt.

Jenny była najbliżej, ale woda w tym miejscu była także najgłębsza, sięgała jej do szyi. Zaczęła płynąć, wysoko trzymając Makiego. Kiedy znalazła się przy kiosku, Tom złapał chłopca i wciągnął go do środka.

Mając wolne ręce, Jenny złapała za drabinkę i zaczęła się wspinać.

Matt i Kowalski brnęli przez wodę do włązu.

Przy brzegu, gdzie grendel mordował swoją ofiarę, woda burzyła się gwałtownie. Wokół białego cielska rozlewała się krew.

Craig i jego ludzie wycofali się, zapominając na moment o pozostałych uciekinierach.

Kowalski dotarł do okrętu pierwszy. Matt poganiał go gestami dłoni.

Kiedy marynarz się wspinał, obejrzał się i noga ześlizgnęła mu się ze szczebla. Natychmiast sięgnęła po niego pomocna ręka.

- Za tobą! - krzyknął.

Matt odwrócił się. Na powierzchnię wypłynął kolejny biały korpus. Potem jeszcze jeden. Ściągała ich krew.

Musiał wybrać między ostrożnością a prędkością i zdecydował się na to drugie. Kopał nogami i wiosłował, walcząc o każdy centymetr.

Kowalski był już na szczycie kiosku i zaczął strzelać w wodę, dając Mattowi odrobinę osłony.

Matt wreszcie dotarł do kiosku i złapał najniższy szczebel drabinki. Podciągał się i kulił nogi.

Jego stopy ślizgały się, odrętwiały z zimna.

Kowalski wychylił się, chwycił go i szarpnął w górę drabinki.

Coś w dole załomotało o metal kiosku. Mattowi obsunęła się stopa i spadła z mokrego szczebla, ale Kowalski mocno go trzymał za kaptur bluzy.

Kiedy Matt próbował z powrotem postawić nogę na drabince, z wody wyskoczył wielki biały kształt.

Grendel ruszył na niego z szeroko otwartą paszczą.

Kowalski stęknął i podciągnął Matta wyżej. Kłapnęły zęby, łapiąc obcas Matta. Ciężar zwierzęcia ściągnął but i bestia zniknęła w wodzie ze swoim trofeum.

Matt chwycił mocno drabinkę i wspiął się na górę.

- Cholerny drań!

Kowalski gramolił się już do środka okrętu.

- Co?

Matt spojrzał na wodę. Rozpoznał zwierzę, które go zaatakowało. Dostrzegł podziobaną pociskami, rozmoczoną na poszarpanych brzegach skórę. Był to ten sam stwór, który gonił jego i Amandę w Zapleczu i ukradł mu spodnie.

- Teraz chciwy drań ma jeszcze mój but! Kowalski pokręcił głową i schował się w kiosku.

Gdy Matt zaczął wchodzić w otwór wjazdu, tuż przy jego głowie od metalu odbiły się pociski. Pochylił się niżej i wpelzał do środka jak krab.

Popatrzył na wrota doku i ujrzał celującego w niego Craiga. W wodzie pływało stadko grendli.

Nie było śladu po admirale.

Ciekawe, ile czasu zostało do...

Odpowiedź na to pytanie nadeszła w chwilę później. Grendle oszalały. Woda wzburzyła się od ich szaleńczych skoków - waliły w nią, przekręcały się, wyskakiwały w górę, kłapały zębami.

Nietrudno było zrozumieć, co doprowadza je do szaleństwa. Matt też to czuł. Od czubka głowy po końce palców. Stacja wibrowała niczym uderzony młotem kamerton. Dźwiękowy impuls pulsacyjny. Wiedział, co to znaczy.

System Polaris został aktywowany.

Rosyjski admirał powiedział, że bomba wysłała impuls, który - jeśli można było wierzyć Petkowowi - będzie trwał sześćdziesiąt sekund, po czym bomba atomowa eksploduje, niszcząc wyspę i rozsyłając dookoła niszczycielską falę uderzeniową.

Craig cofnął się o krok i słuchał z przekrzywioną głową. Matt podciągnął się.

- Minuta! - krzyknął do Craiga, pokazując swój pusty nadgarstek i powtarzając ostrzeżenie admirała. Kiedy Craig pojął prawdę, wypuścił karabin. Admirał nie żył... impuls dźwiękowy... Czas skończył się dla wszystkich.

Zadowolony z przerażonej miny Craiga, Matt wpadł do środka kiosku i zamknął za sobą włącznik.

Gdy tylko znalazł się przy reszcie grupy, Kowalski szybko zablokował włącznik wewnętrzny. Tom i Washburn ściskali latarki, nikt nic nie mówił. Bane wyczuwał napięcie ludzi i popiskiwał nerwowo.

Nie było już możliwości zatrzymania Polaris.

GODZINA 21.17

USS „POLAR SENTINEL”

- Dlaczego mniej niż minuta? - spytał Perry. Dolatujące ze słuchawki słowa były zagłuszane przez silne trzaski.

- Tak - powiedział człowiek z tamtej strony. - ...tylko sekundy!

Perry popatrzył na Amandę. Czytała z jego ust, widziała jego minę. Wyścig się skończył, zanim jeszcze się rozpoczął. Zostali pokonani.

- ...detonator atomowy... - mówił głos z drugiej strony. - ...ciekajcie...

Zanim Perry zdążył odpowiedzieć, palce Amandy wbiły się w jego ramię. Ze strachu jej słowa stały się niewyraźne.

- Na dół! Natychmiast!

- Słucham...?

Amanda już biegła.

- Zanurz się najgłębiej, jak się da! Perry zaufał jej instynktowi.

- Zanurzenie awaryjne! Wyporność negatywna! Natychmiast!

W całym okręcie rozryczały się klaksony.

GODZINA 21.17

STACJA LODOWA GREDEL

Craig biegł przez korytarz poziomu czwartego. Czy zdąży dobiec do celu? Poklepał się po kieszeni i coś w niej zabrzączało.

Minął żołnierzy Delta Force. Kiedy przebiegał obok nich, sierżant krzyknął za nim, ale Craig nie zwalniał kroku, biegnąc zakręcającym korytarzem. Po chwili ujrzał swój cel. Potrzebował bezpiecznego miejsca, do którego po eksplozji nie dostanie się woda. Znał jedno takie miejsce.

Drzwi pojemnika, w którym jeszcze niedawno tkwił Maki, były otwarte. Craig wskoczył do środka i pociągnął szklane drzwiczki. Ponieważ przez cały czas były podłączone do generatorów, automatycznie się zamknęły.

Czy to wystarczy? Pomacał szkło. Wibrowało od impulsu Polaris.

Opadł na dno pojemnika i objął kolana ramionami. Ile jeszcze pozostało mu czasu?

GODZINA 21.17

ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY SERII I

Matt i Jenny, przyciśnięci do siebie, leżeli na marynarskiej koi między dwoma materacami. Pozostali byli podobnie osłonięci, po dwie osoby w jednym łóżku. Washburn pilnowała Makiego. Nawet Bane tkwił między materacami.

Po znalezieniu się na pokładzie okrętu nie mieli czasu na szukanie kryjówek. Uciekli do części mieszkalnej i zabezpieczyli się jak mogli przed skutkami wybuchu.

Teraz zostało im już tylko czekać.

Matt wtulał się w Jenny. Albo admirał musiał przeżyć dłużej, niż im się wydawało, albo bezwładność instalacji przekraczała minutę.

Obejmowali się mocno. Ich dłonie szukały się, kierowane wspomnieniami i znanymi odruchami. Jego usta znalazły jej usta i miękkie wargi się rozchyliły. Mruczeli coś do siebie - chcieli dzielić się oddechem, dotrzeć do siebie, złożyć sobie płynącą z serca obietnicę.

Pragnęli spędzić ze sobą jak najwięcej czasu, ale czas się skończył.

GODZINA 21.17

NA LODZIE...

Starszy sierżant sztabowy Edwin Wilson, Delta Jeden, stał na lodzie pod ciemniejącym niebem. Sikorsky seahawk znajdował się pięć kroków za nim. Łopaty wirnika powoli się obracały, silniki grzały się, gotowe do natychmiastowego odlotu. Tak jak mu kazano, sierżant oddalił się o pięćdziesiąt kilometrów od wyspy. Po odkryciu bomby w stacji jego zadaniem stała się ochrona dzienników. Miał wracać tylko w przypadku, gdyby polecił mu to kontroler misji.

Na razie czekał. Nie dostał żadnych nowych rozkazów.

Nagle lód pod jego stopami zaczął drżeć. Z początku sądził, że to tylko gra jego wyobraźni, ale drzenie utrzymywało się.

Co się działo?

Popatrzył na północny wschód przez elektronicznie wzmacnianą, wyposażoną w noktowizor lornetkę. Okolice była tak płaska, że mógł dostrzec na horyzoncie wysoką linię lodowych wzgórz.

Wciąż nie otrzymywał żadnego komunikatu.

Spojrzał na zegarek. Zgodnie z pierwotnym raportem zostało jeszcze kilka minut.

Ponownie przyłożył lornetkę do oczu.

W tym momencie północny horyzont zapłonął. Zielony noktowizyjny obraz gwałtownie pobiełał i oślepił sierżanta. Wilson zrobił dwa kroki do tyłu i puścił lornetkę. Zawisła mu na szyi.

Zamrugał i popatrzył na północ. Coś było nie tak. Horyzont wyginał się w jednym miejscu, unosił jak fala.

Sierżant znów popatrzył przez lornetkę. Pośrodku wznoszącej się fali jarzyła się ciemnozielona plama.

Po chwili zniknęła.

Po lodzie potoczył się niesamowity ryk.

Najwyraźniej bomba eksplodowała, ale co tam się działo? Nie rozumiał tego, co widział.

Po chwili zrozumiał. Plama jasności zniknęła, ponieważ zasłoniła ją ściana toczącego się ku niemu lodu, szeroka jak horyzont.

Fala rozchodziła się kółkiem od miejsca wybuchu, jak woda w jeziorze, do którego wrzucono kamień. Fala pływowa, tyle że z lodu.

Serce podskoczyło Wilsonowi do gardła i ruszył do helikoptera.

- Jazda! - wrzasnął, próbując przekrzyczeć łoskot, który zamiast cichnąć, nasilał się.

Kiedy dobiegł do maszyny, jeden z jego ludzi otworzył drzwiczki.

- Co się stało?

Wilson zanurkował do środka.

- W powietrze! Natychmiast!

Łopaty bezzwłocznie zaczęły przyspieszać. Za chwilę osiągną szybkość obrotów potrzebną do startu. Wilson skoczył na fotel drugiego pilota. Rycząca fala lodu pędziła na nich.

Sierżant patrzył w górę i modlił się. Łopaty wirowały coraz prędzej, tworząc rozmazujące się koło, i w końcu płozy seahawka oderwały się od lodu. Maszyna lekko zabujała, bo płyty nośne natrafiły na zimniejsze powietrze.

- Tempo! - poganiał pilota Wilson.

Z przerażeniem patrzył, jak horyzont zbliża się do nich. W tym momencie helikopter wyprysnął w górę. Wilson oceniał odległość od lodowego tsunami. Przyspieszało czy zwalniało?

Wydawało mu się, że zwalnia. Zwalniało!

Wyglądało na to, że uda im się uciec.

Nagle, w odległości pół kilometra od nich, pod lodem coś eksplodowało. Lód wystrzelił w górę i uderzył w ich płozy. Helikopter gwałtownie się zabujał. Wilson wrzasnął.

Wzmocniona fala uderzeniowa trafiła w helikopter i zdjęła go z nieba.

GODZINA 21.18

USS „POLAR SENTINEL”

Amanda wpatrywała się w ekran DeepEye. Przed chwilą monitor zamglił się od silnego impulsu sonarowego i zniknęły wszystkie szczegóły. Zaraz potem ekran zrobił się niebieski.

Tylko jedno mogło to spowodować. Wybuch nuklearny.

Obok Amandy stał John Aratuk, który przez cały czas czuwał. Popatrzył przez leksanową kopułę. Morze nad nimi było bardzo ciemne. Znajdowali się blisko głębokości grożącej zgnieceniem kadłuba. Słońce nigdy tu nie docierało.

John wyciągnął palec.

W ciemności rozbłysła gwiazda. Wysoko na południu. Epicentrum eksplozji.

Innuita spojrział na Amandę. Nic nie mówił, ale nie musiał. Jego twarz wyrażała głęboki smutek. W jednej chwili postarzał się o lata.

- Tak mi przykro... - powiedziała Amanda. Zamknął oczy i odsunął się.

Amanda wróciła do monitora. Córka tego mężczyzny i inni poświęcili życie, aby spróbować uratować świat.

Czy naprawdę ich poświęcenie miało pójść na marne?

Zapalnik Polaris eksplodował, ale może uda się zablokować dwa wzmacniacze?

Popatrzyła na zaniebieszczony ekran. Jej pomysł był bardzo prosty. Kazała Perry'emu zanurzyć się głęboko, bo potrzebowała dużej odległości do powierzchni.

Kiedy okręt opadał w dół, wpisała współrzędne i nastawiła DeepEye na dwa wzmacniacze systemu. Gdy tylko znaleźli się wystarczająco głęboko, rozszerzyła kąt obserwacji sonaru, tak że obejmował obie instalacje. Potem nastawiła DeepEye na całą moc i zaczęła się modlić.

Aby system Polaris mógł zadziałać, fala ze wszystkich jego punktów musiała być zharmonizowana i dokładnie nastawiona na częstotliwość rozbijającą lód. Jeżeli DeepEye pošle swoją falę przed falą Polaris, może zmienić to ustawienia systemu na tyle, że dwa wzmacniacze znajdujące się w strefie działania sonaru nie będą mogły się uaktywnić.

Amanda wpatrywała się w monitor i czekała.

Czy jej plan się uda?

GODZINA 21.18

ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY SERII I

Ochroniana materacami Jenny wciskała się w Matta. Świat wokół nich wirował szaleńczo. Mimo warstwy izolacyjnej czuła, jak jej ciało jest obijane i siniaczone. W głowie wciąż słyszała huk eksplozji.

Nadal jednak żyła.

Oboje żyli.

Matt mocno ją obejmował, osłaniał rękami i nogami.

- Opadamy! - krzyknął jej do ucha. Jenny również czuła wzrastające ciśnienie.

Po długiej minucie świat przestał wirować i teraz był już tylko pochylony.

- Chyba ustabilizowaliśmy pozycję. - Matt wyciągnął rękę spod Jenny, odsunął kawałek materaca i wyrzucił na zewnątrz.

Dołączyła do niego.

W koi naprzeciwko Kowalski też już wystawiał głowę i wodził dookoła promieniem latarki. Kadłub okrętu był wyraźnie przechylony i lekko się bujał.

- Wszyscy cali?! - zawołała Jenny.

Jak wykluwające się z kokonów motyle zaczęły się pojawiać kolejne głowy. Zduszone poszczekiwania poinformowały ich, że Bane'owi również nic się nie stało.

- Zane... wypadł! - krzyknęła nagle Magdalene.

- Nic mi nie jest - odpowiedział głos Zane'a. - Tylko złamałem nadgarstek.

Wszyscy powoli wypęzli na korytarzyk i zaczęli się obmacywać. Washburn niosła Makiego. Uspokajała chłopca, śpiewała mu.

Tom siedł między kojami i wpatrywał się w sufit. Jenny także słyszała trzaski spojeń, pyknięcia zmęczonych połączeń blach.

- Jesteśmy bardzo głęboko - mruknął wielki marynarz. - Wybuch musiał nas pchnąć prosto w dół.

- Ale go przeżyliśmy - stwierdził Ogden.

- To dzięki temu, że dookoła okrętu był lód - odparł Tom. - Oslonił nas. Wydrążona grotka była najslabszym punktem stacji. Oderwała się i zabrala nas ze soba.

- Opadniemy na dno? - spytała Magdalene.

- Mamy pozytywna plawnosc - powiedzial Tom. - Powinniemy wyplynac jak korek, ale...

- Ale co? - zaniepokoil sie Zane. Wszyscy patrzyli na trzeszczace sciany. Kowalski odpowiedzial:

- Ale modlmy sie, zeby nas przedtem nie zgniotlo.

GODZINA 21.20

POD LODEM...

Craig ocknal sie w ciemnosciami, obronony o sto osiemdziesiat stopni. Czul na jezuku smak krwi, bolala go glowa, a w jego barku plonal ogien. Zlamany obojczyk. Nie to go jednak obudzilo, ale spadajaca mu na twarz struzka wody.

Poniewaz bylo ciemno, potrzebowal chwili, aby odzyskac orientacje. Kiedy sie prostowal, dotknal szklanych drzwiczek i wyczul pekniecie. Wlewajaca sie do pojemnika woda byla lodowata.

Próbował ocenić, gdzie się znajduje, było jednak za ciemno. Woda powoli napelniała zbiornik. Słyszał bulgot uciekającego powietrza. Pojemnik był nieszczelny. Przetrwiał falę uderzeniową, ale był bardzo głęboko.

I ciągle opadał niżej.

Lodowata woda wpadała do środka coraz szerszym strumieniem.

Sięgała teraz Craigowi do ud, przesączała się przez ubranie. Szczękał zębami - po części z zimna, po części z szoku, ale głównie z powodu narastającego strachu.

Zawsze bał się pogrzebienia żywcem. Słyszał wiele opowieści o likwidowanych w ten sposób agentach. A to było jeszcze gorsze.

Zimno zaczynało wypełniać jego ciało szybciej niż woda pojemnik. Zastanawiał się, co go najpierw zabije: wyziębienie czy woda?

Niebawem otrzymał odpowiedź na to pytanie.

Głośne bulgotanie ustało i woda przestała wpływać do pojemnika. Kieszonka powietrzna zatrzymała wodę. Na razie...

Ale nie był jeszcze bezpieczny. Powietrze szybko się zużyje, poza tym może zabić go zimno.

A może jednak nie?

Zaczął grzebać po kieszeniach. Szkło połamanej strzykawki głęboko pocięło mu palce, znalazł jednak to, czego szukał. Druga strzykawka ocalała. Dobrze, że wziął z laboratorium dwie.

Pozwoli mu to przeżyć.

Ściągnął osłonkę z igły.

Znalezienie żyły w ciemności było niemożliwe, więc wbił długą igłę w brzuch. Ból był czymś cudownym. Pchnął tłoczek i wstrzyknął serum do jamy brzusznej. Wkrótce wchłonie się do krwi.

Wyciągnął strzykawkę i rzucił ją do lodowatej wody. Zęby szczękały mu w niemożliwy do opanowania sposób, kończyny dygotały.

Poczuł dziwny lęk.

Czy serum wchłonie się wystarczająco szybko? Odpowiedzieć na to pytanie mógł tylko czas.

GODZINA 21.21

ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY SERII I

Matt wstrzymywał oddech. Stary okręt trzeszczał i strzelał. Kowalski świecił latarką po korytarzu. Gdzieś daleko syczała woda. Przeciek. Ciemność przygniatała ich.

Jenny trzymała Matta za rękę, zaciskając mocno spocone palce.

Nagle poczuł lekką zmianą pod stopami i delikatny ucisk w żołądku. Popatrzył na Kowalskiego i Toma, bardziej ufając ich odczuciom.

Tom potwierdził jego nadzieję.

- Wznosimy się - powiedział.

Palce Jenny jeszcze mocniej ścisnęły jego dłoń. Wracali na powierzchnię.

Rozległy się pomruki ulgi.

Ale twarz Kowalskiego wcale się nie rozchmurzyła. Także Tom nie wyglądał na zadowolonego.

- Co jest? - spytał Matt.

- Nie mamy wpływu na płynność - odparł Tom. Kowalski kiwnął głową.

- Wypływamy w niekontrolowany sposób. Będziemy coraz bardziej przyspieszać.

Matt zrozumiał. Jak powiedział wcześniej Tom, okręt podwodny przypomina wpełnięty pod wodę korek. W miarę wynurzania się coraz bardziej przyspiesza. Matt popatrzył na sufit, wyobrażając sobie, co się może wydarzyć.

Kiedy znajdą się blisko powierzchni, będą pędzić z ogromną prędkością i uderzą w lód z impetem pociągu.

- Z powrotem między materace?

- Niewiele to da - odparł Kowalski. - Gdy dotrzemy do powierzchni, możemy zamienić się w naleśniki.

Nie mieli jednak żadnej innej możliwości, więc wszyscy ponownie pochowali się między materacami. Kiedy Matt położył się obok Jenny, poczuł ucisk w uszach. Na domiar złego okręt ustawiał się coraz bardziej pionowo.

Jenny poszukała dłońmi męża. Wtulił się w nią, nie wiedząc, czy to nie ostatnia okazja. Dotknął jej policzków. Były mokre.

- Jen...

Zadrzała w jego ramionach.

- Kocham cię - szepnął. - Zawsze cię kochałem. Nigdy nie przestałem.

Jej ciałem wstrząsały ciche łkania, ale znalazła jego usta i pocałowała go. Mocno, z miłością. Nie musiała nic mówić. Trzymali się w objęciach, odcinając się od świata i jego

potworności. W tej chwili liczyły się jedynie przebaczenie, miłość i wzajemna potrzeba siebie. Jak mogli o tym wszystkim zapomnieć?

Chwila rozciągnęła się w krystaliczną wieczność. A potem okręt uderzył w powierzchnię.

GODZINA 21.23

NA LODZIE...

Księżyc był w pełni - jasna moneta, prześwitująca przez burzowe chmury. Jego światło spowijało arktyczną ciszę w odbijające się od powierzchni lodu srebro. Jediną skazą w tym obrazie była ciągle jeszcze dymiąca się dziura średnicy niemal kilometra. Reszta świata tworzyła idealnie gładką płaszczyznę srebra.

Nie miało tak jednak być. To, co doskonałe, nigdy nie trwa długo.

Półtora kilometra od dziury coś roztrzaskało lód od spodu - z wody wyskoczył czarny wieloryb. Wyprysnął wysoko w powietrze, wznosząc całe cielsko nad wodę. Przez chwilę wisiał nieruchomo, aż upomniała się o niego siła ciężenia.

Stalowy kolos uderzył brzuchem w wodę, na moment zniknął pod powierzchnią, po czym powrócił na górę, bujając się w wodno-lodowej brei.

GODZINA 21.24

ROSYJSKI OKRĘT PODWODNY SERII I

Matt był tak splątany z Jenny, że trudno było powiedzieć, która kończyła jest czyja.

Przed chwilą uderzyli w powierzchnię. Rzuciło nimi w górę i na moment zawisli w powietrzu, a potem nagle spadli z powrotem na koję, bezwładnie jak szmaciane lalki.

Ze wszystkich stron buchnęły krzyki.

Okręt bujał się przechylony.

Matt wygrzebał się z materaców i pomógł wyjść Jenny. Stał niepewnie na nogach - a może to okręt tak silnie kołysał? Musiał się mocno trzymać koi.

- Co się stało?

Kowalski podrapał się po głowie latarką.

- Powinniśmy byli zginąć. Zostać zgnieceni. - Zabrzmiało to, jakby był rozczarowany. Jakby płynność okrętu i lód go zdradziły.

- Ja tam nie narzekam - stwierdził Matt. - Zobaczmy, gdzie jesteśmy.

Mocno trzymając Jenny za rękę, zaprowadził wszystkich do centralnej części okrętu. Wewnętrzna kłapa wjazdu była otwarta i Kowalskiego oblała woda.

- Cholera! Dlaczego ja zawsze muszę moknąć?

Matt wspiął się do kiosku i otworzył górny właz. Kiedy go wypchnął na zewnątrz, uderzyła go fala zimnego powietrza. Nigdy w życiu nie czuł się tak wspaniale.

Wyszedł na mostek i zapatrzył się przed siebie.

Burza się skończyła. Światło księżyca malowało cały świat na srebrny kolor.

Nie było to jednak lite srebro.

Okręt unosił się na pokrytej drobnym lodem wodzie. Sto metrów dalej zaczynał się masywny lód. Znajdowali się na granicy dwóch światów - czaszy lodowej i przemielonego lodu. Oddzielała je od siebie wielka czarna dziura.

Matt gapił się na nią w oszołomieniu.

Podeszła do niego Jenny i wsunęła dłoń w jego dłoń.

- Co się stało?

- System Polaris zrobił, co miał zrobić, ale udało mu się to jedynie w połowie.

Wygląda na to, że jego druga część nie zadziałała.

- I dokonał tego „Polar Sentinel”? Matt wzruszył ramionami.

- A kto inny?

- „Polar Sentinel”... - powtórzył jak echo Kowalski. Matt popatrzył na niego. Z pokrytej drobnym lodem wody wynurzał się czarny kontur. Patrzyło na nich wielkie, oświetlone od środka oko okrętu, jakby zaskoczone, że widzi ich żywych.

Matt przyciągnął Jenny, przypominając jej i sobie tym gestem, jak doskonale do siebie pasowali. Dwoje znów stało się jednością.

Musiał przyznać, że mu się to bardzo podobało.

Epilog

ROK PÓŹNIEJ, 14 MAJA, GODZINA 6.34

GÓRY BROOKSA, ALASKA

Było bardzo wcześnie.

Matt zakopał się pod pierzyną, nie mając ochoty opuszczać ciepłego legowiska. Choć nadeszła już wiosna, poranki na Alasce przypominały zimy na Środkowym Zachodzie. Poszukał najcieplejszego miejsca, tuż przy nagich plecach żony.

Wyciągnął się, przytulił do niej całym ciałem i zaczął łaskotać ją w kark.

- Mieliliśmy już miesiąc miodowy w nocy - wymamrotała w poduszkę.

Burknął coś pod nosem, ale nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Od chwili gdy poprzedniego dnia wypowiedział nad rzeką przysięgę, nie przestawał się uśmiechać jak zadurzony nastolatek. Ceremonia była skromna. Kilku przyjaciół i rodzina.

Przylecieli Greg i Amanda, też niedawno po ślubie. Komandor Perry został wysoko odznaczony za swoje bohaterskie czyny na Dalekiej Północy. Choć system Polaris zniszczył pół arktycznej czaszy lodowej, ich działania oraz użycie przez Amandę DeepEye uratowały drugą połowę.

Zniszczenia lodu były bardzo duże, ale odwracalne. W lecie połowa czaszy i tak się roztopia, ale w zimie znów zamarza.

Tak samo było i tym razem. Ostatniej zimy czasza się odtworzyła i zamknęła jak zawsze nad północnymi morzami.

Rekonwalescencja obu rządów - rosyjskiego i amerykańskiego - nie przebiegała tak łatwo. Ośrodki władzy w Waszyngtonie i Moskwie nadal były wstrząsane reperkusjami wydarzeń, które miały miejsce w Arktyce. Wciąż odbywały się przesłuchania i toczyły śledztwa. Ale także i to zamieszanie w końcu osłabnie.

Matt miał jednak nadzieję, że efektem tego wszystkiego będzie uzdrowienie sytuacji.

Zniknęły wszelkie ślady tego, co wydarzyło się na północy. Nigdy nie znaleziono planów Polaris, które admirał Petkow zniszczył przed wypłynięciem z portu. Grendle również zniknęły, zlikwidowane przez bombę atomową.

Tak więc cała ta dziwna wojna nie przyniosła nikomu żadnej korzyści.

No, prawie...

Z głównego pomieszczenia chaty doleciał radosny śmiech. Tak potrafi się cieszyć jedynie dziecko. Właśnie ten śmiech obudził Matta z krótkiego snu.

Jenny także się poruszyła.

- Wygląda na to, że Maki już wstał.

Z pokoju obok doleciał szczełk garnków i patelni. Matt odsunął kołdrę, zamierzając krzykiem wymusić kilka dodatkowych godzin snu. Doleciał jednak do niego kuszący zapach. Wciągnął głęboko powietrze i westchnął.

- Kawa... to gra nie fair. Jenny usiadła na łóżku.

- Chyba powinniśmy wstać.

Matt podparł się łokciem. Patrzył na swoją nową żonę, skapaną we wpadającym przez okno świetle. Był najszczęśliwszym człowiekiem na całym tym cholernym świecie.

Znów usłyszeli radosny chichot.

Jenny uśmiechnęła się. Nie było w niej ani śladu dawnego smutku. Matt tak samo jak ona wiedział, jak dobrze było znów słyszeć w domu śmiech dziecka - nawet jeśli miało tak być tylko przez krótki czas.

Włożyli piżamy i szlafroki, po czym Matt otworzył drzwi i wyszli.

Maki siedział na środku pokoju i bawił się z Bane'em. Wielki mieszaniec leżał na plecach i wystawiał brzuch do głaskania. Chłopiec chciał go drapać, ale kiedy dotykał delikatnej skóry, tylna łapa zwierzęcia odruchowo drgała. Wywoływało to u małego kolejną salwę śmiechu.

Matt uśmiechnął się na widok tej pełnej prostoty sceny. Chłopiec i pies.

- Wstaliście! - doleciało z kuchni. Była tam Belinda Haydon.

- Gdzie twój mąż?

- Wyszedł z Johnem jakąś godzinę temu. Maki wstał i podszedł do kuchennych drzwi.

- Mamo - powiedział po inuicku, po czym dodał po angielsku: - Mogę dostać pop-tarta? - Szybko uczył się nowego języka.

- Jak zjesz owsiankę, skarbie - odparła Belinda. Maki wysunął dolną wargę i wrócił do Bane'a.

Matt popatrzył za nim. Po wydarzeniach sprzed roku zastanawiali się z Jenny, czy nie adoptować chłopca, musieli jednak najpierw naprawić wszystko między sobą. Nie był to dla nich dobry czas na wychowywanie dziecka.

Znaleziono mu jednak idealną rodzinę: Benniego i Belindę. Jenny opowiedziała Mattowi o poronieniu Belindy i jej niepłodności. Haydonowie mieli w sobie dość miłości dla tuzina dzieci i jeżeli ktokolwiek mógł pomóc chłopcu wyleczyć się ze wszystkich urazów i zdrowo rosnąć, to tylko oni.

Matt uświadomił sobie, że gapi się na Jenny. Zawsze jeszcze mogli mieć własne dzieci. Nawet zaczęli już o tym ze sobą szeptać nocą, dzieląc się pod kołdrą swoimi nadziejami.

Ale mieli jeszcze czas.

- Wujku Matt, Bane też chce pop-tarta! Matt się roześmiał.

Jenny uśmiechnęła się do niego, do nich obu. Popatrzył w jej jasne oczy.

Naprawdę był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

GODZINA 6.55

POD LODEM...

Na dnie oceanu leżał zalany wodą, zgnieciony i popękany pojemnik. Jego samotny mieszkaniec był poskręcaną masą stwardniałych tkanek.

Nikt nie słyszał krzyku w jego głowie.

Krioprotektant ochronił go przed śmiercią, miał jednak pewne straszliwe działanie uboczne. Człowiek tkwiący w środku pojemnika rozumiał teraz, dlaczego rosyjscy naukowcy spędzili tyle lat na badaniach nad środkami uspokajającymi i nasennymi. Badania te miały podstawowe znaczenie dla zawieszania czynności życiowych.

Bo stan, w jakim trwał organizm ludzki dzięki wstrzyknięciu serum, nie był snem.

Świadomość pozostawała - nieuszkodzona.

Człowiekowi w pojemniku sen nie był dany.

Krzyczał i krzyczał, ale nawet on sam nic nie słyszał.

Był głuchy, niemy i ślepy.

Ciało jednak zostało zachowane po wsze czasy. Głęboko w czarnych otchłaniach Oceanu Arktycznego do zżeranych szaleństwem resztek mózgu wciąż powracała jedna i ta sama myśl:

Jak długo? Jak długo trwa wieczność?

OD AUTORA

W ciągu minionych lat często pytano mnie, gdzie w moich opowieściach przebiega granica między prawdą i fikcją literacką. Może więc warto podać kilka wyjaśnień na końcu tej książki?

Zacznijmy od początku. Powieść zaczyna się od fikcyjnego artykułu prasowego, opisującego zniknięcie wszystkich mieszkańców inuickiej wioski położonej nad jeziorem Anjikuni. Szczegóły tego nagłego i tajemniczego zniknięcia całego plemienia są oparte na faktach, choć los tych biedaków jest oczywiście tworem mojej wyobraźni. To samo można powiedzieć o historii i losie nieszczęśliwych marynarzy z „Jeanette”. Zgniecenie statku przez krę w 1881 roku jest faktem, los załogi zaginionej szalupy fikcją.

Jeśli chodzi o zagrożenie, jakim miało być dla naszej planety zastosowanie systemu Polaris, jego scenariusz opiera się na teorii naukowej, ale praktyczne zastosowanie instalacji w kształcie pięcioramiennej gwiazdy jest moim pomysłem. Rozbicie polarnej czaszy lodowej i zapoczątkowanie nowej epoki lodowcowej to projekcje, dokonywane przez badaczy Arktyki.

„Grendle” również powstały w wyniku przemieszania faktów i fikcji. Istnienie gatunku *Ambulocetus natans*, znanego pod nazwą „chodzących waleni”, udokumentowały wykopaliska. Faktem są niezwykle adaptacyjne zdolności arktycznej żaby drzewnej (*Rana sylvaticä*), która zamarza na kilka miesięcy, a po rozmrożeniu powraca do życia. Mechanizm tego procesu badał Ken Storey z Carleton University. Faktem jest także udział cukru w „zawieszaniu czynności życiowych” oraz genetyczny mechanizm tej reakcji: wszystkie kręgowce są nosicielami odpowiedzialnych za ten proces genów. Pomieszałem jednak fakty i gatunki, aby stworzyć grendle.

Na koniec pewien szczegół, w który chyba najtrudniej uwierzyć: czy Stany Zjednoczone, współdziałając z Rosją, mogłyby być zamieszane w coś tak ohydne jak eksperymenty na ludziach? W powieści admirał Petkow przytacza historyczne fakty, ale i on jedynie dotyka powierzchni problemu. Dla ostrzeżenia więc zakończę książkę częściową listą tego rodzaju nadużyć, sporządzoną przez Health News Network (www.healthnewsnet.com), która posiada także prawa autorskie do niej.

1932 Początki badań nad syfilisem w Tuskegee (Tuskegee Syphilis Study). Dwustu czarnych mężczyzn, u których zdiagnozowano tę chorobę, zostaje wykorzystanych jako nieświadome obiekty badawcze; nie leczy się ich jednak i wszyscy umierają z powodu syfilisu.

1935 Epidemia pelagry. Kiedy w ciągu dwóch dziesięcioleci miliony ludzi umiera z powodu pelagry, U.S. Public Health Service (Publiczna Służba Zdrowia USA) postanawia powstrzymać rozprzestrzenianie się choroby. Dyrektor tej instytucji przyznał potem, że przynajmniej od dwudziestu lat wiadano, iż choroba jest spowodowana niedoborem niacyny, nie działano jednak, ponieważ większość zgonów miała miejsce wśród czarnej biedoty.

1940 Czterystu więźniów w Chicago zostaje zakażonych malarią w celu zbadania działania nowego eksperymentalnego leku. W Norymberdze hitlerowscy lekarze cytowali to badanie, broniąc się przed zarzutami, które stawiano im samym.

1945 Rozpoczyna się realizacja projektu Spinacz (Paperclip). Departament Stanu USA, wywiad wojskowy i CIA rekrutują hitlerowskich naukowców, proponując im immunitet oraz nowe tożsamości za pracę przy supertajnych projektach rządowych.

1947 CIA zaczyna badania nad wykorzystaniem LSD jako broni. Uczestniczący w tych badaniach ludzie (cywile i wojskowi) często nie są świadomi, że wykorzystuje się ich jako obiekty eksperymentów.

1950 W celu sprawdzenia, jak podatne byłyby amerykańskie miasta na atak biologiczny, marynarka wojenna USA rozpyła chmurę bakterii nad San Francisco. Wielu mieszkańców zapada wtedy na chorobę przypominającą zapalenie płuc.

1956 Armia USA wypuszcza nad miastami Savannah w stanie Georgia i Avon Park na Florydzie komary zakażone żółtą febrą. Po każdym teście udający przedstawiciele służby zdrowia agencji wojskowi badają zasięg zakażenia i jego skutki.

1965 Więźniowie z zakładu penitencjarnego w Holmesburgu w stanie Filadelfia są poddawani działaniu dioksyny (toksyczny składnik używanego w Wietnamie bojowego środka chemicznego o nazwie Agent Orange), a potem bada się ich pod kątem częstości zachorowań na raka i tempa rozwoju choroby.

1966 Armia amerykańska zrzuca na kratki wentylacyjne w nowojorskim metrze żarówki wypełnione bakteriami *Bacillus subtilis*, wariant **niger**, które zakażają ponad milion ludzi.

1990 Ponad tysiącu pięciuset sześciomiesięcznych niemowląt pochodzenia murzyńskiego i latynoskiego podana zostaje w Los Angeles „eksperymentalna” szczepionka przeciwko odrze, która nigdy nie została dopuszczona do użytku w Stanach Zjednoczonych. CDC (Ośrodek Kontroli Chorób Zakaźnych) przyznał później, że rodzice dzieci nie byli informowani o eksperymentalnym składzie szczepionki.

1994 Senator John D. Rockefeller ogłasza raport, w którym ujawnione zostaje, że przynajmniej od pięćdziesięciu lat Ministerstwo Obrony wykorzystywało żołnierzy do badań oraz świadomie wystawiało ich na działanie niebezpiecznych substancji.

1995 Rząd USA przyznaje, że w zamian za dane z badań prowadzonych nad bronią biologiczną proponował pieniądze i immunitet japońskim zbrodniarzom wojennym, którzy wykorzystywali do nich ludzi.

1995 Doktor Garth Nicholson ujawnia, że czynniki biologicznie aktywne, które wykorzystano podczas wojny w Zatoce, zostały wyprodukowane w Houston w stanie Teksas oraz w Boca Raton na Florydzie i były testowane na więźniach wydziału penitencjarnego Teksasu.

1996 Ministerstwo Obrony przyznaje, że żołnierze uczestniczący w operacji Pustynna Burza byli wystawieni na działanie czynników chemicznych.

1997 Osiemdziesięciu ósmiu kongresmanów podpisuje list, żądający śledztwa w sprawie broni biologicznej, użytej podczas wojny w Zatoce.